

574034

1

DOKUMENTY

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1970

ZNASZ-LI TEN KRAJ ?

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 184

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,

91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

DOKUMENTY

ZNASZ-LI TEN KRAJ?

„... Zbudowaliśmy trwałe gmach P.R.L....”

Wł. Gomułka

(Z przemówienia na uroczystym posiedzeniu Sejmu P.R.L., z okazji 25-tej rocznicy uchwalenia Manifestu Lipcowego, którego druk — nawiasem mówiąc — jest zakazany przez cenzurę).

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1970



II 801.054



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001012894374

OD WYDAWCY

Bywa często, że jakiś drobny ale znamienny epizod wpływa na ostateczne skryształizowanie się dawno w myślach drżemiącego i mglistego projektu. W wypadku książki, którą oddajemy do rąk Czytelników, taką rolę odegrała reakcja na Notatnik z podróży po Polsce Mieczysława Lurczyńskiego, wydrukowany w styczniowym numerze Kultury z ubiegłego roku.

Lurczyński podróżował po Polsce miesiąc, zastrzegł się na wstępie że „miesięczny pobyt nie daje mu prawa do ferowania wyroków o rzeczywistości tak odmiennej od tej jaką opuścił przed ćwierćwieczem”, zapowiedział że spisane przez niego wrażenia będą szczere, bez uprzedzeń czy parti pris. Wrażenia okazały się, delikatnie mówiąc, mało budujące. Nie było żadną niespodzianką, że zaatakowano je z oburzeniem w prasie krajowej: „potwarz”, „oszczerstwo”, „szkalowanie” są jedynymi słowami jakie cisną się automatycznie pod pióro „polemistom” krajowym, delegowanym z urzędu do czytania Kultury. Ale otrzymaliśmy również sporo listownych protestów od naszych Czytelników emigracyjnych, którym coraz częstsze ostatnio wyjazdy do krewnych lub na wakacje w kraju pozwoliły jakoby zobaczyć rzeczywistość polską w o ileż bardziej korzystnym świetle. Nie mieliśmy ani przez chwilę wątpliwości że różowe okulary rodzinno-turystyczne naszych korespondentów, wyposażonych w obce waluty bądź noszonych na rękach przez bliskich i przyjaciół (przeważnie kosztem ogromnych i długotrwałych wyrzeczeń po powrocie gości za granicę), nadają się słabo do oglądania Polski prawdziwej. Jak to jednak uprzytomnić obrońcom „oczernianego” przez nas kraju? Odeśłać ich do książek Flemminga czy do książki Pauliny Preiss? Padnie naturalnie argument o nieuniknionej przesadzie i tendencyjności autorów, zmuszonych okolicznościami do szukania dla siebie trybuny wypowie-

dzi w wydawnictwie emigracyjnym. Powołać się na relacje i opowiadania przyjezdnych z kraju, którzy nas czasem odwiedzają w Paryżu? Rozlegnie się oczywiście okrzyk, że opowiadają nam to co chcemy (jako „wrogi ośrodek”) usłyszeć.

Właśnie wtedy skryształizował się ostatecznie niejasny dotąd projekt. Dzień w dzień czytamy uważnie stopy prasy krajowej, stołecznej i prowincjonalnej. Z samej prasy krajowej przecież, nie czytanej na ogół przez gości zza granicy i ledwie przeglądanej przez odbiorców w kraju, można zrekonstruować dostatecznie realistyczny obraz rzeczywistości polskiej. Wystarczy wyłowić i posegregować poutykane tu i ówdzie artykułiki, reportaże i notatki z okresu kilku miesięcy, by odsoniła się „Polska mało znana” widziana oczami i opisana piórem jej własnych, śmielszych dziennikarzy. Ten „rodzimy” materiał, wolny już całkowicie od jakichkolwiek podejrzeń i pomówień, nie wymaga komentarzy. W zestawieniu z jego ponurymi barwami błędną, stają się prawie pastelowe, kolory użyte w książkach Flemminga i Pauliny Preiss czy w notatniku Lurczyńskiego. Gdybyśmy choć niewielką część zebranych w niniejszej książce wycinków z prasy krajowej ogłosili w Kulturze jako nasz oryginalny materiał, uznano by nas za „oszczerców pozbawionych wszelkich skrupułów”.

Przy układaniu dossier zatytułowanego Znasz-li ten kraj? musieliśmy, rzecz jasna, zastosować daleko idącą selekcję: w całości urosłoby ono do rozmiarów wielotomowego dzieła. Wprowadziliśmy sześć luźnych działów ramowych dla ułatwienia lektury Czytelnikom, i aby uniknąć zarzutu że za pośrednictwem fragmentarycznych z konieczności migawek dziennikarskich podsuwamy uogólniające niesprawiedliwe wnioski w odniesieniu do całego szeregu specyficznych dziedzin życia polskiego. Antologie tego typu są w stanie dać tylko bardzo sumaryczne odbicie rzeczywistości.

Nawet jednak takie bardzo sumaryczne odbicie rzeczywistości może u niektórych Czytelników w kraju wywołać pod naszym adresem pretensję, że za przestoną „radosnej twórczości” partii i rządu nie dostrzegamy wielkiego społecznego i ludzkiego wysiłku wbrew krępującym go, skostniałym więzom. Byłaby to pretensja niestusznna. Znasz-li ten kraj? potwierdza jedynie diagnozę Bieńkowskiego z Motorów i hamulców socjalizmu: „Wpływ poszczególnych grup zawodowych na sytuację w ich dziedzinach został znów (po częściowym odrodzeniu po roku 1956) sprowadzony do zera: technicy niewiele mają do powiedzenia w technice, ekonomiści w gospodarce, nauczyciele w wychowaniu itd.”. Nie jest niedostrzeganiem wysiłku społecznego i ludzkiego wykazywanie z dowodami w rękę, że na każdym kroku blokują go albo kruszą „hamulce socjalizmu”. Jest raczej dopominaniem się o to, by „mo-

tory socjalizmu” ożyły i pozwoliły owocować marnotrawionej obecnie polskiej pracy. Gdyż Znasz-li ten kraj? wolno nazwać kroniką marnotrawstwa pracy milionów Polaków, którzy w trudnych warunkach odbudowali swój zdewastowany straszliwie kraj i chcą w nim w ćwierć wieku od zakończenia wojny po ludzku żyć.

Wszędzie na świecie ceni się niezmiernie wysoko polskich uczonych, inżynierów, techników, lekarzy, specjalistów, w ten czy inny sposób wypchniętych z kraju ojczystego; tam gdzie emigracja ma charakter masowy, jak na przykład w Anglii, polski robotnik jest synonimem doskonałego i sumiennego robotnika; słyszy się wciąż o przykładach polskiej pomysłowości i przedsiębiorczości na obczyźnie. Czyż trzeba lepszego dowodu, że polska praca jest bezradna i niewydajna tylko w warunkach które ją skazują na dreptanie w miejscu?

Nie ma powodu ukrywać, że odrobinę ironiczny tytuł naszej książki skierowany jest przede wszystkim do Polonii zagranicznej, odwiedzającej tłumnie ojczyznę. Niech przynajmniej, dzięki temu czarnemu przewodnikowi napisanemu całkowicie w Polsce, stara się bez różowych okularów spojrzeć na nieznany kraj rozkoszy wakacyjnych i wizyt rodzinnych.

Rozdział Pierwszy

OBLICZE DNIA

DAJ MI UDO

Stoi na stacji lokomotywa, niewielka nie wzbudzająca szacunku. Wokół ludzie drobni zagonieni, niepozorni, czekają na tę chwilę, gdy parowozik szarpnie wagony i zacznie się ostatni etap ich codziennej wędrówki, dom — praca — dom. Lokomotywa jest niewielka, nieduże są także wagoniki z małymi platformami podskakującymi rytmicznie na torach w takt stukotu kół. Ciuchcia! Ciuchcia podmiejska Warszawa-Radzymin. Obok perony kolei normalnotorowej, elektrowozy, megafony zapowiadają przybycie, spóźnienia, tu przy torach nieopodal ulicy Świerczewskiego wszystko odbywa się bezgłośnie bez żadnych szykanów. Peron, mimo że dotyka niemal dworca Wileńskiego, zwie się Warszawa Targowa. Daleka krewna z głębokiej prowincji, rodzinne pętychle.

Siedzę w małym wagonie przy oknie pozbawionym szyby. Kikut ramy nie stanowi przeszkody dla smrodliwości dolatujących z pobliskiej toalety. Wagon jest pełen ludzi znużonych jakich pełne są tramwaje, autobusy w czasie długich godzin popołudniowych. Czytam relacje o tej kolejce; pierwsza to idylliczny opis zamieszczony w Stolicy: *„Pasażerowie i pracownicy linii radzyńskiej to jakby rodzina. Ci sami ludzie spieszą codziennie do pracy w Warszawie — tak jest od lat dziesięciu, dwudziestu i więcej, dwadzieścia lat wynosi średni staż pracy kolejarzy na tej linii. Wolno jedzie pocziwa kolejka przez miasto z szybkością 15 km na godzinę, za miastem rozkręca się do 35 km. Pasażerowie narzekają, że za bardzo się wlecze, że dymi i parska, że zaściankowa i nienowoczesna — ale może właśnie dlatego starcza czasu na wzajemną życzliwość, dobre słowo i przyjacielskie pozdrowienie”*.

Siedzę w małym wagonie. Czekam na dobre słowo. Na razie wczytuję się w relację chropowatą, pozbawioną idylli, lecz na

pewno prawdziwą, bo wybraną z pękatej teczki raportów konduktorskich. „Pełniłem służbę na poc. 1042. Na peronie i w pociągu były liczne grupy podpitych chuliganów, śpiewali, rzucali obelgi, posyłali serie najbrzydszych słów. Kiedy dyżurny dał sygnał odjazdu, chuligani zahamowali pociąg podwójnie... Pomocnik maszynisty odłączył przewód hamulca i pociąg ruszył z dwoma wagonami zahamowanymi. Chuligani szumieli po pociągu zrywając hamulce w tylnych wagonach. Przed stacją Słupno obrzucili pociąg kamieniami z obu stron, wybili dwie szyby. Na stacji Słupno zerwali czynne hamulce i powyskakiwali, część ich pozostała w pociągu. Kiedy ruszyliśmy ponownie, obrzucili pociąg kamieniami wybijając jeszcze jedną szybę. W pociągu powstała panika, pasażerowie chronili się poniżej szyb. Przy przechodzeniu przez ciemny pomost, jeden z pijanych chuliganów chwycił mnie za kieszeń mówiąc: „no dziadu dużo masz pieniędzy”.

Jak więc jest naprawdę? Rozglądam się po wagonie, nic specjalnego nie dzieje się. W Warszawie zresztą jest najspokojniej, tłumaczono mi, boją się strażników kolejowych, którzy pilnują. Za Drewnicą dopiero się zacznie. Pociąg ciuchcia, jedzie, ulicą, smrodzi i gwizdże, nic ciekawego, zwyczajna jazda, tyle że nie ma żadnej rodzinności, jeśli nie liczyć kłótni między matką i córką. I tyle i nic. Powoli zmierzcha; małe podmiejskie pokraczności architektury sobotnio-niedzielnej znikają już w zmroku i już Pustelnik. Wychylam się za okno, by zobaczyć co się dzieje i w tym momencie czuję bolesne pstryknięcie w nos i słowa: schowaj dziób, podobnie zostaje przywitany mój sąsiad, starszy człowiek, który bez specjalnego zdziwienia masuje swój nos mruzcząc nieśmiało: o psie krwie. Na peronie coś się dzieje. Grupy młodzieńców kilkunastoletnich ocierają się o siebie, pokrzykują, przeklinają, witają. Trzy ławki dalej, tam gdzie siedzą dwie dziewczyny, ktoś z peronu zuchowato wali dłonią w szybę, i krzyczy: cipcie chodźcie z nami. Trzech zapijaczonych w sąsiednim pociągu, który przyjechał od strony Radzymina, nie wiem dlaczego spoglądając na mnie ryczy: Daj mnie udo daj mnie udo, ja ci z uda zrobie cudo. Gdzieś słychać brzęk rozbijanych szyb. Straszno. Nie mam czasu dokładnie wsłuchać się w tekst, bo oto dwóch dżentelmenów po metr osiemdziesiąt każdy wkracza do naszego wagonu śpiewając rażno: „ona trzyma a ja pcham, ona woła”. W wagonie robi się gorąco, rozglądam się nieśmiało, sąsiedzi pospuszczali głowy, nikt nie chce się narazić, nie chce wpaść w oko. Nowi, na szczęście nie zatrzymują się u nas na dłużej, szukają widać ciekawszego wagonu. Wychodząc tylko jeden z nich udaje, że się wywraca, niemalże zwala się na dziewczynę, podrywana nie tak dawno z peronu. W ostatniej chwili jednak łapie się ręką

oparcia, po czym gładząc ręką, ładniejszą z dziewcząt mówi: nie bój się, ja sam w strachu i wychodzi.

Wychodzą, a pociąg rusza. Na szczęście — myślę. Jakie to jednak szczęście, skoro wsiadają chłopcy z Pustelnika. O nich to kilka dni temu leciwy konduktor z kolejki mówił, w głowie nie książki, nie kina nie teatr mają, a tylko kolejkę, a Alpagę patykiem pisaną, a kolano, a mojkę do żyletkowania. — To ich świat, to ich życie. Im to więc w znacznej części poświęcone są te raporty: „*Na szlaku Pustelnik-Struga obrzucono kamieniami pociąg osobowy. Wybita szyba, odpryski szkła zaproszyły oczy pasażerowi. Na szlaku Pustelnik-Marki został obrzucony przez nieznaną sprawców pociąg, na skutek czego wybitych zostało jedenaście szyb. W wagonie trzecim przed przystankiem Pustelnik I została wszczęta walka między dużą grupą łobuzów, w wyniku której jeden z nich został pobity nożem*”. Ich kolejka, ich świat wolny od reguł obowiązujących w świecie ludzi spokojnych. Oni znudzeni zwyczajnym życiem tu szukają mocnych wrażeń, tu tworzą środowisko chuligańskie, kryteria własnej lumpowskiej moralności. Uginają się tylko przed siłą, tam gdzie zabraknie silniejszego, rządzą się według swego widzimisię.

Właśnie. Stoimy na stacji w Strudze. Wsiadło kilku wyrostków; snują się w wagonach, szukają swego; czegoś dla nich. Szukają. Dziewczyna, pechowa, z mego wagonu przeżywa swą trzecią próbę; nieopatrznie wychyliła się przez okno. Wystarczyło. Jeden z szybszych snujących się, nie przepuszcza okazji, cichcem nie czyniąc rumoru podbiega do niej i wali ją otwartą dłońią w odkryty pośladek. Odwracając się dziewczyna widzi wykrzywioną, ponurą gębę i słyszy słowa: raz dwa trzy moje szczęście. Ale zgrywus, słyszę słowa. Zgrywus stoi i śmieje się śmiechem dźwięcznym, triumfującym. Czeką na jakąś reakcję na coś, co by stworzyło okazję do tego czegoś. Bo gdy człowiek wsiądzie tak do ciuchci, by jechać, to nie chodzi mu o jazdę zwyczajną, jazdę bez wrażeń, mdłą i nudną. Śmieje on się lecz nic z tego śmiechu nie wynika. Dziewczyna, bez słowa, obciągając sukienkę, siada.

— No więc co? — pyta zgrywus, głosem złym, prowokującym. Gdy widzi, że okazja — to coś, na co się czeka — wymyka się z rąk, że z tego nic, ale to nic, odwraca się tylko i mówi złym nienawistnym głosem. — Ale zdzira. Zdzira — powtarza już głośno, by nasycić się swą przewagą, świadomością, że jego jest na wierzchu.

Jego na wierzchu. Gdy wyszli słyszę słowa starszej kobiety: a po co to noszą takie krótkie spódnice? Jak to co pan Bóg stworzył dla męża tak obnosi na wierzchu to chłopcy korzystają.

Jak takie głupie to mają. Mają. Reszty już nie słyszę. Reszta ginie w stukocie kół. Ginie. Przypominam sobie rozmowę sprzed kilku godzin.

— Ja się boję. Nie przesadzam, po prostu boję się o własne gnaty. Człowiek swoje robi zważając, by nie oberwać. Tak, jakoś z nimi musimy ułożyć swe stosunki, Pan Bóg wysoko, milicja daleko i bądź tu człowieku mądry. Konduktorzy! Na ich barkach tu wszystko. — A oni, ci chuligani, mówiono wtedy, sumienia nie mają. Tu na kolejce mają swój chuligański uniwersytet, gdy się sprawdzą na tych 23 km toru, to dopiero potem szukają szczęścia gdzieś na prawdziwym bandyckim szlaku. A tu rajzują i kłamią jak szewcy. I nie ma na takich sposobu. Ale jak ma być gdy nauczyciele załamują ręce. Mam takiego jednego profesora znajomka — tłumaczy jowialny żwawy konduktor — to go pytam: jak wy to wychowujecie tę młodzież? Co drugi magister, albo przynajmniej z maturą w kieszeni, a chuligan. Ja z rodziny półanalfabetów przedwojennych, ale uszanowanie dla starszych miałem. Wiedziałem, kto starszy to mądrzejszy. Nie tylko czapkę pierwszy zdejmowałem, ale jeszcze rację przyznawałem. „Kochany, odpowiedział mi na to profesor, a cóż my możemy. My nic nie znaczymy. Jak dwóję postawię takiemu to dyrektor w szkole objedzie. Mało tego, bo jeszcze powiedział, że rodzice chcą takiemu profesorowi zęby wybić. Panie, oni tu takie bandziory, że jak wczoraj jechałem to sam słyszałem gdy taki stary się chwalił: po mojego jak przyszli gliny to ich pobił. To on z tego honor ma. To jak z takiego ma wyrosnąć człowiek co by miał uszanowanie dla starszych, dla władzy. To co ja mam się narażać. Mnie moje stare gnaty miłe.

— No i co, boi się pan? A mundur, a prawo co za panem stoi?

— Złociutki, prawo? — wybucha śmiechem. — To oni tu są takie, że naprawdę strach. Jak niedawno jechałem, to uderzyli milicjanta i gdyby nie ja, to by go dobili.

Prosił mnie on, władza, żebym go samego nie zostawiał, bo go dobiją do reszty.

Dobiją do reszty! Właśnie. Kroniki kolejki pełne są dramatycznych zapisów. „Po zatrzymaniu się pociągu na stacji Słupno jedna z pasażerek wołała mnie przeraźliwie, by szybko biegnąć do wagonu. W końcowych wagonach chuligani usiłovali wyrzucić konduktora z pociągu. Gdy wskoczyłem do wagonu zobaczyłem go szarpiącego się z chuliganami”... Albo... „Ja na drugim wagonie chwyciłem jednego z chuliganów w chwili, kiedy spuszczał powietrze z kranu hamulcowego. Wiek około 18 lat, w wiśniowym swetrze, ten mi się wyrwał i wskoczył na drugi pomost.

Po chwili pociąg znów stanął zahamowany. Chuligani z obu stron pociągu krzyczeli: *który to s... syn niech tu wyjdzie. Jeden z nich rzucił do mnie kamieniem wagi około pół kilograma nie trafiając mnie*". Albo... „Pociąg został zahamowany przez jakichś osobników, została wszczęta bójka w wagonie. Ja z konduktorem pobiegliśmy do tego wagonu, ażeby nie dopuścić w tym wagonie do pobicia szyb lub uszkodzenia mienia państwowego. Ci uczestnicy bójki zwrócili się zaraz do nas z pięściami ja zostałem uderzony w brodę, aż mi zerwał naskórek, natomiast konduktora uderzył drugi i porwał na nim koszulę. Po tym całym zajściu, ci dwaj osobnicy zaczęli bić szyby w całym składzie, gdzie zostało szyb wybitych sztuk 9 na ogólną sumę złotych 1196". Im się nie udało, słyszałem wyjaśnienie, dostali po dwa lata, bo ich rozpoznał konduktor.

Rozpoznał. Świadomość tego, co tu się od czasu do czasu dzieje, uszytywnia mnie. Właśnie jesteśmy na stacji Słupno. Stacja jest ciemna jak noc, słysząc tylko jakieś ryki dochodzące spod drzew. Ktoś dla kurażu pokrzykuje na melodię nieokreśloną: Chuliganie są to ludzie tacy, co to lubią innych łać po glacy. Podobą się, bo słyszę słowa dobre, dobre. Z innego kąta słyszę opowieść: nas było dwóch, a ich trzech, Jasiek mówi ja biorę tych dwóch z prawej. Wiesz jakiego Jasiek ma kopa? — No — słyszę na potwierdzenie. Gdyby teraz, zechciało im się spróbować zmierzyć na przykład ze mną na kopy, myślę lękliwie. Cywilizowany świat kończy się metr od wagonu, tam gdzie kończy się smuga światła rzucana przez lampy, nie wiedzieć czemu jeszcze świecące się w wagonie. Na szczęście pociąg rusza, słyszę więc tylko okrzyki — Jest u was SOK? — Nie ma. No to łapcie się. I już wskakują, by się podwieźć do Radzymina. Nastrój autentycznej grozy opanowuje nas w wagonie. Gdzieś słysząc odgłosy tłuczonego szkła. Weszło czterech, rozejrzeli się po wagonie i usiedli nieopodal.

— On mnie neptek, uważasz, taki Cygan z Pustelnika, chciał przez głowę — słyszę. A ja jak się nie uchylę i mu nie dołożę, to tylko się zwinął. Jak się podniósł to spieprzał, że nie wiem. — Ja go w limo to prawie mu wypłynęło. — Ja go przez łeb. — Jak nie skoczę. — Jak nie rypnę.

Krzyżują się relacje pełne ich przewag. I tak chwile mijają. I już Radzymin. Cztery tory, dwa składy, przyklepione niemal do siebie.

Ruszamy z powrotem. Stopnie oblepione, jak szarańczą kilkunoletnimi chłopakami. Na razie są za mali, by włożyć majcher za cholewę, bądź mojkę za pazuchę. Na razie szkolą się we wskakiwaniu i wyskakiwaniu z pociągu. A starsi, mistrzowie? Oni tak:

wskakuje się w Radzyminie, żeby podjechać do Słupna, albo do Pustelnika, rozbić ze dwie szyby, zatrzymać pociąg, lub kogoś nasunąć i zabrać się z powrotem pociągiem, który miją się w Pustelniku z warszawskim. I w łeb, w dziób, kopa i nożem i chodu, by znowu popamiętał. I zgrywa i glina goni, a potem znowu i skok. Właśnie czytałem: „Grupa chuliganów zaczęła buszować po wagonach. Jednego udało nam się złapać i zaprowadzić na posterunek, to jeden z funkcjonariuszy obciął mu grzywę i puścił. Ten sam chuligan zaraz jechał z nami z Radzymina do Warszawy i za to żeśmy go dali na komisariat zahamował pociąg między Strugą a Pustelnikiem i wybił dwie szyby jedną drzwiową, a drugą okienną...”.

Tak, ręce opadają — słuchałem konduktora na Targowej. Gdyby to ode mnie zależało, tłumaczył, to bym szyby okienne pozabijał dechami, a drzwiowe blachą. Niechby tak siedzieli. To szkła do szklenia brakuje, w warsztatach nie nastarczają. Rocznie to nieraz i przeszło 1000 szyb trzeba wymienić. Te wagony po miesiącu od przyścia z warsztatów to rudera. Teraz, gdy zamawiamy, to prosimy by były bez luster w toaletach, bez kranów, bo wodę rozlewają i tak jeździmy tymi widmowymi pociągami, ciesząc się z każdego dnia, który zdrowo przeminął.

O to zdrowie trzeba walczyć. W teczce ich raportów znajduję dramatyczny apel — prośbę jednego z kierowników pociągu sprzed dwóch lat. „Panie zawiadowco prosilibym o rozpatrzenie sprawy, która jest dla nas wszystkich bardzo drażliwa i pilna. Teraz jest lato i odbywają się zabawy, a przeważnie chodzi o IRadzymin. W dniu tym kiedy jest zabawa w Radzyminie, to my jako obsługa naszych pociągów 1942 i 1044 jesteśmy bezsilni, zostajemy na pastwę chuliganów. Nie mamy pomocy, ani od pasażerów, ani od milicji. Prosimy ażeby można było dać pomoc, albo zlikwidować zabawy w Radzyminie”. My wobec band jesteśmy bezsilni. Słyszałem. Nieraz jak zbierze im na miłość, to ciągną dziewczyny z pociągu. Ja nie wiem jak te matki puszczają córki, wieczorem do tej naszej kolejki.

Puszczają. Właśnie wchodzi do wagonu młodzieniec postury Frankensztajna. Szoruje głową niemal po suficie i dla kuraażu, czy też z potrzeby naturalnej zatacza się w wagonie. Dostaje trzy dziewczyny. Wskazuje je ręką, jakby wytyczał sobie cel i idzie wprost do nich. Widzę, jak dziewczyna siedząca twarzą do mnie najwyraźniej błędnie. Frankensztajn jednak okazuje się dżentelmenem, bowiem każdą w rękę całuje po staropolsku. Bawi je tak przez chwilę rozmową, po czym zdenerwowany, być może słabymi postępami, czy też dla zasady, by się dobrze pokazać,

mówi: światło jest za ostre. Wstaje i niczym stary kolejarz kieruje się do szafki oświetleniowej. Wyciąga zza pazuchy nóż i... w wagonie robi się ciemno.

— No, teraz już jest dobrze. Nie? — mówi do dziewcząt śmiejąc się gromko, najwyraźniej zadowolony z siebie. Dziewczęta jednak nieukontentowane nim wysiadają w Strudze. No co, mówi, przesiadając się do mnie, może świeżego powietrza nałapiemy — pyta. To mówiąc, pociąga za hamulec. Nie denerwując się wcale sykiem i piskiem siada naprzeciwko mnie, by bawić rozmową. Po chwili gdy przybiega zdyszany konduktor chętnie udziela informacji, kto był sprawcą zajścia.

— Taki mały skurwiel. Niech pan go łapie, daleko jeszcze nie mógł odbiec. Rudy był. — Konduktor spogląda bez zaufania na mego sąsiada, lecz nie mając widać ochoty na merytoryczną dyskusję po włączeniu światła, które widać ten sam skurwiel wyłączył, bez słowa naprawia hamulec. Pociąg rusza po kilku minutach, a mój sąsiad częstuje się moim papierosem. Można paczkę zatrzymać, no pożyczyć, pyta się. Dlaczego wracasz tym samym pociągiem? Czy ty aby nie z mendowni? Dobra i tak się ciebie nie boję.

— Ale dwie dychy to pożyczysz nie? Mówiąc te słowa wpatruje się we mnie dziecięco-serdecznym spojrzeniem. Gdy daję, pyta się. — Co nie jesteś ciekawy na co mnie to.

— Na papierosy pewnie — grzecznie mówię.

— Sram na twoje dwie dychy, ale je wezmę — odpowiada. Jest wyraźnie znudzony moją uległością. Czy ty jesteś chłop czy baba? — pyta w końcu rozzłoszczony. Na szczęście jest już Pustelnik i samotna kobieta wsiada do wagonu. Mój natychmiast przenosi się do niej, siada naprzeciwko i pyta wystarczająco głośno, bym usłyszał. — Podobam ci się? Głowę oparł na łokciu, który trzyma na stoliku i patrzy się na dziewczynę dobrotliwie, niemal prosząco.

— Niech pan da mi spokój — słyszę w odpowiedzi. W tym momencie przypominam sobie opowieść o torebkowcach, grasujących na tej linii. Rozmawiają, by niespodziewanie zabrać pieniądze, a torebkę wyrzucić na szosę, za tory. Czasem rano można znaleźć kilkanaście takich toreb, zapewniano mnie. Z takim — zastanawiam się — sztuka konwersacji w wagonie jest doprawdy trudna. Nagabywana kobieta nie może być obcesowa, nie towarzyska, nie może także dozwalać na zbyt dużą poufałość. Nie może. Frankensztajnowi wiele nie trzeba. Po chwili słyszę, jak pyta: — chcesz mnie. No powiedz, czy chcesz mnie?

— Daj spokój, za co mnie bierzesz. Jaka kobieta po tak krótkiej znajomości udziela odpowiedzi. Rozmowa tak prowadzona

trwa długie minuty. Lecz zbliża się już Warszawa. Dotarło to też widać do jego świadomości, bo staje się obcesowy.

— No jak, to tylko tak chłodno — mówiąc to bierze dziewczynę za głowę, usiłuje ją gładzić, pieścić. Odrzucany traci humor i syczącym głosem pyta.

— To teraz idziemy razem. — Są w słowach tych pewne elementy groźby. — Tak, idziemy — mówi dziewczyna — każdy w swoją stronę. Już są perony, już jego przegrana. Słucham tylko ostatnich gróźb, brzmiących zaledwie żałośnie wśród świateł peronu końcowego. — Chodź, bo cię przyuważę kiedy indziej. No idziemy — mówi jeszcze raz po wyjściu z wagonu próbując położyć swą ciężką dłoń na jej ramieniu. Gdy prosi tak, prosi naprawdę, wygląda jak bezradne dziecko domagające się upatrzonej zabawki. Lecz są już sokiści, są już ormowcy. Więc chowa się w czerń nocy, by cichcem, bokiem powrócić tam, do tego królestwa ludzi o twardych pięściach. Patrzę na nich, znużonych konduktorów, pasażerów i jego powłóczącego nogami, wyrośniętego chuligana. Idę ciemną ulicą Targową, która teraz wydaje mi się środkiem Europy iluminowanym tysiącami lamp. I teraz gdy piszę te słowa nawet nie nawołuję do likwidacji tej kolejki i zastąpienia jej, zgodnie z obietnicami, autobusami. Nigdy nie uważałem, że bez wojowania z przyczynami, można zwalczać skutki. A swoją drogą żał mi pasażerów, konduktorów i milicjantów. Jednych jest za dużo, drugich jest za mało. Czyżby więc tylko byli skazani na czekanie, liczenie na dobry los? Wielką uzdrawiającą grandę, po której nastąpi uspokojenie.

Janusz ROLICKI

Kultura, Warszawa, 28 września 1969

Smutny, deszczowy dzień nad Kocuniem przesnuł się prawie niedostrzegalnie, zawadzając chmurami o dachy.

Na rynku stoi oszklona gablota, teraz jednak bez szkła, ponieważ w roku ubiegłym konsument wychodzący z mieszczącego się naprzeciw baru „Jutrzenka” potknął się i uderzył fizjognomią w szkło, powodując straty na sumę złotych 143,58, oraz tracąc oko. W gablocie wisi barwny plakat, przycinany deszczem. Plakat reklamuje wieczorny występ Dzikusów, ale nikt się przed nim nie zatrzymuje, nikt nie czyta. Po co? I tak wszystko wiadomo. Starali się o Dzikusów od pół roku. A już wiele tu było zespołów. I zawsze, jak który przyjeżdża, to gra w kinie. I zawsze o dziewiętnastej. I zawsze w środę, bo wtedy kino nieczynne, operator jedzie do powiatu po taśmy z nowym filmem. I zawsze bilet kosztuje trzy dychy. Więc po co stać przed plakatem i moknąć? Na moknięcie przyjdzie czas wieczorem.

I przyszedł. Gromadki pokulonych młodziaków, starających się skryć jak najszczelniej w kusych płaszczykach przemykają uliczkami, pospiesznie łączą w większe grupy. Pod kinem tłok. Mimo deszczu, w samym tylko mundurze, godnie i powolutku przechadza się pan milicjant. Biała pałka błyszczy od wilgoci, młodziaki popatrują na nią z ukosa, bo przecież i ona, jak co do czego, może stać się przyborem perkusyjnym.

Stoją, mokną, czekają.

Niezbyt wielu podchodzi do kasy, by kupić bilety. Trzydzieści złotych to dużo. Nie każdego stać. Małe dzieciaki popiskując pętają się między starszymi. One też chcą zobaczyć Dzikusów. Ba, kto by nie chciał. Tylko wapniaki nie. Ale normalni ludzie, żeby mogli, to sami by chcieli być takimi Dzikusami. Ale nie każdy może. Sama aparatura ile kosztuje. No i prócz tego trzeba trochę

umieć grzać po strunach, ale to mniejsza. Aparatura i tak z wszystkiego robi cudo, zagłusza braki.

Ale te trzy dychy. Cóż tu ukrywać, nie ma.

Do koncertu piętnaście minut. Więc takie dialogi:

— Zenek, Zenek, kopsnij śluga do pasera!

— Na razie to brzuch mnie boli.

W tłumaczeniu na język ogólnie dostępny znaczy to:

— Zenek, poczęstuj mnie papierosem...

— Przyznam się, że nie mam na to ochoty.

I dalej:

— Sztukana mowa dla tej pani.

— Ta pani ma psa.

— Orięęętuj się, frajerku.

— Bo ci pajdę dadzą, aż ci się rylak nie zamknie.

— Pa, pa, popa, ale kit!

— A ja ją na gajgi, na tangulec...

— Ewęęętułalnie...

Tego już tłumaczyć nie należy. Jaka sztuka, taka publiczność. Jaka publiczność, taka sztuka. Pan kierownik Hyrczak wygląda przez okienko nad sinym neonem i zaciera ręce. Pięćset miejsc na sali, jedno miejsce trzy dychy. Razem piętnaście tysięcy. Muzykanci z tego biorą po trzysta, razem wezmą dwa sto, bo siedmiu ich, technik od aparatury stówę, sala darmo, jeszcze się organizatorzy prosili... Tyle zysku, tyle, a to już trzeci koncert dziś. Rzecz jasna, prawie wszystko pójdzie do centrali, ale dla pana Hyrczaka też jakiś procencik polecą. I prócz tego tantiemy przez Zaiks za każdy wykonany tekst. Dobrze jest, myśli sobie pan Hyrczak i zaciera radośnie myślątką. Dobrze.

A na dole, za oknem, ulica mokra. Słuchacze i widzowie zameldowani na pobyt stały w Kocuniu konwersują dla zabicia czasu, skoro czego innego nie można:

— Lulaj, perło.

— Turlaj się bokiem.

— Uważaj na grypę, bo trynia podłapiesz.

— Cztery morgi kalafiora i manko.

— Na razie to chwileczkę, ktoś mi zap... teczkę.

— Daj się lubić, Lalucha, prędzej ci życie zleci.

— Szumisz, jak dzik w tataraku.

— Jaka jest twoja rozmowa.

— Mów do rymu, będzie dużo dymu.

— Rym cym cym, duży dym.

— Daj mi udo, ja ci z uda zrobię cudo.

— Albo się udo, albo się nie udo.

— Grać, bo w nać.

- A jjjaka jesss twoa rrrrozzzmoa.
- Wiochna, barszcz ci do butów płynie.
- Kapcie jak kajaki, myśli, że Teliga.
- Starego pod włos, a starą na skos.
- Nie szum, hipis, bo wykipis.
- No jaka jest twoja rozmowa, albo rower, albo krowa.
- Ty wolisz „No to co”, ja wolę no to kogo.
- No to jak?
- Hak ci w smak.

I tak dalej, bo właściwie można bez końca, ale zaraz koncert.

Za kurtyną na wąskiej estradce pod ekranem ruch gorączkowy. Dwa lśniące gigantofony marki Vox (za dolarki, wyłącznie) ustawił po obu stronach pan technik, ten za stowę. Mała płataninka kabli od gitar już podłączona do kontaktów. Janusz Macoń przy mierza się do gitary wiodącej. Fred Kiszka do basowej. Krótkie „frenazyjne”, jak on to mówi, uderzenia w perkusję wydziela Jacek Przydech. Delikatne, osobiste dmuchnięcia w mikrofon stosuje Darry Pitek. Z sax-barytonem zawieszonym na szyi podchodzi do mikrofonu Wojtek Morda.

— Posuń się, Darek — mruczy do Darry’ego Pitka. — Ja także samo chcę spróbować.

I próbuje, wszyscy po kolei próbują, bełkot i jazgot leci przez Voxy na salę, która powoli się zapełnia.

Zapełnia się, ale nie całkowicie. Rzec można: połowicznie. To tylko kwestia nerwów — albo się złamać, podejść do kasy i wywalić trzy dychy, albo wyczekać do ostatka aż się stary pan Józef, zwany Belfegorem z powodu małej twarzy i długich do kolan rąk, pierwszy złamie i tuż po zaczęciu grania wpuści wszystkich, czekających cierpliwie, za darmo. Bo pan Józef nie znosi, a to jest cechą rasowego kulturowca, żeby kino było pustawę. Żeby się piękna idea imprezy marnowała, nie docierając do szerokich rzesz. Więc kiedy już widzi, że impreza w toku, a miejsc wolnych połowa i nie ma nadziei na sprzedanie większej ilości biletów, tym bardziej że kasjerka mrusząc: „tak że samo jestem człowiekiem i także samo mam dom” zatrząskuje okienko przy pierwszych huknięciach z sali — pan Józef uchyla wierzęje wiodące w czarodziejski i czarowny niebiańskich dźwięków świat.

I wszystko, co nie miało forsy, a za to miało mocne nerwy, wchodzi teraz na salę, potrącając się, pchając, tupiąc, szeleszcząc ortalionem i kwicząc.

Aparatura pracuje. Drżą papierowe lampiony, z girland bibułkowych sypie się kurz na głowy długowłosych szatanów. Może i pęka tynk, może sufit się łamie, tego nie widzi nikt. To się okaże jutro, ale jutro okaże się, że nic nie było, wszystko wisi

jak wisało, zwisa jak zwisało, girlandy gną się spokojnie, odbarwione kurzem.

Decybele biją po głowach, wałą w uszy łokciem, otwartą rękawicą z tyłu, z góry i z boków. Wszystkie normy i zasady sportu leżą w gruzach. Do muzyki tego przyrównać nie można, ale do boksu także nie. To histeryczna szamotanina hałasu, ustokrotniona dolarową aparaturą. Nie wie nikt, co teraz wie dzie gitara wiodąca, co basuje basowa. Nie wie nikt, co grają saxy i trąbka. A po co to komu potrzebne. Dźwięki jak kostki granitu pchane potężnym ciśnieniem wałą w salę, granitowa Niagara. Na ułamki sekund wyblyskuje z topieli miauczenie organów, ale ginie przywalone prądem.

Prądem. Znaczy: elektrycznością. Dzikusy włączeni pod prąd. Nie mogliby nic, gdyby nagle popsuło się światło. Ich głos nie dotarłby nawet do pierwszych rzędów. Po prostu dlatego, że nie mają głosów. Że są kiepskimi instrumentalistami. Że mają opanowane parę gitarowych chwytów, i nic, absolutnie nic poza tym. Technika stwarza artystów. Produkuje ich w coraz większych ilościach. Przyzwyczajają odbiorców do fabrycznego standardu sztuki, tak jak przyzwyczała do kupowania ubrań w pedecie, jak przyzwyczała do pracy przy taśmie.

Seria, norma, standard. Dobrze być jednym z miliona detali sunących po taśmie. Bo inaczej skąd by się wiedziało, że się jest?

Przytupują. Rozdziawiają gęby. Trzęsą głowami. Sala wypełnia się wonią wilgotnych ubrań, przekwaszonych winem oddechów i brudnych skarpetek. To wszystko zmieszane z chemicznym zapaszkiem płaszczykowych laminatów. Głowy, głowy, wyciągnięte szyje, otwarte usta. Chłoną, żrą ten hałas, choć właściwie nie wiedzą po co, i czy naprawdę to im się podoba. Można zapytać:

- W deche.
- Grzeją jak trza.
- Cza du nie ża lują.
- Po kiju.
- Gites.
- Ano jaka rozzzmowa.

No jasne, jaka może być rozmowa. Gites, myśli sobie pan Hyrczak, popatrując zza kulis bocznych na scenkę. Ciaćki się sypią. Bo już Darry Pitek przytula do swej twarzy mikrofon czule, jak mordkę ukochanego psa, na tyle jednak zachowując dystans, by go ta mordka nie ugryzła, i wrzuca cenne polskie złote do pończochy pana Hyrczaka, jednocześnie wyciągając je z kieszeni oszołomionych słuchaczy. Transfer nie ma nic wspólnego z kradzieżą, jest abssolutnie legalny i dziecinnie prosty. Wystarczy zweryfikować się, zarejestrować, wejść w posiadanie Voxów, nauczyć się

przerzucających forszę zakłęb i następnie wyszeptywać je prosto w mordkę mikrofonu, a prąd już z tego robi sztukę, i śpiew, i legalność i wywoła chwilowe wrażenie obustronnego zaspokożenia.

*„Kaman bejbi, kaman bejbi,
Czar swój ze mnie zdejmij...”*

— Kaman, kaman — powtarza sala za Darry'em Pitkiem, a forsa turla się za kulisy.

Wojtek Morda atakuje na ludowo, więc po góralsku, bo wiadomo, że dla bitu lud, to tylko górale. I Wojtek Morda szepcze białym szeptem, a prąd z niego już robi żwawego juhasa na hali:

*„Ewrybady, ewrybady,
Kogut kurze nie da rady!
Iiiuchuuu!”*

— Iiiuchuuu! — krzyczy sala, i śmieszne pomyśleć, że jak pójdą do domów, to większość z nich nie umyje zębów i nóg, a Wojtek Morda to nawet rąk nie umyje, bo on w ogóle nie lubi się myć, a stać go na to. Buty zawsze czyści hotelową firanką. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? A jeśli tak, to dla kogo?

*„Nad bacówką gazdy
Zabłyśły trzy gwiazdy!
Z dala słychać gwizdy,
To nadchodzą...
Heeej!”*

Jedną z podstaw dobrego tekstu bitowego jest dowcip, powtarza często pan Hyrczak. Nie natrętny, wulgarny, nie wprost, ale operujący niejako parabolą, paralełą, metaforą czy omówieniem. Dowcipny tekst, powtarza stale pan Hyrczak, niesłuchanie ubarwia muzykę i szalenie pobudza reakcje publiczności, a także daje kapitalne szanse wykonawcy, oraz jest piekielnie wdzięczny dla kompozytora. Słowem, często staje się źródłem oszołamiającego sukcesu.

Wszystko ma swój koniec, dziewczyno — jakby powiedział Hyrczak z właściwym mu dowcipem. Ale wszystko jest dobre, co się dobrze kończy. A koncert skończył się dobrze, bo spokojnie. Nie miał wiele pracy pan milicjant, towarzyszo rozeszło się dość szybko, padał deszcz.

Aparaturę zdemontowano (technik za stówę), muzykanci wyłączyli się z sieci, przebrali w prywatne stroje, kolorowe rubaszki

pakując do walizek, następnie poszli do knajpy na kolację, ponieważ noc mieli spędzić w miejscowym hotelu.

Podczas gdy artyści spożywają skromną wieczorną wódkę, w ciemnej bramie hotelowej czają się trzy zziębnięte stworzenia płci żeńskiej. Stworzenia są bardzo młode, ale już z pewnym stażem w hajlajfie, a jedno z nich wykazuje godną podziwu inicjatywę i spore obycie, pukając co kilka minut do rozeschniętych, pozbawionych klamki drzwi. Kiedy w szparze światła pojawia się półprzymiotna głowa kogoś w rodzaju portiera, stworzenie dyga grzecznie i słodko, ekranowo modulowanym głosikiem pyta:

— Przepraszam pana uprzejmie, czy są już panowie Dzikusowie Siedemdziesiąt?

Niestety. I znów panów Dzikusów nie ma. Trzeba czekać, a choćby i trzy godziny. Kiedyś przecież muszą pójść spać, a smutno będzie im samym w starych hotelowych łóżeczkach, panom Dzikusom, prawdziwym żywym artystom. Więc poczekać obowiązkowo należy.

— Wiesz, Dżina — rozlega się szept w ciemnej bramie — ten, co na perkusji gra, to ja z nim w zeszłym roku, jak tu byli...

— Głupoty sadzisz — denerwuje się drugi szept — w zeszłym roku to byli inne Dzikusy, sześćdziesiąt dziewięć, a te są siedemdziesiąt...

— No to co, ale ten, co na perkusji, to stale gra. On ma taką brodę, że bym go wszędzie poznała.

— Ja dla ciebie źle nie chcę, Klaudia — wtrąca trzeci szept — ale brody oni mają wszyscy jednakowe, i to na pewno był całkiem inny Dzikus...

Klaudia milczy chwilę, speszona.

— A zresztą, co to za różnica — odzywa się z determinacją. — I tak bym się nie przyznała mu, że już... Oni okropnie nie lubią drugi raz.

Wraca z kolacji pan Hyrczak, chłopcy jeszcze zostali.

— Dziewuch tu czeka — mówi przypochlebnie portier, wręczając Hyrczakowi klucz do pokoju.

— Gdzie — pyta machinalnie Hyrczak i obojętnie rozgląda się po dyżurce.

— Eee, nie tu — ślini się portier — tu nie wolno, bo jakby kontrol moralna wpadła... W bramce czekają.

Hyrczak gestem, nacechowanym stołeczną swobodą wciska portierowi w małą kieszonkę marynarki banknot stużłotowy.

— Czekają pewnie na zdjęcia i autografy moich chłopców — mówi. — Szkoda, żeby tak marzły.

I zmierza na górę, beztrósco podzwaniając kluczem.

Po chwili trzy zziębnięte stworzenia, oślepione żarówką i blas-

kiem hotelowego wnętrza wędrują tym samym szlakiem. Portier zamyka za nimi drzwi.

Pan Hyrczak wyciąga właśnie z walizki butelkę koniaku, kiedy wchodzi.

— Siadajcie, moje małe — mówi Hyrczak ojcowskim tonem. — Najpierw należy się rozgrzać, a potem pośpiewamy sobie, może którąś z was zaangażuję na próbę do mojego zespołu, a jak będziecie grzeczne i pojętne, to postaram się załatwić próbne zdjęcia do filmu muzycznego, który właśnie będzie kręcony według mojego scenariusza...

To mówiąc nalewa koniak do plastikowej szklanki do zębów i kolejno podaje stworzeniom, które wypijają swoje porcje pośpieszonymi, pełnymi szacunku haustami. Pan Hyrczak puszcza w ruch jeszcze jedną kolejkę, i jeszcze, już wypita została następna butelka, to drogo kosztuje, ale to się opłaci, odprężyć się czasem trzeba, pan Hyrczak wie, co robi, w trali-lali bawić się i czasu tracić nie lubi, inicjatywa od początku do końca spoczywa przecież wyłącznie w jego rozumnych rękach.

Andrzej BRYCHT

Kierunki, 26 października 1969

WYRÓB SIĘ PAN!

A więc, proszę państwa, pytanie brzmi zasadniczo:... jaka jest najdłuższa część w samochodzie?... Co słyszę? Nonsens? Bzdura oczywiście. A może to „ormiański” dowcip ułożony przez amatorów motoryzacji? Skądże znowu: mam jeszcze przed oczyma tego łysawego, podtatusiałego pana, który obracając oczyma, jak sztubak, spłoniony, bąkał na egzaminie, że... może rura wydechowa, może jednak antena... — Bierz pan to na entyligencję! — upomniał protekcyjnie egzaminator. A gdy już nieszczęsny zlał się potem, stuknął długopisem w okładkę tajemniczego notesu co leżał przed nami na stole i przerzucił pytanie na mego sąsiada. Ten — chłopię długowłose, ale rezolutne — bez zająknięcia wypalił: — Cewka indukcyjna, panie... żynierze! Ku naszemu (z tym drugim podtatusiałym) zdumieniu, zde gustowana fizjonomia pana żyniera rozpogodziła się, a z jego skrzywionych jeszcze ust wypłynęło pod adresem obydwu tumanów kolejne napomnienie: — Panowie ee! Myśleć trzeba! Pod entyligencję brać! — Rozradowany długowłosey nie wytrzymał: — Jak rozwinie my uzwojenie wtórne, to długość drutu... — Długopis egzaminatora nakazał długowłosemu milczenie i tkwił już wycelowany groźnie w moją stronę: — Pan dokończy! — ...No, teraz to ja byłem dobry. Cała moja żmudnie gromadzona wiedza o najdłuższej części w samochodzie (patrz str. 85 książki Adama Słodowego: „Podręcznik kierowcy amatora”) gotowa była trysnąć ze mnie popisową fontanną. Gdybym wiedział wcześniej, że pan inżynier tak właśnie ochrzcił boguducha winną cewkę zapłonu! Jużem zbierał w płucach powietrze do rychłej odpowiedzi, gdy sztych nowy zbił mnie z pantałyku:

— Łożyska w dwusuwie i czterosuwie!

Pokornie milczałem.

— Taaak... — wycedził znacząco pan żynier i coś tam zapi-

sał w swoim notesie. — No dobra. To może pogadamy o hamulcach. Sprawdzanie, znaczy się, funkcjonowania.

— Naciskamy stopą pedał — zacząłem, speszony coraz bardziej, czując, że uszy płoną mi jak dwie róże — ... a kiedy pedał w dwóch trzecich od podłogi odbija...

— Odbija? — zdziwił się z niesmakiem egzaminator. — Komu odbija? Czym odbija? — ... — Robiony efektownie niesmak rozlał się po jego twarzy. — Jak pan zjadłes nieświeżej kapusty to panu odbija!

Rezulutny młodzieniec przypochlebnie zachichotał. Starszy trzeci pan lekliwie opuścił głowę. A ja... złożyłem panu inżynierowi cudną wiązanke kwiatów polskiej mowy, głośno zamknąłem drzwi Polskiego Związku Motorowego na Bielańskiej i — siadam do niniejszego reportażu.

Dla mnie koszmar ten zaczął się bardzo niewinnie już owego majowego dnia, gdym przekroczył próg sekretariatu na Bielańskiej:

— Pan życzy na przyspieszony? — zapytało miłe dziewczę zza biurka. I nie czekając na odpowiedź dodało: — Może być dopiero za miesiąc.

— Ile trwa kurs przyspieszony?

— Do sześciu tygodni.

— A można krócej?

— Można — odparło miłe dziewczę i spojrzało gdzieś w sufit.

— Na razie płaci pan 980 złotych.

Na razie zapłaciłem. Podziękowałem. Wyszedłem. Wróciłem po miesiącu już jako słuchacz kursu. Moje podanie o samochód leżało tymczasem w „Motozbycie”. Nadzieje na przydział były raczej nikłe. W trabanty latoś także nie obrodziło. Ale sam fakt: *siadę wkrótce za kółkiem!* — fermentował odtąd we mnie, dziwnie jątrzył wyobraźnię. Samochód — ten nieziszczalny przedmiot tyłu marzeń, ten tragikomiczny fetysz naszej lichej stabilizacji — wdarł się przemocą do moich snów, zjawiał się coraz częściej w towarzystwie przy stole, wyszydzany, chwalony, wyceniany... hipnotyzował spojrzenie na ulicy, na spacerze, w kinie, lektura gazet, słuchanie radia, oglądanie telewizji... — z każdego kąta merdał ogonkiem ów złośliwy, chochlik: motoryzacja. *Do zobaczenia w poniedziałek!* — żartowały złośliwe tytuły „Expressu” robiąc oko do niedzielnych kierowców, a poniedziałkowe komunikaty podawały: zabitych dwudziestu, trzynastu rannych, ... zabitych osiemnastu... rannych i zabitych trzydziestu ośmiu... Zagarniała i u nas swoje cotygodniowo obliczane żniwo nasza nigdzie nie wypowiedziana wojna. Wojna nieubłaganych praw przyrody i techniki z analfabetami motoryzacji, wojna zwykłego chuligań-

stwa z reżymem przepisów i społecznych nakazów. Samochód dopadł mnie akurat w ten sposób, ale może dopaść każdego z nas inaczej — po prostu: zwyczajnie na jezdni...

Instruktor przechadzał się wolno przed tablicą i także nie spieszenie prowadził swój wykład. Zaczął od sprawdzania listy. W ławkach niewielkiej sali siedziało stłoczonych kilkadziesiąt osób. Prawie wszyscy notowali. Ten i ów wyłożył na stole egzemplarz Kodeksu Drogowego. Mój sąsiad miał przed sobą jakiś skrypt: *Przepisy ruchu drogowego*. Napis na stronie tytułowej głosił: *Do użytku wewnętrznego*. Trzydzieści jeden stron maszynopisu plus jedenaście stron dodatków o budowie samochodów. Zajrzałem do środka... droga składa się z następujących części.. W tym samym czasie wykładowca dyktował: — Droga — składa — się — z — następujących — części...

Sąsiad wyjaśnił:

— Sprzedają w sekretariacie po trzydzieści złotych za egzemplarz. Niech pan podejdzie i po cichu poprosi...

Ponieważ wykład był dosłownym powtórzeniem skryptu — na przerwie podniosłem grzecznie paluszki i zapytałem instruktora, czy można traktować ten druk jako podstawowe źródło przygotowania się do egzaminu: — W zasadzie, tak — odparł wobec całego audytorium. Po tych słowach sekretariat wypełnił się tłumem. Sterta skryptów leżała już na stole. Brzęczały monety, szeleściły pieśczoćliwie odliczane przez młodą osobkę papierki.

Potem się okazało: skrypt nabyty także i przez mnie jest niczym innym jak tylko bezwartościowym streszczeniem niektórych przepisów Kodeksu. Biada tym, którzy tej bibule zaufali przed egzaminem! Na złorzeczenia było już wtedy za późno. A pieniążki — ktoś „za frajer” zagarnął...

Wykłady z budowy samochodu i z przepisów trwały na moim kursie od 21 maja do 9 czerwca. Pięć razy w tygodniu po dwie godziny. Było tych wykładów 13. W ostatnim dniu dorzucono jeszcze cztery godziny popołudniowych ćwiczeń „w piwnicy”: starszy, bardzo rzeczowy pan, pokazał na modelach i przekrojach jak jest zbudowany i jak funkcjonuje zespół mechanizmów zwany samochodem. Te cztery spośród trzydziestu lekcyjnych „kursogodzin” naprawdę nie poszły na marne, nawet starsze panie o wyglądzie mocno zlamusiałym ujmowały rezolutnie w paluszki bagnetnik służący do pomiaru poziomu oleju i coś tam dukały na temat termostatu... Starszy pan całą sprawę traktował pobłażliwie. Wiedział ile z tych technicznych mądrości przyda się na co dzień tym przyszłym, broń panie Boże, kierowcom: *to jest samoczynny wyłącznik prądnic — o tu jest taki wchajster co*

ten interes wyłącza... ale tego wiedzieć nie musicie, bo i tak nikt tego nie rozberra...

Starszego pana inżyniera wspominam serdecznie i ciepło. Natomiast wspomnienie innych starszych panów, z którymi miałem przyjemność się tam poznać, budzi we mnie...

— No siadaj pan, zrobiem z pana kierowcę!

Zanim usłyszałem to wezwanie do „kółka” — minął tydzień od ukończenia kursu. Byłem zbyt naiwny, sądząc mniej więcej tak: skoro zapisuje się kilkadziesiąt osób na jeden kurs i wyznacza się dla tych ludzi terminy egzaminu, a kurs jest przy tym „przyspieszony” to... powinny być zagwarantowane wszelkie warunki dla dotrzymania tych terminów! Ale smętne dziewczę z sekretariatu rozwiało moje złudzenia:

— Samochodów nie ma. Proszę przyjść w następnym tygodniu.

— To kiedy ja zdążę wyjeździć swoje jazdy? Mnie się spieszy...

— Nie ma samochodów. Ja panu nie urodzę!

Fakt. Dziewczę samochodu nie urodzi. Ale... za co płaciłem 980 złotych? Dlaczego nie ma właśnie samochodu — właśnie dla mnie — skoro nie co innego, jak samochód, jest potrzebny do takiej nauki. Jak to się dzieje, że te skody, moskwicze i warszawy stojące długim szeregiem, poznakowane żółtymi pasami, ponumerowane — nie dla mnie?... Okazało się, że jestem zadufanym egocentrykiem: takich delikwentów jak ja było więcej. Każdego dnia w sekretariacie na nowo ustawiała się kolejka molestujących kursowiczów. I stale, codziennie powtarzała się ta sama upokarzająca litania: *paani! pomoże pani! pani zapisze ze cztery jazdy! mnie na urlop paniuniu! ... mnie za granicę!...* itd.

A paniunia — nie powiem: pisała. Kto się ładnie uśmiechnął, kto czekoladkę przyniósł, kto z grzeczności papieroska zapalił... Po dwie jazdy, po trzy, po cztery. Wreszcie i ja dostałem łaski. Zapisano mi cztery półgodzinne jazdy na starej, zjeżdżonej na śmierć warszawie, której unikał kto mógł. I oto...

Jest godzina piętnasta. Początek pierwszej lekcji. Patrę na zegarek, drepcąc na chodniku, obok zdezelowanego wehikułu — instruktora jak nie ma tak nie ma... Wreszcie — godzina piętnasta siedem — nadchodzi: razem z jakimś panem. Patrzy na mnie jak na słup latarni i każe siadać. *Kwadransik pojeździmy na sucho* — powiada. Ten trzeci siada z tyłu. Trema dławi mnie za gardło. Przedwcześnie. Instruktor pokazuje co mam robić z ręcznym hamulcem, jak się porusza dźwignią biegów. No i kierunkowskazy. Ma mnie za pojętnego: wychodzi bez słowa i znika w pobliskim sklepie. Upał. A tam sprzedają kefir.

Ten z tyłu sapie, milczy. Może instruktor... Szarpię dźwignią ile sił w ręce. Pierwszy bieg — drugi — trzeci — wsteczny. I znowu: pierwszy — drugi trzeci — hamulec — gaz... Jak długo? Minęło dziesięć minut. To już siedemnaście z trzydziestu. Ale instruktor już wraca. Ociera chustką twarz. Ziewa. Wsiada. Nie patrzy na mnie. Coś tam pisze w karcie. Każe podpisać. Podpisuję. *A teraz pan się przesiada na tył* — rozkazuje. Gość z tyłu zajmuje już moje miejsce przy kierownicy. Z miejsca sprawnie rusza. Jedziemy na miasto! Wydaje mi się nawet, że to ja prowadzę... Tamci mają chyba jakieś własne sprawy. W milczeniu dojeżdżamy do Placu Zbawiciela. Tutaj mój „zmiennik” wysiada, wchodzi do bramy. Po chwili wynosi jakąś paczkę. Instruktor pyta: *ważona?* Tamten potakuje i jak szatan dodaje gazu. Wracamy. Jest dziesięć po wpół do czwartej. Ktoś następny już od dziesięciu minut czeka na nasz powrót. *Panie?* — burczy pod moim adresem — *Pan sobie tu prywatne sprawy załatwia a ja płacę!*

Opisana scenka nie wyczerpuje repertuaru dziwnych zabaw jakie są ulubioną rozrywką instruktorów. Cała ich bowiem taktyka zmierza do tego, aby pogodzić rzeczy zgoła sprzeczne: naukę jazdy z oszczędnością benzyny. Stały trick: spóźnianie się o pięć, sześć — dziesięć minut. Potem krótki postój. Instruktor kupuje papieroski. Pije oranżadkę. Albo: jedziemy do stacji benzynowej. Trzeba poczekać czasem dłużej. Dopiero po dłuższej zaprawie uczeń spostrzega, że „tankowanie” powtarza się prawie codziennie — po pięć, sześć literków...

Zanotowałem: na dwadzieścia trzy jazdy obowiązkowe moi instruktorzy pobierali benzynę jedenaście razy na stacjach benzynowych, cztery razy podjeżdżaliśmy do warsztatów na Karowej, skąd prawie zawsze wędrował do auta kanister z benzyną (na tylne siedzenie), cztery razy zbaczaliśmy ze zwykłej trasy i wówczas mój maestro wysiadał z wozu i gdzieś na dziesięć minut znikał. Potem dobrotliwie pouczał milkliwego jełopę:

— Ciśnij pan gaz, bo się nie wyrobiem!

— To *wyrób się pan!* — ugrzęzło mi w uchu na dobre. Wiele razy wykonując manewr skrętu w wąskiej uliczce, *na dwa rzuty* — słyszałem gderliwe: — *Wyrób się pan! Jak pan kręcisz!*

— Nie mógłby pan ze mną po godzinkach pojeździć — poprosiłem każdego z pięciu panów, którzy na zmianę „wyrabiali” ze mnie kierowcę.

— Przez kasę czy do rączki? Do rączki — u mnie stówka za godzinę.

I nie było gadania, żeby coś utargować. Amatorzy prywatnej jazdy czekają na okazję w kolejce. Jazda, oczywiście, wozem

pezetmotu.. w godzinach służbowych. Każdy daje, pary z gęby nie puszcza, bo *jak pan instruktorowi da zarobić to oni potem na egzaminie tak nie ścinają!*... I nikt ani piśnie na ten temat. Każdy się boi. *Po co mam się narażać? Odwałam ten kurs jeden raz w życiu i mam spokój!*... Ale codziennie, na stoisku, na Bielańskiej reporter-radiowiec mógłby zagarnąć do mikrofonu takie oto narzekania: *Panie, ja już tysiąc dwieście złotych zapłaciłem do kieszeni...* Jedziemy z mężem do Bułgarii, spieszy mi się... *Czy pan wie ile wynosi średnia efektywnej jazdy u tego faceta co wyjeżdża na numerze N (samochody się numeruje małymi numerami)...* Mierzyłem na zegarku dokładnie: szesnaście minut na pół godziny! Albo: *Dlaczego ja mam jeździć każdorazowo innym samochodem? Przecież to wymaga przyzwyczajenia — gdzie sprzęgło, gdzie gaz...* itd. Konstruktywnie: *Taki kurs pomysłany jest bez głowy. Powinno się jeździć nie jedenaście (niepełnych) godzin, ale taki kursant powinien przejechać tysiąc kilometrów po mieście. Wtedy by się czegoś nauczył!* Katastroficznie: *A potem się dziwić, że tyle wypadków! Czego oni tu uczą? Jak robić kraksy...* Krótko: *Skandal!*

Dlaczego miałem aż pięciu instruktorów — nie umiem wytłumaczyć. Dlaczego moje jazdy trwały — zamiast dwóch tygodni — aż pięć tygodni? Gdybym był jedynym wyjątkiem?

Wreszcie — egzamin. Samopoczucie — raczej dobre. Mam już od miesiąca samochód. Jeżdżę na nim od okazji do okazji, kiedy koledzy, szczęśliwi pełnosprawni kierowcy, mają dla mnie czas. Wtedy wybieramy się na stadion Dziesięciolecia i tam — pośród kamyków rozstawionych przez podobnych amatorów — parkujemy — cofamy tyłem, wykręcamy ósemki, „wyrabiamy się” na kredą malowanych ulicach. Któregoś dnia ze znajomego fiata pada ostrzegawczy okrzyk: zawracajcie panowie, bo dziś milicja zbiera mandaty! Pogłosce nie dowierzamy, ale na wszelki wypadek czmychamy, aż gdzieś pod Nieporęt, do lasu, gdzie na wąskiej betonowej drodze — używanie!

Więc w zasadzie prowadzić już umiem. Z moimi instruktorami wyjeżdżałem prywatnie „do rączki” — dodatkowe osiem godzin. Osiemset złotych. Czyli — powinienem mieć fory... Wprawdzie uczono mnie jeździć aż na pięciu zharatanych warszawach, a jestem w tej chwili szczęśliwym posiadaczem zastawy, ale... kierownik kursu łaskawie obiecał: dokupi pan pięć jazd na skodzie i na skodzie będzie pan zdawał!

Obliczam wydatki: 980 zł — opłata za kurs „przyspieszony”, plus 800 zł — prywatne jazdy płacone „do kieszeni”, plus 175 zł — pięć jazd dokupionych formalnie, plus 40 zł — badania lekarskie, plus 40 zł — opłata za egzamin wewnętrzny z budowy

i przepisów (nawiasem: opłatę taką każdy wręczał sekretarzowi z rączki do rączki, bez pokwitowania!), plus 60 zł — opłata za egzamin państwowy przekazem pocztowym. Razem 2095 złotych. Taki jest koszt kursu „przyspieszonego”, który trwał od 21 maja do 15 września...

I oto ów dzień oczekiwany:... Na Floriańskiej, o szesnastej czeka już gęsty tłum dopuszczonych do egzaminu. Starsi panowie i niemłode już panie pospołu z nastolatkami — wszyscy nerwowo kartkują Kodeks. Ktoś ponuro ogłasza: *Zależy na kogo się trafi: jeden pyta dosłownie tak jak napisane w kodeksie, a ten drugi na odwrót — żeby swoimi słowami...* Jakiś poprawkowicz wtajemnicza nas w arkana egzaminacyjnej jazdy: *Panowie... uważajcie na drzwi! Bo oni lubią nie domknąć drzwi, a pan sobie włącza stacyjkę i — gotów! Każę wysiadać!... że niby ruszasz z otwartymi drzwiami...* Albo: *Ten, taki tęgi, mały — on lubi zaciągnąć hamulec. Nie sprawdzicieś hamulca — jużes gotów!...*

I rzeczywiście: w kwadrans później, siedząc za stołem egzaminacyjnym, jako jeden z czwórki odpytywanych, miałem wypieki na gębie. Pytanie brzmiało prościutko: jaki jest wyjątek w stawianiu znaku *nakaz jazdy prosto*? Wyjątek! Wyjątek... Jeden z naszej czwórki wiedział: *Czasem ustawia go się przed skrzyżowaniem!*... Zaraz potem złapałem drugi minus: — Zasady wyprzedzania! — W odpowiedzi nie dodałem: ...dopuszcza się wyprzedzać pojazd z prawej strony jeżeli zbliża się on do środka jezdni i sygnalizuje zamiar skręcania w lewo... Od tej chwili moja osoba egzaminatora nie interesowała. Za to inni odbierali uwagi w rodzaju: *Nie filozofuj pan!* albo: *Panie! Do kogo ta mowa!* itd.

Pytania z reguły dotyczyły w y j ą t k ó w w stosowaniu przepisów, domagały się odpowiedzi ścisłej w sprawach niewiele mających wspólnego z przyszłą praktyką kierowców kategorii „B” — jak np. owo pytanie dotyczące znaku *zakaz wjazdu pojazdów o nacisku osi większym niż... ton*. Szczegóły na temat dwóch osi sąsiednich (tandem), których łączny nacisk...

Oblany z przepisów wyszedłem na ulicę, aby spróbować szczęścia za kierownicą. Nastrój panował tam paniczny. Właśnie przed chwilą „ścięto” faceta na owych drzwiach, których egzaminator celowo nie domknął, ja sam miałem okazję zobaczyć ów słynny „numer” z hamulcem: w czasie wsiadania dwóch kursantów do samochodu, egzaminator zaciągnął w skodzie hamulec pomocniczy (dostępny z tylnego siedzenia) i... silnik zakaszał, wóz zaczął podskakiwać w miejscu! — Drzwi się otwarły, wypadł z nich pasowy na twarz delikwent wraz z... klamką drzwiową w rękę! Straszna siłę mają osobnicy skrajnie zdenerwowani...

Po takiej zaprawie było mi już właściwie wszystko jedno, gdy

wyprowadzając wóz z parkingu... Potrąciłem tylnym kołem o krawężnik. Było to nawet nie potrącenie, ale słabe otarcie. Parking ciemny, ledwie co widać: — Wysiadaj pan! — zapiął triumfalnie egzaminator.

Siedzący obok mnie instruktor dodał z pewnym żalem:

— Nie wyrobiłeś się pan!

P.S.

Nie „wyrobiłem” się i za dwa tygodnie, na następnym egzaminie. Nie umieszczono mnie po prostu na liście. Było nas takich szesnaścioro. Dowiedzieliśmy się o tym w ostatniej chwili, na Floriańskiej. Jedna pani płakała. Przyjechała aż z Wrocławia. Inny pan przerwał urlop i specjalnie przyjechał na egzamin. Sekretarz kursu mętnie tłumaczył: — Winien Wydział Komunikacji. To oni obcinają listy w ostatniej chwili! Dopisują swoich ludzi...

— Wie pan jak to się nazywa!? — dopadł sekretarza ten urlopowany. Odciągnięto go na bok. — Panie! — radził ktoś doświadczony. — Nie szarp się z nimi, bo prawa jazdy pan nie zobaczysz, jak swoich uszu. To jest proszę pana szczytowy... — Tutaj życzliwy doradca dokładnie określił owo brakujące słowo i wsparł to jeszcze jednym przymiotnikiem. Przytaknęliśmy.

Na wyznaczony w dn. 29 września egzamin poprawkowy zjawiłem się punktualnie o szesnastej. Czternaście osób z opuszczonymi głowami opuszczało gmach na Floriańskiej. Egzamin odwołano w ostatniej chwili. Związek Motorowy uważa, że zabawa w taki detal nie opłaca się... Za mało osób.

A więc, proszę państwa, pytanie całkiem serio: jaka jest ta najdłuższa część w samochodzie?

Marek PIWNY

Argumenty, 26 października 1969

BICIE A LA CARTE

Gastronomia nasza, która od lat karmi satyryków, przez co nas bawi, zamiast żywić, przeholowała ostatnio w dostarczaniu konsumentom rozrywki. Tak przynajmniej wynika z notatki w „Życiu Warszawy”, pt. „Z czym do gościa”. Zostały w niej opisane dość szczegółowo trzy przypadki pobicia przez kelnerów restauracyjnych gości, przy czym w jednym wypadku była to zemsta bufetowej na starszej pani, dokonana parasolką, w szatni. Dodać wypada, że działo się to wszystko w śródmieściu, w lokalach kategorii pierwszorzędnej lub nawet luksusowej.

Pewien mój znajomy uznał to za znakomity materiał do rodzimego westernu i nawet nosi się z zamiarem pisania scenariusza. Jakkolwiek sceny, w których rozebrani do pasa kelnerzy nokautują gości, lub też zrzucają ich ze schodów, albo łomoczą czym popadnie, należą do kategorii mocnych, mogą dostarczyć silnych wzruszeń, nie jest to jednak żaden materiał do tego rodzaju filmu. W westernach wprawdzie zawsze dochodzi do bijatyki w knajpie, ale w żadnym westernie nie było tego, by personel włączał się do akcji, a już absolutnie, by kelner czy bufetowa wymierzała ciosy biesiadnikom, i to w dodatku takim, którzy chwilowo popadli w drzemkę albo ręce mają uwikłane w rękawach wkładanych płaszczy. Byłoby to nie tylko wbrew regułom gry, ale także bez sensu z punktu widzenia dramaturgii. Zaskoczenie i nieoczekiwany obrót akcji nadają fabule wdzięku, ale każde zaskoczenie musi mieć swój styl i smak. Jaki styl i jaki smak może mieć niespodzianka tego rodzaju, że pijani kelnerzy, którzy zamiast obsłużyć gościa filiżanką barszczu, albo karpim z wody, rozkwaszają mu nos, przewracają na podłogę i spacerują po klatce piersiowej jak po klatce schodowej?

Wypada więc porzucić myśl o westernie i spróbować zanalizować te fakty. Nie jest pewne, czy goście byli zupełnie trzeźwi,

natomiast nie ma wątpliwości, że kelnerzy byli pijani. To dość istotny szczegół, jeśli się uwzględni fakt, że bądź co bądź kelnerzy znajdowali się wówczas w pracy.

W związku z tym przypominała mi się scena, jakiej byłem świadkiem w Gorzowie. W poczekalni dworca spotkało się dwóch młodych obywateli. Jeden wyjął natychmiast pół litra i częstował drugiego. Tamten się wzbraniał, tłumacząc, że nie może pić, bo właśnie jedzie do pracy. Dla tego, który go częstował, było to tłumaczenie pozbawione racji.

— Pij — ja też jadę do roboty, nie tylko ty pracujesz, pij! — powtarzał z uporem.

Wtedy namawiany wyrzekł zdanie, jakie przytrafia się myślicielom, zdanie — dewizę:

— Nie do każdej pracy można przyjść pijanym, i odrzucił butelkę.

Nie do każdej pracy można przyjść pijanym.

Ludziom, którzy nie stykają się z życiem bezpośrednio, trudno będzie zrozumieć, że nie jest to żart, ani nic takiego, co można skwitować śmiechem lub oburzeniem. Nie do każdej pracy można przyjść pijanym. To jest po prostu uogólnienie, biorące się z doświadczenia — dodam doświadczenia młodego człowieka, uogólnienie tego samego rzędu, jak to, że nie każdego dnia jest pogodnie i że nie wszyscy ludzie są szczęśliwi.

Przykłady podane przez „Życie Warszawy” dowodzą, że w pracy kelnera trzeźwość nie jest zwyczajowym rygorem. Nie ludźmy się, że to jedyny zawód z tej kategorii.

Ale nie o to mi przede wszystkim chodzi. Dla mnie pobicie gości przez kelnerów jest tylko dość jaskrawym przykładem frustracji rodaka, który wobec drugiego takiego samego jak on obywatela musi spełniać usługi, kłaniać się, być miłym, uśmiechniętym i wypełniać określone obowiązki. Na temat usług napisano u nas w swoim czasie może nawet więcej niż na jakikolwiek inny temat, ale nigdzie nie zdarzyło mi się czytać, by ktoś spróbował odszukać źródła tego stanu rzeczy w sferze psychologicznej. Wszelkie usługi wiążą się z pewnym typem zależności między obsługiwany a obsługującym, który jest sprzeczny z ugruntowanym u nas powszechnie poczuciem równości i demokracji. Przed występowaniem w roli świadczącego usługi komuś, kto równie dobrze mógłby świadczyć usługi nam, broni się nasza świadomość i poczucie własnej godności.

W pewnym urzędzie, gdy petent grzecznie, ale stanowczo domagał się załatwienia jego podania, osoba urzędująca za biurkiem uniosła się, poczerwieniała i wystąpiła z taką karcącą uwagą:

— Tu nie usługi, proszę pana, tu urząd, niech pan sobie nie myśli.

Otóż to. Trzeba myśleć dialektycznie. W sytuacji, gdy funkcjonują urzędy, które wypraszają sobie by porównywać ich w czymkolwiek do placówek usługowych, w czasach gdy trudno sobie wyobrazić, że słowo minister oznaczało kiedyś zwyczajnie — służyć, gdy każdy, oprócz ustrojowo zagwarantowanej demokracji, nosi własne bardziej dla siebie atłasowe o niej wyobrażenie, w warunkach, gdy z byle powodu zaraz staramy się udowodnić, kim my właściwie jesteśmy, mimo naszego pospolitego, mylącego, wyglądu, trudno się dziwić, że zatrudnieni w tzw. usługach uważają się za pokrzywdzonych, poniżanych i w ogóle obywateli niższej kategorii.

Jak na razie usługi są u nas wyspą otoczoną bardzo ważnymi instytucjami, stanowiskami i osobistościami, którym ostatnia myśl, jaka może przyjść do głowy, to myśl o służebnej roli wobec kogokolwiek. Osobiście nie widzę powodu, by w naszych warunkach utrzymywać takie dysproporcje, a przede wszystkich grupę upośledzonych życiowo obywateli. Jedyną drogą likwidacji poczucia ich krzywdy jest rozszerzenie pojęcia usług na wszystkie instytucje i urzędy nie wyłączając prasy oraz ministrów.

W przeciwnym razie zawsze będziemy narażeni na zemstę tych, którzy muszą nam usługiwać mimo że mają takie same prawa jak i my. Trzeba być przygotowanym na wyładowywanie ich kompleksów i frustracji i na to, że nie wiadomo kiedy do befsztyka lub karpia z wody dołożą swój cios jako upomnienie o wyrównanie swego statusu wobec reszty społeczeństwa.

Robienie na kanwie tych wypadków westernu jest bezsensowne, ponieważ niczego to nie zmieni w naszym życiu, a może tylko przynieść w efekcie kiepski film. Fakty liczą się bardzo, ale powinny też mieć swe znaczenie wnioski, jakie da się z nich wysnuć. A wnioski są bogate. Dalszy ciąg nastąpi.

Jerzy AMBROZIEWICZ

Argumenty, 26 października 1969

DZIKI CZŁOWIEK NA TRYBUNACH

W piątek po południu

Przyjechała do Warszawy sympatyczna drużyna piłkarska St. Etienne, spotkała się z nie mniej sympatyczną naszą „Legią”. Ze spotkaniem tym wiązaliśmy pewne nadzieje, jak wiemy „Legia” wygrała 2 : 1. Można by się cieszyć z wygranej, ale cóż. Raczej trzeba się było smucić. To znaczy, smucić się ze wstydu. Co bowiem wygrała drużyna, to chuligani usiłowali wdeptać w błoto.

W Warszawie niektórzy kibice są wyjątkowo patriotycznie usposobieni i sam widok „obcych” ich drażni. Wkrótce też pusta butelka po wypitej na miejscu wódce celnie wylądowała na głowie jednego z Francuzów. Sędzia, na razie nic. Sędziował Belg opanowany i bezstronny. Mógł przerwać mecz i ogłosić zwycięstwo gości walcoverem i ja bym tak zrobił. Ale sędzia nie. Grali więc dalej. Aliści, proszę państwa, padła na boisko petarda. Prawie bomba. Z jakiej przyczyny? Bez przyczyny.

Taka bomba, to cała historia. Ktoś musiał zawczasu pomyśleć o materiale wybuchowym i o taki się postarać. Musiał kogoś przekupić albo oszukać, po czym umiejętnie i pracowicie skonstruować petardę. Miała być chyba użyta jako protest przeciw ewentualnemu zwycięstwu gości.

I tym razem sędzia Belg nie skorzystał ze swoich uprawnień. Czyż można mieć pretensję do dżentelmena, że nie reaguje na chamstwo? No i w końcu, Belg był także gościem.

Pani pewna pisze ze łzami w oczach, że przy wejściu na trybuny Stadionu Dziesięciolecia na mecz Polska - Bułgaria ormo-wiec kazał jej otworzyć torebkę, dla sprawdzenia, czy nie prze-myca wódki. Pani ma słuszny żal, że ją tak posądzono i nawet nie przeproszono. Na to redakcja ją pociesza, że to nic wielkiego,

straż porządkowa ma obowiązek odbierania alkoholu, zresztą czyni to z całą delikatnością, wpisując na nalepkach nazwiska i zwracając po skończonym meczu. Ponieważ główne podejrzenia kierują się na mężczyzn, niektórzy z nich wpadli na pomysł ukrywania alkoholowego przemytu w torebkach swoich towarzyszek.

Nie jesteśmy odosobnieni, gdzie indziej dzieje się nieraz jeszcze gorzej, ale to niewielka pociecha. Prawda, że w Południowej Ameryce zdarza się strzelanina na meczach piłkarskich, kto jednak wie co by się u nas działo, gdyby tak można było w sklepie, bez niczego, fundnąć sobie karabin maszynowy.

Od czegokolwiek by zacząć, może się zdarzyć że natrafimy na dzikiego człowieka w Warszawie. Skądś się wziął i niestety, rozmnaża. Nie ulega asymilacji, cywilizacji, nie ma dla niego wzorów, sam stał się wzorem dla siebie i dla innych. Czy nie ma na niego rady? Gdyby tak zaczął popisywać się w Operze, wyrzuceno by go za drzwi. Na szczęście na Operę nie chodzi. Chodzi za to na wyścigi i tam pokazał co potrafi. Dwukrotnie już zdarzyło się, że Komisja Techniczna uległa terrorowi i unieważniła gonitwę. Kilkunastu chuliganów usiłowało sterroryzować publiczność, jury i dyрекcję. Na warszawskich wyścigach, tak sympatycznych!

Trzeba by wreszcie powiedzieć, kto jest w Warszawie wielk szością. I czym jest sport.

Sport, wielka szkoła wychowania mas, pomost łączący narody w szlachetnej rywalizacji. Trzeba, żeby w Warszawie stał się tym, czym jest w swojej istocie.

Marek SADZEWICZ

Stolica, 7 grudnia 1969

Z CZYM DO GOŚCIA

Zdarzenie pierwsze

Działo się to w nocy z 8 na 9 września, w sali restauracyjnej „Domu Chłopa” w Warszawie. Grupa gości dożynkowych stała na korytarzu II piętra, spoglądając przez oszkloną ścianę w dół, skąd restaurację widać było, jak na dłoni. Wśród gości znajdował się pewien księgowy z POM i technik rolny. Nagle spostrzegli, że jeden z kelnerów — rozebrany do pasa — schwycił któregoś gościa za szyję, przygniótł do ściany i tłukł jego głową o parapet. Zdumieni i przerażeni tym niecodziennym obrazem, zbiegli na dół, usiłując przyjść z pomocą gościowi, który leżał już bez przytomności na podłodze, a z ust i nosa sączyła mu się krew. Ale dwóch kelnerów, bardzo agresywnie usposobionych, zwróciło się do nich z takimi słowami: — Wyście tu nic nie widzieli, to nie wasza sprawa!

Przyjechał radiowóz milicyjny; poszkodowanego, który ocknął się i mógł wstać, oraz kelnerów — trzeba ich było szukać w służbowym pomieszczeniu — zabrano do Komendy Dzielnicowej MO przy Wilczej. Kiedy konsument nieco otrzeźwiał, opowiedział, co się zdarzyło.

Nazywa się Stanisław G., jest kierowcą taksówki z Wrocławia. Przyjechał do stolicy i zaszedł późnym wieczorem do „Domu Chłopa”. Na sali spotkał znajomą, a że przy stolikach nie było miejsca, w barze poprosił o dwie wódki. Zapłacił 36 zł i poszedł z ową panią tańczyć. Kiedy orkiestra przestała grać, podszedł do niego jakiś kelner (Ryszard M.) i zażądał zapłacenia rachunku na sumę 760 zł. Stanisław G. oczywiście odmówił, dodając, że przecież za wypite wódki zapłacił, a nic więcej nie jadł i nie pił. Na to usłyszał: — Płać, frajerze, bo dostaniesz! — Zbliżył się do nich inny kelner, Mieczysław R. i obaj poprowadzili gościa na bok. Wtedy Ryszard M. popchnął go, a Mieczysław R. schwycił za gardło, dusił i bił jego głową o parapet. Obaj kelnerzy prze-

wrócili go, kopali, aż stracił przytomność. Kiedy się ocknął, usłyszał przerażone głosy: — Przestańcie go bić!

Oficer przesłuchujący spytał Stanisława G., czy miał wtedy przy sobie pieniądze. Owszem, odparł, 800 zł i trochę bilonu. Ale teraz banknoty zniknęły... Dodał więc, że pięćsetkę można by rozpoznać, bo napisał na niej kopiaowym ołówkiem cyfrę „4”. Podczas rewidowania kelnerów oficer znalazł przy Mieczysławie R. banknot 500 zł z takim właśnie znakiem rozpoznawczym. Kelner skorzystał widać z okazji, kiedy gość leżał nieprzytomny i wyciągnął mu z kieszeni pieniądze.

Kelnerzy przyznali, że tego wieczoru w czasie pracy wypili: R — 200 g wódki i dwa piwa, M. — 150 g wódki i 5 piw eksportowych. Kierownik sali zeznał, że widział jak Mieczysław R. „rewidował” kieszenie innego gościa, który pijany spał, oparty o stół i jak wyjąwszy mu z kieszeni dokumenty, przeszukiwał je, rzekomo w celu „uregulowania rachunku”. Inny świadek też to widział. Prócz tego świadkowie zeznali, że ten sam kelner w trakcie pracy podchodził do stolika, gdzie siedziały kobiety wiadomego procederu i pił z nimi wódkę. Obaj kelnerzy zostali aresztowani.

Zdarzenie drugie

Lokal kategorii „S”, ale nazwę na razie przemilczę. Wieczorem weszło tam czworo gości: starsze małżeństwo z synem i jego narzeczona. Była to mała uroczystość rodzinna, chcieli ją jakoś uczcić, wybrali lokal najwyższej kategorii, w stolicy. Przy sprawdzaniu rachunku pani zauważyła, że policzono trochę za dużo i zwróciła na to uwagę kelnerowi. Wówczas usłyszała: — Jak się nie ma pieniędzy, lepiej siedzieć w domu, tu trzeba płacić. — Z tymi słowami kelner podał rachunek i wrzucił go do popielniczki. Dodał jeszcze kilka obraźliwych epitetów. Oburzeni goście wezwali kierowniczkę, która odpowiedziała, że przecież kelner „musi z czegoś żyć”, a personel „wie, co robi”. Kiedy goście byli już w szatni, zjawiła się tam bufetowa i parasolem, leżącym na ladzie uderzyła starszą panią w głowę, potem kopnęła ją w brzuch. Syn ujął się za matką, wówczas kelnerzy zaczęli go kopać. W trakcie szarpaniny zerwano pani naszyjnik, który już się nie odnalazł.

Przyjechał radiowóz, a wtedy okazało się, że „kierowniczka dawno już śpi”, a kelnerzy „poszli do domu”... Goście zdążyli jednak wyjąć z popielniczki podarty rachunek i dołączyli go do

skargi, przesłanej do prokuratury Śródmieście, dyrekcji WZG i PIH.

Zdarzenie trzecie — już z autopsji

Lokal kategorii I „Arkady” na piętrze. Noc z 22 na 23 września. Siedzimy przy stoliku niedaleko schodów; jest nas 6 osób — oficerowie MO i reporter. Jemy kolację i obserwujemy, co się dzieje na sali. A dzieje się niedobrze. W tym niby eleganckim lokalu wygląda tak, jak w knajpie na peryferiach. Bezustannie kręcą się po sali brudni, nieogoleni młodzi ludzie w wielkiej komitywie z obsługą. Niemal wszystkie stoliki zajęte przez kobiety tzw. lekkiego zawodu; oficer „obyczajówki” wymienił ich z nazwiska aż 21. Chodzą po sali, zaczepiają. Pod stolikami puste butelki po wódce, kelnerzy dosiadają się do gości, piją z nimi. Pijany gość leży twarzą w talerzu z resztkami jedzenia. Widzimy, jak inny pijak podchodzi do schodów, a w tym momencie kelner uderza go w twarz i zrzuca z kilku stopni w dół.

Narzekaliśmy dotąd na gastronomię, że kiepsko karmi, że za mało lokali, że długo się czeka na kelnera itp. itd. Jak się okazuje, była to „pestka i mucha” w porównaniu z przytoczonymi wyżej obrazkami z warszawskich restauracji. Należało więc polecić PT Konsumentom: watowane skafandry, hełmy ochronne i bokerskie rękawice.

(A. Kl.)

Życie Warszawy, 4 października 1969

NA ILE TE ŚWIĄTKI

Sroda, 29 października

Wielu rzeczy miał się Cesiek w życiu, głównie tego, co miało jakiś związek z wodą, rybami i lasem, na niczym jednak dobrze nie wyszedł. Raz tylko, tuż po uzyskaniu matury, a było to kilka lat temu, pracował przez pewien czas na państwowej posadzie, w dziale zaopatrzenia jednej z miejskich instytucji. Potem pojechał w Bieszczady na drwalstwo, bo jak sam mówi, ten właśnie zawód i to życie pociągają za sobą coś w rodzaju odurzenia. Ale i tam nie zagrzał długo. Obecnie trudni się prywatnym handlem „świątkami”, czyli obrazami o treści religijnej. We wtorki i piątki wystaje na targowisku, w pozostałe dni, jeśli ma oczywiście na to ochotę, jeździ z „towarem” do pobliskich wiosek. Na brak nabywców — mówi — nie narzekam. Wytargowałem u niego, że pozwoli mi przyjrzeć się swojej pracy pod warunkiem, że zataję jego rzeczywiste imię i nazwę miasta, w którym mieszka.

Czwartek, 30 października

Umówiłem się z Ceśkiem, że wpadnę do niego rano i razem pójdziemy po „towar” do niejakiego „Szklarza”. Tenże mieszkał niedaleko i, jak się okazało, był rzeczywiście szklarzem i prowadził niewielki warsztat, taki z tych, gdzie to daje się małe lusterka do oprawienia, zamawia się wielkie, niegustowne, kapiące od złota ramy, wstawia zbite szyby okienne. Weszliśmy od podwórza, wąskimi niekrytymi schodami dostaliśmy się na pierwsze piętro, gdzie szklarz zajmował pokój z kuchnią. Otworzył nam drzwi niski, starszawy już korpulentny mężczyzna o nalanej czerwonej twarzy i małych, chytrych rozbieganych oczkach. Był tłusty i sprawiał wrażenie człowieka stale sytego. Niespokojnie obrzucił mnie spojrzeniem jakby w myślach wertował mój dowód osobis-

ty. — To swój — pośpieszył z wyjaśnieniem Ciesiek, mój kuzyn z Wybrzeża — dodał natychmiast realizując nakreślony przez nas wczoraj plan działania. — Chce się wciągnąć do branży, na razie będzie przy mnie a potem zobaczymy. Szklarz nieco się uspokoił ale czuło się, że nie na rękę mu obecność świeżego człowieka w interesie. — Masz coś dla nas? — przeszedł do rzeczy Ciesiek. — Coś się znajdzie, wejdźcie na razie do mnie, a potem zejdziemy na dół do warsztatu i wybierzemy parę „świętków”.

Pokój, w którym mieszkał szklarz urządzony był po staroświecku i skromnie: duży okrągły stół, kredens na wysoki połysk, biały piec kaflowy, proste krzesła obite tandetnym materiałem, duży zegar z kukułką i mnóstwo obrazów na ścianach. Dużych i małych, czarnobiałych i pstrokatych.

— To spod jego pędzla — mówi uśmiechając się ironicznie Ciesiek. Maluje te kicze w chwilach natchnienia i nie na sprzedaż. W całej tej hecy z obrazami najfajniejsze są podpisy pod nimi.

Tuż przy piecu wisi płótno średnich rozmiarów; dwa czarne, rachityczne wieżowce, z licznymi niesymetrycznie usytuowanymi białymi plamkami okien (jakby ptak narobił...), zajmują dobre dwie trzecie przestrzeni, nad nimi zaś bezkształtna, rozlewista czerwona plama. Całość zatytułowana: „Nietoperz na tle Nowego Jorku”. Sąsiedni obraz — to jak się domyślam autoportret. Malarz z dużą dozą samokrytyki nadał swojej twarzy — widać nie bardzo ją lubi — kształt wielkiego dojrzałego pomidora, w który wetknięto dwie małe świecące żarówki od kieszonkowej latarki. Podpis nawet całkiem trafny: „Moja twarz w tremie”.

Szklarz wraca z półlitrowką jarzębiaku, trzema kieliszkami i syfonem wody sodowej. — Złe się czuję po wczorajszym — mówię i zakrywam swój kieliszek dłonią. Nie nalega, nalewa Ceśkowi i sobie...

Po dobrej godzinie schodzimy wreszcie do warsztatu. Duży solidny stół, iście młyńskie koło do gładzenia szkła i ostrzenia noży, piła do cięcia ram, podłoga pokryta odpryskami szkła i skrawkami złotych i srebrnych ram, nadają warsztatowi ponury wygląd miejsca średniowiecznej kaźni, i słusznie, bo przecież to tutaj szklarz morduje sztukę. W kącie, na sztalugach chorych na krzywicę, zrobionych widać własnym przemysłem, wisi niedokończony pejzaż: upiór bladego, anemicznego zameczku straszy z czerwonego wzgórza, tonącego w kłującej oczy zieleni. Szklarz uśmiecha się, bardzo rad z siebie.

— Ciesiek, chodźcie tu — woła nas do niewielkiego stolika okulałego z jednej strony z racji spoczywającego na nim ciężaru pustych ram, powyginanych kartonów, brył zeschniętego kitu

i gotowych już obrazów różnej maści i wielkości w srebrnych lub złotych „obwolutach”. Starannie wycierając szkło rękawem podaje Ceśkowi pierwszy z brzegu. Ten ogląda go najpierw z daleka, następnie podsuwa go sobie pod nos, jakby mu na moment wzrok odjęło, oddala go i autorytatywnie stwierdza — Chrystus jest tu za smutny.

— Bierz, sprzedasz to sprzedasz, a jak nie chcesz to wezmą go chłopcy — rzuca szklarz i nie czekając na odpowiedź, pewny widać swego, podaje nam następne. „Ostatnia wieczerza” — domyślam się, widząc siedzącą za suto zastawionym stołem gromadę ludzi jako żywo przypominających krasnoludków z disneyowskiego filmu „Królewna Śnieżka”. Następnie kolejną „idą”: Święty Józef o wyglądzie człowieka, który dopiero co wytarł usta po „strażackiej”, Matka Boska — puciołowata kobiecina z tajemniczym zawiniątkiem przy piersi, Przenajświętsza Rodzina, ustawiona jak do pamiątkowego zdjęcia z chrztu pierworodnego dziecka. Najlepiej jednak udają się szklarzowi aniołki, które dyskretnie wkomponowuje w narożne partie obrazów; mają lalkowate buzie, kręczone złote loki i nieproporcjonalnie duże orle skrzydła.

Cesiek układa obrazy bez słowa na dwie kupki, zawija je w papier, okręca pakunki kilka razy sznurkiem, bierze pod obie pachy. Otwieram przed nim drzwi.

Piątek, 31 października

Mgła jeszcze na dobre przywierała do ziemi, kiedy z twarzami zmarszczonymi niedospaniem zajmowaliśmy miejsce na targowisku. Ludzi niewiele, kilku badylarzy ubranych w golfy i bryczesy kręciło się przy wozach naładowanych chryzantemami. Palili papierosy, przeklinali i bili się dla rozgrzewki po bokach dorożkarskim zwyczajem. Tu i ówdzie pałętały się babiny w wiejskich chustach wybrzydzając nad „dąbkami”.

Wybraliśmy punkt tuż na skraju targowiska, by być, jak to mówi Cesiek, „na winklu”, by móc łatwo w każdej chwili zwinąć interes, gdyby ktoś za bardzo zaczął się nami interesować. Tuż obok nas ulokował się starszy mężczyzna oferujący zardzewiałe części rowerowe, pęki staroświeckich kluczy, sfatygowane kłódki.

Nikt do nas nie podchodzi, wykorzystuje to Cesiek i wprowadza mnie w subtelności swego zawodu. — Dla szklarza pracuje nas trzech, dwóch młodych łepków i ja. Łepki jeżdżą na targi do innych miast — mniej im zresztą daje zarobić — ja zostaję na miejscu. Od sztuki — ciągnie rzeczowo — muszę zapłacić pryncypałowi trzy stowy, co więcej to dla mnie, przeciętnie 150 zetów, zależy oczywiście od klienta. Praca ta ma wiele innych zalet —

snuje rozważania Cesiek — nie ma tu personalnego, nie podpisuje się listy obecności, czas pracy jest nienormowany, zaś wypłata następuje w trakcie wykonywania pracy i co najważniejsze sam sobie ją wypłacam.

— A ile twój szef produkuje tych obrazów dziennie? — pytam.

— Trzy, cztery, musi przecież także zap... przy lusterkach i szybach, by nie podpaść.

Przeliczam w myśli: cztery, no powiedzmy trzy razy trzysta to dziewięćset złotych dziennie, miesięcznie 28 tysięcy, odliczając niedziele i dni, kiedy handel nie idzie niech będzie równe 20. Tyle od samego Ceśka, a są jeszcze przecież łepki... Kupa forsy.

— Co on z nią robi, mieszka przecież nie najwygodniej, meble ma stare, ubranie nie najlepsze... — zastanawiam się głośno.

— Chce kupić samochód, oczywiście zapisze go na brata hydraulika. Dużo wydaje na wódkę i dziwki. Jest rozwodnikiem. Bywa, że przez jeden wieczór, oczywiście nie w naszym mieście, puści kilka tysiączków lekką rączką. Dzwiki kosztują; ta chce kozaczki, ta torebkę, ta koniak do obiadu. Ostatnio na przykład mieszkał kilka dni w jednym z najlepszych warszawskich hoteli, „rządził” w „Kongresowej” i „Krokodylu” podając się za ginekologa, kazał się wozić taksówką do Małych Świdrów, do „Tahiti” — ciągnął Cesiek romansowy wątek z życia chlebowawcy. — A jak dobrze popije wśród znajomych to i „brudasa” spali dla zabawy.

Mijają nas dwie ubrane z powiatowym szykiem panie (pelisy!!!). — Te na pewno nie kupią. Miastowe, to widać, z wyższymi aspiracjami — powiedział z przekonaniem i czuło się, że znajomość rynku zbytu ma opanowaną do perfekcji. — Stawiam przede wszystkim na wieś i to na mężczyzn, którym żony kazały kupić oleodruki, by piękniej było w mieszkaniu i Bóg nad domem czuwał. Taki pyta tylko ile kosztuje, ociera czoło rękawem, nie wyklóca się o cenę i płaci. Ci zresztą też już zaczynają się wykwaniać — Cesiek machnął z goryczą ręką. — Zupełnie jednak jest źle gdy facet jest z żoną, matką lub teściową. Ileż wtedy przyglądania, chuchania na szkło, głądzenia ramek. A to że gwóźdź wystaje, że ramka krzywo zbita, że szyba zarysowana, że lato było suche, że dzieci mają dużo, że mogą dać tylko połowę, no w ostateczności dwie trzecie żądanej sumy i że Bóg mi to wynagrodzi. Wcale zaś nie można liczyć na młodzież; przychodzi tu po kolorowe kretonowe bluzki i nabijane nitami farmerki.

Interes jakoś dzisiaj kuleje i muszę długo jeszcze czekać, by przekonać się o słuszności ekonomiczno-psychologicznych wywo-

dów Ceśka. Dopiero, gdy zatrzymuje się przed nami niski chłop w przybrudzonych bryczesach i kobieta sówicie obdarzona pierśmiami i srebrnym uzębieniem czuję, że z tej mąki może być chleb.

— Na ile te „świętki”? — przechodzi od razu do rzeczy.

— Różnie — odpowiada enigmatycznie Cesiek nie kwapiąc się z wyłożeniem kart na stół.

— A ten na przykład? — tu Herod-baba wskazuje na „Ostatnią Wieczerzę” (największy i najbardziej pstrokaty z wystawionych obrazów).

Cesiek udaje, że coś głęboko rozważa w myślach po czym mówi:

— Jak dla pani to sześcset!

— Żartujesz pan! — oburza się kobiecina. Zwraca się do niskiego chłopu w poplamionych bryczesach: Stasiu, widziałeś ten obraz u Kotlarzowej, dała za niego w Opocznie dwieście pięćdziesiąt — próbuje zaskoczyć Ceśka, ale przy jej miernych zdolnościach aktorskich widać całe kłamstwo jak na dłoni.

— To niech pani jedzie do Opoczna! — ostro replikuje Cesiek.

— Damy pięćset? — nieśmiało wtrąca mężczyzna zwany Staśkiem i natychmiast pod wpływem wzroku żony zawiesza głos w próżni.

— Czterysta! — mówi Herod-baba.

— Daj pani spokój, pani żartuje a tu trzeba mówić poważnie — zniechęca się Cesiek i udaje, że związa swój kram. Jego wyciągnięta po obraz ręka zastyga przez moment w patetycznym geście po czym po wymownej pauzie i równie wymownym zboliałym spojrzeniu Cesiek rzuca: — No dobrze, niech będzie moja strata (Tu Herod-baba promienieje ze szczęścia), sprzedam za... czterysta pięćdziesiąt!

Na twarzy Herod-baby maluje się rozterka i niepokój. Wysypuje teraz jak ziarno z worka biadolenia na tegoroczne złe plony, męża-pijaka, dzieci-krwiopijce, wreszcie złamaną milczeniem Ceśka zgadza się na wymienioną sumę.

Cesiek i Stasiu przybijają targ, pieniądze wędrują z rączki do rączki. Cesiek jest zadowolony, że zarobił te swoje 150 zetów, Herod-baba, że za 450 nie mniejszy będzie mieć obraz od Kotlarzowej, że zaspokoiła swoje potrzeby obcowania z pięknem i że tak tanio załatwiła swoje sprawy z Bogiem.

Trzy godziny później Cesiek pakował pod pachę dwa niesprzedane obrazy: smutnego Chrystusa i frasnoliwego Józefa (widać ludzie lubią tylko wesołych świętych), a sześć godzin później szliśmy oddać szklarzowi jego dołę.

Wiktor WEGGI

Panorama Północy, 7 grudnia 1969

CNOTY I KOTLETY

Uczeni angielscy wymieniają 12 cnót, które powinny cechować sprzedawców sklepowych, a amerykańscy — 16. Obie listy zalet przystawione do naszego przeciętnego sklepu PSS wyglądają humorystycznie, bo weźmy np. dowcip, takt, wdzięk, optymizm. Mamy u nas większą demokrację, więc mając trzy pierwsze cechy można już zostać co najmniej spikerką TV.

Ekspedientolog H. C. Ling z USA i zespół jego brytyjskich kolegów nie wymieniają natomiast w dekalogu zalet zmysłu dyplomatycznego. Ta zaś cecha sprzedawców wydaje się najważniejsza na polskim gruncie.

Zawody sprzedawcy sklepowego i dyplomaty w ogóle są w Polsce bardzo pokrewne. Zadaniem przykładowego dyplomaty jest sprzedawać: polską politykę, towary, piękno krajobrazu. Naczelnym zadaniem polskiego sprzedawcy jest dyplomatyizować. Zły sprzedawca wywiesza napis taki, jaki widniał we wrocławskim PDT: „Środka piorącego 'E' nie ma i nie będzie”. Nie leży w mocy dobrego sprzedawcy wypuszczać każdego klienta z towarem, ale dobry stara się zaszczepić mu przynajmniej optymistyczną nadzieję.

W kręgach ludzi kulturalnych, którzy żyją nie samym chlebem, ale również elektryczną gitarą, kastanietami i IX Symfonią panuje opinia, że najlepszym sklepem w Warszawie jest salon muzyczny na Placu Zamkowym. Udałem się tam wiedziony ciekawością i potrzebą. Trzeba wyjaśnić, że sklep na Placu Zamkowym jest jedynym, który prowadzi szmatki do odkurzania płyt, a moje mają ostatnio chrypkę.

Po wejściu do środka przywitany zostałem uprzejmie, więc chcąc zrobić wrażenie dobrego klienta zapytałem o magnetofon „Polski Grunding”. „Czy dobry?” Jest to najnowsze dzieło naszego przemysłu zrobione w oparciu o zagraniczną licencję. Usły-

szałem, że „Grunding” „owszem jest kupowany” i że „ma dobrą elektryczność”. Brzmiało to fachowo, kompetentnie i nieobowiązująco. Uznałem, że magnetofon jest zły, ale idąca doń z kontaktu elektryczność jest dobra i pełen podziwu dla dyplomatycznych zdolności personelu przeszedłem szybko do sprawy szmatki. I tu nie spotkała mnie żadna kategorycznie zła wiadomość. Szmatki — okazuje się — są, natomiast nie ma ich w sprzedaży. Znajdujące się na składzie wycieraczki zostały niestety przeterminowane, wyparowała z nich substancja czyszcząca. Gdybym jednak zdecydował się nawet na taką, sklep nie ma prawa ich sprzedawać. Właśnie skutkiem odjęcia mu tego prawa szmatki są przeterminowane, mimo dużego na nie popytu. Komisja cen uznała pół roku temu, że cena na szmatki jest wadliwa, czyli za niska i poleciła wstrzymać sprzedaż aż wyznaczy nową cenę. Podjęcie przez Komisję decyzji trwa dłużej niż pół roku, zaś żywot szmatki jest krótszy. Jeśli więc nawet w tym lub przyszłym roku, albo wieku Komisja ustali nową cenę nie będzie to miało praktycznego znaczenia, bo szmatki się wyrzuci.

Należę raczej do stoików, niż pasjonatów, którzy powodowani obywatelską troską skłonni byłiby po takim wyjaśnieniu łątać w sklepie okaryny i rzucać Niemenami. Wyszedłem nakarmiony uśmiechami ekspedientek i zadowolony, że nasz system handlowy nie jest napiętnowany płaskim kramikarstwem. Są bowiem kraje, gdzie usiłuje się upchnąć, wmówić, zbyć, zarobić. U nas baczny się, żeby nie doznała szwanku Idea Wyższego Handlowego Porządku. Wyraża się ona w tym, że władze handlowe wolą stracić na szmatkach, niż choćby do czasu tolerować jakiś nieporządek w strukturze cen. Kalkulacja szlachetna, bo czysta ma pierwszeństwo przed kramikarską.

Jeśli akurat nie ma ważnych imienin, zaduszek, Dnia Nauczyciela, Matki, Kobiet i na domiar złego nikt znaczniejszy w danym mieście nie umarł kwaciarnie wyrzucają na śmieci jedną czwartą do jednej trzeciej swego towaru, bo on więdnie. Jest jednak w życiu kwiatów taki moment, kiedy jeszcze żyją, choć to potrwa jeszcze najwyżej godzinę, albo dwie. Nikt wszakże takich kwiatów nie kupuje, wszyscy szukają świeżych.

Na umierające kwiaty cen nie wolno obniżyć. Każe się raczej towar wyrzucić, niż sprzedać tanio. To samo dotyczy nieświeżego pieczywa, oraz tych jadalnych jeszcze wiktuałów znajdujących się w sklepach i restauracjach, które nie dotrważą do jutra.

Ludzie bez wyobraźni gotowi są twierdzić, że takie postępowanie jest szkodliwe dla państwa, któremu odbiera zarobek i dla ludzi, którym odbiera możliwość oszczędnego kupienia i spożycia rzeczy, i tak idących na wyrzucenie. Nie podzielam tych przeko-

nań. Handel nasz po prostu stawia interes moralny nad materialnym. Łacno sobie bowiem wyobrazić spustoszenia moralne, jakie czyniłaby wśród personelu sklepów elastyczność cen. Wszystkie kwiatki i tak sprzedawane byłyby klientom w cenie świeżych, zaś w wykazach handlowych figurowałyby jako nadwiędłe.

Psychologia burżuazyjna podniosła do rangi prawa współzależność określaną następująco: ludzi wykazujących skłonność i zamiłowanie do tego, by stać na straży cudzej moralności cechuje wygodnictwo myślowe. Bezmyślność lubi się przejawiać w zamiłowaniu do strzeżenia cudzego morale. Jest to oczywiście spekulacja mająca na celu podważenie prestiżu niektórych kierowników naszego handlu. Idąc po tej mylnej linii rozumowania można by twierdzić, że jeśli jakiś system sprzedaży towarów wiedzie do ich marnotrawienia, czyli strat materialnych, a przyjęcie systemu przeciwnego wiedzie do strat moralnych — to trzeba szukać trzeciego wyjścia. I zaraz ktoś mędrkuje, że kwaciarnie lepiej byłoby oddać w ajencję, wysoko śrubując tenutę, a artykuły spożywcze można przeceniać *ad hoc* bez wielkiego ryzyka nadużyć, jeśliby komisję kompetentnych urzędników można było wzywać o każdej porze przez telefon. Są to wszystko jednak pomysły godzące w istotę naszego systemu sprzedaży, bo powodujące komplikacje i zmierzające do tworzenia wrażenia, że handel uspołeczniony niczym dziewiętnastowieczny lichwiarz połaszcza się na każdą złotówkę. Są to również pomysły zbędne, obce naszym tradycjom i obyczajom. Podobne koncepcje wydumywane bywają za biurkiem w oderwaniu od realiów życia.

W mieście powiatowym Brodnica w tamtejszej restauracji zamówiłem kotlet schabowy, który okazał się nieświeży. Nie taiłem tego wrażenia i poprosiłem o wymienienie kotletu na inne danie. Załatwiono to bez protestu i marudzenia. Podobne kotlety zamawiali wszyscy wokoło. Niektórzy zjadali je, inni, wrażliwsi odsyłali do kuchni. Kelnerka wyjaśniła, że skutkiem podawania nieświeżego mięsa zakład nie poniesie straty. Do wieczora przyjdzie tu więcej niewrażliwych i pijanych, niż jest w kuchni kotletów.

Kelnerka nie wspomniała oczywiście, że nadjedzone nieświeże, zwrócone schaboszczaki przerobione będą gospodarnie na mielone kotleciki pożarskie.

A wniosek z tego jest prosty, po cóż komplikować to, co tak dobrze utarło się w życiu, a jak nawet nie utarło, to zmieliło na kotleciki pożarskie?

KLAKSON

Życie Gospodarcze, 31 sierpnia 1969

Rozdział Drugi

PLANOWANIE W STYLU PRL

W CIENIU PIRAMID

Prasę obiegła niedawno wiadomość o tym, że jeden z polskich instytutów budowlanych prowadzi żmudne badania nad technologią budowy piramidy Cheopsa. Rzeczywiście wygląda to na smętną groteskę w zestawieniu ze znanymi niedostatkami polskiego budownictwa współczesnego, czy powtarzającymi się — jak co roku o tej porze — publikacjami pt. „Budowlani nadrabiają zaległości”.

Czy jednak sam fakt zajmowania się sposobami budowy egipskich piramid, dotychczas zresztą przez naukę światową nie wyjaśnionymi, a więc czy ten fakt wypreparowany z całości pracy owego instytutu i zaprezentowany w ten sposób publiczności — cokolwiek nam wyjaśnia? Tzn. czy wyjaśnia — dlaczego instytuty w ogóle mają u nas opinię placówek chętnie odrywających się od codziennych potrzeb gospodarki, co zresztą w wielu przypadkach jest niestety faktem?

Nie zamierzam ani bronić tego instytutu, ani potępiać go czy wykpiwać. Bo żeby móc cokolwiek sensownego tu powiedzieć, trzeba by wiedzieć, co oprócz tego ów instytut robi i jaką część swego naukowego potencjału poświęcał polskiemu budownictwu współczesnemu, a jaką piramidom. Sam bowiem fakt zajmowania się piramidami o niczym przecież nie świadczy. Przeciwnicy piramid oczywiście mogą powiedzieć, że tyle spraw czeka na rozwiązanie, tyle problemów technicznych i organizacyjnych widać na każdej budowie czy w biurze projektów, a oni tu marnotrawią czas na dociekania, w jaki sposób wtaszczo na taką wysokość ogromne bloki równo ciosanego kamienia. I jest w tym na pewno sporo racji. Ale jednak...

No właśnie: nieraz już się okazywało, że badania nad zdawałoby się kompletnie pozbawionymi praktycznego znaczenia zagadnieniami — przynosiły niespodziewanie ogromne korzyści. Nie

tylko „czysto naukowe” ale zgoła praktyczne. Bądź co bądź jeszcze całkiem niedawno astronomów uważano dość powszechnie za nieszkodliwych maniaków. Pomijając już rozwój kosmonautyki w ostatnich latach, można by przypomnieć, że z jałowego ponoć gapienia się na gwiazdy zamiast zajęcia się np. stolarstwem — powstała sztuka nawigacji gwiazdnej, bez której nigdy nie rozwinęłaby się żegluga morska. Są to prawdy oczywiste, ale nie zawodzi ich przypomnieć w dobie wielkiej dyskusji o instytutach i w ogóle o roli nauki w gospodarce. I to tym bardziej, że niektórzy dyskutanci, kierowani szczerą troską o przybliżenie nauki do potrzeb życia codziennego, zdradzają skłonność do popadnięcia w drugą skrajność, znaną pod nazwą ciasnego utylitaryzmu.

Byłoby też ogromnie interesujące dowiedzieć się — ile praktycznych opracowań naukowych, nadających się do zastosowania w projektowaniu i na budowach, rzeczywiście do tej praktyki trafiło, a jaka ich część nie zyskała nawet cienia zainteresowania praktyków budownictwa, zajętych „nadrabianiem opóźnień”. Z licznych publikacji na ten temat wiadomo, że — nie tylko w budownictwie — odsetek nie wykorzystanych a nadających się do zastosowania praktycznego opracowań naukowych czy po prostu nowych konstrukcji i technologii — jest zatrażająco wielki. Oto zaledwie pół roku temu, pewne przedsiębiorstwo tak pisało do inżyniera A. T., wynalazcy:

„... Przyjęcie do planów od II półrocza br. i na dalsze lata (tu nazwa wynalazku) ze względu na niską cenę zbytu... bardzo ujemnie wpłynęłoby na wykonanie zadań globalnych i mogłoby spowodować między innymi pozbawienie premii całej załogi”.

Nie wiem, czy po otrzymaniu takiego listu p. inż. A. T. nie wolałby zająć się pasjonującym z naukowego punktu widzenia problemem piramid, którego rozwiązanie nie pozbawiłoby nikogo premii i nie naraziło żadnego przedsiębiorstwa na niewykonanie zadań globalnych...

Zjawisko „ucieczki od praktyki”, dość często obserwowane w naszych placówkach naukowych czy nawet biurach naukowych czy nawet biurach konstrukcyjnych — jest oczywiście wypadkową bardzo wielu czynników. Są wśród nich na pewno i takie, jak niechęć do ryzyka, umiłowanie spokojnego życia, nawet zwykłe nierobstwo. To się zdarza, ale to przecież nie jest reguła. Ludzie nie są z natury swej gnuśni, leniwi, pozbawieni wewnętrznej potrzeby robienia rzeczy dobrych i potrzebnych. Jeżeli nazbyt często jednak takie cechy objawiają, postępując tym samym niejako wbrew własnej naturze — to najwidoczniej ulegają presji jakichś okoliczności, bodźców materialnych i psychologicznych, z którymi nie umieją sobie poradzić.

Bardzo ważne są systemy organizacyjne, płace, premie itd., itp. Ale doświadczenie wielu krajów Wschodu i Zachodu dowodzi, iż rozwój techniki nie jest prostą funkcją tych czynników. Jest w tym zawsze coś nieuchwytnego, trudnego do zdefiniowania, co sprawia, iż w umysłach ludzkich ów postęp utożsamia się z zaspokojeniem ich ambicji. I to jest najtrudniejsze.

Wojciech KUBICKI

Życie Warszawy, 25 listopada 1969

BARWY POSTĘPU

Ukazało się właśnie więcej niż setne wydanie książki, której bez ryzyka błędu przepowiadać można kolosalną poczytność. Chodzi o kolejowy rozkład jazdy. Dla niektórych jest on lekturą czysto użytkową. Dla mnie przede wszystkim krzepiącą. Czytanie rozkładu jazdy przywraca wiarę w postęp. Właśnie miałem ją osłabłą, jak wszystko we mnie latem, kiedy postanowiłem spędzić wieczór nad rozkładami jazdy z różnych lat. Od 1896 roku ubyla nam tylko jedna linia kolejowa: Warszawa-Petersburg i jedno zarządzenie kolejowe głoszące: *Powozy, konie i inne zwierzęta winny być dostawiane do ekspedycji na dwie godziny przed odjazdem*. Lecz poza tym — jakie zmiany! W roku 1897 pociąg pokonywał przestrzeń między Warszawą a Białymstokiem w 3 godziny 50 minut. Obecnie pożera ją już tylko w 3 godziny 49 minut. Jeszcze większy postęp dokonał się na uczęszczanej trasie Warszawa-Skierniewice. W roku 1896 podróż trwała 70 minut, a obecnie zaledwie 61 minut. Dzięki zastosowaniu torów bezstykowych, elektryfikacji linii, dzięki automatycznemu sterowaniu biegiem pociągów (*last but not least*) upaństwowieniu kolei, do Częstochowy przybywamy dziś z Warszawy o 43 minuty szybciej niż w roku 1896. Nie na wszystkich liniach postęp może satysfakcjonować w tym samym stopniu. Podróż do Gdańska jest krótsza dziś, niż w 1897 r., kiedy podróżowało się sznelcugiem podzielonym na „powozy” klasy I, II, III i IV — o jedną godzinę 43 minuty, ale to dzięki temu, że odpadły formalności graniczo-celne i przy wyjeździe z Warszawy podróżni nie muszą już wysiadać dla opłacenia rogatekowego w wysokości 1½ kopiejki od osoby.

Nie wszędzie, niestety, elektryfikacja linii od razu przyniosła spodziewane owoce. W roku 1896 z Warszawy do Tworek jechało się koleją parową tylko 25 minut, a w roku 69 elektryczną Kolejką Dojazdową jedzie się niestety 38 minut. Waży tu przy-

puszczalnie przeciążenie linii o wiele większe dzisiaj niż w la Belle Époque.

Do Londynu jedzie się obecnie o 12 godzin i 19 minut dłużej niż 73 lata temu, ale to naprawdę nie ma szerszego znaczenia społecznego. Wkrótce to samo będzie można powiedzieć o całym rozkładzie kolejowym.

W Polsce rozumna wiara w postęp powinna być wybiorcza. Wyjaśnię, co przez to rozumiem. Przez długie dziesięciolecia za budowania dworca kolejowego w Koluszkach, będących węzłem przesiadkowym, składały się z obskurnych baraków. Ludzie tłoczyli się w nich z wiarą, że kiedyś stanie w tym miejscu wspinały budynek z szarego betonu. I nie zawiedli się. Ale można na to spojrzeć i od innej strony, że ustępy w tym nowym, wspinałym gmachu wyglądem i zapachem nie różnią się od dawnych tutejszych straszliwych latryn. Aby wiara w postęp nie była zachwiana przez takie byle co — trzeba po prostu z góry zakładać niezmiennosc kolejowych ustępów.

Może myśl nie jest jeszcze zupełnie jasna... Weźmy więc takie dwa fakty oderwane od siebie. Czytelnik pisze do redakcji z oburzeniem, że kupił dziurkacz do papieru sporządzony z blachy tak tandetnie spojonej, iż kiedy w trakcie pełnienia czynności urzędowych naciska dźwignię, żeby zrobić w aktach dwie dziurki i włożyć je do skoroszytu — cały mechanizm się rozlatuje, a upragnione dziurki nie powstają. I fakt drugi: nie robimy w Polsce dobrze, taniego, masowego samochodu osobowego, o którym wszyscy marzą.

Jestem zupełnie pewien, że nadejdzie dzień, kiedy tani, masowy (może nawet dobry) polski samochód małowitrazowy pojawi się nagle, ni stąd ni zowąd, zrodzony z miłości i tęsknoty, sporządzony psim śwędem. Wyznawca idei postępu integralnego odezwie się wówczas. Napisze, że skoro nie budując fabryki samochodów, w półkonspiracji i z niczego uruchomiliśmy masową produkcję polskiego Volkswagena, to dlaczego dziurkacze do papieru nadal się rozlatują? Teraz tym bardziej — nie mają prawa. Otóż jestem odmiennego zdania.

Sprawa samochodu wcale nie będzie precedensowa. Czytałem, że za okupacji w Suchedniowie, w małej prowincjonalnej fabryczce kilku robotników i techników-półamatorów skonstruowało i jeździło w konspiracji seryjnie wytwarzać pierwszy polski pistolet maszynowy pod każdym względem górujący nad ówczesną produkcją wielkobrytyjskiego przemysłu zbrojeniowego. A w ponad ćwierć wieku później dziurkacze się — proszę — rozlatują!

Nasz postęp cywilizacyjny integralnym być nie może, bo polskimi działaniami pragmatycznymi, polską twórczością techniczną

i improwizacją organizacyjną steruje wiara, nadzieja i miłość. Nie ogarnia ona dziurkaczy do papieru, nie koncentruje się na szaleciach publicznych, nie obejmuje wielu innych z rozumowego punktu widzenia i bardzo ważnych zjawisk i wyrobów. Pistolet maszynowy to była w one lata święta sprawa. Nie zabłąźnię, jak się okazuje, to samo mówiąc dziś o samochodzie.

W podwarszawskiej miejscowości letniskowej Podkowa Leśna nie ma niczego awangardowego poza pisarzem Markiem Nowakowskim i kościołem parafialnym. W czasie nabożeństw swoje big-beatowe antymelodie grają w nim „Trapiści”. Co roku tamtejszy proboszcz urządza „Autosacrum”, czyli nabożeństwo dla samochodów. Właściciele modlą się „drive in”. „Słowo Powszechne” przyniosło relację z tej uroczystości. Reporter opisywał ołtarz wsparty na maskach samochodów i księdza Piwowarczyka, który osobiście skrapiał święconą wodą każde auto od najwspanialszego Mercedesa poczynając na zdezelowanym Moskwiczu i najmniejszej Syrence kończąc. Nad przykościelnym placu rozbrzmiewały sakralne wezwania płynące z gigantofonu:

Módlmy się za konstruktorów, pracowników przemysłu samochodowego i motoryzacyjnego...

Módlmy się za nas wszystkich tu zgromadzonych, aby zdobycze techniki motoryzacyjnej były drogą do osiągnięcia najwyższego celu.

Wszchemogący wieczny Boże! Ojczy nasz najlepszy! Ty przeznaczyłeś wszystkie rzeczy na tej ziemi, a więc także samochody i motocykle dla Twojej chwały... Prosimy Cię pobłogosław te wszystkie pojazdy... Wierni słudzy Twoi, którzy mkną po asfaltach tego świata, niech przestrzegają Twoich praw i przepisów bezpiecznej jazdy... Sprawozdawca „Słowa” tymi słowy kończy reportaż: Patrę na pamiątkową plakietę. Na tle nowoczesnej sylwetki samochodu idzie przez rzekę św. Krzysztof. Na ramionach niesie Jezusa. Towarzyszy w drodze nowoczesnemu samochodowi.

Tak to został zmotoryzowany jedyny już dotychczas pieszy wśród żyjących (jak jest głoszone) autorytetów ludzkości.

W takim jak nasz kraj, gdzie namiętne dyskusje o motoryzacji znakomicie wyprzedzają ją samą, a toczą się w biegnących truchcikiem pociągach — głupotą jest nie wierzyć w Postęp, ale jeszcze większą spodziewać się postępu integralnego. W skomputeryzowaną epokę sytości wkroczyliśmy ze skłonnościami do rozlatywania się dziurkaczami i butami, z magnetofonami „Grunding Polski”, które obcinają tony niskie i wysokie, jeśli przedtem nie rwą taśmy, i z ustępami na dworcach, do których ludziom jeszcze mniej będzie się spieszyć niż pociągiem z Warszawy do Londynu.

No i cóż z tego, malkotenci, czepiający się byle dziurkacza i czyniący zeń epokę swojego poglądu na świat?! Nasz postęp będzie rwący, bo uskrzydłony wiarą, miłością i nadzieją i skropiony święconą wodą w Leśnej Podkowie, a nie pedantyczny, drobiazgowy, higieniczny i małostkowy. Skoro nie chce — ten postęp być największym w świecie i integralnym — niechaj przynajmniej zadziwi świat swą oryginalnością.

Jerzy URBAN

Polityka, 2 sierpnia 1969

CO MAMY Z ELEKTRYFIKACJI?

W elektryfikacji kolejowych linii przekroczyliśmy już półmetek. Sieć trakcyjna zawisła nad prawie 3.300 km torów. Niedawno oddano do ruchu ostatni zelektryfikowany odcinek Czachówek-Radom, dzięki czemu stolica przybliżyła się do uprzemysłowionych rejonów na południu kraju. Pomyślnie przebiegają prace elektryfikacyjne na trasie Wrocław-Poznań. W roku bieżącym inwestycja ta zostanie zakończona.

Każdego roku kolej elektryfikuje około 300 km torów. Statystycznie biorąc, pod względem tempa elektryfikacji wysunęliśmy się na jedno z pierwszych miejsc w Europie.

Jakie są efekty zamiany parowozów na elektrowozy? Krótko mówiąc: co mamy z elektryfikacji?

Sieć trakcyjna i... reszta

Pytanie to nurtuje ostatnio nie tylko specjalistów od zagadnień transportu ale również pasażerów korzystających z usług PKP. Wiadomo, że kolej przeżywa szczególnie duże trudności.

Plany przewozów nie są wykonywane. Pogorszyły się warunki bezpieczeństwa jazdy. Opóźnienia pociągów stają się zjawiskiem codziennym, nie tylko wtedy, gdy termometry wskazują temperaturę poniżej zera. Słynna z dobrej tradycji i punktualności kolej pracuje coraz gorzej. PKP z trudem wytrzymują rosnący napływ pasażerów i towarów. Wszystko to dzieje się w czasie, gdy kolej się modernizuje, gdy transport postawił na technikę i postęp, gdy nowoczesna trakcja elektryczna zastępuje parową.

Zrozumiałe jest więc, że obecna sytuacja wywołuje niepokój opinii publicznej oraz środowisk kolejarskich. Elektryfikacja pochłonęła już wiele miliardów złotych, zajmując drugie miejsce po

wydatkach na tabor w inwestycjach tego resortu. Dlaczego nie widać wyraźnej poprawy?

Znawcy zagadnień kolejowych są zgodni co do tego, że gdyby nie elektryfikacja, to obecny kryzys pojawiłby się jeszcze w ostrzejszej formie, ponieważ w stosunku do lat 50-tych podwoiła się liczba przewozów pasażerskich i towarowych, przy nie zmienionej liczbie pracowników kolei i na tej samej sieci.

Głębokiej analizy wymaga wprawdzie sprawa, czy kolej musi tyle wozić, czy większa integracja środków transportu i bardziej racjonalny podział pracy między wagony i samochody nie zmniejszyłyby transportowych kłopotów. Wiadomo, że transport samochodowy, zwłaszcza rozproszony, który znajduje się w dyspozycji przedsiębiorstw, posiada jeszcze rezerwy. Ale to już osobny temat.

Dość często można spotkać się z opinią, że potencjalne zalety i efekty nowoczesnej trakcji nie są w pełni wykorzystane. Sięgnijmy więc do przyczyn tego stanu rzeczy.

Elektryfikacja, to nie tylko sieć zawieszona nad torami, ale pełna synchronizacja wszystkich współzależnych elementów w tym skomplikowanym mechanizmie, jakim jest kolej. Cóż z tego, że lokomotywy elektryczne mogą rozwijać szybkość do 120 km na godzinę, jeżeli do tej szybkości nie są dostosowane tory, jeżeli przestarzałe technicznie wagony psują się w czasie szybkiej jazdy.

Chlubiąc się tak szybkim tempem rozwoju elektryfikacji, musimy równocześnie rumienić się ze wstydu przy porównaniu wskaźników szybkości jazdy w 22 zarządkach kolei w Europie. Możemy się bowiem odnaleźć na jednym z ostatnich miejsc. A przecież głównym plusem zamiany parowozów na elektrowozy jest usprawnienie pracy, zwiększenie przelotowości linii, szybkości jazdy.

Tymczasem aktualny stan torów oraz prowadzone w trakcie ruchu prace modernizacyjne zmuszają maszynistów do jazdy z ograniczoną szybkością, powodują komplikacje w kursowaniu pociągów. Poważne trudności spowodowane są niskim stopniem mechanizacji robót torowych. W niektórych dyrekcjach przebudowę i unowocześnianie torów długości 30-50 km rozkłada się na okres 3-4 lat.

Daleko w tyle została rozbudowa zaplecza remontowego. Zwiększa się liczba elektrycznych i dieslowskich pojazdów, ale warsztaty nie są przygotowane do bieżących napraw i konserwacji tego taboru. Innymi słowy — coraz wyraźniej dają się odczuć skutki niekompleksowej modernizacji sieci PKP. Ujawniają się luki w zapleczu techniczno-eksploatacyjnym i organizacyjnym. Kolej jest przeciążona, rosną przewozy, wzrasta liczba pociągów co przy ograniczonych możliwościach przepustowych linii i stacji odbija się ujemnie na całej organizacji pracy.

Jak podkreślono na jednym z ostatnich posiedzeń sejmowej Komisji Komunikacji i Łączności „Wprowadzając nowe środki techniczne i nowoczesny tabor na PKP, organizuje się nadal pracę starymi metodami. Poszczególne jednostki służbowe PKP często charakteryzuje swego rodzaju partykularyzm, polegający m.in. na tym, że realizuje się określone zadania bez należytej współpracy z sąsiednimi jednostkami, a często bez uwzględnienia trudności, jakie tam występują. Np. pociąg opóźniony z przyczyn technicznych na terenie jednej dyrekcji PKP czeka godzinami przed semaforem w dyrekcji sąsiedniej często bez potrzeby i tylko dlatego, że opóźnienie to idzie wyłącznie na konto „sąsiada”.

Nie najlepiej wygląda również przygotowanie kadr. Dzięki elektryfikacji, kolej stała się po energetyce największym użytkownikiem urządzeń elektrycznych w kraju. Eksploatuje się tu dziesiątki różnych typów maszyn elektrycznych, silników trakcyjnych, aparatów elektrycznych na wysokie i niskie napięcie. Liczba magistrów elektryków, zatrudnionych na kolei — o czym pisała niedawno prasa — jest jednak mniejsza niż w innych resortach korzystających w skromniejszym zakresie z energii elektrycznej.

Jak uniknąć starych błędów

Jest rzeczą bezsporną, że niezależnie od rozwoju transportu samochodowego, w naszych warunkach kolej jest i będzie głównym ośrodkiem transportu. W najbliższych latach przewiduje się dalszą modernizację PKP drogą zamiany koni parowych na mechaniczne. Do roku 1980 elektryfikacja obejmie około 6,5 tys. kilometrów linii. Koncentrować się na nich będzie 75 proc. przewozów. Słuszność tych koncepcji i zamierzeń rozwojowych nie budzi zastrzeżeń.

Z rozmów z fachowcami wynika jednak, że są różnice zdań, co do tempa elektryfikacji na najbliższe lata. Czy utrzymać dotychczasowe tempo, elektryfikując średnio 300 km rocznie, czy elektryfikować mniej? Dotychczasowa praktyka wskazuje bowiem na to, że bez kompleksowego przygotowania linii kolejowych i zaplecza w szerokim tego słowa znaczeniu, efekty eksploatacyjne i ekonomiczne są dużo mniejsze niż wynika z wszystkich teoretycznych założeń. Dobrodziejstwa nowej trakcji nie odczuwają jeszcze w dostatecznym stopniu ani kolejarze, ani podróżni.

Warto więc obejrzeć się wstecz, dokonać bilansu i wykorzystać dotychczasowe doświadczenia dobre i złe aby w przyszłości nie popełniać starych błędów. Bywało, że po uroczystym przecięciu wstęgi na nowo zelektryfikowanej linii, po przemówieniach i uro-

czystym wjeździe pociągu nadzwyczajnego, niewiele się zmieniło i pociągi normalnie krusujące, wlokły się nadal w żółtym tempie. Nie odosobnione są także przypadki, że na niektórych odcinkach kolejowych po zawieszeniu sieci trakcyjnej, pociągi jeżdżą wolniej niż przed elektryfikacją. Tak jest np. na trasie Kraków-Medyka, gdzie bez modernizacji torów, nie ma mowy o przyspieszeniu jazdy.

Na obecną sytuację na kolei składa się w sumie cały łańcuch przyczyn dość złożonych i różnorodnych. Modernizacja żelaznych szlaków kosztuje drogo. Środki inwestycyjne przeznaczane na kolej dopasowane były do możliwości a nie rzeczywistych potrzeb kolejowego transportu. Zaległości są wielkie i stale rosną. Może by więc odwrócić kolejność i przede wszystkim wyrównać luki, zabezpieczyć kompleksowe warunki dla nowoczesnej trakcji, a sieć zawieszać na końcu. Chodzi bowiem nie o efekty statystyczne, ale faktyczne, odczuwalne przez pasażerów i widoczne w lepszej, sprawniejszej pracy kolei i kolejarzy.

Wanda STRZELECKA

Trybuna Ludu, 7 stycznia 1970

NIEZWYKŁE PODRÓŻE SZCZOTEK

Ta historia jest najprawdziwsza pod słońcem o czym wiedzą doskonale urzędnicy z PKP. Chodzi o zwykłe szczotki ryżowe przeznaczone do szorowania podłóg. Aby je otrzymać sprzątaczką pracującą na kolei podpisuje odpowiedni kwit. Każda z nich dobrze wie na ile tygodni pobrana z magazynu szczotka ma jej wystarczyć. Do tej chwili wszystko jest zupełnie zrozumiałe i nie budzi niczyjej wątpliwości. Ostatecznie szczotka też kosztuje ileś tam złotych i musi być odpowiednia dokumentacja z jej wydania. Ponieważ jednak żywot ryżowej szczotki jest bardzo krótki, sprzątaczkę pobierają je z magazynu w większej ilości. W sumie na największej w kraju stacji PKP w Tarnowskich Górach zużywa się ich kilka tysięcy sztuk w ciągu dwóch lat.

Każda sprzątaczką jednak nie może po prostu wyrzucić zużytej szczotki ryżowej chociaż, jeśli tak to można określić, eksploatowała ją zgodnie z normą czasu. O nie, to byłoby za proste i za łatwe.

Zużyte szczotki, czyli te kilka tysięcy sztuk, trzeba z powrotem przekazać za pokwitowaniem do magazynu, gdzie zajmują one oczywiście odpowiednie miejsce. Następnie szczotki, a raczej to co z nich zostało przeliczają odpowiedzialni za zaopatrzenie ludzie. Kiedy rachunek się zgadza, naczelnik stacji występuje o przydział specjalnego wagonu, którym szczotki zostają przewiezione do wyznaczonej stacji PKP i tam komisjinie odebrane i wreszcie spalone. Nie wolno ich bowiem palić u siebie na miejscu, ponieważ, prawdopodobnie odpowiednia komisja, nie miałaby co przeliczać, a tym samym nie miałaby nic do roboty.

Patrząc więc często na długie składy towarowych pociągów przemierzających nasz kraj pamiętajmy, że w którymś z zaplombowanych wagonów podróżują sobie smętne resztki ryżowych szczotek, na które ktoś jeszcze czeka i za to czekanie temu komuś płacą.

Sądząc po tej niebywalej trosce z jaką na PKP otacza się ryżowe szczotki do szorowania, nawet te całkiem zużyte, moglibyśmy przypuszczać, że kolej, to wyjątkowy czyścioszek. Nie byłoby nic bardziej niedorzecznego jak snuć takie właśnie przypuszczenia.

Bowiem z roku na rok nasze pociągi pasażerskie stają się coraz brudniejsze. Nawet te najnowsze wagony, piękne, czyściutkie, które dopiero co opuściły fabrykę, po roku eksploataowania na PKP wyglądają jak kopciuszki. Szczególnie brudnawe są składy pociągów dalekobieżnych na niektórych liniach.

Oto codziennie rano wyjeżdża z Krakowa, zdążając do Szczecina pociąg, który inspektorzy „sanepidu” ze względu na warunki sanitarne w nim panujące, powinni zatrzymać na najbliższej stacji i wycofać z ruchu. Nie umyte okna, lepzące się od brudu ściany przedziałów, straszliwie zakurzone „fotele” wagonu pierwszej klasy i niemniej brudne siedzenia przedziałów drugiej klasy — oto jak bardzo często wygląda opuszczający macierzystą stację pociąg dalekobieżny, który ma przejechać ponad pięćsetkilometrową trasę.

Prawie wszystkie składy wieloczlónowych szybkich „elektryczniaków” kursujących pomiędzy Katowicami i Krakowem a także do Częstochowy, Opola, Wrocławia i Łodzi nie przeszły dotychczas gruntownej toalety. Obrzydzenie ogarnia człowieka, kiedy ma zająć miejsce w wagonie pierwszej klasy i widzi przed sobą wyplamione siedzenia, kiedy czuje smród z nieopróżnionych pojemników na śmieci. Przyjemność podróżowania w tych „jedyńkach” kosztuje o połowę drożej, pasażer kupując taki bilet ma nadzieję, że pojedzie w warunkach lepszych niż te jakie panują w pozostałych wagonach. Nie wiadomo dlaczego jedynki są przejściowymi wagonami i służą do wygodniejszego wchodzenia lub wychodzenia z pociągu pasażerom „dwójek”. Stąd drzwi w tych wagonach nigdy nie są zamknięte. Stąd podróż w tych wagonach staje się udręką.

Wydaje mi się, że wagony tzw. klasy pierwszej trzeba zlikwidować lub niezwłocznie poprawić warunki podróżowania nimi. Nie można bowiem żądać za bilet drożej w zamian nie zapewniając pasażerowi najmniejszych wygód, które przecież opłaca.

Nie mogę również zrozumieć dlaczego importowane wagony z NRD, które jeżdżą już od kilku lat na wielu uczęszczanych trasach w kraju, tzw. piętrusy, do dzisiaj są „głuche”. Wszystkie nowe wagony nie tylko zresztą piętrusy, posiadają całkowitą radiofonizację. Czemu nikt na PKP nie pomyślał dotychczas o tym, aby ta radiofonizacja była czynna? Dlaczego kierownik pociągu nie może poinformować przez głośniki podróżnych do jakiej stacji

pociąg się zbliża, dlaczego podróżny, po przekręceniu włącznika, nie ma możliwości wysłuchać radiowego dziennika czy posłuchać muzyki? Przecież podobną radiofonizacją objęte są wszystkie pociągi pasażerskie w ZSRR i w innych krajach socjalistycznych. Czy nas na to naprawdę nie stać?

Pasażer PKP stał się już bowiem i staje coraz mniej cierpliwy. Zdoła sobie on jeszcze wytłumaczyć tzw. wyższymi potrzebami przewozowymi, że rozkład jazdy pociągów to taka książka, w której jest podany orientacyjny czas odjazdów i przyjazdów pociągów pasażerskich. Zdaje sobie także dobrze sprawę z tego, że nasze linie kolejowe pękają w szwach i decydując się na daleką podróż ekspresem lub pociągiem pospiesznym jest bardzo szczęśliwy jeśli dojedzie do stacji przeznaczenia tylko z godzinnym opóźnieniem.

Chce jednak podróżować lepiej, kulturalniej. Oburza się i słusznie, gdy na stację podstawia się pociąg, w którym czystość w wagonach budzi wstręt ludzi zajmujących w nich miejsca. Słusznie również uważa się za oszukanego jeśli przepłacając bilet „jedynki” musi później uważać aby nie wybrudzić garnituru od miejsca „fotelowego”. (Jest również oburzony, gdy wsiadając do wagonu z miejscówkami spotyka kilku pasażerów z podobnymi biletami na to samo miejsce).

Nie wystarcza bowiem, od wielkiego święta pozamiatać korytarze i przedziały wagonów. Trzeba także je odkurzyć, obmyć okna i ściany w przedziałach ciepłą wodą. Aby tego dokonać nie potrzeba miliardowych inwestycji. Wystarczy tylko etaty urzędników zajmujących się liczeniem i wożeniem od stacji do stacji zużytych szczotek przeznaczyc na powiększenie liczby sprzątaczek. I nie rozliczać je za każdą użytą szczotkę ryżową lecz za czystość w powierzonych im składach pociągów pasażerskich. Innej rady nie ma.

Karol MAREJDA

Fakty i Myśli, 9-22 listopada 1969

DYSCYPLINA BEZ USPRAWIEDLIWIENÍ

Niedomagania transportu lądowego, zwłaszcza zaś kolejowego sprawiły, że problematyka komunikacyjna znalazła się znowu w centrum uwagi. Na łamach „Życia Warszawy” niejednokrotnie wskazywaliśmy na niebezpieczną dysproporcję pomiędzy potrzebami transportowymi kraju a zdolnością przewozową kolei. Zdając sobie nadal sprawę z wagi braków taborowych, nie-

doinwestowania, konieczności poprawy stanu torów, czy zwiększenia przepustowości urządzeń sieciowych, chcielibyśmy dziś poświęcić więcej miejsca zjawiskom niezwykle niepokojącym, które nie zawsze można tłumaczyć brakiem wyposażenia technicznego kolei.

Seria katastrof kolejowych, często tragicznych w skutkach, budzi zrozumiałe zaniepokojenie opinii publicznej. Warto wszakże zwrócić uwagę na pewne wspólne tło najbardziej ostatnio głośniejszych katastrof. Pod Zgierzem maszynista przejechał znak „stój”. Pod Kutnem dochodzi do czołowego zderzenia ekspresów, gdyż dyżurny ruchu wpuścił pociąg na zajęty tor. Pod Kościerzyną lokomotywa pociągu była obsługiwana przez nietrzeźwy personel.

Być może gdybyśmy zanalizowali wszystkie wypadki kolejowe, jakie wydarzyły się od początku tego roku, mogłoby się okazać, że większość z nich nastąpiła z przyczyn technicznych. Ale na przekór tej statystyce przyczyną tych największych katastrof było karygodne łamanie elementarnych praw kolejowych. Śmierć lub kalectwo ludzi wywołane zostało zatem brakiem dyscypliny zawodowej, która w tym przypadku jest absolutnie podstawowym warunkiem pracy.

To widoczne rozluźnienie dyscypliny nie jest tylko jakimś fatalnym zbiegiem okoliczności, właśnie w przypadku tych najboleśniejszych katastrof. Często bowiem bezmyślność, gapiostwo, brak poczucia odpowiedzialności, bywają przyczyną mniej głośniejszych, ale za to bardziej licznych wypadków. Zwrócił na to uwagę niedawno min. M. Zajfryd w wywiadzie prasowym. Ma swoją wymowę wykrzyk w ubiegłym roku ponad 1200 przypadków pijaństwa kolejarzy na służbie. W jednym przypadku kończy się takie rozprzężenie katastrofą, w innym powoduje jedynie zakłócenie toku pracy, w innym jeszcze przyczynia się do zwiększenia tak bardzo licznych ostatnio spóźnień pociągów.

Dziwna statystyka

Spośród listów, jakie napływają do „Życia Warszawy” na tematy komunikacyjne — a zebrała się ich bogata kolekcja — najwięcej poświęconych jest ostatnio spóźnieniom pociągów.

Jednakże skala spóźnień wydaje się nieproporcjonalnie duża w porównaniu do tych różnego rodzaju przyczyn rzeczywiście obiektywnych. Spóźniają się bowiem pociągi na liniach nie remontowanych ani nie modernizowanych, spóźniają się pociągi lokalne choć po drodze nie było żadnej awarii. A zwłaszcza z opóźnieniem wyjeżdżają pociągi ze stacji wyjściowych niestety czasem bez ważkich ku temu powodów. Brak jest chyba jakiejś dokładnej a jednocześnie rzetelnej ewidencji, która mogłaby wykazać jaki odsetek spóźnień ma swe źródło nie w chorej technice, ale rozluźnionej dyscyplinie.

Życie Warszawy, 12 listopada 1969

BUBLOROBY WBREW WOLI

16 września 1969 roku decyzją Ministra Handlu Wewnętrznego zawieszono sprzedaż kuchenek gazowych z piekarnikiem typu „Krafo IIIa” produkcji Krakowskiej Fabryki Okuć Budowlanych. Kontrola Centralnego Laboratorium Gazownictwa wykazała, iż kuchenki posiadają nieszczelne zawory gazowe, przez co stwarzają poważne niebezpieczeństwo dla użytkowników. Po orzeczeniu laboratorium Ministerstwo uznało za konieczne wydać decyzję nr 14/69 zakazującą społecznym jednostkom handlu detalicznego z dniem 20 września 1969 r. zakupu kuchni gazowych „Krafo IIIa”. I dalej: „towar ten znajdujący się aktualnie w jednostkach handlu polecam zwrócić do producenta w ramach zgłoszonej reklamacji z tytułu wady ukrytej”. Kropka! Podpis Ministra Handlu Wewnętrznego.

Pierwsza wizyta w Państwowym Inspektoracie Paliwowo-Energetycznym, instytucji decydującej o dopuszczeniu do eksploatacji urządzeń i aparatów gazowych. Inżynier Mroczkowski mówi: „Sprawa nie jest jeszcze zakończona i nie jestem w stanie wypowiedzieć się na ten temat. Natomiast mówiąc prywatnie — znam krakowskich producentów „Krafo” i nie sądzę, żeby zależało im na robieniu afer, które mogą skończyć się dla nich tragicznie. To mądrzy ludzie i dobrzy fachowcy. A jeżeli chodzi o samą kuchenkę — jest to typ mocno przestarzały, nie odpowiadający polskim normom i co tu ukrywać, przyjętemu standardowi. Ponadto produkowana na zużytych tłoczniach i sztancach kuchenka „Krafo” jest, łagodnie mówiąc, nie najdokładniej wykonana. Wszyscy wiedzą o tym od dawna i prawo produkcji tych kuchenek, czyli tzw. odstępstwo od PN, wygasło z dniem 30 czerwca br. Ale w Krakowie kuchenki produkowali jeszcze w lipcu i sierpniu. Wysłałismy więc do fabryki pismo karne”. Inż. Mroczkowski zdaje się nie podzielać opinii, że kuchenki zagrażają życiu ludzkiemu.

Centralne Laboratorium Gazownictwa, instytucja, która spo-

wodowała alarm w sprawie „Krafo IIIa” mieści się w Krakowie na Łęgu, daleko od centrum. W prowizorycznym baraku laboratoryjnym stoi właśnie 5 kuchenek „Krafo IIIa”. Magister Piotrowicz, kierowniczką zespołu przeprowadzającego próby, która wydawała tamtą opinię o kuchenkach, pokazuje nowe pismo od ich producenta. „Proszę — mówi — o jeszcze jedną ekspertyzę. W tych przesłanych nam teraz egzemplarzach wmontowali zawory produkcji radomskiej. Są to zawory ze znakiem jakości, stanowiące część składową kuchenek, produkowanych na eksport do Związku Radzieckiego. Jaki da to efekt, będzie wiadomo po przeprowadzeniu prób. W każdym razie te dobre zawory niewiele pomogą, jeżeli chodzi o przyszłość produkcji. Producenci „Krafo” sami wiedzą dobrze, że robią kuchenki, które z biedą odpowiadały standardowi 10 lat temu. Nasze pomiary prowadzone obecnie dokładniejszymi metodami dla „Krafo IIIa” wypadły szczególnie niekorzystnie”. „Ale — pytam — czy kuchenki są tylko przestarzałe, czy też, jak napisała pani w raporcie z kontroli, rzeczywiście stanowią niebezpieczeństwo dla użytkowników?” „Proszę pana, my mamy ściśle określone metody badań i pomiarów, według ich wyników kuchenka nie odpowiada normom bezpieczeństwa”. „Czy zna pani przykłady jakichś wypadków wywołanych użytkowaniem „Krafo”? „Nie — nie znam, a wielu moich znajomych ma w mieszkaniu kuchenki tego typu. Nawet znam takich, którzy teraz, po wielu latach użytkowania, popadli w panikę. Niesłusznie! Ale dalsza produkcja tych „Krafo” powinna być przerwana”.

Już 1 lipca 1966 roku Krakowska Fabryka Okuć Budowlanych przedstawiła Centralnemu Laboratorium Gazownictwa do oceny prototyp wzoru „Krafo IV” i uzyskała atest na produkcję tego nowego wyrobu. Dlaczego tej kuchenki nie zrobiono, w Laboratorium nie wiedzą. W każdym razie zezwolenie na produkcję „Krafo IIIa” zostało zawieszone w 1967 r. Jakość jej nie odpowiadała nowo opracowanej Polskiej Normie, co zresztą nie było dla nikogo tajemnicą. Dla producenta też. Ale starsuszki „Krafo IIIa” dalej szły na rynek. Bo w krótki czas po wprowadzeniu Normy fabryka uzyskała dokument Komitetu Normalizacyjnego, przyznający jej prawo odstępstwa od Normy dla „Krafo”. Tymczasem Centralne Laboratorium Gazownictwa wydaje w marcu 1969 pozytywną opinię. Wszystko jest w porządku. Ale już 8 kwietnia ocena laboratorium jest negatywna. Podobnie 24 maja i 16 lipca. W sprawozdaniu z przeprowadzonych badań jest kilkanaście punktów. Kończy je konkluzja: „Kuchnia „Krafo IIIa” przystosowana do spalania gazu miejskiego, produkcji Krakowskiej Fabryki Okuć Budowlanych, odpowiada Warunkom Odbioru

Technicznego, z wyjątkiem punktu 4, dotyczącego szczelności armatury gazowej, wobec tego wydaje się ocenę negatywną na w/w aparat gazowy. Kraków 15. VII. 1969 r. Warszawa, 16. VIII. 1969 r.”.

Ta właśnie opinia spowodowała zaanonsowaną przez prasę decyzję Ministra Handlu Wewnętrznego o wycofaniu „Krafo” z rynku. Cóż na to wszystko sami producenci?

„Pan też w sprawie „Krafo”? — wita mnie inż. Adam Gacek, zastępca dyrektora d/s produkcji. Artykuł w „Trybunie Ludu” wywołał mały popłoch wśród użytkowników kuchenek. Było już kilkadziesiąt telefonów od krakowiaków, mających mieszkania wyposażone w nieszczęsne „Krafo IIIa”. Ale jak dotychczas drażliwych scen nie było. Od 1956 r. wypuściliśmy 220 tys. kuchenek tego typu. Wszystkie na rynek krajowy. Znaczy to, że w ponad 200 tys. mieszkań działają te, tak dziś potępiane, choć przyznajemy — prymitywne urządzenia gazowe. Nie zanotowano ani jednego wypadku zatrucia lokatorów spowodowanego usterekami fabrycznymi naszego wyrobu. Zresztą gdyby tak było, nie rozmawiałby pan dziś z nami”.

Z dalszych wyjaśnień inż. Gacka i inż. Halika, zastępcy dyrektora d/s technicznych wynika, że fabryka po prostu miała pecha. Gdyby bowiem udało się jej zakończyć produkcję do 30 czerwca, a więc do dnia, w którym wygasało prawo odstępstwa, staruszki „Krafo IIIa” zmarłyby naturalną śmiercią, bez publicznego skandalu. Niestety, umowę podpisali na ilość sztuk, a do wykonania 2400 egzemplarzy zabrakło blachy. Kontrahent z NRF spóźnił się z dostawą. Fabryce w każdym razie groziła kara. Jeżeli nie wykonają planu — zapłacą; a jeżeli wykonają po terminie — też zapłacą. Zdecydowali się na to drugie i pewnie żałują, bo kara nad nimi wsi, dyrektor naczelny i szef produkcji mają zapłacić po 5 tys. złotych i to z własnych kieszeni. A w dodatku zostali publicznie skompromitowani jako producenci „śmiercionośnych narzędzi”. Czy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego użytkownikom ich kuchenek? Stanowczo twierdzą, że ich produkty nie zagrażają zdrowiu, a że są przestarzałe — wiedzą lepiej niż ktokolwiek inny. Parę razy usiłowali przestawić się na modele bardziej nowoczesne. Nic z tego.

„Wszystkie nasze elaboraty w tej sprawie w rezultacie — mówią — dawały jeden wynik: przychodził nakaz — robić „Krafo IIIa”. I to często z takimi podpisami, że mogliśmy tylko stanąć na baczność i powiedzieć: tak jest! Więc tłukło się tę produkcję bez przyjemności i co gorsze — bez zysku”.

„Życiorys” bohaterki naszego reportażu liczy sobie już blisko 13 lat. Po nieudanym piecyku z piekarnikiem typu „Wista”

KFOB wprowadziła do produkcji „Krafo IIIa” już w 1956 r. Nie był to model rewelacyjny, ale i nie odbiegał od wzorów produkowanych w tym czasie. Posiadał nawet znak jakości. Perypetie zaczęły się w roku 1965 i to z winy samej fabryki. Po prostu załoga zaczęła myśleć o unowocześnieniu produkcji. W trzecim kwartale 1965 roku powstał prototyp „Krafo IV”. Była to kuchenka nowoczesna z odizolowanym termicznie piekarnikiem i z ognioodporną szybą, umożliwiającą obserwację procesu pieczenia. „Krafo IV” otrzymała atest i pozytywną opinię CLB. Przeszkodą w rozpoczęciu normalnej produkcji tego typu stał się wysoki koszt opracowania technologicznego i oprzyrządowania nowego wyrobu. Instancja nadrzędna, czyli Zjednoczenie Przemysłu Okuć i Instalacji Budowlanych w Poznaniu zdecydowało: nie będzie „Krafo IV”; w 1966 roku kierownictwo fabryki podejmuje nową próbę unowocześnienia produkcji. Dla zmniejszenia kosztów rozruchu zdecydowano się na kuchenkę typu KG-92, produkowaną już przez zakłady w Radomiu, Wrocławiu i Wronkach. W IV kwartale do Krakowa przywożą z Radomia pełną dokumentację KG-92. W styczniu 1967 KFOB wystąpiła do swojego Zjednoczenia o przyznanie środków na uruchomienie nowej produkcji. Przewidywana suma wynosi około 1,5 miliona złotych, co powinno się zwrócić... Zjednoczenie Przemysłu Wyrobów Metalowych, opiekujące się produkcją kuchenek w Polsce, popiera starania KFOB. Niestety o pieniądzach decyduje zjednoczenie poznańskie. W efekcie fabryka robi nadal przestarzałe „Krafo IIIa”, z tym, że ma likwidować tę produkcję i przestawić się na wyłączną produkcję okuć budowlanych, zgodną z profilem własnego zjednoczenia. Deficyt kuchenek na rynku krajowym jest ogromny. Nowi lokatorzy nie mogą się wprowadzać do mieszkań bez kuchenek. Kwadratura koła! Do licytacji włącza się Polski Komitet Normalizacyjny. Od 1 stycznia 1968 roku wchodzi w życie PN nr 65/M — 40300. „Krafo IIIa” do niej nie pasuje. Nie tylko zresztą ona. Norma jest oparta o kryteria zagraniczne i, co tu ukrywać, do naszych możliwości kontrolowania jakości produkcji nie pasuje. Jak twierdzą szefowie zakładu, aby być w zgodzie z nakazami Normy, fabryka musiałaby wypiekać codziennie tytułem prób kilka kilogramów ciasta, ponadto kurczaki, dziczyznę... Więc specjalne etaty dla wypiekających i chyba dla zjadających również, a dla rozliczenia materiałowego dodatkowo pracownik księgowości.

Dziwny dwugłos w sprawie „Krafo IIIa” trwał. Wysokie czynniki: robić; Krakowska Fabryka i jej władze nadrzędne: likwidować produkcję! Kuchenka dostaje, już kilkakrotnie wspomniane odstępstwo od normy. Ważność dokumentu kończy się

z dn. 31. XII. 1968 r. Data ta być powinna jednocześnie momentem ostatecznego zakończenia produkcji „Krafo IIIa”. 220 tysięcy kuchenek na rynku. Od lat pomimo usiłowań fabryki nie można było nic zrobić w kierunku unowocześnienia produkcji. Małe poprawki i mini-usprawnienia nie zmieniły sytuacji. Przemasz, zmieniły! Ale tylko dla pracowników. Zamiast dotychczasowego niewielkiego zysku kuchenki przynoszą teraz zakładowi 59 złotych straty na sztuce. W efekcie niewykonany plan rentowności i brak premii.

A przetargi trwają. Zjednoczenie Przem. Wyrobów metalowych zamawia u producenta 25 tysięcy kuchenek na rok 1969 i 25 tys. na 1970. Zjednoczenie Okuć i Instalacji Budowlanych pozwala tylko na 10 tysięcy w 69 roku i na tym koniec. O rok 68 też toczy się zacięta walka. Początkowy plan 18 tysięcy powiększono do 22, a potem do 24 tysięcy. Na rok 69 ustalono 13 tysięcy.

Fabryka broni się. Inż. Adam Gacek, z-ca dyrektora do spraw produkcji mówi: „Odbyła się u nas narada, na której mówiliśmy o konieczności instalowania „Krafo” przez fachowców. W protokole z narady zanotowane jest, że nasze kuchenki mają być rozprowadzane tylko dla przedsiębiorstw budowlanych i instalowane przez monterów. Wszelkie przeróbki, poprawki i montowanie systemem gospodarczym są niedozwolone. O odstępstwo od Normy na rok 69 występowaliśmy nie my. Jest to precedens. Tymczasem z powodu braków na rynku, na „Krafo” czekają przedsiębiorstwa handlowe. Proszę zobaczyć to pismo”. Centrala Handlowa Artykułów Metalowych i Elektrotechnicznych z Warszawy prosi o nadsyłanie kuchenek „Krafo IIIa” bez czekania na odstępstwo. Data 23. XI. 68.

Dziś produkcja „Krafo IIIa” należy już do kronik fabrycznych. „Ostatni egzemplarz opuścił halę montażową 9 września. Wywiązaliśmy się z umów ilościowych. 10 września rozebraliśmy piec emalierski. W magazynie naszym pozostało jeszcze około 2,5 tys. egzemplarzy, oczekujących na decyzję CLG. Zainstalowaliśmy w nich zawory, zakupione w Radomiu. Są na pewno dobre, mają znak jakości i są wysyłane na eksport do Związku Radzieckiego. Nie wierzę w to, żeby kurki naszej produkcji mogły być szkodliwe dla zdrowia, ale wolimy dmuchać na zimne” — mówi zastępca dyrektora fabryki do spraw technicznych, inż. Tadeusz Halik. „Czy ktoś z pracowników fabryki ma u siebie w domu „Krafo”? „Bardzo wielu. U mnie od sześciu lat koegzystencja domowa przebiega bez zakłóceń. W instrukcji użytkowania podajemy, że smar w zaworach powinien być wymieniany co 3—4 miesiące. Nikt tego nie robi. Przyznaję ze wstydem, że ja też nie. A mimo

to żyję. Na szczęście dla zakładu i odbiorców ten wzór kuchenki przestał być produkowany”.

Jeden z typów kuchenki gazowej z piekarnikiem produkowany przez Fabrykę Wrocławską został uznany za przestarzały. Produkcję jego przejmuje spółdzielnia pracy. Ciekawe za ile lat ktoś kompetentny zauważy, że znów produkuje się buble?

Jerzy ŁANIEWSKI

Walka Młodych, 19 października 1969



Odbiorcy zakwestionowali ok. 14 tys. odkurzaczy kępińskiej (?) fabryki sprzętu elektrotechnicznego. Zła była ich izolacja, źle pracowały silniki, zła jakość obudowy.

Reklamacje klientów uznano, kosztami obciążono producentów, produkcję wstrzymano. Świetnie — powiedzą zapewne słuchacze — tylko w ten sposób wygramy walkę z bublami. Ale można powiedzieć — szkoda, szkoda że tak późno wstrzymano wadliwą produkcję, bo złe odkurzacze wycofano z rynku dopiero wówczas kiedy systematycznie zaczęły napływać do... reklamacje nabywców. Koszta, jakie zapłacił bynajmniej nie sam producent, dotyczyły już nie tylko naprawy buba. Pomyślmy o zmarnowanym surowcu i pracy, zaś zakaz produkcji oznacza po pierwsze nowe braki rynkowe, po drugie przestoje w fabryce, magazynowanie zapasów surowca itd., itd.

Wiele można by opowiadać o uwagach, jakie napływają do nas na temat złej jakości wyrobów, o trudnościach w załatwianiu reklamacji.

Natrafiliśmy na inny, ważniejszy.... Co czuje i myśli kontroler techniczny świadomie dopuszczając ukazanie się złej produkcji na rynku?

Otóż kierownik kontroli technicznej dolnośląskich zakładów wyrobów metalowych w Chojnowie Dolzom (?), kiedy wybuchł skandal z produkowanymi w jego fabryce wirówkami „W-1”, wycofanymi zresztą ze sprzedaży, powiedział: Prawnie to my jesteśmy w porządku, ale tak moralnie, duchowo — bo ja wiem. Muszę przecież być lojalny wobec zakładu, poza tym nie ja ustalam normy jakościowe.

Skoro już mowa o moralnej stronie zagadnienia, warto dopuścić do głosu użytkowników.

Centralne laboratorium przemysłu odzieżowego w Łodzi przeprowadziło niedawno ankietę na temat jakości ubrań roboczych. „Kurczą się te wasze kombinezony po pierwszym praniu” — odpowiedzieli pracownicy huty im. Lenina. „Z 1,80 metra wysokości trzeba by się skurczyć o jakichś 30 cm wzdłuż, a wszedź to jeszcze bardziej” — stwierdzili budowlani.

A teraz jak ta sprawa wyglądała od kuchni?

Przedstawiciel głównego inspektoratu pracy opowiedział nam jak w kilku największych zakładach produkujących drelichy robocze zajrzał do dokumentów reklamacyjnych. Kooperanci zakładów odzieżowych donosili, że tkanina nie została — jak to się fachowo określa — „wykureczona” i że nie odpowiada ona normom jakościowym. Producenci kilku zakładom odzieżowym udzielili bonifikaty. Przysłali po prostu więcej złego drelichu uważając w ten sposób sprawę za załatwioną. Kierownik kontroli technicznej zakładów prze-

mysłu bawełnianego — podobnie jak jego kolega z Dolzamet — był zdania „że wszystko w porządku” skoro zakłady odzieżowe otrzymują więcej złego drelichu.

Ostatnie wspólne plenum NOT i CRZZ poświęcono sprawie jakości i nowoczesności produkcji. Przedstawiciel biura znaku jakości informował zebranych, że prawa do znaku „Q”, czy jedyńki odmówiono w 1969 r. 1/3 zgłoszonych wyrobów, że niemal identycznie kształtowały się odmowy w r. 1968. Z propagandą poprawy jakości — oświadczył na plenum prezes urzędu jakości i miar — jest znacznie lepiej niż z jej poprawą.

My w radiu zajmujemy się niestety tylko propagandą, czyli tą lepszą częścią problemu, agitujemy przeciwko złym prakcom, złym drelichom, koszącym się wełnom. Wskazujemy na wysokie koszty partactwa, stosowania złych surowców czy też psucia i marnowania dobrych.

Dlaczego — naszym zdaniem — tak trudno rzeczywiście poprawę osiągnąć? Przede wszystkim wskutek błędnego pojmowania zadań przez liczącą ok. 150 tys. ludzi armię kontrolerów technicznych. Zależność kontroli technicznej od dyrekcji, zależność materialna i moralna prowadzi następnie do takich wyznań, jakie uczynił kierownik kontroli technicznej w Dolzamecie: Jest w porządku, jest lojalny wobec zakładu.

Ale — zapytajmy — co z lojalnością wobec społeczeństwa, wobec gospodarki narodowej, którą każde partactwo naraża na poważne straty? Chodzi nam oczywiście nie tylko o lojalność kontrolerów technicznych, ale i kierownictw zakładów, które ośmielają się wypuszczać na rynek towar niskiej jakości.

Jesteśmy na dorobku, jesteśmy zbyt biedni, żeby produkować tandetne towary!

Radio Warszawa I, 10 stycznia 1970

W CIASNYCH BUTACH TRUDNO O OPTYMIZM

Nikt chyba nie może podać w wątpliwość faktu, że butów mamy na rynku coraz więcej, że są one coraz ładniejsze. Ale — czy takie jakich szukamy?

Oto jak przedstawia się sytuacja na rynku obuwniczym. Na tegorocznych, jesiennych targach krajowych w Poznaniu przemysł skórzany oferował handlowi prawie 27 mln par obuwia w 537 wzorach, z których ponad połowę stanowiły modele nowe, prezentowane przez dostawców po raz pierwszy. Handlowcy kupili prawie wszystko, wybrali również ponad 78 proc. zaprezentowanych nowych wzorów — co jest podobno rekordem wszystkich dotychczasowych giełd obuwniczych. Na podstawie podpisanych umów wiadomo jednak, że w sklepach w dalszym ciągu za mało będzie butów ze skór wysokogatunkowych, a także obuwia tekstylnego i gumowego. Doświadczenie każe też wątpić czy usunięte zostaną te wady obuwia, na które my, klienci, skarżymy się najczęściej.

Spróbujmy spojrzeć na te sprawy poprzez wyniki analizy przeprowadzonej na warszawskim rynku — spostrzeżenia i wnioski są bowiem typowe nie tylko dla stolicy.

Potwierdzone postulaty

Na wstępie przypomnijmy, że w pierwszym kwartale br. klienci kupili w stołecznych domach towarowych i sklepach MHD 590 tys. par obuwia, za ponad 100 mln zł. Butów było na ogół pod dostatkiem — przedsiębiorstwa handlowe otrzymały w tym okresie przeszło 870 tys. par — a jednak nie wszystkim udało się znaleźć takie buty, jakich szukali. Na co zatem klienci skarżą się najczęściej, dlaczego wielu z nich wychodzi ze sklepów z przysłowiowym kwitkiem?

Na te i inne jeszcze pytania odpowiadają pracownicy Stołecznego Zjednoczenia Handlu Artykułami Przemysłowymi, posługując się wynikami analizy popytu i podaży obuwia. Do pomocy zaangażowali maszyny licząco-analityczne Zakładu Rozliczeń Zmechanizowanych, jedynej tego rodzaju w kraju placówki w przedsiębiorstwie handlowym.

Z danych, które uzyskano, najbardziej chyba wymowny jest systematyczny wzrost reklamacji dotyczących jakości obuwia. W I kwartale br. do MHD Obuwem w Warszawie wpłynęło prawie 2 tys. reklamacji, czyli o blisko 60 proc. więcej niż w analogicznym okresie ubiegłego roku. Pretensje od lat są prawie takie same: złe sklejone podeszwy, fałdy wewnątrz obuwia, pękające szwy, niestarannie zeszyte futrówki, zbyt wąskie cholewy damskich kozaczków, skóry za twarde, buty niewygodne... Opinie klientów zostały w pełni potwierdzone przez badania wykonane w Zakładzie Jakościowego Odbioru Towarów przy St. Zjedn. Handlu Artykułami Przemysłowymi. W I kwartale br. sprawdzono jakość obuwia wartości prawie 95 mln zł (były to buty dostarczone handlowi bezpośrednio z fabryk, z pominięciem hurtu). Trzeba było reklamować dziesiątą część kontrolowanej partii towaru. Wszystkie zastrzeżenia uznane zostały przez dostawców, którzy zgodzili się, że obuwiu to nie powinno było opuścić fabryki.

Jeżeli chodzi o przemysł terenowy, to towary o najniższej jakości dostarczyły Zakłady Skórzane w Warszawie i Stołeczne Zakłady Wyrobów Skórzanych „Argo”. Towary niezgodne z deklarowaną jakością nadesłały też spółdzielnie pracy — m.in. „Krak” w Krakowie i Inwalidzka Spółdzielnia Pracy im. J. Marchlewskiego w Warszawie. W analizie nie uwzględniono jakości obuwia dostarczanego przez zakłady przemysłu kluczowego, gdyż odbiór jakościowy ich wyrobów odbywa się bezpośrednio w fabrykach (w imieniu całego handlu czynności te wykonują zakłady odbioru jakościowego). Jednakże wzrastająca ilość reklamacji, zgłaszanych przez klientów oraz kary płacone przez przemysł kluczowy za złą jakość butów (MHD Obuwem w Warszawie dostawcy płać co kwartał ponad ćwierć mln zł), upoważniły autorów oceny do powtórzenia kilku palących postulatów. Chodzi zwłaszcza o zaostrzenie kontroli technicznej w fabrykach obuwia i bardziej krytyczne niż dotychczas spojrzenie na te sprawy przez pracowników zakładów odbioru jakościowego.

Nie kupować kota w worku

Prawie 10 proc. obuwia sprzedawanego w warszawskich sklepach, pochodzi z importu. Buty te są z reguły znacznie droższe

od krajowych, a ich jakość — jak wykazała wspomniana analiza — nie zawsze jest najwyższa.

Oto np. na początku bieżącego roku stołeczne sklepy otrzymały z importu czarne pantofle męskie. Miały one modny fason, miękką, elastyczną skórę, kosztowały 470 zł. Zniknęły z półek szybko, ale wkrótce przytłaczającą ich większość klienci zwrócili sklepom. Okazało się bowiem, że buty nie nadają się na co dzień, że po deszczu prawie zupełnie tracą fason. Klientom zwrócono więc pieniądze, a pozostałe w magazynach pantofle — przece-niono.

Taka transakcja nie przysparza ani dobrego samopoczucia tym, którzy buty kupili, ani sławy tym, którzy sprawdzali ich jakość. A jeżeli już te buty miały mieć wyłącznie wizytowy charakter, to należało poinformować o tym i sprzedawców i kupujących — i oczywiście od razu ustalić cenę odpowiadającą ich ograniczonej przydatności. Tu nasuwa się kolejny wniosek, tym razem pod adresem handlu. Z doświadczenia wiadomo, że sprzedawcy ciągle jeszcze nie znają jakości towarów, którymi handlują. Dotyczy to zarówno obuwia z importu, jak i rodzimej produkcji. Gdyby w przypadku tych niefortunnych męskich półbutów sprzedawcy informowali klientów o cechach wyrobów, nieporozumień i reklamacji byłoby zapewne mniej. A w ogóle — słusznie urozmaicając importem obuwia wybór towarów na rynku, trzeba po prostu i na tym odcinku zaostriżyć kryteria jakościowego odbioru.

Kary butów nie poprawia

Wiemy z osobistych doświadczeń — a maszyny analityczne potwierdzają je — że za mało jest np. obuwia luksusowego, zarówno męskiego, jak i damskiego. Brakuje też butów najtańszych, np. bardzo ostatnio modnych i — jak twierdzą klienci — najwygodniejszych butów welurowych. Nie starcza obuwia gumowego. Narzekają klienci na brak obuwia w jasnych, pastelowych odcieniach. Ale najbardziej dokucza brak poszukiwanych rozmiarów obuwia. I tak np. w Warszawie najtrudniej kupić damskie buty w rozmiarach 4 i 5, a męskie — 7 i 8.

Zatem dwa następne pytania. Czy warszawski handel korzysta z wniosków przygotowanych przez Zakład Jakościowego Odbioru Towarów? Czy swoje zamówienia dostosowuje do potrzeb rynku?

Na tegorocznych targach krajowych w Poznaniu warszawski MHD Obuwie zamówił tego najbardziej poszukiwanego obuwia prawie dwa razy więcej niż w ubiegłorocznym sezonie. Wątpię jednak czy łatwiej będzie w sklepie o damską „piątkę” lub

męską „ósemkę”. Rzecz w tym, że handel zamawia obecnie obuwie w kartonach po 10 par w zestawach A, B i C (w zestawie A najwięcej jest małych rozmiarów od 2-3, 5; w „B” przeważają średnie numery; w „C” — największe). Fabryki powinny dostarczać obuwie ściśle według zamówienia, ale z praktyki wiadomo, że handel otrzymuje część towarów w zestawach „R” (różne), czyli mówiąc prościej — kota w worku. Zdarza się również, że w poszczególnych kartonach są buty inne niż zamawiano. Dostawy takie pochodzą m.in. z Nowotarskich Zakładów Przemysłu Skórzanego „Podhale” i Łódzkich Zakładów Przemysłu Skórzanego.

Za niedotrzymanie umów pod względem rozmiaru obuwia przemysł płaci oczywiście kary. Radomski „Radoskór” tylko w pierwszym półroczu br. zapłacił handlowi z tego tytułu prawie 700 tys. zł.

Rozmawiałem z kierownikiem działu zbytu „Radoskóru” — fabryki, która wysłała na targi kilkanaście udanych wzorów obuwia. Dowiedziałam się, że aż 25 proc. butów opuszczających fabrykę, pakowanych jest w zestawach „R”. Przyczyna? Jeżeli z gotowego zestawu kontrola techniczna lub zakład odbioru jakościowego odrzuca buty, a na taśmie produkcyjnej jest już inny rozmiar, wówczas po uzupełnieniu brakującej pary cały karton trzeba przekwalifikować do grupy „R”.

Wyjście z sytuacji — odpowiadające handlowcom i nam, klientom — musi się znaleźć. Zresztą prowadzone są pertraktacje na ten temat między przemysłem a hurtem. Chodzi jednak o to, aby rozpatrzyć wszystkie za i przeciw i zachować rozsądne proporcje numeracji obuwia. Dodajmy, że w przypadku handlu odzieżą i wyrobami dziewiarskimi obowiązują od niedawna przepisy, zaostrzające sankcje wobec producentów za bagatelizowanie rozmiarów konfekcji zamawianych przez handel. Wystarczy jedna uzasadniona skarga handlowców, aby dyrekcja takiej fabryki straciła 50 proc. premii. Jeżeli metoda ta okaże się skuteczna, to warto może wykorzystać ją również w przemyśle skórzanym. Doświadczenie co prawda uczy, że kary nie poprawiły jakości obuwia, ale może dzięki nim choć w jakimś stopniu złagodzone zostaną kłopoty klientów poszukujących w sklepie właściwego rozmiaru butów.

Teresa GAWERSKA

Głos Pracy, 6 października 1969

Piszę do „Życia” żeby zarobić na ekspertyzę w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego.

Rzecz miała się następująco. W sklepie HPSI Nr 86 przy ulicy Marszałkowskiej 140 kupiłem za „marne” 280 zet półbuty męskie firmy „Podhale” ze znakiem najwyższej jakości krajowej. Było to w sobotę, a w poniedziałek buty owe — które już zdążyły obetrzeć mi pięty, co jest jednak normalną rzeczą — wróciły do sklepu. Bowiem w ciągu zaledwie paru godzin noszenia zdefasonował się nosek jednego z nich. Gdyby dwóch: ale jednego, ponieważ — jak mi potem przyznano — miał on wszytą miękką kapkę, podczas gdy drugi twardą. Taka sobie wada ukryta — mała rzecz, ale martwi klienta.

Po trzech dniach poinformowano mnie bardzo grzecznie, że w dyrekcji przedsiębiorstwa komisja ekspertów (która okazała się potem „znająca się na tym” urzędniczką) odrzuciła reklamację jakości. W obuwii popularnym bowiem — choć ze znakiem jakości — nie można żądać obu nosków jednokowych.

W sklepie pocieszono mnie, że i drugi nosek wkrótce się zdefasonuje. Co więcej, wskazano też uprzejmie drogę, na której — o ile się uprę — mogę dalej działać. Mianowicie mam się udać do MHW do eksperta odpowiedniej branży, który za 90 zł wyda mi opinię. Jeśli będzie ona dla mnie pozytywna (dla butów negatywna) Dyrekcja natychmiast uwzględni reklamację i może nawet zwróci mi te 90 zł. Inaczej nie można. Koszt reklamacji pokrywa bowiem nie producent, lecz HPSI z funduszu ryzyka handlowego. Urzędniczka HPSI nie będzie narażała na koszt własnej instytucji — musi być na to z zewnątrz „żelazna” podkładka.

Więc właśnie piszę, by te 90 zł zarobić. Zanim zacznę jednak odwiedzać z kolei MHW — jeśli nie zrezygnuję z reklamacji — bo przecież można w tych butach chodzić — może za pośrednictwem „Życia Gospodarczego” znajdę odpowiedź na 2 śmieszne i 2 mniej śmieszne pytania, które mnie odrobinę niepokoją:

1. Czy Dyrekcja HPSI nie mogłaby jeszcze bardziej udoskonalić swego systemu odrzucania reklamacji klientów — np. przez zatrudnienie zamiast jednej — połowy fachowej urzędniczki i wywieszenie w sklepach kartek: „Niezadowoleni klienci — zbądźcie się nadziei”?

2. Czy nie byłoby możliwości zbliżenia do praktyki HPSI teorii reklamacji — o której na swe nieszczęście rozrzewniającą pogadankę usłyszałem parę dni wcześniej, bodaj na „Fali 56”?

3. Czy system HPSI nie zainteresowałoby jakiegoś organu MHW bez mojej skromnej wpłaty?

4. Czy sprawa nie zainteresowałaby też kogoś z Biura Znaku Jakości? A może by tak odebrać prawo opatrywania tym znakiem półbutów firmie „Podhale”? Niech by to były zwykłe półbuty...

Moją parę na razie pieczołowicie przechowuję w pudełku licząc na pogodę (bo inne mi przemiekają — dlatego — właśnie kupiłem te) oraz na to, że ktoś się nią jednak zainteresuje.

Jan DZIEWULSKI

Życie Gospodarcze, 7 września 1969

CO ZNAJDIEMY NA PÓŁKACH SKLEPÓW

Rozmowa z Prezesem Zarządu ZSS „Społem”
tow. Ireną Strzelecką

„Społem” prowadzi około 23 tys. sklepów detalicznych w których miliony ludzi zakupuje towary przemysłowe i artykuły spożywcze. Zaopatrzenie tych sklepów interesuje zwłaszcza mieszkańców większych i mniejszych miast, w których „Społem” jest jednym z głównych sprzedawców. Czego wasi klienci mogą się spodziewać w świetle zakończonych niedawno poznańskich targów krajowych „Jesień-69”? — Oto pierwsze pytanie z którym zwróciliśmy się do tow. Ireny Strzeleckiej.

— Zacznę może od towarów przemysłowych, choć artykuły żywnościowe stanowią większość, bo około 63 proc. naszych łącznych obrotów. Pierwszeństwo to wynika ze zmian w strukturze popytu, ze zwiększenia w sprzedaży udziału towarów przemysłowych. Ich zbyt, w przeciwieństwie do artykułów żywnościowych jest w praktyce nieograniczony i zależy w znacznej mierze od potencjału produkcyjnego przemysłu, od ilości i jakości wytwarzanych towarów. Ostatnio stwierdziliśmy pewien istotny postęp w działalności przemysłu, zwłaszcza lekkiego.

Zakupiona obecnie odzież w zasadzie zadowoliła nas, jest modna, ładna i na ogół dobrze uszyta. Przemysł odzieżowy stale poprawia swoją produkcję, uwzględnia uwagi handlu, a więc klientów. Odzież dostarczona do sklepów nie jest gorsza w jakości od wzorów, które handlowcy kontraktują na targach. Niewątpliwą zasługą przemysłu jest znaczne zróżnicowanie rozmiarów.

Z tego faktu wynikają dla nas zupełnie nowe i wcale niełatwe zadania. Przy ogromnym bogactwie odzieży, wielkiej ilości tzw. rozmiarowzrostów, obecne formy handlu jawnie się przeżyły. Trudno w małym sklepie nie tylko zgromadzić, lecz także

pokazać klientowi czym chata bogata... Odzież trzeba sprzedawać w wielkich sklepach. Nie tylko w stolicach województw, ale także powiatów. Organizowanie sklepów w których można swobodnie eksponować wszystkie lub niemal wszystkie wzory, rozmiary, wzrosty płaszczy, kostiumów, sukien i ubrań jest w chwili obecnej jedną z głównych trosk „Społem”. Dlatego też dążymy do budowy spółdzielczych domów handlowych, w których klient mógłby otrzymać poszukiwane przez niego rozmiary odzieży.

Wiele mamy do zrobienia w zakresie szybszego nadążania techniki handlu za modą. Niekiedy nowe propozycje przemysłu docierają z opóźnieniem do sklepów z powodu zbyt powolnej reakcji ze strony zaopatrzeniowców. Handlowcy zakupują odzież na 8 miesięcy przed sezonem. Nie są więc jeszcze zapoznani z kierunkami obowiązującymi w modzie odległego jeszcze sezonu. Często propozycje przemysłu zaskakują ich. W przeciwieństwie do handlowców klienci są częstokroć lepiej przygotowani do zmian w modzie najbliższego sezonu.

W związku z tym zamierzamy zmniejszyć liczbę zaopatrzeniowców występujących z naszego ramienia na targach i giełdach odzieżowych, a pozostałych — okresowo szkolić w zakresie bieżących zmian mody.

Czy zdaniem „Społem” nastąpiła poprawa pod względem przygotowania produkcji do wymagań klientów?

— Owszem, poprawa jest widoczna, choć jeszcze niedostateczna. Mamy wprowadzić coraz więcej tzw. odzieży wyjściowej, brak natomiast używanej na co dzień. Chodzi o modele ładne, wygodne z niemnącej tkaniny. Na targach było tej odzieży nieco więcej niż dotychczas, ale wciąż zbyt mało w stosunku do potrzeb. Niestety niewiele zaproponowano nam odzieży dla osób starszych, a więc nieco tęższych. Modele oferowane przez przemysł wyraźnie faworyzują tak i w ilości jak i w jakości ludzi bardzo młodych. Oczekujemy, że przemysł odzieżowy zdoła wyrównać te istotne braki jeszcze przed sezonem letnim 1970 r.

Krytyczne uwagi nasuwa, w pewnej mierze oferta przemysłu dziewiarskiego. Wprowadzić pokazano nam wiele nowych i ładnych wzorów, ale te najlepsze oferowano w ilości 5-8 tysięcy sztuk. Aby jakieś nowe sweterki były widoczne w sklepach ich minimalna seria produkcyjna powinna wynieść przynajmniej około 50 tys. sztuk. Zwykle mieliśmy na targach wiele nowości, ale na półkach sklepowych wszystko pozostawało po staremu. Jeżeli nie wydłuży się serii nowych, ciekawych wzorów to stan ten będzie istniał nadal. Obserwowane pewne zmniejszenie ilości wzorów celem wydłużenia serii jest wciąż niedostateczne.

Stwierdzając postęp w jakości dzianiny musimy zwrócić uwa-

gę na złe, niekiedy, wykończenie wyrobów dziewiarskich, na wadliwe wszycie rękawów i inne tego typu często występujące mankamenty, które obniżają jakość wyrobów.

Jak „Społem” ocenia sytuację w dziedzinie obuwia?

— Widzieliśmy ostatnio wiele ładnych wzorów, mogących zadowolić najbardziej wybrednych klientów. Obuwie z Nowego Targu i niektórych innych zakładów jest coraz lepsze. To samo można powiedzieć o produkcji spółdzielczości pracy i przemysłu terenowego.

Po każdym targach przeżywamy pewien niepokój, czy towar, który otrzymamy będzie w każdym przypadku zgodny z przedstawionymi wzorami. Najwięcej obaw budzi przemysł dziewiarski. W latach ubiegłych otrzymywaliśmy inne wzory, inne kolory i ozdoby niż zamawialiśmy. Podobnie bywało z obuwem. Mamy nadzieję, że wysiłki przemysłu ujednolicenia i znormalizowania produkcji przyniosą oczekiwane rezultaty i w najbliższej przyszłości będzie lepiej.

Coraz więcej miejsca zajmują w naszym handlu artykuły trwałego użytku, wyroby metalowe oraz tzw. „1001 drobiazgów”. Jakie są perspektywy dostaw wymienionych towarów?

— Przede wszystkim należy stwierdzić pewną poprawę jakości wyrobów produkowanych przez resorty przemysłu maszynowego i ciężkiego. Nie widzieliśmy wprawdzie na targach żadnych nowych rewelacji, ale nasze pralki i lodówki są sprawne i niezawodne w działaniu. Wypowiadając się za unowocześnieniem tych wyrobów stwierdzamy nie dość szybki, ilościowy wzrost produkcji. Z tego względu nasze uwagi dotyczą głównie wielkości dostaw zwłaszcza niektórych typów aparatów radiowych, magnetofonów, gramofonów.

W dziedzinie „1001 drobiazgów” nastąpiło pewne, choć niedostateczne jeszcze wzbogacenie asortymentu. Niektóre oferowane wyroby są absolutnie nieprzydatne w gospodarstwie i ich produkcja jest niczym nie uzasadniona. Producenci tej grupy towarów za mało interesują się sprawdzaniem użyteczności swych wyrobów. Złe też jest z poziomem wzornictwa tych artykułów. Główną jednak bolączką jest niedostateczna ilość „1001 drobiazgów”. Na targach nadal nie oferowano nam sprzętu do urządzania przedpokoju, łazienki oraz innych drobnych sprzętów niezbędnych w każdym gospodarstwie.

Towary przemysłu spożywczego budzą zrozumiałe zainteresowanie. Zajmują one dość istotną pozycję w obrotach „Społem”. Co z tych towarów zobaczymy w sklepach?

— Nowe wyroby: mrożone kopytka i knedle, nowe rodzaje konserw, koncentratów dla turystów, zwłaszcza poszukiwana zupa

pieczarkowa i niektóre inne niewątpliwie wzbogacą wybór. Ilość ich jest jednak zbyt mała, aby klienci mogli je otrzymać we wszystkich sklepach. Nadal bez skutku domagamy się więcej paczkowanych wędlin, serów i innych wyrobów, które dotychczas musimy rozważać w sklepach. Przemysł spożywczy niedostatecznie współdziała z handlem w zaopatrzeniu sklepów przystosowanych do nowoczesnych form sprzedaży, do których należą sklepy samoobsługowe.

Trzeba jeszcze dodać, że na targach krajowych, gdzie dominują towary przemysłowe, ekspozycja artykułów żywnościowych nieco odchodzi na drugi plan. Dotyczy to także aparatu handlu nastawionego głównie na zakup artykułów przemysłowych. Dla branży spożywczej targi nie są jeszcze w pełni miejscem konfrontacji przemysłu z handlem.

Z tego względu wydaje się, że należałoby z biegiem czasu przystąpić do organizowania odrębnych targów żywnościowych, na których uwaga wszystkich byłaby skierowana wyłącznie na tę branżę. Targi spożywcze mogą się odbywać raz w roku, po zamknięciu targów jesiennych. Sądzę, że warto aby w tej sprawie wypowiedzieli się zainteresowani.

Rozmawiał: B. LEWICKI

Trybuna Ludu, 16 października 1969

KONTROLER — SPRZYMIERZENIE KLIENTA

Podczas kampanii sprawozdawczo-wyborczej do rad zakładowych nie zawsze pamiętano o tym, by wybrać kontrolerów społecznych. Trzeba tę lukę rychło zapełnić! Warto również, wzorem handlowców, kolejarzy i komunalnych omawiać działanie kontroli społecznej na posiedzeniach prezydiów instancji związkowych.

Organa kontroli państwowej nie są w stanie zbadać rzetelności pracy 300 tysięcy zakładów handlowych i usługowych. Ich kontrolerzy w ciągu roku odwiedzają 50 tysięcy placówek, a więc do tej samej mogą wrócić — statystycznie — co 6 lat. Obecnie możliwości takich wizyt istnieją częściej, niż co 2 lata, właśnie dzięki 40 tysiącom kontrolerów społecznych. Jeden kontroler odbywa — przeciętnie 8 kontroli rocznie. Gdyby powiększyć armię kontrolerów — obciążenie każdego z nich byłoby mniejsze, a równocześnie w pewnych szczególnie trudnych okresach istniałaby możliwość baczniejszego przyglądania się sferze obrotu towarowego.

Sumować i — do ataku

Tymczasem nawet w aparacie sztabowym kontroli społecznej, w zespołach wojewódzkich nie są reprezentowane niektóre środowiska zawodowe, jak służba zdrowia czy instytucje państwowe i społeczne, a rzadko bywają w nich przedstawiciele spożywców i cukrowników, włóknarzy i odzieżowców. Zespoły wojewódzkie często też zamieniają się w organa o charakterze administracyjnym, zamiast zająć się wszechstronną analizą wniosków pokontrolnych i w oparciu o nie występować z uargumentowanymi postulatami do „swoich” resortów, do organów ustalających ceny, do rad narodowych itp.

Współpraca zespołów z radami narodowymi może być szczególnie skuteczna. Większość przedsiębiorstw handlowych podlega przecież radom narodowym, a całość zagadnień obrotu rynkowego objęta jest planowaniem terenowym. Rady oceniają działalność przedsiębiorstw handlowych, mogą więc i powinny uwzględniać przy tej okazji sugestie wojewódzkich zespołów kontroli społecznej. Istnieją wreszcie możliwości lepszego wykorzystania zdolności produkcyjnych drobnej wytwórczości, aby jej potencjałem uzupełniać w porę i maksymalnie luki na rynku lokalnym. Wszelkie tego rodzaju inicjatywy, rodem z kontrolerskiego sztabu, powinny być przychylnie witane w wydziałach handlu i przemysłu rad narodowych.

Grzechy główne

Rzecz jasna, nie wszystkie wnioski są „wygodne”. Niektóre przedsiębiorstwa, także terenowe, chcą ułatwić sobie życie, wykonując zadania planowe kosztem kieszeni klienta, nie zawsze przygotowanego na poniesienie owego kosztu. „Robi się rentowność” przez dostarczenie droższego pieczywa w miejsce tańszych gatunków, drogą stosowania drogich opakowań towarów, nie dając możliwości wyboru temu, kogo na ów luksus nie stać. Są i inne sposoby. Znają je również instytucje handlowe, jak choćby patronujące restauracjom i garmazeriom. Uciekają one od tańszych dań i żywnościowych półfabrykatów. W stoiskach garmazeryjnych klienci (i kontrolerzy) zastają niekiedy jedynie puszki z konserwami i... pokrojoną kiełbasę. Przy czym za ów „trud przetwórczy” płaćć trzeba 20-procentowy dodatek do właściwej ceny kiełbasy.

Podobne „cuda”, niekiedy wymagające od cudotwórców jeszcze mniejszego wysiłku, dzieją się przy podmianach gatunków owoców i warzyw. Niekiedy pojawiają się noszące wszelkie pozory legalności, napisy głoszące, że towar jest „extra”. A Głównemu Inspektorowi Kontroli Społecznej nie są znane żadne ustalenia, które by do takich extra-posunięć handlowców upoważniały.

Na tego rodzaju nieprawidłowości kontrolerzy społeczni powinni być szczególnie wyczuleni. Nie mają one bowiem nic wspólnego z kłopotami w zaopatrzeniu, a są wyjątkowo irytującymi przejawami nabierania klienta.

Milion — czy klient?

Wprawdzie sieć placówek handlowych jest znacznie rozleglejsza od sieci zakładów świadczących usługi — jednakże zaintere-

sowanie kontrolerów społecznych tymi ostatnimi jest chyba zbyt słabe. 73 proc. kontroli przypada na sklepy, a zaledwie 15 proc. na warsztaty rzemieślnicze.

Ale nie tylko o częstotliwość kontroli tu chodzi. Raczej o całokształt zainteresowania problematyką usług i ów potencjalny wpływ na ich rozwój, który spoczywa w możliwościach zespołów kontrolnych wszystkich szczebli.

Oto mamy do czynienia ze zjawiskiem zwiększania się liczby zakładów rzemieślniczych i... zmniejszania się liczby usługodawców, zaspokajających potrzeby ludności. Dzieje się tak dlatego, że ogromnie popłatna, a tym samym atrakcyjna dla rzemieślników jest współpraca z przemysłem. Pewien ślusarz z woj. kieleckiego wyrabia podkładki pod śruby na zamówienie FSO i FSC za 3 mln 270 tys. rocznie. W jednym tylko woj. bydgoskim w 1966 r. było 6 rzemieślników-ślusarzy mających zamówień na ponad 1 mln zł. W 1967 r. liczba ich wzrosła do 40, a w zeszłym roku rzemieślników w ten sposób zarabiających było już 250.

Na marginesie tego typu transakcji, opłacalnych — być może — także dla przemysłu, rodzą się rozmaitego typu nadużycia. Do najczęściej spotykanych należy utajona praca nakładcza. Z rozmiarów niektórych zamówień wynika jasno, że właściciel warsztatu powinien wykonywać je przez kilka lat, a wykonuje w ciągu... paru tygodni. Zatrudniać więc musi podnajętych nakładców, pracujących bez żadnej kontroli, w dowolnym wymiarze godzin, często zbyt młodych, najczęściej pracujących w złych warunkach. Równocześnie organa milicji odnotowują setki prób korumpowania aparatu gospodarczego, od którego zależą zlecenia i przydziały surowców. Wysokość „ekwiwalentów” dochodzi niekiedy do setek tysięcy złotych.

Są to zjawiska wymagające czujnej uwagi ze strony działaczy społecznych. Często bywa, że niechętnie podejmują się oni kontroli zakładów usługowych, gdyż jest ona bardziej skomplikowana. Aparat PIH powinien okazać w tej dziedzinie większą pomoc kontrolerom.

Są skutki!

Niedawno mówił o tych sprawach Wacław Sasin, Główny Inspektor Kontroli Społecznej ORZZ na naradzie z sekretarzami zarządów głównych i WKZZ. Stwierdził on, że skuteczność kontroli społecznej jest wyraźna i niezaprzeczalna. Przed czterema laty w 20 proc. kontrolowanych placówek występowały większe lub mniejsze nieprawidłowości, które trzeba było w różny sposób

likwidować i piętnować. Dziś taka konieczność zachodzi w stosunku do 8,6 proc. wizytowanych zakładów. Znacznie rzadziej zdarzają się ubytki w paczkowanych towarach, a wagi w większości sklepów zbliżają się ku aptekarskiej dokładności. Co ciekawsze, nielegalizowane wagi trafiają się najczęściej w... stołówkach zakładowych! To ostatnie — radom zakładowym pod uwagę.

Efekty kontroli społecznej są więc wyraźne, choć lepsza praca handlu nie jest — rzecz jasna — tylko jej zasługą. Z przykładów istniejących nieprawidłowości, które wyżej zostały wymienione wynika jednakże, że o odpoczynku mowy być nie może. Ponieważ zaś jest to praca konkretna przynosząca realne korzyści społeczeństwu, każdemu z nas — nie zabraknie chyba chętnych do niej.

A tym instancjom związkowym, które z lekkim zniecierpliwieniem traktują kontrolę, jako „jeszcze jedno zadanie” spieszymy nadmienić, że jest to działalność zjednoczająca ruchowi związkowemu spory autorytet i zwyczajną, ludzką wdzięczność.

Irena SCHOLL

Głos Pracy, 29 września 1969

NIEPOKÓJ POD WIECHĄ

Tradycyjna wiecha jest oczywiście tylko przenośnią, chodzi o całość zadań wykonywanych przez budownictwo. Ta niezmiernie ważna dziedzina działalności, w gruncie rzeczy decydująca o powodzeniu dokonywanego zwrotu *j a k o ś c i o w e g o* całej naszej gospodarki, przeżywa obecnie trudny okres. Powstały w tym roku opóźnienia są tak znaczne, że do pierwszego stycznia nie uda się już ich w całości nadrobić. Plan nie będzie wykonany.

Niełatwo było, jak sądzę, ministrowi Gierszowi przedstawić taki właśnie obraz sytuacji w budownictwie podczas kolejnego posiedzenia sejmowej Komisji Budownictwa i Gospodarki Komunalnej. Trudno bowiem mówić o rzeczach przykrych, tym bardziej, że przecież do końca roku zostało już kilkadziesiąt dni. Dni, które mogą przynieść poprawę.

Już przynoszą... Jak zakomunikowano podczas poniedziałkowego posiedzenia kolegium Ministerstwa Budownictwa — wrzesień okazał się miesiącem wyjątkowo dobrym dla budowniczych. Najlepszym w ich dotychczasowej karierze. Zdołano w ciągu tych trzydziestu dni wykonać prace budowlano-montażowe wartości blisko 4,5 miliarda złotych. W ciągu jednego miesiąca wykonano prawie *p o ł o w ę* planu całego trzeciego kwartału.

Sytuacja się poprawiła, ale daleko stąd jeszcze do westchnienia ulgi, skoro mówi się w połowie października o nierealności dotrzymania terminów budowy 7 bardzo ważnych dla gospodarki obiektów przemysłowych, w tej liczbie ciągów produkcyjnych w zakładach chemicznych „Police”. Niedobrze przedstawia się sytuacja na budowie wielkiej cementowni „Chełm II”. Według ostatnich meldunków — nie uda się do końca br. oddać przewidzianych planem kilkudziesięciu obiektów przemysłowych grupy „A”.

Ze zrozumiałych względów ze szczególnym niepokojem przyjeśliśmy informacje ministra Giersza, że budownictwem nie uda się oddać w tym roku do użytku wszystkich izb mieszkalnych. Za-

braknie ich kilka tysięcy. W województwach kieleckim i olsztyńskim nie zdołano nawet wykonać połowy tegorocznych zamierzeń. Co z tego, że budowlani Łodzi, województwa łódzkiego i gdańskiego, szykują niespodziankę w postaci dodatkowych mieszkań, kiedy w zbyt wielu województwach zaawansowanie planu rocznego jest bardzo słabe. I to zaważy na końcowych wynikach.

Na komisji sejmowej mówiono niedawno m.in. o długiej liście brakujących na budowach materiałów, głównie instalacyjnych i wykończeniowych. Znalazły się wśród nich... kuchenki gazowe, w których produkcji jesteśmy ponoć potentatem. Cóż z tego, kiedy na budowach brakowało ich przez cały rok. Zdecydowano się nawet na warunkowe odbieranie domów mieszkalnych bez kuchenek. Inaczej domy, absolutnie gotowe, musiałyby stać puste.

Wiele mimo to stoi pustych, ponieważ brak połączeń energii elektrycznej, ciepła, kanalizacji, wody. Spółdzielnie — i słusznie — bronią się wszelkimi siłami przed odbiorem takich budynków od przedsiębiorstw budowlanych. Ale im bliżej końca roku — nacisk wykonawcy rośnie, w grę zaczynają bowiem wchodzić plany, premie.

A budowniczowie rozpoczęli w całym kraju swój coroczny finisz. Z jednej strony — rzecz napawa optymizmem, że może w ten sposób uda się zniwelować różnice między planem, a jego realizacją. Co oznacza po prostu, że mieszkań będzie więcej. Oby tylko nie stało się to kosztem jakości wykonywanych robót, a w konsekwencji — kosztem przyszłego użytkownika mieszkań, lokali sklepowych.

Sytuacja na budowach budzi uzasadniony niepokój. I dobrze się stało, że kierownictwo Min. Budownictwa umiało spojrzeć prawdziwie w oczy i — co najważniejsze — że wyciągnięto konkretne wnioski. Efektem tego świadomego działania były dobre wyniki osiągnięte we wrześniu. Zakładając, że i następne miesiące będą równie pomyślne, nie na wszystkich odcinkach powstałe opóźnienia są już do odrobienia. Może w roku przyszłym? Takie przynajmniej są zamiary Min. Budownictwa, w tym kierunku idą przygotowania do pełnego zabezpieczenia frontu robót podczas zimy.

Bliższa analiza sytuacji w budownictwie skłania do refleksji niezbyt radosnych i przypomnienia spraw jak się okazuje ciągle aktualnych. Mamy na myśli lepszą organizację pracy. Usprawnienie zaopatrzenia. Pełniejsze wykorzystanie posiadanego sprzętu. Oszczędne gospodarowanie materiałami budowlanymi, zbyt wiele bowiem niszczy surowca, którego przecież brak.

To są z całą pewnością realne rezerwy naszego budow-

nictwa, obraz możliwości — z jednej strony, zaniedbań — z drugiej.

Nie wszystkie przyczyny, które spowodowały trudności planu budownictwa, można zaliczyć do obiektywnych, chociaż są i takie: warunki atmosferyczne, trudności zaopatrzeniowe i transportowe. Wiele zależy od atmosfery i zaangażowania załóg budowlanych, kierownictw przedsiębiorstw i zjednoczeń, szerokiego aktywu partyjnego. Trwa porządkowanie budowlanego podwórka. Przebiega to chyba za wolno. Przykład września jest dowodem najlepszym, że można budować lepiej. Trzeba jednak pamiętać, że rok ma dwanaście miesięcy, a wrzesień był już *d z i e w i ą t y m* miesiącem w kalendarzowej kolejności.

M. Ch.

Trybuna Ludu, 17 października 1969

DYMOM NA PRZEKÓR

Nic łatwiejszego niż uderzyć w alarmu dzwon. Sto faktów na poczekaniu, a każdy wstrząsający uczuciem i rozumem. Koło Miasteczka (nowa huta cynku) umiera i umrze kilkaset hektarów pięknego lasu, poparzonego deszczem zakwaszonym siarką. Próżno teraz wołają inżynierowie do leśników: to wasza sprawa, wy przyrodnicy, pomóżcie! Delikwent, który połknął cyjanek potasu, nie potrzebuje już lekarza. Koło Szopienic (a ileż jeszcze takich miejsc?) liście żółkną i opadają — w lipcu. W Świętochłowicach, które odebrały Chorzowowi ogólnopolski, a zapewne ogólnoswiatowy rekord zapylenia, 100 proc. obszaru miasta leży w strefie powyżej 250 ton opadu pyłu na 1 km², z tego 85 proc. w strefie ponad 500 ton, zaś 19 proc. — w strefie tysiąca ton. Maksymalne zanieczyszczenie atmosfery, dopuszczalne według rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 13. 9. 1966, wynosić może właśnie 250 ton na km². Powietrze nad Świętochłowicami nie słucha się jednak Rady Ministrów, ignoruje normy. Pod Chorzowem, także pod Wieliczką, istnieją rozległe stare pustki poeksploatacyjne: miliony metrów kubicznych. Od Bytomia po Tarnowskie Góry krajobraz księżycowy: hałdy poflotacyjne z hut metali nieżelaznych; na nich ani chwast nie wyrośnie. 55 proc. długości rzek na terenie województwa katowickiego, w tym wszystkie rzeki GOP, nie odpowiada żadnym normom czystości wód; to są odkryte ścieki. Rzeka Mleczna latem w ogóle nie prowadzi wody, cała przecieka do wyrobisk kopalni „Boże Dary”. W wielu okolicach GOP smog pochłania czwartą, nawet trzecią część promieni słonecznych, niekiedy aż 42 proc. — o tyleż zubożając ludzi.

Już w 1842 roku — więc długo przed eksplozją wielkiego przemysłu — zauważono na Śląsku, iż „szkody dymowe w dalekim zasięgu hut niszczą wzrost roślinności”, a także i to, że „trującymi z hut i hałd wyziewami osłabione ciało najbardziej podatne”.

Medycyna współczesna potwierdza tę podatność: nieżyty górnych dróg oddechowych, nieżyty oskrzeli, rozedmy płuc, dychawica oskrzelowa, stany zapalne gardła i spojówek, choroby skóry, zaburzenia nerwowe występują tutaj znacznie częściej niż średnio w Polsce i są bardziej odporne na leczenie; mniejsza jest zarazem we krwi mieszkańców GOP ilość hemoglobiny.

Śląsk, który śpiewał Tuwimowi głosem węgla i stali, raczej rzeźi, niż śpiewa. Brak wody. Brak słońca. Brak powietrza. Ginie zielen. Jałowuje ziemia. Więc co, zamknąć ten ogólnopolski skład opałów, tę kuźnię całej naszej gospodarki?

Co technika popsła w naturze, technika musi poprawić, zbyt nadkruszałe są tutaj regeneracyjne moce przyrody. I poprawia. Już ruszyła, już rozkręca się kontrofensywa przeciw plagom Śląsk nękającym. Narastają, to prawda, dalsze straty, bo rok za rokiem potężnieje wielkoprzemysłowa machina, ale są i zwycięskie batalie. Istnieją odcinki nadal ciężko zagrożone, punkty krytyczne — lecz na innych frontach sukcesy. Malkontenci psioczą na ociężałość i nieskładność tej kontrofensywy — i mają rację. Marzyciele mówią: gdyby więcej pieniędzy! — i też mają rację. Przełomu jeszcze nie widać. Lecz najcięższy kryzys wydaje się zażegnany. Coś świta...

Wojciech GIEŁŻYŃSKI

Współczesność, 3-16 grudnia 1969

ŚMIERDZĄCY TEMAT

Ten artykuł czyta się bardzo krótko, niemniej jednak przed przystąpieniem do lektury należy dokładnie zatkać nos. Osoby wrażliwe uczynią zaś najlepiej, jeśli tekst niniejszy w ogóle opuszczą.

Bliskość rzeki można poznać po rosnącym smrodzie. Jeśli stan wody jest niski, a ścieki obfitym strumieniem popłyną z miejskich kloak Pruszkowa, Ursusa i Leszna, albo też, gdy położone nad rzeką zakłady przemysłowe „mają swój dobry dzień”, wówczas smród staje się nie do wytrzymania. Rzeką Utrata jest niewielkim nizinny dopływem Bzury. Dawniej piło jej wodę bydło, a nawet ludzie; zaś tu właśnie na nadrzecznych łąkach, w pobliżu leżącej w jej dolnym biegu Żelazowej Woli, młody Chopin usłyszeć musiał nie znane mu jeszcze tęskne pieśni. Potem rozrosły się miasta i spotężniał przemysł, a wszystkie ścieki, trucizny i odpadki, wszystkie szamba tego regionu złożyły się na tragedię małej rzeki. Paskudzą ją nie tylko wspomniane miasta, ale też cały przemysł Pruszkowa, Błonia, cukrownia w Michałowie oraz znany szpital w Tworkach, a także Józefów i Grodzisk Mazowiecki ze swym browarem. Personel muzeum w Żelazowej Woli chętnie opowiada o przypadku pewnego ambasadora zaprzyjaźnionego państwa, który zemdlął w trakcie koncertu podtruty wyziewami. Pomimo wyrażanych tu i ówdzie nadziei, od czasu ambasadorskiego przypadku, nie zmieniło się praktycznie nic, co świadczy o wysokiej pozycji społecznej i autorytecie zatruwaczy rzek, jako że nie można przerwać ich działalności nawet wtedy, gdy prócz wód zatruwają również stosunki międzynarodowe.

*I pełnemi piersiami w swojszczyźnie dalekiej
Napiję się powietrza i wód z każdej rzeki...*

Wł. Syrokoma

Prawdopodobnie poeta z przełomu stuleci, gdyby dziś spełnić chciał swe marzenie, natychmiast przeniósłby się do lepszego świata wśród objawów ciężkiego zatrucia. Jeszcze jako tako poszłoby z powietrzem, choć są okolice, gdzie na każdy kilometr kwadratowy spada po parę ton szkodliwych dla zdrowia pyłów. Z rzekami natomiast nie poszłoby tak łatwo, bo dziś 31 % ogólnej ich długości w Polsce zanieczyszczonych jest ponad wszelką dopuszczalną normę, zaś zarówno kąpiel, jak i spożywanie tych wód są szkodliwe dla ludzkiego życia. W śląsko-krakowskim okręgu przemysłowym 60 % długości rzek stało się cuchnącymi kanałami ściekowymi, zaś w spokojnym ponoć i sielskim zielonogórskim aż 55 %! Znaleźć w polskich rzekach można dziś zarówno cyjanek potasu, fenol, jak i zwyczajne fekalia. W obawie przed zanieczyszczeniami biologicznymi chlorujemy wodę wprowadzaną do sieci miejskiej tak bardzo, że już bardziej nie można. Z tego powodu popadamy z jednej skrajności w drugą — choć zdatna do picia z braku bakterii woda ta staje się niezdatna i ohydna w smaku z powodu nadmiaru chloru. Tymczasem przemysł spuszcza do rzek coraz więcej zanieczyszczających je ścieków. Ciesząc się z wykonania i przekroczenia planów, zwykle zapominamy, że przekracza on znacznie inny jeszcze plan — śmierdzący i raczej wstydlivy.

*Jest więc Polska krainą bogatą w wody
zarówno rzeczne, jak i jeziorne...*

Eugeniusz Romer — Geografia Fizyczna
Ziem Polskich — Lwów 1906.

Przed laty planowano, że w 1975 roku do ziemi lub do wody spływać będzie 11,1 mln m³ ścieków na dobę, podczas gdy już w 1968 r. osiągnięto 13 mln m³. Według obecnych planów w 1985 roku dobową objętość ścieków wyniesie prawie 20 mln m³, czyli jedną ósmą całkowitego odpływu polskich rzek. Dlatego właśnie, jeśli w czasach Syrokomli w Wiśle poławiano potężne jesiotry, a łososie zapuszczały się daleko za Kraków, to dziś rzeka ta posiada odcinki bezrybne i doszczętnie zatrute. W innych zaś, jeżeli ryby nawet pływają, to najczęściej do góry brzuchem.

Jeśli rok jest wilgotny, całkowita ilość wody spływającej przez obszar Polski do morza wynosi 58,5 mld m³ rocznie. Gdy zapadnie susza, ilość ta spada, jak to miało miejsce w bieżącym roku, do mniej niż 32 mld m³. Statystyczny Polak dysponuje więc —

jeśli rok zaliczyć można do udanych — około 1800 m³ wody. Choć wprowadzić zużywa on na swe osobiste potrzeby zaledwie 0,3 m³ na dobę, to wciąż rozwijający się przemysł nie jest skłonny do tak daleko posuniętej oszczędności. Dla wyprodukowania 1 tony węgla potrzeba 2,5 m³ wody; 1 tony włókna sztucznego — 400 m³; 10 kWh energii elektrycznej — 250 m³. Jak przy tym powszechnie wiadomo, woda odprowadzana do rzek przez przemysł w niczym nie przypomina źródlanej. Wprawdzie tę, która przeszła przez kocioł elektrowni, można zużyć gdzie indziej, wprawdzie w wielu zakładach stosowane są obiegi zamknięte, gdzie ta sama woda wykorzystywana jest wielokrotnie, ale 400 m³ potrzebne do wyprodukowania 1 tony powiedzmy elany — jeśli nie zostanie skrupulatnie oczyszczone, będzie tylko cuchnącą truczyną. Niemniej jednak statystyczny Polak w bogatym w wodę roku dysponuje wciąż z pozoru potężną ilością 1800 m³ wody, w których przecież można się i wykąpać, i wyprodukować przy ich pomocy co nieco. Tymczasem statystyczny Francuz dysponuje dziś blisko 3300 m³ wody rocznie, zaś Amerykanin — 8300 m³, podczas gdy średnia światowa wynosi aż 15000 m³ na mieszkańca w ciągu roku! W roku 2020 ilość wody przypadająca na jednego Polaka zmniejszy się drastycznie aż do 1100 m³ rocznie, podczas gdy Francuz będzie wciąż dysponował 2250 m³, zaś Amerykanin 3450 m³. Nie jest więc Polska, wbrew rozpowszechnionej opinii, krajem bogatym w wodę, a można raczej zaliczyć ją do krajów pod tym względem upośledzonych, bo nawet mieszkaniac pustynnego Egiptu dysponuje dziś rocznie 1400 m³ wody. Tymczasem wciąż jeszcze gospodarujemy zasobami wodnymi kraju, jak gdyby na zawsze miały one pozostać niewyczerpane. Przecież ilość i objętość ścieków wciąż rosną, a łączny pobór wody przez przemysł wzrasta z 7 mld m³ w 1967 roku do 11 mld m³ w planie na rok 1975. Czyżby więc zbliżał się dzień, w którym zabraknąć może czystej wody dla ludzi, roślin i zwierząt? Niektórzy twierdzą, że jeśli nie nastąpi zasadnicza poprawa gospodarowania wodą, nadejścia takiego dnia oczekiwać można jeszcze w bieżącym stuleciu.

*Kto szkodliwie zanieczyszcza wody (art. 82 ust. 3)
— podlega karze aresztu do dwóch lat i grzywny
do 100.000 zł.*

art. 154 prawa wodnego

Przeprowadzone badania wykazały, że spośród istniejących w Polsce fabryk i zakładów 3500 wywiera istotny wpływ na stan zanieczyszczenia wód. Aż 1500 z nich nie posiada w ogóle oczyszczalni ścieków i wszystkie powstające w procesie produk-

cji śmierdzące paskudztwa spuszcza wprost do rzek. Nasze prawo wodne, uchwalone przez Sejm w 1962 roku, kategorycznie zakazuje budowy nowych fabryk bez oczyszczalni ścieków i istotnie — nowo zbudowane zakłady je posiadają. Jednocześnie nałożono na „stare” zakłady, zanieczyszczające rzeki przed wejściem w życie prawa wodnego, obowiązek budowy oczyszczalni w przypadku jakiegokolwiek rozbudowy lub zmiany profilu produkcji. Tymczasem profil produkcyjny zakładów „starych” w niczym już nie przypomina tegoż z 1962 roku, lecz bronią się one jak mogą przed budową kosztownych oczyszczalni. Częstokroć też oczyszczalnie już istniejące nie są dostosowane do kolejnych zmian rodzaju produkcji, do rozwoju i stałego unowocześniania zakładów. Dotyczy to na przykład płockiej „Petrochemii”, której oczyszczalnia dostosowana jest do funkcji kombinatu jako wielkiej rafinerii, lecz nie dostosowana do planowanej od początku realizacji inwestycji procesów petrochemicznych na niewielką jeszcze skalę, niedostatecznie oczyszczone ścieki gromadzą się w zbudowanym poniżej Płocka nowym zbiorniku wodnym we Włocławku. Osobną i wielce śmierdzącą kartę zapisały w historii zanieczyszczania polskich rzek nasze rozrastające się miasta. Warszawa jest jedną z nielicznych stolic świata nie posiadających oczyszczalni ścieków. Wraz ze wzrostem liczby mieszkańców wzrósł też poziom nieczystości w podziemnych kanałach i to do tego stopnia, iż wylewają się one do Wisły nie tylko przez przeznaczone do tego odpływy kolektorów, ale również przez awaryjne odpływy burzowe. W efekcie z wszystkich 17 istniejących wylotów leją się do królowej rzek naszych cuchnące miejskie fekalia! Dla samej tylko lewobrzeżnej Warszawy oczyszczalnia wraz towarzyszącymi inwestycjami kosztować ma około 900 mln zł. Podobnie kształtują się koszty budowy oczyszczalni w zakładach przemysłowych, lecz jak wykazały badania Instytutu Gospodarki Wodnej są to inwestycje niesłychanie opłacalne i szybko rentujące. Po prostu suma wszelkich strat materialnych i społecznych jest tak wielka, iż przewyższa znacznie niemały przecież koszt budowy oczyszczalni. Już wstępne i niezbyt dokładne próby oszacowania tych strat wykazały, że nakłady na budowę oczyszczalni zwracają się najdalej w ciągu 2,5 lat. Ze świecą można by szukać podobnie intratnych sposobów lokowania społecznych pieniędzy!

Centralny Urząd Gospodarki Wodnej, stojący na straży czystości naszych wód, wspólnie z Instytutem Gospodarki Wodnej opracował plan budowy oczyszczalni we wszystkich istniejących już i planowanych do zbudowania zakładach. W przypadku pełnej i niczym nie zakłóconej realizacji tego planu w 1985 roku nie będzie w Polsce fabryki, która nie posiadałaby oczyszczalni

zapewniającej 90 % oczyszczenia ścieków. Jest to plan realny, lecz wymagający niemałych nakładów finansowych oraz sporej mocy przerobowej specjalistycznych przedsiębiorstw budowlanych. Już obecnie nakłady na budowę oczyszczalni wzrosły z 2,7 mld zł w pięciolatce 1961-1965 do 55,5 mld w pięciolatce bieżącej. Do roku 1985, by zrealizować ambitny plan ratowania polskich rzek, trzeba prócz tego wydać aż 45 mld zł. Ponieważ jednak według wspomnianych wstępnych badań Instytutu Gospodarki Wodnej roczne straty powodowane zanieczyszczeniem rzek wynoszą dziś 6-7 mld zł rocznie, nie realizując planu budowy oczyszczalni, stracimy w najbliższym piętnastolecu ponad 105 miliardów złotych!

Tymczasem, mimo kar nakładanych na zakłady i osoby winne zanieczyszczania wód, wiele fabryk, wytwarzających szkodliwe dla otoczenia substancje, nie przykładają należytej wagi nawet do zapewnienia prawidłowego funkcjonowania istniejących oczyszczalni, traktując tę działalność jako marginesową. Mnożą się doniesienia o masowych zatruciach ryb. Inspektorzy Centralnego Urzędu Gospodarki Wodnej toczą stałą walkę z przejawianą przez niektórych działaczy gospodarczych tendencją do uruchamiania nowych zakładów bez sprawnie działających oczyszczalni, do „wślizgiwania się w plan” bez zapewnienia właściwego unieszkodliwienia trujących ścieków. Nie zawsze walki te kończą się zwycięstwem słusznej sprawy, albowiem za bardzo już przyzwyczailiśmy się do przymykania oczu, gdy w grę wchodzi terminowe przecięcie wstęgi.

Jeśli nie chcemy, by kraj stał się śmierdzącą pustynią, musimy znaleźć nie tylko niezbędne środki na realizację planu ratowania rzek, lecz także zdobyć się na nadanie odpowiedniej rangi całej gospodarce wodnej, która już dziś staje się dziedziną decydującą o dalszym rozwoju. Przecież wszyscy — i statystyczni obywatele, i największe zakłady — tak lekkomyślnie marnotrawimy, tak lekkomyślnie zanieczyszczamy owe „białe złoto”, którego mamy niewiele więcej niż kraj w 95 % pustynny.

*Człowiek tak znakomicie opanował technikę,
że jest obecnie w trakcie jej całkowitego
unicestwienia.*

M. Batisse — działacz UNESCO

Jak już wspomniałem, dobra nowoczesna oczyszczalnia likwiduje trujące i śmierdzące substancje tylko w 90 %. Resztę powierza się zdolności rzek do samooczyszczania. Czy jednak wraz

z rozwojem przemysłu, wraz z powstawaniem coraz wymyślniejszej, coraz bardziej skomplikowanej chemii, te 10 % — pomnożone przez setki i tysiące — nie przekroczą zdolności wód do ich wchłonięcia i unicestwienia? Uczeni są zgodni, że już w bieżącym stuleciu, w ubogich w wodę regionach, te 10 % może przybrać rozmiary klęski. Prowadzone są więc wysoce zaawansowane badania nad zwiększeniem stopnia oczyszczania ścieków. Okazuje się jednak, że zwiększenie stopnia oczyszczania z 90 do 97 % powoduje dwukrotny wzrost kosztów budowy oczyszczalni i znaczny wzrost jej obszaru. Niemniej brak wody pcha człowieka do realizacji pomysłów, będących niedawno jeszcze mrzonką fantastów. W niektórych regionach świata odsalanie wody morskiej staje się już ekonomiczną metodą zwiększania jej ubogich zasobów. Miasto Johannesburg w Afryce Południowej — na podobieństwo miast przyszłości — posiada już zamknięty obieg wody. Zastosowano tam urządzenia niezmiernie dokładnie usuwające zanieczyszczenia z miejskich ścieków, tak że otrzymana woda nadaje się do picia. Im uboższe w wodę państwo i im bujniejszy jest jego przyszły, przewidywany rozwój, tym więcej nakładów winno przeznaczać ono na badania naukowe w zakresie oczyszczania i przeznaczania do użytku wód. Tymczasem nasz Instytut Gospodarki Wodnej wciąż nie posiada uprawnień jednostki koordynującej rozproszone po kilkudziesięciu drobnych placówkach badania. „Katastrofa fenolowa” — przedostanie się tej groźnej dla ludzkiego życia substancji do wodociągów Krakowa, Szczecina i innych miast, zmusiła nas do intensywnych badań nad usuwaniem fenolu ze ścieków i dziś mamy kilka dobrych, opatentowanych i zastosowanych metod. Czy trzeba czekać na kolejną katastrofę, na kolejne zagrożenie, by zintensyfikować i racjonalizować zadania nad innymi nie mniej ważnymi problemami?
.....

Jerzy SURDYKOWSKI

Perspektywy, 5 grudnia 1969

SKUTKI „DONOSU” ? — TYMCZASEM ŻADNE

Na notkę pt. „Donos” w nrze 46 „Ż.G.” z br., w której wytykaliśmy producentom koszul niemnących, że nie wytwarzają pełnej numeracji — odezwała się łódzka „Wólczanka”. W liście, podpisanym przez dyrektora Mariana Szymczyka, czytamy:

„Prawdopodobnie zaszło nieporozumienie lub po prostu nastąpiła nieprawidłowa informacja ze strony aparatu handlowego odnośnie produkowanych wielkości koszul przez przemysł odzieżowy. Pragniemy wyjaśnić, że Zjednoczone Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Wólczanka” w Łodzi jak i inne zakłady przemysłu kluczowego i zrzeszone w Ogólnokrajowym Zrzeszeniu Producentów Koszul i Bielizny Osobistej zakłady drobnej wytwórczości (do tych nie należy Spółdzielnia im. J. Dąbrowskiego w Krakowie i ZPDz „Polo” w Kaliszu), produkują koszule w rozmiarach od 35-46 w obwodzie kołnierzyka oraz wzrostach 165, 175 i 185. Faktem jest, że koszule z elenobawełny są produkowane, przynajmniej do tej pory, głównie w kolorach jasnych, ponieważ gładkich jednokolorowych tkanin o dobrej jakości przemysł bawełniany nie może osiągnąć.

Przedsiębiorstwo nasze produkuje koszule w każdym z w/w rozmiarów zgodnie z ilościami zamówionymi przez handel. Korzystając z możliwości wypowiedzenia się na łamach Waszego pisma chcielibyśmy powiadomić Czytelników a jednocześnie PT naszych Klientów, że dla lepszego dopasowania koszul przedsiębiorstwo nasze wprowadziło, poczynawszy od stycznia bieżącego roku, rozszerzoną gamę rozmiarowzrostów z podziałem na tzw. typy sylwetek i tak: dla osób szczupłych i o normalnej budowie produkujemy koszule oznaczone literami AB na metce handlowej i torbie polietylenowej, w rozmiarach od 35-42 we wszystkich wzrostach tj.: 165, 175 i 185. Natomiast dla osób krępych

i tęgich produkujemy koszule w rozmiarach od 39-46 również we wszystkich wzrostach tj.: 165, 175, 185. Stąd nie możemy się zgodzić z faktem, że nie można otrzymać odpowiedniego rozmiaru koszuli. Bardzo istotnym momentem jest prawidłowa informacja i właściwa obsługa klienta przez aparat handlowy, co nie zawsze jest należycie czynione. Przedsiębiorstwo nasze wydrukowało dokładną tablicę informacyjną i przekazało ją wszystkim przedsiębiorstwom hurtowym i większym odbiorcom detalicznym w celu właściwej obsługi klientów dla prawidłowego doboru koszuli. W podobny sposób przekazujemy naszym odbiorcom pełną informację o kolekcjach oferowanych na Targach Krajowych poprzez wydawanie informatorów o nowościach i całej kolekcji. Ekspozując koszulę na targach dajemy odbiorcom kilka zespołów procentówek rozmiarowzrostów i pozostawiamy zupełny wybór rozmiarów i ich potrzebami. Tablicę taką oraz informatory z ostatnich targów w załączeniu przesyłamy do Waszej Redakcji. Pragniemy jednocześnie nadmienić, że brak jakichkolwiek rozmiarów może być jedynie skutkiem niedopatrzania ze strony poszczególnych jednostek handlowych, które we właściwym czasie nie uzupełniają dodatkowo swoich zamówień.

Przedsiębiorstwo nasze, które jest jednocześnie wiodącym w ogólnokrajowym zrzeszeniu wprowadziło dodatkowe rozmiary do obowiązującej tablicy wymiarów tj.: rozmiar 35 i 46, ponieważ utrzymujemy stały kontakt bezpośredni z klientami i uwzględniając ich postulaty uważamy za słuszne rozszerzać gamę rozmiarowzrostów koszul, pomimo że tych rozmiarów nie przewiduje polska norma. Jednocześnie zaznaczamy, że nie możemy ponosić żadnej odpowiedzialności za brak rozmiarów w asortymencie koszul z dzianiny *non iron*, ponieważ tego asortymentu nie produkujemy.

Informujemy jednocześnie, że koszule z elanobawełny w kolorze szarym (stalowym) produkujemy dla Ministerstwa Górnictwa na specjalne zamówienia. Gdyby handel złożył odpowiednie zamówienia na koszule w tym właśnie kolorze, otrzymałby je z pewnością. Jesteśmy skłonni wykonać koszule jeszcze w roku bieżącym, o ile otrzymamy na nie zamówienia z handlu.

Szkoda tylko, że Obywatel Redaktor przed napisaniem artykułu nie skontaktował się z kierownictwem naszego przedsiębiorstwa, bo sporo problemów można było wyjaśnić i udzielić Czytelnikom rzetelnej informacji. Prosimy zatem o sprostowanie zaistniałej pomyłki i jednocześnie o odwiedzenie naszego przedsiębiorstwa celem potwierdzenia przekazanych informacji”.



Przedsiębiorstwo „Wólczanka” odpowiedziało na krytykę stosunkowo szybko, w odróżnieniu od Krakowskiej Spółdzielni im. J. Dąbrowskiego i kaliskiego „Polo”, które jak dotychczas zachowują się pod tym względem wstrzemięźliwie. Taką, dość rzadko spotykaną, gotowość producenta do publicznego dialogu notujemy z prawdziwą satysfakcją. Szkoda tylko, że ten fakt stanowi jedyne dobro, które możemy zapisać na konto powyższej odpowiedzi.

Cóż za krzepiący optymizm, jakaż pogoda ducha tchnie ze słów listu. Ze klienci tracą dziesiątki godzin w poszukiwaniu odpowiedniego koloru, fasonu i rozmiaru — to albo „nieporozumienie”, albo „nieprawidłowa informacja handlu”. Co złego, to nie my... Dyr. Szymczyk daje nam do zrozumienia, że bezkrytyczne, jeśli idzie o konsumentów, poleganie na własnych zmysłach jest zawodne, zwłaszcza w tak fachowej materii jak rozmiarowzrosty, gdzie — jak wynika z listu — uczyniono już wszystko co możliwe i potrzebne. W fabrykach oczywiście, bo handel nadal jest brzydki i niweluje osiągnięcia przemysłu.

Nie zamierzamy kwestionować pożytecznej dla rynku ruchliwości produkcyjnej „Wólczanki” i innych fabryk. Coraz więcej na rynku koszul ładnych, coraz więcej nowych wzorów i fasonów. Ba, są nawet prospekty reklamowe. To wszystko fakty, które dobrze świadczą o producentach, ale stałe właściwie braki w sklepach poszczególnych rozmiarowzrostów, to przecież także fakty, które codziennie stwierdzają tysiące klientów. Nic tu nie pomogą oświadczenia o „rozszerzonej gamie” rozmiarowzrostów, skoro trzeba niemal zedrzeć parę butów, aby zdobyć (!?) odpowiedni rozmiar w odpowiednim fasonie i kolorze. I to po cenie — dodajmy — bynajmniej nie małej. I nie ma co zwać całej winy na handel, który stał się już jakby „workiem do bicia”, jeżeli detal udowadnia czarno na białym, że składa zamówienia (także uzupełniające) na wszystkie rozmiary, zamówienia tylko częściowo przez przemysł respektowane. Handel ma swoje własne grzechy, których nikt łatwo odpuścić nie zamierza, ale za cudze winy odpowiadać nie może i nie powinien. Jest prawdopodobne, że hurtownie stanowią niebagatelny czynnik bałaganu zaopatrzeniowego, ale i one potwierdzają lekceważenie przez dostawców zamówień handlu, co w zakresie rozmiarów przejawia się najbardziej jaskrawo.

List „Wólczanki” zawiera pewne niekonsekwencje. Jeżeli są takie ścisłe kontakty przedsiębiorstwa z klientami i detalem, to dlaczego tak ubogo przedstawia się wybór koszul w fabrycznym sklepie „pod Arkadami” przy ul. Marszałkowskiej? Jak możemy rozsądnie wyjaśnić sobie zestawienie owego ścisłego rzekomo

kontaktu z klientami z oświadczeniem o czekaniu na zamówienie koszul szarych (produkowanych dla górników) ze strony handlu? Czy sklep fabryczny nie daje właśnie możliwości oferowania pewnych wyrobów niezależnie od opinii handlu? Jeżeli list na wstępie stwierdza, że jednokolorowych tkanin dobrej jakości po prostu nie ma, bo przemysł bawełniany nie jest w stanie ich dostarczyć, to po co wobec tego całe te wyjaśnienia na temat „pełnej gamy rozmiarowzrostów”? Skoro brak amunicji, strzelanie staje się raczej niemożliwe (co odkrył już Napoleon).

Gdyby list zawierał wyjaśnienia dotyczące różnych rzeczowych elementów pracy przedsiębiorstwa (o których skądinąd wiemy, że nie są przecież najlepsze) — wówczas istniałaby podstawa do równie rzeczowego ustosunkowania się i dyskusji. Tłumaczenia, że winien jest wyłącznie „kolega”, nie można niestety traktować serio.

Ustawiczne od lat datujące się kłopoty z rozmiarami mają konsumenci nie tylko z koszulami. Parę tygodni temu (nr 47 z br.) pisaliśmy o perypetiach zakupu płaszcza męskiego, który by obok walorów fasonu, koloru itp. miał ten jeszcze, żeby w ogóle pasował na figurę. W tym samym numerze („Sprawy do przemyślenia — Sposób na sposób”) donosiliśmy o „genialnych” posunięciach niektórych fabryk odzieżowych, które dostarczają pełną gamę rozmiarowzrostów... w metkach; sam towar natomiast ma zupełnie inne rozmiary, przeważnie mniejsze, niżby wynikało z metki. Nawiasem mówiąc domagaliśmy się swego czasu, aby metki były redagowane w sposób zrozumiały dla klienta, a nie zawierały nic mu nie mówiących wzorów liczbowych ale nikt nie raczył na to nawet odpowiedzieć. Szczególnych trudności doznają posiadacze nieco większych (lub bardzo małych) stóp: tygodnie trzeba strawić na poszukiwaniu odpowiednich butów męskich i damskich a udany zakup jest odczuwany jako niebywały sukces, wręcz dar niebios.

To co wyżej nie jest więc sprawą incydentalną, lecz istotnym składnikiem naszej rzeczywistości rynkowej. Dlatego trzeba domagać się rzetelnego i autorytatywnego wyjaśnienia: dlaczego mianowicie wielotysięcznej rzeszy konsumentów nie mogą być zaoszczędzone kłopoty, które doprawdy nie wymagają, tak się przynajmniej wydaje, szczególnie napiętych wysiłków. Jest to pytanie tym bardziej na czasie, że w kierownictwie resortu przemysłu lekkiego podjęto w tej sprawie pewne decyzje. Zwracamy się więc do Ministra Przemysłu Lekkiego z prośbą o odpowiedź na następujące pytania:

1. Jak kierownictwo resortu ocenia realizację własnego zarządzenia nakładającego na przedsiębiorstwa (pod rygorem sank-

cji) obowiązek produkowania i dostarczania na rynek artykułów w pełnej, stosownie do faktycznych potrzeb, gamie rozmiarówzrostów?

2. Jakie konkretne przyczyny wstrzymują pełne dostosowanie się producentów do wymagań rynku? Mamy na myśli sprawy zarówno niezależne od przedsiębiorstwa (być może, ma tu swój udział i handel, ale w jakim stopniu?), jak i ich własne zaniedbania.

3. Jakie konkretne środki zamierza kierownictwo resortu podjąć, aby jak najszybciej i do końca wyeliminować te dokuczliwe dla rynku i zawstydzające przemysł niedomagania.

REDAKCJA

Życie Gospodarcze, 14 grudnia 1969

OD PRZYPADKU DO PRZYPADKU

Jeżeli Fabryka Samochodów Ciężarowych w Lublinie współpracując z przeszło 260 zakładami kooperującymi, jedynie z pięcioma nie ma stałych kłopotów wynikających z kooperacji, nie trudno sobie wyobrazić ile energii i wprost karkołomnych wysiłków trzeba dla wydobywania od swoich partnerów potrzebnych detali w terminie. Nietrudno też wyzwolić się z przeświadczenia o zależności planu produkcji i wszelkiej innej zakładowej pomyślności od dobrej woli, sumienności, a niekiedy nawet możliwości kooperantów.

Gwoli sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że w tych przypadkach, kiedy od lat ustaliły się trwałe więzi kooperacyjne, oparte na zdrowych podstawach, sytuacja jest o wiele lepsza. Niestety zakres tych poprawnych stosunków jest wciąż niedostateczny.

Mała skuteczność dotychczas stosowanych środków zaradczych — polegających na traktowaniu produkcji kooperacyjnej na równi z finalną i w przypadku niewykonania planu w jednakowej mierze grożącej kierownictwu utratą premii — tłumaczy się nie tylko preferowaniem gotowych wyrobów, ale także małą zdolnością wytwórczą oraz niedostateczną specjalizacją wielu kooperantów.

Narzucanie niektórym fabrykom obowiązku wykonywania detali w trybie awaryjnym, nieodpowiadającym ich możliwościom technicznym, urządzeniom, oprzyrządowaniu, nie tylko podnosi koszty własne lecz staje się także hamulcem w postępie technicznym i technologicznym. Traktowana marginesowo produkcja kooperacyjna nie pobudza myśli technicznej, nie sprzyja nowatorstwu, a jedyna dziedzina, w której dochodzi do głosu pomysłowość — to zabiegi mające na celu pozbycie się zbędnego kłopotu.

Trudności kooperacyjne skłaniają niektóre zakłady do wytwarzania maksymalnej ilości detali we własnym zakresie. W rezultacie zamiast specjalizacji i wydłużania serii wyrobów finalnych

pogłębia się niezdrowa samowystarczalność, nieodpowiadająca wymagom współczesnej technologii i organizacji przemysłu.

Jesteśmy także świadkami zdumiewającego na pozór paradoksu. Dążeniu fabryk do wytwarzania wszystkiego we własnym zakresie towarzyszy... nadmierny rozrost kooperacji. Często się zdarza, że niektóre unifikowane lub łatwe do unifikacji detale są wytwarzane przez wielką liczbę fabryk w małych seriach, a więc, niekiedy w sposób chałupniczy. Przykładem mogą służyć sprężyny czy koła zębate, nie mówiąc już o różnego rodzaju przekładniach i podobnych urządzeniach.

Traktowanie produkcji kooperacyjnej jako marginesu odbija się szczególnie na przemyśle elektronicznym. Na jednej z konferencji prasowych dyrektor „Unitry” poświęcił wiele gorzkich słów półfabrykatom dla produkcji materiałów magnetycznych i półprzewodników. Dostawcy nie zadają sobie zbytniego trudu dla podniesienia jakości i jednolitości tej marginesowej dla nich produkcji. Toteż od lat dojrzewa myśl zorganizowania wyspecjalizowanej mikrohuty. Albo przykład z innej dziedziny: Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych, poza maszynami omłotowymi, produkuje także, ale już dla całej branży, wały przegubowe. Fabrykę nie bardzo stać na jedno i drugie. Załoga świadoma nienormalnego stanu, postuluje wyspecjalizowanie zakładu w jednym kierunku.

Dążenie do specjalizacji produkcji, wydłużania serii, stosowania nowoczesnych technologii znajduje się w kolizji z niedorozwojem kooperacji i z jej przypadkowym lub jak kto woli marginesowym — częstokroć charakterem. Na tę okoliczność zwróciło uwagę IV Plenum KC PZPR. Podjęta uchwała zobowiązuje Ministerstwo Przemysłu Maszynowego do specjalizacji produkcji kooperacyjnej i wyeliminowania jej przypadkowego charakteru. Decyzja ta stwarza warunki powstania zakładów poświęcających się wyłącznie produkcji detali i węzłów maszyn nie tylko dla swojego zjednoczenia, branży czy resortu, lecz dla całego przemysłu.

Tworzenie takich jednostek jest ułatwione stale pogłębiającą się unifikacją węzłów i detali maszyn. W uprzemysłowionych krajach rzadko która fabryka wytwarza znormalizowane detale lecz otrzymuje je taniej i lepiej wykonane z zewnątrz, co z kolei warunkuje rozwój korzystnej dla gospodarki kooperacji z prawdziwego zdarzenia.

Jeszcze raz powtarzamy: kooperacja nie od przypadku do przypadku, nie doraźne łatanie dziur, lecz stworzenie, na bazie istniejących zakładów kompleksu fabryk poświęcających się wyłącznie masowej i wielkoseryjnej produkcji kooperacyjnej.

Trybuna Ludu, 7 stycznia 1970

B. L.

DLACZEGO NIE WYCHODZI

Stoję właśnie nad upartą maszyną, która okazała się nieczuła na wszelkie zabiegi propagandowe, nawet na presję wysokiego działacza partyjnego. Stoję ja, stoi ona i stoi dwóch robotników. Maszyna powinna działać — a nie działa. Od pół roku powinna już być w Lesznie Wielkopolskim, w tamtejszej fabryce zamków i okuć budowlanych, produkować i przynosić dochód. Tymczasem stoi wciąż jeszcze tutaj, w Poznaniu, w miejscu swoich nieudanych narodzin i przynosi kłopot.

Robotnicy z opuszczonymi rękami i z wyraźną złością wpatrują się w duży, płasko leżący talerz, mówiąc językiem fachowym — stół. Na tym talerzu przymocowano 18 mosiężnych odkuwek. Zejść z talerza powinny jako gotowe korpusy zamków do drzwi, takich, które kiedyś nazywały się yale, a potem zostały spolszczone na yeti. Powinny zejść, ale nie zejść: talerz nie zatrzymuje się równo pod wiertłami, wiertła nie wchodzą tak, jak trzeba. Słowem — nie wychodzi.

Dlaczego jedne rzeczy wychodzą, a inne nie? To pytanie jest bardzo proste i zarazem bardzo skomplikowane. Zdarza mi się często słyszeć od fachowców odpowiedzi typu: nie wychodzi, bo zawór zanieczyszczony, bo wiertło za miękkie, bo trzech robotników nie przyszło do pracy. Pytam wtedy w dalszym ciągu „dlaczego”, bo nie wierzę w złośliwość natury. Dlaczego nasze zawory są zanieczyszczone, dlaczego nasze wiertła są za miękkie, dlaczego nasi robotnicy opuszczają pracę? A może i gdzieś indziej zdarzają się zanieczyszczenia i miękkie wiertła i absencja? Może gdzieś indziej potrafią na to znaleźć skuteczne antidotum? W końcu wszystkie te pytania i odpowiedzi trzeba sprowadzić do działań ludzkich, bo jeśli nawet słyszę, że nasze wiertła są za miękkie, ponieważ handel zagraniczny sprowadził stal narzędziową z Patagonii, a jak wiadomo patagońska stal jest za miękka — odpowiem,

że po to urzędnika z handlu zagranicznego uczono materiałoznawstwa, żeby takiej transakcji nie zawarł.

Stoję nad tą nieszczęsną maszyną do zamków yeti i dowiaduję się od dwóch smutnych robotników, że nie wychodzi, bo przedział jest za mały. Przedział między jednym mosiężnym korpusem a drugim i między jednym a drugim przystankiem talerza. Dowiaduję się także, że to jest o wiele trudniejsze niż wygląda na pierwszy rzut oka *bo talerz jest ciężki, jego ruch musi być szybki, musi się zatrzymać dokładnie co do setnej milimetra i zostać zamocowany*. No tak. Ale przecież gdzieś już na świecie wyprodukowano kilka zamków yale, czy yeti i na pewno nie wszystkie metodą, używaną w Lesznie, czyli na pół ręcznego wiercenia otworów w mosiądzu. Przypomina mi się tutaj gorzki dowcip o międzynarodowej giełdzie robaków dla wędkarzy: sprzedaje się tam angielskie robaki po 5 dolarów za kilogram, francuskie po 4, włoskie po 3, japońskie po 2 i polskie po 20 dolarów. — *Czemu wasze robaki takie drogie?* — pyta Japończyk naszego handlowca. — *A czy pan wie* — odpowiada na to nasz przedstawiciel — *ile to się trzeba natapać?!*

Maszyna do wiercenia otworów w yeti jest przykładem pojedynczym i drobnym, ale od niej zaczął się niniejszy reportaż. Opowiadał mi przed kilkoma miesiącami Kazimierz Barcikowski, I sekretarz KW w Poznaniu, o swojej wizycie w Lesznie Wielkopolskim. Aktyw fabryki okuć i zamków zwrócił się do niego z prośbą o interwencję: terminy minęły, plany napięte, yeti wciąż mało, a maszyny nie ma! Sekretarz wrócił do Poznania, wezwał dyrektora „Wiepofamy” na rozmowę i...

— *No i co?* — pytam zaciekawiony.

— *No i nic* — odpowiada sekretarz. — *Rozmawialiśmy tak i owak — nie wychodzi. Co mam robić? Krzyczeć na nich będę?*

— *A krzyczał* — zdradzi mi później dyrektor „Wiepofamy”, który dobrze pamięta tę wizytę. — *Krzyczał, i to zdrowo. Wcale się nie dziwię, ja też krzyczałem na swoich ludzi. Nakrzyczeliśmy się wszyscy, a ta cholerna maszyna jak stała, tak stoi. Nie tylko ona zresztą.*

Wtedy właśnie pokazał mi te zakątki swojej fabryki, do których nasza propaganda żywi wstręt.

Najlepiej średniakom

Nieczęsto spotykałem dyrektorów, którzy byliby gotowi odślaniać swoje niepowodzenia. Dyrektor Furmanowski mógłby śmiało wykorzystać swoją przewagę nade mną i wmówić, że np.

przeznaczona dla „Pafawagu” maszyna do obróbki wózków wagonowych działa jak trzeba: widzę przecież, jak liczne wiertła zagłębiają się w stal, cofają, jak następnie wielkie widły przekręcają cały wózek i takie samo wiercenie odbywa się z drugiej strony. Ale nie, jeden otwór nie wychodzi, jak trzeba. Pierwszy egzemplarz tej maszyny pracuje już w „Pafawagu”, tyle że ten jeden otwór trzeba poprawiać, nad drugim egzemplarzem, który stoi jeszcze tu, głowi się grupka trzech robotników — tak samo, jak dwóch nad maszyną do yeti. — *W końcu osaczymy błąd, wytropimy i usuniemy* — mówi dyrektor — *błędy są nieuniknione, zwłaszcza z początku. Nasz kłopot polega na tym, że mamy same początki.*

Oglądamy dalej: maszyna do obróbki podnośnika hydraulicznego, przeznaczona dla „Archimedes’a”. Maszyna do obróbki trzonu pod zębatkę pompy wtryskowej przeznaczona dla WZM-2. Wszystkie odległe od głównego frontu potrzeb ludzkich, ale nieodzowne. Wszystkie już dawno powinny być w zakładach, dla których zostały przeznaczone, powinny przynosić dochód, amortyzować swoją wysoką cenę — a tymczasem są tutaj i absorbują ludzi, potrzebnych już do dalszej produkcji. Przy każdej maszynie dwu, trzy, czterosobowe grupki ludzi i rozłożone arkusze planów. Odnoszę wrażenie, że o wiele więcej czasu wpatrują się w papiery niż w kable i śrubki. Same prototypy, same początki, żadnej koncentracji, żadnej długiej serii. Dawniej „Wiepofama” produkowała zwyczajne obrabiarki, każdy starszy pracownik mógł robić na ślepo, nie zaglądając do dokumentacji. Nie było kłopotu z planem, z usuwaniem defektów, z niczym. Nic dziwnego, że w czasie późniejszych wypraw po fabryce usłyszę tu i ówdzie westchnienie do dawnych dobrych czasów. Jeden z robotników powiedział mi nawet: — *Robiliśmy tamte obrabiarki i wychodziły nam dobrze, więc po co zmieniać, niech te zespołowe i te frezarki robi ktoś inny, a my zostaniemy przy tamtych!*

Robotnik ów odkrywa nienową prawdę, że najlepiej średniakom, tym co na Olimp nie wejdą, prochu nie wymyślą, świata nie przenicują. Kłopoty „Wiepofamy” zaczęły się z chwilą podjęcia ambitniejszej produkcji. Oto zrobiono maszynę dla zakładów „Ursus”: maszyna miała obrabiać uchwyt do szczęk hamulcowych w 2,2 minuty, podczas gdy dawniej robiono to w „Ursusie” ręcznie w ciągu 6 godzin. Rewolucja! Ale żadna rewolucja nie przechodzi bez bólu. Maszyna miała sporo usterek, które trzeba było mozolnie tropić i usuwać. Tymczasem termin następował, w „Ursusie” miała ruszyć nowa produkcja, nie będzie przecież cały traktor czekał na jeden głupi uchwyt! Ministerstwo przykazało więc „Wiepofamie”, fabryce maszyn a nie traktorów,

produkować uchwyty póty, póki nie uruchomi maszyny w „Ursusie”. Może ta presja pomogła, może i bez tego usterki by rychło usunięto, w każdym razie „Wiepofama” na tym straciła. A gdyby nadal robiła proste maszyny, jak dawniej, miałyby spokój.

Nie tylko u nas łapią Robaki

Znów przypominam sobie, że już gdzieś na świecie robią traktory mają hamulce, uchwyty, i że te uchwyty też chyba robi maszyna. Nie tylko u nas trzeba pracowicie łapać robaki. Nie muszę zresztą daleko szukać oparcia dla wyobraźni: stoją w „Wiepofamie”, połyskując nowością i obcojęzycznymi napisami, trochę na uboczu od produkcyjnego hałasu, maszyny „Dixi” i „Deckel”. Ich funkcja jest szczególna: po to, żeby gdzieś w „Ursusie”, czy „Pafawagu” osiągnąć tolerancje w granicach dziesiątych części milimetra, maszyny muszą mieć tolerancje mikronowe. Po to, żeby zrobić tak dokładne maszyny, trzeba mieć jeszcze dokładniejsze. Dlatego sprowadzono do „Wiepofamy” ten kwiat kwiatów i szczerle otulono plastikowym pokrowcem; bez nich nie ma co marzyć o wysokich dokładnościach.

Inżynier Wesołowski, kierownik wydziału obróbki, opowiada mi zdarzenie, które stawia panów Dixi i Deckel w zupełnie nowym świetle. Otóż zwrócił się do inżyniera z prośbą o ratunek jego kolega, szef kooperacji „Wiepofamy”, bezskutecznie poszukujący na zewnątrz fabryki jakiegoś wykonawcy wrzeczona o tolerancji 3 mikronów. „Wiepofama” nie ma szlifierki o tej dokładności. Inżynier Wesołowski wezwał jednego ze swych robotników i mówi mu: — *Jeśli pan to robi, dostanie pan z funduszu mistrzowskiego 200 zł i za każdy mikron dalej 100 zł. No i co? No i zrobił, mieszcząc się nawet w 2 mikronach, nie w 3. Jak zrobił? Nie wiadomo: może mierzył, może popychał palcem czy lizał, czy nawet dmuchał. W każdym razie kosztem 300 zł fabryka szybko i skutecznie uzyskała potrzebną część.*

— *Pieniądz może z człowieka wycisnąć wszystko!* — powie inżynier. Przyjmuję to sceptycznie, będąc przez wielu przyjaciół uczulony na technokratyzm. Ale i od robotników nie usłyszę nic innego, a wszak ci sami przyjaciele, którzy mnie przestrzegają przed technokratyzmem, radzą zawsze słuchać głosu robotników. — *To nie jest żadna filozofia,* — wyjaśnia mi robotnik z dwudziestoletnim stażem, Kęsy — *tamte maszyny, zagraniczne, służą do tego, żeby robić szybko i dobrze. Nasze robią albo szybko albo dobrze. Kiedy pogania mnie akord, przysmykam oczy na jakoś i zdarza się spartolić. Ale kiedy czeka mnie nagroda, jak*

w tym wypadku, bardziej mi się opłaca pracować powoli, a za to dokładnie.

Ciekawi mnie, jak pan Dixi i pan Deckel doszli do precyzji swoich maszyn. Przecież nie zrobiły się same, i oni mieli zapewne kłopoty. Sądzę jednak, że dla osiągnięcia efektu jakościowego musieli, choćby przejściowo, rezygnować z ilościowego. I sądzę, że musieli bez żadnych zahamowań ustrojowych uwierzyć w zasadę, którą mi wyłuszczył inżynier Wesołowski: pieniądz może z człowieka wycisnąć wszystko. To smutne, ale prawdziwe. Inne bodźce mogą współdziałać z tym podstawowym, ale go nie zastępują. Przekonują mnie zresztą o tym dalsze rozmowy z robotnikami.

Złamany gwintownik

— *Mniej ludzi, za to więcej im płacić!* — tak mówi prawie każdy spośród moich rozmówców, i Kęsy, i Dunaj, i mistrz Ekert. Niby to w zgodzie z dyrektywami partii, ale jakoś niemożliwe do wykonania. Wszyscy się zachęcamy do tego, żeby wstrzymywać wzrost zatrudnienia, a podnosić wydajność pracy. W efekcie powinna rosnąć średnia płaca. Ale rychło okazuje się, że gdzieś tam naprzyjmowali ludzi, że trzeba im płacić, że zatem pieniądze rozeszły się i radykalnie podnieść płacy nie można. Wykwalifikowany robotnik „Wiepofamy” musi wykonywać 160 proc. normy, żeby zarobić 4 tysiące złotych. Co to za norma, którą można przekroczyć o przeszło połowę? Ośrodek normowania żąda jej zmiany, a dyrektor Furmanowski przeciwstawia się. — *Wolę, żeby mnie ochrzczali za zbyt liberalne normy niż za niewykonanie planu* — zwierza mi się.

— *Kiedy zarobki robotnika spadną do trzech i pół — odejdzie. A obrabiarki zespołowej nie robi mi smarkacz po wojsku z czwartą grupą.*

Mniej ludzi, za to więcej płacić. Cały przewidywany na przyszły rok przyrost zatrudnienia, to 20 konstruktorów, co do których zresztą nie ma pewności, czy uda się ich zdobyć. To oni, siedzący z dala od pierwszej linii produkcyjnego frontu, sprawią, że wydajność ma podskoczyć o 8 proc. To dzięki nim krócej ma trwać szukanie przyczyn, dla których stół zatrzymuje się krzywo, czy jeden otwór jest zły. Wyraźnie widzę, że ciągle zagłądanie do papierów hamuje robotę, że hala „Wiepofamy” wygląda nie jak fabryka, a jak laboratorium — i rozumiem, że przy drugim, trzecim, dziesiątym egzemplarzu maszyny robota ruszy z martwego punktu i pójdzie rażniej.

Inny inżynier, Stefan Budzisz, kierownik wydziału montażu skarży się na złą jakość części, które dostaje z wydziału obróbki i z których składa maszynę. Składa, a nieraz musi potem rozbiierać, żeby znaleźć przyczynę wadliwego działania; okazywało się, że jakiś detal mimo podwójnej kontroli ma niewłaściwe wymiary. Więc co — kontrolować trzeci raz? Sprawców karano potrąceniem dodatku za jakość, ale braki zdarzają się nadal. Widać, że kary nie wystarczają. Był nawet wypadek, że w korpusie maszyny znaleziono złamany gwintownik: ponieważ nikt się nie przyznał do tego niedbalstwa, potrącono dodatek całej brygadzie. Rozmawiałem potem z tą brygadą: każdy uważa oczywiście, że w jego wypadku kara jest niesłuszna, ale w zasadzie zgadzają się, że takich wypadków płazem puszczać nie można.

Na skraju hali stoi maszyna nieco większa od innych i więcej wokół niej ludzi. Dołączam do grupki kibiców. Ta maszyna ma wkrótce stanąć w FSO. Dokonuje jednej drobnej operacji w obróbce wału korbowego dla polskiego Fiata. Im dłuższa seria, tym bardziej opłaca się powierzyć nawet drobne operacje maszynom. Obrabiarka, którą oglądam, zwana LWP 12 kosztuje 4 i pół mln zł, ale rychło się wypłaci. Obserwuję wraz z innymi, jak wprawnie chwyta odkuwkę, umieszcza w uchwytach, potem z sykiem zaciska, jak noże podjeżdżają najpierw szybko, potem zwalniają, nacinają, co trzeba i szybko cofają się na swoje miejsce. Kibice chodzą wokół, przykucają, przypatrują. Pytam szeptem dyrektora, co robią i słyszę w odpowiedzi, że sprawdzają, czy posuw jest dość płynny.

Pomiędzy kibicami jest konstruktor tej maszyny, inż. Skubel. Pytam go, czy wszystko chodzi dobrze, a kiedy odpowiada, że na razie, odpukać, owszem — brnę dalej.

— *Dlaczego tak się dzieje, że jedna maszyna wychodzi, a inna nie?* — pytam.

— *Ludzie wszystko zrobią* — mówi mi na to — *byle im trochę mniej przeszkadzać. Przeszkody techniczne będą zawsze. Ale dlaczego dodawać jeszcze kłopotów z zaopatrzeniem? Najtrudniej przy budowie tej maszyny było pozbierać do kupy to, co niby jest, ale nie wiadomo gdzie, jak i kiedy. Nawet pompy hydrauliczne Vickersa leżały zamiast u nas, w fabryce „Lechia”, gdzie robią pastę do zębów.*

Sądzę jednak, że ważniejsze jest to, co inż. Skubel powiedział potem: — *Co ja ostatnio konstruowałem? Maszynę dla „Jelcza” do tulei dla „Autosanu”, do zwrotnicy dla Gorzowa, do jeszcze czegoś, nie pamiętam...*

Jeden młody konstruktor w jednej fabryce robi co pół roku inną maszynę. W biurze u pana Dixi i u pana Deckla siedzą zapewne konstruktorzy, którzy całe życie pracują nad jedną, jedyną maszyną, ciągle rozwijaną i doskonaloną. Przekonam się, że nawet odpada kłopot w postaci narzędzi, bo i do jednej, i do drugiej maszyny stojącej w „Wiepofamie” dołączone było wyposażenie firmy Hensoldt. Tam znów siedzi jakaś grupka, która udoskonala narzędzia. Pan Dixi jest Szwajcarem, pan Hensoldt jest Niemcem, ale granica nie przeszkadza im współpracować z sobą i dzięki temu koncentrować wysiłki na małych, wybranych frontach. Świat wymyślił rozwój selektywny dawno przed nami i pokazał, ile można na tej drodze zyskać.

Inżynier Skubel opowiada mi, że największe kłopoty miał z hydrauliką. Jak kiedyś elektryczność, tak teraz hydraulika staje się systemem mięśniowym maszyny. Tylko o ile wtyczkę, gniazdko, kable czy wyłącznik elektryczny można kupić nawet w mydlarni, to elementów hydrauliki kupić nie można nigdzie. Obejrzę potem pokój, gdzie wiercą bryły stali, jak ser szwajcarski wielokierunkowymi otworami. To rozdzielacz hydrauliczny. Obok robi się uszczelki, których nie produkuje przemysł chemiczny, a dalej śrubki, jeżeli akurat zabraknie. Wszystko z pewnością gorzej i drożej, niż by mogło być, gdyby produkcja była scentralizowana.

Nacieram później na naczelnego dyrektora całego Zjednoczenia Przemysłu Obrabiarek i Narzędzi, mgr. inżyniera E. Łukosza, w sprawie tych podzespołów hydraulicznych. Dlaczego nie produkuje się ich, skoro są potrzebne i jego Zjednoczeniu, i Maszynom Budowlanym, i Górniczym i Motoryzacji i kto wie komu jeszcze. — *Zgoda, powinna być centralna wytwórnia* — mówi dyrektor Łukasz — *ale powinna także być wytwórnia szaf sterowania numerycznego. Kto wie, co lepsze? Kto wie, co ważniejsze? Trzeba zbadać koszty własne, ceny światowe, może nie optać się budować, może lepiej importować?*

Tracę na chwilę impet natarcia, ale potem dochodzę do wniosku, że choć dyrektor ma rację — to i ja mam rację. Mamy pieniądze na drogą i niedobłą produkcję, rozproszoną i chałupniczą — a nie mamy na budowę centralnej wytwórni. Wiem doskonale, że środki inwestycyjne, to jeden paragraf, a środki obrotowe drugi, że nie można przerzucać pieniędzy, bo to nie banknoty, tylko moce przerobowe, cegła i żelazo, i tak dalej i dalej. Ale i ja mam rację dzieląc sąd konstruktora z „Wiepofamy”, że trzeba było o tym pomyśleć jeszcze wcześniej. Że nie wystarczy mówić o postępie, trzeba mościć mu drogę. Że gdybyśmy zaczęli produ-

kować metodami intensywnymi kilka lat temu, to by nas dzisiaj było stać na kilka takich wytwórni. Że nie wszystkie błędne decyzje z przeszłości można rozumieć, bo nie wszystkie można wybaczyć. Dowiaduję się w końcu, że już wkrótce ruszy budowa takiej wytwórni w Wadowicach — ale obydwaj doskonale wiemy, dyrektor Łukosz i ja, że nie przyszedłem do niego w sprawie jednej wytwórni, tylko dróg i manowców organizacji naszego rozwoju.

Usłyszę jeszcze o całkiem rozsądnie wyglądającej przyszłości „Wiepofamy”. Skończy się śmietnik, produkcja wszystkiego, co potrzebne, zacznie się produkcja wielkoprzemysłowa — przede wszystkim frezarek do obróbki kół zębatych, także obrabiarek zespołowych. — *„Wiepofama” ma stare tradycje, dzielną załogę, dobrego dyrektora, ale to wszystko za mało przeciw rozmaitym zasadzkom, jakie czyhają w produkcji o dużym stopniu trudności. Zawsze zdarzy się jakiś złamany gwintownik czy coś takiego; do nas, podejmujących decyzje gospodarcze o skali miliardów, należy odciążyć ich od kłopotów innych, poważniejszych — mówi dyrektor Zjednoczenia. — Trudności będą zawsze, po walce o mikrony nastąpi walka o półówki mikrona. Niechże przynajmniej wtedy nie martwią się o głupią uszczelkę za 20 groszy.*

Wychodzę po tej rozmowie zadowolony, bo jednak na moim stało: to ludzie łapią robaki wędkarskie i to ludzie robią maszyny, nawet te półmikronowe.

Andrzej K. WRÓBLEWSKI

Polityka, 29 listopada 1969



Zakład przemysłowy w O. (Kieleckie) nie miał dostatku gumowych uszczelkek, niezbędnych do produkowanych tam urządzeń przemysłowych. Ustalono jednakże, że jeśli chodzi o maszyny — polskie prezerwatywy zapewnią wystarczające uszczelnienie. Zaopatrzeniowcowi wydano polecenie w eleganckiej formie: „zakupić środki antykoncepcyjne”. Nazajutrz do magazynu przedsiębiorstwa wpłynęło kilka worków globulek „Zet”, na których działanie również maszyny są zupełnie nieczułe. Przypuszczalnie załoga otrzyma w tym roku od dyrekcji upominki gwiazdkowe.

Polityka, 13 grudnia 1969



...przy okazji stwierdzamy również, że kręci się dokoła i wśród nas wielu *cuaniaków*, którzy za państwowe, za nasze pieniądze chcieliby przez całe życie ubijać własne interesy, nie dając w zamian.

Wczoraj warszawski dziennik *Ekspres Wieczorny* opisywał odejście do Zakopanego pociągu, w którym pasażerowie stali sobie na głowie, ale na

końcu składu zamiast dwóch dodatkowych wagonów były doczepione 2 salongi z zasłoniętymi oknami.

To jeden przykład.

Drugi jest trochę inny, ale właściwie chodzi o to samo. Dziś w budce kupiłem pudełko zapalek. Na fioletowej etykiecie po prawej stronie wspina się hasło: *Drób jest zdrowy*. Po lewej stronie pieczołowicie wyrysowane ptaszysko i pod nim podpis: *Perliczka*.

Według mnie istnieją tu dwie możliwości: Albo właściciel jedyne sklepu w Warszawie sprzedającego czasami perliczki dotarł gdzie trzeba i robi sobie reklamę, albo mamy do czynienia z cwaniakiem, który chce zarobić na nowej etykiecie i wypisuje na niej bzdury.

Pierwsza ewentualność odpada. Perliczek w kraju w nadmiarze nie posiadamy — o tym wszyscy wiemy — handel państwowy w ogóle ich nie sprzedaje, a właściciel prywatnego sklepu, o którym mówiłem, ma najwyżej 5 sztuk na miesiąc.

A więc pozostaje cwaniak, który za państwowe pieniądze umieszcza kretyńskie etykiety na zapalnicach. Pudełko zapalek to jest właściwie drobna rzecz. Ale problem nie jest niestety u nas... bowiem występuje w tysiącach... zwłaszcza pod koniec roku. Zostały na jakimś koncie pieniądze — to je wydać. Księgarz z Nowego Świata, z którym wczoraj rozmawiałem, zacięwał ręce, bo sprzedawał 3 metry bieżące książek. Powtarzam: Trzy metry bieżące. — Tak brzmiało zamówienie. To jedna z instytucji uzupełniała w ten sposób bibliotekę.

Bardzo często w wielu wypadkach, ponieważ ktoś coś zaplanował, że tyle to a tyle ma być w danym okresie... tytułów czy też odczytów, to się zamawia byle co u byle kogo. Plan jest rzekomo wykonany, urzędnicza dusza zadowolona, bo urzędnik spełnił obowiązek.

Różnych mamy cwaniaków, którzy chcą żyć bez kłopotów. I pod koniec roku złożymy sobie zbiorową obietnicę, że ich będziemy tępić dla naszego wspólnego dobra.

Radio Warszawa II, 18 grudnia 1969, godz. 19.00



Handel zadbał w porę o zaopatrzenie kiosków w karty pocztowe do wysyłania życzeń noworocznych. Już w początku grudnia ukazała się odbita w 100 tys. egzemplarzy karta noworoczna projektu p. H. Matuszewskiej z napisem „Szczęśliwego Nowego Roku 1968”.

Życie Gospodarcze Nr 51/52 z 21-28 grudnia 1969



W jednym z wrocławskich biur projektowych wydano wreszcie zarządzenie regulujące sposoby parzenia i picia herbaty, oparte o podstawę prawną w postaci par. 59 Układu Zbiorowego oraz Okólnik Ministra Gospodarki Komunalnej Nr ZPM-IV-2533 67 z dnia 13. VII. 1967 r. Mocą zarządzenia pracownikowi wydawana będzie dziennie jedna szklanka herbaty niesłodzonej. „Na przyrządzenie jednej szklanki napoju herbaty o pojemności 200 cm sześć, należy zużyć 3 gramy herbaty suchej”. „Herbata będzie wydawana za każdy przepracowany dzień w terminie do 10 dni każdego miesiąca za miesiąc ubiegły”. „Zakupować należy najtańszą herbatę znajdującą się w sprzedaży”. Wydawanie odbędzie się na podstawie dowodów RW”. „Podstawą do wydawania herbaty będą wykazy pracowników danej komórki z wyszcze-

gólnieniem ilości dni pracy w miesiącu potwierdzone przez sekcję kadr". „Upoważnione przez kier. pracowni lub działu osoby pobierające herbatę dla całej komórki organizacyjnej wydadzą pracownikom herbatę za pokwitowaniem". „Listy pokwitowań należy zwracać w ciągu 2 dni". Ostatni paragraf zarządzenia głosi: „... koszty związane z nabyciem cukru i szklanek ponoszą pracownicy we własnym zakresie".

Chociaż odpowiednim zarządzeniem nie został jeszcze uregulowany porządek wydawania herbaty z organizmów pracowników, to i tak już realizacja zarządzenia o picciu dostarczy zajęć wyczerpujących energię zawodową personelu biura projektowego.

Polityka Nr 51/52 z 20-27 grudnia 1969



W Usiejowie (Łódzkie) zbudowano nowy most, który bardzo ludność cieszył ale kopał. Koło mostu dyżurowała karetka pogotowia i kto wchodził na most i padał porażony — zaraz miał zapewnioną troskliwą opiekę lekarską. Sprowadzono komisję rzeczoznawców, która po zbadaniu mostu stwierdziła, że jest on pod napięciem i nic nie można na to poradzić, gdyż elektryczność należy do sił wyższych.

Polityka, Nr 43 (660) z 25 października 1969



Do Jeleniej Góry przyjechała Wysoko Postawiona Osoba, a w czasie zwiedzania miasta pokazano jej domy wykonane w terminie, do których już zaraz mają się wprowadzać lokatorzy. Osoba weszła do środka i diabli Ją wzięli, bo wykonczona była tylko fasada domów a wewnątrz zastała stan zupełnie surowy. Gospodarze tłumaczyli się, że nigdy jeszcze nie spotkało ich coś tak strasznego jak wściubienie wysoko postawionego nosa poza fasadę.

Życie Gospodarcze Nr 47 z 23 listopada 1969



Jak Polska długa i szeroka brakuje łańcuchów, które potrzebne są na wsi, bo służą do przywiązywania zwierząt hodowlanych w oborze i na pastwisku. Stanowią wyposażenie wozów gospodarskich i mają jeszcze różne inne przeznaczenia. Gminne spółdzielnie uzyskują 10-procentowe zaledwie pokrycie swoich zapotrzebowań na łańcuchy. Wieś z rozrzewnieniem wspomina czasy, kiedy brakowało gwoździ. Dziś jesteśmy na wyższym etapie braków.

Życie Gospodarcze Nr 36 z 7 września 1969



Dobrze się żyło we wsi Rowiny w powiecie włodawskim, ale przyszła melioracja. W jej wyniku woda na zawsze zalała chłopom 30 ha łąk, które miały być wprost przeciwnie — odwodnione. Spływa na nie woda, która miała nawadniać 20 ha gruntów uprawnych, a które są teraz wprost przeciwnie — kompletnie odwodnione i dają o połowę mniejsze plony. Za tę meliorację chłopci spłacają jej koszty, ale czynią to bez chęci. W ramach prac melioracyjnych zbudowano most na Grabarce o tyle dziwny, że ani wóz

przezeń nie przejdzie, ani nawet krowa nie przejdzie. Most ustawiono pod kątem ostrym do brzegów. Kiedy chłopci mówili budowniczemu, że chyba zwariował on odpowiadał że taki mostek przewiduje plan i albo on zrobi most nie do użytku, albo pójdzie do kryminału. Chłopci poszli na skargę ale komisja przyjechała już jak most był gotów i skrzyczała ich, że pozwolili wariatowi budować. Mostek przebudowano nadając mu kształt paragrafu i zamieniając w osobiwość na światową skalę. Na wiosnę wody zabrały ze sobą tandetne przybudówki i most jest znowu taki jaki był — czyli nie do użytku. Wojewódzki Zarząd Melioracji zobowiązał się naprawić szkody wyrządzone skutkiem zmeliorowania. Oficjalne pismo w tej sprawie wystosował 14 listopada 1964 ale od tej pory niczego nie zrobiono. Chłopci pocieszają się, że przynajmniej wkrótce już spłacą do końca koszty melioracji.

Życie Gospodarcze Nr 39 z 28 września 1969



W Niewachlowie (Kieleckie) wywłaszczono chłopów, gdyż na ich polach miała być budowana Odlewnia Staliwa i Żeliwa. Od wiosny chłopom kazano zostawić pola ugiorem, chociaż robót w ogóle nie podjęto i z całego zakładu istnieje na razie tylko abstrakt czyli nazwa „Odlewnia im. 22 Lipca”. Osobiwością tej sytuacji jest to, że rolnikom kazano płacić podatki i odstawić naturalia w ramach obowiązkowych dostaw, a nawet myśli się o karaniu za zostawienie pól ugiorem.

Życie Gospodarcze Nr 43 (945) z 26 października 1969



W Walimskich Zakładach Lniarskich ulokowano zamówienie z USA na kalendarze drukowane na lnianych ręcznikach. Projekt ręczników zatwierdziło kilka komisji, zakłady wyprodukowały zamówioną partię, ale nie udało jej się wyeksportować. Amerykański kontrahent zastosował niebываłe szykany. Oświadczył, że nie przyjmie kalendarzy, gdzie wszystkie te miesiące, które mają 31 dni mają 30 dni, te zaś, które liczą 30 dni, mają wedle lniarnego kalendarza 31 dni, skutkiem którego to przesunięcia żadne dni tygodnia w kalendarzu w ogóle nie zgadzają się z dniami miesiąca. Za straty dewizowe nikt nie poniósł odpowiedzialności. Prokurator wytoczył dochodzenie z tej tylko racji, że towar trzeba było na rynku krajowym sprzedać taniej, niż także ręczniki w zwykłe ciapki i straty wyniosły 100 tys. złotych. Któż jednak policzy straty wynikłe z tego, że polscy nabywcy, posługując się błędnym kalendarzem nie przybywali np. do pracy, myśląc, że niedziela jest w sobotę?

Życie Gospodarcze, 9 listopada 1969



W miejscowości nomen omen Tuczo otwarto fabrykę która ma przerabiać stare buty na paszę treściwą dla trzody chlewnej. Pomysł zaczerpnięto z filmu Chaplina „Gorączka złota”, gdzie Charlie ze smakiem zżera buty.



Tempo przemian zachodzących w naszym handlu można śledzić na przykładzie losów niektórych lokali handlowych. W Łodzi u zbiegu ulic Bohaterów

Getta i Harnama niedawno jeszcze mieścił się bar mleczny. Zlikwidowano go i po przebudowie urządzono sklep pasmanteryjny. Wkrótce go zamknięto i zaczęto przebudowę. Zbudowano wszystkie potrzebne urządzenia — chłodnie, baseny i powstał sklep rybny. Nie minęło wiele czasu jak go zamknięto i zaczęła się przebudowa. Ma tu być urządzona pijalnia piwa, z wielkimi perspektywami na przekształcenie w łaźnię rzymską.

Życie Gospodarcze Nr 49 z 7 grudnia 1969



Odpowiednie władze dokonały szczegółowej oceny jakości wideł i łopat wytwarzanych w Polsce oraz warunków produkcji. Stwierdzono że fabryki kluczowe i podległe radom narodowym w Grodkowie, Osowcu, Wapienicy, Opocznie, Więcborku, Bydgoszczy, Mysłowicach, Zagwizdzu — wytwarzające wideł i łopaty nie są pod względem technicznym i organizacyjnym przygotowane do produkcji wideł i łopat. Nasuwa się pytanie do produkowania czego są przygotowane w takim razie? Rzeczoznawcy z instytutu resortowego wyrazili o widełach i łopatach następujące opinie: „stwierdzono niewłaściwą obróbkę termiczną...” „badania metalograficzne wykazały zbyt małą twardość materiału...” „wytrzymałość przekroju na zginanie jest poniżej normy...” Zaś Centralny Urząd Jakości i Miar orzekł: „przepalane i popękane zagrzewy tulei...” „popękane nakładki i wystające główki nitów...” „luźno osadzone trzonki...” „...korozja i zła jakość drewna;...” Rozmiary produkcji: 8 milionów sztuk rocznie. Na wsi polskiej opinie rzeczoznawców udatnie przełożono na język potoczny: „G.... nie łopata”.

Życie Gospodarcze, Warszawa, 19 października 1969



Klientów skarżących się na brak żyłek prasa pocieszyła, że wkrótce spodziewane są większe dostawy czechosłowackich nożyków do golenia produkowanych na polskiej licencji. Nic to więc, że polska fabryka po zakupieniu licencji na Zachodzie wciąż nie może zaspokoić krajowych potrzeb. Załatwi się to importem. Żebyż — *per analogiam* — Włosi zechcieli kupować polskiego „Fiata”!



W zielonogórskim barze „Turysta” gość poprosił o herbatę. Uprzejmie go poinformowano, że co to — to nie. Może napić się piwa, lemoniady, wody sodowej. Gość zapytał, czy nie ma herbaty. „Jest — odparto — tylko szklanki brudne”. Personel wskazał wywieszkę oznajmiającą o wysokiej kategorii sanitarnej lokalu i objaśnił dodatkowo że z płynów podaje się tylko to, co można wypić wprost z butelki.



W Rzeszowie istnieje firma p.n. Zakład Gorseciarski „Spółnota” — z którego klientki wychodzą zawiedzione. Informuje się je bowiem, że gorseciarstwa Zakład w ogóle nie uprawia. Załoga zajęta jest szyciem ręczników. Dzięki temu usłyszeliśmy po raz pierwszy, że ręczniki się szyje.



Pan Śnieg z Damianowa ma rower, z którego powypadały mu szprychy.

Wtedy pan Śnieg przekonał się że nie tylko szprych ale i innych części zamiennych np. łańcucha i ośki nigdzie nie można kupić, przynajmniej w zasięgu wojewódzkim (wrocławskie). Pan Śnieg poszedł do prywatnego warsztatu. Właściciel powiedział, że wszystko ma, ale nie sprzedaje. Jest uczciwym rzemieślnikiem, nie ma uprawnień handlowych, więc handlować nie będzie, a tylko reperować. Przecież musiałby oddać rarytasowy towar w cenie kosztu! Pan Śnieg odparł, że chętnie zapłaci mu za szprychy wraz z ceną usługi, tj. wmontowania szprych, woli bowiem to, niż przywozić rower kilkudziesięciu kilometrów. Rzemieślnik się oburzył: namawiają go do nieuczciwości. I odmówił. Pan Śnieg pisze, że przyprowadził rower do reperacji ale teraz zdarła się igła na jego adapterze, trzeba zmienić wkładkę i jest taka sama historia. Pan Śnieg trochę przesadza. Na szczęście mamy nie tak wielu rygorystycznie uczciwych rzemieślników, aby było prawdopodobne trafienie znowu do takiego, co zycia nie zna.

Życie Gospodarcze, 7 września 1969

COŚ Z ŻYCIA

Bolały nas stawy i lekarz zapisał nam lek pn.: butapirazol, do którego dołączona była karteczka reklamowa: „Działania uboczne: objawy dyspeptyczne z utratą łaknienia, bólami i pieczeniem, zgagą, wzdęciami, kwaśną fermentacją jelitową. Zaostrzenie choroby wrzodowej. Bóle w okolicy wątroby. Powiększenie wątroby. Stany podżółtaczkowe. Zawroty głowy, bóle głowy, zamglenia widzenia, ogólne osłabienie, objawy alergiczne ze strony skóry. Wystąpić mogą zaburzenia wodno elektrolitowe (z obrzękami). Ze strony nerek może dojść do skąpomoczu, krwinkomoczu. Ze strony szpiku niedomoga układu...” itd. Lekarstwo pomogło nam rewelacyjnie, proszę „Polfy”. Po przeczytaniu reklamowej ulotki wyrzuciliśmy je do śmieci i pokochaaliśmy z całej mocy bóle stawów.

A. i Q.

Polityka Nr 46, Warszawa, 15 listopada 1969



Pracownica gospody wiejskiej w województwie opolskim ukarana została przez władze sanitarne grzywną za to, że potrawy podawane były w gospodzie na w ogóle nie mytych talerzach. Ukarana napisała odwołanie w którym skarży się na niesprawiedliwy charakter kary. Twierdzi, że talerze bywały myte a ukarano ją złośliwie stawiając dla szynkara, absurdalne żądanie, żeby talerze myć po każdym gościu.

Życie Gospodarcze Nr 48, 30 listopada 1969



We Wrocławskim pawilonie spożywczym „Ul” leżał od długiego czasu zapas konserw, np. „Gulasz angielski”, których nikt nie kupował, bo któż wie co to takiego jest, a z rzeczy angielskich lubi się u nas wętny, a nie węgierskie potrawy. Zaciekawiony konserwą był też personel sklepu i raz taką puszkę otworzył, by stwierdzić komisyjnie że zawiera ona zwykłą, bardzo polską mieloną szynkę ogromnie przez klientów poszukiwaną. Dalsze dociekania sprawiły, że ustalono iż szynka dlatego udaje gulasz, że zabrakło

właściwych etykiet był zaś nadmiar tych gulaszowych właśnie. Przy okazji Zakłady Mięsne na Żeraniu inkasowały o 5 zł na puszcze więcej, niż wynosi cena mielonej szynki. Tłumaczyły się zupełnie niewinnie, że to była „etykieta zastępcza”. Ciekawe czy moglibyśmy wydrukować sobie etykietę zastępczą: „Przekrój” i brać za numer o 1 zł 50 gr. więcej?

Życie Gospodarcze, 7 września 1969

WYŻSZY KURS NABIJANIA W PUSZKĘ

Czytelników, którzy zapytują co mieści się w „rzucanej” na rynek konserwie z napisem *Azad Brand Best Herrings in Natural Juice Net Weight 14 oz*, *Gryf Szczecin* informujemy, że po prostu 14 uncji śledzia w sosie własnym.

Czytelników, którzy zapytują co mieści się w puszcze z napisem *Q 200 g Poisson Farci Kosher Pareve Stuffed ZR Kraków* informujemy że to karp faszerowany koszerne ze znakiem jakości światowej Q.

Czytelników którzy zapytują ile to jest uncja informujemy że 2,93 dkg, czyli śledzi z sosem w puszcze jest ok. 40 dkg.

Polityka Nr 48 z 29 listopada 1969

COS Z ŻYCIA

Księgarnia w Bydgoszczy otrzymała 200 egzemplarzy Małej Encyklopedii Powszechnej PWN. Mimo spodziewanego końca świata już o godzinie 5 rano w ulewnym deszczu ustawiła się ogromna kolejka. Na kwadrans przed otwarciem sklepu liczyła ona już około 500 osób i rozciągnięta była na 200 m. Dwie panie, które czekały całą noc i pierwsze znalazły się u lady, otrzymały w prezencie „Kuchnię Polską”.

Polityka Nr 48 z 29 listopada 1969



Przeciętny Polak kupuje w ciągu roku 2,5 tubki pasty do zębów, z czego można by wnosić, że raz na dziesięć dni czyści zęby. Domniemanie to ka-zało się przesadnie optymistyczne, 3/4 tubeek z pastą kupowane jest latem, kiedy pasta służy do czyszczenia tenisówek, o wiele bardziej brudzących się niż zęby. Spory popyt na pastę notuje się też przed Wielkanocą, kiedy myje się okna w naszych szklanych domach.

Polityka z 18 października 1969



„Express Wieczorny” zamieścił fotoreportaż przedstawiający robotników przy pracy. Przypadek chciał, że fotoreporter obrał sobie za modele pracowników Zakładów Elektronicznych im. Zubrzyckiego i że podpis pod jednym

ze zdjęć nie mówił o tym, iż modele pracują w ogóle, ale, że robią urządzenia do oczyszczania metali za pomocą ultradźwięków. Trzej dyrektorzy przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych z Warszawy, Krakowa i Poznania przeczytali przypadkiem podpis pod zdjęciem i natychmiast skomunikowali się z producentem urządzenia. Usuwa ono zanieczyszczenia z wodomierzy w ciągu czterech minut. Dotychczas pracę tę wykonywało 6 osób w cztery godziny. Urządzenia kupiono, nareszcie efekt czyszczenia wodomierzy jest należyty i sprawunek przyniósł przedsiębiorstwom wielkie oszczędności. Strach pomyśleć co by się działo z wodomierzami w przedsiębiorstwach wodociągowych, gdyby ich dyrektorzy zamiast „Expressu” czytali „Słowo Powszechne”.

Życie Gospodarcze Nr 1 z 4 stycznia 1970

MÓJ MILIARD

Lenin pisał: „Komunizm zaczyna się tam, gdzie występuje ofiarna, przewycięzająca ciężki trud troska szeregowych robotników o zwiększenie wydajności pracy, o ochronę każdego puda zboża, węgla, żelaza i innych produktów, które otrzymują nie pracujący osobiście i nie ich 'bliscy', ale 'dalsi', czyli całe społeczeństwo”.

Walcownia ciągnęła blach na gorąco Huty im. Lenina. Z pieców ustawionych tuż za bramą wyskakują rozżarzone bloki stali. Tłukąc się, łomocąc i sypiąc skrami ruszają na ciąg, łapią je walce klatki „zero”, potem dziesięciu dalszych. Miętoszone walcami słabszy chudną w oczach, ale za to rosną wzdłuż. Po drodze zmywa się z nich zgorzeliń — prysznica pod ciśnieniem czterystu atmosfer — a także obcina się im język. Za ostatnią klatką nikną na chwilę w obłokach pary (chłodzenie), po czym osnute lekką mgiełką, długie wstęgi, cienkie i teraz już tylko furkocące jak chorągwie na wietrze, pędzą ku zwijarkom, lub — według zamówienia — ku nożycom, które tną je na arkusze.

Urzekające widowisko.

Ciężki przemysł w sensie najbardziej dosłownym — urządzenie głównego ciągu technologicznego waży 15 tysięcy ton.

Walce napędzane są przez dziesięciomegawatowe silniki — widać jak działa ta moc.

Tempo. Cały proces przebiega w jednym kierunku (stąd monstrualne wymiary hali, a w jej nazwie przymiotnik *ciągła*). Białe, a potem coraz bardziej czerwone i szare wstęgi mkną z prędkością dobrego samochodu.

Można gapić się godzinami. Jest na co. Świadomość, że na przestrzeni tych siedmiuset metrów wartość stali rośnie o sześćdziesiąt procent, doskonale wzmaga samopoczucie. Wystarczy parę

prostych działań, by stwierdzić, że miliard wydany na budowę gorącej zwraca się co parę miesięcy.

Z wszystkich pieniędzy wydanych na Nową Hutę ten miliard obchodzi mnie najwięcej. Jakoś tam pomagałem go wydawać; są w ogromnej hali fundamenty, dachy i mury, które własną ręką i własną łopatą... To się liczy. Dość regularnie odwiedzam więc swój miliard, sprawdzając jak obchodzą się z nim hutnicy. I najczęściej nie ma powodu do narzekania. Slaby łomocą, taśmy pędzą, na stołach szybko formują się pakiety, które bez najmniejszych kłopotów daje się wymieniać na stosiki rubli, marek, koron, franków, funtów i dolarów. Rzecz jasna — pod warunkiem, że w pakietach znajduje się dobra blacha, że nawet wybredny odbiorca nic nie może zarzucić jej jakości.

Jakość — naczelne hasło ZMS-owców z Huty im. Lenina. Świetnie zorganizowane współzawodnictwo, zdumiewające rezultaty we wszystkich podstawowych wydziałach kombinatu.

Na gorącej dziś coś nie gra. Przy kłatkach samotokach, przy prostownicach, nawet przy okropnie hałaśliwej nożycy, ponad produkcyjne decybelele wznoszą się wyrazy — powiedzmy tak — gwałtownej dezaprobaty. Pojedynczo i w dość wymyślnych kombinacjach otaczają pojęcie mi nie znane „białe smugi”.

— Co to jest?

— Nie widzisz?

Widzę. Całkiem wyraźne białe smugi, mienią się podejrzanym blaskiem na sinych wstęgach blachy. Widzę, ale nie wiem co to jest?

— ?

— Najpaskudniejsza zaraza.

— Nikt nie wie dokładnie co.

— Przez te tu (...) nasza jakość schodzi na psy.

— Tyle roboty na marne. Całe nasze natarcie...

.....
W hali pieców wgłębnych, na slabingu, w obu stalowniach, na gorącej i zimnej walcowni blach pojawiły się kolorowe tablice obwieszczające kto jak wczoraj pracował.

Szybko okazało się, że te tablice są wcale niezłym instrumentem publicznej kontroli nad ruchem, co zapewnia mu uznanie i szacunek współtowarzyszy pracy.

Szybko też kierownictwo huty uznało Brygady Dobrej Jakości za najbardziej ambitne i najbardziej rzeczowe przedsięwzięcie produkcyjne, ze wszystkich jakie organizacja młodzieżowa kiedykolwiek podejmowała w kombinacie.

Na gorącej szczerłość tej oceny można stwierdzić na faktach.

Brygady Dobrej Jakości objęły najpierw KAC, agregat nr 1 i wyłazdzarkę — stosunkowo niewielkie urządzenia, służące głównie do przywracania wartości towarowej odpadom i wybrakom. W ciągu paru tygodni brygady osiągnęły takie wyniki, że kierownicy wydziału oficjalnie orzekli: „Inicjatywa jakiej jeszcze nie było. Warto ją pielęgnować. Wartołożyć na jej rozwój”. Podjęto szkolenie fachowców niezbędnych do skompletowania obsady dwóch zmian głównego ciągu technologicznego.

W sierpniu zrewidowano (to znaczy — zaostrzono) regulaminy. Od 1 września Brygady Dobrej Jakości objęły oddział walcarek, kombinowany agregat cięcia (KAC) wysyłkę z obu wykańczalni i...

.....

Szarża na slogany

Spóźniłem się na umówione spotkanie, trudno, nie umiałem sobie odmówić spaceru przez halę, musiałem pogapić się na swój miliard. Kiedy dotarłem do zarządu w oczach migały mi jeszcze białe kęsy stali, w uszach łomot słabów konkurował z furkotem wstęg i wyrzekaniem na białe pasma, a między tym wszystkim leżało się pytanie: Co tu właściwie zależy od robotników? Na KAC-u i agregacie wiadomo — żeby z mniej udanych kręgów wyciąć maksymalną ilość dobrej blachy trzeba sporo umiejętności, doświadczenia i swoistej inteligencji. W oddziale walcarek... Hm, ogromne, nowoczesne, zautomatyzowane urządzenia, nadzorowane przez cały sztab inżynierów i mistrzów, raczej nie zostawiają robotnikom zbyt dużego pola do popisu.

Streszczam swoje wrażenia i... ledwo nadążam notować. Gaździcki, Adach, Kiełb i Mucha — szef i członkowie sztabu dobrej jakości — jeden przez drugiego jęli mnie uświadamiać gruntownie, nie szczędząc docinków:

— Wciąż te same kłopoty z niegdysiejszymi pionierami. Głowy mają pełne sloganów z tamtych lat i dziw jak trudno przychodzi im je rewidować.

Mówisz — nowoczesne urządzenia. Gorąca walcownia pracuje już czternasty rok. Nawet to, co w chwili uruchamiania było naprawdę nowoczesne, zdążyło się zestarzeć. Mówisz — automatyka. Owszem, tak ogromny zespół urządzeń pewno w ogóle nie mógłby funkcjonować bez samoczynnych zabezpieczeń i regulatorów. Ale stąd jeszcze spory kawał drogi do tego stopnia automatyki, który pozwala, według zadanego programu, sterować procesem bez udziału ludzi. Musiałeś zresztą zauważyć — przy każdej klatce stoi

operator i wcale często bywa zajęty. Jak chcesz wiedzieć czym — zapytaj Waskela, Barana, Koleszko, Włodarczyka czy Drozdowicza. Każdy z nich dokładnie ci wyjaśni ile zależy od robotnika, dlaczego prawie nikt z dozoru nie przejdzie obok dziesiątej klatki nie witając się z walcownikiem.

Posłuchałem rady, zapytałem i zdaje się, że to i owo zdołałem pojąć. Ale powtarzanie tysiąca technicznych szczegółów nie wydaje mi się zbyt sensowne. Niefachowcom wystarczy chyba gdy powiem:

Dobrą jakość blachy wyznacza równomierna grubość, gładkość powierzchni, wymiary odpowiadające zamówieniom, wytrzymałość techniczna i możliwie stuprocentowa nieobecność wad ukrytych. Najpospolitsze z tych ostatnich to zawalcowana zgorzelina, najprzeróżniejsze wtrącenia, rozwarstwienia i drobny nalot zwany ospą.

Z wadą ochrzczoną mianem choroby, wiąże się zresztą na gorącej dość znamienna historia.

Kłęska pewnych rachunków

Głównym rozsądnikiem walcowniczej ospy są p r z e m ę c z o n e walce. Pracują bardzo ciężko w uciążliwych warunkach: ogromne naciski, wysoka temperatura, woda... Mimo utwardzonej powierzchni zużywają się szybko i dają znać o tym m.in. zawalcowywaniem drobinek zgorzeliny, co właśnie daje delikatny nalot zwany ospą. Żeby tego uniknąć, odpowiednia instrukcja nakazuje wymieniać walce robocze po przewalcowaniu 70 kilometrów pasma. Młodzi z BDJ wzięli się do rachunków i wyszło im, że należałoby je zmieniać częściej, po każdym 60 kilometrach. Na pozór szkoda dla wydziału — zużycie walców należy do podstawowych wskaźników, według których ocenia się jakość walcowni. Naszym młodym wychodzi jednak z rachunków coś zupełnie innego. Po pierwsze — lepsza blacha, bardziej gładka, bez ospy. Po drugie — sfatygowanym walcom przywraca się pełną sprawność szlifując ich powierzchnię. Po przewalcowaniu 70 kilometrów najczęściej trzeba zebrać pół milimetra warstwy utwardzonej, po 60 przeważnie wystarczy zeszlifować 0,25, a więc o połowę mniej, co wydatnie zwiększa żywotność walców i pozorną stratę zamienia w oczywisty zysk.

Instrukcja jest jednak tak sroga, że nie śmie jej naruszyć nawet dyrektor patronujący całemu ruchowi, skądinąd inżynier powtarzający często i głośno: „O powodzeniu lwiej części procesów hutniczych decyduje sprawność urządzeń mechanicznych”. Poleciał

nie umieszczać tych 60 kilometrów w regulaminie dobrej jakości.

Młodzi posłuchali, ale przekonani nie są. Ufają swoim rachunkom. Mówiąc o instrukcji używają przymiotników, których wolę tu nie powtarzać...

.....

Kłopoty najświeższe

Po tym, co już powiedziałem, łatwo sobie wyobrazić irytację, jaką powoduje coś, co rodzi się nie wiadomo gdzie, nie wiadomo dlaczego, a co po prostu rujnuje dorobek brygad.

Owo coś, to białe smugi. Pół roku wstecz nikt nawet nie słyszał o czymś podobnym. Po raz pierwszy pojawiły się w maju. Mignęły na paru taśmach i znikły. Wróciły znów we wrześniu, teraz już w wymiarach problemu. W październiku zaczęły wprost straszyć. (Zmiana „C”, — braków ogółem 921 ton, z tego białe smugi ton 917). W listopadzie nie zanotowano zmian na lepsze. Katastrofa. Katastrofa i — jak się wydaje — krzywda. Posłuchajcie:

— Po wielu kłótniach uznano, że są to „wżery na jasnych smugach po zawalcowanej zgorzelinie”. Nazwano rzecz (zjawisko) nie znając jego istoty. Służbowa nazwa nas krzywdzi. Sugeruje, że smugi powstają wyłącznie z naszej winy. Tymczasem nikt nie wie skąd się biorą i jak zapobiec ich powstawaniu. Wypróbowaliśmy już wszystkie walcownicze sposoby. Wszystkie zawiodły. Zamiast szukać przyczyn klęski, zmyśla się jej nazwę, co niczego nie ułatwia.

Tysiąc ton braków na zmianę to dużo. Nawet w moim gigancie. Rzecz — jak się wydaje — dojrzała do przeprowadzenia solidnych badań. Nie tylko ze względu na Brygady Dobrej Jakości. Białe smugi jawią się na wszystkich zmianach. Wszystkim psują robotę i wszystkich kosztują. Rzecz jasna, najwięcej tych, którzy w walkę o jakość najwięcej wkładają trudu i starań.

Aleksander JĘDRZEJCZAK

Sztandar Młodych, 24-26 grudnia 1969

DALEKO OD STOLICY

Inwestycje grupy „B”, jak je brzydko nazwano — zgodnie z kolejnością tej litery w alfabecie były i są traktowane jako drugorzędne. Dotyczy to także ludzi zatrudnionych w „B-pionie” naszego przemysłu. Inżynierowie w nim zatrudnieni mogą legitymować się dyplomami i tytułami naukowymi, niebłahymi osiągnięciami a jednak — w praktyce — też są traktowani jako fachowcy drugiej kategorii. Ludzie z wykształceniem technicznym to nie marzyciele, potrafią liczyć i kalkulować więc nic dziwnego, że każdy urywa się do przemysłu zaliczanego do grupy „A”. Premie, uznanie to też się liczy, ale często ważniejsze są inne przesłanki. Przemysł grupy „A” dba o to, by jego pracownicy mieli dostęp do laboratoriów, stwarza im bazę naukowo-badawczą, która dla pracowników grupy „B” jest niedostępnym rajem. Inżynier fachowiec przy wyborze miejsca pracy bierze to pod uwagę.

Z przemysłem stalowym, stoczniowym, petrochemicznym spotykamy się m.in. na Kronice Filmowej a czytając artykuły prasowe o ich sukcesach czujemy się obywatelami wielkiego, uprzemysłowionego kraju. Stykając się z przemysłem grupy „B” tracimy swe prawa obywatelskie stając się tylko... konsumentami.

Bohaterowie tego reportażu od lat zasiadali w uprzywilejowanej grupie „A” i z pogardą patrzyli na kolegów z grupy „B”...



Ucieszyło mnie spotkanie z tym człowiekiem. Znam go na stołecznym gruncie, gdzie był kierownikiem jednej z grup w biurze konstruktorskim, poważnych warszawskich zakładów. Z jego nazwiskiem łączyło się kilka złotych medali, zdobytych na międzynarodowych targach a prywatnie wiem, że był właścicielem kilku

patentów. Radości ze spotkania tego człowieka nie zamąciło nawet uczucie zazdrości na widok „polskiego fiata”, którego był właścicielem. Zdziwiła mnie tylko niewarszawska rejestracja jego samochodu.

— Kaprys czy przykra konieczność — wskazałem na tablicę rejestracyjną.

— Ani jedno, ani drugie — redaktorze. Świadomy wybór i wolna decyzja, której wcale nie żałuję.

— Mimo stanowiska, jakie pan zajmował, mimo mieszkania, jakie pan w stolicy posiadał?

— Jak zwykle, redaktorze, zadecydował przypadek. Wie pan, że zakład, w którym dotychczas pracowałem, to ważny eksporter swoich wyrobów — światowa marka. Przed rokiem otrzymaliśmy zamówienie — jak to się u nas mówi pogardliwie — krajowego odbiorcy. Ten krajowy odbiorca należał co prawda do grupy „B”, ale udało mu się otrzymać medal za swoje wyroby na zagranicznych targach i w związku z tym wyszedł na rynki zagraniczne. Dolarowy fetysz działa niezawodnie, zakład ten natychmiast otrzymał fundusze inwestycyjne, a my zlecenie na wykonanie dla nich maszyn i urządzeń. Naturalnie dla krajowego konsumenta mogliby knocić swoją produkcję na starych maszynach i nikt by palcem nie kiwnął. Gdyby nawet „kiwał” też by nic to nie pomogło, bo kiwałby w bucie krajowej produkcji. Zamówienie uprzejmie przyjęliśmy zapewniając zleceniodawców, że zrobimy co w naszej mocy... i odłożyliśmy je na samo dno, jak najdalej stojącej szafy, *nota-bene*, na ten cel przeznaczonej. Coś się jednak psuło w inwestycjach grupy „B”. Telefonowano z coraz wyższych instancji, aż wreszcie zabrzmiał telefon z tak wysoka, że to „krajowe” zamówienie trzeba było wcisnąć do planu, między wielkie prace dla Azji, Afryki i obu Ameryk. Zagubiona gdzieś tam w Polsce fabryczka stała się nagle bardzo ważna.

To ustępstwo też było „nie fair”, było po prostu posunięciem ściśle taktycznym, do czego się dziś szczerze i ze wstydem przyznaję. Zawsze znajdują się wystarczające powody i argumenty, aby pozbyć się nieatrakcyjnego, polskiego zleceniodawcy. W takich sprawach mieliśmy wprawę i potężnych sojuszników — w dyrekcji i zjednoczeniu. Oni potrafili dbać o premie eksportowe. Nie baliśmy się zwierzchników, którzy zawsze wolą w sprawozdaniu podawać wysokie liczby udziału naszego zakładu w produkcji eksportowej. Pretekst znalazł się niespodziewanie szybko. Nadesłane projekty maszyn i wykonane do nich rysunki techniczne ubawiły nasze biuro konstrukcyjne, nie tylko inżynierów, ale także techników i kreślarzy. Pal diabli, że proponowane rozwiązania

techniczne zostały zarzucone przez przemysł już pół wieku temu. W tak zaplanowanej maszynierii straty mechaniczne, energetyczne i ciepłe przewyższały wartość wykonywanej przez nie pracy. Projekt roił się od błędów, jakich by nie popełnił — bo już tego nie potrafi — współcześnie wykształcony technik. Wezwano nieszczęsnych projektodawców ze szczerym i nieukrywanym zamiarem rzucenia im tej pracy pod nogi i pozbycia się przy okazji niefortunnnych zleceniodawców. Zakład o światowej marce nie mógł sobie psuć opinii taką partaniną.

To był początek całej historii, która zmieniła „profil” moich osobistych zainteresowań i wywołała zmiany w moim życiorysie. Przypadek zrządził, czy też ich chytrość sprawiła, że przywieźli z sobą dokumentację całego — pozał się Boże — wyposażenia technicznego tej fabryczki. Niechęć, pogarda jaką dotychczas odczuwałem dla tych ludzi przerodziła się w podziw dla ich edisonowskiej wprost pomysłowości. Po zapoznaniu się z tą dokumentacją zaciekało mnie po prostu, jako fachowca, jak oni potrafią to wszystko utrzymać w ruchu. Urządzenia fabryczki, założonej *nota-bene* grubo przed pierwszą wojną światową, pochodziły z demontażu podobnych fabryczek, budowanych chyba przed wojną, ale tą francusko-pruską. Maszyny te to rówieśniczki warszawskiej „ciuchci”, która jak wiadomo przywędrowała do nas z demontażu linii kolejowej Bruksela-Wavre-Waterloo. Była tam reprezentowana produkcja przemysłowa Austro-Węgier, zakładów Pułtowskich, a były także egzemplarze produkcji belgijskiej, francuskiej, szwedzkiej, a nawet... hiszpańskiej. Po wojnie asortyment maszyn urozmaicił się przez dostawy UNRRA. Krajowy przemysł demonstrowała prastowiańska warzāchew i walek od ciasta, który też jakimś sposobem udało się włączyć do tej przedziwnej „nitki produkcyjnej”. Wszystkie zagadnienia, premie, eksport zeszyły na plan dalszy, bo zafascynował nas problem jak oni to wszystko połączyli, „pożenili” i dawali przy tym produkt dobrej, a nawet eksportowej jakości. Więcej wyjaśnień, niż przybyli inżynierowie, mogliby nam udzielić miejscowi kowale współtwórcy techniczno-organizacyjnej koncepcji tych zakładów. Teraz podstawowe błędy w planach ich konstrukcji stały się dla nas jasne i zrozumiałe. Po prostu dostosowali się do tych warunków, w jakich dotychczas pracowali, szukali rozwiązań technicznych, które w n o r m a l n y m zakładzie pracy nigdy nie przyszyby im do głowy. W ich błędach i nieporadności konstrukcyjnej tkwiły jednak pewne nowe idee. Może to za wielka cena za zdobywanie doświadczeń, ale nie można ich było lekceważyć. Jeszcze jedna sprawa przyspieszyła moją decyzję. Wykonując projekty urządzeń dla Azji czy Afryki nie opuszczała mnie nigdy myśl — nazwę ją

obywatelską — że kiedyś trzeba będzie coś zrobić dla naszej sirotki inwestycyjnej grupy „B”.

Zachowując ich nowe idee wrzuciliśmy stare projekty do kosza i całą sprawę jeszcze raz wzięliśmy na warsztat. Udało nam się dotrzeć do laboratorium, zrobiliśmy parę prototypów, próby wypadły dobrze. Ja i moi koledzy za udoskonalenia i nowe pomysły zarobiliśmy parę nowych patentów. Całe wyposażenie fabryki zostało na czas wykonane i tu... katastrofa.

Ktoś wpadł na pomysł, by wysłać to urządzenie na zagraniczne targi. Zjednoczenie nie miało widać pod ręką żadnych „nowości”, więc na nas padł wybór. Dostaliśmy złoty medal a zakład uzyskał portfel zamówień na całą pięciolatkę. Sukces niebywały, ale w takich warunkach, dla naszych zleceńodawców był on generalną klapą. Dewizowy fetysz działa. Zamówienie „dla kraju” musiało zejść na plan dalszy. Zapyta pan, redaktorze, swoim zwyczajem, jak się czułem? Parę orderów na piersi i pięciocyfrowa pozycja na książeczce oszczędnościowej powinna poprawić moje samopoczucie. Jako kierownik grupy konstruktorskiej też powinienem czuć się dobrze, bo moi współpracownicy raz na zawsze pożegnali się z „syrenkami” wskakując od razu w „renówki” i „ople”, a Łebę zamienili na Złote Piaski. Czułem się jednak jak gangster i jak zdrajca. Nasi koledzy z fabryczki „gdzieś tam w Polsce”, choć partycypowali finansowo w sukcesach, nie porzucili swojej fabryczki i nie porzucili idei jej unowocześnienia. Było mi wstyd, ale nie tylko to zadziało. Każdy kto ma choć odrobinę żyłki konstruktorskiej chce widzieć jak działa, jak się sprawuje zbudowane przez niego urządzenie. Gdy pierwsze partie naszych maszyn via Gdynia i Szczecin poszły w świat, zamiast w Polskę, było mi czegoś żal. Jednocześnie już nam chodziły po głowie nowe pomysły ulepszeń a nawet nowych, zupełnie oryginalnych rozwiązań.

Tak się złożyło, że władze terenowe tamtego zakładu raczej wycygały, niż otrzymały kredyty na jego rozbudowę i modernizację. Była tego spora kupka milionów. Jednocześnie nasz sukces eksportowy stwarzał dogodny pretekst do utworzenia zakładu badawczo-doświadczalnego właśnie dla tego typu produkcji. Z niespodziewaną pomocą przyszły nam uchwały II Plenum wysuwające na właściwe miejsce zagadnienia badań naukowych. Łącząc te trzy elementy — bo życie jest życiem — udało nam się przeforsować i zrealizować koncepcję utworzenia z tej fabryczki zakładu doświadczalnego, swego rodzaju poligonu. Wywalczyliśmy kilka etatów dla siebie i paru moich kolegów, którzy „dla dobrej sprawy” zdecydowali się też na opuszczenie stolicy i... sprawa o mało nie wzięła w łeb. Czyta pan w gazetach, redaktorze,

wieloszpaltowe anonse: *inżynier mechanik, technolog z doświadczeniem, poszukiwany. Warunki do omówienia na miejscu.*

Do omówienia na miejscu pozostawały w Powiatowej Radzie Narodowej sprawy mieszkania, a w Zjednoczeniu Przemysłu Terenowego kwestie płac. Sprawa mieszkania przedstawiała się prosto — jak wybudują blok mieszkalny, to otrzymamy mieszkania. Blok wybudują jak ruszy produkcja eksportowa, produkcja ruszy jak otrzymają nasze urządzenia sprawa więc przedstawiała się jasno i nieskomplikowanie, na razie pozostawały do dyspozycji kwatery na wsi. Gorzej wyglądała sprawa w Zjednoczeniu. Na prowincji panuje chorobliwe przekonanie, że inżynier z Warszawy przynosi się w teren tylko po to, by polować na wojewódzkie, dyrektorskie stołki. Wszystkie nasze argumenty, że chcemy prowadzić prace doświadczalne, że chcemy eksperymentować nie trafiły im do przekonania. W ich oczach, rzucając dobrą posadę w stolicę, zostawiając wyłączone spod kwaterunku mieszkania wyglądaliśmy dość podejrzanie. Jednak udało się. Znajomość paru zastrzeżonych telefonów pozwoliła na zdobycie kompletnego urządzenia dla tej — teraz już całą gębą — fabryczki, a przemyczone w decyzji słóweczko „doświadczalnej” sprawiło że urządzenia te otrzymaliśmy za darmo. Dyrekcja fabryki nie wypuściła jednak z rąk tych paru milionów kredytów i trochę naciągane a właściwie lipne słóweczko „doświadczalna” dzięki tym milionom mogło oblec się w konkretne ciało.

Zapraszam was teraz redaktorze do naszej fabryki. Hala produkcji półtechnicznej jest już gotowa. Kończymy budynek laboratorium. Przy okazji budujemy wodociągi i kanalizację, przy okazji ściągnęliśmy paru inżynierów z innych branż, przy okazji paru kolegów wyjechało już za granicę, by instalować nasze urządzenia. Pierwotny sukces naszych urządzeń byłby jednocześnie ich grobem, gdyby nie to, że dzięki nowym doświadczeniom opracowaliśmy już kilka wariantów, kilka nowych koncepcji.

Prawda, że jestem teraz inżynierem grupy „B”, ale wcale się tym nie przejmuję. Dla konstruktora nie ważna jest grupa, ważne jest tylko to, by miał gdzie i nad czym pracować. To tylko administracja nas tak dzieli.

Józef KUŚMIEREK

Panorama Północy, 9 listopada 1969

DLACZEGO SZAFKA NIE GRA?

W światowej produkcji meblarskiej trwa ofensywa chemii. Sztuczne tworzywa wypierają tradycyjne materiały drewnopochodne. Włosi produkują już kompletne zestawy mebli kuchennych wyłącznie z tworzyw sztucznych. Najnowszym krzykiem techniki jest produkcja mebli z... formy. Kanapy, sofy, fotele po prostu odlewa się w specjalnych formach. Nowatorami są również Włosi. Meble z odlewni nie opanowały jeszcze światowych rynków. Są drogie, kosztowna jest bowiem forma. Znawcy zagadnienia twierdzą jednak, że przyszłość należy do chemicznie fabrykowanych mebli. Tradycyjne, z drewna, dostępne będą wyłącznie ludziom najzamożniejszym.

Patrząc z tego punktu widzenia możemy powiedzieć o sobie, że jesteśmy narodem zamożnym. Sztuczne tworzywa nie odgrywają jeszcze większej roli w produkcji meblarskiej — jeśli nie liczyć płyt wiórowych, spłśnionych czy oklein drukowanych, które są owocem mariażu drewna z chemią.

Moda rzecz ważna. Interesują nas jednak głównie perspektywy poprawy zaopatrzenia rynku w nowoczesne lekkie, funkcjonalne i ładne meble. Polski przemysł meblarski legitymuje się wyjątkowo wysoką dynamiką wzrostu produkcji. Przypomnijmy: w 1955 r. oferował produkcję wartości 2,8 miliarda złotych, w 1965 — już 7 mld zł. w br. wartość produkcji przekroczy 12,4 miliarda zł w przyszłym przewiduje się wzrost do ponad 13,5 miliarda. Odnotujemy również fakt, że meble przeszły kurację odchudzającą i odmładzającą. Lepiej pasują do naszych mieszkań, bardziej już odpowiadają naszym niezbyt przecież wygórowanym życzeniom. Niestety, wypływający z tych faktów optymizm opuszcza nas natychmiast po... przekroczeniu progów sklepu meblarskiego.

Płyty, okleiny, lakiery

Mamy utalentowanych konstruktorów, znakomitych architektów wewnątrz. Przemysł jest już nie najgorzej wyposażony w nowoczesne maszyny i urządzenia. Piętą achillesową meblarstwa było i jest nadal zaopatrzenie materiałowe. Począwszy od podstaw — płyt wiórowych, pilśniowych paździerzowych. Roczny deficyt — płyt ocenia się na 100-120 tys. m. sześć. Program rozwoju przemysłu płytowego zmniejszy ten deficyt dopiero pod koniec przyszłej pięciolatki. Pewną poprawę przynieść może jednak już obecnie podjęcie produkcji płyt pięciowarstwowych oraz zwiększenie udziału płyt laminowanych, lakierowanych oraz wymiarowych, przykrojonych już w fabryce do potrzeb meblarstwa.

Zasoby oklein krajowych kurczą się dość gwałtownie. Stąd konieczność szerszego wprowadzania do produkcji folii okleinowej z polichlorku winylu. Znaczne ograniczenie zużycia oklein przynieść może również zastosowanie płyt o powierzchni uszlachetnionej, wykańczanej metodą nadruku lub pokrytej specjalnymi lakierami. Nie są to sprawy błahe jeśli dodamy, że przemysł meblarski zużywa obecnie ok. 50 milionów m. kw. oklein, a potrzeby na rok 1970 ocenia się na minimum 66 milionów metrów.

W krajach zachodnich, a także u naszych sąsiadów okleinę wypierają niemal całkowicie powierzchnie wykańczane kolorowymi lakierami. Tego typu meble stanowią większość naszego eksportu. Krajowy rynek jest jednak wciąż tradycyjny. Nadal króluje wysoki połysk. Pierwsze nieśmiałe próby wprowadzenia kolorowych mebli nie spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem handlowców.

Tkaniny na wysoki odrzut

Meblarze od lat domagają się lepszych tkanin o nowoczesnej fakturze, przyjemnej kolorystyce i efektownych wzorach. Na próżno. Przemysł włókienniczy oferuje zaledwie 20 proc. tkanin atrakcyjnych i poszukiwanych typu żakard czy „ekscelsior”, a poza tym wzory i kolory z lat dwudziestych tyle, że... gorszej jakości. Pokazywano mi np. w Wyszowskiej Fabryce Mebli kilka bel tkanin, wobec których malowidła z bazaru Różyckiego wydają się być dziełem sztuki. Jakaś krwawo-czerwono-czarna krata, wzbudzająca lęk u dorosłych, o dzieciach nie wspominając.

Kiepska jakość tkanin utrudnia przede wszystkim eksport mebli tapicerskich, w mniejszym stopniu wpływając na rynek krajowy, który po prostu wchłania wszystko, co trafi do sklepów.

Dodajmy jeszcze tylko, że przemysł meblarski pochłania rocznie bagatela — ok. 5 milionów metrów tkanin.

Sprawy proste jak drut

Nieodzownym warunkiem unowocześnienia produkcji mebli tapicerskich jest szerokie wprowadzenie nowych materiałów wyściółkowych, a przede wszystkim tzw. moltoprenu. Wyborne to tworzywo używane jest w naszym przemyśle nader oszczędnie. Moltopren kupować musimy za dewizy. Chemia obiecuje pierwszy tysiąc ton krajowej produkcji w roku 1971, wobec rocznych potrzeb, przekraczających już obecnie 3 tys. ton.

Brak również zastępczych materiałów wyściółkowych — wyrobów lateksowych i płyt szczecinowych. Rezultat — w ciągu całego roku zanotowano mnóstwo przestojów. Nie zrealizowano planów dostaw mebli do handlu. Trudności pogłębia brak materiałów wykończeniowych, a przede wszystkim lakierów poliestrowych, butaprenu i innych klejów oraz past szlifierskich.

Jeżdżą więc samochody fabryk meblarskich po kraju. Na północ, na południe, by zdobyć parę kilogramów moltoprenu, wydębić z Dębicy trochę lakierów, czy wydusić z hut parę kilometrów... drutu. Tak zdawałoby się prosta jak drut sprawa zagraża poważnie wykonaniu planu produkcji mebli tapicerskich. Meblarze żądają 6,6 tys. ton, przemysł ciężki oferuje 4,6 tys. ton. Jak dotychczas nie udało się jeszcze opanować produkcji tapczanów, wersalek i kanap bez drutu.

Można wysunąć sporo i bardzo słusznych pretensji pod adresem przemysłu meblarskiego, można krytykować zbyt nieśmiało wprowadzanie nowych rozwiązań konstrukcyjnych i technologicznych. Nie zmieni to jednak faktu, że podstawową dla rozwoju meblarstwa sprawą jest osiągnięcie poprawy w zaopatrzeniu materiałowym.

Uchwały Rady Ministrów z marca 1968 r. oraz z maja 1968 roku wyraźnie określają zadania zarówno przemysłu meblarskiego, jak i przemysłu chemicznego i ciężkiego. Niestety, między możliwościami produkcyjnymi przemysłu meblarskiego a dostawami materiałowymi wytworzyła się poważna luka.

Zamierzenia przemysłu meblarskiego pozostaną w sferze życzeń, jeśli nie nastąpi dość radykalna poprawa dostaw niezbędnych surowców i materiałów. Mówimy o słabościach handlu meblami, narzekamy na brak możliwości wyboru, na niedostatek mebli segmentowanych, kiepską jakość tapicerki. Marzymy o tym, by każdy potencjalny nabywca mógł sobie wybrać potrzebny me-

bel z katalogu. Chcielibyśmy także, by umożliwiono nam stopniowo nabywanie mebli do kompletu bez obawy, że każdy będzie inny.

Wszystkie te, skądinąd oczywiste życzenia mogą stać się realne jedynie pod warunkiem zapewnienia przemysłowi meblarskiemu wszystkich niezbędnych do produkcji elementów. A więc także materiałów.

Z. JAGIELSKI

Trybuna Ludu, 13 grudnia 1969

ŁADNA „PRZYSZŁOŚĆ”!

Na biurku prezesa leży gazeta z informacją:

„Minister handlu wewnętrznego wydał przedsiębiorstwu handlowym zakaz zakupu i sprzedaży lamp gabinetowych typu OP-1, produkowanych przez spółdzielnię pracy usług wielobranżowych „Przyszłość” w Siedlcach — ze względu na ich nieodpowiednią jakość. Zapasy lamp znajdujące się w sklepach i magazynach mają być zwrócone producentowi”.

A na ścianie, tuż pod białym orłem, obok fotografii dostojników państwowych, wisi dyplom w złożonych ramkach:

„...Spółdzielni „Przyszłość” w Siedlcach w uznaniu osiągnięć gospodarczych w 1968 r. — Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy w W-wie”.

Nieszczęścia zdarzają się nieraz w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym ludziom? Bo szykował się ponoć drugi podobny dyplom, za „1969 r.”, wybierano już dla niego miejsce na ścianie, jedni mówili, że najlepiej będzie koło oszklonej szafy, inni znowu, że przy samym wejściu. I nagle do spółdzielni „Przyszłość” wdarła się brutalnie teraźniejszość.

Zaskoczyła tu wszystkich. Księgowego Talarka, przewodniczącego rady spółdzielni Szaniawskiego, zastępcę kierownika technicznego Rajewskiego, kierownika zakładu produkcji lamp Ładniaka, brakarza Potiope. I pewnie jeszcze wielu innych, w tym może także samego prezesa Kozłowskiego. Co do tego ostatniego nie mam jednak stuprocentowej pewności — prezes jest na urlopie i na swój stołek już nie powróci; szykuje się do objęcia obowiązków jego następcy. Nie znaczy to, że źle myślę o prezesie. Może i jego, gdy przeczytał notatkę w gazecie, także zatkało — jak pozostałych? Może... Bo szlagierowa lampka za jednych 320 złotych, mogąca być, w ich mniemaniu, ozdobą i ministerialnego

gabinetu, okazała się być, według opinii towaroznawców, zwykłym buble, grożącym w każdej chwili porażeniem prądem.

Ale widać minister Sznajder woli mieć u siebie inną, niż siedlecką, lampę. Tylko dlaczego ma cierpieć z tego powodu spółdzielnia „Przyszłość”? Bo przecież...

— ...czy lampy są złe? Nie mam takiej w domu, ale według mnie powinna być dobra — mówi z przekonaniem p. Szaniawski. Widziałem w warszawskim CDT lampy po 550 złotych, ale dlaczego miałyby być lepsze od naszych... Co najwyżej mogli je uszkadzać w czasie transportu, ale tak w ogóle, to według mnie nasze są najlepsze. I ostatnio przecież jeszcze bardziej poprawiliśmy ich jakość.

— Gdyby lampy były złe — myśli logicznie p. Talarek — nie przyjmowałby ich od nas handel... Były robione zgodnie z atestem. Owszem, reklamacje się zdarzały, ale nie było ich znowu tak wiele...

— Kierownik Ładniak powiedział, że lampy były dobre — zabiera głos p. Potiopa. Mnie też tak się wydaje... Czy wypuszczałem braki? Zdarzało się, ale to trzeba rozumieć. Kładłem swój podpis bo czułem naciski kierownictwa — przecież spółdzielnia musi z czegoś żyć, prawda...?

Każdy chce żyć, nie przeczę, ale dlaczego koniecznie z lamp? Taki to intratny interes? Okazuje się, że nie można wyjść na swoje naprawiając zegarki, czyszcząc kotły, szyjąc kozuchy, remontując mieszkania, czesząc w salonach fryzjerskich czy wykonując jeszcze osiemnaście innych czynności z 24 branż, jakie prowadzi spółdzielnia „Przyszłość”? Bo „któż może wyżyć ze świadczenia usług dla ludności. Co innego — z produkcji! Tylko produkcja daje szansę”.

Cięcie, galwanizowanie i niklowanie rurek do lamp zlecili jakiejś spółdzielni w Wołominie, piłowanie i malowanie półeczek — chałupnikom, a oprawki elektryczne i kable postanowili kupować gdzie się da. Wystarali się o jedno imadło, jedną piłkę ręczną do metali, jedną spawarkę, umieścili ten swój produkcyjny dorobek na poddaszu walącej się rudery przy ul. Sienkiewicza w Siedlcach — i tam spawali stojaki do lamp. Całej lampy nikt w Siedlcach na oczy nie widział. Nie mogło być inaczej, gdyż wszystkie jej elementy spotykały się dopiero u odbiorcy, w handlowym magazynie, czekając na montaż.

W dogmaty wierzy się pewnie dlatego, że się je powtarza. Uwierzono więc w spółdzielni „Przyszłość”, że uruchomiono produkcję. A także i w to, że z produkcji tej przyjdzie niebawem czerpać sute profity.

Rzeczywistość nie chciała jednak, niestety, potwierdzać tych nadziei.

— Od początku były kłopoty z zaopatrzeniem w materiały. Z dostawami dla przemysłu państwowego to się liczą, ale dla spółdzielczości... szkoda gadać. Kombinowaliśmy więc te materiały. To trudna sztuka, wymaga inteligencji, rozeznania, taktu. I na wszystko trzeba mieć papierkowe podkładki. Nie to, co w rzemiośle prywatnym, tam idzie wszystko „z kieszeni do kieszeni”, a my nie mamy szans. Chcieliśmy wycofać się z produkcji, ale te nieszczęsne umowy z handlem zawczasu zawarte... Trzeba by płacić kary za niedotrzymywanie warunków umowy. Sęk w tym, że byłyby one jeszcze wyższe od strat, jakie — jak się okazało — ponosiliśmy z tytułu nierentownej produkcji... Dopłacaliśmy do każdej lampy, od samego początku... Uzbierało się tego w ciągu dwóch lat 575 tys. zł...

Gdzież więc ta złota kura?! Zamiast zawrotnych zysków — do każdej lampy dopłacali 44 zł, albowiem zdążyli ich już wyprodukować 13 tysięcy sztuk. Nie obejmie tego ludzki umysł: produkcję lamp rozpoczęto w końcu 1967 r. i już wtedy okazało się, że korzyści z interesu nie było. Były straty.

Trwał więc ten ponury absurd. Wbrew logice, rozsądkowi i wszelakim racjom... Czy dziwić się więc trzeba, że przyniósł on — przypomnijmy — ponad pół miliona strat? A przecież, jeśli brakowało buchaltera z prawdziwego zdarzenia, można było pozyczyć sobie rachmistrza z pobliskiej mleczarni! Przesadzam... Wystarczyłby uczeń z ostatniej klasy szkoły podstawowej, by ustrzec „Przyszłość” od deficytu; wszak ten poziom wykształcenia pozwala już w miarę biegle rachować. Dodawać i odejmować.

Nie jestem w stanie, przyznaję, rozwiązać tego całego nonsensu. Uderza — niefrasobliwość, brak odpowiedzialności i jakaś przedziwna pogoda ducha szefów spółdzielni. Teraz „Przyszłością” zajmują się poważne, siedleckie instytucje. Dlaczego — dopiero teraz? Poza tym, czy sama spółdzielnia, w ramach własnego statutu, nie ma organów kontroli? Budzi się też niepokój, czy inne spółdzielnie w setkach miast, nie działają podobnie. Mówi się tu w ogóle, że lampy robiono po to, by pewna wpływowa dama, wytwarzająca w domu abażury, miała pewniejszy zbyt dla swojego rękodziela. W każdym razie raz jeszcze warto zapytać, jakie są właściwe obowiązki zarządu spółdzielni pracy, po kiego licha są powoływane Rady Spółdzielców, co mają tam do roboty komórki związków zawodowych, organizacji społecznych i innych?

...Zrobili tych lamp w br. 3 tys. sztuk. Liczę skromnie — niech im odesłają połowę. To jest już przecież pół miliona złotych. Na straty. Jak z tego wybrną?

W „Przyszłości” myślą, a jakże, o przyszłości. Więc mówią:
— Damy radę. Gdyby tak 3 miliony, wtedy ogłaszamy upadłość. Ale pół miliona... A ludzi przerzucimy na produkcję materacy. To musi się opłacać!

Mam wątpliwości i pytam:

— Czy rzeczywiście?

Nie słyszę odpowiedzi, kończę więc wizytę w spółdzielni o nazwie „Przyszłość”. Jak dobrze pójdzie — jeszcze tu powrócę. Pewnie w sprawie materacy. Bo granica gospodarczych nonsensów nie jest jeszcze dokładnie wytyczona. Bawmy się więc dalej. Wszystkiego najlepszego.

Andrzej BOBER

Życie Warszawy, 25 listopada 1969



Minister Sznajder zakazał handlowi kupowania lamp gabinetowych OP-1 produkowanych w Siedlcach przez Spółdzielnię Pracy Usług Wielobranżowych „Przyszłość”. Była to bardzo szczególna lampa. Biła ponoć wszelkie rekordy brzydoty, a i cena była rekordowa — 420 zł. Główna jej wada polegała jednak na tym, że działa jak krzesło elektryczne. Przy dotknięciu ciskała użytkownika o ziemię. Wytwórca legitymował się atestem Stowarzyszenia Elektryków Polskich, stwierdzającym, że lampa jest zupełnie bezpieczna. Jak doszło do jego wydania? Ano wyprodukowano jeden porządny egzemplarz okazowy, a potem seryjnie wyrabiano przedmioty wstrząsające.

Życie Gospodarcze Nr 50 z 14 grudnia 1969

STRAŻNICY MIENIA

Czy obowiązujący system odpowiedzialności materialnej pracowników handlu spełnia swoją rolę? Czy nie nadszedł czas, aby na niektóre przepisy i obwarowania ustawowe spojrzeć przez pryzmat ekonomicznych i społecznych racji? Czy pracownik handlu jest przede wszystkim strażnikiem mienia, czy też głównym jego zadaniem ma być obsługa klienta?...

Handel nasz jest przedmiotem ustawicznych narzekań. Również ludzie zatrudnieni w handlu uważają swą pracę za ciężką i niewdzięczną. Jak podaje J.M. w artykule „Z drugiej strony lada” (Życie Gospodarcze Nr 49/1969) przeprowadzone niedawno badania wykazały, iż zawód sprzedawcy jest jednym z najmniej poważanych społecznie i najmniej atrakcyjnych z materialnego punktu widzenia. Coraz częściej przez łamy prasy przewija się problem niewłaściwego rozwiązania konstrukcji odpowiedzialności materialnej pracowników handlu...

Wspólna odpowiedzialność

... Odpowiedzialność materialna pracowników handlu jest znacznie większa, niż w jakiejkolwiek innej gałęzi gospodarki społecznej. Wyjątek stanowią jedynie magazynierzy w przemyśle, obciążeni, podobnie jak pracownicy handlu, odpowiedzialnością materialną za powierzone sobie mienie. Odpowiedzialność materialną pracowników handlu reguluje ustawa z 17 czerwca 1959 r. o współodpowiedzialności majątkowej. Wprowadza ona koncepcję polegającą na tym, iż pracownicy sklepu uspołecznionego przyjmują w umowie wspólną odpowiedzialność majątkową za szkody powstałe w wyniku niedoboru w towarach. Pracownicy ponoszą

przy tym odpowiedzialność w umówionych i obwarowanych umową częściach. Przy ujawnianiu braku i skierowaniu sprawy do sądu wystarczy, jeśli przedsiębiorstwo przedstawi prawidłowe wyliczenie. Nie ma jednak potrzeby udowadniania, że niedobór powstał z winy pracowników. Typ odpowiedzialności, stosowany do dziś powszechnie w handlu, przejęty częściowo niektóre resorty przemysłowe. Np. w przemyśle spożywczym odpowiedzialność wspólna wprowadzona została w Państwowych Zakładach Zbożowych i magazynach przyfabrycznych.

Wytworzenie sytuacji, w której pracownik odpowiada całym swym majątkiem za powstałe niedobory, miało skłonić personel sklepowy do zwiększenia staranności w pieczy nad powierzonym mieniem. W zamian za przyjęcie na siebie odpowiedzialności majątkowej pracownikom przyznano wiele uprawnień, aby praktycznie umożliwić im sprawowanie owego nadzoru. Uprawnienia te zagwarantowane przez wspomnianą ustawę z 1959 r. są następujące: prawo każdego pracownika sklepowego do wglądu w rachunkowość, do udziału w przyjmowaniu i wydawaniu towarów, do uczestniczenia w inwentaryzacji i zgłaszania w związku z nią zarzutów i wreszcie prawo doboru współpracowników. Pracownicy mogą też uwolnić się od odpowiedzialności bądź wskazując winnych (również spoza swego grona) bądź też udowadniając, że niedobór powstał wskutek okoliczności, za które nie odpowiadają.

Uprawnienia te w znacznej części pozostały jedynie na papierze. Praktycznie pracownik nie ma większego wpływu ani na dobór kadr, ani nie jest w stanie kontrolować księgowości sklepu, czy odbioru towaru. Najczęściej nie potrafi też wskazać, kto zawinił w razie wykrycia niedoboru. Obciążenie go pieczę nad mieniem, z którego to obowiązku nie zawsze, mimo najszczerzych chęci, jest w stanie się wywiązać, wywołuje uczucie żalu i pokrzywdzenia, tym bardziej, iż uposażenia w handlu nie są wysokie. Tym tłumaczy się m.in. zjawisko dużej płynności kadr, a także niechęć do obejmowania stanowisk, z którymi wiąże się odpowiedzialność materialna. Narzeka na nią wielu dyrektorów przedsiębiorstw handlowych, mających trudności z obsadzaniem etatów.

Sumy mank podawane od czasu do czasu do publicznej wiadomości i wyrażające się w grubych milionach złotych stwarzają wrażenie, że chodzi o ogromne straty. Tymczasem miliony bulwersujące opinię publiczną, stanowią jedynie malejące promille wzrastających obrotów handlowych.

W 1960 r. niedobory w handlu uspołecznionym wynosiły 0,085 proc., w 1964 r. — 0,072 proc., w 1968 r. — 0,059 proc.

I tych sum jednak nie można uznać za straty, gdyż windykacja niedoborów, spłacanych przez odpowiedzialnych materialnie pracowników handlu, osiągnęła ponad 80 proc. Spłacona została ogromna większość mank małych i średnich, a więc tych właśnie, których jest najwięcej i co do których przyjmuje się domniemanie, że powstały z winy pracowników handlu. Nie spłacone pozostają najczęściej manka mające charakter aferowy, wówczas, gdy dochodzi do zaboru mienia społecznego.

Aby mieć pełny obraz strat w handlu, do zilustrowanych tu już liczbowo mank należałoby dodać jeszcze planowe odpisy przewidziane na tzw. ubytki naturalne, czyli szkody powstające w wypadku zepsucia się towaru, jego uszkodzenia itp. Normy ubytków naturalnych przewidziane dla poszczególnych branż są niezmiernie niskie, i, jak twierdzi większość pracowników handlu niewysparczające: w spółdzielczości wynoszą 0,44 proc. wartości towarów, w handlu państwowym jeszcze mniej. W sumie więc, mimo narzekañ, straty naszego handlu związane z normowaniem ubytków i mankami nie osiągają nawet 0,5 proc. w stosunku do obrotu. Tymczasem w krajach zachodnich, gdzie nie ma systemu odpowiedzialności majątkowej pracowników handlu (poza odpowiedzialnością za czyny niedozwolone), koszty handlowe przewidziane na ubytki towarowe i kradzieże wynoszą od 1-2 proc. Godzenie się ze stratami w tej wysokości płynie zresztą bynajmniej nie ze szczodroblewości tamtejszych pracodawców, lecz ze zwykłej handlowej kalkulacji. Ponoszenie strat w wysokości od 1-2 proc. od obrotu po prostu się opłaca. Rozbudowanie aparatu kontroli, sporządzanie częstych remanentów połączone z zamykaniem placówek, okazałoby się znacznie droższe.

Ale czy u nas system ultraostrożności pracuje za darmo? W stoisku jednego z naszych domów towarowych przeprowadzono remanent po okresie mniej więcej 6 tygodni, podczas których stoisko zrobiło około 550 tys. zł obrotu. Komisja remanentowa w składzie trzyosobowym wykryła manko w wysokości ponad 5,5 tys. zł. Sprawą tą zajęła się więc z kolei komisja koordynacyjno-opiniodawcza w składzie siedmiu osób, która starała się w ciągu paru dni (stoisko było wówczas zamknięte) wyjaśnić przyczyny niedoboru. Wreszcie przypominano sobie, że w spisie remanentowym pominięto wiszący na manekinie płaszcz o wartości 1600 zł. Resztę niedoboru zgodzili się pokryć z własnej kieszeni pracownicy, którzy nie potrafili wyjaśnić, w jaki sposób doszło do manka. A ile kosztowało zatrudnienie tych dziesięciu osób? Ile kosztowało, że stoisko, robiące wysokie obroty, przez parę dni nie prowadziło sprzedaży? Nikt nie przeprowadził takiego rachunku.

Odpowiedzialni materialnie sprzedawcy mają prawo przyglądać się pracom inwentaryzacyjnym i nie życzą sobie, aby odbywały się one za ich plecami. Personel sklepowy zainteresowany jest w wykonaniu i przekroczeniu planu obrotów, bo dostaje za to premię — ale przede wszystkim, troszczy się, żeby nie dopłacać do kasy w razie manka. Stąd głównie wywodzi się zwyczaj zamykania drzwi sklepów w czasie remanentów. Liczbę ich ograniczono ostatnio do dwóch w roku w detalu, zaś do jednego w hurcie, i tak jednak każdy przeciętny sklep w Polsce jest zamknięty z tego powodu przez 4,8 dnia w roku. W roku przyszłym — dzięki pewnym usprawnieniom — każdy sklep zamknięty będzie jedynie przez 3,9 dnia rocznie. Niewielka to pociecha, ale zawsze.

Nie udało mi się zebrać ogólnych danych, ile kosztuje kontrola w handlu i jakie są jej ekonomiczne wyniki po prostu dlatego, że nikt nie dysponuje podobnymi wyliczeniami. Stąd też przykład fragmentaryczny. W 1968 r. kontrola wewnętrzna spółdzielczości spożywców „Społem” kosztowała ponad 66 mln i wykryła niedobory w wysokości 107 mln zł (stanowiące 0,1 proc. obrotu). Oznacza to, że wykrycie każdej złotówki niedoboru kosztuje około 70 gr. A przecież kontrola wewnętrzna nie jest jedyną działającą: obok niej istnieje Państwowa Inspekcja Handlowa, kontrola społeczna, kontrola prowadzona w niektórych wypadkach przez NIK oraz kontrole i śledztwa prowadzone w razie wykrycia nadużyć przez milicję i prokuraturę.

Od pewnego czasu nasila się krytyka wokół ustawy z 1959 r. o wspólnej odpowiedzialności pracowników handlu. Przepisy tej ustawy dużą część ryzyka produkcyjnego przerzucają z przedsiębiorstwa na pracownika; odpowiada on bowiem nie tylko za własną winę, która wyrażać się może brakiem staranności, ale także za zaniedbania swoich kolegów, jeśli nie zostaną one wykryte. Więcej — odpowiada także za kradzieże klientów, oraz ponosi konsekwencje niedociągnięć organizacyjnych wynikłych z winy pracodawcy, jak np. niewłaściwości przy przekazywaniu, towarów, niedostatecznego zabezpieczenia ich przed zniszczeniem i kradzieżą, a także za inne błędne rozwiązania organizacyjne. W rezultacie najważniejszym zadaniem pracownika handlu staje się nie obsługa klienta, do czego wszak głównie powinna sprowadzać się jego rola, lecz pilnowanie mienia społecznego w postaci towaru. Sam proces sprzedawania staje się w tych warunkach drugorzędny, a nawet przeszkadza, sprzedawca myślący o grożącej mu odpowiedzialności materialnej dba przede wszystkim o to, aby nie mieć

braku. Niejednokrotnie zabezpiecza się też w ten sposób, że nie dowożą, czy nie domierza, aby w razie zaistniałego niedoboru móc zrównoważyć go superatą. Strach przed mankiem wyrobił u wielu sprzedawców fatalny nawyk asekurowania się kosztem kieszeni klienta, stwarzając pole do nieuczciwości.

Doskonale wiadomo, że zmniejszający się procent niedoborów nie znaczy bynajmniej, iż zmniejszały się w handlu nadużycia. Mało kto ma energię, by walczyć o niedoważone deko sera, czy włożoną do paczki skórę od kiełbasy.

Utrudnia to również wprowadzanie nowych form handlu, jak samoobsługa czy preselekcje — zachodzi bowiem niebezpieczeństwo, że kradzieże wzmożą się, jeśli kupujący będzie mógł swobodnie wybierać w towarach wyłożonych na ladach, lub regałach. Nie są to czcze obawy. W ciągu paru tygodni milicja odnalazła i oddała ukradzione przez klientów artykuły wartości 37 tys. zł w jednym tylko spółdzielczym domu towarowym, w którym wprowadzono nowoczesne metody handlu. Niedawno w Centralnym Domu Towarowym w Warszawie przychycono klienta uciekającego z belą materiału. W dużych domach handlowych zdarza się po kilkanaście kradzieży dziennie. Kradną nie tylko ludzie biedni, którzy nie mogą pozwolić sobie na pewne wydatki; wyciąganie drobiazgów z mankietów wytwornych futer i kieszeni panów na stanowiskach, bynajmniej nie należy do rzadkości. Dawniej określano to jako kleptomanię. Nazwa ta znikła wraz z salonami i dziś już przyzwyczailiśmy się pewne rzeczy nazywać po imieniu.

Nie można bez ryzyka

Sytuację pracowników odpowiedzialnych materialnie, przeciwko którym, przy każdym braku towarowym, przemawiać miało domniemanie winy, złagodziło w pewnym stopniu orzecznictwo sądowe. Sąd Najwyższy, w jednym ze swych orzeczeń z roku 1964, wypowiedział się w składzie siedmiu o konieczności ograniczenia materialnej odpowiedzialności pracowników, podkreślając istnienie ryzyka po stronie przedsiębiorstwa i zasadę ochrony zarobków pracowniczych. W praktyce wystarczy, jeśli pracownik przeprowadzi dowód, iż jest wysoce prawdopodobne, że brak mógł powstać z powodu okoliczności, za które nie odpowiada. W około 30 proc. spraw o niedobory sądy orzekają, iż manko powstało wskutek winy podzielonej pracownika i przedsiębiorstwa, zasądzając od pozwanego jedynie część równowartości niedoboru. W ten sposób orzecznictwo zbliża się do wprowadzenia

również w handlu zasady odpowiedzialności materialnej opartej wyłącznie na zasadzie winy.

Niedoskonałość rozwiązania, jakie daje ustawa o wspólnej odpowiedzialności, dostrzeżona została dość dawno zarówno przez Związek Zawodowy Pracowników Handlu i Spółdzielczości, jak przez resort handlu i spółdzielczości spożywców. Zaczęto eksperymentować: na początku 1968 r. w domach towarowych „Społem”, w kilka miesięcy później w handlu państwowym. Wspólną odpowiedzialność materialną zniesiono w 246 placówkach handlu państwowego, w tym w 56 magazynach i siedmiu centralach handlowych, a także w 185 sklepach i 5 domach towarowych. We wszystkich tych przedsiębiorstwach nieuzasadnione manka, co do których nie zostało wykryte, iż wynikają z winy pracowników, spisuje się na straty przedsiębiorstwa. Eksperyment, jak dotychczas, przynosi pozytywne wyniki: uwolnieni od ustawicznego lęku przed mankiem sprzedawcy wykonują ze znacznie większym zainteresowaniem swoje obowiązki związane z obsługą klientów. Szczególnie, że w niektórych placówkach zwiększono znacznie normy ubytków naturalnych przewidzianych na zniszczenie towarów i kradzieże przez klientów. W razie nieprzekroczenia tych norm, personel sklepowy otrzymuje premie do przewidzianych normami wysokości. Stwarzają one naturalny bodziec zarówno do troski o należyte przechowywanie towaru, jak i strzeżenia go przed kradzieżami. Wymaga to oczywiście modernizacji systemu sprzedaży: oddzielenia kas od lady, wprowadzenia opakowań firmowych, pakownic itd.

Najtrudniej jest w małych sklepach. Być może w niektórych wypadkach celowe okaże się oddawanie ich w agencję, jak to się dzieje z kioskami, lub zatrudnianie rodzin, co bywało praktykowane i dotychczas. Aczkolwiek zmiany te pociągnąć muszą za sobą poważne koszty, wydaje się, że bilans będzie opłacalny. Nie można zresztą prowadzić działalności handlowej cofając się przed kosztami i ryzykiem. Niedopuszczalne wydaje się też przerzucanie tego ryzyka na zatrudnionych.

W okresie prac nad kodyfikacją prawa pracy zagadnienia te nabierają szczególnej wagi i aktualności. Wydaje się, że przyszły kodeks pracy powinien oprzeć zasadę odpowiedzialności materialnej wszystkich pracowników gospodarki uspołecznionej wyłącznie na zasadzie winy, jak to jest w NRD i na Węgrzech lub przynajmniej ograniczyć ją do pewnej określonej wysokości, np. do wysokości trzymiesięcznych poborów.

Potrzebna jest wreszcie rewizja pewnych pojęć i norm, co zależy już nie od ustawodawcy, lecz od kierownictwa handlu wewnętrznego i spółdzielczości. Przede wszystkim warto racjo-

nalnie spojrzeć na normy ubytków i promille mank. Dążenie do dalszego zaniżenia tych wskaźników, niesłuchanie niskich, jeśli porównać je z analogicznymi danymi z innych krajów, prowadzić może do znacznych, choć ukrytych, nadużyć i strat.

Wanda FALKOWSKA

Polityka Nr 1 z 3 stycznia 1970

ZDROWIE W POŚLIZGU

Nowy szpital w Kraśniku Lubelskim budowano od 10 lat i — gdyby nie epidemia duru brzuszego — nie wiadomo czy oddano by go do użytku w wyznaczonym na ten rok terminie.

Rzecz w tym, że stary szpital dysponuje niewielu łózkami gdy więc wybuchła epidemia nie mógł absolutnie pomieścić wszystkich pacjentów. Sytuacja była trudna, a nawet tragiczna. Zobowiązano więc przedsiębiorstwo budowlane do wykończenia obiektu w ciągu jednej nocy. Następnego ranka oddział zakaźny zaczął przyjmować pacjentów. Ale... Czy trzeba aż epidemii, by przyspieszyć tempo zakończenia budowy tak niezbędnych placówek służby zdrowia?

Niestety, szpitale buduje się u nas przeciętnie po dziesięć lat — i raczej dłużej niż krócej; potem przeważnie okazuje się, że współczesna medycyna wysforowała się w tym czasie naprzód i zaprojektowany przed laty obiekt jest „nowoczesnym staruszkim”, nie mogącym w pełni sprostać aktualnym metodom leczenia. Toteż pracę w nowym obiekcie zaczyna się często od... przebudowy poszczególnych oddziałów czy sal zabiegowych.

Wróćmy jeszcze do owych uświęconych tradycją 10 lat. Składa się na nie: przygotowanie projektu (średnio trzy lata), następnie wprowadzanie zmian w dokumentacji już w trakcie budowy, wreszcie „poślizg” wynikający z opieszałości samych wykonawców. Z „poślizgu” ubiegłej pięciolatki, czyli z lat 1960-1965, zostało do wykończenia wiele szpitali (m.in. w Ostrołęce, Bogatyni, Słupcy, Brzegu, Dojlidach i Olsztynie) oraz pawilony szpitalne w Łodzi, Kartuzach i Sanoku.

Wanda STRZAŁKOWSKA

Głos Pracy, 30 czerwca 1969

STO PUSTYCH MIEJSC W APTECZNYCH SZUFLADACH

Kilka miesięcy temu ogłoszony został nowy urzędowy spis leków, czyli jak mówią farmaceuci, lekospis. Zawarte są w nim nazwy tych wszystkich medykamentów, które powinny znajdować się w sprzedaży. Czy rzeczywiście — znajdują się?

W warszawskich aptekach na porządku dziennym zdarza się, że klienci przedstawiają w okienkach recepty, na których widnieją lekarstwa... nie-

osiągalne, mimo że w owym lekospisie figurują. Tak dzieje się od bardzo dawna. Tyle, że tzw. deficytowych leków obecnie jest mniej, niż przed laty.

Aktualnie zupełnie nie można dostać w żadnej aptece 20 artykułów, które winny oczekiwać na klienta. Natomiast częściowo brakuje około 80 artykułów: idzie tu o leki, które raz są w sprzedaży, to znowu ich nie ma i za którymi trzeba się uganiać, często bez rezultatu.

Łącznie deficytowych artykułów aptecznych jest obecnie mniej więcej setka. Dużo to czy mało? Zależy, jak popatrzeć na tę sprawę, z której strony. Jeśli od strony przemysłu farmaceutycznego — wychodzi, że niewiele. Gdy zaś spojrzeć od strony klienta, nierzadko zaś i lekarza — dużo.

Niejednokrotnie ten sam artykuł apteczny, który jest w nadmiarze w jednym miesiącu — w następnym przechodzi do kategorii artykułów deficytowych. I na odwrót. Sytuacja dość często zmienia się, jak w kalejdoskopie.

Danuta LINKIEWICZ

Słowo Powszechne 14 listopada 1969

APROWIZACJA

FELIETON REDAKCJI EKONOMICZNEJ Z CYKLU
5 MINUT O GOSPODARCE

Na wstępie z całą otwartością muszę tu wyznać, że nie mam konia i dlatego właśnie ogromnie irytują mnie sterty suchego chleba, które gromadzą się w mojej kuchni. Podejrzewam zresztą, że problem ten należy rozpatrywać w szerszym nieco aspekcie, a skłania mnie do tego widok koszy po brzegi wyładowanych suchym chlebem, które z naszych śmietników wynoszą pracownicy MPO. Dobrze poinformowani nawet twierdzą, że ilością chleba, którą wyrzucają sami tylko warszawiacy, można by nakarmić spore miasteczko. A więc problem jest niebagatelny. Gdzie właściwie należy szukać przyczyn takiego stanu rzeczy?

Oczywiście często kupując chleb przeliczamy się w naszych potrzebach czy możliwościach. Niesposób jest bowiem dokładnie wyliczyć, jaka ilość chleba zostanie skonsumowana. Często kilogram to za dużo, a pół kilograma nieco za mało. Sprawa byłaby o wiele prostsza, gdyby chleb sprzedawany był np. na kromki. Zresztą ma to miejsce w wielu krajach za granicą. I tak dla przykładu w Szwecji chleb w kromkach w opakowaniu z folii tak spręparowany, że bardzo długo zachowuje świeżość, jest znany od lat, bardzo popularny. Generalnie jednak biorąc nie tylko wskutek niezbyt sprecyzowanych zakupów marnujemy ogromne ilości chleba. Podstawową przyczyną jest chyba jakość i sam wygląd chleba. Bardzo często jest on nie do strawienia, źle wypieczony, szybko czerstwiejący, a jego kolor nie pozwala na dokładne określenie, czy zrobiony jest z pszennej czy z żytniej mąki. A więc sprawa zasadnicza — surowiec — mąka. Podstawowe zarzuty wysuwane przez przemysł piekarniczy dotyczą niejednorodności dostarczanego towaru. Raz jest to mąka o dużej zawartości glucenu, czyli czynnika... ..innym razem jest go za mało. Różnie też bywa ze stopniem wilgoci. W sumie wszystkie te mankamenty zmuszają piekarnictwo do ciągłych zmian technologii, co w zasadzie odbija się ujemnie na jakości pieczywa. Wprawdzie w piosence śpiewa się, że „nie z każdej mąki będzie chleb”, ale jest to li-tylko licentia poetica bo — jak twierdzą fachowcy — i z nie najlepszej mąki można przy odrobinie starania upiec dobry chleb.

Drugim bardzo istotnym czynnikiem mającym wpływ na jakość pieczywa są jak w każdym przemyśle inwestycje. Ale biorąc pod uwagę przyszły spadek spożycia chleba, nie planuje się budowy na wielką skalę zakładów piekarniczych, raczej punkt ciężkości przesunięty zostanie w kierunku modernizacji i automatyzacji już istniejących piekarni. Zupełnie inaczej przed-

stawia się sytuacja na wsi, gdzie — jak wykazały ostatnie badania — piekarnie przemysłowe zaspakajają tylko 58 proc. potrzeb ludności. Niedobór ten pokrywany jest wypiekami domowym w ilości około 2.600 ton chleba dziennie. Wiadomo, że w gospodarce rolnej, gdzie liczy się każda para rąk, szczególnie np. w okresie intensywnych prac polowych, absorbowanie gospodyni wypiekami chleba kłóci się z rachunkiem ekonomicznym. Środki inwestycyjne, jeżeli chodzi o sektor wiejski, spoczywają w rękach CRS SAMOC CHŁOPSKA. W perspektywach zaś na najbliższy plan pięcioletni centrala rolna spółdzielców obiecuje skutecznie doinwestować piekarnictwo na wsi, w wyniku czego przewiduje się zmniejszenie niedoboru pieczywa w poważnym stopniu. Wzrost mocy produkcyjnych umożliwi także piekarniom wiejskim przejście z pracy 3-zmianowej na 2 zmiany, co w efekcie powinno przyczynić się również do poprawy jakości produkcji.

Wbrew teorii, że postęp techniczny gwarantuje lepsze pieczywo, wszyscy bardziej lubimy jeść smaczny chlebek z małych piekarni, niż z gigantów piekarniczych, gdzie nikt nie ma czasu na pieszczenie się z pieczywem. Za wielkimi kombinatami przemawia jednak brak siły roboczej. Do zawodu piekarskiego garną się bowiem przede wszystkim dziewczęta. Stanowią one aż 80 proc. ogółu uczących się, a i one bardzo często rezygnują z pracy ze względu na ciężkie warunki i nie najwyższe uposażenie.

Pomyślna realizacja założonych w przemyśle piekarniczym planów uzależniona jest także w dużym stopniu od nowoczesnego parku maszynowego. Są nawet próby wprowadzania polskich prototypów maszyn do produkcji piekarniczej. Jeśli zdadzą one pomyślnie egzamin, jest duża szansa zwiększenia wydajności. A jeżeli jeszcze do tego ulepszone zostaną procesy technologiczne, pozwoli nam to z większym optymizmem spojrzeć na nasze piekarnicze kłopoty i spodziewać się dobrego chleba naszego powszedniego.

Radio Warszawa I, 26 listopada 1969 (godz. 06.10)

KLIENTKI O JAKOŚCI MIĘSA I WĘDLIN

Od dłuższego czasu otrzymujemy od Czytelników skargi na jakość wędlin i mięsa. Sposób dzielenia mięsa i klasyfikowania go na gatunki pozostawia wiele do życzenia. Podobnie z wędlinami: zdarza się, że kupujący trafi na znakomite, smaczne parówki, a innym razem pozornie takie same parówki, nie nadają się do jedzenia.

W ostatnich dniach wybraliśmy się do sklepów mięsnych i zanotowaliśmy garść uwag, zgłaszanych przez kupujących:

Pani K.T., klientka sklepu mięsnego przy ul. Polnej, gdzie sprzedaje się mięso systemem tradycyjnym, narzeka, że „na ladzie widzi się przeważnie nieapetyczne kawałki. Mięso jest albo zbyt mokre, albo zeschnięte na czarno, pełno w nim tłuszczu i żył”.

Na klientki „Supersamu” żyzna się znów personel, że obmacują i przebierają kawałki mięsa paczkowanego w celofan i ułożonego na tekturowych podkładkach. Ale ma to swoje uzasadnienie, gdyż kobiety już nieraz się nabrały przy zakupie mięsa paczkowanego. Mówią nam: „Z wierzchu wydaje się, że mięso jest ładne, a jak się torebkę rozwinie znajduje się w drogim wołowym mięsie „ekstra” niewyżyłowane kawałki”.

Podobne uwagi zgłaszają nam klientki ze sklepu „Mrozonka”, na Brackiej, gdzie chcą kupić pakowany schab bez kości w cenie 74 zł. Dość często się zdarza, że w paczce znajduje się schab z dużą „porcją” kości grzbietowej,

a więc taki, który powinien być zakwalifikowany jako zwykły, tańszy, a nie „ekstra”. Cóż, taki towar dostarcza tu producent.

W sklepie przy ul. Grójeckiej widzimy na ladzie ułożone luzem, pocięte kawałki mięsa. Ani wieprzowe, ani wołowe nie jest ładne. Nadaje się, co najwyżej, do gotowania lub duszenia. Nawet to, rzekomo pieczeniowe, ma pełno nie wyciętych ścięgien.

Lada działu wędliniarskiego w „Delikatesach” przy ul. Marszałkowskiej jest obłożona przez klientów. Na hakach wisi sporo kiełbas z napisami „rzeszowska”, „toruńska”, „bieszczadzka”. Ceny są różne, ale — jak twierdzą klienci — różnie smakowych nie ma prawie żadnych. Sprowadzają się one jedynie do większej lub mniejszej zawartości tłuszczu w kiełbasie. „Na dobrą sprawę — mówi nam jedna z kupujących — można by wziąć po prostu kiełbasę zwyczajną, a więc tańszą, trochę ją w domu podsuszyć i byłaby rzeszowską lub toruńską”.

W Hali Mirowskiej większość wędlin sprzedaje się na wagę, toteż przy stoisku widzimy długą kolejkę ludzi. Ale jest tu też trochę wędlin w celofanie. Nie mają one jednak powodzenia, gdyż opakowanie podwyższa cenę produktu — w niektórych gatunkach nawet do 30 proc. Poza tym te wędliny nie są wyższej jakości, niż sprzedawane na wagę. Pan, który przy nas stoi, mówi, że już nieraz znalazł między plasterkami baleronu, szynkowej czy szynki różne okrawki, które producent umieścił w sposób niewidoczny dla kupującego.

Szynka, którą dostarczył dział zamówień „Koszyków” jednej z naszych Czytelniczek była po prostu tustą siekaniną różnych drobnych kawałków, które się rozkruszyły przy krajaniu. „Koszyki” nie są winne, bo taką szynkę dostają. Warstwa tłuszczu sięga nieraz kilku centymetrów, chociaż norma — jak nam powiedzieli handlowcy — przewiduje, że nie może ona przekroczyć 2 cm w szynce gotowanej po 90 zł.

Tyle z notatnika reportera, który przedstawił uwagi zebrane w sklepach. W najbliższych numerach zamieścimy rozmowę z producentami.

(I. Bańk.)

Życie Warszawy, 29 listopada 1969



Ostatnio na łamach naszej prasy dość szeroko omawiane są sprawy związane z zaopatrzeniem w produkty rolne i ze skupem mleka.

Oto kilka uwag na ten temat naszego komentatora Alojzego SROGI:

Nie tak dawno — 2 czy 3 lata temu mówiliśmy o wielkiej rzece pełnej mleka, której nie ma kto ująć w odpowiednie koryto ku pożytkowi społecznemu wsi i miasta, każdy bowiem dodatkowo skupiony tysiąc litrów mleka to bezpośredni zysk dla producenta a zarazem możliwość produkcji serów, masła i tzw. galanterii mleczarskiej.

Rok bieżący z dotkliwą suszą w części kraju spowodował kłopoty z białym bogactwem. Za mało go, za mało się skupuje. I oto w sposób niesłychanie ostry... ..się wydarzenia sprzed 2-3 lat, kiedy nie było kłopotów paszowych, a mleko płynęło nie tyle strugą ile właśnie rzeką. Ów stan — ośmielam się twierdzić — zdemobilizował naszą spółdzielczość mleczarską, zaczęły się lęgnąć poglądy, że mleka mamy za dużo. Niestety zlikwidowano nie jeden bardziej odległy punkt odbioru mleka, nie jedną zlewnię. Sytuacja jest dość paradoksalna — w ub. 2 latach produkcja mleka w Polsce wyniosła ponad 14 miliardów litrów rocznie ale skup sięgnął raptem 5 miliardów, czyli objął ledwie 35 proc. produkcji. Ale np. na Lubelszczyźnie gdzie

kanal Wieprz-Krzna zaczyna spłacać inwestycje w postaci dużych plonów traw, skup obejmuje poniżej 30 proc. wyprodukowanego mleka.

W styczniu br. przewodniczący prezydium PRN w Pułtusk — 60 km od stolicy — na dorocznej naradzie przewodniczących rad mówił, iż w ich powiecie nie odebrano w r.ub. 10 milionów litrów mleka. Niestety nie otrzymał od mleczarzy ani wtedy odpowiedzi ani też obecnie.

Relacje kolegów z radiowej redakcji rolnej z tego właśnie powiatu potwierdzają fakt, że skup mleka w tym powiecie, nie z winy rolników, jest źle zorganizowany.

W podradomskim miasteczku Skaryszew rolnicy skarżyli mi się, że od czerwca do września br. nie skupowano od nich mleka lecz tylko śmietankę i to niezbyt często.

Tak więc, jak się okazuje, nawet w roku suszy mleka jest sporo, może nie być kłopotów z nim i jego przetworami, po prostu trzeba umieć kupić to mleko. Oczywiście jestem realistą i wiem, że dopóki brak nam dużych nowoczesnych mleczarni nie rozwiąże się do końca wszystkich bieżących kłopotów. Buduje się owych obiektów sporo i na Żuławach, w Olsztyńskim, Lubelskim, nim jednak wejdą one wszystkie do produkcji, trzeba po prostu nieco dalej jechać po mleko. Była, a w niektórych wsiach nadal jest tradycja wspólnego dowożenia mleka przy pomocy wozów konnych, nie trzeba nawet angażować dodatkowych samochodów, ale przecież nie jedną zlewnię zlikwidowano w latach ub. w ramach samouspokajania się mleczarzy, że jakoś to będzie. Tradycyjnie nasze „jakoś”. No i potem wybuchają kłopoty, których mogłoby nie być, pod warunkiem, że mleko się będzie skupować nie tylko z najbliższych ale i z odległych wsi. Ma to ogromne znaczenie nie tylko dla właściwego zaopatrzenia miast ale, również dla rolników.

Jeśli rolnik widzi, że wzrastającą ilość mleka kupuje się od niego, wówczas dochodzi do wniosku, iż warto trzymać więcej krów, opłaca się intensyfikować produkcję zwierzęcą. Lepiej też będzie dbał o zasoby paszowe. W sytuacji nie odbierania mleka, obojętne w roku suszy czy w roku normalnym, zatraca się bodziec materialnego zainteresowania w poprawianiu mleczności krów.

Tegoroczna susza i niektóre jej już odczuwalne konsekwencje zmuszają spółdzielczość mleczarską, by, nie czekając aż ruszą wszystkie zaplanowane obiekty przetwórcze, jednak wykazać znacznie więcej inwencji w umiejętnym skupowaniu białego bogactwa.

Niestety, mlecznych rurociągów widać do miast nie mamy, do wsi więc muszą dotrzeć samochody-cysterny. Oby najdalej i regularnie.

Na szczęście zrozumienie tych spraw jest i w centralnym związku spółdzielczości mleczarskiej coraz większe. Obok rozszerzania skupu podejmuje on ostatnio wysiłki po producentów mleka zaopatrzyć w paszę. Miejmy nadzieję, że te wszystkie poczynania dadzą należyte efekty.

Radio Warszawa I, 8 października 1969



Korespondencja ze Szczecina:

Śledź w pomidorach, śledź w oleju, śledź w pomidorach, śledź w pomidorach! A gdyby tak coś nowego?

Jesteśmy w spółdzielni pracy w... w spółdzielni znanej ze znakomitych konserw.

(Rozmowa z wiceprezesem do spraw produkcji, mgr. Emilią Budzisz).

— Proszę pani, jak długo trwa wprowadzenie na rynek nowej konserwy?

— Powyżej jednego roku z uwagi na to, że wstępne zatwierdzenie odbywa się w zjednoczeniu, poza tym jeszcze dochodzi tutaj zatwierdzenie wzoru etykiety, które również odbywa się w zjednoczeniu gospodarki rybnej.

— O ile dobrze pamiętam, to w ub.r. na wiośnię wystąpiliście z nowymi projektami. Czy one zostały zatwierdzone?

— Konserwy są już w masowej produkcji, natomiast sprzedaż jest wstrzymana z uwagi na brak jeszcze etykiet.

— I co w tej chwili przygotowujecie na rynek?

— Gołąbki rybne, leszcz w oleju..., przy czym te konserwy są w małych gramażach 150-gramowych i 170-gramowych.

— Ja w tej chwili mam 40-parę lat. Czy ja jeszcze doczekam za swego życia tych konserw na rynku?

— No, chyba tak!

(Speaker:)

Jak pisze dzisiejsze *Życie Warszawy*, dziennikarze umierają przeciętnie w wieku lat 53 i tylko jeden na pięciu dożywa wieku emerytalnego. Pozostawiamy już statystykom obliczenie ilu z nas dożyje ukazania się na rynku nowych konserw.

Radio Warszawa II, 12 listopada 1969



(B) Jednym z dowodów wzrostu dobrobytu i kultury życia codziennego są zakupy. Nasza wieś może kupić dużo. Same artykuły gospodarstwa domowego sprzedane zeszłego roku przez hurtownie Samopomocy Chłopskiej — głównego dostawcę dla wiejskiego rynku — warte są 11,4 mld zł, a stanowi to ponad 110 proc. rocznego planu. Rynek wiejski jest chłonny. Ale klient chce płacić nie za to, co akurat sklep ma na półkach, ale za towary, które potrzebne mu są w gospodarstwie. Tego rodzaju statystyka, niestety, nie przynosi chluby organizatorom handlu wiejskiego.

Kontrolerzy NIK, którzy przez pół roku wizytowali wiejskie sklepy „Towary Spożywcze i Przemysłowe” oraz „Artykuły Gospodarstwa Domowego” stwierdzili, że w objętych badaniem sklepach „TSP” brakowało średnio 154 artykułów z listy minimum asortymentowego, co stanowiło 65 proc. artykułów wymienionych na tej liście, zaś w sklepach „AGD” brakowało średnio 117 obowiązujących artykułów tj. 45 proc. Prawda, że tego rodzaju inspekcje obejmują najgorsze placówki, ale dodać należy że kontrolowane sklepy z artykułami gospodarstwa domowego stanowią 95 proc., zaś kontrolowane sklepy „TSP” 45 proc. ogółu sklepów tego typu na terenie ćwierci kraju — zatem bardzo wiele. Zresztą w całym kraju sytuacja z zaopatrzeniem rynku wiejskiego wygląda nie najładniej.

Sztandar Młodych, 23 października 1969

GOSPODARKA ROLNA

REKLAMA I RZECZYWISTOŚĆ

Po przeczytaniu artykułu pt. „Gleby zakwaszone wymagają wapnowania” („Ziel. Szt.” nr 77) zdenerwowałem się i na gorąco chwytam za pióro. Jestem rolnikiem z województwa poznańskiego. W mojej okolicy nie trzeba rolników przekonywać o stosowaniu nawozów sztucznych czy wapna, ale gdzie je można kupić. Nie rozumiem, po co się reklamuje i namawia do kupna czegoś co jest nieosiągalne. Od żniw do dziś włącznie dzwonię codziennie do GS w Buku i Opalenicy w pow. Nowy Tomyśl, pytając o wapno. Zawsze otrzymuję tę samą odpowiedź: „Jeszcze nie nadeszło”.

Czy można nie złorzeczyć? Już jutro będę orał, bo czas nagli. Jeśli wapno nadejdzie później, to będzie ono przysłowiową musztardą po obiedzie. Podobnie zresztą jest z nawozami fosforowymi i potasowymi. U nas przez cały wrzesień ich nie ma. Po co więc w telewizji reklamuje się i nawołuje do kupna we wrześniu, obiecując bonifikatę, kiedy GS nie są zaopatrywane w dostateczną ilość nawozów.

Dlatego redaktorzy zanim napiszą artykuł, powinni zorientować się czy towar, który polecają, znajduje się w dostatecznej ilości na rynku. Inaczej zachęta mija się z celem i... denerwuje.

Tadeusz SZYMANOWSKI
Wojnowice, pow. Nowy Tomyśl

Zielony Sztandar, 5 października 1969

**KIEDY FABRYKA W GDAŃSKU OSIĄGNIJE PROJEKTOWANĄ MOC?
BUDOWĘ ZAKOŃCZONO PRZED 4 MIESIĄCAMI — NAWOZÓW
NIE MA**

W końcu maja br., po 35 miesiącach budowy, została przekazana do eksploatacji największa inwestycja bieżącej 5-latki woj. gdańskiego — Gdańskie Zakłady Nawozów Fosforowych. Gdyby poprzestać tylko na tym fakcie wypadałoby odetchnąć z ulgą; nieczęsto się zdarza, by tego rodzaju wielki obiekt przemysłowy został zbudowany w ustalonym uprzednio cyklu normalnym, co więcej — by koszt jego budowy nie przekroczył planowanych kosztów. A właśnie miało to miejsce w przypadku budowy gdańskiej „fabryki urodzaju”.

Jednakże nie pora jeszcze na poddawanie się uczuciu zadowolenia. Kiedy ono nadejdzie? — oto pytanie interesujące dziś nasze rolnictwo. Albowiem

gdański kombinat stał się klinicznym przykładem sytuacji, o której sporo mówiono w czasie obrad II plenum partii.

Referat Biura Politycznego KC PZPR, wygłoszony na plenum, sytuację tę scharakteryzował następująco:

„Jedną z istotnych przyczyn obniżenia efektywności inwestycji jest częste niepełne wykorzystanie oddanych do użytku obiektów oraz wydłużanie okresu czasu, w którym osiągane są projektowane zdolności produkcyjne”.

Dlaczego, pisząc te słowa, myślimy o gdańskich fosforach? Zakłady miały uzyskać pełną zdolność produkcyjną 5 miesięcy od dnia zakończenia budowy. Od chwili tej minęły już dobre 4 miesiące, a zakład nie zbliża się nawet do projektowanej mocy. Trudno dziś nawet odpowiedzieć, kiedy to nastąpi. Półtora miliarda złotych — tyle bowiem kosztowała gdańska budowa — zamiast przynosić rolnictwu spodziewane procenty, jest uwiecznionych w murach hal produkcyjnych i nowoczesnej aparaturze. Końca rozruchu technologicznego nie widać, podobnie jak trudno przewidzieć, kiedy ruszy pełną parą produkcja.

Jakie są tego przyczyny? Najważniejsza z nich tkwi — o czym świadczą fakty — w poważnych usterkach zainstalowanych tu maszyn i urządzeń. Choćby transport pneumatyczny, który miał umożliwić prowadzenie produkcji w sposób ciągły. W praktyce okazało się, że cała aparatura musi być zatrzymywana kilka razy w ciągu doby, właśnie ze względu na usterki. Doszło do tego, że surowiec trzeba wozic wagonami.

Dalej — młyny do przemiału fosforytów. Ich wydajność okazała się być dwukrotnie mniejsza od założeń. Zainstalowano zbyt słabe silniki, pompa cyrkulacyjna sprowadzona z Anglii także okazała się mało użyteczna, itd. itd...

Po trosze sytuację tę tłumaczy prototypowość wielu urządzeń. Tłumaczy jednak, a nie usprawiedliwia. Stąd też wysiłek załogi skupia się w poważnej mierze na naprawie usterek, nie zaś na dochodzeniu zakładów do pełnej mocy produkcyjnej.

A budowlani zeszli już z placu budowy. Przestali się nim także interesować projektanci urządzeń i instalacji. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby urządzenia ich pomysłów pracowały bez zarzutu. Jest jednak inaczej.

Załoga gdańskiej fabryki oczekuje pomocy. Sama wiele zdziałać nie może. W pierwszym rzędzie pomoc ta powinna nadejść od warszawskiego ZREMB-u i biura projektów „Biprokwas”. Bo przecież nie tylko na budowlach, a także na projektantach i dostawcach maszyn i urządzeń spoczywa odpowiedzialność za efektywność każdej inwestycji. (bob).

Życie Warszawy, 4 października 1969



Franciszkowi L. z Tucholi pow. Międzychód jego amerykańska rodzina zafundowała traktor z kompletem przystawek. Za dolary gospodarz otrzymał traktor „Ursus” C-4011, ale niekompletny. Brakowało przystawek pasowych. Poznańska „Agroma” — sprzedawca traktora — zawiadomiła nabywcę, że przystawek nie ma i że dostarczy je za kilka miesięcy. Zaczęły się interwencje i irytacje, bo człowiek zapłacił, a towaru nie ma. Po pół roku firma zawiadomiła, że wysłała owe przystawki umożliwiające zastosowanie traktora do prac w obejściu. Franciszek L. przesyłki nie otrzymał, mimo że od zawiadomienia go o jej wystaniu minęły następne miesiące. Teraz już przestał się wszakże denerwować i upominać. Wie, że swojej przystawki nie dostanie, a nawet dostać nie powinien. Inaczej ludzie zaczęliby mówić, że u nas za dolary wszystko się dostanie.

Życie Gospodarcze Nr 1 z 4 stycznia 1970

PROBLEMY RYBOŁÓWSTWA ŚRÓDLĄDOWEGO

Kłopoty z łodziami — Fachowcy unikają gospodarstw — Zatrucia
ciąg dalszy

(Inf. wł.) Ryby słodkowodne łowi w Polsce 110 wyspecjalizowanych gospodarstw państwowych. Czterdzieści siedem działa na Mazurach, pozostałe zajmują się hodowlą karpia w stawach. Nie ulega wątpliwości, że prowadzimy coraz lepszą, bardziej planową, śmiało wykorzystującą naukowe założenia gospodarkę rybną. Ale też wiadomo, że jezior nam nie przybywa. Podaż ryb zależy od poprawy poziomu gospodarstw rybackich, od rozwiązania wielu problemów, związanych z postępowaniem.

Pierwszy z nich — kwestia sprzętu. Przeważają tradycyjne łódki drewniane. Wszystkie gospodarstwa dysponują łącznie ledwie dziewięcioma łódkami z plastiku produkowanymi przez stocznie w Uście. Są wygodne, prosta jest ich konserwacja, są łatwe w transporcie, co ma duże znaczenie, niektóre gospodarstwa rezydują bowiem w kilku powiatach. Zapewniają bezpieczeństwo, są bowiem niezatapialne. Każde z gospodarstw w zasadzie chciałoby mieć takie łódzie. W zasadzie — w grę wchodzi bowiem przeszło pięciokrotnie większy w porównaniu z tradycyjną łódką koszt, występują też obawy przed koniecznością wożenia plastikowych łódek do remontu aż do Ustki.

Nie tylko w tej kwestii dają się odczuć konserwatywne opory. Mechanizacja wkracza do gospodarstw bardzo powoli. Inż. Krene ze Zjednoczenia Państwowych Gospodarstw Rybackich opowiada, jak starzy rybacy przyjęli wprowadzenie wiertła, potrzebnych przy wierceniu otworów w łodzi w zimie, gdy łowi się jedną trzecią ryb. Podśmiewali się, a i dziś nadal twierdzą, że im się ryba ploszy...

Zawód rybaka jest trudny. Gospodarstwa stale odczuwają brak kadr; większość załóg stanowią pracownicy po pięćdziesiątce. Są w kraju dwie szkoły zawodowe, przygotowujące młodzież do pracy w rybołówstwie śródlądowym oraz jedno technikum rybackie. Stu absolwentów rocznie — to pozornie dużo. Niestety spory odsetek nie trafia do zawodu: 40 proc. wybiera pracę gdzie indziej. Lepiej przedstawia się sprawa kadr z wyższym wykształceniem. W WSR w Szczecinie działa Wydział Rybacki, Studium Rybackie otworzono przy Wydziale Zootechniki w Olsztynie, specjalizacje rybackie prowadzą także niektóre inne katedry wyższych szkół rolniczych. Gdyby tak jeszcze więcej absolwentów trafiało do gospodarstw rybackich — obecnie wybierają oni częściej zakłady przetwórcze, Wojewódzkie Zakłady Higieny Weterynaryjnej i inne placówki odległe od jeziora czy stawu.

Nie sposób nie wspomnieć przy okazji raz jeszcze o problemie stale ostatnio poruszonym: o systematycznym zaopatrywaniu ryb w tysiące hektolitrow chemikaliów, smarów, olejów. W roku 1969 zakłady przemysłowe wypłaciły gospodarstwom rybackim tytułem odszkodowania ponad półtora miliona złotych. Nie odpowiada to jednak rozmiarowi szkód — sprawy arbitrażowe ciągną się bowiem często po trzy, cztery lata. Są w tej dziedzinie smutnej sławy rekordziści. Oto zakłady przemysłowe rejonu Oświęcimia i Wadowic zanieczyściły ostatnio ponad 2,5 tys. ha zarybionych stawów, przejmując palmę pierwszeństwa od zakładów rolno-spożywczych w rejonie Gopla. Janikowa-Żnina, które podobnym wynikiem popisały się w zeszłym roku.

(wit)

Trybuna Ludu, 2 stycznia 1970

ELEKTRYFIKACJA

TRUDNY „SZCZYT”

Już w ubiegłym roku zarysowały się pewne trudności w pełnym pokryciu zapotrzebowania kraju na energię elektryczną. Według obecnych ocen deficyt mocy energetycznych rzędu do 500 MW trwać będzie aż do roku 1974, co powoduje konieczność limitowania zużycia energii elektrycznej w najbliższych latach, przede wszystkim w okresach tzw. szczytu jesienno-zimowego. Odczuwalną poprawę sytuacji energetycy zapowiadają dopiero na koniec nadchodzącej pięcioletki, po osiągnięciu zaplanowanych zdolności produkcyjnych przez czołowe, będące dopiero w budowie bądź w rozbudowie, elektrownie w Kozienicach, Rybniku i Ostrołęce.

Konsekwencje tego stanu rzeczy nie wymagają chyba szerszego komentarza. Wiadomo, co deficyt energii elektrycznej oznacza: od lat już podstawowym odbiorcą elektryczności jest przemysł (np. w roku 1968 z 55 mld kWh energii elektrycznej, wyprodukowanej w kraju, na zużycie w przemyśle przypadło blisko 39 mld kWh). Wszelkie restrykcje w tym zakresie w pierwszej kolejności odbijają się więc na poziomie wykorzystania zdolności produkcyjnych w przemyśle, bo żadna nowoczesna maszyna, żadna nowoczesna aparatura nie będzie pracować bez energii elektrycznej. A przez pewien czas zdawało się, że zmora tzw. wyłączeń zniknęła raz na zawsze. Dysponowaliśmy nawet pewnymi nadwyżkami energii elektrycznej w stosunku do krajowego zapotrzebowania. Korzystając z połączonego systemu energetycznego krajów socjalistycznych, od roku 1962 aż po rok 1966 eksportowaliśmy pewne ilości energii elektrycznej (chodzi tu o eksport netto, czyli nadwyżkę nad importem). Teraz ponownie — od roku 1967, importujemy energii elektrycznej więcej niż eksportujemy, a i to nie rozwiązuje naszych kłopotów.

Powodem, jak twierdzą niektórzy, ma być niedoinwestowanie energetyki w ostatnich latach.

K. KRAUSS

Sztandar Młodych, 13 listopada 1969

ENERGIA ELEKTRYCZNA — LIMITOWANA W LOKALACH NIEMIESZKALNYCH

H.O.: Czy w bieżącym sezonie jesienno-zimowym rzeczywiście obowiązują ograniczenia w zużyciu energii elektrycznej w lokalach niemieszkalnych, a za przekroczenie wyznaczonych limitów grozi opłata karna?

RED.: Istotnie, w tym sezonie jesienno-zimowym, a więc przez okres 6 miesięcy (październik-marzec) wskutek wystąpienia czasowego niedoboru energii elektrycznej jest ona limitowana. Dla wszystkich lokali niemieszkalnych, do których stosuje się taryfę opłat II a i II b, limit zużycia prądu wyznaczono w wysokości 20 proc. zużycia w odpowiednich miesiącach jesienno-zimowych roku ubiegłego.

Natomiast w lokalach społecznej służby zdrowia, wymiaru sprawiedliwości, w żłobkach, przedszkolach, szkołach, stacjach kolejowych, autobusowych i lotniczych, urzędach pocztowych, kinach, teatrach i domach kultury limit zużycia energii elektrycznej ustalono w wysokości 100 proc. zużycia w odpowiednim okresie ub.r.

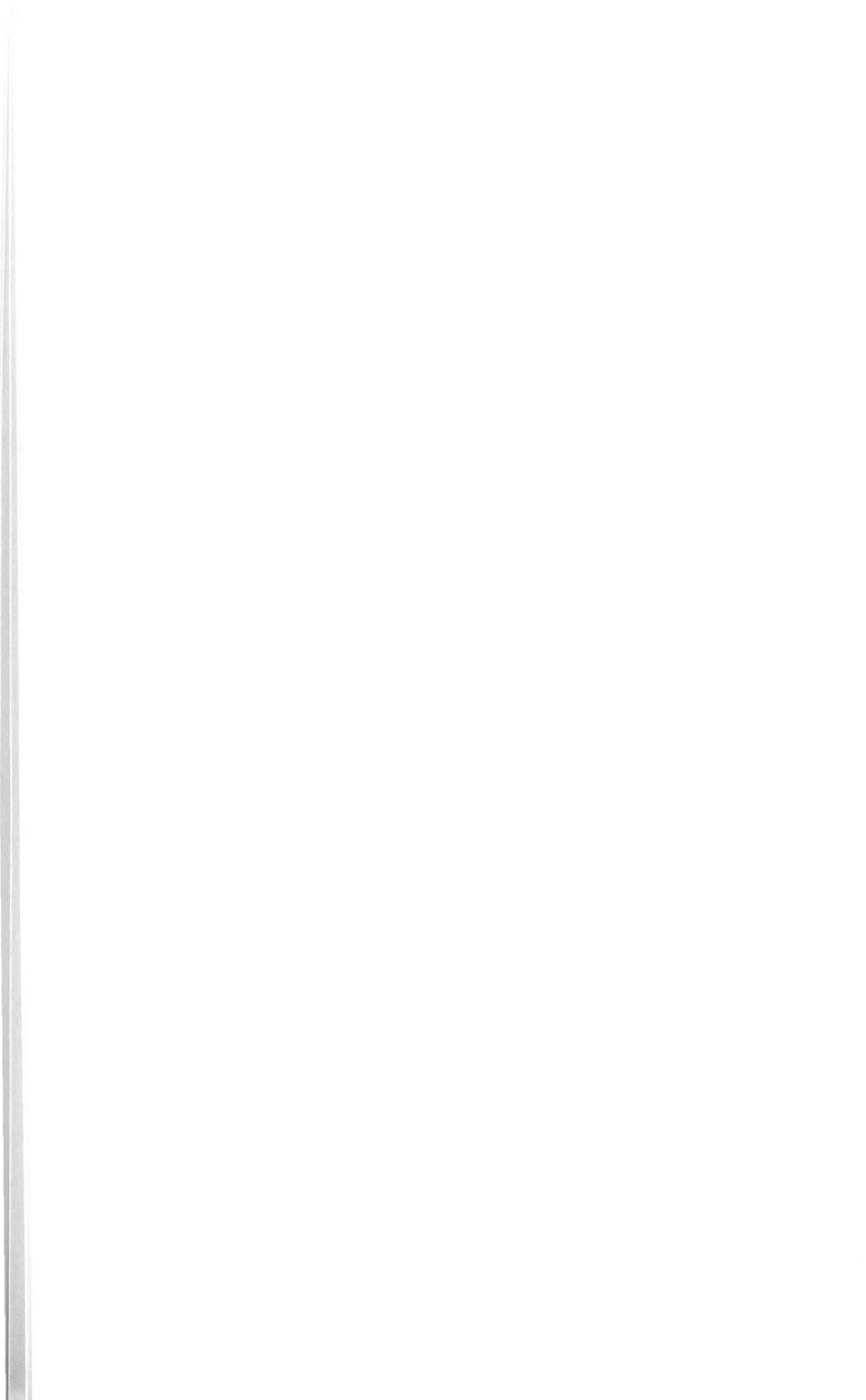
W przypadku przekroczenia tych limitów obowiązuje opłata karna równa dziesięciokrotnej stawce taryfowej.

Zasadę oszczędzania energii elektrycznej wprowadziła uchwała Rady Ministrów nr 121 (Mon. Pol. nr 34, poz. 248 z br.). (KK).

Życie Warszawy, 2-3 listopada 1969

Rozdział Trzeci

OJCZYZNA WÓDKĄ PŁYNĄCA



„SKŁADKA PO DYCHACZU”

Schemat wydarzenia nie był skomplikowany; może nawet zbyt prosty, przerażająco prosty: dwudziestoletni nigdzie nie pracujący młody człowiek pije z kumplami w knajpie o nie najlepszej sławie. Brakuje mu pieniędzy na zapłacenie rachunku. Jest wszakże stałym bywalcem, więc zapewnienie „Pani mi zawierzy do jutra, jutro przyjdę, ureguluję” — wystarcza. Młody człowiek wychodzi na źle oświetlone ulice, zabija przechodnia, zabiera 300 zł, wraca w umówionym terminie do knajpy, reguluje honorowy wódczany dług.

Jeszcze tego samego dnia zatrzymuje go milicja, które to wydarzenie tak referuje kelnerka: *Umówił się, że przyjdzie następnego dnia uregulować rachunek o 9-tej. I faktycznie przyszedł, a jak regulował, to już siedzieli dwóch panów z komendy i wtedy wstali, podeszli i powiedzieli, że będzie rewizja i (...) pokazali mi zdjęcie zamordowanego człowieka, czy go widziałam, czy znam. Odpowiedziałam, że znam, że często przychodził coś zjeść i na setkę, tego wieczoru też był i pił.*

Morderca nie znał swojej ofiary — statecznego człowieka w średnim wieku, pracownika miejscowej fabryki. Łączyło go z nim tylko jedno: wódka. Zarówno zabójca, jak i jego ofiara byli — operując stylem sądowym — w chwili popełnienia przestępstwa pod silnym wpływem alkoholu. Ten związek między katem a ofiarą wcale nie metafizyczno-psychiczny (jak u Kafki) ale najzupełniej konkretny i realny — jest naszą typową prawidłowością obyczajową, potwierdzoną statystycznie. Z danych MO i prokuratury wynika bowiem, że nie tylko ponad 60 % oskarżonych z artykułu 225 i 236 (zabójstwo oraz tzw. ciężkie uszkodzenie ciała) popełniło swój czyn pod wpływem alkoholu, ale że większość ich ofiar również znajdowała się w stanie nietrzeźwym.

Zabójstwo popełnione przez ceniącego swój honor bywalca knajpy pasowało bez reszty do statystycznego wzorca, ale nie tylko dlatego przyciągnęło reporterską uwagę i stało się powodem wyprawy w podwarszawski region słynny z alkoholichuligańskich wyczynów. Powodem głównym był fakt, że przed dwoma laty w tym samym mieście, na tych samych ulicach popełniono podobną zbrodnię: dwóch młodych chuliganów zamordowało na ulicy dwu nieznanych sobie przechodniów — robotników fabrycznych — jedynie dla zademonstrowania swojej pijackiej krzepy. Reporter „Polityki” wyjechał wówczas na miejsce zbrodni*, uczestniczył w śledztwie i przesłuchiowaniu zabójców, zdawał relację z nastrojów, jakie ogarnęły mieszkańców i z późniejszego procesu, tzw. pokazowego (odbywającego się — jak na ironię — w miejscowym Domu Kultury), na którym zapadły surowe wyroki: kara śmierci i dożywocie. Wyroki miały zastraszyć „element chuligańsko-przestępczy”, miały zadziałać daleko sięganie, stwarzając na przyszłość takie warunki, w których — jak pisali komentatorzy prasowi — „spokojni mieszkańcy, których jest przecież przytłaczająca większość”, nie będą bali się wychodzić wieczorami na ulicę. I oto już po dwu latach potwierdziła się stara prawda, że najsurowsze, najbardziej pokazowe wyroki nie mogą być skutecznym lekarstwem na choroby społeczne, których źródło tkwi w warunkach bytu środowisk określanych często w fachowo-milicyjnych publikacjach jako społeczny margines; w obyczaju pijackim, który tworzy swoistą skalę wartości i swoisty kodeks honorowy; w obyczaju, który sięgając granic patologii — domaga się już nie tyle samego picia, ile wyróżnienia się w nim przez zachowanie demonstracyjnie odbiegające od ogólnie przyjętych w „trzeźwym” społeczeństwie wzorów. Powtórzenie się w dwa lata po wydaniu pokazowego wyroku śmierci — w tym samym miejscu — równie pokazowego identycznego morderstwa zaświadczyło raz jeszcze, że nie tylko objawy trzeba zwalczać, ale i przyczyny. A ponieważ wśród przyczyn na czoło wysuwa się przyczyna określona zwięźle jednym słowem: wódka...

...jechałem po raz wtóry do tego samego podwarszawskiego osiedla przypominając sobie, że tamto morderstwo rozbudziło o wiele większą sensację i zainteresowanie prasy niż obecne (czy słusznie?); przypominałem też sobie, że wówczas zarówno ja sam, jak i inni sprawozdawcy podkreślając zgodnie fakt, że jeden z zamordowanych robotników był ormowcem, przemilczeli zgodnie (czy słusznie?), iż obaj byli równie, jak ich zabójcy pijani. W żadnym sprawozdaniu nie znalazła się też informacja o tym,

* Patrz S. Kozicki — „Staszek-Pirat”, *Polityka* 14/1967 r.

jak to — mimo zarządzonego pogotowia milicyjnego i mobilizacji wszystkich sił MO w akcji poszukiwania morderców — jeden z komisariatów trzeba było z niej chcąc nie chcąc wyłączyć (z kalendarza wynikała wigilia Józefa, a szef komisariatu nosił akurat to imię).

Artek był honorowy

Pierwsze kroki kieruję do knajpy i jej „stałych bywalców”.

Rozmowa z personelem przypomina „każdy sobie rzepkę skrobie”. Pytania: jak jest i jak było — miłe panie w niezbyt czystych ale obficie ukoronkowanych fartuchach kwitują wypisami z regulaminu, czyli opisem tego jak być powinno. Że wszystko grzecznie, z zachowaniem należnych form (*co najwyżej powiem klientom grzecznie: „Panowie proszę uprzejmie pamiętać, że tu nie „stajnia”. „Panowie, ja panów bardzo uprzejmie, najuprzejmiej proszę zachowywać się kulturalnie”*).

Na pytanie czy „lubił pić” — pada dyplomatyczna odpowiedź: *Lubił — nie lubił owszem dość często zachodził coś wypić, ale zawsze z pełnowartościową przekąską.*

Na pytanie jak zachowują się pijacy wychodzący z knajpy, słyszę: *Bardzo grzecznie się zachowują. A jak nie chcą, to my grzecznie ich wypraszamy; wczoraj takiego jednego wzięłam za ramiona i wypchałam na ulicę, a on się zawagował tak, bo mnie chciał chyba uderzyć, ale nie uderzył, bardzo grzecznie.*

Takich specjalnych pijaków, to u nas nie ma — chichoce z wdziękiem bufetowa, zerkając na stałego bywalca, pana G. i jego kolegę pana S., z którymi umówiłem się w miejscu, gdzie powstały warunki do zbrodni. Obaj panowie — serdeczni koledzy mordercy, siedzą przy tym samym stoliku, przy którym pili z nim w tamten wieczór i są w doskonałych humorach.

Mówi pan G: *Tak, tutaj siedzieliśmy z Artkiem a tam siedział, no, wie pan, ten trup. Artek podszedł — przywitał się cześć, cześć, przyprowadzasz? No, ja już taki byłem dobry, że można było wypić i pyknęliśmy po jednym. Czystą postawił, czystą żebyśmy pili normalnie, a później się dosiadł jeszcze jeden kolega; znów wypiliśmy, ja zamówiłem. Też czystą. Ja nie piję innej, cały czas czysta, normalnie, koledzy też, bo po niej kaca nie ma.*

Pan G. przerywa opowieść, wyciąga rękę w stronę pełnowartościowej zakąski (śledzik!), ale zaraz cofa rękę: *Co tam taka zakąska! — wykrzykuje z demonstracyjną, teatralną nieco pogardą. Ja tu mam lepszą zakąskę! — co mówiąc niesie do ust*

wypróznioną przed chwilą szklaneczkę „angielkę”, zgrzyt szkła między zębami, zęby zgniatają, trą szkło na drobny pył, pan G. toczy wokół triumfującym wzrokiem, tak samo dumny jak tamtego wieczoru, kiedy Artek wyszedł, aby uregulować honorowy dług.

Mówi pan S.: *Z Artkiem to się poznałem na mieście, między kolegami się z nim zapoznałem. Lubił wypić jak każdy. Zły nie był. Pił jak każdy, przeważnie czystą. Lubił eksportową. A tego dnia tośmy się zmówili, poszli najpierw na piwo, później doszedł do nas taki jeden Krzysiek, no i po prostu rozmawialiśmy przy picciu. Nic szczególnego takiego nie było. Wszystko dlatego, że Artek był honorowy i lubił mieć wszystko w najlepszym porządku.*

Pytam obu panów — nie wprost, ale nieco okrężnie, co sądzą o postępku kolegi, dzięki któremu znalazł się on w więzieniu. Twarze moich rozmówców twardnieją.

Po wódce nie każdy człowiek jest śpiący. A jak ktoś wypije więcej, to jak ktoś mu drogę zajdzie nie będzie stał. Każdy mężczyzna by się tak zachował.

Sąsiedzka sprawa

W prokuraturze powiatowej zapoznaję się z aktami śledztwa. M.in. oglądam zdjęcia trupa: wylewy krwawe na piersiach i na głowie. Od kopnięcia butem — wypłynęło oko. Czytam sprawozdanie z wyników sekcji zwłok. Okazuje się, że gdyby zabity nie był — podobnie jak jego zabójca — pijany, mógłby uratować się od śmierci. „Denat żył jeszcze ok. 2 godzin leżąc na plecach, ale nie mogąc się przewrócić. Krew spływająca do jamy ustnej krzepnąc w przetyku i tchawicy spowodowała śmierć przez uduszenie”... Denat nie mógł się przewrócić, był zbyt pijany.

Prokurator jest zdania, że zbrodnia którą się interesuję, nie była niczym nadzwyczajnym. Z profesjonalną obojętnością człowieka, który ma do czynienia na co dzień z pijacko-chuligańską obyczajowością obwarzanka podstołecznych miasteczek i osiedli — sypie jak z rękawa licznymi przykładami podobnych przypadków, które różniły się — jak mówi — tylko mniejszą siłą uderzenia lub mniejszą precyzją wymierzonych ciosów. U źródła wszystkich spraw — wódka. Nie jednorazowe „zamroczenie alkoholem”, ale nałóg, czy raczej obyczaj picia, stanowiący wyróżnik *p r a w d z i w e g o m ę z c z y z n y*.

Idę tropem adresów podanych mi w prokuraturze, ciekaw nie tyle samych kryminalnych zdarzeń, ile ich obyczajowej genezy.

Najpierw trafiam na rozległe, barakowe osiedlisko, tuż za płotem wielkich zakładów przemysłowych, będących chlubą podwarszawskiego regionu. W bloku między drewnianymi ścianami baraków bawią się dzieci, starsi wiejskim sposobem przysiedli na murkach i betonowych schodach, całkowicie plotkom miejscowym oddani. W nagłym odruchu nie pytam o osoby, których adres mam w kieszeni, ale o to, gdzie można dostać wódkę. Mała, dziesięcioletnia co najwyżej dziewczynka bezbłędnie wskazuje drogę, niestety „cioci K.” nie ma, drzwi zamknięte; muszę się zadowolić obejrzeniem przez zapyziałą szybę trzech pustych, półlitrowych butelek po „czystej” stojących na parapecie okiennym. Czyżby w celu reklamy? Chyba tak, bowiem tutejsza „ciocia”, tak jak większość „meliniar”, nie pędzi wódki, korzystając z niskiej ceny „czerwonej” kupuje ją w sklepie monopolowym półhurtem, aby potem odsprzedać w cenie winiaku.

Rozglądam się dokoła. Smutny, barakowy płaski pejzaż pod plątaniem drutów wysokiego napięcia rozpiętych na betonowych słupach jak wieże. To tutaj, w jednym z tych baraków mieszkał z liczną rodziną (wszystkie rodziny są tu liczne) młody człowiek, uczeń szkoły zawodowej. Uczył się nawet nieźle, nieszczęście w tym, że przyjaźnie miał nie tyle ze szkoły, ile z sąsiedztwa. No i zdarzyło się, że któregoś dnia po wypiciu z kolegami pół litra wódki i dwu butelek wina zaczął nieznajomego przechodnia na ulicy: *Daj pan Sporty — a jak nie to piąta! Przechodzień odmówił* (był niepalący), to i spotkała go kara.

Głównym świadkiem oskarżenia w procesie, który zakończył się wyrokiem: 2 lata więzienia, była sprzedawczyni z małego sklepiku usytuowanego nie opodal barakowego osiedla. Poruszona poczuciem ważności, którą dzięki przypadkowi zyskała, tak referuje wydarzenie: *Nie mając klientów w sklepie obserwowałam jezdnię; patrzę, idzie dwóch — U. i M., a za chwilę widzę, że już się na mojej siatce od ogrodu z kimś trzecim szamocą. Gdy wstałam, zorientowałam się, że to nie jest takie szamotanie się, albo dowcipy. Tego trzeciego U. walił po głowie, on trzymał oczy zakryte dłońmi, a po jego dłoniach ciekła krew. Wyskoczyłam bez namysłu, wzięłam poszkodowanego do sklepu, który zaczął wycierać sobie krew chusteczką mówiąc do U.: „Ty jesteś mocny i myślisz, że my się nie znamy, ale my się jeszcze poznamy”. Na co U. postąpił krok wprzód i powiedział: „Co, jeszcze ci mało, chcesz, to ci dołożę”.*

Zwyczajna, sąsiedzka sprawa — mówi sklepowa. Tak zwyczajna, jak zwyczajne jest picie będące podstawą sąsiedzkich przyjaźni. Takich jak przyjaźń między M. i U. lub przyjaźń między

pięcioma innymi chłopakami z sąsiedniej dzielnicy zwanej Żbików, od której to nazwy wywodzi się nazwa baru „Żbik” będącego centrum miejscowego życia towarzyskiego.

Przy piwie fajnie

Żbików to zbiorowisko tandetnych małych domków, małych niby to kamieniczek lub zgoła bud drewnianych, kleconych byle jak. W Żbikowie wszyscy się znają a grupy przyjaciół łatwo określić w zależności od tego, na jakim rogu czy przed jaką budką z piwem wystają. Tych pięciu, których adresy otrzymałem z prokuratury powiatowej i zdążyłem być nawet na ich procesie (część zeznawała z tzw. wolnej stopy) — zwyczajowe, przyjacielskie picie doprowadziło na ławę oskarżonych. Chociaż nie popełnili żadnych brutalnych czynów, lecz znaleźli się w magicznym kręgu alkoholowych potrzeb: żeby pić — kradli, żeby kraść — pili (przed kradzieżą dla dodania sobie odwagi, po kradzieży — żeby uczcić udaną imprezę). Ich kradzieże nie były wielkimi skokami. Kradli jak żyli: co popadło, w najbliższym sobie kręgu, od domów własnych poczynając.

Mówią o swoich sprawach i sprawkach bez żadnej emocji w głosie, tonem rzeczowo-informacyjnym; czasem tylko w głębokim tle ich relacji przewija się cień pobłażliwej wesołej ironii pod adresem pytającego reportera: po co te pytania, kiedy wszystko jest takie proste, oczywiste? Dla reportera ważna jest jednak ta właśnie oczywistość, w której przecież nie znaleźli się od razu: najpierw byli „zwykłymi” chłopakami, uczyli się, pracowali. Jaki to mus, jaki mechanizm zadziałał?

Spotykaliśmy się co dzień no i się piło po prostu.

Czasem były pieniądze, czasem nie było. Jeden drugiemu proponował: mam dychę, daj drugą, zrobimy po dychaczu.

Jak człowiek jest młody, nie ma pieniędzy, a chce wypić, to napije się trochę wódki i doprawia piwem; wychyla się ćwiartkę a wygląda się na litra. Ale są tacy co wolą mieszać wino z piwem. Tanie z tanim, a wychodzi jakby się wypito nie wiem ile eksportowej. Tylko że często ma się po tym kaca, głowę do ziemi ciągnie.

Jak to było z pierwszą kradzieżą nie pamiętam. To się stało tak jakoś niewidocznie. Spotkaliśmy się, mówimy, że warto by coś wypić, ktoś powiedział, że nie ma pieniędzy, a ktoś, że przecież dużo nie potrzeba, a ktoś, że trzeba normalnie coś na tę wódkę skotować.

... pamiętam. Tego dnia wyszedłem z domu, spotkałem dwu kumpi, przeszliśmy do baru „Żbik”, wypiliśmy pół litra, no i potem jeszcze trochę pochodziliśmy, kupiliśmy w sklepie państwowym pół litra czystej, wypiliśmy na rogu Szkolnej i 1-szego Maja, potem jeszcze posiedzieliśmy i porozmawialiśmy, a potem znów piliśmy, a ile to nie pamiętam, ile piłem i co piłem nie pamiętam, bo byłem pijany.

No, wychodziliśmy na Żbików, stawali pod kioskiem i fartowali: kto idzie. — Może będzie miał na wino, a jak nie to na piwo, przy piwie fajnie stoi się i gada i tak leci czas, że ani zauważysz, żeby tylko się zaprawić, to potem jakoś inaczej leci.

Jak się nie ma pieniędzy to i tak przez dzień mnóstwo piwa się wypije*.

Pijanemu darują wszystko

Nie dotarłem pod wszystkie adresy uzyskane w prokuraturze. Brak czasu i przekonanie, że to co usłyszę będzie się powtarzało jak refren tej samej piosenki. Bo coś innego ponad to, co usłyszałem, mógł mi powiedzieć 18-letni chłopak, który pod budką z piwem zaczął starszego jegomościa, aby ten postawił mu kufelka, a na odmowną odpowiedź zareagował brutalnym pobiciem. Albo inny młody człowiek, który opanowany istnym amokiem wybiegł pijany na ulicę z nożem w rękę i zranił nim w brzuch pierwszego napotkanego przechodnia.

Matka — zrozpaczona, biedna kobieta nie rozumie, dlaczego syn znalazł się w więzieniu, nie rozumie, jak można *skaleczyć tak siebie, bez niczego*. Ale tak właśnie, jako „czyn przestępczy dokonany bez istotnego powodu” — określa chuligański czyn definicja prawna. Matka nie rozumie tego i dodaje, że zapewne ci, co zobaczyli jej syna biegnącego z nożem w ręce po ulicy *śmiali się, albo obrażali go, albo uwagi robili, a wiadomo, że z pijanych śmiać się i obrażać nie wolno*. Matka tylko to sobie zarzuca, że *dużo wódki w kuchni stało, miała robotę to i na syna uważać nie mogła, wszedł i wziął i wypił*. A w ogóle to wszystkiemu *telewizja winna, bo za dużo w niej pokazuje*.

W prokuraturze powiatowej ani w MO nie ma statystyk, ilu pijanych wychodzi na ulice miasteczek i osiedli podwarszawskich z nożem w rękę. Ale są statystyki wskazujące, że 40 % bójek ulicznych kończących się „poważnym naruszeniem ciała” zakończyło się przy pomocy noża lub podobnych narzędzi agresji (meta-

* Wszystkie wypowiedzi bohaterów tego reportażu są dosłowne (spisane z taśmy magnetofonowej) — S.K.

lowa rurka, kastet). Wódka wzmaga uczucie agresji — wiadomo. Z danych prokuratury podwarszawskiej wynika również, że większość „agresorów” to młodzi ludzie, nigdzie nie pracujący (w sporej liczbie — uczniowie).

W rozmowach, które prowadziłem w środowisku młodych pijaków-przestępców, nie zabrakło, niestety, głosów matek. Niestety — bo matki najboleśniej odczuły pijackie wyczyny swoich synów. Niestety — bo miłość matczyna jest poza i ponad aktami zawierającymi obiektywny zapis pijacko-chuligańskich wyczynów. Niestety — „bo dziecko zawsze dzieckiem zostanie”.

Matki mówiły mi więc zawsze jak dobrzy byli ich synowie. W jednym tylko były na ogół jednakowo potępiające: *wszystkiemu koledzy winni*. W tym jednym się nie myliły.

Skąd miałby pieniądze? — pytała retorycznie jedna matka, zaś druga zapewniała: *musieli się z syna śmiać, bo niemożliwe, żeby...* itd. A reporter, nie chcąc ranić starych kobiet zamilczał, że rozmawiał już z ich synami, że od jednego usłyszał: *U nas jak chce się dostać 10 złotych na obiad, to się nie dostanie, ale jak chce się dostać na kielicha to zawsze*. A od drugiego dostał zapewnienie: *U nas pijanemu ludzie darują wszystko to, co nie darowaliby trzeźwemu*.

Stąd można wywieść paradoksalną, ale niezbyt daleką od prawdy opinię: atmosfera strachu przed pijanymi chuliganami, która ogarnia co pewien czas rejon miasteczek i osiedli podstołecznych styka się a nawet łączy w jedno z atmosferą pobłażania. Z powszechną dostępnością alkoholu nawet dla tych co „nie mają pieniędzy”, a którzy organizują składki po dychaczu, składki uzasadnione tym bardziej, że swoisty pijacki bon-ton potępia na ogół samotnicze picie.



Proces Artura J., który dla zachowania wśród kumpi od kieliszka opinii „człowieka honoru” oraz „prawdziwego mężczyzny” zabił na ulicy człowieka — zakończył się wydaniem surowego wyroku: Dożywocie.

W komendzie powiatowej MO i w prokuraturze powiadają, że mieszkańcy tutejsi spodziewali się jeszcze surowszej kary: śmierci. Śmierć za śmierć — uczy ludowe, tradycyjne odczucie sprawiedliwości.

W prokuraturze powiatowej i w komendzie MO wiedzą jednak, że najsurowsze nawet kary nie zmieniają na ogół nic tam, gdzie w grę wchodzi choroby społeczne przerastające w patologię alkoholizmu i w zbrodnię. Komendant MO — potężny chłop, na wygląd wcale nie pedagog — długo tłumaczy reporterowi

zasady pedagogiki społecznej, profilaktyki przestępczości, wylicza dane z przeprowadzonych przez milicję akcji wychowawczych itp. Ale przy jednym rozkłada bezradnie ręce. Przy statystyce tzw. spożycia alkoholu.

Tu już my nic nie możemy zrobić — powiada. A potem idzie z reporterem na kawę, przy której — oczywiście — pozwalamy sobie na mały winiaczek. Po małym winiaczku — wiadomo — nie ma się kaca.

Stefan KOZICKI

Polityka, 11 października 1969

KUBA DO JAKUBA

*„Ujrzymy, że człek
nawet żyjąc bez przygany
Szczęśliwy tylko we śnie, lub kiedy pijany”.*

Motto tych notatek pochodzi z „Polskiego Słownika Pijackiego” Tuwima, dziełka pięknie oprawnego i ilustrowanego (Topolski) wydanego w 1938 roku. „Słownik” Tuwima zawiera 1262 hasła. Gdyby dziś podjął ktoś podobną inicjatywę (a może by tak drugie wydanie, rozszerzone? to całkiem poważna propozycja!) słownik pijacki musiałby znacznie powiększyć swą objętość. Co najmniej o drugie tyle.

Język pijacki składa się nie tylko z poszczególnych słów, pojęć i powiedzonek; można formułować w nim całe zdania, prowadzić towarzyską rozmowę, kłócić się, załatwiać interesy. I to na różnych szczeblach drabiny społecznej. Z tym, że nieuchronnie używanie słów ze słownika pijackiego ciągnąć będzie rozmowę w dół; nawet mimo zewnętrznej lekkości taka rozmowa nieuchronnie stawać się musi czymś płaskim, nie tyle dzięki wulgarności poszczególnych zwrotów, ile dzięki dosłowności. Słownictwo pijackie nie posługuje się bowiem pojęciami abstrakcyjnymi; jest nazbyt dosłowne, nawet wówczas, kiedy posługuje się rzekomą metaforą.

Boy-Żeleński zauważył, że mowa polska jest — w przeciwieństwie do języka francuskiego na przykład — niezwykle uboga w zwroty określające miłość i to co się z nią wiąże. Inaczej ze słowotwórstwem związanym z piciem. W przeciwieństwie do słownictwa miłosnego rozwija się nam nad wyraz pięknie. Tuwim na określenie „osobnika w stanie upojenia alkoholowego” (specjalnie używam tu nomenklatury prawno-urzędowej) wymienia aż 38 określeń: na amen, na anioła, jak bąk, jak bela, na cacy, podchmielony, dryżnięty, pijany w dechę, pod gazem, podgazo-

wany, kaczkę zagania, w pestkę, w pień, w parasol, poproszony, podweselony, pijany w sztok, uperfumowany, urznięty, strąbiony, wczorajszy, zapity, zryty, zaryty, zawieruszony, zlabowany, zamroczony, zmonopolizowany itd. Tuwimowskie „aż” z roku 1938, każdy bywalec z roku 1969 zamieni niechybnie na „zaledwie”. Bo przybyło nam w tym względzie przez trzydziestolecie wiele nadzwyczaj trafnych określeń związanych z wprowadzeniem nowych technologii i określeń do produkcji (wszystkie pochodne od bimbru), nowego systemu działania gastronomii i tzw. żywienia zbiorowego (np. od hasła „klient zawsze ma rację” — pijany klient jako „ten co ma racji ciut za dużo”) czy wreszcie ogólnoludzkiego czy nawet kosmicznego postępu (pijackie „wejść w orbitę”)¹.

*„Pary wyciągnęły się w korowód i sztywno
trochę jak kukielki podrygując, i przegina-
jąc się sunęły jedna za drugą, jedna-
kowe w ruchach, zapatrzone przed siebie
szklanymi, niewidzącymi oczami”.*

(J. Andrzejewski
„Popiół i diament” 1950 r.)

O ileż uboższa byłaby polska literatura bez świetnych scen pijackich. Nie myślę jedynie o klasyce z lat dawnych zalecanej uczniom szkolnym („Pan Tadeusz”, „Myszeida”) ale przede wszystkim o literaturze współczesnej. Czy „Popiół i diament” byłby sobą bez świetnej sceny pijanego poloneza?

Bez przesady powiedzieć można, że nasi czołowi pisarze współcześni wlewają alkohol w gardła swych bohaterów, ilekroć pragną zastosować szeroką przenośnię i metaforę; ilekroć pragną oderwać się od naturalistycznej dosłowności. Zupełnie inaczej niż w życiu i potocznym słownictwie pijackim bywa, ale też i nie bez obiektywnego, naukowego uzasadnienia, jako że alkohol i alkoholizm w myśli definicji psychologów, socjologów i neurologów (długo by tak można jeszcze wymieniać specjalności), bierze się m.in. z chęci ucieczki przed trudnościami realnego życia, jest ucieczką od odpowiedzialności albo w świat wulgarnych skrótów myślowych, albo w świat mglistych zwid i wyobrażeniowej fikcji.

Jak wykazują statystyki pije się wszędzie; w niektórych „rozwinętych krajach kapitalistycznych” ilość alkoholu na głowę mieszkańca rocznie wcale nie ustępuje naszym wskaźnikom. Pije się wszędzie, ale też wszędzie pije się i n a c z e j.

1. Czytelników znających więcej podobnych określeń autor bardzo prosi o listy.

Nasz obyczaj pijacki jest polski w wielu płaszczyznach. W płaszczyźnie historycznej, psychologicznej, ekonomicznej, folklorystycznej. Weźmy dla przykładu folklor na styku z tradycją historyczną. Obserwowałem ostatnio kilkakrotnie popijawy czy, nowocześnie mówiąc, ubawy, bardzo ale to bardzo nowoczesnej młodzieży. I co powiecie? Ci, którzy ponoć nie szanują starszych i tradycję ułańską mają za nic, natychmiast po przekroczeniu określonej ilości kieliszków na głowę, zaczynali popisy wokalne z repertuarem tych samych, wypisz wymaluj pieśni, które śpiewałem i ja, i moi czterdzieści kilka lat liczący równolatki, lat trzydzieści parę i dwadzieścia parę temu, za czasów bohater-skich i pryncypialnych.

Anglicy piją po trochu ale stale. Polacy piją rzadziej, ale za to do dechy, do upadłego, do upojenia, do przytupu, do absurdu... Przepraszam. Rozpędziłem się zbyt. Za to ostatnie słowo — epitet — sam sobie mógłbym wytoczyć proces o zniesławienie.

W Polsce nie pije się absurdalnie, w znaczeniu: bezcelowo. Absurdalne picie w naszym polskim znaczeniu, to picie w rodzaju tego, które uprawiają Francuzi. Picie dla smaku wina, dla przyjemności, którą odczuwa podniebienie przy zetknięciu się z Chateaufortem, Beaujolais, czy nawet ze zwykłym vin de table, jeśli wiadomo z jakich winnic i z jakiego roku pochodzi. Gdzieś tam mogą uprawiać picie dla pijaństwa, u nas nie ma miejsca na taki formalizm — jak za czasów socrealizmu się mawiało — na taki absurd nikt u nas nie idzie; my pijemy po to, aby osiągnąć cel konkretny, leżący poza samą czynnością picia; picie jest u nas tylko środkiem do osiągnięcia celu. Świadczą o tym chociażby reklamy naszych alkoholi. Nie widziałem nigdy reklamy polskiej wódki (czy w pismach wydawanych przez nasze centrale handlowe, czy w ogłoszeniach rozproszonych po prasie zagranicznej, czy wreszcie na reklamowych plakietkach), która by zachwalała, bo ja wiem? na przykład świetny smak czystej wyborowej. Znacznie częściej reklama odwołuje się do uczuć niż do smaku, czego dowodem plakietki adresowane wyraźnie pod emigrację albo pod etnograficzny stereotyp, a przedstawiające roztańczonych krakowiaków, jeźdźców na spienionych koniach czy bardzo słowiańskie w urodzie długo- i blondkose kociaki.

Tylko stan uczuć, który osiąga się dzięki picu jest u nas ważny. Tylko on się liczy. Polski pijak z prawdziwego zdarzenia o k r o p n i e smaku wódki nie lubi. Ileż wyrazu mają te skrzywione niesmakami po wychyleniu pierwszej sety gęby. Czy — w zależności od środowiska — te poplukiwania na boki z demonstacyjnym niesmakami.

Ostatnio w dobrym tonie jest wyrzekać podczas picia na

wódkę: — Ależ ona ohydna!... — Fakt. Okropnie się w ostatnich latach popsowała. — Ciekawym, czy na eksport też dają taki niedofiltrowany fuzel?... — Tfu. Prawdziwa trucizna. Trzeba będzie przestać pić... — No, to nalej następną kolejkę.

*„Pijany z trzeźwym bardzo różno chodzą;
w jednej gospodzie nigdy się nie zgodzą”.*

(Mikołaj Rej 1505—1569)

W reporterce, wiadomo, nie wylewa się za kołnierz. Chlubne wyjątki w postaci uroczego antyalkoholika Janusza Rolickiego potwierdzają regułę. Redaktor Rolicki ma długie trzepoczące rzęsy i chłopięcą twarz kleryka tuż przed święceniami. Ta jego święta — na wygląd — naiwność pomaga w nawiązaniu szczerego kontaktu z rozmówcami. Ale reporterzy nie mający takiego jak on wyglądu — piją. Nie dla picia. Dla interesu. Dla sprawy.

Alkohol osłabia hamulce u rozmówcy, stwarza atmosferę szczerości, gasi czerwone światło: uwaga! to do druku, miej się na baczności!, wyzwala odwagę krytyki. Po trzecim kieliszku można z łatwością usłyszeć, co wierny pracownik myśli o swoim przełożonym, a wierny wyznawca naukowego światopoglądu myśli o Panu Bogu, diable i braku masła.

W sukurs przychodzi reporterom tradycja gościnności wciąż żywa w naszym kraju, szczególnie zaś na tzw. (tak zwanej, bo to podobno brzydkie słowo) prowincji. Reporter na prowincji podobnie jak rewizor, albo oficjalna delegacja witany jest nie tyle chlebem i solą ile kieliszkiem winiaku. Mniej więcej od 1956 roku obserwuję, że stopa i kultura na tyle się nam podniosła, że nawet w dziurach zabitych deskami obowiązuje dla gości kółkowy, wytrawny szczebel.

Wchodzę do gabinetu: — Przyszedłem, żeby napisać o...

Dyrektor (sekretarz, przewodniczący, niepotrzebne skreślić): — Może kieliszek.

Ja: — Ale to nie będzie miało wpływu na tekst... (tak dowcipuję, a przynajmniej tak mi się wydaje).

Dyrektor: — Po co zaraz mówić o tekście. Dziś taki ziąb (gorąco, wiatr — niepotrzebne skreślić).

Niedawno jedną z moich reporterskich wizyt „w powiecie” zapowiedział telefon ze zwierzchniej, wojewódzkiej instancji. Byłem obecny przy rozmowie.

— Pytają co lubicie — zwrócono się do mnie w pewnej chwili zaślaniając ręką tubkę. Wiedziałem o co chodzi. Nie miałem ochoty. Zresztą temat zapowiadał się taki więcej panegirycz-

ny to i dochodzenia prawdy w warunkach nieskrępowanej szczerości nie przewidywałem. Powiedziałem więc na przekór, ale zgodnie z prawdą: — Lubie zbierać grzyby.

Na miejscu, w odpowiednim gabinecie oczekiwał mnie już dobrany kolektyw kierowników powiatowych instancji. Po krótkim referacie na temat zbiorów czterech zbóż i wysokości plonów z hektara oraz inwestycji materiałowych, grono skierowało się wraz ze mną do służbowych wozów czekających przed gmachem. Odbył się wyjazd na grzyby. Zobaczyłem tylko skraj lasu. — No, to pod te grzyby, redaktorze! — zagaili gospodarze terenu.

*„Nie jest prze podpisać sobie mądrym i uczonym.
Wszak Bakchus Minerwie był bratem rodzonym”.*

(Wespazjan Kochowski)

„O — taką sprawę to trzeba przez bufet przeprowadzić”. Panuje przekonanie, że o ile z jednej strony picie jest ucieczką przed trudnościami życia, z drugiej strony wiele interesów ubić, przeprowadzić, załatwić można przy wódce. „Panuje przekonanie”. Po co takie ostrożne zwroty, jeśli rzeczywiście tak się sprawy przez bufet mają. Przecież nigdzie indziej ale w Polsce współczesnej powstał zawód komiwojażera — zaopatrzeniowca, który jeździ po kraju w poszukiwaniu deficytowych surowców i części, zaopatrzony nie tylko w delegację i pełnomocnictwa, ale również w odpowiedni zapas butelek koniaku. To przecież u nas, nie gdzie indziej, możliwy był proces przeciwko dyrektorowi dużego zakładu przemysłowego, który to dyrektor „prowadził niemoralny tryb życia”, wyprawiał libacje na rachunek zakładu, ale też i dla jego dobra, bowiem to co nie udawało się innym (zatwierdzenie odpowiednich norm, wprowadzenie udoskonaleń inwestycyjnych, zwiększenie funduszu osobowego itp.) jemu udawało się świetnie, zakład prosperował, załoga sobie zarobki chwaliła...

Chyba już z 10 lat jowialny i obrotny pan dyrektor Dedo — złodziej na wielką skalę ze spółdzielni garbarskiej w Radomiu — siedzi w Strzelcach Opolskich. Dyrektor Dedo lubił popić. Większość swoich czystych i nieczystych interesów przy wystawnej galerii win i wódek załatwiał. Na rozprawie sądowej prokurator wystawnemu trybowi życia dyrektora Dedo poświęcił chyba ze trzy akapity pełne wykrzykników oburzenia i wstrętu. Już przeszło 10 lat minęło od chwili, kiedy Dedo skazany został na dożywocie, a po Radomiu wciąż krążą liryczne opowieści o jego „geście”, zaś niektórzy współpracownicy jego spółdzielni (dziś

przechrzczonej na „Świt socjalizmu” czy coś w tym rodzaju) wciąż wzdychają: — To był dyrektor. To była mocna głowa. On wszystko potrafił załatwić. Za niego to było dobrze.

Chętnie ewentualnym oponentom przyznam rację, jeśli udowodnią, że z tym załatwianiem przez bufet wykazuję pewną przesadę. Warto jednak zastanowić się, nawet wtedy, jeśli uznamy, że powszechna opinia jest przesadzona, skąd się ona bierze? Czy tylko z obserwowania restauracji i barów? Czy również z trybu organizowania niektórych uroczystości oficjalnych?

Co pewien czas organizowane są np. tzw. sesje wyjazdowe dziennikarzy. Kilkadziesiąt czy kilkanaście osób zawodowo piszących, reprezentujących różne redakcje, wyjeżdża na pewien okres w określony rejon, przeważnie na zaproszenie i na koszt owego rejonu gospodarzy. Cel: „zapoznanie się z życiem i problematyką...”. Od dłuższego już czasu w owych wyjazdach nie uczestniczę. Po pierwsze — jak Zagłoba — tłoku nie lubię. Po drugie — jako programowy antybiurokrata — nie lubię powielania przez kalkę. Obserwuję jednakże, że wytworzyła się, przynajmniej w warszawskich redakcjach, grupa zawodowych sesyjczyków. Jeżdżą ciągle ci sami. Raz do węgla, drugi raz do PGR-ów, trzeci raz w Krainę Wielkich Jezior. Przedstawicielom tej grupy nie tyle chodzi o to, co zobaczą, czy co o tym zobaczeniu ewentualnie napiszą. Urzeka ich sam nastrój, sam program takich wyjazdów. Od śniadania w przydrożnej knajpce GS do obiadu w restauracji kategorii „S” i kolacji w uroczym campingu na skraju jeziora, skąd roztacza się przepiękny widok na winiak z trzema gwiazdkami jak w Baedekerze. Od śniadania do kolacji te same problemy; czy znów będzie śledź w śmietanie i jarzębiak, czy też może kuropatwy i czysta.

Pamiętam jeden wyjazd — od grochówki po żołniersku na leśnym biwaku, po raki w koperku w altanie. Zjadłszy raki długo dyskutowaliśmy o koledze z prasy katolickiej i takiej jednej blondynie, kelnerce, która... To był regionalny problem! A co mówił przy okazji wieceprzewodniczący wojewódzkiej rady? Zaraz... zaraz. E, tam.

*„Ziemia deszcz pije, ziemię drzewa piją
Z rzek morze, z morza wszystkie gwiazdy żyją”.
„Na nas nie wiem co ludzie upatrzeli,
Dziwno im, żeśmy się trochę napili”.*

(Jan Kochanowski)

Dużą żywotnością cieszą się stereotypy społeczne. Na przykład jeśli chodzi o grupy zawodowe wciąż, jak za czasów dobrotliwego Prusa, felietoniści głoszą, że najbardziej lubią pić murarze, szew-

cy i aptekarze. Jak to jest naprawdę? Co się tu zmieniło? „Pijany jak szewc” — czy to powiedzonko w dobre, kiedy szewstwo podupadło nie mogąc wytrzymać fabrycznej konkurencji nadal jest aktualne? Chyba nie. Aptekarze rzeczywiście, jak w XIX wieku nadal są mistrzami w przyrządzaniu nalewek. Tylko teraz dla innej przyczyny: łatwego dostępu do k a z i o n n e g o spirytusu. Nadal na budowach można być świadkiem pouczających dialogów w rodzaju: murarz z rusztowania na pierwszym piętrze, woła do kolegi na szóstym: — Te, Antek, która godzina? I słyszy: — Wiesz, całkiem dobra myśl, ja też bym się już napił! Ale czy te rozmówki są typowe? Statystycznie przeciętne? I jak rzecz się ma z nowymi, dawniej nie spotykanymi zawodami?

Pytania te nie znajdują odpowiedzi, bo teoretycy i praktycy od alkoholizmu, rzadko posługują się przy swych badaniach metodami socjologicznymi. Zjawisko alkoholizmu — chociaż nazywa się go chorobą społeczną — jest badane na ogół jako jednostkowe „ciekawe przypadki”, albo dla odmiany nazbyt ogólnie, jako „plaga ludzkości” na przykład, bez zajmowania się obyczajowością pijacką wynikłą ze zróżnicowania zawodowego czy regionalnego.

Niegdyś nawet dzieciaki w wieku szkolnym wykształcone na literaturze przygodowej (korsarski rum) wiedziały, że marynarze lubią sobie popijać. Uważano też, że szczególną fantazją wyróżniają się ułani („więc pijmy wino, szwoleżerowie... w rozbitym szkłe”). Szwoleżerów już nie ma z wyjątkiem niedobitków w postaci rotmistrza Jacka Stwory z krakowskiej rozgłośni RP. Marynarze są, ale gdzie im do dawnej przedwojennej opinii! W opinii społecznej miejsce szwoleżerów i marynarzy zajęli górnicy. Bardzo to porządny i solidny zawód, daję słowo, nic przeciwko górnikom jako takim nie mam, ale olbrzymia ilość anegdot krążących np. na temat górniczych wycieczek ze Śląska w Tatry — to t a n k o w a n i e bez wysiadania z autokaru, bo Giewont i przez okno widać — daje co nieco do myślenia. Odwołać się tu do żadnych statystyk nie można, tylko do spostrzeżeń. Dwukrotnie obserwowałem święto „Barburki”. Raz byłem świadkiem, jak słynny w okresie błędów i wypaczeń stachanowiec — rębacz przodowy M. spędzał wakacje. Wyjechał w góry wraz ze specjalnie wynajętym na ten okres harmonistą i skrzypkiem; chodzili z nim wszędzie i po Krupówkach, i po turniach i grali, a grali; skrzypek zaś, oczywiście, obok swego instrument nosił w pokrowcu odpowiednią ilość butelek i zakąski. Obserwowałem, byłem świadkiem — ale do żadnych uogólniających wniosków nie doszedłem. Może wzięto się to przesunięcie akcentów stąd, że lubiliśmy zawsze i nadal lubimy przydawać cechy wódczanej fantazji

grupom najbardziej charakterystycznym dla danej epoki, najbardziej w danym okresie barwnym, bohaterskim? Może dlatego bohaterów od szabel i amarantów zastąpili sztandarowi bohaterowie pracy, wykonujący swój zawód w niezwykłych warunkach, pod ziemią? Adresując te znaki zapytania do socjologów (dla tego kto zajmie się naukowo geografią picia — dyplom albo butelka jarzębiaku do wyboru), pozwolę sobie znów wrócić do osobistych spostrzeżeń, tym razem dotyczących tematu: jak postulat stosowania się do zasad tzw. moralności socjalistycznej wpływa na obyczajowość określonych zawodowych środowisk.

Zawodowi rewolucjoniści bardzo się muszą pilnować, bo bywa, że opinie o nadmiernym stosowaniu przez nich używek alkoholowych może być wystarczającym powodem nie tylko do nagany, ale nawet do zdjecia. Stąd sekretarze instancji partyjnych (mam tu na myśli głównie znany mi najlepiej „szczebel powiatu”) z reguły nie uczęszczają do lokali gastronomicznych. Z reguły nie piją też w obcym gronie, przy świadkach.

Do przeszłości na szczęście należą naiwne obrazki z umoralniających zebrań partyjnych jak znany dialog między potężnym chłopiskiem a rozlazłą ciotką rewolucji oskarżającą go słowami: — Towarzysz pije, pije, pije — i co p o t e m ?... aby usłyszeć: — Potem?... Potem, zwyczajnie — z a k ą s z a m.

W ubiegłym roku spędzałem wakacje w domu wypoczynkowym „Prasy” wraz z dwoma zawodowymi kierowcami. Inni chodzili na plażę, na wycieczki, a oni furt pili i pili. To rozumiem. Musieli się napić na rok z góry. Takich kierowców się nie boję, są nietypowi, nie pasują do statystyk MO świadczących, że ok. 60 % wypadków drogowych (r. 1968) ma u swego podłoża alkohol we krwi siedzących za kierownicą. Pijących kierowców nie boję się też dlatego, że trudno ich rozróżnić na ulicy. Inaczej już z kolejarzami. Pijany kolejarz zawsze budzi we mnie niepokój (dużo podróżuję), a szczególnie niepokój na widok zagarniającego kaczki jegomościa w granatowym mundurze odczuwam od czasu, kiedy opisywałem groźną katastrofę kolejową spowodowaną przez dwóch pijanych kolejarzy. Nie popełnili oni żadnego „błędu w sztuce” w rodzaju nie dostrzeżenia semafora. Wręcz przeciwnie. Bardzo fachowo skrzyżowali na torach dwie luzem leżące szyny tuż przed godziną nadejścia pospiesznego pociągu relacji Warszawa-Zakopane, a potem siedli na niedalekim wzgórku i czekali aż nastąpi — jak to sformułował jeden z nich na rozprawie sądowej — wielki huk. Jeden ze sprawców owego zbrodniczego wykoślenia pełnił ważną funkcję kierownika pociągu. Obaj byli alkoholikami znanymi w środowisku zawodowym. O ich alkoholizmie wiedzieli przełożeni. Wiedzieli znacz-

nie wcześniej niż nastąpiła spowodowana przez ich podwładnych katastrofa... I co? I nic.

Typową reakcją typowego Polaka na widok nazbyt pijanego rodaka jest obojętność lub strach, który każe leżących na chodniku pijaków omijać szerokim łukiem. Jeśli ktoś upada na ulicy, pierwszą myślą jest: ale się zaprawił! W ten sposób o parę kroków od swego domu zmarł na zawał serca znany grafik Trepkowski. Upadł, leżał, umierał — obchodzono go szerokim łukiem. Rok temu gazety warszawskie opisywały sprawę nader sensacyjną: karetka odwozi leżącego na ulicy przechodnia do izby wytrzeźwień; lekarz wyczuwszy alkohol zaniechał dalszych badań. Pijany miał jednak uraz mózgu.

Zmarł. Gdyby skierowano go do szpitala — żyłby w najlepsze.

Przy okazji realizowania telewizyjnego filmu o pijakach z tzw. marginesu społecznego napatrzyłem się wiele na karetki. I te pogotowia i te milicyjne. Może dlatego, że widziałem to po raz pierwszy, że nie byłem jeszcze tak jak pracownicy pogotowia i milicji opatrzeni — z niejakim zdumieniem obserwowałem nadzwyczajną sprawność obchodzenia się z pijakami. Leży taki w milicyjnej nysce, jeden ruch, głowa aż podskakuje na metalowych wiązaniach podłogi, i za mgnienie petent żółbka jest na ziemi. Połowę nakręconej taśmy trzeba więc było wyrzucić. Zresztą film miał być taki bardziej ponury, a prowadzący pijaków milicjanci nie mogli się powstrzymać od śmiechu, w najlepszym razie dyskretnie uśmiechali się do kamery.

*„Pódmżyż do szynku: jaki nierząd w mierze.
Bez ustawy, jako chce, tak za kwartę bierze”.*

(Marian Bielski 1495—1575 r.)

Był czas głoszenia, żeśmy temu wszystkiemu niewinni. Że to inni nas biednych rozpijają. Że najpierw Żydzi — arendarze dworscy, potem kapitaliści, a potem okupant płacący za kontingenty wódką. Wszystkie te teorie były tylko w połowie prawdziwe. I dlatego tym skuteczniej uspokajały. Były zresztą zbieżne z osobistymi doświadczeniami żon i matek, które „swojego”, kiedy późno w noc przychodzi na bani, witają z ubolewaniem, ale i z sercem, wylewając całą złość na odprowadzających kolegów, tych, co oczywiście — rozpijają. Tych, którzy jedynie są winni. Dziś już nie uspokaja się teorią „innych”. Dziś szuka się przyczyn wzrastającego „spożycia alkoholu” w aktualnych układach społecznych i ekonomicznych. Biję się na alarm. Niestety, głównie biję się dobrym słowem, propagandą w rodzaju plakatów i ulotek, które mogą przemówić do walczących antyalkoholików, ale do

nikogo więcej. Nie kto inny, ale znany z nie wylewania za kołnierz dziennikarz — mój kolega — posiada największy w Polsce zbiór antyalkoholowych plakatów i pokój, w którym organizuje przyjęcia, właśnie tymi plakatami jest wyklejony.

Swego czasu Komitet Antyalkoholowy w Krakowie spowodował zarządzenie, mocą którego w lokalach lepszej kategorii zabroniono serwować wódkę w kieliszkach większych niż 25 gram. Nie wiedząc jeszcze o tym, wprost z dworca żegluję ci ja z kolegą — reporterem do restauracji. Zamawiamy po setce i za chwilę patrzymy z niejakim przerażeniem na kelnera dzwigającego tacę pełną kieliszków. Taki się bowiem zwyczaj przyjął w Krakowie od chwili wydania zarządzenia. Rozmieniając większych kieliszków na mniejsze stworzyło od razu iście apokaliptyczne wizje: co drugi restauracyjny stół zastawiony był bez reszty mnóstwem, małych wypróżnionych lub pełnych, 25 gramowych kieliszków. Orgia!

I mówi się, że biurokratyczno-administracyjne działania nie są w mocy kreować nowych obyczajów. Bzdura. Przecież, pomijając pejzaże restauracyjne, nie co innego jak wprowadzenie paragrafu o surowym karaniu mężów, którzy będąc w stanie nietrzeźwym znęcają się nad żonami — kreowało obyczaj, że przezorni mężczyźni specjalnie tuż przed zamierzonym biciem abstynują. — Jakem trzeźwy, to choć sąsiedzi zaalarmują pogotowie jestem w prawie powiedzieć glinie, żeby się odczepił bo to moja, prywatna, domowo-rodzinna sprawa — zapewniał mnie w czasie kręcenia wspomnianego już filmu dla TV pewien spec od alkoholu z Pelcowizny.

„My, pracownicy 'Szanghaju' wzywamy dyrektorów, organizacje partyjne i związkowe oraz ZMS do podjęcia radykalnych decyzji w celu usunięcia z naszych szeregów ludzi zdemoralizowanych. Ze swej strony zapewniamy naszych gości, że nie będziemy tolerować podobnych wypadków, że dołożymy wszelkich wysiłków, aby najlepiej wypełnić nałożone na nas społeczne i gospodarcze zadania”.

(Fragment rezolucji)

Wbrew intencjom ludzi, którzy byli inicjatorami tej rezolucji budzi ona, łagodnie mówiąc, mieszaną uczucia. Rezolucja jest odpowiedzią na głosy krytyki prasowej. Kelnerzy warszawskich restauracji są podobno nieuprzejmi, stąd rezolucja. Ale czy rezolucja mówi o tym, że w milionowej stolicy jest zaledwie ok. 10 lokali, gdzie można zjeść dobry obiad? Bez wódki. Albo o tym, że każdego wieczora przynajmniej połowa kelnerów w warszaw-

skich restauracjach chodzi na miękkich nogach? Że kelnerzy są niejednokrotnie bardziej pijani niż goście?

Rok temu spisałem w jednym z wielonakładowych pism codziennych pobicie klienta przez personel restauracji w „Domu Chłopa”. Wzięto gościa do pokoju kierownika i tam — w mordę. Kopa i w mordę. Takie linczowanie, jest rzeczywiście specjalne i pasuje bez reszty do kategorii specjalnej, która „Domowi Chłopa” przynależy. Wtedy na miejscu znalazła się przypadkiem milicja. Został spisany protokół. Ale nic więcej. I chociaż rok temu wymieniałem drukiem nazwę restauracji, której personel stosował tak specjalne metody wobec gości — nikomu z personelu nie wymierzono nawet nagany. Owszem. Pobity chciał wystąpić na drogę sądową. Nie mógł tego wszakże uczynić. „Prokurator ma prawo wkroczyć wtedy, jeśli zaświadczenie lekarskie stwierdza niezdolność do pracy w okresie ponad dni dwadzieścia jeden. A pan ma tylko tygodniowe zwolnienie” — powiedziano pobitemu.

Z czego wniosek, że jeśli cię biją, pijany Polaku, pamiętaj, aby lepiej podstawiać się bijącym.

*Dokoła chatki
Rosną pierdatki
A dupa goła
Gorzałki woła*

Dla rozeznania naszego rodzimego obyczaju picia znacznie ciekawsze od scenek restauracyjnych „jako takich” wydaje się przesłedzenie jak wiążą się one z tym, co publiczności lubią nazywać „wrzodem protekcjonalizmu na ciele naszego ustroju”. Z mojej reporterskiej praktyki specjalisty tematycznego „od prowincji” wynika, że większość klik czy to z kręgu władz i urzędów czy z kręgu instytucji życia gospodarczego pielęgnuje obyczaj picia dla utrwalenia silnej wewnętrznej więzi. Wspólne picie jest — gwarancją zaufania.

Kilka razy wypadło mi wstrzymać się od picia w warunkach, kiedy wszyscy pozostali nie stronili od kieliszka, a ci, którzy na kieliszek nie mieli ochoty udawali tylko, że piją, opuszczając kolejki. Otóż ile razy demonstracyjnie odmawiałem picia w gronie osób pijących — tyle razy narażałem się na opinię człowieka niepewnego, takiego, który zapewne coś węszy i czułem (a przykre to uczucie), że — zależnie od środowiska — za chwilę awansuję do roli agenta MO albo CIA.

Picie alkoholu rodzi solidarność, która trwa znacznie dłużej niż picie i niewiele ma wspólnego z demonem alkoholizmu, tak,

jak to lubią przedstawiać propagandziści antyalkoholowi. Solidarność ta w całości nie zasługuje na potępienie. Jest dobra lub zła w zależności od celów, które przyświecają tym, co się akurat przy kieliszku zebrali. Trudność czy zgoła niemożność rozróżnienia owych celów jest chyba w naszych warunkach obyczajowych jedną z największych przeszkód na drodze zwalczania powszechnego obyczaju picia.

Stefan KOZICKI

Kultura, 19 października 1969

NA WSI ZABAWA

Pstry plakacik przyklejony na drzewie koło przystanku PKS oznajmia, że organizatorzy zabawy tanecznej w C. serdecznie zapraszają miłośników tańca na sobotę dnia... U dołu literami większymi niż poprzednie dopisano: BUFET OBFICIE ZAOPATRZONY.

Na drzewie przed Klubem Rolnika konkurencyjny plakat zaprasza do S. W Klubie Rolnika odbywa się narada. Właściciele pojazdów jednośladowych przy wodzie Ostromeckiej i pod akompaniament zespołu Małego Władzia zastanawiają się gdzie jechać i czy wystarczy zabrać kłonicę, czy też zachowywać się możliwie przyzwoicie, to znaczy popić zdrowo i nie przeszkadzać tubylcom jeśli ci ni stąd ni zowąd zabiorą się do wycinania drzewa z tabliczką „Pomnik przyrody”.

Z zabawą wiejską — pieczołowicie kultywowaną rozrywką ludu polskiego mającą tak bogate tradycje jak kołodziejstwo czy nielegalne pędzenie bimbru w Małopolsce — zetknąłem się po raz pierwszy w roku 1956, gdy jako dziesięcioletni podrostek podglądałem przez okno w remizie swoich starszych o dziesięć, piętnaście lat kolegów podrygujących w rytm *que sera, sera*.

Pięknych świetlic Klubów Rolnika, Klubów Ruchu nie było wtedy na wsi prawie wcale, a jeśli już gdzieś była świetlica, to odbywały się w niej przede wszystkim prelekcje rodzaju „sposób walki ze stonką ziemniaczaną”... Co nam zostało z tych lat? Został nastrój i obficie zaopatrzony w przeróżne alkohole bufet.

Z rozwojem życia kulturalnego wsi prawo obywatelstwa zyskały jednak również zabawy bezalkoholowe, które jak sama nazwa wskazuje popełniane są *a priori* bez udziału *aquae vitae*. *A posteriori* sprawa ma się trochę inaczej. Wody wesołości wprawdzie nie sprzedaje się na miejscu, ale przecież nikt nie sprawdzi kieszeni uczestnikom. Nikt też nie ma prawa zabronić temu lub owemu

krótkiej wizyty w pobliskiej gospodzie „Złota podkowa”. Bufetowa patrząc na załamujących ręce działaczy ZMW jak piramida na wysiłki Napoleona nalewa setkę i duże piwo. Tak mniej więcej wygląda proza życia.

Zabawa w C. jest organizowana pod egidą miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Przed świetlicą rowery, motocykle, nawet samochody. W świetlicy tłoczno. Przyciemnione lampy proszą łagodnym, miękkim światłem z trudem przebijającym kłęby papierosowego dymu. Stojący tuż przy wejściu strażak w stroju galowym gestem cesarza Sardynii wręcza mi bilet uczestnictwa — oczywiście po uprzednim zainkasowaniu dwudziestu złotych. Zostałem „zabiletowany” i mogę wejść na salę. Pod ścianami proste drewniane stoły, przy nich ławki i dobierane krzesła. Na stołach wódka czysta (kto wie czy nie tutaj właśnie przybrała elitarną nazwę likieru strażackiego), słoiki z korniszonami, woda sodowa. Gdzieś tam butelki Vin blanc pod obiecującą nazwą „Złote Runo”. Orkiestra „Kazek and his boys” rżnie bliżej mi nieznanym przebrój utrzymując konwencję podlasko-kurpiowską. Ktoś zębami odgryza kapsel, ktoś pije zawartość kieliszka bez pomocy rąk. Towarzystwo przy stole zachwycone. Starszy jegomość z dużymi wąsikami wyjaśnia swym młodszemu kumplom, co też byłoby w roku 1939, gdyby dożył Józef Piłsudski.

Przy bufecie, gdzie każdy z uczestników zabawy uważa za patriotyczny wprost obowiązek przepić trochę tego, co on lub jego wiekuisty pradziad zarobił, kilku młodzieńców pije prosto z butelki. Pod korek. Złożyli się po dziesięć złotych, a na zakąskę już nie starczyło. Sarmacko a polsko. Nasi dziadowie pod Kircholmem też pewnie obalili gąsior gorzały zanim co do czego. Starsi, bo i tych przecież nie brak na sali, są dziś dla młodszych życzliwi i wyrozumiali... „co mu tam będę żałował, też było się młodym” zwierza się pewien tata wręczając podrostkowi czerwony bilet NBP.

Zaopatrzenie bufetu jest z reguły jednakowe na wszystkich zabawach i wszędzie. Wódka czysta, wino, piwo, oranżada, ogóreczki, papierosy i czekolady. Obfitość daje się zauważyć, rozmaitość raczej nie, a żeby dostać do oranżady zwykłą szklankę po musztardzie trzeba mieć za bufetem co najmniej kumpla z okresu wspólnych wypraw na jabłka do proboszcza. Pan Kazio przyjmuje kolejną dedykację wraz z załącznikiem. Za chwilę koleżanki tej uczesanej pod Juliette Greco zzielenieją z zazdrości. Przystojny porucznik spędzający urlop u rodziców na wsi poprawia krawat. Chłopcy pana Kazia grają „Czterdzieści kasztanów”. Około północy Kazio i chłopcy celebrują tradycyjną kolację w zakamarkach bufetu.

Wychodzę łknąć świeżego powietrza. Nic z tego — nieznamy barczysty gość wyciąga w moim kierunku butelkę z wiadomą zawartością. „Masz pij, jutro idę na ćwiczenia do woja. Trzy miechy”. Grzecznie odmawiam. Gość jest najwyraźniej obrażony i mówi coś o rachowaniu zębów. Wchodzę więc czym prędzej do zadymionej świetlicy. Po kolacji repertuar taneczny staje się sentymentalny. „Noce takie są upalne i słowiki spa-a-a-ć nie dają” — zawodzi pan Kazio. „Święty Antoni, święty Antoni”... — przyśpiewuje sala.

— Wyobraź sobie stary rower. Przednie koło jest duże, a tylne malutkie, jak to pierwsze się obróci raz to to drugie już się popsuje — mówi do mnie młody sympatyczny nauczyciel miejscowej szkoły. Andrzej organizował tu kiedyś wieczorek taneczny bezalkoholowy, ale nic z tego nie wyszło. Zakazany owoc najlepiej itd. Pijemy przy bufecie po butelce jasnego. — Studenci, stara wiara, pewnie teraz gdzieś na dworcu zaliczają po dużym marki Tychy — rozmarza się mój towarzysz. — Tu nie ma nawet gdzie wypić kufła tego szlachetnego trunku, a nieraz po kolacji to by się nawet wypilo. No, wyłączmy oczywiście zabawę. Do gospody pójść nie wypada, bo opinia publiczna zrobi ze mnie równego gościa i przy okazji kupna zupy „Barszcz moskiewski” jakiś tata zechce wspólnie ze mną obalić w sklepie GS-u wino marki „Tur”.

Na wieś nie dotarły jeszcze żadne mody hippis. Panowie są w tradycyjnych ciemnych garniturach i białych koszulach *non-iron*. Miast pokazywać skomplikowane zakamarki swej duszy wolą pokazywać włoski model krawata. Jeśli zaś chodzi o płęć piękną, to mini spódniczki należą jeszcze do rzadkości, żadnej fantazji i ekstrawagancji. Skromność przede wszystkim, co nie umniejsza oczywiście elegancji i to w pełnym tego słowa znaczeniu. Na mój przydługawy swetr i koszulę z kołnierzykiem à la Słowacki Juliusz nikt nie zwraca uwagi. Tłok jest straszny, a w tłoku wszystko ujdzie, nawet brunatny niedźwiedź grający na skrzypcach romanse cygańskie. Żadne reguły tańca nie obowiązują. Walce tańczy się tak samo jak tango czy fokstrota, tzn. wykonuje się w kole o promieniu pół metra obrotu w kółko podrygując w takt muzyki.

Przy niektórych stolikach, mimo że nastrój jest wesoły, siedzą smutni młodzieńcy. To pociągną łyk, to zapalą sporta, to przegryzą zapałkę, to wymienią zdanie na temat powodzenia tej czy innej Ewy. Oni przyszli tylko popatrzeć i posłuchać, ich nie interesuje absolutnie taniec, ale oni mogliby przyłożyć temu lub owemu, gdyby tak w razie czego. A więc na wszelki wypadek czekają. Dla nich zabawa może się dopiero zacząć z pierwszym trzaskiem odrywanej sztachety.

Ale oto perkusista otwiera niebieskawy kajet i przysuwa do ust mikrofon. Zaczynają się transmutacje frywolne znanych i lubianych utworów. Jest więc piosenka o młodej wdowie gotowej na powtórne zamążpójście byleby tylko... i tu następuje wyliczanie wszystkiego, co powinien mieć i umieć pan młody. Wypiłem tylko jedno piwo i robi mi się jakoś głupio. Starsi przy stołach chichoczą rubaszenie, wołają żeby jeszcze. Perkusista przewraca kartki i płynie wartko rzeka piosenek. Saksofonista bierze n-ty łyk z musztardówki. Trudno tak dmuchać i dmuchać o suchym gardle.

Zaczynają pisać pierwsze koguty. Dnieje. Orkiestra zapowiada ostatni kawałek. Jakiś pan na znak protestu, rozbijając o ścianę szklankę, która rozpryskuje się w „drobny mak”, jasno określa swoje stanowisko w wiecznym sporze idei z materią, ktoś inny wygłasza prywatną mowę pożegnalną, przetykaną kwiecistymi rzeczownikami na „k” i czasownikami na „p”.

Dla posiadaczy biletów zabawa się skończyła. Organizatorzy podliczą jeszcze kasę, posprzątają.

Do skody octavii ładuje się dziewięć osób (dwóch do bagażnika). „Bracia Sokoły” z T. pojedą teraz w ten sposób jedenaście kilometrów. Starszy jegomość, niczym dowódca wyprawiający w ostatnią podróż słynnych japońskich kamikadze, żegna ich pełnym politowania i zadumy spojrzeniem. „Jest jedno słońce”... podaje ton Romek. Powoli znikają motocykle. Tylko mali chłopcy zaglądają teraz z ciekawością do opustoszałej sali. Za chwilę pozbierają puste flaszki, a za uzyskane złotówki kupią sobie jutro dropsów i lemoniadę w proszku. A za dziesięć lat, jak dobrze pójdzie, sami odbiją przy bufecie pół litra i odczują dziwną tęsknotę słuchając „Takie ładne oczy”. Nieokreśloną tęsknotę, jaką zawsze budzi we mnie zasłyszana niegdyś na zabawie (kto z nas nie lubił w dzieciństwie dropsów) piosenka:

*Siedem czarnych krów
co noc mi się śni
siedem czarnych krów
a wśród nich ja i ty.*

— Eh żiżń praklajataja; a ty stary, co tak się zamyśliłeś? Mam dwie butelki piwa. Wypijemy u mnie a potem podrzucę Cię do domu motorem. Co będziesz się tłukł autobusem.

Henryk SŁYSZ

Bvdgoszcz, 1-15. XI. 1969
Magazyn Pomorze nr 21 (315)

Rozdział Czwarty

TROSKA O CZŁOWIEKA

CHORA MEDYCYNĄ

Powiadają: „Taka jest medycyna, jakich mamy lekarzy”. Niestety, polska praktyka tego przysłowia nie potwierdza. Lekarzy mamy dobrych i sporo. Wskaźnik ilości lekarzy, przypadających na 10 tys. mieszkańców stawia nas w czołówce Europy. Specjaliści w wielu dziedzinach medycyny zdobyli sobie uznanie w kraju i na świecie. A przecież mimo to wszystko medycyna, zwana popularnie służbą zdrowia, w odczuciu społeczeństwa nie ma wysokiej oceny. Przeciwnie jest przedmiotem nieustannych narzekań, niezależnie od zmian, jakie w niej zachodzą.

W 1945 r. było w Polsce zaledwie 6 tysięcy lekarzy. Liczba ich wzrosła siedmiokrotnie. Pracuje dziś 44,8 tys. lekarzy medycyny, 12,6 tys. lekarzy dentystów. Liczba pielęgniarek wzrosła 15-krotnie i wynosi 92 tys.

Wykształcenie jednego lekarza kosztuje przeciętnie — skromnie licząc — 400 tysięcy zł. Wykształcenie jednej pielęgniarki — 110 tys. złotych. Koszt inwestycji szpitalnych na jedno łóżko — 240 tys. zł. Łóżek szpitalnych mamy 196.700; to niewystarczająca ilość, ale zaczynaliśmy od 70 tys. Lecznictwo otwarte dysponuje 3.890 przychodniami w miastach, jest 2.690 wiejskich ośrodków zdrowia, 400 stacji pogotowia ratunkowego, 413 stacji sanitarno-epidemiologicznych wojewódzkich i powiatowych, a dalej przychodnie specjalistyczne, poradnie matki i dziecka itp.¹⁾.

Jest więc wykwalifikowana i liczna kadra lekarska, rozwinięta sieć placówek służby zdrowia i najlepsza współcześnie formuła działania. Leczenie w Polsce jest dla ogromnej większości społeczeństwa bezpłatne. Choroba nie grozi katastrofą ekonomiczną nawet rodzinom najniższej uposażonym. Każdy człowiek ma zapewnioną opiekę lekarską.

Skąd więc biorą się negatywne odczucia społeczne, przekona-

nie, że służba zdrowia nie wywiązuje się dostatecznie ze swoich zadań?

Przyczyn jest wiele. Są one natury subiektywnej i obiektywnej. Sprawą niewątpliwie ważną jest stosunek poszczególnych lekarzy do pacjentów, problem etyki zawodowej. W grę wchodzi także stosunek pacjentów do bezpłatnej pomocy lekarskiej. To co otrzymuje się „za darmo” nie jest zawsze należycie cenione. Są to jednak odczucia i n d y w i d u a l n e, jednostkowe.

Natomiast k a ż d e m u, kto zetknął się z placówkami służby zdrowia rzucają się wprost w oczy jej wielkie niedostatki materialne i organizacyjne.

O brakach materialnych, ściślej o przestarzałym sprzęcie i aparaturze, o przyczynach karygodnych zaniedbań w przemyśle medycznym a tym samym i w lecznictwie, pisaliśmy niedawno w artykule pt.: „Medycynie potrzebny komputer” (*Życie Gospodarcze* nr 32).

Brak organizacji pracy w służbie zdrowia wywołuje jednak nie mniejsze niż przestarzały sprzęt i urządzenia straty materialne i społeczne, a waży chyba więcej na złej opinii pacjentów o służbie zdrowia. Nie bez przyczyny krąży powiedzenie, że „Trzeba mieć zdrowie, żeby się leczyć bezpłatnie”.

Pacjent „sam sobie sterem”

We wszystkich poczekalniach ośrodków zdrowia, mimo wzrostu liczby lekarzy, kolejki jakoś nie maleją. Trzeba rano „wystać” numerek, potem poczekać na wizytę, następnie zapisać się na prześwietlenie, do analizy, do specjalisty... i w tej wyczerpującej bieganinie pacjent właściwie sam jest sobie „sterem, żeglarzem, okrętem”. Albo wytrwa i dociągnie leczenie do końca, albo się załamie w połowie drogi. Nikt go właściwie nie prowadzi, nie zna przebiegu jego choroby od początku aż do wyleczenia, z wyjątkiem chorych zarejestrowanych w przychodniach przeciwgruźliczych i wenerycznych oraz dzieci do lat 14.

Rozwinięta jest sieć lecznictwa otwartego. Są ośrodki miejskie, rejonowe i wiejskie, jest lecznictwo przemysłowe, wydzielone lecznictwo PKP, MON, MSW; mnóstwo najrozmaitszych poradni specjalistycznych. Ale nie ma modelu organizacyjnego, który zintegrowałby działalność tych wszystkich placówek, umożliwiłby permanentną opiekę nad pacjentem indywidualnym i pacjentem jako częścią społeczności według rejonu zamieszkania, czy też grupy zawodowej.

Jeśli człowiek pracujący poczuje się źle, korzysta na ogół z porady lekarza zakładowego, kiedy zachoruje obłożnie odwiedza go w domu lekarz rejonowy, znający przebieg choroby i dotychczasowego leczenia tylko z relacji chorego. Jeśli choroba wymaga leczenia szpitalnego pacjent znika z pola widzenia tych lekarzy. Informacje o stanie jego zdrowia po kuracji szpitalnej nie docierają już do przychodni. Podobnie ze skierowaniem do specjalisty. Leczy on schorzenie pacjenta w zakresie swojej specjalności, brak lekarza ogólnie nadzorującego może sprawić, że chory leczony intensywnie na serce umiera ...na raka żołądka.

Wiedza medyczna rozrosła się tak bardzo, że nie może być już lekarzy-omnibusów, kształci się więc specjalistów, którzy w swojej dziedzinie o wycinku organizmu ludzkiego i jego schorzeniach wiedzą możliwie wszystko. Organizm ludzki jest jednak jeden i nie da się go leczyć kawałkami, bo choroba części jest jednocześnie chorobą całego organizmu. Ktoś więc musi trzymać w rękę wszystkie nitki i *sterować* leczeniem. Musi wiedzieć o pacjencie możliwie wszystko.

W Anglii rolę tę spełnia tzw. lekarz domowy, który dysponuje pełną dokumentacją o stanie zdrowia ludzi jego regionu. On kieruje ich leczeniem, otrzymuje informacje ze szpitala i od specjalistów. On może powiedzieć, jakie choroby występują w jego rejonie najczęściej i jakie są ich trendy rozwojowe².

W Danii lecnictwo otwarte z zamkniętym współdziała poprzez wspólne konsultacje, które odbywają się raz w tygodniu dla lekarzy praktykujących w okolicy danego szpitala. Tam m.in. otrzymują oni informacje o stanie i przebiegu leczenia chorych, kierowanych przez nich do szpitala³.

W naszym kraju przy rozbudowanym lecnictwie przemysłowym trzeba wypracować odrębny model organizacyjny. Jaki? — O tym zdecydować może tylko resort zdrowia. Jest do tego powołany. Naszą rolę — czasopisma gospodarczego — może być tylko wykazanie jak pilne jest to zadanie, ile marnotrawstwa sił i środków powodują próby „łatania dziur”, szukania częściowych (często absolutnie chybionych) rozwiązań, zamiast kompleksowego uporządkowania a raczej zbudowania systemu kontaktów poszczególnych służb zdrowia między sobą i ich styku z pacjentami, ze społeczeństwem.

Nie jest to bynajmniej temat nowy. Wszystko już było na łamach prasy sygnalizowane, ale, niestety, sytuacja w lecnictwie nadal przedstawia chaos absorbujący lekarzy i dręczący pacjentów. Dlatego trzeba wrócić do tematu raz jeszcze.

Przed dwoma laty w różnych ośrodkach przeprowadzono tzw. fotografię dnia pracy lekarza. Okazało się, że lekarzowi 50 %, a niekiedy i 75 % czasu przeznaczonego na obsługę pacjenta pochłaniają czynności rejestracyjno-sprawozdawcze. Kiedy w połowie roku 1968 wprowadzono dodatkowe obciążenie — dziennik pracy lekarza w mieście i na wsi — ogromną, 19 rubryk dla każdego zgłaszającego się, zawierającą księgę, lekarze ostro zaprotestowali. Dziennik pracy, oznaczony symbolem MZ(OZO) 17 był przysłowiową kroplą, przebiegającą miarę lekarskiej pisaniny.

Lekarzy jednomyślnie poparła prasa. We wszystkich dziennikach pojawiły się artykuły na ten temat. Już same tytuły: „Liczyć czy leczyć”, „Długopis contra fonendoskop” („Trybuna Ludu”) „Kto następny? Formularz!” („Ilustrowany Kurier Polski”) „Na zdrowie... statystyce” („Głos Pracy”) „Lekarze czy pisarze?” („Kurier Polski”) „Statystyka contra zdrowie” („Prawo i życie”) świadczą wymownie o kierunku prasowej kampanii. Należy wyjaśnić, że choć mowa o statystyce, chodzi nie o sprawozdawczość statystyczną opracowywaną dla Głównego Urzędu Statystycznego, gdyż te druki zostały zredukowane do minimum i nie obciążają lekarzy. To, co zabiera lekarzom najwięcej czasu stanowi tzw. dokumentację medyczną, ustalaną przez resort zdrowia. Dokumentacja ta nie maleje lecz rośnie. Lekarze piszą, a pacjenci... czekają przeciętnie półtora do dwóch godzin na wizytę. W Komisji Organizacji Zarządzania, która zajęła się tą sprawą, obliczono, że godziny stracone w ciągu roku przez pacjentów tylko w poczekalniach przemysłowej służby zdrowia (22.430 porad w 1967 roku) równały się rocznemu przestojowi zakładu zatrudniającego 10 tysięcy pracowników.

W toku przeprowadzanych badań przedstawiciele Komisji Organizacji Zarządzania zadali dwustu pracownikom służby zdrowia różnych szczebli (od ośrodka wiejskiego do wydziału wojewódzkiego w rozmaitych częściach kraju) pytanie: jakiemu celowi — ich zdaniem służy druk MZ(OZO) 17, czy lekarze korzystają z niego w toku dalszej pracy. Nikt nie odpowiedział na to pytanie pozytywnie. Nikomu te dane nie służyły pomocą w ocenie stanu zdrowia poszczególnych pacjentów jak i mieszkańców danej regionu.

Komisja Organizacji Zarządzania sformułowała na podstawie przeprowadzonych badań wnioski pod adresem resortu zdrowia: niezwłocznie zlikwidować obowiązek prowadzenia przez lekarzy dzienników pracy; do 31 marca 1969 r. opracować wraz z Zakładem Ubezpieczeń Społecznych projekt usprawnienia źródłowej

ewidencji orzekania o niezdolności do pracy z sugestią, która umożliwiłaby okresową analizę absencji chorobowej, rozpatrywanej na tle absencji ogólnej w zakładzie. A do końca bieżącego roku w sposób kompleksowy uporządkować system dokumentacji i informacji: medycznej, opierając ją głównie na metodach reprezentacyjnych, które pozwalają bardziej prawidłowo ocenić zjawiska, są łatwe do obliczeń i dzięki temu mają pełną wartość prognostyczną. Odciaży to fachowych pracowników służby zdrowia od pracochłonnej rejestracji danych jednostkowych, których długotrwały cykl przetwarzania i wiarygodność budzą poważne zastrzeżenia, przekreślając tym samym ich celowość.

Wnioski Komisji Organizacji zyskały poparcie GUS, Zarządu Głównego Zw. Zaw. Pracowników Służby Zdrowia, Centralnej Rady Związków Zawodowych i Urzędu Rady Ministrów. Od czasu przedłożenia ich resortowi zdrowia upłynął już rok...

Co się zmieniło?

Jak dotąd, nic się nie zmieniło. Lekarz nadal osiem czy dziewięć razy wpisuje do różnych druków te same dane, które zbiorczo niewiele mówią o pacjencie, natomiast stanowią ilościową kontrolę czasu pracy lekarza. Zresztą ilość, nie jakość pracy jest podstawowym kryterium oceny kadry medycznej. Awans, podwyższenie zarobków lekarzy następują automatycznie po określonej ilości przepracowanych lat. Rzeczywiście, doświadczenie w zawodzie lekarskim znaczy bardzo dużo, ale stosunek do pracy, do pacjentów chyba nie mniej. Fundusz nagród jest za niski, żeby stanowił skuteczną zachętę do lepszej pracy³. A etyka zawodowa nie w każdym wypadku jest już dostatecznie silnym pancierzem, chroniącym lekarzy przed negatywną presją, jaką ta ilościowa kontrola wywiera. „Odfajkowuje” się więc niekiedy wizyty pacjentów, byle wykazać ich więcej, a z jakim skutkiem — tego i tak nikt ze sprawozdań nie odczyta.

Gdyby nawet zadać sobie taki trud i podsumować rubryki dzienników MZ(OZO) 17 i inne druki to i tak obraz byłby niepełny i fałszywy. Porada — poradzie lekarskiej nierówna, jeden i ten sam pacjent występuje w statystyce po kilka razy i nie można wysnuć żadnych wniosków, czy stan zdrowia pacjentów poprawia się, czy też wykazuje pogorszenie.

A poza tym — ilu ludzi należałoby przy tych obliczeniach zatrudnić?! Do dziś nie zdołano jeszcze przygotować zestawienia statystycznych kart szpitalnych za rok ...1965! Nikt — jak wykazują kontrole — nie analizuje kwartalnie absencji chorobowej.

Druki L-4 zawierają też zresztą wiele mylących danych. Lekarze sami, chcąc być w zgodzie z nakazem zachowania tajemnicy lekarskiej, podają w nich nieraz nieprawdziwe numery choroby. W Czechosłowacji rozwiązano ten „dylemat” bardzo prosto, na odcinku idącym do działu kadr nie ma numeru choroby, u nas jakoś i z tym uporać się nie można.

W czerwcu 1968 r. zakończono w Polsce pierwsze, przeprowadzone metodą reprezentacyjną badania zachorowalności i chorobowości społeczeństwa². Byłyby to dane bardzo cenne, ale mimo upływu roku nie doczekały się jeszcze opracowania. Będą więc — jak wszystkie inne zestawienia — przysłowiową musztardą po obiedzie.

Sytuacja jest taka, że chociaż wysokokwalifikowani pracownicy służby zdrowia, szkoleni takim nakładem kosztów i pracy, zużywają więcej niż połowę czasu pracy na wypisywanie potrzebnych i niepotrzebnych druków, nikt dziś w Polsce nie może odpowiedzieć na pytanie: ilu ludzi np. choruje w danym rejonie na serce, czy zachorowalność wykazuje tendencję rosnącą, czy ilość chorych, cierpiących na zaburzenia żołądkowe czy też alergię nie sygnalizuje przypadkiem, że stan sanitarno-epidemiologiczny danego rejonu wymaga szczególnej uwagi...

Zagrożenie narasta

Czas obecny wymaga takiego rozeznania. Uprzemysłowienie kraju, obok pozytywnego ma swoje negatywne oddziaływanie. Pisaliśmy o tym szeroko w artykułach pt. „Woda” (w n-rze 35) i „Powietrze” (w n-rach 40 i 41). Zanieczyszczanie chemiczne obu tych niezbędnych do życia czynników nie może nie odbijać się szkodliwie na zdrowiu ludzkim. Dlatego trzeba nieustannie trzymać rękę na pulsie, mieć szybkie i pełne rozeznanie sytuacji zdrowotnej w poszczególnych rejonach miast i w zakładach pracy.

Bez modelu organizacji służby zdrowia, który łączyłby w zwartą całość system otwartego i zamkniętego leczenia nie ma mowy ani o skutecznej akcji profilaktycznej ani o pełnym wykorzystaniu i racjonalnej gospodarce kadrami medycznymi.

Statystyka mówi, że mimo wyższego niż w wielu bogatszych od nas krajach wskaźnika ilości lekarzy w stosunku do liczebności narodu tylko w leczeniu zamkniętym osiągnęliśmy pełną obsadę stanowisk lekarskich (1 lekarz na 9,7 łóżka). Natomiast w leczeniu otwartym na jednego lekarza średnio w kraju przypada 5.260 podopiecznych, (z tym, że w stolicy 2.794 a w woj. szczecińskim np. 7.520). W leczeniu przemysłowym natomiast

zatrudnienie lekarzy wynosi zaledwie 62 proc. obowiązującej normy³.

Lekarze wolą pracować w szpitalach i ze względów finansowych i naukowych. Lecznictwo otwarte odczuwa więc braki, ale tak naprawdę nikt nie może dziś powiedzieć, jakie jest rzeczywiste zapotrzebowanie na usługi lekarskie jakiegokolwiek rejonu w większym mieście. Ilu mieszkańców leczy się tam w rejonowym, a ilu w zakładowym ośrodku zdrowia? Wskaźniki obliczane są mechanicznie według ilości mieszkańców.

Kto dziś może powiedzieć, ilu np. potrzeba specjalistów poszczególnych dziedzin medycyny, jeśli nie znamy trendów rozwojowych rozmaitych chorób. Przed kilkanaście laty rozpowszechnione było np. twierdzenie, że gruźlica przestała być groźną, społeczną chorobą. Młodzi adepci zawodu lekarskiego nie wybierali więc phtyzjatrii jako dziedziny specjalizacji. Dziś wiadomo, że mamy największy w Europie wskaźnik chorych na gruźlicę, i nie maleje wyraźnie liczba nowych zachorowań. A lekarzy-phtyzjatrów brak. I w innych specjalnościach kształcenie, na które idą miliony ciężko zapracowanych przez społeczeństwo złotych, nie odpowiada rzeczywistym potrzebom, bo nikt tych potrzeb faktycznie nie zna. Nie ma takiego rozeznania resort, który kieruje zarówno kształceniem kadr jak i leczeniem.

Co na to resort?

W Ministerstwie Zdrowia poinformowano mnie, że w czerwcu br. powołano kilkunastoosobową komisję, która ma uprościć dokumentację i statystykę medyczną. Rozmawiałam z przewodniczącym tej komisji. O przebiegu prac komisji nie mógł mnie poinformować. Członkowie zespołów otrzymali materiały pomocnicze jak te problemy rozwiązywane są w innych krajach. Niestety, żadnego egzemplarza tych materiałów przejrzeć nie mogłam.

Dowiedziałam się natomiast nieoficjalnie, że z końcem roku zawieszony zostanie obowiązek prowadzenia dzienników pracy lekarza, który — zdaniem prasy — jest najjaskrawszym przykładem nonsensownej działalności anonimowych twórców druków medycznych. Jak wynikało z rozmowy resort podjął tę decyzję pod naciskiem, ale bez przekonania. Przewodniczący komisji nadal uważa ten dokument za podstawowe źródło informacji o zachorowalności ludzi. A dotychczasowy brak rozeznania w tej dziedzinie motywuje wyłącznie brakiem środków na zwiększenie liczby rejestratorek i sekretarek medycznych, które odciążąłyby od pisania personel wysokokwalifikowany oraz zmechanizowanych

zakładów statystyki medycznej, wyposażonych w maszyny liczące, żeby szybko przetwarzać te dane.

Wyjaśnijmy od razu, że już dziś resort zdrowia zatrudnia 1.500 pracowników statystyki tzn. więcej niż liczy cała terenowa służba GUS. Już dziś pracuje 6 zmechanizowanych zakładów statystyki. Wydaje się, że przy obecnym systemie służby zdrowia zwiększenie liczby rejestratorek i maszyn matematycznych może przynieść tylko więcej szkody niż pożytku. Szybkie obliczenie mało wiarygodnych i beładnie zebranych danych może wyłącznie wprowadzić w błąd zarówno resort jak i społeczeństwo. Najpierw trzeba wiedzieć jakie dane zbierać i w jaki sposób, żeby możliwość błędu sprowadzić do minimum, a potem dopiero zastanowić się ile ludzi i maszyn liczących do tego naprawdę potrzeba.

Znajdujemy się obecnie w okresie, kiedy cały kraj, wszystkie gałęzie gospodarki liczą skrupulatnie nakłady i porównują je z efektami, żeby na podstawie ekonomicznego rachunku udowodnić celowość dalszego rozwoju danej branży.

Potrzeby rozwoju służby zdrowia nie trzeba udowadniać, ale to bynajmniej nie zwalnia resortu, od obowiązku prowadzenia rachunku — porównania nakładów z efektami, wyliczenia się przed społeczeństwem z wykorzystania sum przeznaczanych rokrocznie na lecznictwo.

25 miliardów zł — kwota niebagatelna jak na nasze możliwości budżetowe, choć rzeczywiście mała w stosunku do ogromnych potrzeb służby zdrowia. Ale tym bardziej skłaniać to musi do przemyślanego, rozważnego wydatkowania każdej złotówki, jak napełniejszego wykorzystania tego, czym dysponujemy: kadr wykwalifikowanych i aparatury. Gdyby przeliczyć dziś straty jakie ponosimy tylko w związku z wykonywaniem przez lekarzy na nic nieprzydatnej pracy „pisarskiej” szybko doszlibyśmy do marnowanych milionów, choćby tylko z racji niewykorzystania ich kwalifikacji, których zdobycie kosztowało społeczeństwo sumy ogromne, a samych lekarzy wiele lat ciężkiej pracy.

My jako społeczeństwo mamy prawo żądać takiego rachunku. Mamy też prawo żądać, żeby wreszcie taka była u nas medycyna, jakich mamy lekarzy.

Anna KUSZKO

Życie Gospodarcze, 19 października 1969

1. Dane zaczerpnięte z artykułu dr. med. Ryszarda Brzozowskiego w wyd. „Polskie Archiwum Medycyny Wewnętrznej”.

2. dr med. Zygmunt Branowitser: art.: „Badania zachorowalności i chorobowości ludności Polski” — międzynarodowy magazyn „Ochrona Zdrowia”.

3. dr med. Janusz Biernacik art.: „O prawo do ekonomicznego myślenia”, „Służba Zdrowia” nr 40 z 1968 r.

LEKARZE, PIEŁĘGNIARKI, SALOWE...

Z listu do redakcji:

„Leżałem w tym szpitalu długo. Miałem dużo czasu na obserwację (...) Opieka lekarska dobra, doktorzy dużej wiedzy, w większości oddani zawodowi — i pacjentom. Natomiast cała reszta...

Wielu chorym nie wolno było się ruszać, nawet samemu jeść (np. pozawałowcom, to samo na chirurgii). Myśli pan, że ich kto karmił? Skąd...

Podanie basenu kosztuje tu każdorazowo 10 zł. Jak komuś zapiszą tlen, nigdy nie ma „człowieka” do przyniesienia ciężkiej butli z innego piętra; jak się ma sto zł to „człowiek” się zaraz znajdzie...

Każdy chory ma dzwonek przy łóżku, ale można dzwonić przez pół nocy — nikt nie przyjdzie. Na sąsiedniej sali pacjenci złożyli się z własnych pieniędzy na pielęgniarkę dla chorego; nie tyle z dobrego serca, ile dla własnego spokoju, bo „rozrabiał” po nocach i budził wszystkich, a doprosić się czy dodzwonić kogoś z personelu nie było mowy (...) Gdyby nie to, że na każdej prawie sali jest choć po jednym chorym chodzącym, który w razie potrzeby biega po siostrę lub lekarza, a na co dzień usługuje kolegom, podaje kaczki, baseny, to by się ci leżący (tu następuje dosadne określenie niebezpieczeństwa grożącego „leżącym”, które opuszczamy — przyp. red.) (...) Jak to może być: z jednej strony dobrzy lekarze, cenne lekarstwa, nawet jedzenie smaczne i urozmaicone (choć skromne), a z drugiej całkowite zaniedbanie pielęgnacji chorych, i do tego korupcja”.
(nazwisko i adres znane redakcji)

Niemieło czytać takie listy, niemieło je drukować. Nie wolno ich jednak przemilczać. Nie wolno udawać, że nie ma takich szpitali. Bo są, choć z pewnością nie jest ich tak wiele. Ich istnienie odzwierciedla najdobitniej niedostatki kadrowe, które w służbie zdrowia, a przede wszystkim w szpitalnictwie, koncentrują się właśnie na odcinku tzw. średniego i niższego personelu pomocniczego, tj. pielęgniarek i salowych.

Przeciżone

W szpitalach całego kraju pracuje ok. 40 tys. pielęgniarek. Zajrzawszy do rocznika statystycznego, znajdziemy tam wynik

podzielenia liczby łóżek szpitalnych przez liczbę pielęgniarek: 4,3 łóżka (czyli 4,3 pacjenta, przyjmąwszy, że w każdym łóżku ktoś leży) na 1 pielęgniarkę.

Wydawałoby się: Kanada!

Pewna pielęgniarka zwierza się swego czasu na łamach prasy, że gdyby miała 7-8 chorych do obsługi, to poza normalną pielęgnacją robiłaby im manicure, kąpała codziennie, paniom fryzowała włosy — i czytała bajki na dobranoc...

Aby rozszyfrować powyższą sztuczkę statystyczną, od globalnej liczby trzeba odjąć pielęgniarki nie pracujące bezpośrednio przy łóżku chorego: i te z bloku operacyjnego i te z izby przyjęć, i siostry oddziałowe itp.; dalej — przebywające aktualnie na urlopach wypoczynkowych i macierzyńskich, chore i „odbierające” nadrobione godziny. Wreszcie, wynik trzeba podzielić na 3 zmiany, bo w szpitalu pracuje się przecież „na okrągło” po 24 godziny na dobę. W rezultacie otrzymamy obraz, pokazany w wyniku przeprowadzonych niedawno w Warszawie badań: w godzinach przedpołudniowych jedna pielęgniarka ma pod opieką 27 do 39 pacjentów, w godzinach popołudniowych 27 do 59 zaś w nocy 42 do 80 (!) pacjentów... (Oczywiście różnice te płyną nie z tak gwałtownej fluktuacji stanu chorych w ciągu doby, lecz liczby pielęgniarek na kolejnych zmianach).

Dodajmy do tego ogrom pracy papierkowo-statystycznej, przywalającej średni personel pomocniczy (na równi z lekarzami lecznictwa otwartego), dodajmy zastrzyki dożylnie, podłączanie krwi przy transfuzjach itp. czynności, które powinny być w zasadzie wykonywane przez lekarzy — lecz nie są. Dodajmy szamotaninę z brakiem termoforów, czystych fartuchów i bielizny pościelowej, termometrów, strzykawek, pociętej gazy i stu różnych drobiazgów, które trzeba wyżebrywać, pożyczać z innych oddziałów lub bez których trzeba się obywać — a uzyskamy pojęcie o stopniu przeciążenia pielęgniarek pracą.

Można by wprawdzie powiedzieć, że znaczna część czynności pielęgnacyjnych — jak karmienie chorych, mycie, ścielenie łóżek, podawanie basenów — obarcza nie pielęgniarki, lecz salowe. Cóż, kiedy niedostatek salowych jest jeszcze większy niż pielęgniarek, to raz. Salowe nie są z reguły szkolone przed rozpoczęciem pracy, to dwa; umieją to, czego ich pielęgniarki w czasie pracy nauczą; robią tyle i tak, o ile i jak praca ich bywa kontrolowana przez średni personel.

Nie byłoby jednak słuszne, gdybyśmy zakończyli artykuł rozdarciem szat na temat rzeczywiście niezwykle ciężkich warunków

pracy pielęgniarek lub ograniczyli się do uzasadnionych, lecz w chwili obecnej mało realnych postulatów w tematycznym trójkącie: zatrudnienie — etaty — place...

Andrzej MOZOŁOWSKI

Kurier Polski, 9 października 1969

TO JUŻ EPIDEMIA

(P) W 1958 r. zachorowało w Polsce na kiłę ok. 16 tys. osób — ponad dwukrotnie więcej niż w 1965 r. Takie są oficjalne dane Min. Zdrowia i Opieki Społecznej. Średni wskaźnik krajowy zachorowań: 50 na 100 tys. mieszkańców, jest od kilku lat znacznie wyższy niż wskaźnik w innych krajach. (W 1967 r. następne kolejne miejsca zajmowały: Stany Zjednoczone, Włochy, Norwegia i Francja).

Jakie są tego przyczyny?

Wzrost spożycia alkoholu, zwiększenie liczby prostytutek, niedocenia niebezpieczeństwa chorób wenerycznych, wynikające przede wszystkim z wiary w skuteczność leczenia antybiotykami (daje ono szybkie i niezawodne wyniki tylko we wczesnym okresie choroby).

Służba zdrowia robi co może uświadamiając o niebezpieczeństwie tych chorób oraz lecząc chorych w oparciu o najlepsze wzory u tej dziedziny. MO pomaga w miarę swych możliwości, doprowadzając do lekarzy dermatologów osoby podejrzaną o prostytucję. Ale mimo tych wszystkich wysiłków liczba zachorowań nadal rośnie, przy czym szczególnie niepokojące jest, że najszybszy wzrost obserwuje się wśród młodzieży w wieku 15-19 lat.

Według opinii dermatologów, społeczników z różnych ośrodków kraju oraz osób na kierowniczych stanowiskach — dotychczasowe metody zwalczania chorób wenerycznych są niewystarczające i nie zahamują szerzącej się epidemii, bo tak już należy nazywać po imieniu obecną sytuację.

Zdaniem moich rozmówców służba zdrowia nie jest i nie będzie w stanie sama zwalczać chorób wenerycznych. Jak wszystkie choroby zakaźne i społeczne wymagają one wspólnej akcji kilku ogniw administracji i organizacji społecznych.

Należy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo chorób wenerycznych już w szkołach i bardziej zaangażować prasę, radio i telewizję, pedagogów, lekarzy szkolnych i organizacje, takie jak: PCK, ZMS, ZMW, Liga Kobiet i inne.

Wreszcie w samej służbie zdrowia należy jeszcze większy niż obecnie nacisk położyć na leczenie weneryczne. Dotychczasowy układ, w którym zarówno Klinika Dermatologiczna AM w Warszawie, (kierownik jej jest specjalistą krajowym do spraw chorób skórnych i wenerycznych), jak i wojewódzkie przychodnie dermatologiczne bardziej angażują się w zwalczanie chorób skóry niż chorób wenerycznych — jest nie do przyjęcia. W celu skutecznego zwalczania kiły i rzeżączki konieczne jest wydzielenie leczenia wenerycznego i przeznaczenie nań znacznie więcej środków.

A. DMUCHOWSKA

Życie Warszawy, 12 listopada 1969

STRAŻACY ZAMYKAJĄ SZPITAL

Czy kto słyszał, żeby zamykano szpital, zakazywano przyjmowania i leczenia chorych? Zamykano jedyny szpital w mieście? A tak właśnie jest w Węgrowie...



Jeżeli o województwie warszawskim mówi się, że tu istnieje największa w Polsce śmiertelność niemowląt, powiat węgrowski znacznie przyczynił się do ukształtowania takiej opinii. Wobec imponujących osiągnięć służby zdrowia w naszym kraju, wobec rozwoju szpitalnictwa oraz poziomu opieki lekarskiej i w mieście i na wsi — „casus Węgrów” tym bardziej razi i niepokoi.

Potrzeba 9 mln zł

Sam Węgrów, owszem jako środowisko kulturalne jest prężny. Ba, zyskał tytuł laureata, zdobył nagrodę w konkursie „Blżej życia” (o czym niedawno pisaliśmy w Kurierze). Zawdzięcza to jednak grupie zapaleńców, a nie całemu społeczeństwu. Węgrów wraz z powiatem od lat znajduje się na marginesie inwestycyjnych zainteresowań województwa. I to się mści.

— Zamknięto nam już oddział dziecięcy — mówi sekretarz Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. — Grozi nam od 1 stycznia zamknięcie pozostałych oddziałów. Ze względów bhp i bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Byliśmy w Wojewódzkiej Radzie Narodowej, powołaliśmy zespół opracowujący koszty robót...

Były już różne kosztorysy

Jak do tego doszło?

Sekretarz nie wie dokładnie. Jest tutaj, w Węgrowie, od niedawna. Słyszał jednak, że sprawa oddziału dziecięcego ciągnie się co najmniej od dziesięciu lat...

I tak zostało...

... Rzeczywiście zostało. Na strychach widzę niebo poprzez dziurawe dachówki. Woda leje się strumieniami. Wszędzie zacieki. Tynki odpadają. Nawet słupy, na których rozpięta jest sieć energetyczna są tak zmruszałe..., że konserwator boi się na nie wchodzić.

Ciasnota. Ogromna ciasnota. W pokoiku o rozmiarach 5×4 m stoi 11 łóżek dziecięcych! Powinno być najwyżej 5. Takie dwie „sale” wraz z korytarzykiem pełniącym funkcję dyżurki pielęgniarek, to cały oddział dziecięcy. Wchodzi się tu, na 1 piętro, po drewnianych schodach. O tym oddziale i o tych schodach strażacy mówią, potrząsając głowami.

— Gdyby wybuchł pożar, nie zdążylibyśmy nikogo ewakuować!

Oddział noworodków w sąsiednim budynku o kruszących się fundamentach to... mroczny korytarz o rozmiarach 5×3 m. Na „oddziale” korytarzu stoi 16 łóżek...

Sala operacyjna i porodowa równie mroczne i ciasne. Jedyna łazienka wykorzystywana jest jako pralnia pieluszek.

Czy remont?

Ten szpital przeznaczony jest dla ponad 76 tys. mieszkańców. Na jego

szyldzie i pieczęcie widnieje dumnie brząający przymiotnik: „powiatowy”...

Powiadają w Węgrowie:

— Podobno nowy szpital dla nas wstawiono do planu na rok 1980. Jeżeli nawet dojdzie do tego, jeżeli Siedlce jako miasto rozwojowe nie zastąpią nas w tym planie, to, znając tempo budowlanych (zwłaszcza przy obiektach dla służby zdrowia), robota zakończona zostanie chyba gdzieś w roku 1995...

Wiesław SACHS

Kurier Polski, 29 sierpnia 1969

S O N D A

Obecnie przekazuję mikrofon Januszowi DROZDOWSKIEMU, który zabierze głos na temat dotyczący 47 tys. pracowników budownictwa w woj. bydgoskim.

3/4 tych ludzi pozbawionych jest praktycznie jakiejkolwiek formy stałej opieki lekarskiej. Wprawdzie przedsiębiorstwa budowlane prowadzą 14 przychodni ale niech nikogo ta statystyka nie zmyli, bo cóż z tego, że przychodnie istnieją, kiedy korzystać z nich mogą do woli tylko pracownicy administracyjni. Cała reszta, to znaczy murarze, zbrojarze, stolarze itd., realizująca różnego rodzaju budowy w terenie, dostępu do przychodni nie ma. Przychodnie wszak zlokalizowano przy stałych siedzibach przedsiębiorstw budowlanych.

W najgorszej sytuacji są pracownicy zjednoczenia budownictwa rolniczego, nie mającego ani jednej przychodni lekarskiej. Gdy któryś z pracowników tego zjednoczenia zachoruje, wypada mu kołatać o pomoc do wiejskich ośrodków zdrowia. Znam jednak przypadki, że w ośrodku odesyłano chorego z kwitkiem, tłumacząc, że z opieki lekarskiej powinien korzystać w miejscu stałego zamieszkania.

Zbyt wymowny to przykład, żeby go komentować.

Przychodnie przyzakładowe zdolne są w najlepszym przypadku świadczyć doraźne usługi, bo o profilaktyce nie ma co nawet marzyć. Wziąwszy pod uwagę fakt coraz bardziej rozwijających się chorób zawodowych u budowlanych, a więc pylicę i reumatyzm, sytuacja jest po prostu anormalna. Zresztą z tą doraźną pomocą też nie najlepiej, jeśli się zważy, że na 76 przedsiębiorstw budowlanych tylko 4 zatrudniają po jednym lekarzu na pełnym etacie. Społecznie szkodliwą regułą jest wymiar pół czy nawet tylko ćwierć etatu. Nie ratuje sytuacji jedna wzorcowa przychodnia międzyzakładowa w Solcu Kujawskim przy zakładach sprzętu budowlanego numer 2. Jest to zakład zamknięty i przychodnia znów służy tylko pionowi administracyjnemu.

To wszystko nie znaczy — rzecz jasna — że przedsiębiorstwa budowlane i ZZ budowlanych nie starają się o zapewnienie opieki lekarskiej wszystkim pracownikom budownictwa. Morze atramentu wypisano już w tej sprawie. Rzecz polega na tym, że lekarze ani myślą podejmować pracę u budowlanych. Wolą w szpitalach i spółdzielniach lekarskich.

Ala nie tylko to. Aktualny deficyt lekarzy w woj. bydgoskim wynosi aż 400 medyków. Jeśli więc są kłopoty z pełną obsadą lekarską w szpitalach i przychodniach miejskich, to cóż dopiero mówić o lekarzach dla budownictwa? Póki są, radzą sobie budowlani od przypadku do przypadku.

Kursuje po województwie jeden ambulanś, tylko jeden, i to w sytuacji kiedy byłaby to jedyna sposobność zapewnienia stałej opieki lekarza nad pracującym w ciężkich warunkach terenowych budowlanym. Ten ambulanś dokonuje wprawdzie rocznie od 6 do 7 tys. badań, ale są to badania poło-

wiczne. Ambulans nie jest bowiem wyposażony w zaplecze analityczne i, żeby było jeszcze śmieszniej, obsługuje go zamiast lekarzy tylko felczer. Od czasu do czasu jakieś przedsiębiorstwo przerażone nadmierną absencją chorobową zleca lekarzom niezatrudnionym u siebie przeprowadzenie badań i to z funduszy BHP.

Sytuacja jest alarmująca. Jedyne ratunek widzę w zwiększonej ilości ambulansów i w porozumieniu z powiatowymi wydziałami zdrowia, które powinny nakazać podległym sobie lecznicom pełne honorowanie pracowników budownictwa.

Pora najwyższa, aby w tej sprawie głos zabrali zarówno resort zdrowia jak i resort budownictwa.

Radio Warszawa II, 12 stycznia 1970

„O S K A L P O W A N I”

Minęło kilka miesięcy od ukazania się reportażu „Niewolnicy pociągów” („TK” nr 23) i od czasu, kiedy jeździłem z chłopami-robotnikami naszymi pociągami do Ursusa, wysiadałem z nimi, śpieszyłem się, aby zdążyć na godzinę szóstą rano, drugą po południu, dziesiątą wieczorem — godziny rozpoczęcia pracy, później odbywałem wędrowkę w odwrotną stronę, do Bud Zosinych, Leonowa, Łowicza i Skierniewic. Przemierzałem fatalne, grząskie drogi, szedłem bagnistymi łąkami (powinienem napisać — pływałem), wstawałem wcześniej, o godzinie drugiej, trzeciej rano. Dla mnie to była tylko przygoda. Dla moich bohaterów — codzienność pomnożona przez lat pięć, dziewięć, szesnaście. Z kilkoma rodzinami zaprzyjaźniłem się. Dopiero po wielomiesięcznej, bliższej znajomości zrozumiałem, że ostre słowa (określające życie chłopów-robotników, pracę, czas wolny), których użyłem w „Niewolnikach pociągów” są słabe, nie oddają w pełni zależności pomiędzy pracującymi a pracodawcami, zrozumiałem, że oficjalne deklaracje są czcze i puste, nadęte jak balon i pękają jak balon w zetknięciu z rzeczywistością.

Zadawałem im pytanie natarczywie i nieustępliwie:

— Czy otrzymujecie większą pomoc ze strony Zakładów?

Odpowiadali prosto:

— Tak jak było, tak jest!

Postanowiłem jeszcze raz przekroczyć bramę „Ursusa”. Nie spodziewałem się jednak, że cztery dni wypełnią mi rozmowy, które mógłbym zamknąć stwierdzeniem usłyszanym w pierwszym dniu, w pierwszej rozmowie, niemal w pierwszym zdaniu Antoniego Stajszczaka, sekretarza Rady Zakładowej:

— Od czasu ukazania się reportażu, jeśli chodzi o sytuację chłopów-robotników — nic u nas się nie zmieniło.

Po tej autorytatywnej odpowiedzi mógłbym zamknąć notes i wrócić do redakcji bez reportażu. Ale czy mogłem odejść będąc przekonany, że chłopów-robotników w „Ursusie” i jak wynika z moich penetracji dziennikarskich w innych zakładach, traktuje się jako ludzi kategorii B?

Wciąż miałem w pamięci liczbę: półtora miliona rolników pracujących na dwóch etatach. Na roli i w fabryce. Pisałem w „Niewolnikach pociągów”, że odejście drobnorolnych do przemysłu jest ich szansą, którą dał im ustrój. Jednakże wykonują oni obowiązki z nadludzkim wysiłkiem, bez wypoczynku, kosztem zdrowia. Dojeżdżają: dwie, trzy, cztery godziny. Harują na roli, harują w fabryce.

Co daje im fabryka?

Wyliczają: pensję, ubezpieczalnię, bilet miesięczny, przydział węgla, tanie obiady.

Ludzie odpowiedzialni, na poważnych stanowiskach, zaniepokojeni niewygodnym i — przyznaję szczerze — dziwnym tematem podejrzewają we mnie malkontenta, który nie chce słyszeć wtłaczanych mu bezceremonialnie wiadomości o pięknej tradycji — 76 latach istnienia Zakładów, o wynikach produkcyjnych, o przeznaczonych na rozbudowę Zakładów Mechanicznych „Ursus” 3,5 miliardów złotych. Kierownictwo „Ursusa” podkreśla fakt zatrudnienia socjologa, plastyka i psychologa.

Elżbieta Bilśka, kierowniczka miejscowej pracowni socjologicznej może być dumna z osiągnięć. Pod jej kierunkiem przebadano niemal całą załogę w wielu aspektach: problem kar i nagród, ich wpływ na wydajność pracy załogi, problem mistrzów, awansu; dokonano analizy kart osobowych i fluktuacji.

Powracam w rozmowie do chłopów-robotników:

— Czy pracownia socjologiczna interesuje się chłopami-robotnikami?

— Do tej pory nie. Nie otrzymaliśmy takiego polecenia;

Nie wiadomo nawet ilu ich pracuje w „Ursusie”. Dojeżdża ponad osiem tysięcy osób, nie wszyscy mają z nich ziemię. Niektórzy obliczają (jak można obliczać bez dokładnych danych) liczbę chłopów-robotników na pięć tysięcy. Mgr Bilśka na dwa i pół tysiąca, i dodaje: — Nie stanowią oni dla nas najważniejszego problemu.

Dwa i pół tysiąca ludzi w jednej fabryce. Nie interesują socjologa i dyrekcji! Jeśli założymy, że rodzina chłopca-robotnika składa się z czworga osób, otrzymamy liczbę ponad dziesięciu tysięcy ludzi, a można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że rodziny te są znacznie liczniejsze.

Załogę fabryki można podzielić na wiele grup; na partyjnych i bezpartyjnych, na robotników, techników i inżynierów, można także spróbować — i trzeba! — chociaż tego nie robi się, niestety, podzielić ich na pracowników, mieszkających blisko zakładów i na dojeżdżających, a więc chłopów-robotników, nie zapominając, że wśród dojeżdżających są również tacy, którzy z ziemią mają kontakt w miejskich ogródkach działkowych.

Ponad dziewięćdziesiąt pięć procent dóbr socjalnych zagarniają ludzie miejscowi, mieszkający w Ursusie, w pięknych mieszkaniach, w pięknym osiedlu.

Ignacy Zysk, kierownik sekcji kulturalno-programowej przypomina o zażytych kontaktach zakładowego Domu Kultury z objazdowym Teatrem Ziemi Mazowieckiej:

— W niedzielę był pierwszorzędny koncert życzeń z zespołem artystów. Byli najwybitniejsi z Ireną Santor na czele, pozostałych nie pamiętam. U nas można kulturalnie spędzić czas; mamy kawiarenkę otwartą codziennie od godziny 17.00, wejście bez kart wstępu. Dom Kultury urządza wieczorki, spotykają się przedstawiciele brygad socjalistycznych, jest zespół muzyczno-wokalny „Meloryt”, mamy kino na 594 miejsca, szafę grającą i kursy języków obcych.

Dopytuję się o ośrodki wczasowe i kolonijne. Na ten temat wiadomości płyną lawiną. „Ursus” pod tym względem znajduje się w czołówce krajowej. Ma dwa piękne ośrodki wczasowe w Sorkwicach i Popowie, w których pracownicy korzystają z taniego wyżywienia i wypoczynku w dniach od 28 maja do 17 września. I wyliczanka: ile rodzin korzysta z domków campingowych, ilu pracowników fizycznych, a ilu umysłowych (umysłowi w każdym turnusie przeważają), ile jest jednostek pływających, ile motorowerów (to dla właścicieli kart pływackich) i że w pobliżu pięknie, mówiąc krótko, raj: niebo, jeziora i lasy.

— Ilu chłopów-robotników korzystało z wczasów w Popowie lub Sorkwicach? — pytam.

— Nie jestem pewien, ale w historii naszych domów wczasowych żaden chłop-robotnik nie przekroczył ich progów — odpowiada Czesław Naziębło, kierownik Oddziału Zaopatrzenia Robotniczego.

Wacław Beta, kierownik sekcji dziecięcej w Dziale Socjalnym będzie mówił w podobnym tonie jak jego poprzednicy. Oto jego relacja:

— W dziale socjalnym pracuję już 17 lat, dlatego mogę stwierdzić ogromny postęp w tej dziedzinie. Aby nie być gołosłownym przytoczę tutaj pewne liczby, a więc było jedno przed-

szkole, teraz mamy trzy oraz dwa żłobki. To jeszcze nie pokrywa rosnącego coraz bardziej zapotrzebowania, planujemy otworzyć nowy oddział przy jednym z przedszkoli. Zakład ma dwa ośrodki kolonijne, jeden w Szarocinie, w powiecie Kamienna Góra, a drugi w Popowie, w powiecie wyszkowskim.

Informacje, które uzyskałem wciąż powtarzają się. Moi rozmówcy opowiadają o jednym: jak bardzo Rada Robotnicza, Rada Zakładowa i Dyrekcja dbają o pracowników. To wszystko jest prawdą — stwierdzam — z zastrzeżeniem, że nie korzystają z tych uprawnień i przywilejów chłopci-robotnicy, chociaż niektórzy z nich pracują w Ursusie kilkanaście lat.

Chociaż księgozbiór biblioteki liczy ponad dwadzieścia tysięcy tomów — nie czytają książek. Chociaż jest gabinet dentystyczny i lekarski — nie korzystają z nich, z wyjątkiem wypadków tragicznych.

— Chorują — stwierdza Antoni Stajszczak — na wibrację, głuchotę, pylicę, porażenie skóry, gruźlicę płuc, a najczęściej na schorzenia dróg oddechowych.

Rzadko korzystają z sanatoriów.

Przeglądam program kina związkowego „Ursus”. Wyświetlano w nim filmy: „W cieniu dobrego drzewa” — dramat psychologiczny, „Mąż swojej żony” — komedia, „Lalka” — film obyczajowy. W kinie studyjnym: „Szkarłatne godło odwagi”, „Anna Karenina”. W cyklu: Przegląd filmów polskich z okazji 25-lecia PRL: „Hrabina Cosel”, „Zemsta”.

Wybrałem filmy tylko z jednego miesiąca.

Ekspozycja stała w Muzeum „obrazuje historię Zakładów powstałych w 1893 r., rozwój produkcji i perspektywy na najbliższe lata”. Ekspozycja zmienna — „dwie wystawy: „ruch oporu w Ursusie w latach 1939-1945” oraz „ćwierć miliona ciągników w 25-leciu PRL”.

Fragment „Głosu Ursusa”: „W dniu 7 października br. w sali widowiskowej Domu Kultury ZM „Ursus” Teatr Ziemi Mazowieckiej wystawił sztukę w reżyserii H. T. Czarneckiego pt. „Podpalacze”. Na widowni miejsca zajęli mieszkańcy miasta Ursusa — w przeważającej większości młodzież Zespołu Szkół Zawodowych i Liceum gorąco oklaskując wykonawców. Szkoda, że członkowie załogi przedsiębiorstwa „Ursus” zdradzają małe zainteresowanie teatrem, o czym świadczy fakt nabycia przez KO z Działów i Wydziałów tylko 17 sztuk biletów. Polecamy to rozważyć aktywu kulturalnego i partyjnego”.

Dyrektorowi Tadeuszowi Piegatowi podlegają sprawy zatrudnienia i usług. Przyznaje on, że problem chłopów-robotników wią-

że się z fluktuacją załogi: — dzisiaj pracują w fabryce, ale na drugi dzień mogą powiedzieć — idę na swoje. Praca społeczna i polityczna jest z nimi trudna. Kiedyś szukałem w Komitecie Powiatowym PZPR w Pruszkowie chłopów-robotników, członków partii, znalazłem, po mozolnych poszukiwaniach, kilkunastu. Za dużo mają pracy. Nie mają czasu wolnego dla siebie!

Kontynuuję rozmowy „na szczycie”. Dyrektorowi Wacławowi Tkaczowi podlega administracja i usługi socjalne.

Nie będę powtarzał wynurzeń Oziębły, Zyska i Bety, którymi dyrektor również mnie poczęstował. Przytaczam tylko najbardziej charakterystyczne określenia:

— Chłoptwa mamy dużo. Stworzyliśmy w Zakładzie dobre warunki socjalne, ale oni korzystają z nich w stopniu minimalnym, ponieważ nie mają wolnego czasu. Szczególnie dużo zatrudniamy ich w straży przemysłowej i w straży przeciwpożarnej, w kuźni i w odlewni.

Czas na rekapitulację. Za powtórzenie pewnych faktów — przepraszam. Wypowiedzi bohaterów „Niewolników pociągów” zyskały potwierdzenie.

Chłopi-robotnicy i kierownictwo „Ursusa” stwierdzili zgodnie, że nie wszyscy pracownicy korzystają w odpowiednim stopniu z dóbr socjalnych. Dyrekcja zapewniła bardzo dobre warunki wypoczynku i leczenia robotnikom mieszkającym na terenie „Ursusa”, natomiast nawet w planach nie widzi, w jaki sposób zrekompensować trud dojeżdżającym.

W licznych rozmowach zadawałem dwa pytania:

W jaki sposób Zakład zapewnia ludzkie warunki socjalne chłopom-robotnikom?

Czy Zakłady planują zmianę aktualnej sytuacji socjalnej chłopów-robotników?

Pytani najczęściej kłopotliwie milczeli. W trakcie ciągłego wzrostu produkcji zagubiono i m i g r a n t ó w p r z e m y ś ł o w y c h.

Pojechałem jeszcze raz na wieś. Do gromady Jaktorów skupiającej dziewięć wsi. Jak zapewnia Krystyna Jackowicz, sekretarz biura Prezydium GRN, większość kobiet i mężczyzn z Jaktorowa, Chylic, Chyliczek, Bud-Grzybek, Bud-Michałowskich, Bud-Starych, Sadych-Bud i Międzyborowa pracuje w „Ursusie”. Mają przeważnie około 2 ha ziemi, pracują „na okrągło” w fabryce i na roli.

— W Jaktorowie chcemy wybudować remizę strażacką. Zakłady Mechaniczne „Ursus” mogłyby przeznaczyć część pieniędzy

dla swoich pracowników, mieszkających w gromadzie jaktorowskiej chociażby na budowę remizy.

Na zakończenie skromny postulat. Część pieniędzy wypracowanych przez chłopów-robotników w „Ursusie” i dziesiątkach innych zakładów należy wykorzystać w miejscowościach, w których oni mieszkają. Na budowę remiz strażackich, mostów, dróg i domów kultury. Dyrektor Tadeusz Piegat zaatakuję mnie argumentem: przepisy nie pozwalają. Chciałbym więc przypomnieć, że przepisy układają ludzie dla ludzi i ludzie powinni je zmieniać. Dla dobra ludzi.

Edmund ŻUREK

Tygodnik Kulturalny, 7 grudnia 1969

BEZ BOGA I MILICJI

Te budowle sterczą tu spod śniegu co kilkanaście, albo co kilkadziesiąt kilometrów. Ze świerkowych bali, długie, z jednym kominem. W jednej szczytowej ścianie — okno. W drugiej — szerokie wrota. Wzdłuż ścian, wysoko — rząd małych dziur-okienek, zapchanych sianem.

Jedną trzecią część tego budynku zajmują ludzie. Reszta należy do koni.

Do koni należy też dół pod śniegiem, z którego dzisiaj sterczą dwie końskie zadnie nogi — jakby siłą wyprężone do nieba, z podkowami u kopyt.

Rankiem siada tu mgła.

Przy budynku — foremna piramida stogu siana i łagodne zarysy czegoś, co może być baterią rozjechaną przez czołgi: duże ogumione dwukołowki w nieładzie — jak rozbite jaszczce. Rozmontowane wozy z opadniętymi rozworami — jak ogony dział. Ośnieżone dyszle sterczą jak lufy. Nakryte śniegiem olbrzymie sanice stoją w szeregu, niby sprzęt saperów mostowych, albo sprzęt wojskowy zupełnie niewiadomego przeznaczenia. Park Konny nr 12.

Komin dymi. Ze stajni wychodzą konie i ludzie.

Bez pośpiechu.

Ludzie śmiesznie podskakują na ścieżce do stogu siana, wydeptanej w lodowe dziury. Konie sztywno stawiają pierwsze kroki po nocy, wdychają mroźne powietrze, szeroko otwierają drżące chrapy i chrapami puszcza łądne pióropusze ciepłego wydechu. Senne jeszcze, przeciągają się i pobrzękują łańcuchami.

Bez pośpiechu odchodzą od stajni, para za parą. Teraz na grzbiet każdego lewego wskakuje wozak. Para za parą wychodzą za bramę Parku. Zaraz nikną w głębokiej debrze, w śnieżnym jarze. Potem nagle ukaza się wysoko i krętą ścieżką wydeptaną

kopytami, będą podciągać się wyżej i wyżej. Za każdą parą koni wlecze się worek wypchany sianem i przepasany łańcuchem, z zatkniętą siekierą — jak ludzka kukła.

Kukła reaguje na każde szarpnięcie łańcucha. Podryguje, przewraca się na boki, albo spokojnie daje się wlec. Konie z opuszczonymi głowami podciągają się wyżej i wyżej. Jeźdźcy pochylają się nad grzywami. Kukły podrygują. Cholerna kawaleria.

Nagle giną w lesie, skręcają gdzieś w bok, na nowy oddział, tam, gdzie jeszcze nogi końskie nie wybiły dołów na ścieżce, brzuchy nie przetarły śniegu. Zapadną się, pójdą susami, jak na jeziornej głębinie. Szarpane kukły będą jeszcze wyżej podskakiwać, i coraz bardziej po ludzku przewracać się i tarzać, rozbijając się bezwładnie o ośnieżone pnie. To będzie orgia kukieł wytarzanych w śniegu, szal brzuchatych, ludzkich manekinów przepasanych łańcuchem, z siekierą. Kiedy konie zatrzymują się dla złapania tchu — kukły leżą bezwładnie, tak jak upadły, nie poprawiają się w śniegu i nie wstają sapiąc. A gdyby kiedy przemówiły: „cholerna góra” — ani wozak, ani koń by się nie zdziwił.

Kiedy śnieg już będzie brudnoszary, pod wieczór — zamrożone umęczonym stępem konie wracają ze swojego białego piekła. Wraca 12 szwadron niepokonanych. Teraz jeźdźcy mają siekiery ze sobą zatknięte za pas.

Zwiesili głowy, kiwają się miarowym taktem końskiego kroku. Cholerna kawaleria rozluźnia mięśnie.

Cały dzień walka. Ci cholerni ułani ze swoimi brzuchatymi manekinami na łańcuchach są dziś w akcji na oddziale 105-tym. Stamtąd lepiej było jesienią zerwać, ale nie dali rady. Tu trzeba, tam trzeba. Pilarze więcej tną niż konie mogą zerwać. Wiadomo — pierwsze do zrywki idą lepsze oddziały, gdzie nie trzeba tak umęczyć koni i siebie. Na 105-tym leżą kłoce olbrzymy, po dwa kubiki i więcej. Tam jest cholerna robota, ale gdzie jest lepsza? Na składnicę trzeba ciągnąć niedobrym szlakiem daleko w dół, tam, gdzie wiosną podjadą samochody. Jadą raz w górę i ciągną raz w dół. Dwa razy nie obróci, bo robi się ciemno i konie drugi raz nie pójdą pod górę — cudów nie ma. Tu koń robi, co może. Trzeba go szanować. Właściwie co dnia pracują tak długo, jak długo konie są sprężyste w nogach i jak długo myślą. Kiedy już koń przestaje samodzielnie reagować na ruch kłoca — koniec roboty. Kiedy koń wiotczeje w lejcach, pada na kolana, albo kładzie się w śniegu — to już jest zabójstwo, nie robota. Do tego nie wolno dopuścić, to jest przemęczenie i śmierć.

Cały dzień walka. Krzyk. I bieg przy kłocu. — I kombinacja — jak go ruszyć, jak zapiąć łańcuchy, jak wlec albo skąd rzucić i dopiero dalej wlec. I krzyk, i bieg. Śnieg po brzuchy

— duże, krępe, pocziwe i wyrozumiałe dla człowieka konie idą krótkimi zrywami jak długo mogą — bez odpoczynku. Pięć, dziesięć, pięćdziesiąt metrów, czasem sto. Przystają, ciężko dyszą, parują całym ciałem, robią bokami w pianie i pocie, i bez ponaglenia rzucają się dalej naprzód, piersią napierają na rzemienie silne, jak łańcuchy. A kloc za nimi ryje czołem w śniegu albo tańczy na stoku, obija boki żywym drzewom, aż dudni po lesie. Głucho i strasznie.

Od tego bocznego ciosu wozak musi cały dzień uciekać. Taki cios miazdży w środku, w sobie. Nic nie można poznać, wozak nie krzyknie, tylko oczy szeroko otworzy, jakby zdziwiony, i już nie żyje.

I tak cały dzień. Bieg w śniegu po pachwiny, przekleństwa i pieszczotliwe głaskanie końskich grzyw. I głowa wozaka oparta o mokrą końską szyję, zamknięte na chwilę oczy. Koni i ludzi — odpoczynek. I znów krzyk. I bieg. Charczą zachrypnięci „kurrrwa — nie koń” i przepraszają serdecznie „maluśkie — dalej...”, i tklawie oszukują „jeszcze troszeczkę...”.

Wozak musi biec z lewej strony, między końmi i klocem. To jest ich cholerna walka. O skarby gór. Ktoś to musi zrobić — do wielkiej cholery.

Kiedy wracają zgarbieni na koniach — każdy z nich kryje głęboko pod waciakiem postanowienie: uciekać! Uciekać z tego kurewskiego białego piekła! Zarobić i uciekać!

Po wypłacie, raz na miesiąc — idą do Żyda, bo muszą, jasne? To są karczmy, co pięćdziesiąt kilometrów. Żydów nie ma, jest tylko przedwojenna nazwa. Potem przez trzy dni częściej odpoczywają w biegu przy koniach i nie mogą o niczym myśleć — Żyd określa świadomość, jasne? Kiedy znów myślą o ucieczce — nie mają siły postanowić. Kiedy są wypoczęci — honor nie pozwala rzucić roboty, dlatego, że ciężka. I tak w kółko...



Stadnicki oparł się łokciami na klocu, pod którym leży Kurcipa. — No i co teraz? — Stadnicki pyta spokojnie, tak spokojnie, że aż strach słuchać, a Kurcipa leży i już ledwie dyszy. Kloc przyniósł go w pół — nogi wolne z jednej strony, głowa z drugiej. Może nawet nie jest połamany, bo głęboki śnieg, ale wydostać się stamtąd nie sposób.

— Ratuj, Stadnicki, ratuj — Kurcipa może jeszcze wołać, ale niegłośnie i z przestępką, bo mu ciasno w żebrach.

— A ty Staszka poratowałeś? Na 39-tym... Poratowałeś, czy nie, skurwysynu... Odpowiadaj. — Stadnicki jest zimny. Kurcipa

nie może mówić, za długo tu leży. Ma już szarą twarz i niebieskie wargi.

— Ratuj, Stadnicki... Wszystko dam, oddam... ratuj... — będzie płakał? Za kołnierzem, bierz. Zegarki. Stadnicki, bądź człowiekiem, za kołnierzem...

Stadnicki stoi oparty o kłoc, pochylony nad podgiętymi w górę plecami Kurcipy, bo brzuch ma wciśnięty w śnieg. Stoi tak oparty, zamyślony i smutny, i mówi jak do siebie:

— A ty byłeś człowiekiem? Bo ty byłeś, ciebie już nie ma... — powoli wyjmuje z kieszeni nóż, mocniej przegina się nad kłocem i w fufajce za kołnierzem Kurcipy hakowato zakończone ostrze sierpaka tnie długą krechę i zieje brudna wata — Kurcipa przekreślony nożem.

Nielichy ty byłeś, Nielichy... I nigdy nie wiedziałeś która godzina...

— ...
— Nie drzyj mordy, popatrz lepiej która godzina... Raz będziesz wiedział... — Stadnickiemu jest smutno.

Kurcipa nie dowie się godziny śmierci, bo zegarki długo nie nakręcane. Stadnicki wydłubuje jeszcze z brudnej waty trzy złote, ale zupełnie miedziano-matowe, biedne obrączki i jeden złotoczarny ząb.

— Kurcipa, ale cię wyczułem, co? — Stadnicki dziwi się. Rzuca to wszystko w śnieg przed nos Kurcipy i to nie tonie, bo śnieg ubity kułakami.

Teraz Kurcipa już wie, że to sąd. Leży pod sądem. I ma jeszcze nadzieję na łaskawy wyrok, dlatego pokornie stęka.

— Gdybyś poratował Staszka, to byś stracił dniówkę, no nie? Dniówkę byś dostał, gnoju. Tylko za zrywkę byś stracił, tyle co pół litra. Ty nie lubisz tracić, co?

Stadnicki nie wie, jak to zakończyć, a Kurcipa stęka, syczy, świszczce. Stadnicki widzi bat Kurcipy. Biczysko kręcone ze stalowych, prostowanych sprężyn. Wszyscy wozacy robią sobie takie biczyska, niełamlliwe. Ale na końcu rzemienia bata Kurcipy Stadnicki widzi związane w pęczek hufnale. Spojrzał na kark Kurcipy, na konie — zady poprzekreślane pręgami krwi.

— To ty, Kurcipa, takim cierniowym batem jeździłeś? — Musiał te gwoździe w lesie rano przywiązać i wieczorem odwiązywać, bo nikt u niego takiego bata na parku nie widział. — Taki cierniowy bat miałeś na koniki? To niech cię teraz twoje koniki ratują...

Nareszcie Stadnicki znalazł wyjście z sytuacji i może spokojnie zapalić papierosa. Daje Kurcipie szansę: niech go ratują jego konie. Bo kłoc z Kurcipy można zerwać tylko końmi. Jeden czło-

wiek niczym go nie zelży, nie uniesie. Stadnicki wie, że to trzeba zrobić tak, żeby kłoc nie toczył się już drugi raz po biodrach i po nogach: ten cienki, co tu leży na prawo, trzeba podciągnąć prostopadłe do grubego na Kurcypie. Podkopać się pod czoło grubego i tam wciągnąć czub cienkiego. Zapiąć konie do grubego i po tym cienkim polecą jak po szynie, od razu unosząc się... Zejdzie z człowieka za pierwszym szarpnięciem koni i już się nie opuści. To trzeba tak zrobić. Stadnicki najdłużej tu pracuje.

— To niech cię twoje koniki ratują... — podszedł do koni, odhaczył łańcuch na grubym kłocu.

— Wio, maluśkie...

Żelazo klaszcze na mrozie, łańcuch osuwa się w śnieg. Konie powoli ruszyły i zaraz zatrzymały się, niepewne — co dalej? Przecież nie odejdą od ludzi, nie zostawią ich samych.

Cicho, cichutko... Tylko koń czasem ciężko westchnie. Kurcypa przestał niezrozumiale pieprzyć pod nosem, zimnym i szaroniebieskim.

Las stoi nieporuszony. Wielkie, grube i potężne buki-kolosy. I olbrzymie gołe, wykręcone do nieba konary.

Słysząc jak idzie mróz.

Stadnicki przepycha się w śniegu do swoich koni i odchodzą. Konie Kurcipy oglądają się za nimi, smutno patrzą, z pełną rezygnacją pozostają odhaczone przy kłocu na Kurcypie. Z obowiązku, nie z miłości.

Niebo czernieje.

Tak zginął Kurcypa — wozak Waldemar Kurczycki, który niepotrzebnie przeżył wojnę.

Leon BIEHLER

Argumenty, 7 grudnia 1969

WESTERN PO POLSKU

Jadąc z Bystrzycy minęliśmy Długopole i czas nam skrócić było z wygodnej szosy do Międzyzylesia, aby wbić się w drogi o wiele gorsze, gdzie pojawiają się kamienie i szerokość się zmniejsza im bardziej wzwyż i w głąb Gór Bystrzyckich, bo oto one przed nami. Ale ja właściwie nie o tych drogach chcę mówić, lecz o ludziach, których tu już nie ma. O ludziach, którym moje zachwyty na pewno mogłyby się wydać czężą gadaniną niedo-warzonego turysty.

Bo cóż dla nich jakieś uroki, gdy oni w tych górach nie mogli dla siebie znaleźć w dostatecznej ilości chleba i innych rzeczy do życia nieodzownych, nie mogli podołać ciężkiej pracy — oni albo ich dzieci. I po latach im się widziało, że gdzie indziej będzie lepiej, że gdzie indziej jest ich miejsce na ziemi.

Chodzi też o to, co robi się, aby tej ziemi jak najmniej leżało odłogiem, aby ludzie, którzy tu zostali, uwierzyli, że to rzeczywiście jest ich miejsce i to nie prawem kaduka albo złego losu, ale nie gorsze od innych, tak samo dobre, albo nawet i lepsze.

Dramat czasu przeszłego

Zmierzamy najpierw do wsi, o której wiem najwięcej. Przede mną leży praca sekretarza rolnego KP PZPR w Bystrzycy, Zenona Ciapy. Tytuł — Charakterystyka socjologiczna miejscowości Niemojów w pow. Bystrzyca Kłodzka. Zacytujmy pierwsze zdanie ze wstępu: „*Moja praca... jest wstępem do badań nad problemem opuszczania wsi górskich Dolnego Śląska przez rolników... Bada-nia winny ustalić przyczyny „ucieczki” chłopów... konsekwencje tego kroku oraz sposoby przeciwdziałania*”.

Niemojów jest taką właśnie typową wsią górską, których

liczba w latach 1958-68 zmniejszyła się z 34 na 22. W Niemojowie zaraz po wojnie było ok. 100 gospodarzy, w r. 1958 było już 35 rodzin, a w r. 1968 tylko 21. Społeczność niemojowska składała się z repatriantów, z powracających z niemieckiej niewoli, z ludzi pochodzących z Polski centralnej, którzy tu szukali większych możliwości, wreszcie z osadników wojskowych. Podobny skład społeczny jest i w innych wsiach.

Rzeczywistość, którą zastali, nie należała do najłatwiejszych. Wprędce okazało się, że ziemia, której było pod dostatkiem, nie jest najlepsza, o pływającej warstwie ornej, gorsza niż w Bieszczadach. Warunki klimatyczne niekorzystne. Stronne, trudne do uprawy stoki.

Do tego dołączyły się błędy tamtego okresu — krzywdząca rolników zbyt wysoka klasyfikacja gruntów, zbyt wysokie obowiązkowe dostawy itp.

Doszły też tarcia wewnątrz samej społeczności, niemojowskiej, normalne trudności integracyjne. Zauważył nade wszystko konflikt między rodzinami pochodzącymi w dużej przewadze z terenów wschodnich a rodzinami z centralnej Polski, doprowadzając do izolacji tych ostatnich. Ciekawe, że mimo poczucia wspólnoty, rodziny zza Bugu na nowym terenie przestały kultywować dawne tradycje.

Mimo wszystko część osób została. Porozmawialiśmy z kilkoma z tych, którzy przetrzymali.

Ludzie z kwaśnego ciasta — próba portretu

W Niemojowie gospodarzy Michał Wac. Znalazł się tu w roku 1947 po skończeniu służby w WOP.

— *Trudna jest sprawa z dziećmi w wieku szkolnym. W Niemojowie zlikwidowano szkołę z powodu małej ilości dzieci. Trzeba je oddawać do szkoły z internatem do Bystrzycy.*

Do kolei w Domaszkowie ma 17 km, w zimie drogę trzeba najpierw konno przetrzeć, a potem saniami, autobus już wtedy nie dochodzi. Bardzo pomaga dorabianie poza rolnictwem. W Niemojowie pracuje się przy zrywce i ścinaniu drzew w lesie.

W pobliskim Poniatowie zajechaliśmy do Stanisława Wasilewskiego. Mieszka tu od r. 1946. Odziedziczył najgorsze gospodarstwo — 1 krowa i 1 koza i liche zabudowania. Dawniej było tu 25 gospodarzy teraz 10.

— *Szkoła 4-klasowa została zlikwidowana 4 lata temu —*

za mało dzieci. Kłopot z nimi, bo trudno przecież rodzicom oddać małego pierwszoklasistę do internatu, z tego powodu sporo wyjeżdża.

Po dłuższej jeździe drogą nad rzeką Dziłą Orlicą, która stanowi granicę państwa — ma tu w przyszłości prowadzić okazała droga służąca zarówno turystom, jak i miejscowym — dojechaliśmy do Mostowic. Stąd już niedaleko do schroniska w Spalanej. Władysław Zuk znalazł się tu w r. 1946. Wtedy w samych Mostowicach było 40 rodzin, a w pobliskich Pieskowicach 33 gospodarzy. Teraz w obu wsiach jest tylko ośmiu.

— *Dużo było ludzi przypadkowych — wspomina — był nawet krawiec, który chciał zostać rolnikiem. Dopiero od 2-3 lat ludzie zatrzymali się, kiedy wprowadzono kursy PKS.*

W lecie dorabiał sobie w Rejonowych Zakładach Rolniczych Targoszyn, które opodal miały pole doświadczalne. Z turystów jeszcze nie ma pożytku, jest ich za mało, no i zabudowania nie pozwalają na szerszą działalność. Stąd nie odejdzie — roboty się nie boi, a wszędzie trzeba robić. Jak i poprzedni dwaj gospodarze nie będzie miał następcy. Fakt, że tu trudno. W zimie jak zawieje, to śnieg aż do połowy tabliczki PKS na słupie. Do Młotów — większy ośrodek nieco — 10 km, chyba na nartach.

Już z tej pobieżnej prezentacji widać, że w górach zostali ci najsilniejsi, najtwardsi, najbardziej uparci, a jednocześnie potrafiący się dostosować do odmiennych warunków, do innego sposobu gospodarowania. Nasi bohaterowie mają od 14 do 7 ha lichej ziemi — IV, V i VI klasy. Dlatego utrzymują się przede wszystkim z hodowli — przeciętnie po 10 sztuk bydła. Prócz tego uprawiają owies i ziemniaki, a jeden nawet kontraktuje len. Przychodowość roczna rzędu 30-40 tys.

Powodzi im się dobrze. W domach widać porządne nowe meble, radia, telewizory, pralki, a pod oknami stoją motocykle. Jeden czy dwóch nieśmiało myśli o samochodzie. Tak więc nakład pracy włożony w tę ziemię opłaci się.

Problem zagospodarowania terenów górskich pozostaje nadal otwarty. Z 1045 gospodarzy w wieku powyżej 60 lat tylko 524 ma następców. Proces starzenia się ludności tych wsi jest więc bardzo przyspieszony. Młodzież trzyma się jeszcze tam, gdzie jest życie kulturalne, gdzie są Kluby „Ruchu” czy Młodego Rolnika — np. wieś Potoczek. Nic zatem dziwnego, że sprawy te są przedmiotem dużej troski i uwagi władz powiatowych. Usiłowania poszły w dwóch kierunkach: z jednej strony przyhamowanie procesu wyludniania się gór, a z drugiej strony zagospodarowanie tych terenów.

Do pierwszego celu zmierza projekt — zatwierdzony przez WRN we Wrocławiu i przekazany do aprobaty władzom centralnym — systemu ulg i bodźców — pomocą w inwestycjach mają być pożyczki bankowe nieoprocentowane. 40-proc. bonifikata w postaci sztucznych nawozów na nawożenie użytków zielonych przy kontraktacji bydła i kupnie mleka, przydział ciągników z importu dostosowanych do pracy na terenach górskich, zapewnienie maszyn do uprawy traw szlachetnych i szeroka kontraktacja tych traw.

Z drugim celem zetknęliśmy się wymijając samochody załadowane dorodnymi jałowkami. Kończył się wypas, w tym roku zorganizowany po raz pierwszy. Bydło w czasie jego trwania przybiera na wadze po ok. 100 kg. Tak wygląda realizacja uchwały o zagospodarowaniu 8 tys. ha z PFZ. W tym roku na terenie o powierzchni 1500 ha od trzeciej dekady maja wypasano 4,5 tys. sztuk bydła i 1000 owiec.

Z powodu zjawisk, o których była mowa powyżej, przewiduje się, że w przyszłym planie 5-letnim trzeba będzie zagospodarować 11,7 tys. ha ziemi. Oczywiście będzie to tylko możliwe przy wykorzystaniu nowoczesnych form gospodarczo-ekonomicznych, wypracowanych w naszym ustroju. Jasne jest bowiem, że to nie może być gospodarka tradycyjna, drobnotowarowa. Na razie było w dużej mierze przywozi się z PGR nizinnych, spoza terenu powiatu. Zbyt duże jednak są koszty transportu i było też na tych eskapadach nie najlepiej wychodzi. To jest tylko pierwszy etap.

Następnie zostaną zorganizowane nowe PGR-y w Wilkanowie, Ganiku, Roztokach, Gorzanowie, Trzebieszowicach oraz Idzikowie. PGR-y te założą m.in. 7 tys. ha kwaterowych pastwisk o zagęszczeniu docelowym 100 szt. bydła na 100 ha.

Oczywiście, konieczne są nowe inwestycje. Nakłady na rejon wypasów sezonowych wyniosą ok. 15 mln zł. W ten oto sposób zostanie zakończony dramat ziemi, ziemi opustoszałej oraz ludzi, którym trudno było w tych pięknych kolorowych górach znaleźć miejsce dla siebie.

Krzysztof GŁOGOWSKI

Słowo Powszechne, 6/7 grudnia 1969

NAD PUSTĄ STUDNIĄ

Wrocławianie pierwsi wiedzieli, że do tego dojdzie. Już w końcu lipca zawiadomiono ich z ratusza, że wodę pitną będzie się wydzielać na litry. Pod karą grzywny, a nawet kolegium, zrezygnowali mieszkańcy nadodrzańskiego grodu z podlewania ogródków, mycia samochodów, zraszania placów przed domami itp. Mimo to, w dzień krany były suche i zdobycie wody na obiad stało się omal problemem.

W połowie lipca na listę męczenników mimo woli wpisały się Zielona Góra, a za nią: Andrychów, Kraków, Sandomierz, Kielce. Wkrótce w większości miast w kraju woda pitna stała się najbardziej poszukiwanym surowcem. Na ulice wyjechały beczkowozы; rady narodowe wyciągnęły z lamusa etaty nosiwodów. Ceny wiadra czystej wody zaczęły skakać do góry: 50 gr, 1 zł, a we Wrocławiu podobno nawet 5 zł...

11 bm. prezes Rady Ministrów wydał zarządzenie zobowiązujące ludność i przemysł do maksymalnej oszczędności wody. Sytuację uznano za wyjątkową i wyjątkowe przedsięwzięto kroki. Pojawiły się prowizoryczne studnie, próbowano nawet drążyć dna wyschłych rzek. Właściciele suchych łazienek otrzymali polecenie używania wody z kranów nawet wówczas, gdyby miała ona kolor pomidorowej zupy. „Taki surowiec — głosiły ulotki przedsiębiorstw wodociągowo-kanalizacyjnych — również można uważać za wodę pod warunkiem jej przegotowania”.

Susza przez cały rok

— Jak długo? — zapytywali mieszkańcy Zielonej Góry w liście do miejscowej redakcji.

— Dopóki nie spadną deszcze — brzmiała, zgodna z prawdą odpowiedź.

Trudno jednak uznać suszę za jedyną przyczynę pustych źródeł np. w Andrychowie, skoro co najmniej od 4 lat staje się tam po wodę w kolejkach. Podobnie jest w Sandomierzu. Do ub. roku nie doprana bielizna i brudne szyje dzieci były wstydliwą tajemnicą miejscowych kobiet. Ale ostatnio oddano tam superluksusowy Dom Turysty. Zbudowany ogromnym kosztem po 10 latach, z myślą o licznych gościach królewskiego grodu. Niezbędny miastu hotel stoi dziś prawie pusty, bo w chwili przecinania wstęgi okazało się, że — drobiazg — nie dochodzi do niego woda. Trzeba przynosić ją aż z podnóża skarpy, wiadrami. A w Kraśniku? Czy to susza przyczyniła się do epidemii tyfusu w tym mieście? Nie. Zaraza wybuchła z powodu braku dobrej wody, której niedostatek Kraśnik Frabryczny odczuwa od lat, w miarę dołączania do starej sieci nowych dzielnic.

Nie łudźmy się. Tegoroczne upały tylko przyspieszyły suszę w „wodociągach”. Jedną z zasadniczych przyczyn katastrofy jest — obok częstego braku środków na inwestycje — niewłaściwa organizacja pracy tych przedsiębiorstw.

Gdzie kucharek sześć...

Parę znanych prawd. Fakt pierwszy — kryształowe źródła zdarzają się już tylko w górach i to nie wszędzie. Mieszczuch pije wodę z rzeki; tę samą, którą płyną statki, ścieki, a niekiedy ławice zdechłych ryb. To mówi samo za siebie. Rozwodzenie się nad skomplikowanymi problemami, z jakimi muszą się uporać zakłady produkujące czystą wodę, jest zbędne.

Fakt drugi — wody używamy coraz więcej. Naukowcy obliczyli, że za 15 lat jeden człowiek będzie zużywał w ciągu doby 300 litrów.

Fakt trzeci — wodę trzeba produkować. W Polsce, gdyby wielkość tej produkcji obliczać liczbą zajmujących się nią przedsiębiorstw, byłibyśmy bodaj najzasobniejszym w wodę pitną krajem w Europie.

Prawie 700 przedsiębiorstw dostarcza tego niezbędnego surowca. W dużych miastach tzw. uzdatnianiem wody zajmują się specjalne przedsiębiorstwa wodociągowo-kanalizacyjne, podległe Zjednoczeniom Gospodarki Komunalnej. Te zakłady są stosunkowo dobrze zaopatrzone, czasem mają nawet specjalistów. W miastach powiatowych poją nas zakłady o podobnej nazwie, ale innej strukturze: wchodzą one w skład przedsiębiorstw wielobranżo-

wych. W porównaniu z potentatami wojewódzkimi są to kopciuszki. Brakuje im sprzętu i pieniędzy. Ich rola ogranicza się więc do wykorzystywania istniejących rezerw wodnych i organizowania tzw. prowizorek. Tragiczny w skutkach (wybuchła epidemia czerwoni) pomysł podłączenia do sieci miasta obcego, nie zbadanego bakteriologicznie ujęcia kolejowego w Chełmie Lubelskim, zrodził się właśnie w takim zakładzie.

Trzecią grupę „wodociągów” stanowią zakłady podlegające bezpośrednio miejscowym radom narodowym. Zespoły takich przedsiębiorstw składają się zazwyczaj z przyuczonego hydraulika i szefa — w najlepszym razie absolwenta technikum mechanicznego. To nie znaczy, że ludzie ci nie mają nic do roboty; przeciwnie, do ich obowiązków należy czuwanie nad właściwą jakością wody nie tylko w mieście ale nawet i we wsi, o ile naturalnie jest ona skanalizowana.

„Wodociągi” gubi decentralizacja. Zasada, skądinąd bardzo dobra, w tej dziedzinie przynosi jak najgorsze skutki. Rady narodowe powiatowego szczebla nie są zdolne należycie dbać o bardzo kosztowne inwestycje wodociągowe. Nie mają na to pieniędzy, ani fachowców. Nie mają też niezbędnego laboratorium. Ale myliłby się czytelnik sądząc, że chodzi tylko o pieniądze. W siedzibach województw występują jeszcze większe problemy, choć wiadomo, że tam łatwiej wyszukać potrzebne fundusze. Problemy biorą się z partykularnego spojrzenia gospodarzy miast i regionów. Przesada?

Casus Krakowa i innych

Krakowowi od dawna należy się nowe źródło wody do picia. Wisła pod Wawelem jest już za brudna. Opracowano ujęcie na Rabie. Niestety, nie może wejść ono do realizacji, ponieważ zabrakło na nim podpisów dwóch prezesów: miasta i województwa. Spór między gospodarzami toczy się już cztery lata i dawno przestał dotyczyć spraw merytorycznych. Nadziei na rychły jego koniec nie widać...

Historia podwawelskiego grodu nie jest jedynym w kraju przykładem triumfu jednostkowych pretensji nad dobrem ogółu. Równie zawzięcie kłóciły się o ujęcie Pilicy województwo kieleckie z łódzkim. Ojcowie włókienniczej stolicy usiłowali za wszelką cenę przeforsować wersję, całkowicie sprzeczną z interesem kieleckiego rolnictwa.

Każdy sobie. Choćby taka Sułoszowa, miasteczko położone na skalistym płaskowyżu nad Prądnikiem, z góry skazane na do-

wożenie wody kilometrami. Sułozanie postanowili wybudować sobie wodociąg. Gdy wieść o tym dotarła do krakowskich geologów, uderzyli w „Zygmunta”. Wiercenie w składach nad Prądnikiem może doprowadzić do ucieczki całej rzeki! „Jest to sprzeczne z koncepcją zagospodarowania wód w obszarze krasowym” — wołali naukowcy.

Ale gospodarze Sułoszowej postawili na swoim; nie troszcząc się o interesy regionu.

W jednym ręku

Oczywiście, teraz, w czasie kryzysu należy skrupulatnie wykonywać zarządzenia prezesa Rady Ministrów. Ale, gdy sytuacja się unormuje i przystąpi się do obliczania strat (tylko w małym Andrychowie miesięczny przestój fabryk z braku wody kosztował 30 mln zł), warto zastanowić się nad zreorganizowaniem „wodnych” zakładów. Zebranie ich niemocy w jedną siłę, jest chyba jedynym sposobem na poprawę sytuacji.

Nie wiem, jak należałoby nazwać takie jednostki — może rejonowe zjednoczenia wodociągów i kanalizacji? W każdym bądź razie muszą podlegać jednemu resortowi i jednej centralnej komórce, wyposażonej w samodzielne biuro projektowe, ośrodki badawczy i inwestycyjne, radom narodowym należałoby natomiast pozostawić kompetencje dysponentów państwowych pieniędzy.

Nie obawiajmy się, że w ten sposób zabiera się gospodarzom terenu władzę. Proponowany system z powodzeniem stosują nasi zagraniczni sąsiedzi, a ostatnio próbuje wprowadzić go w życie woj. wrocławskie.

Warto ryzykować, niewiele jest do stracenia.

Helena KOWALIK

Życie Warszawy, 24-25 sierpnia 1969

KLUCZ DO M-3 CZYLI LEKCJA STOICYZMU

Każdy by chciał mieć klucz od M-3. Mieszkanie, takie właśnie w stylu M-3, — dwa pokoje z kuchnią, o powierzchni trzydziestu kilku metrów — a więc nie żaden luksus, ale już nie „nora”, „klitka”, „kąt przy rodzinie”, należy dzisiaj do obiektów najsilniejszego społecznego pożądania. Jest to najbardziej chyba wytęskniona z ludzkich potrzeb, i to nie tylko tych użytkowych, praktycznych, ale również psychologicznych, niespełna duchowych. W mieszkaniu człowiek jest „u siebie” i jest sobą, jest to jedyne miejsce, gdzie może być tego całkiem pewny. Kiedy człowiek ze wsi mówi „u nas w domu”, ma często na myśli swoją okolicę, swoje strony, ich krajobraz, kulturę, obyczaj; kiedy „u nas w domu” mówi mieszkaniec miasta, chodzi mu o to jego M-ileś-tam, jedyny skrawek świata który jest jego udziałnym księstwem.

Wie zapewne o tym wszystkim redaktor Żmuda z telewizji, który swojemu cyklowi programowemu nadał kuszącą nazwę „Klucz do M-3”. Redaktor Żmuda chce nam pokazywać w swoim programie, po jak ciernistej drodze zbliżamy się do naszych M-3. Jego program tuczy się naszymi marzeniami. 19 grudnia 1969 roku redaktor Żmuda zaprosił do studia prezesów spółdzielni mieszkaniowych. Dla normalnego człowieka prezes spółdzielni mieszkaniowej to jest prawie bóg. To jest ten gość, który trzyma w ręku pęk kluczy do różnych „M” i może dać, może nie dać, może dać wcześniej albo później. „Pójdę pogadać z prezesem” — mówi kilka razy do roku, przyparta do ściany wymówkami żony lub smutnymi spojrzeniami domowników, każda głowa spółdzielczej, oczekującej nieraz latami na swoje mieszkanie rodziny i wszyscy patrzą wówczas na niego tak, jakby szedł na wojnę. Potem prezes, wytrenowany w tego rodzaju rozgrywkach, zręcznie a uprzejmie wykopuje zdesperowanego petenta na out, i

wszystko trwa nadal tak jak było, ale jednak rozmowa z prezesem — łudzimy się, rozpamiętywując ulotne minuty kontaktu z bogiem — być może posunęła jednak naszą sprawę do przodu, zanotowała nas w jego pamięci, nastawiła do nas życzliwiej?...

Wie o tym zapewne redaktor Żmuda z telewizji, pokazując nam w swoim programie aż tylu prezesów naraz i pozwalając im mówić do nas o tym, czego nie mogą i na co nie mają wpływu. Praktycznie bowiem, jak się okazało, nie mają wpływu na nic. Nie mają wpływu na to, jak zaprojektowane będą nasze M-3, bo projekty architektoniczne, dobre czy złe, są standardowe i ustalone z góry przez kogo innego. Nie mają wpływu na wykonanie naszego mieszkania, bo wykonawstwem, jak i całą budowę, zajmuje się kto inny. Nie mają wpływu na termin oddania bloków mieszkalnych do użytku, bo to zależy od przedsiębiorstwa, od materiałów, od rąk roboczych a także podobno od pogody. Nie mają wpływu na lokalizację osiedli. Na zagospodarowanie terenu wokół osiedla. Na to, czy będą tam sklepy, sieć usług, szkoły i przedszkola, czy też nie. Na to, czy będzie tam czym dojechać — autobusem, tramwajem, trolejbusem — czy też nie. Nie mają również wpływu na koszt mieszkania.

O tym ostatnim zresztą jeden z prezesów — o ile go dobrze zrozumiałem — powiedział rzecz zadziwiającą i taką, od której włosy zjeżyły mi się na głowie. Otóż oświadczył on, że jeśli przedsiębiorstwo, wykonujące roboty budowlane, zechce na przykład użyć przy pracy jakiś nowocześniejszy dźwig czy inne zmodernizowane urządzenie techniczne, to, rzecz jasna, koszt mieszkania musi podskoczyć o kilka złotych na metrze.

Mój Boże, do tej pory wydawało mi się zawsze, że cała ta zabawa z techniką i technologią polega na tym, że jeśli się wprowadza do pracy nowoczesne urządzenia, to produkuje się dzięki temu taniej, albo szybciej, to znaczy znowu taniej. Tymczasem jednak, jak się okazuje, jest odwrotnie — im większa i nowocześniejsza mechanizacja, tym wyższe koszty. Najtaniej jest robić rękami i nosić cegły na plecach. Kiedy opowiedziałem to, zdumiony, komuś ze znajomych, spojrzał na mnie jak na osobę chorą: — toś ty o tym nie wiedział? I udowodnił mi, że rzeczywiście wiedziałem. Wiedziałem na przykład, że sztuczne tworzywa w przemyśle konfekcyjnym wynaleziono po to, aby, produkowane fabrycznie i tanio, zastępowały kosztowny jedwab lub płótno; ale przecież wiem, że koszula *non-iron* kosztuje u nas średnio cztery razy drożej niż koszula z prawdziwej popeliny. Albo wiedziałem, że jeśli jakiś bogacz na Zachodzie chce mieć samochód szczególnie luksusowy, to każe go wewnątrz wykończyć drzewem zamiast plastiku czy dermy; ale przecież wiem także, że u nas,

jak coś ma być najtańsze — na przykład opakowanie taniego produktu spożywczego albo skrzynka do rozwożenia gorzałki — to się ją robi z drzewa, albo z papieru, czyli znowu z drzewa. A więc wiedziałem o tym wszystkim, tylko nie skojarzyłem tego jakoś z budownictwem i jest mi wstyd.

Wie o tym jednak zapewne znacznie lepiej ode mnie redaktor Żmuda z telewizji, bo go to wcale nie zdziwiło i puścił rzecz o dźwigu mimo uszu, jakby mówiono o pogodzie. Później zresztą okazało się, że obojętność redaktora Żmudy miała swoje głębsze źródła. Po prostu lamenty prezesów spółdzielni mieszkaniowych — ów wstrząsający pokaz bezsilności bogów — redaktor Żmuda nagrał na tele-recording i w trakcie programu oglądał je razem z nami, tyle tylko, że na dodatek w towarzystwie jakiegoś dyrektora, od którego, jak należy mniemać, zależy to wszystko, co nie zależy od prezesów.

Nie potrafię się domyślić, dlaczego ów dyrektor nie usiadł razem z prezesami w studio. Być może wówczas prezesi postawiliby mu kilka pytań, na które musiałby im i nam odpowiedzieć. Być może w studio, w rozmowie z ludźmi, którzy nic praktycznie nie mogą dźwigają jednak na swoich barkach cały potworny ciężar zawiedzionych ludzkich nadziei i oczywistych w swojej słuszności pretensji, musiałby się z czegoś tłumaczyć albo przynajmniej coś wyjaśnić. Ze strony redaktora Żmudy natomiast nic takiego nie groziło mu ani przez moment. Obaj panowie siedzieli sobie spokojnie w kuchni — o czym świadczy niezbitcie stół, nakryty serwetą w kratę i z frędzlami oraz gustowny element szafki z płyt spілńnionych w tle — po czym dyrektor, wysłuchawszy tego wszystkiego, co zostało powiedziane przez prezesów, roześmiał się serdecznie, powiedział, że w gruncie rzeczy mógłby może na to wszystko ewentualnie odpowiedzieć minister, dodał, że jeśli chodzi o plan to i tak nie zostanie wykonany, po czym pan redaktor Żmuda z telewizji grzecznie mu podziękował. Na tym program się skończył.

Przed jakimś czasem napisałem króciutki felieton w oparciu o, publikowany w „Życiu Warszawy”, list jakiegoś pana J. B., w którym tenże uważał, że prasa nie powinna krytykować władzy; ja uważałem inaczej i dałem temu wyraz. Podobno — jak powtarzali mi znajomi — skarciło mnie za to surowo „Polskie Radio”, co ważniejsze jednak otrzymałem także kilka niezrozumiałych dla mnie listów od czytelników, którzy przysięgając, że nie są żadną władzą, również jednak mieli niejaki wątpliwości, czy mam rację. „Panie — pisali — o jakiej prasie pan mówi?” I rzeczywiście — podczas kiedy ja imaginowałem sobie rzetelnych, przenikliwych, znających się na rzeczy i domagających się

od przedstawicieli władzy konsekwencji i gospodarskiego myślenia dziennikarzy, czytelnicy moi mieli przed oczyma po prostu redaktora Żmudę z telewizji. To znaczy człowieka, który nagrał na taśmę prezesów, potem obejrzał tę taśmę z dyrektorem, potem wysłuchał spokojnie kilku stoickich stwierdzeń prowadzących do konkluzji, że „prawdziwą mądrością — jak powiedział Epiktet — jest chcieć właśnie tego, czego chcą bogowie”, a potem rzekł „dziękuję”. Na samym zaś końcu, już po zakończeniu programu, postawił pewnie na jakimś tam swoim planie ogromnego czerwonego „ptaszka”, co miałoby znaczyć, że w telewizji odbył się bardzo ważny, bardzo konkretny, bardzo gospodarski program, który nie tylko wyjaśnił nam, jak to jest z tym kluczem od M-3, ale ponadto doprowadził do konfrontacji ludzi, od których to wszystko zależy w stopniu choćby nieco większym niż od widzów. Słowem, że redaktor Żmuda z telewizji wykonał swoją rolę jako dziennikarz — „kolektywny organizator” naszego życia i postępu.

To ja już wolę dyrektora. „Chwalmy dyrektorów” jak pisał Gałczyński. To przynajmniej umiemy robić.

KTT

Kultura Nr 1 (343), Warszawa, 4 stycznia 1970

ZNAK JAKOŚCI DLA MIESZKANIA

(B) Do Biura Znak Jakości nie wpłynęła jeszcze propozycja przyznania „Q” czy „1” mieszkaniu. I sądzę, że prędko nie wpłynie. Rokrocznie bowiem komisje odbioru wystawiają nowo budowanym domom ocenę zaledwie dostateczną. A warto wiedzieć, że ocenę niedostateczną przyznaje się wówczas, gdy brakóróbstwo jest już zbyt widoczne lub zagraża życiu mieszkańców.

Batalia o jakość mieszkań toczy się od pewnego czasu na wielu frontach. Pewne sukcesy już odniesiono. Wyeliminowano sporo materiałów zwłaszcza podłogowych które przynosząc nieznaczne tylko oszczędności, pogarszały zdecydowanie standard mieszkań. Obecnie trwa batalia o zrezygnowanie z tzw. lekkich kabin sanitarnych. Prowadzi ją, i to z dużym skutkiem, Zespół do Spraw Jakości Inwestycji Centralnego Związku Budownictwa Mieszkaniowego. Dodajmy od razu — na zlecenie spółdzielców z gdańskiego „Przymorza”.

Kabiny te — przypomnijmy — instalowano w Gdańsku i w woj. katowickim. Stalowy szkielet łazienki wypełniany był materiałami drewnopochodnymi i laminatami. Wygląda to efektownie, ale szybko się odkształca. Proszę sobie tylko wyobrazić wymianę

takiej kabiny w normalnym, niewymagającym jeszcze remontu budynku.

Zaproponowano w zamian podobne rozwiązanie, ale z żelbetu, tzw. ciężki typ. Być może przyszłość należy do kabin lekkich, ale na pewno nie takich, jakie dotychczas produkowano.

Dobrze się stało, że zdyskwalifikowano ten typ kabin. Utańczył się bowiem w kraju mniemanie że bez podwyższenia kosztów nie ma poprawy jakości. To prawda, lepszy wyrób musi drożej kosztować. Ale przecież nie oznacza to że należy spokojnie akceptować wszystko, co się do tej pory produkuje.

Weźmy przykładowo wanny i zlewozmywaki. Z reguły niestannie emaliowane, wykonywane w myśl zasady: i tak ludzie kupią. Zapotrzebowanie jest olbrzymie, więc producenci bimbają sobie po prostu na kontrolę jakości. Nikt odpowiedzialny nie postawiłby przecież znaku „KT” na wyrobie, który opuszcza fabrykę wykonany niestannie. Ale też nikt nie reklamuje.

Co więcej, zdarza się często, że spółdzielnie mieszkaniowe odprawiają petenta zgłaszającego się z reklamacją, twierdząc że źle emaliowana wanna to przecież nie usterka, i że budowlani nie ponoszą za to odpowiedzialności.

Ale co z tego, że nie budowlani są winni. Lokator płaci przecież za całe mieszkanie, za wszystko co w nim jest, a nie tylko za mury. I póki nie zaczną napływać masowo te reklamacje do producentów, nadal będą oni w poczuciu bezkarności produkować buble. A na znak jakości dla wanien czy zlewozmywaków czekać będziemy latami.

Podałem tylko jeden przykład wyrobu, który mógłby otrzymać znak jakości bez podwyższania ceny. Jest ich oczywiście znacznie więcej, np. płytki pcw, stolarka, kontakty elektryczne, armatura. Dla polepszenia jakości tego wszystkiego nie trzeba dodatkowych nakładów, lecz tylko solidnego wykonania.

Potrzebny jest jednak zmasowany nacisk odbiorców. Sojusznicy już są. Centralny Urząd Jakości i Miar wspólnie z Zespołem do Spraw Jakości Inwestycji CZSBM zapowiada np. ściganie niesolidnych producentów wanien i zlewozmywaków. Polski Komitet Normalizacyjny zamierza przebadać stolarkę budowlaną. Jeśli raz i drugi partacka załoga zapcha magazyny własnymi wyrobami, na pewno zaczną produkować lepiej. Reakcje przedsiębiorstw na wycofywanie przez ministra handlu wewnętrznego niektórych towarów z rynku, świadczą o tym najdobitniej. Dlaczego więc pod podobnym prężeniem opinii publicznej nie powinny znaleźć się wyroby wchodzące w skład wyposażenia mieszkań?

Tym bardziej, że już kilka razy postawa mieszkańców spowodowała wycofanie pewnych złych materiałów i urządzeń. To prze-

cież spółdzielcy z „Przymorza” spowodowali iż zaprzestano instalować lekkie kabiny sanitarne. Warszawskie „Osiedle Młodych” toczy batalię z producentem złych jakościowo płytek pcw. Kto następny.

Przywykliśmy szukać znaku jakości na towarach spożywczych, czasem na garnkach i odzieży. Bardzo byśmy chcieli mieć go również w mieszkaniu.

(z)

Sztandar Młodych, 30 grudnia 1969

ZEBERKA DO WYMIANY

Sala gimnastyczna nowej tysiąclatki. Przybysze nie wchodzi tu w obcisłych trykotach, trampkach. Ani starszy pan nie przynosi piłki, ani starsza pani nie rozkłada materaca do skoków przez kozła. Zebranie. Rzędy heblowanych jasnych ławek do zajęcia. Obsiadają je ludzie o twarzach zgorzkniałych, złych. Nie ma tu nic z atmosfery festynu. Zebranie w sprawie braku ciepłej wody, ogrzewania, zimna. Oni wchodzący tu chyłkiem, pośpiesznie, chcą się dowiedzieć dlaczego mają zimno w mieszkaniach. Niby nic, niby błaostka, temat nie dla konstruktorów dusz ludzkich. Niby.

Choć czas wyznaczony na rozpoczęcie zebrania już minął, czekają karnie jak dzieci spóźniającego się na klasówkę nauczyciela. Dużo ich, bo duże są bloki na nowoczesną modłę, ubite jak woskowe plastry po sto pięćdziesiąt mieszkań w bloku, a bloków takich jest trzy. Wreszcie ktoś przerywa tę ciszę klaskaniem w ręce. Brawa biją nie wszyscy i niezbyt chętnie. — Lepiej licha nie kusić — ktoś koło mnie mówi.

A właśnie warto, bo przy stole prezydialnym, bez którego nie ma zgromadzeń prawdziwie demokratycznych, pojawia się pan na czarno. — Ja właściwie nie jestem z Zarządu, reprezentuję Radę Mieszkańców czyli państwa. Proszę jeszcze zaczekać bo nie ma przedstawiciela Zarządu. — Przez salę przechodzi szmer niezadowolenia. Rozmowy są coraz soczystsze, uwagi cierpkie, znajomości serdeczniejsze, głosy podniesione.

— Proszę państwa, my zaczniemy — zabiera ponownie głos ich przedstawiciel w Samorządzie. — Jeden członek zarządu jest, a pana prezesa, który miał referować sprawę nie ma. Nie wiemy co się stało, ale może pan prezes zaniemógł. No, nie wiemy, poszukujemy, pewnie przyjdzie. Więc na razie proponujemy, niech państwo mówią o swych bolączkach a potem jak przyjdzie prezes

to udzieli na nie wyjaśnień. Nam, powiem szczerze — mówi pan na czarno — dla zapobieżenia awanturze zaproponowano, byśmy ujęli żeberka na górze i dali na dół, to znaczy was do tego przekonali. Podobno na górze jest 28 stopni, a na dole 10—12.

— 28? Głupi kto go kupi — krzyczy ktoś z sali. — My też zaznaczam, kontynuuję mimo wzburzenia, nie sądzimy, by tak było. Więc proszę mówić — mówi bezradnym tonem.

— Ja powiem — oświadcza młoda kobieta, obdarzona energicznym głosem. — Gdy idę do piekarni po świeże bułeczki, piekarz mnie nie pyta jak je piec i mnie to nic nie obchodzi. Ja chcę świeże bułeczki. A poza tym, co to za zebranie. O czym tu radzić. My chcemy mieć ciepłą wodę. Człowiek cywilizowany musi się myć, a my nie mamy ciepłej wody.

Milknie bo właśnie od strony wejścia przepycha się wysoki mężczyzna z płaszczem przerzuconym przez ramię. Idzie z uniesioną głową, nie liczy szpar w podłodze. Lekko ironiczny uśmiešek zabezpiecza go przed napastliwością ludzkich sądów. Gdy zasiada za skromnym stołem prezydialnym nawet bez syfonu, powstaje człowiek na czarno i mówi: — A to właśnie pan prezes. — Prezes jak nowo upieczony aktor wywołany przed kurtynę kłania się lekko lecz braw nie otrzymuje, ale też i nikt nie gwizdże na niego. Wiedzą, prezes w końcu zadecyduje.

— Więc co? — mówi pan na czarno, zwracając się do prezesa i do sali. — Wysłuchamy głosów mieszkańców. Prezes wciąż lekko uśmiechnięty delikatnym skinieniem głowy daje znak, że owszem, że zgoda.

— Więc jak idę do piekarza po bułeczki — słyszymy — to chcę kupić bułeczki. Nie interesuje mnie jak je się piecze. Co to za zebranie? Czy będzie ciepło? Czy właściwym terminem jest październik? To jeden wielki skandal. — Narzekania, sarkania zlewają się w jeden wielki pomruk ludzi zdenerwowanych, rozżalonych... Lecz cisza, bo oto głos zabiera pan prezes. Stoi wprost pod lampą, która przydaje złocistości jego lekko blond włosom układającym się w delikatne fale niczym tafla jeziora przed wieczornym powiewem. Baczki do pół ucha wykańczają rysunek owalu twarzy.

Prezes zaczyna dialektycznie lecz zbyt cicho. — No głośniej — ktoś krzyczy z tyłu. — Postaram się mówić głośno — mówi prezes uśmiechając się mniej delikatnie i widzę, że aż robią mu się dołeczki na policzkach. — Sytuacja naszym zdaniem wyglądała tak — słyszymy — że wyżej położone mieszkania na 10 i 11 kondygnacji... — Nie na 11-tej, bo dom ma 10 pięter — ktoś wtrąca niegrzecznie. — Ale dom ma 11 kondygnacji, a dziesięć pięter — podkreśla prezes dobitnie uśmiechając się

do swych myśli. Zebranie dlatego robimy teraz, poprzednie było 18 września z mieszkańcami wyższych pięter, że nie zgodzono się na przeniesienie elementów grzejnych. Jeśli spotkamy się ze stanowiskiem zdecydowanie negatywnym, sytuacja pozostanie na dłużej taka i kaloryfery będą zimne. W naszych domach jest bowiem instalacja c.o. jednorurowa i woda schodząc niżej i niżej oddaje po drodze ciepło, a więc ciepło rozdzielane jest nierównomiernie, niesprawiedliwie. Inaczej tego nie można uregulować, nikt bowiem nie zgodzi się na to, by budynek dostał więcej ciepła. Dlaczego tak jest? Proszę państwa — prezes mówi monotonna, lecz ze znużeniem. — Śledząc organy prasowe mogliście dostrzec nutę, że sytuacja ciepłownicza w Warszawie jest sytuacją stykową. Spodziewamy się, mówię to po rozmowach z odpowiedzialnymi ludźmi, generalnego niedogrzewania miasta. Co do braku ciepłej wody sytuacja jest obecnie niekorzystna do interwencji z racji okresu przejściowego. Powiem państwu, że w budynku gdzie mieszczą się biura spółdzielni, może dlatego właśnie był wrzątek, a teraz trudno się wykąpać. To przekonuje mnie w tym, że mogą wystąpić chwilowe braki zasilania w ciepłą wodę. — Jak długo — ktoś bezceremonialnie przerywa. — Do maja — ktoś odpowiada. Towarzyszy temu wyraźna sympatia sali. — No, proszę państwa — z zawstydzającym niesmakiem mówi prezes — nie będziemy się przecież przekrzykiwać. Ja nie mogę przecież mówić, a jestem takim samym spółdzielcą jak wy, tyle że reprezentuję interesy państwowe. — Zebrani frywolnie przerywają mu śmiechem. Ktoś krzyczy — w ciepłym mieszkaniu dobrze reprezentować! Przeczekawszy ożywienie sali prezes kontynuuje. — Chcemy sposobem wypróbowanym w naszych budynkach zaprowadzić i u was i u sąsiadów podobną sytuację. Mamy doświadczenia z Ogrodowej. Przetrzymaliśmy tamte domy trzy miesiące i zgodzili się. Naprawdę nie umiałbym powiedzieć jak lepiej można to zrobić. Zresztą macie dowody, że Zarząd wywiązuje się ze swych zobowiązań w stosunku do was. — Można świecić w oczy, ale nie wszystkim — ktoś krzyczy. — Można świecić — odpowiada urażony prezes — ale daliśmy elewacje, wchodzimy na teren na porządkowanie. — Mościewy litościwy, to i powietrze do oddychania pewnikiem daliście — ktoś ripostuje. — To wasz obowiązek, my płacimy, a wy macie wywiązywać się z zobowiązań. Szklicie nas i szklicie tymi trudnościami obiektywnymi. Jak długo?

— Deklaracje spółdzielni nie są tylko deklaracjami — mówi dalej już nie tak dziarsko i bez poprzedniego wigoru prezes. — Po przejęciu budynku okazało się, że węzły wymiennikowe zostały zaprojektowane źle. Wymieniliśmy je. Robimy co można. No,

ale trudno jest. Jeśli do tego wszystkiego dodamy jeszcze decyzje Rady Narodowej ograniczającą temperaturę wody, to mamy pełny obraz. Prezes kończy i siada. Lecz ludzie chcą mówić. Każdy chce ponarzekać, pokazać się przed sąsiadem jako szermierz spraw ogólnych.

— Proszę państwa — wstaje zażywny pan, znany na swoim korytarzu jako naczelnik — co to za stawianie sprawy, tłumaczenie, że ja będę miał ciepło jeśli Iksiński się zgodzi. To niemoralne, mało że nie dajecie odpowiedniej temperatury, to jeszcze napuszczanie jednych na drugich. Skoro bowiem Iksiński z góry nie zgodzi się na przemieszczenie, jak to ładnie pan prezes powiedział, elementów grzejnych, to mam do niego się włamać, zabrać mu dwa żeberka i zanieść je Iksińskiemu z parteru. Albo czy może mam pisać na ścianach: Iksiński jest świnią, bo nie docenia interesu społecznego, nie rozumie, że mnie zimno. Przecież ja wiem, że on też marznie. Nas, to czy on się zgodzi czy nie, nie obchodzi, rozumiecie. A jak nie pomoże to dzisiejsze nasze zebranie, to do prokuratora sprawę skierujemy.

— A niech pan powie dlaczego kłopoty mamy akurat my a nie sąsiedni dom? Czy dlatego, że tam pan prezes mieszka? — ktoś podchwytliwie pyta.

— Proszę państwa — ucisza pan na czarno odziany — niech wypowiedzą się piętra dziesiąte i dziewiąte, jak u nich jest, czy jest gorąco czy też zimno?

— Gdzie tam gorąco, u mnie było 18 stopni zaledwie. Gdy córka siadała do odrabiania zajęć, to owijałam ją w koc, żeby jej nogi nie marzły.

— Dziękujemy prezesowi, za to, że jak powiedział Zarząd nam współczuje, ale przecież współczuciem nie ogrzejemy mieszkania.

— Czy my to jakieś króliki jesteśmy. Pytam dlaczego spółdzielnia na nas eksperymentuje i w naszym domu dała przewody jednorurowe zamiast wypróbowanych dwururowych. Jeśli już eksperymentować to w mieszkaniach zarządu. Niech zarząd się tu sprowadzi.

— Ja proszę państwa chcę powiedzieć, że te jednorurowe przewody nie są złe. Sam pamiętam, gdy sprowadziliśmy się, było ciepło, w samej koszuli chodziłem. Dopiero potem gdy zaczęli kryzować, oziębiło się. Po prostu, żeby było ciepło trzeba grzać.

— Kryzuje się tak, by temperatura była zgodna z normami. By w pomieszczeniach mieszkalnych było 18 stop., w kuchni 15 stop., a w łazience 22 stop. — próbuje ripostować ktoś zza stołu prezydialnego.

— My wiemy, jak to jest z tymi normami. Sam proszę pań-

stwa jestem pracownikiem SPEC-u. Gdy przychodzi komisja odebrać mieszkania, albo sprawdzić ciepłotę, to podkręca się odpowiednie śrubki i grzeje jak licho. Potem gdy komisja wyjdzie odkręca się to co się przykręciło i znów jest po staremu. Sam jestem pracownikiem przedsiębiorstwa, to wiem jak to się robi. Oni nas po prostu biją po kieszeni, są na własnym rozrachunku, to robią oszczędności i potem my jak tu wszyscy jesteśmy cierpimy na tym. Brawo, brawo! Sala trzęsie się z uciechy.

— Nie możemy im tak ustępować, bo gdyby tak jutro przyszli i pozabierali klepki z podłogi, to co? Każdemu tylko 10 klepek, ubytek niewielki, a korzyść jaka duża. Nie można się im dawać, bo gdy my im palec podsuniemy, to oni zaraz chcą całej ręki.

— Ja mówię szczerze, żeberka mogę dać, niech tylko będzie ciepło. Czy mnie te kaloryfery potrzebne? Weźcie je sobie, byle temperatura była taka jak trzeba. Zadowolony będę, mniej będę miał kurzu.

— Proszę państwa, ja tu wszystkich, jak tu jesteście, wzywam, skoro nie będą grzali, nie płacmy. Nie płacmy — powtarza pan starszy rejtanowskim ruchem podnosząc ręce do góry. Jak nie damy im pieniędzy, to będą musieli ogrzewać.

— Proszę pana, odpowiada pan na czarno, na Karmelickiej już od stycznia nie płacą, a wody ciepłej jak nie ma tak nie ma. To nie metoda.

— Tak, tam nie płacą i nic lepiej nie mają — wtrąca, cichcem na użytek tylko sąsiadów, jakiś pan ławkę dalej siedzący — dają takie rury do domu, że na złom by nikt nie chciał, to instalacja pęka i trudno żyć. Tam trzeba 300 metrów rur wymienić, ale skąd je wziąć.

— Ja im dam, takiego im dam — mówi pan z tyłu, zginając przy tym w łokciu wyraziście rękę.

— Owszem, owszem, podchwytuje sąsiadka, z jakiej racji mamy uszczuplać naszą substancję. Dostaliśmy i mamy. Widać nam się należało.

— A co, oni dzieci, u diabła, żeby nie wiedzieli, ile żeberek dawać. Inżynierowie, psia krew, szkoły kończą, a liczyć ich nie nauczyli. Nie wiedzą jak grzać mieszkania. Żeby teraz raban robić i histerię. Do chrzanu, za przeproszeniem, z taką spółdzielnią. — Cicho, już cicho — mityguje go żona.

— Ja im dam te żeberka, jak mi zwrócą 600 złotych, które dałam robotnikom gdy dom budowali. Nie za darmo miałam ciepło.

Wyłączam się z wewnętrznej dyskusji, bo oto ktoś z drugiego rzędu tłumaczy. — A w ogóle, to jak oni to wymieniają?

Jak złodzieje. Było ogłoszenie, żeby być w domu, bo będzie próba ogrzewania. Żona czekała, jacyś robotnicy zresztą usterki naprawiali, a tu wchodzi dwóch w kombinezonach i mówią: „my od ogrzewania”. Wpuściła ich, a oni coś przy kaloryferach robili. Ich sprawa, myślała. Pyta: „będzie ciepło? A będzie, odpowiedzieli”. Po dziesięciu minutach patrzy, a oni z dwoma żeberkami pod pachą opuszczają mieszkanie. Nie miała siły bić się z nimi, to wzięli i poszli.

— A u mnie, gdy nie chciałem dać odkręcić — ktoś mówi — to grozili: „jak ci dupa zmarznie, to sam do nas przyjdiesz”. Panowie, tak nie można, to tak wygląda jakbyście czekali, aż my się załamiemy, aż zrezygnujemy ze swego. A człowiek, po tych 25 latach chciałby jakieś uszanowanie znać, a nie być popychłem, śmieciem, byle czym, do kłasnania. Przecież zrozumcie to, my jesteśmy Bogu ducha winni. Płacimy co trzeba, wkład kilkanaście lub kilkadziesiąt tysięcy złotych zrealizowaliśmy, czynsz płacimy i za to nas tak traktujecie? A ze skromnej pensyjki, wierzcie, nie jest to takie łatwe i proste. To zamiast do nas jakoś się odnosić, straszycie nas Ogrodową. To prawda, że wy na nas macie sposoby, ale to nie tak.

— No, proszę panów, nie wychodźcie tak bez niczego. Pytam się, co mam powiedzieć w domu? U mnie dwie chore osoby, one nie mogą marznąć. Co ja im powiem? — pyta płaczącym głosem starszy mężczyzna odwracając się twarzą do sali, a nie do prezydium, w które widać już zwątpił.

— Oni nas chcą skłócić — mówi sąsiad z prawa. Dwa piętra, to za mało, by uregulować ogrzewanie w całym domu. W tym roku chcą wszystkich, cały dom napuścić na mieszkańców 9 i 10 piętra, a w przyszłym dobierą się do siódmego i ósmego i nikt wtedy nie zaprotestuje, nikt. Nie będzie wypadało. Więc teraz nie możemy się zgodzić, nie możemy ustąpić.

— Więc co proszę panów mamy robić? — pyta pan na czarno odziany. Co zrobić? Prezes lekko widać urażony, uśmiecha się tajemniczo uśmiechem człowieka, który wszystko wie. Ten grymas ma chronić go przed napastliwością zebranych. Zwolennicy niepłacenia rozkładają ręce, do prokuratora też już nikt nie chce się udawać. Gniewny nastrój ustępuje znów beznadziejności, zwątpieniu. Ktoś mówi: Może do prasy pójdziemy? Pan na czarno proponuje powołanie bezstronnej komisji z udziałem ekspertów z Politechniki. Ktoś jeszcze odwołuje się do dobrego serca zarządu. Jeszcze proszą, lecz większość już wstaje. Otulają się w jesienne paltociki i idą gniewnie narzekać, zrzedzić. Pisać, prosić o wstawiennictwo, grozić interwencjami, powoływać na zasługi. Idą, by w zaciszu i chłodzie swych mieszkań denerwować

się i smucić z racji niedopełnienia zobowiązań przez tych, którym zawierzyli.

Janusz RODLICKI

Kultura, Warszawa, 26 października 1969

CISZA AŻ HUCZY W USZACH

... Ale czy nikt już nie marznie w naszym pięknym kraju? W „Sztandarze Młodych” przeczytałem artykuł, a właściwie reportaż z warszawskich składów opałowych. Autor stwierdził, że wszędzie brak węgla, zaległości w dostawach sięgają setek ton; ludzie z Targówka, Zacisza i Sadyby pielgrzymują do składów, jak mahometanie do Mekki i dowiadują się, że może w grudniu albo i styczniu... Na pytania korespondenta „przedstawiciele Stołecznego Handlu Opałem, jak również Wydziału Handlu St. Rady Narodowej odmówili udzielenia wyjaśnień na ten temat”...

... Pewno, że my, którzy korzystamy z dobrodziejstw nowoczesnych mieszkań wyposażonych w kaloryfery, traktujemy węgiel jako rzecz bardziej abstrakcyjną, nie mającą bliskiego związku z gospodarstwem domowym i życiem codziennym człowieka. Ale ci, którzy płacą 200 zł za przywiezienie fury węgla, którzy dźwigają go w wiadrach do swoich mieszkań i patrzą jak rozpłomienia się powoli w starych kaflowych piecach — mają inny punkt widzenia na tę sprawę. Tymczasem węgla w składzie brak i to u progu zimy; ludzie czekający w kolejkach szukają protekcji u kierownika składu, powiadają, że marzną im rodziny, że nie mogą pracować ani wypocząć. Nie jestem ekonomistą, i nie jestem w stanie zastąpić przedstawicieli handlu w wyjaśnieniach, dlaczego w tym roku z węglem tak krucho.

Nie chce mi się wierzyć, aby potrzeby eksportu lub niedostatki transportu mogły uzasadnić tę sytuację, która — co tu gadać — psuje krew niemałej części społeczeństwa. Gdyż takie same sygnały nadchodzą nie tylko z Warszawy, ale i z innych miast, a także z terenu wsi, gdzie węgiel jest również podstawowym środkiem produkcji.

III.

W tej sprawie mamy właściwie do czynienia z dwoma ściśle ze sobą powiązanymi a jednak różnymi faktami: węgla brak, ale brak także wyjaśnień, dlaczego nie ma węgla. Pierwszy fakt na-

leży — być może — do dziedziny ekonomicznej lub ściślej — winien być rozpatrywany w kategoriach ekonomii i organizacji pracy.

Fakt drugi należy do sfery stosunków społecznych. Bo przecież nie tylko na ten temat brak wyjaśnień. U schyłku października, w tygodniu przedświątecznym w warszawskich sklepach działy się niesamowite sceny. Nie można było kupić nie tylko mięsa i kielbasy (z czym są od dawna trudności) ale w wielu sklepach brakło także pieczywa lub dowożono je nieregularnie. W wielu biurach, instytucjach i przedsiębiorstwach ludzie w owych dniach podpisywali listę obecności by wyskakiwać w ciągu dniówki roboczej do tego lub owego sklepu w nadziei, że pojawi się wreszcie poszukiwany towar.

IV.

Troska o człowieka jest nie tylko ogólnie przyjętym pewnikiem, ale podstawowym obowiązkiem socjalistycznego państwa w stosunku do obywateli. Przez troskę o człowieka rozumiem zarówno zaspokajanie potrzeb elementarnych, jak i wiarygodne wyjaśnienie, dlaczego te lub owe potrzeby w danym okresie zaspokojone w pełni być nie mogą. Sceptycy mogą rzec, że wyjaśnienia te nie są towarem zastępczym, i że żadnych potrzeb nie zaspokoją. Wobec takiego poglądu pozwalam sobie wyrazić sprzeciw. Społeczeństwo nasze mimo obecności w nim elementów rozhysterizowanych i panikarskich, które dadzą posłuch każdej plotce (na przykład plotce o wymianie waluty tuż po wypłacaniu poborów pracowniczych) jest dostatecznie inteligentne, by zrozumieć przyczyny różnych bieżących trudności. Natomiast trudno się godzić z brakiem gospodarności, organizacyjną nieporadnością i złym planowaniem w obrębie codziennych ludzkich potrzeb.

Wiem oczywiście, że gospodarka narodowa jest mechanizmem skomplikowanym, w którym nie wszystko może toczyć się jak po maśle. Ale sposoby zapobiegania trudnościom i łagodzenia ich powinny być przedmiotem również troski publicznej, a nie tylko tajemnicą cichych gabinetów. Jako felietonista lżejszego kalibru napisałbym chętnie kawałek o „Zonie idealnej” pozostawiając ludziom poważniejszym i biegłym w nauce ekonomicznej rozwiązanie wątku o pustych składach opałowych i bezsensownej bieganinie po sklepach w czasie przeznaczonym na pracę i opłaconym przez państwo. Ale skoro dziwna cisza aż huczy w uszach...

Michał RADGOWSKI

Polityka, Nr 46, Warszawa, 15 listopada 1969

ŻYCZLIWY DONOS NA GASTRONOMIĘ

Do Limanowej w województwie krakowskim dotarliśmy późnym popołudniem, wściekle głodni. Wchodząc do restauracji „Myśliwska” byliśmy pełni niepokoju czy o tej porze dnia zdołają nas tam jeszcze nakarmić najprostszym choćby daniem obiadowym. Niepokój ten dyktowało doświadczenie wyniesione z bydgoskiej gastronomii. A tu nagle przyjemna niespodzianka. W elegancko oprawionej, czytelnej karcie figurowało 9 zup i 27 drugih dań. Mięsnych i jarskich. Trafił się nawet tak rzadko spotykany u nas smakołyk jak pyzy. Wszystkie potrawy, mimo nieobiedniej przecież pory, były jeszcze osiągalne! Ten niespodziewany jadłospis zabraliśmy ze sobą na pamiątkę. Potem przekonaliśmy się, że większość jadłodalni i barów w województwie krakowskim proponowała swoim klientom podobnie bogaty wybór, mimo, że nie były to lokale kategorii I ani specjalnej.

Bydgoskie dzienniki co jakiś czas sygnalizują różnego rodzaju mankamenty tej czy innej restauracji, jadłodajni i baru. Na skutek tych alarmujących notatek coś się doraźnie poprawia. Problem jednak zbiorowego żywienia w Bydgoszczy pozostaje w dalszym ciągu otwarty. Jak on w istocie wygląda? Dla zorientowania się wybraliśmy lokale II i III kategorii jako typowe dla przeciętnego konsumenta i możliwości jego portfelu. Bydgoszcz dysponuje w kategorii II — siedmioma restauracjami, dwoma jadłodajniami i trzema barami samoobsługowymi. W kategorii III jest pięć restauracji, dwie jadłodajnie i dziesięć barów. Wszystkie razem mogą obsłużyć jednocześnie 1672 konsumentów. Ponieważ jednak część lokali poddawana jest ustawicznym remontom i modernizacji, ilość miejsc konsumpcyjnych jest w rzeczywistości mniejsza. Przyjmując, że ze stałych posiłków obiadowych w lokalach korzysta jedna piąta mieszkańców miasta okaże się, że przy stolikach bydgoskiej gastronomii zasiada codziennie w porze obia-

dowej blisko 50 tysięcy osób. To zestawienie sygnalizuje podstawową bolączkę — przestraszający deficyt miejsc konsumpcyjnych. Praktyka dnia codziennego dowodzi, że coraz więcej jest takich rodzin, w których pracą zarobkową zajmuje się zarówno mąż jak i żona. To uniemożliwia prowadzenie normalnej kuchni domowej. Nie wszyscy także korzystają, czy mogą korzystać ze stołówek. Warunki, które aktualnie proponuje gastronomia, zmuszają znaczną część mieszkańców Bydgoszczy do niezgodnego z normami zdrowotnymi żywienia się: dorywczego, niesystematycznego w czasie, szybkiego. Ten sposób odżywiania rozłożony na lata musi w konsekwencji odbić się na stanie zdrowia. Jest też rzeczą więcej niż prawdopodobną, że źródeł wszelkiego rodzaju nerwic stających się już schorzeniem społecznym, należy doszukiwać się także w wadliwym systemie odżywiania.

Miedzy godziną 13 a 16, a więc w czasie, uznanym przez ludzi i gastronomię jako pora obiadu, odwiedziliśmy 16 bydgoskich lokali, zwracając uwagę na kilka następujących spraw: estetyka miejsc spożywania obiadów, asortyment dań, zachowanie się konsumentów.

Rozpocznijmy od estetyki. Jest to sprawa zastraszająca. Zaczyna się od mebli, które stanowią najrozmaitszą zbieraninę. Stoły w większości nie nakryte, przeważnie pozbawione serwetek, obsypane niedopałkami z rzadka czyszczonych popielniczek. Nie zachęcają chyba także do jedzenia czarno pomalowane blaty stołów, wystające z nich łebki gwoździ. Często spotykane obrusy nie grzeszą już o tej porze czystością, a wazoniki stanowią zupełnie abstrakcyjną ozdobę. Pozbawione na ogół kwiatów służą przeważnie jako dodatkowa popielniczka. Podłogi smarowane płynami pyłochłonnymi przypominają bardziej pomieszczenia fabryczne niż jadłodajnię. Ściany, najczęściej pełne zacieków, zamiast obrazów zdobią rozliczne wyciągi z różnego rodzaju przepisów i ustaw. Na oknach nie wszędzie są firany. Obrazu, a raczej aromatu dopełnia bezpośrednia bliskość urządzeń sanitarnych. Ciemności ziemi tu nie kryją. Wprost przeciwnie. Niedomknięte z reguły wejścia do ubikacji pozbawione są jakiegokolwiek osłony w postaci kotary czy parawanu. I tak już szczupły metraż samych lokali pomniejszają stopy skrzyń z napojami chłodzącymi. Człowiek zreszta wzdryga się przed piciem tych napojów widząc w jaki sposób myte są szklanki i kufle przy bufecie. Woda w bufetowych zlewozmywakach pieni się od pozostałości piwa i oranżady. A już zupełnie nie ma mowy o tym, aby czystym ręcznikiem wycierać naczynia do sucha. Rezultat jest między innymi i taki, że pozwala to na pewne „oszczędności”. Konsument otrzymuje tym sposobem piwo czy alkohol już z domieszką wody.

Przy tej okazji warto nadmienić, że dyrekcja Bydgoskich Zakładów Gastronomicznych nie zatrudnia plastyka natomiast ma dwóch dekoratorów. Jeden z nich zajmuje się etatowo upinaniem firan, a drugi w pocie czoła wypisuje niezliczoną ilość tabliczek informacyjno-zakazujących. W dziedzinie estetyki wnętrza trafiają się jednak chlubne wyjątki. Jadłodajnia „Bydgoszczanka” obok autentycznej dbałości o czystość zdobi swoje ściany ciekawymi grafikami. Również schludnie i jasno jest w prowadzonym przez Powszechną Spółdzielnię Spożywców barze „Kolorowym”.

Sprawą, która budzi najwięcej wątpliwości jest wybór dań jak również ich zasoby. Asortyment jest niezwykle ubogi i stereotypowy. Kiedy bierze się do ręki jadłospisy, najczęściej zresztą pisane odręcznie i do tego bardzo nieczytelnie, nasuwa się przypuszczenie, że zostały one zaprogramowane niejako centralnie dla wszystkich lokali. W każdym jadłospisie wyczyta się przysłowiowe cynaderki, halibuta, karmazyna, kilka odmian dań z jaj, sztukamięs, kotlet mielony i polski kawior na bazie kaszy gryczanej, czyli kaszanke. Z lektury tej nasuwa się także niedobra myśl, że szefom kuchni zabrakło już wyobraźni kulinarnej. No bo w kółko czytamy tylko o grochówce, ogórkowej, nieśmiertelnej pomidorowej i kapuśniaku. A już niedościgłym marzeniem jest opiewana w piosence Młynarskiego — kartoflanka czy choćby zwykły rosół. „Mir” na przykład łudzi przechodnia napisem na szybie wystawowej: „Polecamy flaki i bigos”. Daliśmy się na to nabrać. Bigosu i flaków nie było. Za to ofiarowano nam płucka w sosie kwaśnym. Dziękujemy, nie skorzystamy. Zresztą tego rodzaju reklama zakrawa już na mały skandal.

Rzadko kiedy zdarzyło się abyśmy w bieżącej sprzedaży znaleźli te dania, które tak szumnie reklamują zewnętrzne napisy. Jest to z handlowego punktu widzenia nieuczciwe w stosunku do wszystkich potencjalnych konsumentów. Także niebardzo lojalnym wobec klientów jest fakt, że w stosunkowo krótkim okresie czasu znaczna część dań znika nie tyle z talerzy, ile w ogóle z jadłospisu. Już około godziny 14 wiele potraw skreślanych jest skrętnie przez obsługę. Tym wszystkim, którzy mogą sobie pozwolić na zjedzenie obiadu dopiero po godzinie 15, praktycznie pozostają smętne resztki. I to jest największe zło, że bydgoskie lokale gastronomiczne nie potrafią zapewnić możliwości skorzystania z pełnego zestawu potraw w ciągu całej pory uznanej za obiadową. Szczytem marzeń byłaby oczywiście ciągłość sprzedaży dużego asortymentu dań ciepłych, także w godzinach popołudniowych.

Mówiono nam w dyrekcji BZG, że aktualne tendencje w całej gastronomii sprowadzają się do wykorzystywania półproduktów

przemysłu spożywczego. W Bydgoszczy jest to tym bardziej konieczne, że (znów według opinii BZG), tylko dwa spośród omawianej tu grupy lokali dysponują na tyle znośnymi warunkami zaplecza, że można w nich prowadzić normalną, pełną produkcję. Nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, dlaczego wobec tak oczywistej sytuacji, tendencje te pozostają u nas nadal jedynie w sferze teorii.

Legitymacją pomysłowości i umiejętności bydgoskich szefów kuchni jest, obok propozycji do jadłospisu, również zawartość lad chłodniczych czyli garmażerka. Jeszcze uboższy krewny dań obiadowych. Znowu powołamy się na przykład baru „Mir”. Znaczną część bufetu zajmuje specjalne urządzenie do ochładzania wyrobów garmażeryjnych. Kosztowało to zapewne grube tysiące. „Mir” nie miał ani jednego takiego wyrobu. Nawet cienia pospolitej sałatki. Bufetowa zdziwiona wręcz naszym pytaniem powiedziała, że garmażerki od dawna się tu nie prowadzi i proponowała nam wizytę w „Kaskadzie”. Idąc do tego najnowszego i jedyne, jak dotychczas w Bydgoszczy kombinatu gastronomicznego mineliśmy tuż obok „Miru” delikatesowy sklep sprzedający wyrobów garmażeryjnych. Kierownictwu „Miru” nie przyszło naturalnie do głowy, że można by na przykład brać od sąsiadów w komis to co oni sami sprzedają codziennie. „Mir” zresztą nie jest w tym względzie odosobniony. Chciałoby się przy tej okazji przekonać bydgoskich gastronomików, że podróże kształcą i zachęcić do odbycia takowych choćby na Śląsk czy w Krakowskie. Tam, w podobnych lokalach, spotkaliby takie mnóstwo barwnych smakowitości garmażeryjnych, że trudno byłoby im zdecydować się na wybór. Czyżby łączyło się to z lepszym przygotowaniem fachowym pozabydgoskiej kadry gastronomicznej?

Chyba nie. Wystarczy powiedzieć, że na 49 szefów kuchni w Bydgoszczy — 32 to absolwenci zasadniczych szkół i techników gastronomicznych. Pozostali to dłużej pracownicy posiadający dyplomy mistrzów kucharskich. Kucharzy ma Bydgoszcz 71 z czego 50 to również absolwenci wspomnianych szkół a reszta posiada też glejty mistrzowskie. Wynikałoby z tego, że nie jest w tym względzie źle a przecież jest nie najlepiej. Uderzyło nas ogromne ubóstwo ilościowo-asortymentowe i dań i garmażerki. Nie możemy nic konkretnego powiedzieć o jakości. Odwiedzając tyle lokali niesposób w każdym z nich dokonywać degustacji. Ale i z tą jakością nie musi być najlepiej, co wynika z zaleceń Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, które po ocenie całokształtu gastronomii dokonanej 7 lutego br. zaleca między innymi: „Rozszerzenie asortymentu, poprawę jakości, eliminację złej obsługi i bieżącą analizę skarg i zażaleń”.

Na widocznym miejscu w barze „Powszechnym” wisi napis, że w porze obiadowej (to znaczy między godzinami 13 a 16) obowiązuje nabywanie przy zamawianiu wódki podstawowego dania obiadowego. Była godzina 14.45. Wszystkie miejsca zajęte wyłącznie przez mężczyzn. Na każdym stoliku kilka czy kilkanaście kieliszków z wódką i bez a także kufle z piwem. Ani śladu dań nakazywanych przepisem. Nikt zresztą tego przepisu tu nie respektował. Atmosfera pijackich pogwarek, bełkotu, niewybrednego słownictwa. Pełna blokada miejsc. Nikt w tej sytuacji nie znalazłby możliwości spokojnego zjedzenia obiadu. Tu się po prostu pije. Podobna sytuacja była w „Gryfie”, „Warszawianie”, „Sielance”, „Staromiejskiej” i innych lokalach. Jeśli nawet przestrzegano przepis to i tak zjawiające się na stole, zupa z wkładką czy porcja kiełbasy, stanowiły tylko pretekst do libacji. Gdy się więc zastanowić wnikliwiej — wspomniany tu nakaz tylko pozornie broni interesu konsumentów obiadów. Bo prawda jest taka: Ci, którzy siedzą już przy stolikach, przyszli wyłącznie na wódkę, od której nie odstraszy ich wymuszone przepisem danie. Nad talerzem ledwo tkniętej zupy gotowi są przesiedzieć kilka godzin. Jeśli nawet obsługa w myśl innego przepisu odmówi sprzedaży wódki nietrzeźwemu to też się znajdzie sposób. Wódkę przyniesie kompan, który jest akurat bardziej trzeźwy względnie na stole pojawi się tak zwana piersiówka. Rzecz więc cała sprowadza się do tego, że lokale te dawno przestały być jadłodajniami a przekształciły się w pijalnię wódki i piwa. Skoro wydaje się w tym względzie zarządzenia to nie mogą one być połowiczne. Dlatego też w naszym przekonaniu, bardziej sensownym byłby całkowity zakaz sprzedaży alkoholu w godzinach przeznaczonych na obiad. Przecież chodzi tu o stosunkowo krótki okres czasu.

Zdajemy sobie sprawę, że konsumpcja wódki stanowi podstawę miesięcznych obrotów. We wspomnianych lokalach udział sprzedaży wódki w obrotach wynosi niebagatelne 64 procent. Dyrekcja BZG uspokaja się rozkładając udział alkoholu w obrotach i na te lokale, które nie mają koncesji alkoholowej. W ten sposób procent w sprawozdaniach spada do 27. Jednak w sytuacji o której mowa, jest to tylko prawda statystyczna, a obraz rzeczywisty pozostaje bez zmian. Kto wie czy w tym błędnym kole nie należy się doszukiwać wszystkich przyczyn ułomności gastronomii spod znaku II i III kategorii? Bo przecież pijacka społeczność okupująca te lokale tworzy określoną atmosferę. Porządny człowiek mając do wyboru zjedzenie obiadu w takim klimacie i perspektywę pustego żołądka, zostaje zmuszony do rezygnacji i odchodzi nie najedzony. Triumfuje pospolity pijak, któremu się nigdzie nie spieszy. Z drugiej znów strony ten stan

rzeczy nie zachęca kierownictwa tych lokali do większej dbałości o różnorodność kuchni i bufetu a także stałej stroski o estetykę wnętrza. Nie warto. Skoro nikomu z obecnych nie zależy na jedzeniu, skoro każda próba podniesienia stanu estetyki kończy się wobec pijackich wybryków fiaskiem — gospodarze lokali dochodzą zapewne do smutnego wniosku, że nie ma potrzeby stawiania na głowie. W końcu sprzedaż wódki i tak zagwarantuje wykonanie planu obrotów.

Odważono się w kilku, niestety tylko wypadkach — na wycofanie sprzedaży alkoholu i piwa w ogóle. Rezultat był taki, że początkowo nastąpił dość znaczny spadek obrotów. Nie trwało to jednak długo ponieważ kiedy ludzie przekonali się, że nareszcie można spokojnie zjeść — gromadnie zapełnili pijackie do niedawna miejsca spotkań i obroty nie tylko wróciły do normy ale zaczęły zwyżkować. A więc istnieje możliwość dokonania radykalnych cięć. Jest przecież rzeczą oczywistą, że każdy z tych ludzi, w obronie których stajemy, zaryzykuje dołożenie do posiłków jednej czy dwóch złotych więcej, byle by tylko miał gwarancję przyzwoitego jedzenia w spokoju i czystości.

Bylibyśmy niesprawiedliwi — nie dostrzegając wszystkich starań jakie dyrekcja BZG podejmuje w celu zwiększenia funkcjonalności swoich placówek. Na łamiących ustawę przeciwalkoholową sypią się kary, za niekulturalną obsługę spotykają kelnerów nagany i ostrzeżenia. BZG łącznie z Państwową Inspekcją Handlową, Zjednoczeniem Państwowych Przedsiębiorstw Handlowych, wydziałem handlu i stacją sanitarno-epidemiologiczną stosują w praktyce 9 różnych form kontroli. W istocie jednak nie tyle o mnożenie tych kontroli chodzi. Chcemy w lokalach dobrze jadać. To jest podstawowe wymaganie. Kontrole obok dobroczynnych, choć mało widocznych skutków, potęgują przy okazji całą skomplikowaną maszynę biurokracji. Obowiązek kontrolowania należy zdjąć z ramion ZBG. Niech się zajmie tylko i wyłącznie zagadnieniami czysto gastronomicznymi. Mając wówczas więcej czasu robi to na pewno znacznie lepiej niż dotychczas i zgodnie ze swoimi ciekawymi projektami. Ciężar kontroli powinny przejąć czynniki społeczne, w głównej mierze związki zawodowe powołane przecież do obrony interesów ludzi pracy. Nie wystarczy przeświadczenie, że problem rozwiązują stołówki. Otwarty pozostaje problem tych setek czy tysięcy osób, które pozbawione są możliwości korzystania z obiadów w zakładzie pracy i „skazane” na gastronomię miejską. Dalej. Ogniwo kontrolnym BZG niesposób wkraczać w życie swoich klientów. Ale trzeba w końcu zadać pytanie, kim są ludzie okupujący przez wiele godzin przeznaczonych na pracę zawodową stoliki przy kieliszku wódki?

Bezrobotnych u nas nie ma. Więc setki tych osobników muszą gdzieś pracować. Kto, jeśli nie przedstawiciel związków zawodowych, przede wszystkim może sprawdzić czy bezmyślne, wielogodzinne biesiadowanie nie odbywa się ze szkodą dla wielu zakładów pracy.

Dyrekcja Bydgoskich Zakładów Gastronomicznych jest w diabelnie trudnej sytuacji. Przecież stan bazy lokalowej nastroczającej już teraz ogromnych kłopotów, będzie się z roku na rok pogarszał, jeśli dynamicznemu rozwojowi Bydgoszczy nie dotrzyma kroku rozwój inwestycji gastronomicznych. Od lat były one zaniedbane. Uwzględniając prognozy demograficzne należałoby pokusić się o sformułowanie dokładnego planu zamierzeń w tym zakresie. To dobrze, że w ostatnim czasie miasto wzbogaciło się o lokale w rodzaju „Oazy”, „Kaskady” i kilku barów pawilonowych typu „Krakus”. Wydaje się to najlepszym sposobem na uzdrowienie bydgoskiej gastronomii: powstawanie wielu nowoczesnych lokali bez złej tradycji starych.

*Andrzej BASZKOWSKI
Janusz DROZDOWSKI*

Pomorze, Nr 19, 1/15 października 1969

ZJADACZE CHLEBA, NIE ANIOŁY

PONIEDZIAŁEK: barszcz ukraiński, leniwe, kompot

Znowu winda nawaliła, już trzeci raz w tym miesiącu. Konwojenci musieli dźwigać wory z towarem na plecach. Strasznie klęli. Kuchnia jest u nas na drugim piętrze, a jadalnia na pierwszym. Kiedy winda nie działa, znosimy pełne kotły po kręconych schodkach żelaznych, wąskich i stromych. Żeby nadążyć z wydawaniem obiadów, trzeba znosić gary i pięćdziesięciokilogramowe. Zupa jest gorąca, strach pomyśleć co by było, gdyby się która z nas potknęła na stopniu. W zeszłym roku miałyśmy wypadek w zmywalni. Nie ma tam studzienki odpływowej, woda ciągle stoi na posadzce. Koleżanka się pośliznęła i złamała rękę. Przedtem różne komisje oglądały tę podłogę i mówiły, że nie da się zrobić odpływu, bo poniżej jest hala fabryczna. Dopiero komisja powypadkowa orzekła, że nic prostszego, jak zrobić taki ściek. Ale dotąd go nie ma.

Barszcz ukraiński wszystkim smakował, był gęsty, jak tu lubią. Bo też na taki barszcz idą kości, fasola, buraki, marchew, pietruszka, seler, pomidory, cebula, ziemniaki, listek bobkowy, ziele angielskie, śmietana... Warzywa teraz wyjątkowo drogie. Co będzie na przednówku, skoro tej wiosny nie mogłyśmy zdobyć nawet kiszzonek, a przecież w zeszłym roku nie było żadnej klęski, którą by można było porównywać z ostatnią suszą.

WTOREK: jarzynowa z ziemniakami, klopsik z kaszą gryczaną, surówka z pomidorów i ogórków, kompot

Konwojenci nie lubią przyjeżdżać do naszej stołówki nie tylko z powodu tych wind, ale i dlatego, że my już kute na cztery łapy

i nie dajemy się oszukiwać. Dzisiaj jeden z nich chciał nam wpakować wątróbkę z wodą. Wlał jej z dziesięć kilo na 130 kilogramów wątróbki. Od razu żeśmy się zorientowały i magazynierka wszystko po kawałku przełożyła do naszej wanny, a woda została cwaniakowi. Wmawiał jej, oczywiście, że dostał taki towar. A my na to — już pan zapomniał, jakieśmy znalazły karkówkę w schabie środkowym? A ta kiełbasa, wodą szprycowana, co ją przywiózł pański koleżka? A ten pusty worek, wypchany gazetą, co w nim miały być ziemniaki? Zawsze sobie wybieriecie taką porę, kiedy u nas największa praca, wydawanie obiadów, przesuwanie garów, załatwianie interesantów, żeby nie było czasu wszystkiego sprawdzić.

Miałyśmy znowu pretensje z powodu kaszy. Do kierowniczk przyszło trzech delegatów i powiedzieli, że nasi ludzie już z wojska wyszli i nie muszą kaszy jeść. Żądają, żeby były ziemniaki. Kierowniczk tłumaczyła, że kasza gryczana jest droższa niż ziemniaki i pożywna, że jedzenie trzeba czasem odmienić. Nie zgodzili się z tym. Powiedzieli, że zamiast klusek też by woleli ziemniaki. Kierownik komisji socjalno-bytowej, towarzysz Ogowski, powiada, że ludzie są u nas antyklusieczkowe, i ma rację.

Delegaci narzekali poza tym na surówkę z marchwi, która moim zdaniem jest teraz pyszna, póki marchew piwnicą nie przeszła. Powiedzieli, że chłop musi mieć ostre jedzenie, marchew owszem może być, ale z chrzanem. A skąd my chrzan weźmiemy? Co dzień zamawiamy, to nam odpowiadają, że świeży jeszcze nie ukopany, a w słoikach brak. Koperku też nie ma od paru tygodni. Z mięsem także kłopoty, na przykład z wieprzowiny dostajemy tylko schab i łopatkę. Na półtora miesiąca raz były żeberka i raz karkówka. A z łopatki tyle tłuszczu schodzi. Ryby też byśmy chętnie wzięli tańsze, na przykład zamiast filetów z dorsza — zwykłego dorsza do czyszczenia. Można by w ten sposób zaoszczędzić i dodać do innego obiadu. Przecież my musimy się zmieścić w ośmiu złotych na osobę. To jest coraz trudniejsze. A od przyszłego roku stołówka przechodzi na własny rozrachunek.

Nie chcemy uzupełniać zaopatrzenia zakupami w sklepach, bo to zwiększa koszty o różnicę cen między hurtem a detalem, a poza tym kto do sklepu będzie chodził? Stąd daleko, a u nas nie ma za dużo rąk do pracy. Jeszcze oprócz normalnych obiadów urządzamy zlecone, kiedy są jakieś konferencje, delegacje, odznaczenia. W wielkiej fabryce, jak nasza, takie okazje są częste. Właśnie dzisiaj wydajemy obiad zlecony na 120 osób w świetlicy szkoły przyzakładowej.

ŚRODA: żurek, wątróbka, surówka z kapusty, ziemniaki, kisiel z jabłkiem

Wczorajszy obiad zlecony wszystkim smakował; i naszym, i gościom. Podawałam go i nasłuchiłam się pochwał. Za to, jak zwykle, nie doliczyłyśmy się noży. Zginęło dziesięć. Przecież przy takim obiedzie nie możemy brać zastawów, bo wstyd. Codzienni bywalcy stołówkowi już się przyzwyczaili do zasady, że chcąc jeść nożem, musisz dać przepustkę. Jak mięso miękkie, nikt się o nóż nie upomina, jak twarde, zgłosi się kilkadziesiąt osób, ale nigdy nie więcej niż jakie dziesięć procent konsumentów. Reszta rwie łyżką, widelcem, albo radzi sobie szczyrykiem. Już cztery lata jest taki zwyczaj. Przedtem, kiedy noże leżały luzem, ginęło i pięćdziesiąt dziennie. Każdy sobie brał nożyk na oddział, ostrzył na szlifierce i niósł do domu, albo chował. Cena noża 12 złotych, to znaczy, że i 600 zł dziennie wyciekało ze stołówki. Kiedy kupiliśmy lepsze kubeczki, też się wyniosły. Teraz są grube, powy-gryzane.

Od niektórych osób, inteligentnych, nieprzyjemnie jest brać przepustkę za nóż. Kiedyś przyszedł towarzysz Ogonowski. Pytam go — i od was też mam brać zastaw? — On na to, że obowiązkowo. Zjadł obiad, nóż oddał, a przepustkę zapomniał odebrać i musiał wracać, bo go na bramie zatrzymali.

CZWARTEK: rosół z makaronem, sztuka mięsa, sos musztardowy, fasolka szparagowa, ziemniaki, kompot

Dzisiaj żegnałyśmy jedną z koleżanek, która wymówiła. Trudno się jej dziwić, praca u nas jest ciężka, a zarobek marny. Uzupelnąć go trudno, bo na bramie jest kontrola. Wychodząc trzeba otworzyć torbę, a nigdy nie wiadomo czy kontrolerka nie zrobi rewizji w kabinie. Więc tyle, że się człowiek sam naje, ale już domu nie zaopatrzy. Ja tu pracuję dlatego, że polubiłam koleżanki i konsumentów. Nie są wybredni, nie kapryszą, jak czego chcą, mówią od razu, można się z nimi porozumieć.

Praca u nas jest ciężka, bo przepustowość stołówki wynosi około 800 osób, a my wydajemy nieraz o 500 obiadów więcej. Ale to też za mało. Załoga liczy około 14 tysięcy ludzi. Powinniśmy karmić pięć tysięcy osób, wtedy potrzeby byłyby mniej więcej zaspokojone. Kiedyś fabryka miała trzy stołówki, ale dwie zostały zamienione na hale fabryczne. Inna rzecz, że to były hale, bo kiedy parę lat po wojnie budowano fabrykę, to w niej nie przewidziano miejsca na żywienie. Nasza stołówka — jedyna,

która pozostała — też się zupełnie na stołówkę nie nadaje. Podobno w przyszłym roku rozpocznie się budowę prawdziwej stołówki, właściwie baru szybkiej obsługi, po drugiej stronie ulicy, za bramą. Ale na pewno nie można na to liczyć, bo już od lat się o tym mówi.

PIĄTEK: zarzutka z kiszonej kapusty, zraz wołowy, surówka z marchwi, ziemniaki, kompot

Dzisiaj kierowniczka znowu miała kłopot z bloczkami, bo wpłynęło ich więcej niż obiadów sprzedawała. Są tacy, którzy trzymają miesiącami niewykorzystane kartki, aż podbiorą kolor i datę. Wtedy zjadają podwójny obiad, albo zapraszają kolegę.

Przyszedł mechanik obejrzeć sterylizator, powiedział, że do tego trzeba elektryka, ale najlepiej kopnąć całe urządzenie. Wszystkie sterylizatory, jakie w życiu widziałam, były nic nie warte. Powinniśmy dezynfekować talerze w wyparzaczach, tzn. zanurzać je w kotłach z wrzącą wodą, ale kto z tym nadaży.

Konwojenci z tuczarni nie odebrali w porę odpadków. Lekarz zakładowy, który ma w sąsiedztwie gabinet, przyszedł się skarżyć, na przykre zapachy i na muchy. A przecież wie, że nic nie możemy poradzić, skoro nie mamy magazynu na resztki.

Przy dzisiejszym upale znowu nam konsumenci nakradli kompotu. Kto mógł, ściągał drugą szklankę. Musiałyśmy dolać do kotła wiadro wody, żeby dla wszystkich starczyło. Oni strasznie kompot lubią, oprócz, ma się rozumieć, ziemniaków i chleba. Nawet do zupy owocowej potrafi pójść sto kilo chleba. Któregoś roku w wielką sobotę po południu mieliśmy włamanie do stołówki, przez okno, po dachu. Zrobił to hydraulik, stary robotnik. Okazało się, że szukał kompotu, suszyło chłopą.

SOBOTA: koperkowa z kluskami, pieczeń wołowa lub wieprzowina, buraczki, ziemniaki, kompot

Przyszedł dziś do kantorku nowy konsument, młody inżynier, po studiach. Był oburzony, że w stołówce nie ma obrusów, stoły brudne, talerze obtłuczone, podłoga zanieciona błotem. My do niego — racja, nie mamy na stanie ani jednego obrusa, a widział pan z jakimi rękami ludzie siadają do obiadu? Niejeden przychodzi tak okopcony, że po zupie widać w tej czarnej twarzy tylko biały krążek wokół ust. My dla takich gości nie będziemy obrusów kłaść. Zresztą w ogóle obrusów u nas nie ma ani na

obiady zlecone, ani w tym bufecie w biurowcu, gdzie jada dyrekcja. On na to pyta, dlaczego dyrekcja jada osobno. — Bo ma budynek za bramą, daleko, to my im podsyłamy obiady w termosach, oczywiście te droższe, marżowane. — A czy z biurowca — on znowu pyta — jest dalej do stołówki niż z tamtych hal fabrycznych? — Może i bliżej, ale dyrekcja jest ciągle zajęta, trudno im się wyrwać, mają konferencje, narady. A ten inżynier ciekaw jest znowu czemu robotnicy tacy brudni przychodzą, przecież mają prysznice. — Pod prysznic to oni idą po pracy — wyjaśniam — żeby wyjść elegancko na ulicę. — Ale przecież do stołówki też powinni iść po pracy, jeśli to pierwsza zmiana, albo przed pracą, jeśli druga zmiana. — To niech pan im to powie. Wszyscy z pierwszej zmiany urywają się do stołówki od maszyny. Otwieramy jadalnię o pierwszej, ale już za pięć pierwsza tłum stoi pod drzwiami i się dobija. Sztabę trzeba było założyć, a teraz musimy drzwi wymienić, bo całe pokopane. — A żetonów jakichś nie można wprowadzić, innych dla pierwszej, innych dla drugiej zmiany? — A niech pan spróbuje. Bo myśmy próbowali i żetonów, i kontroli, i fartuchów, nic nie pomogło, jeszcze ludzie mówią, że się robotnika gnębi. Towarzysz Ogonowski słusznie powiada, że mentalność ludzka jest bez granic!

— A obrusów — pyta jeszcze ten inżynier — nigdyście nie spróbowali położyć, chociaż na jeden dzień? Nie próbowaliście wcale — mówi dziwnie — swoich zjadaczy chleba w aniołów przerobić? — Nie, już panu przecież tłumaczyłam, że w ogóle nie mamy obrusów na stanie.

Chłopak jest młody i wygląda na poetę, ale i on się na pewno przyzwyczai, tak jak my. Nasza kierowniczką na przykład jest osobą dużą, postawną, a urzęduje w kantorku półtora metra na trzy, razem z dwiema pracownicami. Z początku było jej duszno, a teraz dobrze.

Od jutra wszyscy sobie odpoczniemy, bo zaczyna się remont. Pierwszy raz od dziesięciu lat zamykamy stołówkę na dwa tygodnie. W międzyczasie malowano ją parę razy, ale nigdy nie przerywała pracy, bo robotnicy nie pozwalali, niech się farba do zupy leje, byle zupa była. Teraz się nareszcie zgodzili. Będziemy im w tym czasie wydawać wzmocnioną zupę z wkładką mięsną. Fabryka ma 14 punktów rozdawania zup, które do tego wykorzystamy. Przerwa czy nie przerwa, robotnik musi jeść, zwłaszcza robotnik takiej wielkiej i ważnej fabryki, jak FSO w Warszawie.

Małgorzata SZEJNERT

Polityka, 27 września 1969

ZAGŁOBA TU NIE JADA

Co pan jada na drugie śniadanie? — pytam obcesowo pewnego dyrektora, który, jak twierdzi, pracuje w nerwowej branży. Dyrektor mruga zdeorientowany, trwa to momencik, potem uśmiecha się znacząco: — A tego nie znam, niech pani wali, pani redaktor. Ja mam też niezły kawał, ale taki na ucho.

Tłumaczę, że chodzi mi rzeczywiście o humanitarny problem drugiego posiłku pracownika. — Hm, co ja jem na drugie śniadanie? — zastanawia się rzetelnie dyrektor. — To zależy od organizatorów narad i konferencji. Jedni dają wafelki, inni ptiberry. Zawsze jest kawa, rzadziej herbata. Kaw wypijam dziennie od czterech do siedmiu, zależy to także od tego, ilu mam gości, których trzeba lepiej przyjąć. Jak byłem zwykłym kierownikiem wydziału, brałem z domu kanapki, ale teraz mi nie wypada sznytek na biurku rozkładać.

— Macie przecież na miejscu bufet pracowniczy. Nie korzysta pan z niego? — Nie mam kiedy, zresztą wolę, żeby mi żaden pracownik piwa nie stawiał.

Dyrektor jest człowiekiem zorientowanym w różnych wskaźnikach. Wie, między innymi, że możliwość wykonywania pracy wiąże się z poziomem cukru we krwi. Po trzech, czterech godzinach wysiłku fizycznego lub intensywnej pracy umysłowej (poprzedzonych nawet dobrym śniadaniem) ten poziom rozpaczliwie spada. Organizm wraca do stanu „na czczo”. Skoro przeciętny pracownik jada pierwsze śniadanie między godz. 7 a 8, to powinien zjeść drugie około godz. 11, aby zasilić energią swoją wyczerpaną maszynę.

Dyrektor o tym wie, a jednak nie jada kanapek. Jego kierownica nie zna zasad racjonalnego żywienia, ale o stosownej porze wyjmuje z teczki zawiniątko i termos (do bufetu nie zagląda z innych niż jego szef przyczyn — za drogo i towarzystwo za ważne).

Świadomość nie określa bytu, przynajmniej co się tyczy drugiego śniadania Polaka.

W dawnej, tradycyjnej rodzinie robotniczej lub urzędniczej pieczę nad drugim śniadaniem sprawowała niepracująca kobieta. Ona to wyposażała męża i synów w kanapki skrojone według ich gustu i według możliwości domowego budżetu. Te drugie śniadania noszone do pracy w teczkach lub kieszeni były jakby świadectwem rodzinnej stabilizacji. Drugie śniadanie górnika ma nawet swoją literaturę. Pojawia się w epizodach górniczych opowieści, należy do sympatycznych rekwizytów stanu. Śniadanie urzędnika też żyje w utworach, już nie w książkach Morcinka, lecz w skeczach teatru „Syrena” i felietonach ze „Szpilek”. Skojarzono je z zarękwkami, urzędolaniem, tłuszczem na aktach, albo — jeszcze gorzej — z zamkniętym okienkiem, z „co się pani ciska, herbaty wypić nie można?”.

Specie od żywienia w Polsce skłonni są twierdzić, że kryzys tradycyjnego drugiego śniadania w środowisku inteligencji pracującej wiąże się z tym, że zostało ono ośmieszone, uznane za niemodne i w złym stylu. „Sznytki na biurku rozkładać?”.

Ale robotnicy też rezygnują z tradycyjnego drugiego śniadania. 50 proc. załogi Zakładów im. Kasprzaka w Warszawie nie zabiera ze sobą z domu żadnego posiłku. Podobnie w Hucie Warszawa. Można by się zastanawiać, czy słowo „rezygnują” jest tu odpowiednie. Robotnicy Huty Warszawa, pochodzący ze wsi okolicznych, nie biorą drugich śniadań pewnie i dlatego że do tego nie przywykli, inaczej niż na przykład załogi starych śląskich lub łódzkich fabryk.

Naprawdę jednak „sznytki” coraz rzadziej zabierane są z domu nie dlatego, że je ośmieszono, ani dlatego, że się do nich nie zdążono przyzwyczaić, ani nawet dlatego, że trudno kupić „obłożenie” i opakowanie (na papier śniadaniowy trzeba polować jak na higieniczny), lecz dlatego głównie, że nie ma już tych dobrych i spokojnych żon-matek, które wyprawiały do roboty.

Instytut Żywności i Żywienia w Warszawie, który zajmuje nowoczesny gmach, wielki jak fabryka (ale jest to fabryka z kwiatami i wodotryskiem), badał niedawno sposób odżywiania się robotników stołecznego zakładu, zatrudniającego 10 tys. osób, w tym 7 tys. pracowników fizycznych. Ustalono, że 63 proc. robotników pierwszej zmiany idzie do fabryki na czczo. Zainteresowano się, czy decyduje o tym czas dojazdu do pracy. Okazało się, że nie. Ustalono także, że wiek nie ma związku ze sprawą. Pewien wpływ na nią ma poziom wiedzy, to znaczy, że robotnicy wykwalifikowani i technicy bardziej dbają o swój posiłek. Ale największą rolę odgrywa różnica płci. Otóż kobiety częściej nie

jedzą śniadań niż mężczyźni. Poza tym, o ile u mężczyzn stan rodzinny nie wpływa na to, czy idą oni do roboty na czczo, czy najedzeni, u kobiet wpływ ten jest wyraźny. Przede wszystkim nie jedzą śniadań robotnice mające dzieci. W badanym zakładzie nie je więc przed pracą 72 proc. kobiet samotnych lub bezdzietnych i 82 proc. matek, zajętych rano wysyłaniem dzieci do szkoły. Łatwo sobie wyobrazić, jaki to musi mieć wpływ na zdrowie tych pracownic i na ich wydajność.

W smutnym tym obrazku nie ma miejsca na sielankowe drugie śniadanie. Jest za to inny fenomen: rozpoczynanie pracy od... pierwszego śniadania, zjawisko nie tyle w fabrykach, co w biurach niezwykle częste: otwórzcie znienacka biurko urzędnika, a zobaczycie, czego tam nie ma — chlebek, serek, dżemik, konserwy, jajeczka. Wszystko to służy rannemu pokrzepieniu, kosztem — oczywiście — czasu pracy. Takich form „dożywiania” z pewnością nie popieramy.

Co zaś do kryzysu tradycyjnej kanapki, nie ma czego żałować — powie dietetyk — czy to było wiele warte, ten kawałek chleba ze smalcem lub marmoladą, w najlepszym razie z kiełbasą. Drugi posiłek powinien być urozmaicony: białko, wapń, witaminy, nie za dużo kalorii, ale zdrowy. Człowiek pracujący ciężko fizycznie powinien zjeść gorące drugie śniadanie, najlepiej zupę z warzywami i z mięsem.

Zwłaszcza, jeśli idzie na czczo do roboty.

Kto więc weźmie na siebie dawne obowiązki zaopatrzeniowe żony i matki i zajmie się nimi bardziej fachowo, w myśl nowoczesnych zasad żywienia?

Wygląda na to, że nikt.

Z badań Instytutu Żywności wynika wprawdzie, że wszyscy robotnicy wspomnianej wielkiej fabryki jedzą w czasie pracy drugie śniadanie, ale jest ono dosyć marne. Najczęściej składa się z chleba i tłuszczu, kupionych po drodze do roboty i z czarnej kawy zbożowej, z kotła. Tylko 16,6 proc. robotników je drugie śniadanie o wystarczającej wartości odżywczej. Tylko 4 proc. załogi korzysta z gotowanych posiłków mlecznych, wydawanych z tytułu „szkodliwości pracy”.

Zajrzyjmy do innej warszawskiej fabryki — Zakładów im. Kasprzaka na Woli. Około 50 proc. załogi stanowią kobiety. W fabryce zrobiono trzy bufety, jeden duży i dwa małe. Te dwa małe to właściwie skromne kioski przy pokojach śniadaniowych ale trzeba je nazywać bufetami, żeby być w zgodzie z Uchwałą Rady Ministrów ze stycznia 1969 r. „w sprawie budowy stołówek i innych punktów żywienia...”. Mówi ona, że w zakładzie

pracy, który zatrudnia na najliczniejszej zmianie ponad 1000 pracowników, powinny być co najmniej trzy bufety stałe.

W kioskach można kupić chleb, słodkie ciasta, kiełbasę, konserwy. Żadnych surówek, sałatek, owoców nie ma. Produkty sprzedaje się na wagę; temu pięć deko kiełbasy, tamtemu pół kilo (zabierze do domu). Próbowano kiedyś sprzedawać u Kasprzaka śniadania porcjowane, ale kota w worku nikt nie kupi, a przezroczysta torebka z folii jest za droga. Ludzie woła postać w kolejce, zamiast przepłacać. Zresztą każdy lubi mieć wybór, a „nie, żeby mu gotowe dawali”.

Z tego chleba i kiełbasy czy salcesonu można zrobić kanapki, zagotować herbatę w czajniku (pod ścianą jest rząd kuchenek gazowych) i zjeść śniadanie według butersznytowej tradycji, nie docenianej przez speców od żywienia.

Spece polecają zupy. — Zupy, zupy! — woła behapowiec Samoraj. — W zeszłym roku 250 osobom dawaliśmy zupy częściowo odpłatne, a 45 osób dostawało zupy za darmo. Byli to ludzie pracujący przy transporcie zewnętrznym, transporcie wewnętrznym, transporcie głównego mechanika, wartownicy. Oni pracują ciężko, często na zimnie, zarabiają skromnie.

Będziemy dawać od mrozów zupy pełnopłatne, ale z nich mało kto korzysta. W zeszłym roku talerz kosztował 5,50 zł, w tym 6,50 zł. Robotnicy mówią, że to drogo. Więcej niż 150 osób na pewno nie będzie tego kupować. A zakład ma około 5 tys. załogi.

Zaglądamy do pokoi śniadaniowych. Jest ich sześć. Mało. — Fabryka ciasna, już teraz wypchana podwójnie, każdy metr kwadratowy wykorzystany. Dobrze, że i te pokoje są, i że czyste.

— My byśmy chętnie ludziom pomogli, życie ułatwili — mówi ktoś z administracji. Ale jak? Przeczytaliśmy w prasie, że na Śląsku zrobili eksperyment: kobiety rano zostawiają na portierni kartkę — imię, nazwisko, oddział i co im kupić. Wychodzą z pracy, paczka już czeka gotowa, kilo cukru, pół kilo kiełbasy, mąka, jaja. Idą sobie do domu, zadowolone, a na pierwszego strąca im się za zakupy z zarobków, po cenie detalicznej, bez żadnej marży. Jakżeśmy przeczytali w gazecie, że 80 fabryk w Katowickiem już to prowadzi, zaraz wypisaliśmy delegację dla towarzyszek Fabickiej, mówimy, jedź Lauro, zobacz jak to jest, może i my to zrobimy. Pojechała, ale prędko wraca i mówi, towarzysze, wy wierzyście gazetom? Nic z tego nie wyszło wskutek zaopatrzenia. Dziś jest makaron, a nie ma sera, jutro jest ser, a nie ma podgardlanki; sami rozumiecie, że ten eksperyment nie mógł się udać i już go nie ma.

Jakość drugiego śniadania Polaka też zależy od tego, co moż-

na kupić w sklepie. Przeciętny urzędnik czy pracownik licznych służb miejskich, coraz rzadziej, jak się rzekło, bierze śniadanie z domu, coraz częściej biegnie po nie do spożywczego. Biegnie sam, wysyła woźną, wyręcza się kolegami, z którymi ma umowę o obiegowym systemie zaopatrzenia. O tym, by wyszedł na drugie śniadanie z biura, nie ma mowy. Przerwa śniadaniowa jest za krótka, w wielu instytucjach praktycznie jej nie ma. Urzędnik, jeśli wybiega do miasta, ma tysiąc innych spraw do załatwienia (wiadomo, po południu wszędzie jest tłok). Nawet zresztą, gdyby był czas, i tak nie byłoby gdzie zjeść drugiego śniadania, więc powyższe zdania są jałowe.

Wróćmy do zakupów. Około godz. 11 we wszystkich sklepach warszawskiego „city” pojawiają się „śniadaniowcy”. Kupują bułeczkę, szesnastkę masła, pięć deko sera lub wędliny. Biorą to znudzeni monotonią zestawu, która każdemu dawno obrzydła. Uchodzą w pośpiechu w rozwianych płaszczach.

Pytam dyrektora warszawskiego Supersamu, co mógłby dla nich zrobić. Odpowiada, że niewiele.

— Kanapek nie wolno nam produkować, sanepid zabronił. Do tego trzeba mieć oddzielny pokój, a my nie mamy miejsca. Kiedy budowano Supersam, był on obliczony na połowę tej produkcji i załogi. U nas w szatni dla pracowników taki tłok, że jak szafkę otworzy, to już nie przejdzie. A z każdej szafki korzystają cztery osoby. ...Chyba, żebyśmy te kanapki robili tak po ciuchtku...

Dyrektor Baranowski zamyśla się strapiony. — Z paczkowaniem też mamy kłopoty. Wprowadziliśmy w lecie taki zestaw wieloowocowy. Dwa jabłuszka, gruszczyka, parę śliwek, w jednej torebce. Myśleliśmy, że to pójdzie jak woda, a nie sprzedaliśmy dziesiątej części. Wszystko co paczkowane, jest droższe o 20 proc. Można by się zastanowić nad paczuszkami z drugim śniadaniem, które ludzie kupowałyby w specjalnych stoiskach czy kioskach idąc do pracy: porcja pieczywa, masełka, wędlinki, serka, jakaś sałatka lub surówka, owoce. Ale to masło, wędlina, sałatka, serek muszą być paczkowane przez przemysł, a my czy inny detalista robiłby z tego dopiero urozmaicone zestawy. Ale dopóki będzie u nas taka tragiczna sytuacja z opakowaniami, nie wierzę w ten pomysł. W Jugosławii nawet mleko można kupić w torebce, otwierasz i pijesz. O proszę, mam tu takie, przywiozłem sobie i wszystkim pokazuje...

Próbowaliśmy się dowiedzieć, jak jada drugie śniadanie robotnik i urzędnik. A artysta?

Oto bufet wytwórni filmowej przy ul. Chełmskiej w War-

szawie. W szafce chłodniczej leży kawałek wyschniętego już dobrze boczku.

— Nic więcej na zimno?

— Nic.

— A na gorąco?

— Herbata.

Miejmy nadzieję, że Zagłoba-Pawlikowski tu nie jada.

Małgorzata SZEJNERT

Polityka Nr 1 z 3 stycznia 1970

DZIŚ I JUTRO ŻELAZNEJ DROGI

— Słucham, Czermak.

— Towarzyszu Ministrze, chciałbym wiedzieć, co resort zamierza zrobić dla poprawy ogólnej sytuacji w komunikacji? Wydawane są okólniki, ukazał się list do kolejarzy, ale czy to przyniesie rozwiązanie wszystkich trudnych spraw naszej kolei?

— Zwiększenie zdolności przewozowej kolei i ogólnej sprawności jej pracy, a szczególnie bezpieczeństwa i regularności ruchu pociągów, wymaga intensywnego działania w wielu kierunkach. Mamy opracowany kompleksowy program takiego działania. Jednym z ważnych jego elementów jest dyscyplina, wysokie poczucie odpowiedzialności, sumienność kolejarzy i do nich się odwołaliśmy w tej niewątpliwie trudnej sytuacji, jaka wytworzyła się na naszej kolei.

Ale konieczne jest także, jak Towarzysz wie zapewne z prasy, przyspieszenie technicznej modernizacji kolei, a zwłaszcza zwiększenie dostaw nowego taboru i poprawa stanu torów. Podjęto już w tych kierunkach wiele doraźnych decyzji.

W planie na lata 1971-75 liczne potrzeby transportu znajdują pełniejsze niż dotychczas zaspokojenie. W programie robót budowlano-montażowych, na które przeznaczamy w przyszłej pięcioletce o 50 proc. więcej środków inwestycyjnych niż w bieżącej, preferować będziemy szczególnie rozbudowę i modernizację wybranych węzłów i stacji rozrządowych, budowę drugich torów i nowych odcinków linii a także rozbudowę i unowocześnienie zaplecza kolei, rozwój trakcji spalinowej oraz elektryfikację dalszych 1600 km linii. Oczywiście realizacja tego programu wymaga czasu i nie od razu przyniesie odczuwalną poprawę.

— Dzień dobry, mówi Dziemicka. Chciałabym się podzielić swoimi wrażeniami, jakie wynoszę z każdej niemal podróży kolejami. A czuję się w nich zawsze jak zbędne koło u wozu. Pasażer ma tylko obowiązek zapłacić i jechać byle jak: na korytarzu, w przedziale zagęszczonym do 10 osób, często nawet niezależnie od tego, że ma bilet I klasy. Czy można oczekiwać jakichś zmian na lepsze?

— Nie tylko można, ale trzeba, skoro opinia społeczna ma nam tak wiele do zarzucenia.

Taboru pasażerskiego mamy wciąż jeszcze za mało, część jest przestarzała. Brak rezerw wagonowych daje się odczuwać szczególnie dotkliwie w okresach szczytowego nasilenia przewozów pasażerskich. Ale każdy rok przynosi pewną poprawę sytuacji. Na przykład w 1970 r. PKP mają otrzymać 280 nowych wagonów do przewozu podróżnych, w tym około 50 wagonów piętrowych produkcji NRD, a ponadto 47 jednostek elektrycznych do ruchu podmiejskiego.

W następnym pięcioleciu spodziewamy się otrzymać o 70 proc. więcej nowych wagonów osobowych niż w latach 1966-70. Chciałbym dodać, że cały nowy tabor to wagony 4-osiove, nowoczesne, o znacznie większej liczbie miejsc niż wagony stare 2- i 3-osiove, które stopniowo wycofujemy z eksploatacji.

Myślę, że niemałe znaczenie, jeśli chodzi o zapewnienie odpowiednich warunków podróży, ma również sprawa odpowiedniej obsługi w pociągach. Stworzyliśmy już wzorcowe brygady z młodych dziewcząt, które spełniają funkcję stewardess w wagonach, ale wciąż jest wiele jeszcze do zrobienia w tej dziedzinie.

— ... jako pasażerka często odnoszę wrażenie, iż nikomu nie zależy na wywiązywaniu się z obowiązków. Zanika tradycja prawdziwych, starych kolejarzy przywiązanych od pokoleń do swego zawodu. Cieszę się więc, że ta sprawa leży na sercu resortowi. Chciałam, Panie Ministrze, powiedzieć o jeszcze kilku drażliwych sprawach. Często nasze wagony są brudne, z zamazanymi oknami. Wiele do życzenia pozostawia czystość w WC w pociągach.

Z zazdrością patrzyłam jak w Budapeszcie czy w Paryżu natychmiast po wejściu pociągu na stację podchodziły drużyny myjące okna i sprzątające wagony. U nas tego nie widziałam.

— Pasażer ma prawo wymagać, aby wagony które mu PKP udostępniają były czyste i estetyczne. Dziękuję za te krytyczne i cenne dla nas uwagi.

— Ja mam tylko jedno krótkie pytanie do Pana Ministra: Czy planuje się zelektryfikowanie trasy z Warszawy do Nowego Dworu?

— Przewidujemy, że odcinek kolejowy Warszawa Praga - Nasielsk z odgałęzieniem z Legionowa do Zegrza zostanie zelektryfikowany w 1971 r. Tym samym obsługę całego już warszawskiego ruchu podmiejskiego przejmie trakcja elektryczna.

Pociągi — od kuchni

— Czy Pan Minister Czermak? Kłania się Zamiecka. Często podróżując pociągami dalekobieżnymi zadawałam sobie pytanie, dlaczego tak rzadko spotyka się w nich wagony restauracyjne? Są bufety, to prawda, ale obsługa i wybór dań pozostawiają wiele do życzenia, rzadko można tam spokojnie zjeść.

— Bardzo mi jest przykro, że nie możemy świadczyć takich usług, jakich pasażerowie mają prawo od nas żądać.

Jeśli chodzi jednak o brak wagonów restauracyjnych, to pewnym usprawiedliwieniem są trudności związane z ich produkcją, w której polski przemysł kooperuje z przemysłem NRD. Najbliższe lata, chociaż jeszcze nie 1970 rok, przyniosą wyraźną poprawę. Przewidujemy poważne zwiększenie dostaw nowych wagonów restauracyjnych.

Niezmiernie natomiast trudną sprawą są bary w pociągach. Wiemy, że obsłudze czy też menu w niektórych barach można wiele zarzucić. Ale jednocześnie często sami pasażerowie okupują je, traktując jako miejsce do wypicia piwa. W rezultacie ci, którzy chcieliby zjeść coś gorącego nie mają miejsca i odchodzą z obrazem pozostawianych butelek i kufli piwa. Myślę więc, że zlikwidowanie złej sławy barów zależy w dużej mierze od samych pasażerów. Ze swej strony będziemy energicznie zabiegać o lepszy dobór personelu i o systematyczną poprawę zaopatrzenia, a także postaramy się rozwinąć szerzej „obnośną” obsługę gastronomiczną w pociągach.

— Dziękuję bardzo za te wyjaśnienia.

— I ja dziękuję, i życzę aby w przyszłości mogła Pani przyjemnie podróżować.

Jak cię widzą...

— Dzień dobry, mówi Jasiński. Ilekroć jadę pociągiem widzę wokół bardzo wielu stacji kolejowych tereny, które zajmują zwały węgla, kupy żelastwa. Żałośnie wyglądają zwłaszcza ustawione na bocznicach zakurzone i obdrapane wagony, które służą jako pomieszczenia dla pracowników PKP.

— Niemałe nakłady przeznaczamy na modernizację dworców i porządkowanie ich otoczenia. W ostatnich latach poddaliśmy kapitalnemu remontowi i gruntownej modernizacji ok. 230 budynków dworcowych.

Ale oczywiście estetyka zależy także od bieżącego utrzymania porządku i czystości na terenach kolejowych, a w tej dziedzinie istotnie jest wiele jeszcze do zrobienia. Uwagi Pana wykorzystamy w rozmowach z kierownictwem jednostek terenowych PKP.

Z Warszawy do Zakopanego

— Halo, czy Pan Minister Czermak?

— Przy telefonie, słucham.

— Ja studiuję w Warszawie, lecz rodzinę mam w Zakopanem i oczywiście na wszystkie ferie i święta jeżdżę do domu. Interesuje mnie, czy coś się poprawi w komunikacji kolejowej na trasie między Krakowem a Zakopanem? Można ją przebyć przecież w 2 godziny, a podróżuje się pół dnia.

— Z Krakowa do Zakopanego prowadzi stara górską trasą, krętą, o ostrych łukach, na której nie można rozwinąć szybkości większej niż 50-60 km. Były plany zbudowania innej krótszej trasy, ale ze względu na olbrzymie koszty takiej inwestycji nie możemy o niej myśleć w tej chwili. Dlatego sądzę, że najbliższą przyszłość komunikacji Warszawy z Zakopanem należy widzieć w usprawnieniu połączeń kombinowanych: do Krakowa — pociągiem, a stamtąd do Zakopanego autobusem. Z tym, że jeśli chodzi o samą podróż pociągiem, to przewidujemy, iż na niektórych odcinkach będziemy jeździć trochę wolniej. Zmusza do tego stan nawierzchni.

Wolniej, ale bez opóźnień

— Czy Pan Minister byłby uprzejmy mi wyjaśnić, co jest z tymi pociągami z Legionowa? Codziennie niemal przychodzą z opóźnieniem, a przecież tyle ludzi dojeżdża do pracy i do szkoły.

— Komunikacja kolejowa węzła warszawskiego stanowi oddzielny, niesłychanie trudny problem. Stan nawierzchni jest bardzo zły i trzeba ograniczać szybkość jazdy. W rezultacie występują zakłócenia w ruchu lokalnym i w ruchu dalekobieżnym. Obecnie są prowadzone intensywne prace drogowe, przeciągną się one i na najbliższy rok. W tej sytuacji nosimy się z zamiarem zmniejszenia szybkości i wydłużenia czasu jazdy na niektórych liniach, m.in. i na linii z Legionowa. Wydaje się bowiem, że lepiej podróżować kilkanaście minut dłużej, a jednak przyjechać na czas.

Jest już opracowana nawet koncepcja zmiany rozkładu jazdy wg tych założeń. Zastanawiamy się, czy wprowadzić ją już od 1 lutego, czy też doprowadzić tę sytuację, psującą nerwy pasażerom, do maja, kiedy zaczną obowiązywać letni rozkład jazdy.

Na peronach ślisko

— Halo, dzwoni jedna z pasażerek linii otwockiej, Na stacji w Świdrze są tak oblodzone perony, że niebezpiecznie jest chodzić Panie Ministrze...

— Będziemy interweniować, bo jest to wyraźne zaniedbanie. PKP odpowiadać przecież nie tylko za przewozy, ale i za stan obiektów kolejowych. Proszę do mnie zadzwonić za parę dni i powiedzieć, czy sytuacja na peronach się zmieniła.

— Czy w czwartek mogę zadzwonić do „Życia Warszawy”?

— Nie, tak szczęśliwy to ja jeszcze nie jestem, żeby „Życie Warszawy” gościło mnie co czwartek u siebie. Proszę uprzejmie zadzwonić do Ministerstwa Komunikacji.

Życie Warszawy Nr 310, 30 grudnia 1969

H A R M O N I A

W podróży kolejowej, o niej samej za chwilę, opadły mnie wątpliwości. Rozpocząłem z nimi szamotaninę. W naszych pociągach zlikwidowano wiele wagonów restauracyjnych. Hm. No, no. To słusznie, niech Polacy więcej czytają w podróży, zamiast popijać. Brawo! Hm. Ale czy aby ci, co popijali, obecnie z braku wagonów restauracyjnych wezmą do walizek książki? Wątpię. A może jednak? No, a jeżeli nie zajmą się czytaniem, to czym zapełnią nudę podróży? Nuż zaczną politykować? — O! Brawo — po zlikwidowaniu wagonów restauracyjnych będą przynajmniej politykować na trzeźwo. No właśnie! Hm.

Sprawiedliwie mówiąc, w wagonach restauracyjnych przecież nie tylko popijali, ale i jedli. Wagonów nie ma — nie zjedzą, Polak jak głodny — zły, więc jeśli źli zaczną politykować na trzeźwo... Chociaż tu znowu doświadczenie uczy, że głodnemu tylko chleb na myśli — a zatem nie polityka. No, a w żadnym wypadku nie czytanie, skoro burczenie w brzuchu podczas lektury zupełnie defasonuje litery druku. Czy to jednak możliwe, aby likwidacja wagonów restauracyjnych była wymierzona przeciwko czytelnictwu? Głupstwo! Jeszcze jakie! Przecież jeżeli podróżny przygotowany do braku w pociągu restauracji ma do wyboru, co zabrać w drogę, winiak czy Pamiętniki Bezrobotnych, ów co piłyby w restauracji i tak zapakuje do walizki winiak, a ten co zwykł był czytać w podróży i tak zabierze książkę. Aliści ten, który bierze książkę — jako człowiek światły — musi przewidzieć, że z wielu powodów czytanie może być uniemożliwione (ścisk w przedziale, ktoś przewozi mimo zakazu materiały cuchnące), zaś wybranie azylu w wagonie restauracyjnym nie będzie możliwe z powodu braku tegoż — więc co zrobić? Na wszelki wypadek oprócz Pamiętników Bezrobotnych zaopatrzy się w winiak. Więc jednak brak wagonów restauracyjnych w dalekobież-

nych pociągach pociągnie za sobą zwiększenie spożycia alkoholu i zmniejszenie czytelnictwa? Czy jest ktoś zdolny to na pewno przewidzieć?

Zamiast wagonów restauracyjnych na wielu liniach kursują bufety, połówki wagonów przedzielone ścianką z okienkiem przypominającym banki z amerykańskich filmów o Dzikim Zachodzie. W wagonach restauracyjnych stek z pieczarkami kosztował 28 zł 60 groszy, w bufecie kosztuje 32 zł i 60 groszy. To jest o cztery złote drożej i w dodatku bez ziemniaków. Ale za to z samoobsługą — człowiek może sobie podać uprzejmie, a za uprzejmość warto jest zapłacić. Zwłaszcza w czasach, gdy wszędzie czyhają nerwice. Manewrowanie talerzem w ciasnocie bufetu jest trudne i uciążliwe, ale za to można sobie serwować tak, jak się lubi — a za dogadzanie też trzeba płacić. Kalkulacja ceny steku w wagonie restauracyjnym obliczona jest między innymi w oparciu o 5 osób personelu, w bufecie pracują trzy, jednak w o ileż gorszych warunkach. Jeżeli ktoś tego nie dostrzega, to i tak dowie się z głośnych i konsekwentnych uwag personelu — więc z pewnością na cenę steku rzutują również ciężkie warunki pracy, droższa jest robocizna.

Inaczej wygląda przyrządzanie steku w restauracji „Giewont”, inaczej przedstawiałoby się smażenie go na samym Giewoncie. No, na szczęście nikt nie chce smażyć steków na Giewoncie, chociaż i to nie jest bezwzględnie pewne. Na Giewoncie natomiast góralki handlują zimnymi zakąskami (czasami bywa ciepły bigos), nabiałem, deserami, owocami i ogólnie biorąc artykułami łatwoprzenośnymi. Pytania dlaczego nie postępuje podobnie WARS, dlaczego nie ma nabiału, kanapek, dlaczego w pociągach (również oprócz bufetów) nie stosuje sprzedaży artykułów łatwoprzenośnych, dlaczego wybór jest marny, dlaczego utrudnia sobie pracę żonglowaniem zastawami za butelki, gdy szklanki choć droższe powierza klientom w zaufaniu — są pytaniami naiwnymi, jeżeli przyjąć, że tradycja WARS-u sięga ledwie lat kilkunastu, natomiast góry pochodzą z trzeciorzędu — góralki noszące na Giewont poziomki ze śmietaną miały dość czasu, aby się do tego organizacyjnie i koncepcyjnie wdrożyć. Poza tym gaździny, jako proste kobiety, skazane są na kierowanie się wyłącznie zdrowym rozsądkiem, zarówno w kalkulacji cen, jak i przewidywaniu ludzkich potrzeb. Jest to także sprawa poziomu rozumowania — o ile góralki wychodzą z uproszczoną koncepcją, że turyście po wysiłku przy zdobywaniu Giewontu dobrze zrobi jakaś smaczna i pożywna przekąska, o tyle koncepcja WARS-u jest psychologicznie pogłębiona — podróżny przeciskając się przez wagony, zmaltretowany tłokiem w ciasnocie bufetu, zmęczony walką o miejsce,

o talerz, gotów jest zjeść cokolwiek, a jeżeli zatem nie jest w stanie ocenić tego co je, to nie warto wysilać się w dogadzaniu mu. Rzecz oczywista! Brawo! Może by tylko cosik uczynić dla higieny, mianowicie jednak sprzątać te sterty brudnych naczyń z jadalni bufetów? Hm. Oczywiście można by i w tym punkcie nawet nasuwa się pewna innowacja — czy by nie należało wciągnąć pasażerów do prac społecznych w pociągu, skoro nie jesteśmy przecież do końca pewni w jaki sposób walczyć z nudą podróży — czytaniem lub popijaniem? Tak, doskonale! Powstanie komitet, wprowadzi się odpowiednie odznaki — jak dla dzentelmenów jezdni. Dzentelmen — pomywacz.

Jednakże... Właśnie to jednakże! W czasach wagonów restauracyjnych ORBISU, kiedy ani nam się śniło narodzenie WARS-u (bo po co tyłu dyrektorów do jednej prostej sprawy) podróżny rozsiadał się w wagonie, brał do ręki kartę, miał tam do wyboru obok schaboszczaka pstrągi, obok bigosu kurczę, widział ceny, żądał czystego obrusu, miał wymagania wobec obsługi i ponieważ w sumie było mu za dobrze, więc okupował kolejowy stoliczek restauracyjny nie wiadomo ile. Inni głodni czekali. A tak wiadomo, zje, spojrzy na smutny obraz resztek na talerzu i ustąpi z pola. Chwyt psychologiczny — brawo! Doskonale — nie sprzątajmy już tych brudnych talerzy. Wątpliwości, o których mowa, roztrząsałem podczas podróży z Wrocławia do Świdnicy, circa 35 kilometrów. Wsiadłem do pociągu Wrocław - Jelenia Góra, jechałem 35 minut, wysiadłem w Jaworzynie, w Jaworzynie czekałem godzinę na pociąg Jaworzyna - Wrocław i po dziesięciu minutach jazdy byłem w Świdnicy. Dziwne? A dlaczego mnie to dziwi, przecież nie pytałem o radę kolejarza układającego rozkład jazdy, czy powinienem włączyć się po nocach. Jasne. Po raz pierwszy czułem się jak prawdziwy współwłaściciel — w pociągu Jaworzyna - Wrocław jechałem sam, jeden!

W podróży przeczytałem list pewnego Profesora Doktora Inżyniera do redakcji „Życia Warszawy”. Prof. Dr Inż. uważa, że na naszych kolejach utrzymywana jest organizacja ruchu i polityka przewozowa dostosowana — mimo elektryfikacji — do trakcji parowej. Uważa, że kierownictwo kolei nie docenia i nie wykorzystuje odpowiednio trakcji elektrycznej, ponieważ nie rozumie jej specyfiki (mamy przedostatnie miejsce w Europie pod względem szybkości przewozów). Prof. Dr Inż. podaje, że absolwenci politechniki, specjaliści trakcji elektrycznej przeważnie nie pracują na kolei oraz, że od dwudziestu lat nawołuje, aby przed przystąpieniem do elektryfikacji kolei zelektryfikować ludzi, że nie wystarczy parowozu zastąpić elektrowozem... No właśnie! Od dwudziestu lat nawołuje, a tymczasem przybywa tras zelektryfi-

kowanych — ostatnio mieliśmy święto wypuszczenia pociągu elektrycznego z Warszawy do Radomia. Proszę! Brawo! Czasami jakiś starzec — jak to starzec — pogdera, że w dziewięćset szesnastym szybciej mógł dojechać koleją z Chabówki do Warszawy, jeszcze rzadziej jakiś profesor specjalista wyskoczy z tym obliczeniem, iż nasz transport kolejowy jest nieracjonalny — hm, i co z tego. Natomiast każdy widzi elektryfikującą się kolej i to jest *modus vivendi*, aha.

Nie ma sytuacji, dla której nie można by znaleźć *modus vivendi*. Dyrektor pierwszorzędnej, luksusowej firmy stołecznej, położonej na staromiejskim szlaku Hotelu Europejskiego wydał zarządzenie zakazujące podawania piwa po godzinie 18. Mógłby ktoś to zarządzenie uznać za bezgraniczną bzdurę, urągającą sztuce kupieckiej, gdyby go nie można zestawić z innym zarządzeniem, zakazującym podawania buraczków do godziny 18.30. Zamawiając zajęcia w śmietanie z buraczkami i piwem należy zastosować *modus vivendi* — i basta. Proszę piwo zamówić o 17.50 i czterdzieści minut odczekać do buraczków, zajęcia przecież jest podawany bez względu na przerwy w godzinach otwarcia lokalu kategorii S. I szatnia również czynna jest w tych godzinach, chociaż nie wiadomo dlaczego — przecież mogłaby być czynna inaczej. I chyba nawet powinna. Żeby zharmonizować zarządzenie dyrektora co do piwa i buraczków wewnętrznie, a na zewnątrz działalność dyrektora pierwszorzędnej eksponowanej placówki Hotel Europejski z dyrektorem WARS-u, zarządzającym wagonami restauracyjnymi i sypialnymi. Zarządzenia dyrektora WARS-u z *modus vivendi* stosowanym przy elektryfikacji kolei i tak dalej, hm.

ALEKSANDER R.

Prawo i Życie, 14 grudnia 1969

TORY WE MGLE

Jeszcze raz sprawdzam wypełnioną delegację służbową. Wyjazd: miejscowość — Warszawa, data — 1. XII. godzina — 13.20. No nie, faktycznie pociąg ruszył ze swojej stacji początkowej na Dworcu Gdańskim o 13.35.

— „Dlaczego ruszamy z opóźnieniem, panie konduktorze?”

— „Co za opóźnienie! W sobotę to godzinę czasu nie mogli sobie poradzić z parą. Nie czyta pan gazet? Teraz wszystkie pociągi się spóźniają!”

Przyjazd: miejscowość — Kutno, data: 1. XII, godzina 14.55. Tak przynajmniej jest w rozkładzie, ale przyjechałem do Kutna o godz. 15.30, czyli 35 minut spóźnienia. A był to pociąg międzynarodowy, przejechał dopiero 129 km swojej wielusetkilometrowej trasy prowadzącej przez Berlin do Paryża, Ostendy.

Pierwszy

— Na jakim torze — w krzyku zastępcy naczelnika kutnowskiej stacji słysząc panikę — jest ekspres z Warszawy?!

— Jezus Maria! — Dyżurny ruchu Henryk Wilkoński rzuca się na sterowniczy pulpit wbijając palce w przycisk przesuwający zwrotnicę. Mechanizm sygnalizuje, że zwrotnica jest aktualnie przesuwana. Znaczący, że wtedy nie przesunął zwrotnicy. Jego palce spoczęły więc na przycisku na zbyt krótki okres. Wydawało mu się, że automat potwierdził przesunięcie, **wydawało mu się...** Teraz już za późno. Po jednym torze z dwóch przeciwnych kierunków pędzą wprost na siebie ekspresy. Już są blisko, ale oni z nastawni nie widzą jeszcze świateł parowozów, nie widzą ich także spieszący na śmiertelne spotkanie maszyniści obu pociągów. Jest 16 października 1969 r., silna mgła poważnie ogranicza widocz-

ność. Za chwilę nieuchronna tragedia będzie już faktem. Wiele godzin trwa później akcja ratownicza. Jest kilkudziesięciu ciężko rannych.

— *Maszynista warszawskiego pociągu nie miał prawa bez specjalnego pisemnego rozkazu wjechać na ten tor* — tłumaczą mi. Dyżurny ruchu błędnie skierował pociąg, ale maszynista wiedział, że zjeżdża na inny tor. Byli z nim także kierownik pociągu, pomocnik. Należy również zapytać, dlaczego w tak trudnym okresie, ze względu na mgłę, zamknięto dla przeprowadzenia prac remontowych jeden z torów? Pytań pod adresem dozoru jest więcej. Świadców w tej sprawie też — m.in. z-ca naczelnika stacji, który wizytował właśnie punkt manewrowy i który pierwszy ale niestety zbyt późno, dostrzegł błąd popełniony przez pełniącego służbę kolejarza. Wreszcie do samego dyżurnego ruchu są zastrzeżenia — teraz usłyszałem że miał już poważne przeoczenie. Został wskutek tego zdjęty ze stanowiska, potem zdawał ponownie egzaminy starając się odzyskać uprawnienia. Dwa razy oblał, za trzecim razem zdał. „*Przeciągnęli go — mówią — brak ludzi*”.

D r u g i

Było to kilkanaście dni później. Trudno teraz ustalić, kto dostrzegł pierwszy leżącego na nasypie zająca. Fakt, że podjeżdżając pod górę pod Płockiem, zatrzymali pociąg i wyskoczyli po zająca. Gdy już trzymali go w rękach zobaczyli, że pociąg drgnął i zaczął się staczać do tyłu. Zdołali wskoczyć, ale próby zahamowania nie dały rezultatu. — *Hamulce były w porządku* — usłyszałem od naczelnika oddziału ruchowo-handlowego w Łodzi Tadeusza Sieradzkiego — *ale nie potrafili ich należycie wykorzystać*.

Składający się z kilkudziesięciu wagonów towarowy pociąg, nabierając coraz większego przyspieszenia, przeleciał tyłem 2-kilometrowy odcinek, wpadł na ślepy tor, wybił zaporę, kilkadziesiąt metrów pchał jeszcze spiętrzone wagony rozbijając po drodze nowo wybudowany szczęśliwie nie zamieszkały jeszcze murowany dom parterowy. Wielotysięczne straty, ale obyło się tym razem bez ofiar. Maszynista, który prowadził pociąg był z parowozowni z Kutna.

T r z e c i

W nocy z 30 października na 1 listopada w pobliżu stacji Jedlicze Łódzkie, lokalny pociąg osobowy, jadący po bocznym

torze, nie zatrzymuje się pod zamkniętym semaforem i uderza w bok pociągu pasażerskiego, jadącego z Gdyni do Łodzi, który znajdował się na torze głównym. Pięć osób poniosło śmierć, 30 zostało ciężko rannych. Gdzie miał oczy maszynista? „Zajrzał akurat do rozkładu jazdy — słyszę — wtedy minął semafor”. Ale 700 m przed semaforem miał światło ostrzegawcze, że przejazd zamknięty. — *W takim wypadku — tłumaczą mi maszyniści — zwalniamy i podjeżdżamy pod semafor. On wiedział, że w tym czasie nie powinno być pociągu na głównym torze. Ale zamknięty semafor — rzecz święta. Pociąg, który nadjechał, był spóźniony.*



Niekompetencja? Nonszalancja? Niedbalstwo? Ale czy tylko? Trzy kolejne wypadki zostały popełnione przez ludzi wywodzących się z tego samego środowiska kolejarskiego. Środowiska z tradycjami. Chlubiącego się dotychczas swoimi kolejarzami.

Przypomnijmy jednak, że nie tylko kolejarzom z Kutna zdarzyło się zawinąć poważne katastrofy odnotowane w tym roku. Czy to rzeczywiście tylko — jak słyszę — pech, przypadek, tragiczne skutki chwili nieuwagi.

— *Wina konkretnych osób jest tu oczywista — takie jest powszechne zdanie kolejarskiego środowiska. Ale zaraz za tym oświadczeniem słyszę wiele uwag. — Myśmy się nie zmienili — mówią kolejarze w Kutnie — ostatnie miesiące i serie tragicznych katastrof na PKP to cień na honorze ludzi naszego zawodu. Ale krzywdzącym nas uproszczeniem jest zwälzać wszystko na brak dyscypliny.*

Plan jest dla dyrekcji

Jest bliska płaczu. Dochodzi godzina 21, poniedziałek, 1 grudnia. Przyjechała właśnie ze Szczecina. W drodze była przez dwa dni. Planowo miała wyjechać w następny kurs trzeciego, czyli w środę o godz. 4.10. Wtorek byłby więc dniem odpoczynku, na zakupy, porządki. Ale zadysponowano inaczej. Ma się stawić jutro na godzinę 9. Pojedzie z Kutna do Warszawy, potem do Łodzi, następnie z powrotem do stolicy, skąd o godz. 4.50 w środę wyjedzie do Kutna — przyjazd na miejsce o 8.30. Trasy krótkie, ale za każdym razem 2-4 godzinne oczekiwanie na następny pociąg.

Genowefa Solińska ma 23 lata, drugi rok jest konduktorką. Niedawno wiele jej koleżanek pojawiło się w pociągach, ale na

ogół długo nie pracują. Z reguły po zamążpójściu odchodzą, jeśli nie w ogóle z kolei, to prawie zawsze z drużyn konduktorskich. Jedną z najczęstszych przyczyn pretensji są ciągłe zmiany w grafiku: „*plan jest tylko dla dyrekcji, praktyka to co innego*”. Dodają jednak, że i tak od kilku miesięcy wiele się poprawiło. Bywało, że kierownicy pociągów, konduktorzy mieli zaledwie po kilka godzin przerwy w pracy, które mogli spędzić w domu. Owszem, na stacji zwrotnej przerwy bywają dłuższe. Ale co z tego, jeśli np. jest tam taka sama sala dla drużyn konduktorskich jak tu w Kutnie.

A więc jakieś dwadzieścia kilka metrów kwadratowych, stół i trzy ławy. Jest jeszcze piec. Na ścianie wisi półka do gazet „*Zołnierz Wolności*”, „*Motor*”, innych pism brak. Są za to kartki doczepione do każdego numeru: „*prosimy o wpisywanie się do karty biegowej*”. Są wprawdzie także takie sale drużyn konduktorskich, jak np. w Skierniewicach, Toruniu, Piotrkowie — gdzie jest radio, a nawet telewizor.

Przychodzą na służbę na kilkadziesiąt minut przed odejściem pociągu. Nie zawsze jednak od razu stąd wychodzą. Nieregularność kursowania bije właśnie w nich. Dla drużyn konduktorskich z pociągów towarowych czas oczekiwania dochodzi do kilku godzin. Za przestoje — nie z ich winy przecież — liczy się im połowę czasu pracy i płaci 50 % wynagrodzenia otrzymanego za czas jazdy.

B i e g i e m

Kierownik pociągu towarowego Jan Lemański ma 50 lat, na kolejarskim kołnierzu nosi belkę z jedną gwiazdką — IX grupa uposażenia. Pracuje w PKP od 1945 r., 16 lat w drużynach konduktorskich. Kwadrans po północy jego pociąg zatrzymał się na stacji Skierniewice-Osobowa. W chwilę później parowóz, z maszynistą i pomocnikiem, odjechał. Lemański idzie teraz wzdłuż całego składu sprawdzając plomby, kontrolując stan wagonów. Buty grzęzną w kilkucentymetrowym, mokrym śniegu. Marsz wzdłuż całego pociągu, tylko w jedną stronę to ponad 700 m. Powinno ich być dwóch. Wtedy mogliby się porozumiewać, czy po obu stronach wagonu są jednakowe plomby. Szczególnie ważne jest to przy przyjmowaniu pociągu. Kierownik, który przeszedł wzdłuż kilkudziesięciu wagonów, nie może praktycznie w czasie kontroli z drugiej strony pamiętać czy plomby się zgadzają. Jest nawet takie zarządzenie, żeby było dwóch, ale nierealne, skoro brak ludzi.

Lemański spieszy się. Czy zdoła dostrzec w błysku ręcznej latarki ewentualną usterkę powstałą podczas jazdy? Z ostatniego wagonu zdejmuje dwie lampy — sygnały. Każda z nich waży co najmniej po 2,5 kilo. Przez ramię ma przewieszoną wielką, skórzaną torbę. Nosi w niej — zgodnie z regulaminem — komplet rozkładów jazdy pociągów towarowych, do każdego z nich dodatkowe grube książki — instrukcje. Skromną część tego bagażu zajmuje własna aprowizacja. Jest jeszcze latarka z akumulatorem, spłonka. Biorę do ręki torbę, waży na pewno powyżej 15 kg, a może nawet 20. — *Będzie jeszcze ciężiej — mówi Lemański — gdy trzeba będzie chodzić w filcakah i kozuchu.* Zaczyna śnieg z deszczem, a jemu leje się pot z czoła. Do dyżurnego ruchu na Towarowej — „na piachach” jak mówią — ma prawie 3 km. Następny jego pociąg odchodzi za 3,5 godziny. Za ten czas nie otrzyma jednak wynagrodzenia, ponieważ różnica między przyjazdem i odjazdem jest większa niż 3 godziny i liczy się to już jako... wypoczynek. Do stacji „na piachach” szedł trzy kwadranse, a policzy mu się tylko 30 minut przypadające na zdanie pociągu. Tyle samo czasu przypada na przyjęcie pociągu. Czy może to być wykonywane przez jedną osobę, niemal biegiem — solidnie przeprowadzone przyjęcie?

Brak ludzi i limity

Na przystanku Gałkówek podmieniane są lokomotywy: zmiana trakcji. Zanim jednak elektrowóz zostanie zastąpiony przez parowóz, mija kilkadziesiąt minut. Można by w tym czasie dokonać przeglądu, gdyby był na miejscu rewident. Nie ma tu jednak takiego posterunku. Pociąg jedzie więc do stacji Łódź-Widzew odległej zaledwie o 12 km i tutaj powtórnie staje na kilkadziesiąt minut dla dokonania tego właśnie przeglądu, który można było wykonać w Gałkówku. Tam pociąg nie zawadzał, stojąc na jednym z bocznych torów, tutaj — tarasuje pasmo szyn na obciążonej dużym ruchem stacji

Brak ludzi. Bardziej atrakcyjne oferty przemysłu zabierają kolei pracowników. Na stacji Łódź-Olechów brak 50 osób. W październiku w wyniku akcji agitacyjnej zwerbowano 83 osoby, ale 70 z nich odpadło po badaniach lekarskich. Badania te — zarówno dla nowoprzyjmowanych jak i badania kontrolne, okresowe dla pracowników — nie są jednak sprawnie przeprowadzane. Pracowników służby ruchu obowiązuje odbywanie tych badań co trzy miesiące. Kierownik pociągu, Czesław Głuchowski miał założyć badania od kwietnia. Dopiero dzisiaj właśnie je zakończył.

Stał pod gabinetem lekarskim w przychodni kolejarskiej w Kutnie od godziny 5 rano do 10-tej.

Zadania są z każdym rokiem coraz większe. Pracy przybywa. Jednocześnie administracja zalega z awansowaniem pracowników. Mówiono o tym na ostatniej konferencji ekonomicznej w łódzkim oddziale. Brak ludzi, ale jednocześnie o 900 tys. zł w ciągu III kwartału br. przekroczono fundusz płac. Zasadniczą przyczyną był wzrost godzin nadliczbowych „Zielona droga” dla pociągów z węglem! Za to, że nie rozprowadzano tego asortymentu systematycznie, rozkładając przewozy na cały rok, przychodzi teraz płacić przestojem innych pociągów.

W okresie trzech kwartałów w oddziale łódzkim przekroczono plan. Ale jednak plan roczny jest zagrożony. W październiku i listopadzie tempo przewozów znacznie spadło. Plan goni, plan narzuca tempo. Ogólnonarodowy stawia zadania dyrekcjom okręgowym, te zaś formułują dyspozycje podległym sobie jednostkom. Ale dzielić zadania to jeszcze nie wszystko, trzeba je dostosowywać do możliwości.

Wróćmy znowu do Kutna. Jest to stacja rozrządowa. Jak wynika z obliczeń, przy zachowaniu obowiązujących przepisów, czas pokonywania przez wagon określonego odcinka na tutejszej górcie rozrządowej winien wynosić 19,6 minuty. Tymczasem wyznaczony limit sięga zaledwie 18 minut. Wagony są więc przetażane szybciej. Szybciej niż nakazują to przepisy bezpieczeństwa.

Bez sygnałów

Wiedziałem o tym już od konduktorów: otrzymujemy, mówili, nie doładowane akumulatory do ręcznych latarek i do lamp-sygnałów umieszczanych na końcu pociągu. Skutek jest taki, że po kilku godzinach lampy przestają świecić. Na konferencji ekonomicznej w łódzkim oddziale potwierdził te pretensje naczelnik stacji Kutno, Szczubetek:

— *Mamy 72 gniazda do podłączania akumulatorów. Podłączanie dwa razy na dobę — po 12 godzin — pozwoliłoby naładować zaledwie 140 akumulatorów. Tymczasem codziennie trzeba zasilić energią ponad 400 akumulatorów. Czas ładowania jest więc skracany.*

Ale ładowanie akumulatorów to już inna służba — to nie nadzór ruchu, to wagonownia. A więc — „kolega”, odpowiedź naczelnika wagonowni była krótka: — *Nie mamy, nie ma w magazynie, nie zaplanowano.* Rozwiązanie jednak znaleziono nakazując zebranie urządzeń do ładowania akumulatorów z innej sta-

cji, na której nie były one niezbędne, jak się okazało. Czy jednak z tą transakcją trzeba było czekać do konferencji? Kłopoty z akumulatorami ciągną się w Kutnie od dawna.

Pociągi bez sygnałów. Przypomnieli mi się w tym momencie „ci od zająca” — dostrzegli łatwą zdobycz, wyskoczyli, zostawili pociąg. Sprawa jest smutna i poważna, ale ilekroć rozmawiałem w Kutnie na ten temat, zaczynano od śmiechu, a kończono na stwierdzeniu — „to nie mieści się w głowie”.

Ale przytoczmy takie oto wypowiedzi w czasie konferencji. Mówi kontroler ruchu Matczak: — *Nie ma ani jednego rozjazdu na stacji Łódź-Widzew zgodnego z przepisami.* Mówi zastępca zawiadowcy stacji Łódź-Karolew, Witek: — *Rozjazdy są na poziomie opłakanym. Brak jednej śruby może zaważyć, może być przyczyną katastrofy.* Mówi naczelnik Szczubetek: — *Wagony z ładunkiem niebezpiecznym przychodzą bez nalepek ostrzegawczych. Przepisy zabraniają spuszczenia takich wagonów z górkek rozrządowych, ale skąd mają znać ich zawartość ustawiacze, skoro brak ostrzegawczych znaków. Ponadto dotychczas stosowane oznaczenie tego typu wagonów jest nie dość czytelne, może zostać taka nalepka przeoczona.* Przemawiający zwrócił także uwagę, że formowane są zbyt długie pociągi, przekraczające możliwości stacji. Skutek jest taki, że składy te nie mieszczą się na bocznych torach i blokują końcówką tor główny.

Mówi przedstawiciel łódzkiego oddziału drogowego PKP (oddziałowi temu podlegają tory), Sabiniski: — *W latach ubiegłych otrzymywaliśmy w listopadzie do naszej dyspozycji pociąg mechaniczny dla dokonania napraw torowych. Obecnie pociąg ten zajęty jest na innym terenie. I chociaż jesteśmy przygotowani do podjęcia robót, przystąpimy do nich dopiero na wiosnę. Tymczasem na torach występują przeciążenia — pękają szyny.*

„Jesteśmy teraz na ustach wszystkich”

O tym, że kolej pracuje na granicy swych możliwości — mówi się od dawna. Szczególnie transport towarowy nie posiadający rezerw taborowych raz po raz odczuwa boleśnie skutki niedoinwestowania kolei. Jakże są jednak drogi wyjścia w obecnym, trudnym okresie, gdy kolej jeszcze nie uporała się z jesiennymi przewozami, a jednocześnie rozpoczęła trudną walkę z zimą? Trzeba przy tym pamiętać, iż prowadzone obecnie na szerokim froncie roboty torowe, to jednocześnie główna przyczyna opóźnień w regularności biegu pociągów. Nieregularne kursowanie odbija się na wynikach eksploatacyjnych, przedłuża średni czas przebywania wagonów w składzie pociągu, obniża szybkość.

We wtorek nie odjechałem z Kutna zgodnie z rozkładem — tj. o godz. 6.35, ale dopiero po 7 — pociąg mój spóźnił się. Było jeszcze ciemno. Jednak na końcu ostatniego wagonu sygnały nie paliły się. Umieszczone nad zderzakami lampy były więc bezużyteczne. Nikt ich nie gasił. Po prostu po drodze wyczerpały się akumulatory.

Jednostajny stukot kół pociągu towarzyszył moim rozmyśleniom sumującym plon kolejnego wyjazdu w teren. Sporo usłyszałem pretensji i uwag, ale jednak... spokojnie siedziałem w pociągu. Wiedziałem wprawdzie że nie dojadę na miejsce zgodnie z rozkładem. Ale spóźnienia pociągów przejeżdżających przez ten odcinek — tzn. Kutno-Łowicz — są jednak umotywowane. Prowadzona jest tu bowiem gruntowna wymiana szyn i podkładów. Wiele lat na nią czekano. Roboty postępują w szybkim tempie. Wkrótce na kolejnym odcinku kolejowej sieci wzrośnie bezpieczeństwo przejazdu. Na razie jednak trzeba pokonywać ten dystans wolniej.

Seria katastrof nie mogła przejść bez echa. A więc przede wszystkim wydano zarządzenia dotyczące zmniejszania szybkości w trudnych warunkach atmosferycznych. Ale jednak najważniejszą sprawą, do której wielokrotnie w czasie rozmów, nie pytani, wracali ludzie w granatowych mundurach — była dyscyplina i sumienność.

— *Jesteśmy teraz na ustach wszystkich* — słyszałem w czasie narady. — *Trzeba przywrócić dobre imię naszego zawodu.*

Myślę, że nie były to puste słowa. Dokonano już gruntownej analizy stanu dyscypliny. W ślad za tym poszły ostre sankcje wobec osób naruszających podstawowe zasady bezpieczeństwa. Najczęściej chodziło tu o nadużycie alkoholu. Na przykład mimo braku dyżurnych ruchu w łódzkim oddziale — siedmiu dyżurnych zwolniono uznając ich za nie dość odpowiedzialnych bądź niezdolnych do dalszego sprawowania tego typu funkcji.

Na pewno kolejarskie środowisko zostało głęboko poruszone tragediami na torach. W Kutnie, gdzie znaczną część mieszkańców miasta stanowią kolejarze, mimo iż od katastrof minęło kilka miesięcy, mówi się o nich często. Wypadki na kolei zdarzają się co prawda rokrocznie. W roku bieżącym nawet było ich w sumie mniej niż w latach ubiegłych, ale ponieważ dwa z nich były poważne, ich skutki i straty zaalarmowały opinię społeczną.

O odpowiedzialności słyszałem wielokrotnie. Ale jednocześnie przypominano mi, że zbyt duża jest fluktuacja pracowników PKP. Wzrost zadań stawia nowe problemy przed załogami. Nie każdy wie o tym, jak wielkie są to zadania. Wystarczy przypomnieć, że PKP zajmuje — nie włączając w to ZSRR — pierw-

sze miejsce w Europie pod względem przewozów pasażerskich i towarowych, że przewozi więcej towarów — w tono-kilometrach — niż koleje francuskie i angielskie łącznie. Dzienna porcja tych przewozów to milion ton towarów i 3mln pasażerów. Te zadania wyznaczają rangę instytucji.

Rozpoczęto już wielką modernizację. Widać ją z wagonów pociągu. Na kolejarskich szlakach prowadzone są generalne remonty i przebudowa torów. Ale wraz z tymi pracami muszą iść prace innego rodzaju, praca z ludźmi. Wielu nowych pracowników PKP to ludzie bez tradycji w tym zawodzie, często chłopo-robotnicy, przyswojenie żelaznych praw dyscypliny, wymaganych od ludzi w granatowych mundurach, jest dla nich pierwszym obowiązkiem.

Przypomina mi się jeszcze raz narada w łódzkim oddziale. Najbardziej trudne i bolesne sprawy stawiano na niej jasno i otwarcie. — Przywrócenie dobrego imienia kolejarza — usłyszałem na tej naradzie — to obecnie sprawa najważniejsza. Jest to zadanie dla całej kolejarskiej braci i chociaż większość z nich sumiennie spełnia swoje obowiązki — błędy i lekceważenie jednostek obciąża wspólne konto.

Stefan TRUSZCZYŃSKI

Sztandar Młodych, 13-14 grudnia 1969

ELEKTRYCZNOŚĆ DLA 300 TYSIĘCY

Akcja powszechnej elektryfikacji sprawiła, że na instalację elektryczną czeka jeszcze około 800 tys. gospodarstw rolnych. Nie jest to dużo, jeśli się zważy zaniedbania pod tym względem sprzed kilkunastu lat. Do roku 1972 — a więc do momentu, w którym nastąpić ma zakończenie powszechnej elektryfikacji — przewiduje się zelektryfikowanie 500 tys. gospodarstw. A reszta, tj. 300 tysięcy?

Te gospodarstwa — położone przeważnie na terenie różnych osad leśnych, kolonii rybackich, przysiółków itp. — skazane są raczej na to, iż instalacji elektrycznej nie otrzymają. Zanim jednak zastanowimy się nad możliwością zaopatrzenia ich — pomimo wszystko — w energię elektryczną, przypomnijmy przepisy, które „wyłączają” jakby te gospodarstwa z powszechnej elektryfikacji.

Otóż przepisy o powszechnej elektryfikacji wsi i osiedli przewidują m.in., że państwo nie elektryfikuje przysiółków i kolonii, w których istnieje mniej niż 10 zagród, a także tych pojedynczych zagród chłopskich, które znajdują się poza obowiązującymi normami odległości od linii niskiego napięcia, a więc wówczas, gdy linie te trzeba ciągnąć dalej niż 200 m.

Inne znów ograniczenia sprawiają, że nie zostaną zelektryfikowane te gospodarstwa, które leżą poza zasięgiem — wybudowanej w ramach powszechnej elektryfikacji — stacji transformatorowej. Są to słuszne ograniczenia — koszt doprowadzenia elektryczności do kolonii i przysiółków jest bardzo wysoki, a elektryfikacja pojedynczej oddalonej zagrody waha się nieraz w granicach 50-180 tys. zł.

Czy jednak rolnik, dlatego tylko, że mieszka w oddalonej zagrodzie, ma nie korzystać z dobrodziejstwa powszechnej elektryfikacji? Byłoby to chyba krzywdzące przesądzenie sprawy i dla-

tego też inne przepisy stworzyły możliwość doprowadzenia elektryczności i do tych oddalonych gospodarstw.

Specjalne, wydane przez Bank Rolny normy przewidywały, że rolnicy z takich oddalonych gospodarstw uzyskać mogą na pokrycie kosztów elektryfikacji kredyt wynoszący 50 proc. wartości robót instalacyjnych i materiałów. Także Ministerstwo Finansów, licząc się z tym, że tak wysokie koszty mogą podważyć zdolności produkcyjne gospodarstw, jeszcze w 1964 roku upoważniło wydziały finansowe do obniżenia — lub nawet umarzania — opłaty elektryfikacyjnej.

Działanie tych przepisów sprawiło więc, że krąg rolników, którzy inaczej byliby w ogóle pozbawieni elektryczności — powiększył się. Rzecz w tym jednak, iż krąg ten — w zasadzie — już się zamknął. Praktycznie objął on bowiem tylko tych, którzy wybudowane na własny koszt wewnętrzne urządzenia odbiorcze i linie niskiego napięcia — mogli podłączyć do istniejącej już i dostatecznie silnej stacji transformatorowej wybudowanej w ramach powszechnej elektryfikacji.

Pozostała zatem ta grupa rolników, którzy — choćby nawet wyposażyli swoje zagrody w wewnętrzne urządzenia odbiorcze i wybudowali potrzebny odcinek linii — to i tak z dopływu prądu nie mogliby korzystać, gdyż zelektryfikowanie ich zagród wymaga równocześnie zbudowania dodatkowej stacji transformatorowej.

Ktoś powiedzieć może, że wobec tego tacy rolnicy powinni na własny koszt kupić transformator, tak, jak na własny koszt instalują linię czy urządzenia wewnątrz zagrody. Ale dla rolników nie ma w sprzedaży transformatorów i nic na to nie wskazuje aby w najbliższej przyszłości urządzenia tego rodzaju stały się ogólnie dostępne.

Dobrze wie o tym zarówno Ministerstwo Rolnictwa — jak i potencjalny producent takich urządzeń — Ministerstwo Górnictwa i Energetyki, nic jednak nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie sytuacja ta miała ulec jakiegóżś zmianie.

A co czeka tych rolników, którzy — gdyby nawet ukazały się w sprzedaży potrzebne transformatory — nie byliby w stanie ich kupić, gdyż są to urządzenia kosztowne? Czy nie mają już oni żadnych szans na korzystanie z energii elektrycznej?

Otóż w krajach wysoko rozwiniętych, jak ZSRR, Kanada czy USA, istnieją — jak wiemy — obszary, które długo jeszcze nie otrzymają energii elektrycznej. A jednak mieszkańcy tych ogromnych obszarów korzystają z elektryczności. Pochodzi ona z różnych lokalnych elektrowni — wodnych, wiatrowych, agregatowych. Urządzenia takie są tam szeroko znane i z ich pomocą

mieszkańcy pustynnej Syberii czy Kanady korzystają ze wszystkich urządzeń współczesnej cywilizacji.

A u nas? W całym kraju czynne jest około 500 tego typu urządzeń. Są one jednak — w większości — produkowane „własnym przemysłem”. Np. prądnica od motocykla czy małego samochodu — plus akumulator — służy niektórym do skonstruowania wiatrowej turbiny elektrycznej. Z pomocą takiego urządzenia nie można, rzecz jasna, uruchomić elektrycznego silnika, ale w każdym razie w zagrodzie jest oświetlenie elektryczne. A to już bardzo dużo.

Swego czasu Stowarzyszenie Elektryków Polskich opracowało dwa różne typy małych elektrowni wiatrowych. Przeszły one próby, które wykazały pełną ich przydatność. Nie znalazł się jednak producent tych urządzeń — na tym więc porzeczano.

Wydaje się, że obecnie — w przededniu zakończenia powszechnej akcji elektryfikacyjnej nadszedł czas zajęcia się losem około 300 tys. gospodarstw, które nie znajdują się w zasięgu działania stacji transformatorowych. Nikt przecież nie powinien być pozbawiony możliwości korzystania z elektrycznego oświetlenia tylko dlatego, że nie mieszka w obrębie wsi.

Ta oczywista prawda powinna dotrzeć do Ministerstwa Rolnictwa i Zjednoczenia Elektryfikacji Rolnictwa — tj. instytucji zajmujących się elektryfikacją wsi. Rozwiązania bowiem istnieją — trzeba tylko po nie sięgnąć.

B. DYDENKO

Słowo Powszechne, 2 października 1969

SŁAW IMIĘ

Orkiestra, trybuna, dekoracje. Kilkuset robotników na chwilę oderwało się od pracy. Stoczniowe święto — wodowanie. Wzruszona matka chrzestna bierze potężny zamach i butelka szampana rozbija się z trzaskiem na burcie statku. Pada komenda: „wybić stopery ciesielskie!”. I nagle cała ta masa żelaza zsuwa się błyskawicznie po szynach, przechyla na bok i wali z wielką siłą lewą burtą w wodę.

Dziewiąte z serii B-29 już pływa kilkanaście metrów od nabrzeża bocznego wodowania Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni. Kolorowe flagi przyozdabiają pusty, ziejący martwymi otworami kadłub. Już się rozchodzą. Koniec przedstawienia. Którego to już w tej stoczni? 284 jednostki — 700 tys. DWT — oddano do eksploatacji, kilka statków stoi przy nabrzeżach wyposażeniowych, a więc gdyńska „Komuna” zbliża się już do trzechsetnego wodowania.

Na początku jest blacha

Przed kilku miesiącami wjeżdżały te blachy na wagonach kolejowych. Gdy minęły na bocznicę stoczniową bramę, już wtedy zaczęły stawać się statkiem. Oprócz zasadniczych wydziałów produkcyjnych stocznia posiada wydziały pomocnicze. Jedne z nich zapewniają normalne funkcjonowanie zakładu — dostarczają energii, zabezpieczają transport, inne produkują części wyposażenia. I tak dla całego naszego przemysłu okrętowego produkuje „Komuna” potężne łańcuchy kotwiczne. Najokazalsze z nich przeznaczone są, oczywiście, dla jednostek budowanych na miejscu, tutaj bowiem powstają największe polskie statki.

Produkcja statku to proces długi i złożony. Na taśmowych

transporterach rozpoczynają wędrówkę blachy. Trasowane, cięte i spawane wędrują przez wydziały kadłubowe. Tzw. sprawa kadłubowa była do 1968 r. bolesnym problemem stoczni. Kadłubowcy nie mogli nadążyć za planem. Ale to już przeszłość. Dzisiaj właśnie wydziały kadłubowe przodują w zakładowym współzawodnictwie. K-1 — obróbka i przygotowanie metalowych płyt, czyli, jak ją nazywają, „sieczkarnie blachy”. K-2 — montowanie sekcji i wreszcie powstawanie statku K-3. Z żelaznych ścian montowane są tu bloki tworzące statkowe komory. Ustawiane w suchym doku i łączone dają w efekcie połówki statków. Ten proces dotyczy tylko kolosów: 20- lub 55-tysięcznych. Mniejsze jednostki spuszczone są do basenu systemem bocznego wodowania.

Przed załogą K-3 stoi jednak jeszcze jedno zadanie. Po zwodowaniu części statku — najpierw rufy pochłaniającej 80 proc. prac wyposażeniowych, a następnie dziobu — czeka ich jeszcze połączenie połówek na wodzie. Dzisiaj, gdy tą metodą już zbudowano kilka jednostek, wiadomo, że polski patent stykowania na wodzie zdał egzamin. Dzięki niemu suchy dok może być lepiej wykorzystany. Na jednym kadłubie zyskuje się kilka dni czasu. Ale kadłub to tylko skorupa. Trzeba w nim umieścić serce statku — siłownię, wyposażyć w nowoczesną aparaturę, ze stalowego pudła zrobić dom.

Nosem po stępce

Jak szczury, chociaż tu ich nie ma, bo wszystko jest zupełnie nowe — między pierwszym i drugim dnem statku, często głową w dół, przełazimy przez jajowate otwory wycięte w metalowych płytach. Wreszcie u celu — ostatnia komora skrajnika dziobowego na 24-tysięcznym kolosie. Pod butami stępka statku. Jednocześnie można tu dotknąć obu schodzących się na dziobie burt.

Wycieczka była reporterską przygodą dopóki nie spotkałem ludzi pracujących w tych komórkach o gabarytach skrzyni telewizora, 8 m poniżej powierzchni wody na dnie statku.

Twarz robotnika pokryta jest warstwą czerwonego pyłu, rdza wdziera się w oczy, w otwory nosa, usta. Mała, tarczowa szlifierka przesuwana jest wolno po powierzchni ścianek zbiornika. W smudze światła z ręcznej latarki widać zawieszoną w powietrzu chmurę metalicznych cząstek. Ten człowiek buduje statek. Inaczej niż na reklamowym obrazku. Stoczniowiec wtłoczony między zimne, stalowe płyty ciężko oddycha. Tarcza ścierna szlifierki centymetr po centymetrze zdziera rdzawy nalot. Szybciej! Dniówka, norma, akord: PLAN! Ktoś szarpie za linę, którą jest prze-

wiązany. Odpowiada szarpnięciem: jest, przytomny, nie trzeba po niego schodzić. Już teraz znam ten kod.

— *Kiedys* — mówił mi przed chwilą młody robotnik — *na początku pracy w stoczni zszedłem do zbiornika bez linki. Pracowałem na dole. Słyszałem jakieś krzyki, ale gdy się zorientowałem, wygrzebałem, luk wejściowy był już zatrzęsnięty. Przeczółgałem się znowu w dół, zerwałem koszulę, podarłem ją na kawałki, zatkałem szmatami otwory wlotowe od pompy. Lada chwila mogli napętnić zbiornik. Potem znowu do góry, do wjazdu. Walilem z całej siły butem, rozwalilem go, ale w końcu mnie ustyszeli. Taką nauczkę się pamięta.*

Asekuracja musi być, omdlenia zdarzają się często. Nie przyzwyczajonemu, już po krótkiej chwili od ostrych zapachów kręci się w głowie. Opary z farb, z cementowego mleczka (którymi pokrywane są zbiorniki zanim wpuści się w nie wodę) mogą powodować zatrucia. Pytałem oczywiście o maski tlenowe. Nieprzydatne — odpowiedziano mi — uniemożliwiają praktycznie poruszanie się. Są nawet tacy, którzy mimo wyraźnych instrukcji nie chcą nosić hełmów.

Pytanie to przypominało mi się w zbiorniku na wodę do picia na małym trawlerze. Labirynt przejść w stalowych płytach był coraz węższy. W pewnym momencie trzeba było precyzyjnie przejść przez otwór, którym przechodziły rury służące do ogrzewania zbiornika parą. Utknąłem w połowie drogi. Zdjąłem kufajkę i dopiero wówczas udało mi się wydostać z pułapki.

Ci z izolacyjnego są wszędzie. Człgają się z zęzie, w kłębówisku rur, pod silnikiem, zdrapują hałaśliwymi szlifierkami rdzę, ciągną pojemniki z farbą w najmniejsze zakamarki. Jest godzina 11. Ludzie schodzą z jednostek przycumowanych do nabrzeża. Przerwa śniadaniowa. Siedzą teraz na ławach w stołówce. Czerwoni od rdzy, lub lepiący się od olejnej farby. Każdy otrzymuje porcję zupy. Nie ma jeszcze mrozów, więc bez wkładki mięsnej. 15-minutowa przerwa skończona. Znow idą nabrzeżem.

Wina i kara

Na wydziale izolacyjnym fluktuacja załogi jest największa. W 1968 r. przyjęto tu do pracy — 667 ludzi, ale zwolniono — 585. W lipcu br. przyjęto 44, zwolniono 47. W sierpniu rozpoczęło tu pracę 41 osób, odeszło 57. Stały brak ludzi. Wydziały kadłubowe stoczni pracują coraz lepiej. W suchym doku rosną na oczach coraz większe jednostki — teraz największy — 55-ty-sięcznik.

Wydziały wyposażeniowe są popędzane. Nie doceniano kadłubowców. Od lat był z nimi problem, ale to się zmieniło. Przeliczono się z możliwościami wydziałów wyposażeniowych, przyjmując ze Stoczni Gdańskiej dodatkowy kadłub do wyposażenia. Brak pracowników spowodował długi przestój tej jednostki.

— *Wiatr był taki, że nie mogłem malować* — mówi Kłodziński. — *Dostałem wtedy pracę na maszcie radarowym. Rozbryzgiwało mi farbę. Ale zaczęło się od tego, że rano powiedziano nam, iż nie ma pracy i odesłano na 14.30. Ci, którzy mieszkają w Gdyni, mogli wrócić do domu, ale inni dojeżdżający godzinę, półtorej? O wpół do trzeciej niewiele się zmieniło, wiatr był jeszcze silniejszy. Dwukrotnie zmieniano nam miejsce pracy. Stano-wiska były źle przygotowane. Powiedziałem brygadziście, że w tych warunkach nie mogę pracować na maszcie.*

Z roboty zeszło jeszcze kilku. Potem jednak część wróciła do jednostki. Kłodziński i jeszcze trzech innych robotników uważając, że ich dniówka zakończyła się, opuścili stocznię. Inaczej uważało kierownictwo, zeszli z roboty.

— *Za 4 godziny ранnego przestoju policzono im godziny nadliczbowe* — mówi kierownik wydziału izolacyjnego inż. Wincenty Chomiczewski. — *Samowolnie jednak uznali, że przepracowawszy 4 godziny zakończyli dniówkę. Tak, kary były ostre, obniżenie grupy, utrata premii. Ale nie są to pracownicy początkujący. Kłodziński pracuje w stoczni od 6 lat, był przewodniczącym koła ZMS. Wśród nich był także pracownik z 18-letnim stażem. Od takich musimy więcej wymagać, dają przykład.*

Miało to miejsce 29 września. Od tego czasu ukarani zwrócili się do wszystkich zakładowych instancji, a także do Związku. Nie znaleźli jednak obrony. Karę utrzymano.

— *Opuścili samowolnie miejsce pracy — słyszę — tylko oni czterej, reszta jednak została.*

Ci, którzy mogliby ich bronić, przyznają, że praca dla Kłodzińskiego i jego kolegów była źle przygotowana, ale przez to, że zeszli z roboty, stracili wszystkie atuty. Ale czy ukarano sprawców złej organizacji pracy, odsyłania ludzi z jednej zmiany na drugą?

Z a p l e c z e

Stanisław Pobłocki ma 35 lat. Jest malarzem okrętowym na wydziale izolacyjnym. Mieszka w Kartuzach wraz z dwojgiem dzieci i żoną w mieszkaniu 1-izbowym. Wstaje przed czwartą rano. O 4,17 wyjeżdża z Kartuz pociągiem do Somonina, tutaj

przejechał na pociąg do Gdyni. Na stacji Gdynia-osobowa kolejna przesiadka. Tym razem do wagonu kolejki elektrycznej — teraz już tylko jeden przystanek. O godzinie 6.02 wysiada na peronie Gdynia-Stocznia. Do zakładu ma zaledwie 5 minut drogi. Do podjęcia pracy — o godz 7 dużo jeszcze czasu, ale gdyby wyjechał pociągiem następnym, spóźniłby się. Takich jak on dojeżdżających do stoczni z Kartuz, a nawet z jeszcze dalej położonych miejscowości jest bardzo wielu. Ale Pobłocki pracuje już w „Komunie” 18 lat. Teraz po tych 18 latach nosi się z zamiarem przeniesienia się do stoczni w Gdańsku. Będzie miał lepszy dojazd. Powiedziano mu, że nie ma szans na otrzymanie mieszkania w Gdyni.

Naprzeciwko budynku rady zakładowej stoją tablice ilustrujące problemy mieszkaniowe stoczni: w 1946 r. z budownictwa zakładowego oddano do użytku 321 mieszkań, w 1968 r. — 95, w tym roku tylko 4. Budownictwo spółdzielcze: 1967 rok — 399 mieszkań, 1968 r. — puste miejsce na tablicy. Na mieszkanie czeka ponad 2 tys. pracowników stoczni, którzy opłacili już wkład. ZMS-owska organizacja wystąpiła z propozycją przejścia przez zainteresowanych pewnych prac na budowach, ale wniosek przeszedł bez echa.

Nad licznymi budynkami stoczniovymi góruje teraz żelbetonowa konstrukcja. Montaż prawie już zakończony. Będą się tu mieścić zakładowe biura, dotychczas rozproszone po całym terenie. Na pomieszczenia po nich dawno się już czeka. Poważny jest bowiem brak szatni, sanitariów. Szafki na ubrania stoją na niektórych wydzielach na schodach, w ubikacjach, na korytarzach. Zresztą stocznia jako jeden zakład istnieje tylko dla człowieka z zewnątrz, dla pracownika istnieją przede wszystkim wydziały.

Współzawodnictwo przebiega w dwóch pionach — wydziały produkcyjne i pomocnicze. Siódmy z kolei kwartał wśród pomocniczych pierwsze miejsce zajmuje wydział głównego energetyka. Liczą się nie tylko wyniki produkcyjne, ale i gospodarność. Fakt, że jest tutaj praca lżejsza, niż na kadłubowych, izolacyjnym. Ale również bezsporne jest, że tutaj lepiej potrafiąo zabezpieczyć warunki socjalne załodze. Wygospodarowano miejsce na stołówkę, którą wykonano w czynie społecznym. Pomieszczenie produkcyjne załoga potrafiła maksymalnie wykorzystać, budując strop w wysokiej hali, dzięki czemu uzyskano miejsce na magazyn.

Zbliża się najtrudniejszy okres pracy — zima. Znaczna część ludzi pracuje na powietrzu. Wielkie, przesuwane drzwi hal produkcyjnych nie są zamykane. Suwnice bez przerwy przenoszą stąd części statków. Między potężnymi stalowymi płytami w wielkim huku pracują spawacze, kowale. Dla tych ciężko pracujących ludzi

zaplecze socjalne winno być szczególnie pieczołowicie zabezpieczone. Ma ono na pewno znaczny wpływ na fluktuację załogi.

.....

Wizyta reportera w „Komunie” zakończona. Wspinam się po schodach nad torami, podążając na peron na przystanku Gdynia-Stocznia. Drewniane schody z mocno wydeptanymi, wygniecionymi deskami dawno już proszą o remont. Przypominają mi się jeszcze pretensje młodych pracowników, którym pozostawiono do dyspozycji niewielki klubik, mieszczący się przy hotelu robotniczym, dysponujący stu kilkudziesięcioma miejscami. Chętnych do korzystania jest kilkanaście razy więcej. Niedawno mieli jeszcze boisko piłkarskie, teraz składowane są na nim towary. W nadchodzącym planie stocznia przewiduje poważne nakłady na rozbudowę bazy socjalnej. Opóźnienia jednak na tym polu niełatwo nadrobić.

S. TRUSZCZYŃSKI

Sztandar Młodych, 27 listopada 1969

KRÓL JEST NADAL NAGI

Obradujące rok temu nad warunkami pracy VIII Plenum CRZZ zobowiązało m.in. ministrów przemysłu lekkiego i chemicznego oraz przewodniczącego Komitetu Drobnej Wytwórczości do poprawy jakości odzieży roboczej i ochronnej oraz do zwiększenia jej asortymentu. Kierownicy resortów zapewniali, że zrealizują te postulaty ruchu zawodowego, zmierzające do rozwiązania jednego z najbardziej palących problemów bhp.

Czy obietnice zostały dotrzymane? Co mówią robotnicy o przydzielanej im obecnie odzieży? Odwiedziliśmy dwa stołeczne przedsiębiorstwa przemysłu maszynowego: Fabrykę WYROBÓW PRECYZYJNYCH im. gen. Świerczewskiego i „Zelmo”.

Szwy pękają

Zdaniem wielu robotników, wykończenie ubrań jest obecnie nieco lepsze, staranniejsze, ale są one nadal nietrwałe i zbiegają się. — W ciasnej odzieży człowiek nie ma swobody ruchów i trudno mu pracować. Rękawy pękają w szwach i nie można nadążyć z reperacją — mówią Aleksander Cybulski i Kazimierz Gidelski z oddziału mechanicznego Fabryki WYROBÓW PRECYZYJNYCH. Takie słabe drelichy produkują m.in. Głuszyckie Zakłady Przemysłu Bawełnianego i Łódzkie Zakłady im. Harnama.

Niewiele też korzyści z odzieży kwasoodpornej. Jest ciężka, gruba, nieprzewiewna i robotnicy nie chcą jej nosić, zwłaszcza latem. Kierownik działu bhp „Zelmo” — Marian Jachowicz oglądał na różnych wystawach długie, lekkie, igelitowe fartuchy ochronne. Chciał je sprowadzić, ale okazało się, że jakkolwiek te wzory istnieją już od kilku lat — nikt takiej odzieży nie pro-

dukuje. Galwanizerzy radzą sobie sami. Dla ochrony przed chemikaliami opasują się workami z igelitu.

Nie mniejsze są kłopoty z rękawicami roboczymi i ochronnymi. Szybko pękają, bo są cienkie i szyte słabymi nićmi. Zaoliwionych rękawic nikt nie chce naprawiać, więc się je wyrzuca. W „Zelmocie” zużyto już w br. 23 tys. rękawic płóciennych. Robotnikom przy prasach i tłoczniach trzeba przydzielać miesięcznie po 5-10 par. Obecnie do pełnego zaopatrzenia załogi brak co najmniej 5 tys. par.

Wielu robotników pracuje bez rękawic, narażając się na okaleczenie lub stłuczenie rąk. Przy tłoczeniu cięższych części przydziela się rękawice wzmocnione grubą skórą. Są mocne, ale trudno w nich wziąć coś do ręki, bo się nie zginają. Takie nieprzydatne rękawice szyje Spółdzielnia Pracy „Pruszkowianka”. Niewłaściwy jest nie tylko materiał, ale i krój. Szyje się przeważnie rękawice jednopalcowe, chociaż potrzeba więcej wielopalcowych, m.in. dla ślusarzy, tokarzy i polerowników.

Robotnicy transportujący arkusze blachy kaleczą ręce o ostre krawędzie. Skuteczną ochronę stanowiłyby rękawice wzmocnione metalową siatką, skuwkami itp., ale mimo wielokrotnych obietnic przemysł nie rozpoczął ich produkcji. Nie ma też rękawic dla robotników odtłuszczających metale w trójchloroetylenie. Gumowe rozpuszczają się, a płócienne wchłaniają chemikalia, powodują uczulenie i łuszczenie się skóry.

Trudno więc mówić o poprawie zaopatrzenia robotników w ubrania drelichowe i rękawice. Jest ich wciąż za mało, bo zużywają się przedwcześnie. Nietrwała i źle wykonana odzież utrudnia pracę, nie chroni przed wypadkami. Szybki proces zużycia powoduje konieczność stałego wzrostu produkcji, zwiększenia ilości materiałów, zwłaszcza importowanej bawełny. Powoduje to z kolei wzrost wydatków na odzież do pracy. A więc błędne koło, które może przeciąć tylko radykalna poprawa jakości ubrań i rękawic. Kiedy to nastąpi?

Zelówki w sosie własnym

Ekwipunek robotnika składa się również z obuwia, które często powinno spełniać rolę ochronną. A jak jest w praktyce? W obu zakładach ok. 80 proc. robotników otrzymuje zgodnie z normami obuwie na gumie. Opinie o jego trwałości są różne. W Fabryce WYROBÓW PRECYZYJNYCH twierdzą, że spody szybko się odklejają, a w „Zelmocie”, że buty (tzw. traktory) są mocniejsze niż dawniej. Ale co do jednego zakłady są zgodne: buty nie nadają

się do pracy przy maszynach chłodzonych olejem, który — podobnie jak benzyna i inne rozpuszczalniki — szybko niszczy gumową zółwkę. Niejeden robotnik po zużyciu w ciągu roku kilku par takiego obuwia pracuje we własnych, starych butach skórzanych. Kiedy przemysł chemiczny wyprodukuje lekkie, odporne na chemikalia tworzywo na zółwki, które zastąpi gumę?

Brakuje też specjalnego obuwia przeciwpoślizgowego, w którym powinni pracować elektrycy, ślusarze remontowi, ludzie pracujący na rusztowaniach itp.

Robotnicy przenoszący ciężary otrzymują buty ze stalowymi podnoskami, chroniącymi stopy. Produkowała je dotychczas wrocławska spółdzielnia pracy „Omega”, ale niedawno zamiast podnosków zaczęła wytwarzać grzejniki i żelazka. Kto będzie produkował urządzenia ochronne — nie wiadomo.

Niemal wszystkie kobiety noszą w pracy własne pantofle, gdyż mogą otrzymać tylko ciężkie buciory przeznaczone dla mężczyzn. Nie wszędzie jednak jest to bezpieczne. Kobiety zatrudnione w tzw. mokrych oddziałach muszą pracować w ochronnym obuwiu gumowym z reguły za wielkim. Ani to bezpieczne, ani estetyczne. Zachęcanie w takich warunkach do troski o estetyczny wygląd na stanowisku pracy zakrawa na ironię. „Zelmot” otrzymał w br. po raz pierwszy 150 par skórzanych butów dla kobiet z Nowotarskich Zakładów Przemysłu Terenowego „Podhale”, ale jest to przysłowiowa kropla w morzu.

Kiedy będzie poprawa?

Odwiedziliśmy również Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Odzieżą, zaopatrujące w ubrania robocze ok. 400 przedsiębiorstw stolicy i województwa. Poinformowano nas, że chociaż przemysł lekki miał zastąpić wiskozę (która powodowała zbytne kurczenie się tkanin) włóknami poliestrowymi (elana) lub poliamidowymi (polana), to jednak dystrybutor otrzymał tylko część ubrań z tych tkanin. Przemysł bawełniany rozpoczął ich produkcję z opóźnieniem i w br. nie pokryje zapotrzebowania zakładów. A jak będzie w przyszłym roku? Jeszcze nie wiadomo. WPHO zamówiło w Zrzeszeniu Producentów Odzieży Roboczej 500 tys. ubrań z niekurczliwych tkanin, ale nie wie dotychczas, ile ich otrzyma.

Jak długo jeszcze zakłady będą otrzymywały odzież, która miała być wycofana z produkcji? Trudno przypuszczać, by tak wielkie zapasy z lat poprzednich nagromadziły się w magazynach. Wszystko wskazuje na to, że kierownictwa resortów lekkiego i

chemicznego nie dotrzymały obietnic, nie doprowadziły do decydującej poprawy jakości odzieży roboczej i ochronnej, nie wstrzymały produkcji tych wyrobów, które nie odpowiadają wymaganiom bhp. Poczynania w tym kierunku są bardzo opieszale i nie przynoszą praktycznych skutków. Zakłady mają nadal wiele „drelichowych” kłopotów. Jak długo jeszcze uchwała VIII Plenum CRZZ będzie czekała na pełną realizację?

Stanisław JAKUBOWSKI

Głos Pracy, 31 października 1969

KŁOPOTY Z TELEFONEM

Polak marzy o telefonie. Mamy w kraju milion abonentów telefonicznych. Z tego miliona tylko połowa przypada na osoby prywatne. Urzędy, biura, fabryki były zawsze uprzywilejowane — stąd ich lepsza, ale wcale nie nadzwyczajna sytuacja. W kolejce do własnego aparatu czeka dziś 300 tys. osób.

Statystyka niewiele tu mówi. Dopiero rzucona na tło porównań światowych ukazuje nasze zacofanie. NRD ma 104 aparaty na tysiąc mieszkańców, CSRS 117, bogata Szwajcaria — 422, my — 53 (1600 tys. aparatów). Polskie telefony stanowią tylko nikły procent ogólnej liczby zainstalowanych aparatów na świecie, mniejszy niż np. procent produkowanych przez nas wielu surowców i artykułów przemysłowych.

Szczególnie upośledzona jest jednak wieś polska. Telefon jest tu rzadkością. Na wsi bowiem, gdzie mieszka jeszcze połowa ludności kraju, mamy zaledwie 11 proc. ogólnej liczby abonentów telefonicznych. To nie tylko dowód zacofania, to także rezultat i świadectwo rozproszenia wsi polskiej.

Polak nie podnosi o telefon zbiorowego krzyku, ale szemrze indywidualnie, obnosi się z żalem, psioczy, czasami usiłuje przekupić nieuczciwego pracownika, wpycha mu pieniądze w nadziei, że taką drogą skróci czas oczekiwania na własny aparat. Niewielu sobie w pełni uzmysławia, że w Polsce łatwiej o przydział mieszkania niż o telefon. A to jest prawda. W stolicy np. przyłączono do sieci w 1968 r. 10,5 tys. abonentów, a nowe mieszkania otrzymało ponad 20 tys. rodzin. Każde podanie leży w biurku średnio przez 4-5 lat, a często jeszcze dłużej...

W Polsce samych tylko międzymiastowych rozmów, zgłoszonych przez abonentów, a niedoszłych do skutku, głównie z przyczyn eksploatacyjno-technicznych — rejestruje się corocznie ca 5,7 mln (!). Powoduje to znaczną ucieczkę dochodów resortu

łączności (skarbu państwa) — tak z kieszeni abonentów prywatnych, którzy stanowią 55 proc. ogółu abonentów, jak i z telefonów zainstalowanych w sektorze uspołecznionym. A któż wyliczy straty, jakie ponosi z tego tytułu wiele branż gospodarki narodowej?

Nadzieje

Telefon stał się kopciuszkiem... Od lat obserwujemy niedoinwestowanie łączności. W ciągu 15 lat udział nakładów inwestycyjnych na łączność w globalnych nakładach krajowych, nie dość, że zbyt niski, zmalał z 1,6 do 0,85 proc., a w planie 1966-1970 wykazuje dalszy spadek.

V Zjazd PZPR uwzględnił kłopoty z telefonią i sformułował w Uchwale kierunki działania, zmierzające do rozbudowy i unowocześnienia sieci międzymiastowej i miejscowej z wybitnym zwiększeniem w latach 1971-1975 liczby instalowanych numerów w centralach.

Dziś jednak już wiadomo, iż plan bieżącej pięcioletki nie zostanie wykonany. Plan ten na lata 1966-1970 zakładał uruchomienie 439 tys. nowych numerów. Prawdopodobnie uruchomionych będzie tylko 326 tys. numerów, około 112 tys. numerów przejdzie „poślizgiem” na dalsze lata. Zamiast 302 tys. nowych abonentów będziemy w tej pięcioletce mieli tylko 275 tys. nowych właścicieli telefonów.

Niewykonanie planu pięcioletniego w tej dziedzinie będzie miało poważny wpływ na plan przyszłej pięcioletki. Głód telefonów nie zostanie szybko zaspokojony. Program rozwoju telefonii na lata 1971-1975 przewiduje przyłączenie do sieci tylko 200 tys. nowych abonentów...

Dochodowy interes

Dotychczas formułowaliśmy jedynie żądania środków na inwestycje w telekomunikację. Ale takie spojrzenie na telefonię byłoby ogromnym uproszczeniem sprawy. Telekomunikacja nie tylko wymaga, ale także daje. W latach 1961-1970 usługi z tytułu opłat telefonicznych przyniosą zysk rzędu 10 mld zł, z czego 3 mld zł — z kieszeni prywatnej. Te pieniądze zostały „zabrane” z rynku. Moglibyśmy zbierać ich więcej. W pięcioleciu 1971-1975 rentowność telefonii wzrośnie, a zysk wyniesie ok. 10 mld zł, a więc tyle, co w ostatnim dziesięcioleciu...

Roczna eksploatacja jednego numeru kosztuje 283 zł. Tymczasem wpływy za opłaty zarówno miejskie jak i międzymiastowe wynoszą od jednego numeru „prywatnego” 1.458 zł; od użytkowników uspołecznionych — 6.462 zł. Z telefonu w domu korzysta się tylko od czasu do czasu. Rozmowy międzymiastowe są rzadkością. Inaczej w zakładach pracy, urzędach, fabrykach, gdzie telefon jest stale obłożony. Akumulacja wynosi rocznie — 1.175 zł od użytkowników prywatnych — i 6.179 zł od użytkowników uspołecznionych. Tymczasem koszt założenia jednego numeru i wszystkich inwestycji z tym związanych wynosi, przy rozwiązaniu starym — strowgerowskim — 8 tys. zł; przy rozwiązaniu nowym — crossbarowskim — 10 tys. zł. Tak więc, od odbiorcy państwowego, uspołecznionego zwrot nakładów inwestycyjnych następuje już niespełna po dwóch latach, w przypadku telefonu „domowego” nakłady inwestycyjne rozkładają się na dłuższy okres czasu, od kilku lat do kilkunastu. W sumie jednak telefon jest inwestycją szybko rentującą. W całości wskaźnik rentowności wynosi 44 proc., to znaczy, że w ciągu dwóch i pół roku zwracają się z nawiązką zainwestowane kapitały. Jest to wskaźnik rentowności wysoki, wyższy niż w niejednej innej dziedzinie przemysłu, nie mówiąc już o usługach.

Zygmunt ZONIK
Dariusz FIKUS

Polityka, 29 listopada 1969



We Wrocławiu rozkwitł nowy proceder — prywatny, nielegalny handel liniami telefonicznymi. Za kilkutysięczne odstępnę od niektórych posiadaczy telefonów można odkupić linię, a pokątni majstrowie przeciągają ją do sąsiednich mieszkań, czy budynków gdzie mieszkają nabywcy.

Życie Gospodarcze, Nr 48, 30 listopada 1969

STYL „IMPREVU”

W prasie polskiej pojawiły się ogłoszenia reklamowe następującej treści: „To już więcej niż perfumy, to... sposób bycia. To nowo powstający styl, styl Imprévu. Twój styl. Do nabycia w salonach „Mody Polskiej” i sklepach PEKAO”.

Ogłoszenie to jest typowym produktem mody zachodniej. Szpalty zagranicznych tygodników upstrzone są deklaracjami podobnego rodzaju. Dowiadujemy się z nich, że papierosy „Lord King Size” przeznaczone są dla ludzi szczególnego gatunku, że prawdziwych mężczyzn poznaje się po aromacie tytoniu „Clan”, który roztaczają wokół siebie na eleganckich przyjęciach, że zegarki firmy „Rolex” są wprawdzie bardzo drogie, ale też przeznaczone dla ludzi z najlepszego towarzystwa, toteż — możemy domniemywać — cena ich została tak pomyślana, aby nie nosiła ich hołota, która nie ma pieniędzy ani stylu. Ogólnie biorąc za reklamą tego typu kryje się założenie, że towary, rzeczy mogą nadawać znaczenie osobowości ludzkiej, że mogą ją kształtować według pewnego pożądanego modelu. Ulega tu jakby pogwałceniu odwieczna zasada handlu, który oferował swe wyroby *najszer szym* kręgom publiczności kładąc nacisk na ich solidność, trwałość, powszechność. Styl „Imprévu” nakłania do tworzenia *konsumpcyjnych* elit zachęcając do kupna rzeczy wytwornych, unikalnych i owianych mgiełką snobizmu. Zafundujcie sobie państwo nową osobowość — zdają się nam mówić spece od reklamy; do tychczas sądziliśmy, że kształtowanie osobowości jest dziełem mozołnym i długofalowym, otóż nie: nowa marka papierosów, perfum, zegarków czy samochodu daje nam wyjątkową szansę *wkupienia się* do elity, trzeba mieć tylko forszę i słuchać rad dobrych wujaszków od reklamy. Z psychologicznego punktu widzenia chwyt ten daje jak najlepsze rezultaty. Każdy człowiek pragnie, aby się nieco różnić od innych, ale często nie starcza mu inwencji

ani wewnętrznej siły. Wyobraźmy sobie gościa, który uczyłby się greki, by olśniewać bliźnich znajomością kultury klasycznej: ale wystarczy, by sąsiad nagle dmuchnął na niego dymem tytoniowym „o unikalnym aromacie 'Clan'” i wtedy ów uczony pozostanie na znacznie niższym szczeblu rozwoju towarzyskiego jako człowiek pozbawiony 'nowo powstającego stylu'”.

Ogłoszenie perfum „Imprévu” tak charakterystyczne dla reklamy zachodniej działa w sposób nieco rozśmieszający na gruncie polskim. Przede wszystkim dlatego, że jest mechanicznym przeniesieniem obcego wzoru kulturowego. Wzór ten jest nie do pogodzenia z oficjalnym stylem demokratycznym, który nie nastawia się przecież na tworzenie coraz to bardziej elitarnych kręgów towarzyskich związanych upodobaniem do określonego typu przedmiotów. Po drugie dlatego, że w warunkach dotkliwego niedoboru pewnych artykułów codziennego użytku, produkcja dóbr luksusowych musi z konieczności schodzić na drugi plan a ich propagowanie winno się odbywać ze szczególnym taktem i ostrożnością. Po trzecie wreszcie, reklama powinna objąć swym zasięgiem przede wszystkim towary o istotnym znaczeniu dla cywilizacyjnego dźwignięcia tzw. szerokich mas, jak np. popularne mydło i pastę do zębów. Wyobraźmy sobie ogłoszenie następującej treści: „To już więcej niż pasta do zębów, to sposób bycia. To nowo powstający styl codziennego czyszczenia zębów, styl „Lechia”. Twój styl. Do nabycia we wszystkich kioskach „Ru-chu”.

Tekścik ten działa równie rozśmieszająco, ale ma przynajmniej jakiś sens. Człowiek kulturalny czyści zęby codziennie, czyszcząc zęby wkupujemy się do elity (z badań i doświadczeń stomatologów wynika, że jest to ciągle krąg elitarny) i otwieramy sobie drogę do dalszych postępów cywilizacji.

Nie chciałbym uchodzić za jaskiniowca i zwolennika „zupy z kotła”. Zdaję sobie sprawę z faktu, że perfumy „Imprévu” mają przyjemniejszy aromat niż „Przemysławka” i że papierosy „Sport” należą do akcesoriów bardziej przestarzałego sposobu bycia, niż papierosy „King Size”. Jednakże nie chciałbym uchodzić za barbarzyńcę tylko z tego powodu, że nie kupuję w salonach „Mody Polskiej” i w komisach, czy sklepach PEKAO. Generalnie zaś buntuję się przeciw myśli, by używanie pewnych dóbr luksusowych miało namaszczać człowieka wyższą kulturą i „lepszą” osobowością.

W naszym życiu codziennym styl „Imprévu” (co znaczy: nieprzewidziany, niosący niespodziankę) objawia się dotychczas w innej postaci. Wsiadamy oto do wagonu sypialnego, w którym konduktor zajęty wyprzedają piwa zapomniiał zmienić pościel. Na

uwagę lekko poirytowanego klienta pocziwy ten funkcjonariusz odpowiada rozbrajająco: „Nie ma się pan co tak indyczyć, to było zaledwie raz używane!” — styl Imprévu, bez wątpienia. Na stacji kolejki linowej na Gubałówce pewien mocno zalany góral zmuszał oczekujących na wagonik do ważenia się na automatycznej wadze zaś odporne starsze panie wnosili osobiście na wagę. (Na jego usprawiedliwienie należy dodać, iż płacił z własnej szkatuły za każdego klienta). Styl Imprévu co się zowie. W Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu kilku młodych chłopców pod okiem nocnych dozorców porozbijało częściowo trzydzieści trzy samochody — być może, gdyby czytali Mickiewicza liczba ta doszłaby do 44. Imprévu? Nie ulega wątpliwości. „To więcej niż perfumy, to sposób bycia”.

Nie przeczę, że sposób ubierania się i stosunek do świata różnych eleganckich przedmiotów wpływają na zachowanie się ludzi w określonych sytuacjach. Słyszysz się legendy o młodych chuliganach, którzy ubrani w białe koszule i kolorowe krawaty przestali wybijać zęby w czasie potańcówek, bo było im jakoś „nieporęcznie” i zawadzały spinki od mankietów. Wytworne buty z Galluxu nie nadają się do rozdawania kopniaków, a wąskie ciuchowe spodnie krępują swobodę przy przesadzaniu parkanów w czasie wycieczek na jabłka do proboszcza (lub po części zamienne do fabryki). To przykłady negatywne. A pozytywne?

Można wyróżnić z grubsza trzy style ubierania się i noszenia, które w jakiś sposób kształtują u nas osobowość człowieka. Pierwszym jest abnegactwo, spuścizna po czasach siermiężnych, dziś teren zarezerwowany dla snobów *à rebours*, którzy za nic sobie mają wykwintne towarzystwo. Drugim jest styl zwany dawniej *à la MHD*, symbolizujący konfekcję gotową, zawsze opóźnioną w stosunku do wymagań mody, a w satyrze potocznej przedstawiany zwykle w symbolicznej postaci spodni z nogawkami o nierównej długości. Ulegali mu zwykle osobnicy o nikłej wyobraźni bądź skromnych zasobach finansowych, co na jedno wychodzi. Dziś nowoczesne domy towarowe typu „Ściana Wschodnia” o europejskim wystroju i nowoczesnej organizacji handlu zdają się kłaść kres epoce przymusowej szarzyzny i pseudosolidności wyrobu, który mógł służyć i do ślubu, i na pogrzeb. Trzeci styl, to styl ciuchowo-komisowy, „zagraniczny”, ale często tą zagranicznością bazarową, pretensjonalną, pozbawioną smaku i poczucia harmonii. Otóż to: tylko osoby o wyraźnej inteligencji i doskonałej wyobraźni mogą się bez szkody ubierać w komisach. Tylko one mogą w stertach krzykliwego chłamu znaleźć kawałek materiału czy ozdobę możliwą do zaadaptowania do własnej postaci, tak *aby nie wyglądało, iż rzecz pochodzi z komisu*. W ogra-

niczeniu przejawia się mistrzostwo — jak ta skądinąd odnosząca się do sfery duchowej zasada odnosi się do sztuki ubierania się! W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: inteligencja i styl są czymś pierwotnym a nie wtórnym w stosunku do sztuki nabywania rzeczy. Człowiek musi nadać znaczenie rzeczom po to, by one przydawały mu blasku. Naprzód trzeba mieć styl: wewnętrzny obraz własnej osoby. Potem już można nabyć perfumy „Imprévu”, bez szkody dla siebie i otoczenia. Ale trzeba przy tym pamiętać, że z perfumami, rzecz nie przedstawia się tak jak np. z książkami: im więcej się czyta, tym więcej się na ogół umie. W tym wypadku zależność może być odwrotna: im więcej się człęk namaszcza, tym gorzej pachnie.

Michał RADGOWSKI

Polityka Nr 1 z 3 stycznia 1970

O AUTOMATACH — PESYMYSTYCZNIE

Prasa bardzo się cieszyła, gdy latem bieżącego roku na ulicach stolicy ukazały się automaty sprzedające wodę sodową. Było ich już blisko ćwierć setki, ale „optymiści” zapowiadali, że nadejdą następne.

Mnie się wydawało, że optymizm jest przedwczesny. Po pierwsze, ze względów ekonomicznych: szklanka wody czystej 50 gr, a z sokiem — 1 zł.

U sprzedawcy ulicznego prawie o połowę taniej, ale racja mogła polegać na tym, że automat działa przez całą dobę i w dowolnej porze dnia spragniony przechodzień mógł korzystać ze zdobyczy współczesnej techniki.

Lecz złudzenie prysnęło: automaty (co przewidzieli pesymiści, a ja między nimi) stoją w większości bezczynnie. Szklanki pokradziono przez chuliganów, czy pijaczków, automaty psuły się, młodzieniaszkowie rzucali do nich zamiast pieniędzy różne metalowe krążki (co niekiedy przynosiło rezultat a niekiedy po prostu blokowało automat) — wreszcie można dziś, chociażby na MDM zobaczyć smutne „pomniki” automatyzacji.

Na tymże MDM przed laty, w pobliżu „Delikatesów” stały wielkie automaty (chyba sprowadzone z Jugosławii) do sprzedawania papierosów i zapałek. Bardzo to ładnie wyglądało, lecz ludzie woleli kupować wyroby monopolowe w kioskach „Ruchu”, niż gimnastykować umysły nad tym, czy wrzucić do pudła 2 × 2 złote i dostać sporty plus zapałki, albo też 1 × 5 złotych, za co dostawało się (albo i nie...) paczkę giewontów.

Wreszcie chuligani poczęli rozbijać szklane szybki i podejmować towar bez opłaty.

Finał? Dyskretnie usunięto zespół składający się z czterech czy pięciu automatów. Kosztowały dużo dobrych, dewizowych pieniędzy... Zapłaciliśmy je.

Teraz przyjdzie zapłacić za automaty z wodą sodową — też chyba dewizami. Zapłacimy, a przemysłnym urządzeniom nie wrózę na przyszłe lato przesadnej kariery. Wreszcie, nie wiem nawet, czy opłaci się ich konserwacja jesienna lub zimowa.

J. L.

Słowo Powszechne, 30 października 1969

Kiedy po raz pierwszy uruchomiono nowy dom towarowy w Krakowie „Jubilat”, tłum wyłamał kraty, wybił szyby i zdemolował stoiska na I piętrze. Wezwano milicję, która opróżniła PDT, odsunęła tłum od budynku i nowy przybytek zamknęto dla klientów; Krakowianie szykują się do nowego szturmu. Zwyczaj ten jest irracjonalny i bierze się z wiary, że w każdym nowym sklepie są atrakcyjne towary. Doświadczenie przeczy tej wierze.

Życie Gospodarcze, 12 października 1969



Co uczynić, żeby szkody wynikłe z zabawiania się chuliganów nie były społecznie dolegliwe? Przewidzieć je w budżecie! Miasto Łódź preliminuje na przykład pół miliona na reperację połamanych ławek parkowych. W warszawskiej DOKP obliczono, że jeśli na Stadionie 10-lecia odbywa się mecz, to w wagonach kolei elektrycznej zapewniającej dojazd na stadion niszczone są każdorazowo urządzenia wartości kilkunastu tysięcy złotych.

Życie Gospodarcze, 12 października 1969

Rozdział Piąty

MŁODY LAS

OKNA DO WIĘZIENIA

Prace podejmowane w OHP mają charakter społeczno-wychowawczy stąd też na co dzień należy bardziej akcentować wychowawczy aspekt pracy fizycznej po wyczerpanej pracy umysłu, niż korzyści materialne płynące z tytułu wykonywanej pracy”.

(Z regulaminu studenckiego OHP Zarządu Uczelnianego ZMW przy Politechnice Warszawskiej z 29. X. 68 r.)

Do Sądu Wojewódzkiego dla woj. warszawskiego wpłynęło niebawem akt oskarżenia przeciwko pięciu studentom Politechniki Warszawskiej oskarżonym o kradzież blisko 1.000.000 złotych.

Jeszcze w lecie br. używali życia, kupowali i rozbijali samochody, bawili się w Zakopanem, a portfele ich pęczniały od banknotów — dziś przebywają w więzieniu, a tylko młodość poddyktowała jednemu z nich nutę optymizmu w liście do rodziny: „nie straciłem wiary w życie, a jeżeli w moich słowach brzmi smutek, to tylko dlatego, że czas zatrzymał się dla mnie w najbardziej nieodpowiednim miejscu”.

Można by postawić pytanie, gdzie to studenci ukraść mogli 1.000.000 złotych, kto był na tyle nierozważny, by nie upilnować tak znacznej sumy pieniędzy. Otóż — ukradzione pieniądze stanowiły własność społeczną, a stratę poniosła fabryka traktorów w Ursusie — jeden z największych zakładów województwa warszawskiego.

Tu złodzieje znaleźli współnika, Wiesława Jaromina odpowiedzialnego za... czystość i porządek w zakładzie z tytułu zajmowanego stanowiska. Jeszcze przed aresztowaniem jeden ze studentów powiedział do kolegów: „My, jak nas zamkną, będziemy

choć wiedzieli za co — „zrobiliśmy”, a ten Jaromin — tylko nędzne grosze”. Ale są rzeczy, których nie można przeliczyć na pieniądze, bo ani 1.000.000 zł studentów, ani 50.000 zł Wiesława Jaromina nigdy nie zrównoważą straty, jaką sami ponieśli. Zatrzymał się dla nich czas na długie, długie lata i to jak zwykle bywa „w najbardziej nieodpowiednim miejscu”. Już w czasie trwania kontroli, która miała ich wkrótce zdemaskować, próbowali ratować się zamieniając resztę skradzionych pieniędzy na kupony toto-lotka i łudząc się możliwością zwrotu zainkasowanych sum z wygranej. Tym razem szczęście nie dopisywało, wkrótce zostało już tylko 10 zł na ostatni kupon — jedyna deska ratunku zawiodła.

Nasi studenci byli członkami ZMW. W swym przestępczym działaniu wykorzystali zaufanie ludzi do studenckiego hufca pracy, któremu patronował Zarząd Uczelniany ZMW na Politechnice Warszawskiej, dokonali bowiem kradzieży jako pracownicy i przedstawiciele hufca pracy.

Bezwzględnie po ujawnieniu afery winni zostali z ZMW usunięci, członkowie organizacji z oburzeniem odcięli się od przestępców, zażądali od władz uczelni natychmiastowego ich usunięcia ze studiów z wilczym biletem. Prawidłowa reakcja młodzieży wytworzyła wokół złodziei krąg izolacji i potępienia. Sprawiedliwości stało się zadość, autorytet organizacji nie ucierpiał i fakt ten przed opisem sprawy warto odnotować.

Pewnego upalnego popołudnia jeden z pięciu studentów Andrzej Molenda oczekując na egzamin przed gabinetem profesora, zapisywał nazwiska niektórych przechodzących kolegów na specjalnej liście, która miała pozostać dla nich najgłębszą tajemnicą. Na liście znalazło się blisko 40 osób, a decydowało kryterium przynależności do organizacji młodzieżowej, bowiem Andrzej Molenda interesował się jedynie członkami Związku Młodzieży Wiejskiej. Inni z grupy pięciu studentów bawili w Zalesiu, gdzie odwiedzając ośrodek wypoczynkowy „Wisły” wykazywali szczególne zainteresowanie sprzętem przeciwpożarowym, a zwłaszcza trzema czerwono pomalowanymi ręcznymi hydronetkami. Wkrótce hydronetki te z Ośrodka „Wisły” zniknęły, a znalazły się na terenie Zakładów Mechanicznych „Ursus” jako rzekoma własność studentów.

W gabinecie Wiesława Jaromina kierownika działu porządkowego Zakładów Mechanicznych „Ursus” odpowiedzialnego za czystość w fabryce, siedział Andrzej Molenda pełnomocnik hufca pracy na Politechnice Warszawskiej. Spotkanie to miało stać się w przyszłości brzemienne w konsekwencje, zawierano umowę,

na mocy której studenci, członkowie ZMW zrzeszeni w hufcu pracy zobowiązali się umyć w zakładzie okna, dyrekcja zaś zapłacić za usługę — zgodnie z obowiązującymi cennikami.

Reprezentujący hufiec pracy Andrzej Molenda zastrzegał się, że studenci nie dysponują narzędziami, że muszą kupić żerdzie, drabiny, szczotki, hydronetki a wreszcie mydło, kwas i inne chemikalia potrzebne do wywiązania się ze zlecenia. Na materiały przeznaczono kwotę około 100.000 zł i taką sumę studenci otrzymali. Śledztwo ujawniło co dali w zamian.

Otóż gros materiałów ukradli oni w samym zakładzie, a hydronetki zabrali z Zalesia (narzekając jeszcze na oddalenie miejsca kradzieży od miejsca pracy). Kradzież w zakładzie nie była trudna, gdyż zabezpieczenie mienia pozostawiało wiele do życzenia. Dość powiedzieć, że właśnie w tymże czasie nieznani sprawcy wynieśli z zakładu stojący na placu duży garaż z blachy falistej, który służył za pakamerę. Znajdowały się w nim narzędzia i środki myjące, łatwe do zabrania i użycia na miejscu. Tylko kwas fluorowodorowy musieli studenci kupić płacąc z własnej kieszeni i tylko kwas kupili. Wpływy dla grupy za materiały wyniosły blisko 100.000 zł, wydatki 25-krotnie mniej i to był początek. Tu warto dodać, że przedstawiciel grupy studentów postanowił kupić kwas taniej niż w sklepie. Zauważył on, że przy użyciu tego środka Spółdzielnia „Spójnia” myła szyby w Ursusie zanim studenci weszli na plan, postanowił więc kupić kwas u majstra „Spójni”. Rzecz wcale nie była prosta, konkurent na ogół niechętnie odprzedaje materiał, nawet jeśli jest on kradziony. Jeden ze studentów pochwalił się następnie, że majstra udało mu się „podejść”: „powiedziałem mu, że chcę umyć okna w szklarniach mego stryja” — majster w najlepszej wierze ukradł kwas i sprzedał studentowi prawie za bezcen.

Rozpoczęto pracę, określono kosztorys, stawki wynagrodzenia za umycie 1 m² szyby, dodatki i narzuty, obliczono też w m² wielkość zamówionego mycia. Pięciu dżentelmenów podjęło się nieoficjalnie umyć wszystkie szyby — oficjalnie myło 40 — była przecież lista (w tym celu została spreparowana na korytarzu Politechniki). 40 nazwisk na liście, 40 martwych dusz, praca wrzała. Wkrótce nasi bohaterowie poczuli zmęczenie. Siedząc na dachu, 15 metrów nad halą produkcyjną Andrzej Molenda zwrócił się do kolegów z oryginalną propozycją wynajęcia i opłacenia subwykonawców ze „Spójni”.

Jeden ze współników zaoponował mówiąc, że nie zgadza się na subwykonawcę z pobudek ideologicznych, ma on bowiem wątpliwości, czy zapłacenie robotnikom „Spójni” mniej niż grupa

otrzyma z kasy „Ursusa” nie jest przejawem wyzysku kapitalistycznego, wynikającego z przechwycenia przez studentów wartości dodatkowej. Wątpliwości ideologiczne szybko zostały rozproszone, delegat studentów zszedł z dachu i udał się na pertraktację z majstrem. Od słowa do słowa studenci zobowiązali się dać robotnikom „Spójni” 75.000 złotych za umycie szyb w hali X, robotnicy zgodzili się i pracę wykonali.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że za 75.000 złotych 3 robotników „Spójni” i ich majster, pracując po południu przez okres 3 tygodni (każdy z nich 4 godziny dziennie) umyli halę X. Jak kształtował się tu matematycznie zarobek robotnika. Na każdego przypadło bez opodatkowania po około 18.000 złotych za 20 dni pracy, a właściwie 10 pełnych dni roboczych. Ze stawek tych wynika, że studenci okazali się wobec robotników szczerzy, sami zaś za rzekome umycie tejże hali wzięli od „Ursusa” 355.000 złotych. I jeszcze jedna ciekawostka. Te 355.000 złotych przypadły do podziału nie na 5 studentów, a jedynie na dwóch członków grupy, połowę zabrał Franciszek Pytką — przewodniczący ZU ZMW, drugą zaś Andrzej Molenda — mózg całej grupy. Pozostali trzej studenci zostali w tym przypadku od udziału w zyskach wyeliminowani, co przez jakiś czas zaciążyło na nastroju grupy i doprowadziło do niejakich zgrzytów.

Pięciu sprawców przestępstwa, to studenci, którzy nie byli ze sobą uprzednio ściśle powiązani, zaciążyło to następnie na samych przestępczych rozliczeniach. Działacze ZMW Franciszek Pytką i Andrzej Molenda dobrali sobie trzech pomocników, a ponieważ aferze nadano ramy „organizacyjne”, Franciszek Pytką kazał im wstąpić do organizacji (Ileż w tej sprawie paradoksów. Legitymacje ZMW jako środek do dokonania nadużyć, student — prywatnym przedsiębiorcą zatrudniającym majstra zatrudnionego w spółdzielni pracy, mycie oszklonych ścian hali Y, mimo że rzekomo umyte ściany po prostu... nie istniały). Paradoksy można by jeszcze mnożyć.

Gdy ziemia zaczęła studentom palić się pod nogami, dwaj spośród nich postanowili uczynić ze skradzionych pieniędzy godziwy użytek, zaczęli grać w „totka”, paradoks polega tu na tym, że o ile można zrozumieć człowieka, który za 10 złotych wygrywa 1.000.000 złotych, o tyle trudniej zrozumieć naszych „bohaterów”, którym po niefortunnej grze zostało z reszty skradzionych tysięcy już tylko 10 złotych...

Dokonane w Ursusie nadużycia wykryte zostały przez kontrole i to wykryte bardzo łatwo. Co się okazało. Otóż nasi studenci działając w ramach hufca pracy przy Politechnice Warszaw-

skiej, za umycie szyb w Ursusie otrzymali z kasy zakładu blisko 1.600.000 złotych. Szyby myli przez 4 miesiące po 8-10 godzin dziennie, rzeczywistych myjących było w zasadzie trzech, Andrzej Molenda bowiem i Franciszek Pytka bardziej organizowali i reprezentowali niż siedzieli na drabinach. Słowem każdy z pięciu młodych ludzi otrzymał 400.000 złotych, a więc po 100.000 złotych za miesiąc pracy. A oto jak został wyliczony. Według opinii biegłego nadpłacone studentom kwoty były wynikiem: po pierwsze wystawiania rachunków na mycie szyb, których w Ursusie nie było, po drugie ustalenia stawek wynagrodzenia jak za trzykrotne mycie, po trzecie na ustaleniu ryczaftu za prace nocne i w niedzielę, mimo że w rzeczywistości szyby były myte głównie w powszednie dni robocze w czasie pracy robotników w halach.

I znów ciekawostka. Otóż pewnego dnia, gdy studenci myli świetliki dachu, a kwas kapał na ubrania pracujących w hali robotników, pokrzywdzeni zaczęli rzucać w studentów siedzących na dachu wszystkim co mieli pod ręką i potyczkę wygrali, myjący wycofali się w popłochu, aby kontynuować mycie w czasie kolejnej, bardziej wyrozumiałej, zmiany roboczej.

Wróćmy jednak do kwestii wynagrodzenia. Otóż jak łatwo się można domyślić, studenci działali w porozumieniu z kierownikiem działu czystości Zakładów Mechanicznych „Ursus” Wiesławem Jarominem — w zamian za przymykanie oczu na oczywiście zawyżanie rachunków, przyjmował on łapówki. Wiesław Jaromin był człowiekiem skromnym, brał tyle ile mu dawano, a studenci gestu nie mieli, dali tylko 50.000 złotych, stąd też Wiesław Jaromin, dla którego czas również zatrzymał się, ma saldo zdecydowanie ujemne, nawet nie może się pocieszać, że przed aresztowaniem „użył życia”.

Prace studentów odbierane były przez różne komisje reprezentujące rozliczne działy produkcyjne, w których studenci myli szyby, członkami komisji byli inżynierowie z Ursusa. Dziś wszyscy się tłumaczą, że odbierając pracę zwracali uwagę jedynie czy szyby były dobrze umyte, ilość okien uszła ich uwadze.

I tak np. w biurowcu komisja inżynierów odebrała 300 umytych okien, podczas gdy biurowiec ten w rzeczywistości liczył sobie okien jedynie 117, w kuźni studenci policzyli sobie za umycie szklanej ściany działowej, która istniała jedynie w dokumentacji, w rzeczywistości ściany tej nie było, dawno bowiem została rozebrana. Rozzuchwaleni studenci nie rozkręcali okien szwedzkich do mycia, mimo że liczyli sobie słono właśnie za ich rozkręcanie. W ramach poważniejszych machinacji studenci dopisali nie istniejący metraż rzekomo umytych szyb za blisko

500.000 złotych, za samą rzekomą pracę w nocy i niedziele otrzymali nienależną im kwotę 400.000 złotych, słowem nic już ich nie mogło zatrzymać, co gorsza nikt ich zatrzymać nie próbował.

Niebawem w opisanej sprawie zapadną wyroki, a za kilka miesięcy w Ursusie znów trzeba będzie myć szyby...

Andrzej DOBRZYŃSKI

Prawo i Życie, 2 listopada 1969

GDZIE JEST CHULIGAN?

W sądzie określa się te sprawy skrótem, brzmiącym niemal pieszczotliwie: chuliganki. Jest ich niemało, a wszystkie podobne do siebie jak dwie krople wody. Z reguły na początku jest alkohol, na końcu czyjaś krzywda. W środku rozgrywa się „akcja”, o której oskarżeni mówią wykrętnie, a świadkowie niejasno. Zastanawiająco często dołączone do akt orzeczenie lekarskie stwierdza u oskarżonych jakieś odchylenia od normy: przebytą chorobę psychiczną, lekki debilizm, padaczkę. Z reguły też z wykształceniem nie tęgo, a ferwor do pracy znikomy:

Bysio, stojący właśnie przed sądem we włochatym „ciuchowym” swetrze w modne, jaskrawe pasy, z zawodu kierowca, stara się wzruszyć sąd opowieścią o swoich nieszczęściach, które zmusiły go do picia i bicia: posady znaleźć nie mógł, a Opieka Społeczna wspomóc nie chciała... W tym miejscu nerwy ponoszą Wysoki Sąd. Po krótkiej, zjadliwej informacji dla kogo to mianowicie przeznaczona jest Opieka Społeczna, młody atleta, prosi już tylko o łagodny wymiar kary...

Nie istnieje ściśle prawnicza definicja przestępstwa chuligańskiego. Sąd Najwyższy określa je jako czyn wynikający z braku poszanowania dla norm współżycia społecznego, noszący często znamiona rozwydrzenia, okrucieństwa, brutalności. Jego cechą najbardziej charakterystyczną jest *bezpodstawność działania*.

Ilość spraw chuligańskich jest wprost proporcjonalna do wielkości i stopnia uprzemysłowienia miasta i związana z towarzyszącą mu migracją ludności, posiadaniem przez młodych ludzi oderwanych od środowiska sporych sum pieniędzy, z którymi nie bardzo wiedzą co począć. Z poczuciem frustracji także, wobec ludzi bardziej wykształconych, lepiej sytuowanych, swobodnych w obejściu. Z chęcią wyżycia się wreszcie, zabawienia się „wyszumienia”, do czego święte prawo ma każde młode życie. A o roz-

rywki typu czynnego na prowincji trudno. Alkohol zaś — znajduje się zawsze i wszędzie. Ile chcieć. „Mamy wspaniałą ustawę antyalkoholową — mówi pracownik MO specjalizujący się w walce z chuligaństwem — coś z tego, kiedy nikt nie traktuje jej na serio. Nie ma prawie wypadku, by, zgodnie z ustawą, odmówiono podania alkoholu pijanemu. I zawsze to samo tłumaczenie: że się nie wiedziało. Tak jakby trudno było rozpoznać człowieka pijanego...” Rzec chyba nie ulegnie zmianie, póki bufetowe i kelnerzy będą materialnie zainteresowani w jak największej ilości sprzedanych napoi alkoholowych.

W Sądzie dla Nieletnich „chuliganki” stanowią nikły odsetek: na 127 przestępstw popełnionych w Bydgoszczy w I półroczu 1969 r. zaledwie 4 zakwalifikowane zostały jako chuligańskie. Ale na nieodpowiednie zachowanie się młodzieży w miejscach publicznych zareagowali funkcjonariusze MO w 635 wypadkach, a 397 chłopców i dziewcząt moralnie zaniedbanych znajduje się pod stałą opieką MO. Na 61.000 rzeszę młodzieży szkolnej w Bydgoszczy jest to znowu procent minimalny. Jakże jednak mylący. Wykroczeń przeciw dobru społecznemu nie popełnia się przecież jawnie. Mające wszelkie cechy „bezpodstawnego działania” i „rozwydrzenia” wyczyny niszczycielskie odbywają się w miejscach źle oświetlonych, mało uczęszczanych, w porach i okolicznościach sprzyjających anonimowemu działaniu.

A „działają” całe grupy. W ub. roku w Bydgoszczy naprawa zniszczonych ławek w parkach i na skwerach kosztowała ponad 54 tysiące złotych, wymiana połamanych i poniszczonych krzewów i drzew ponad 6 tys. zł, reperacja koszy na śmieci — 4 tys. złotych. Nad jednym tylko Starym Kanałem w pierwszym półroczu 1969 uszkodzono 36 ławek, 17 śmietniczek, połamano złośliwie 21 krzewów ozdobnych. O dewastacji domów mieszkalnych całą pieśń wyśpiewać mogą kierownicy ADM. Nowiutkie, piękne wagony kolei elektrycznej po kilku zaledwie tygodniach eksploatacji trzeba remontować: nieznani sprawcy odkręcają i wyrzucają przez okno przyśrubowane stoliki, popielniczki, regulatory ciepła. Na liniach podmiejskich pasażerowie zamierają z przerażenia, kiedy do wagonu wsiada dojeżdżająca młodzież szkolna. Wulgarne odezwania, hałaśliwe zachowanie, popisywanie się chamstwem potrafią doszczętnie obrzydzić życie zmęczonym pracą dorosłym.

Zła młodzież? A przecież — potwierdzi to każdy nauczyciel — można na nią liczyć w każdej sensownie przygotowanej akcji społecznej (w samej Bydgoszczy na przeszło 8 milionów złotych rocznie ocenia się wartość czynów społecznych młodzieży); chwala się niejedenkrotnie staruszki-emerytki i osoby kalekie, że nie

spotyka ich nigdy odmowa, gdy zwracają się o pomoc w przekroczeniu jezdni do najbardziej nawet kudłatych i dziwacznie ubranych chłopców. „Ekstrawagancki strój jest jedną z prób pokrycia poczucia niższości wywołanego przez niepowodzenia w nauce czy pracy” — twierdzi sędzia Wydziału dla Nieletnich, w oparciu o długoletnie doświadczenia.

Stoją przed nim właśnie dwie urodziwe piętnastolatki. Po serii wagarów i ucieczek z domu, noclegach w dołach cegielnianych, ogródkach działkowych, ruderach przeznaczonych na zbiórkę przyłapano je „na melinie” w towarzystwie chłopaków dobrze już znanych Sądowi. („Winszuję wam gustu, gorszej hołoty nie mogłyście już wybrać!” — gniewa się sędzia). Hance nie pomoże już żaden sąd, żaden zakład wychowawczy. Mówi o tym wyraz jej sprytniej, przedwcześnie dojrzałej twarzy kobiety znającej życie z nie najlepszych stron. Druga, Danusia: oczy jak dojrzałe śliwki-węgierki, ogromne i słodkie, długie ciemne włosy, świeża buzia. W aktach świadectwo lekarskie stwierdzające lekki debilizm. (Znowu!).

— Jak wy wyglądacie, dziewczęta? Jak śmiałyście tak przyjść do sądu? Istne koczkodany!

Wystrojone są obie jaskrawo. Ale jak „koczkodan” wygląda Danka: krzycząco-czerwony kusiutki płaszczyk ozdobiony suto białym futrem i czarną pasmanterią, srebrzyste pończochy i najmodniejsze kanciaste buty. Strój zmuszający do obejrzenia się. No i oglądali się. Niejeden i nie raz.

— Kto ci kupił ten płaszczyk?

— Mama.

Dlaczego uciekały z domu?

— Bo tatuś ciągle pije — mówi Hanka. Tatuś nie protestuje nawet. — Pierwszy raz to jak tatuś się tak okropnie upił, a potem to już tak sobie — to Danka. Tatuś stwierdza, że pije „normalnie”. Zresztą jak nie ma pić, kiedy jest zdunem i ludzie zawsze częstują, żeby się lepiej pracowało. „No, a jak się już trochę wypije, to i więcej”. Normalnie.

Na ławkach świadków siedzą obie rodziny: obydwaj ojcowie, matka i brat Danki, obie babcie: hanczyna o spracowanych dłoniach robotnicy, w czerni cała i babcia Danki pełna sytej mieszczkańskiej godności. Pierwsza zeznaje elegancka mama Danki. Nie bardzo się orientuje do jakiej szkoły podstawowej chodziła Danka. Wie, że repetowała klasę 2, 4 i 6. Nazwiska wychowawcy klasy nie zna. (Na wywiadówki chodzą z reguły rodzice lepszych uczniów, to też jedna ze smutnych prawidłowości). Mama wie jednak, że obecnie Danka „uczęszcza” do szkoły dla pracujących. (Kto przyjął do tej szkoły dziewczynkę choć nigdzie nie pracuje

i jest o rok za młoda pozostaje słodką tajemnicą). Co do syna matka wykazuje podobną ignorancję. Zna nazwę zakładu w skrócie i nie ma pojęcia, co syn tam robi. — Robotnikiem jest, inżynierem, dyrektorem może? — docieka sędzia. — Uczniem — odpowiada nareszcie mama. Syn, o twarzy prymusa, podrywa się jak oparzony: — Mama, jestem elektromonterem, przecież opowiadałem o pracy, mama, ty musisz wiedzieć!

Zeznają ojcowie. Nie oszczędzają własnych córek. Braciszek dorzuca co pikantniejsze szczegóły. Hanka nie zaszczyca ojca nawet jednym spojrzeniem, ogromne oczy Danki wilgotnieją: „No, tata, no”, i do brata: „Ech, ty!”. Jednego brak w zeznaniach panów: choćby wzmianki o tym, czy i jak próbowali pomóc dzieciom. Babcie ze złożonymi na podółku rękami czekają na sprawiedliwość. Tylko żałobna babcia Hanki przyjmie wyrok z płaczem. Dziewczynki z uprzejmości wylewają kilka wymuszonych łez. Są w gruncie rzeczy spokojne. Wiedzą: w zakładach wychowawczych brak miejsc, pogotowie opiekuńcze przepełnione, nowe ciągle w fazie projektu, sprawa odwlecze się na kilka miesięcy, przyschnie może, nie ma się czym przejmować.

Poczucie bezkarności jest jednym z ważnych czynników kryminogennych. Co więc robić? Rozbudowywać zakłady karne? Na jednej ze swych jesiennych sesji Miejska Rada Narodowa w Bydgoszczy uchwaliła przyspieszenie budowy tak bardzo potrzebnego Pogotowia Opiekuńczego. Jest to — podobnie jak budowa nowych zakładów wychowawczych — rzecz konieczna, ale równocześnie niezmiernie bolesna. I smutna, gdyż zawiera w sobie — w podtekście — niewiarę w możliwość poprawy sytuacji na odcinku wychowawczym. A przecież — dysponując obecnie materiałem porównawczym pozwalającym na wysuwanie wniosków można by przystąpić do likwidacji p r z y c z y n, zamiast karać s k u t k i.

Zgodni są w poglądach nauczyciele, wychowawcy, sędziowie, milicjanci: rodzice nie potrafią już wychowywać swoich dzieci. „Są zbyt wygodni” — „Nie mają czasu”. Między tymi dwoma biegunami cała gama zarzutów, mniej lub bardziej istotnych. Fakt pozostaje jednak faktem — a konsekwencją jest wniosek: jeśli rodzice nie potrafią wychowywać, musi im w tym dopomóc społeczeństwo i państwo. Niekiedy nawet wbrew ich woli. (Choćby wprowadzając przymusowe noszenie mundurków szkolnych, do czego jak najśluszniej olbrzymią wagę przywiązują wychowawcy).

Na szeroką skalę prowadzi się obecnie pedagogizację rodziców. W województwie bydgoskim kuratorium szkolne opracowało, a prezydium WRN uchwaliło przed kilku laty pierwszy w Polsce „długofalowy program wychowania młodzieży” angażu-

jący do współpracy związki zawodowe, zakłady pracy, komitety FJN, organizacje sportowe, młodzieżowe, kobiece. Słowem całe społeczeństwo. Pomyślaną sensownie uchwałę spotkał jednak los podobny do ustawy antyalkoholowej. Mało kto się do niej stosuje. Pedagogizacja rodziców prowadzona w szkołach trafia — jak w wypadku wywiadówek — do rodziców lepszych uczniów.

Opiekuńcze zakłady pracy ograniczają się na ogół do pomocy materialnej szkołom. Prowadzeniem indywidualnych rozmów z rodzicami, mobilizowaniem ich do aktywnej pracy w komitetach rodzicielskich poszczycić się może tylko jeden zakład pracy w Bydgoszczy — Lokomotywnia Bydgoszcz-Wschód, odznaczona jako jedna z nielicznych w województwie odznaką Przyjaciela Szkoły. Może trochę tu winy szkół nie zwracających się z konkretnymi kłopotami do zakładów pracy? (Bo szkoła czasem wykazuje wzruszającą bezradność: raz jeden jedyny np. skorzystano w jednym z liceów bydgoskich z prawa usunięcia ze szkoły ucznia mającego niedostateczny z zachowania).

W sferze postulatów pozostało też wciągnięcie do wspólnej akcji wychowawczej komitetów blokowych. A szkoda, bo reprezentują one głos opinii, z którym poszczególne środowiska liczą się coraz poważniej. Otóż komitety blokowe zostały zaalarmowane przez MO raptem aż 7 razy na 635 wypadków.

O urządzeniach, umożliwiających czynną rekreację, jak kręgielnie, strzelnice, wieże spadochronowe (była ongiś taka w Bydgoszczy) — ani marzyć. Ze świecą szukać w czas długich jesiennych wieczorów jasno oświetlonych boisk i placów zabaw. Nie mówiąc już o „wesołych miasteczkach” łączących — jak w Chorzowie — sport i zabawę z kulturą. Bo młody człowiek musi się wyhasać. Ma prawo do śmiechu „bezzasadnego”, popisywania się zręcznością, zmierzania się z innymi. I także do zwykłego „wygłupu”. Jeśli mu tego odmawiać, będzie stwarzał sobie własne okazje. I zamiast do tarczy, celować będzie do latarni ulicznej. Albo do przechodnia...

Takie same agresywne odruchy kompensacyjne wywołuje poczucie własnej nieudolności, niemożności dorównania innym w nauce czy pracy. Niech się do tego dołączą kpiny kolegów i docinki nauczycieli czy majstrów — nieszczęście gotowe. Młodzian pokaże „im” wszystkim, a głównie samemu sobie, jaki to on naprawdę jest dzielny i nieustraszony. I gdzie ma „ich” przepisy i prawa. No i przybył nam jeszcze jeden chuligan.

Czyż można jednak usunąć wszystkie przyczyny powstawania uczucia frustracji? Kilka z nich na pewno. Choćby tych, najczęściej powtarzających się. Nader często sprawcami czynów chuligańskich są charakteropaci. Nie są to — na ogół — wypadki skrajne,

upoważniające do kierowania ucznia do szkoły specjalnej (w której *nota-bene* stale brak miejsc i która nie przygotowuje absolwentów do pracy zawodowej). Istniejące w niektórych szkołach klasy specjalne nie zdały egzaminu. Sam fakt przydzielenia ucznia do „klasy dla głupich” powiększał jego kompleksy, narażając na okrutne docinki kolegów. Wzrost chorób i zaburzeń psychicznych notuje się dziś na całym świecie, Polska nie jest tu wyjątkiem i nie ma czego się wstydić. Wraz z przyrostem tych chorób wzrastać będzie chuligaństwo, jeśli nie podejmie się zawczasu odpowiednich kroków. Dużo się pisze u nas obecnie o tworzeniu szkół dla szczególnie uzdolnionej młodzieży. Pomijając nader wątpliwą wartość wychowawczą tego eksperymentu, dzielącego młodzież na lepszą i gorszą, niesposób nie zauważyć, że słuszniejszą rzeczą dla dobra w s z y s t k i c h uczniów byłoby raczej utworzenie szkół dla młodzieży trudnej. Takiej, która — jak Danusia — nie nadaje się jeszcze do szkoły specjalnej, ale w normalnej poradzić sobie, mimo wysiłków, nie umie i nie może. Szkół, niczym na zewnątrz nie wyróżniających się od innych, ale zatrudniających oprócz nauczycieli wychowawców o wysokich specjalistycznych kwalifikacjach, lekarza, psychologa i psychiatrę. Szkół drożnych, umożliwiających absolwentom przejście do zasadniczych szkół zawodowych. Szkoły takie dałyby dzieciom trudnym szansę normalnego ukończenia szkoły podstawowej i zdobycia zawodu, a szkolnictwo nasze uwolniłoby w dużej mierze od zmory drugoroczności, kładąc równocześnie kres poważnej ilości wypadków chuligaństwa. Warto by spróbować choć w jednym większym mieście. Tytułem eksperymentu choćby.

Zofia NOWICKA

Pomorze, nr 24 (318), 16-31 grudnia 1969

CZYJ TEN „UŚMIECH”?

Przed wejściem do „Uśmiechu”, stołecznej kawiarni, a zarazem klubu — głównie dla młodzieży trudnej, tylko dwóch młodzińców na nogach „z waty”. Spokojnie! W sali na parterze, jak co dzień, grzmi i huczy orkiestra big beatowa. Trudno się dziwić, że przy takiej mocy uderzenia na skutek wibracji po iluś tam tygodniach odpadły 25-kilogramowe płyty okładzinowe nad szatnią... Prawie wszyscy na sali tańczą, prawdę mówiąc mało umiejętnie, no ale przecież kulturalnie i grzecznie. Czyżby zła sława, każąca warszawiakom omijać łukiem „Uśmiech” i odstrasżająca od jego sal, pustych do godz. 17, zanim zaczyna się młodzieżowy ubaw, była przesadzona?

Lecz jest dopiero godzina 19. W dwie i pół godziny później, kiedy opuszczamy lokal, w każdym przejściu, które trzeba przebyć, schodząc z piętra, chwieją się na miękkich nogach rozprawiający głośno młodzieńcy. Na pewno nie podpiłi sobie winem sprzedawanym w „Uśmiechu”, wino jest tu za drogie, z marżą lokalu I kategorii i bywalcy kawiarni zamawiają je nader rzadko. Służba porządkowa, rekrutująca się z kilku ZMS-owców (kawiarni patronuje warszawska organizacja ZMS) zrzeszonych w ORMO, sprawdza czy chłopaki wchodząc do „Uśmiechu” nie przemycają pod marynarką butelek z alkoholem. Za złapanie z butelką — zakaz wstępu. Więc nie przemycają. Wódkę i „patykiem pisane” wnoszą dziewczyny w swoich torebkach. Pije się alkohol w szklankach na oranżadę, a puste butelki wystawia nierzadko na zewnętrzne parapety okien.

Chcieliśmy zobaczyć salkę klubowo-kinową na piętrze. Była pusta, seans się skończył. Jakiś młody człowiek w samej koszuli wychynął z kabiny operatora, na nasz widok szybko ją zatrzasnął i niczym Rejtan bronił za chwilę do niej wstępu. Okazało się, że nie bez powodu. Na podłodze kabiny, przykryta chustką do nosa,

stała butelka wódki, obok damskiego koszyczka. Młody człowiek był kinooperatorem. W sposób niewiele mający wspólnego z *sa-voir-vivre*'m tłumaczył kierownicze kawiarni i dyrektorowi WZG Kawiarnie, że „wódka jest na imieniny koleżanki, do której idziemy do domu, a wy tu nie macie prawa”... Zapomniał tylko, że gdyby jego tłumaczenie nosiło cechy prawdy, koszyk z butelką musiałby być zostawiony w szatni.

Za chwilę nowa scena. Telefon do kierowniczki: milicja i rodzina poszukuje 15-letniej uczennicy, spędzającej popołudnia i wieczory w „Uśmiechu” na zaproszenie jednego z muzykujących big-beatowców. Poprzedniego wieczora dziewczyna przysłała do „Uśmiechu” z kolegą, który pierwszy raz przestąpił progi tego lokalu. Po wyjściu chłopak-nowicjusz został pobity tak dotkliwie, że musiano mu zszywać cięte rany głowy. Mniej już ważne że ładna, rozumnie wyglądająca dziewczyna kłamie bez cienia wahania (...mam 18 lat, w domu telefon nie działa, bo zmiana numerów, żadnego chłopca nie przyprowadzałam); a gdy kłamstwo demaskuje telefon od ojca, nie traci tupetu, a nawet cień wstydu nie pojawia się na jej twarzy... Trzecia osoba z naszego towarzystwa, młoda kobieta, podczas tych scen pozostawała na sali na piętrze. Nie brakło wolnych stolików, ale energiczny dryblas co najmniej z nonszalancją wypraszał ją od tego, który zajęta, bo „jemu się podoba tu siedzieć”.

Po takiej porcji wrażeń nie szokują już zwierzenia kierowniczki kawiarni, p. Nogalskiej, że milicja jest prawie codziennym gościem w „Uśmiechu”. Wystarczy, że jeden tancerz potrąci drugiego na parkiecie, a już idą w ruch pięści, z szamotaniny dwóch „rycerzy” robi się ogólna bijatyka. A niektórzy stali bywalcy mają za paznokciami wmontowane kawałeczki żyłetek... Chodnik ze schodów prowadzących na piętro zdjęto, gdyż pręty, którymi był przymocowany, służyły za oręż w bójkach.

Od 1 stycznia do połowy października br. bywalcy wynieśli z „Uśmiechu” dobrze ponad 300 platerowanych sztuców. Ostatnio w sposób fachowy, bo bez wyłamywania zamków, jakiś amator zdobył albumy i puchary (wartości 600 zł każdy), przechowywane w szafce na zapleczu „Uśmiechu” przez radę zakładową WZG.

Z 240 kwiatów doniczkowych, zakupionych przez kierowniczkę, ostało się zaledwie parę — reszcie konsumenci poobrywali lub powypalali papierosami liście. Gaszenie papierosów o obrusy jest zresztą praktyką codzienną. Cukierniczek się w „Uśmiechu” nie podaje, gdyż do jednej kawy bardzo często szła „na zakąskę” cała zawartość cukierniczki; ponadto kiedyś znaleziono w cukierniczkach zużyte środki antykoncepcyjne. Żeby już pozostać

przy temacie: wszelkie kotary na zapleczu i schodach kawiarni usunięto (a przejść i zakamarków tam nie mało) ze względów obyczajowych.

Prawda, od sierpnia br. kierownikiem klubu w „Uśmiechu” jest człowiek nowy, aktywista ZMS. Poprzedni kierownik został zwolniony w trybie natychmiastowym za złą gospodarkę finansami klubowymi oraz pijaństwo w pracy. O tym ostatnim fakcie wielokrotnie alarmowano zwierzchników b. kierownika, lecz bez skutku. Bez skutku również kierowniczka kawiarni dobija się u patronów klubu o wspólną naradę kierownictwa obu placówek, firmowanych szyldem „Uśmiechu”, przedstawicieli stołecznego ZMS i dyrekcji WZG w sprawie dalszych losów „Uśmiechu”.

Nowe kierownictwo pragnie wprowadzić i wprowadza już imprezy i zajęcia typu klubowego — seanse filmów krótkometrażowych, spotkania z ciekawymi ludźmi, konkursy *savoir-vivre’u*, pokazy mody młodzieżowej, mikrofon dla wszystkich, wieczory dobrej zabawy z grami towarzyskimi. Niestety i na wieczorach i filmach frekwencja jest słaba, bywalców przyciąga tylko parkiet. Słowo „bywalczy” ma zresztą w odniesieniu do „Uśmiechu” znaczenie specyficzne. Co wieczór widzi się tu na tańcach te same osoby, stanowiące według zgodnej oceny kierowniczki kawiarni i zastępcy kierownika klubu ok. 25 proc. ogółu zgromadzonej młodzieży. I te 25 proc. to właśnie bohaterowie wszelkich awantur. A przecież już przysłowiowa łyżka dziegciu potrafi popsuć beczkę miodu. Zabłąkani przypadkowo raz jeden do „Uśmiechu”, zwykli, spokojni młodzi ludzie nie wracają tu, poobserwowawszy atmosferę i scenki rodzajowe. Przychodzą po raz drugi i trzeci tacy, których nie razi styl bycia nadającej ton grupy weteranów, którzy ten styl przejmują. Cała więc idea reedukacji poprzez klub młodzieży trudnej i „niczyjej” pali w ten sposób na panewce.

A idea jest ze wszech miar słuszna, chwalebna i godna uznania, tylko chyba wymaga realizowania w innej formie. Albo poprzez kluby-kawiarnie dzielnicowe, które sądząc z doświadczeń najlepiej zdają egzamin (być może działa świadomość „wszyscy mnie tu znają, wszyscy widzą”), albo nawet klub ogólnowarszawski, jednak nie zlokalizowany w samym centrum miasta i w tak wielkim, dwukondygnacyjnym lokalu, utrudniającym, jeśli wręcz nie uniemożliwiającym dokładną kontrolę zachowania „trudnych” i „najtrudniejszych”.

Wydaje się też, że klub winien być klubem w sensie dosłownym, tj. z kartami członkowskimi, które mają moralny walor zobowiązującego dokumentu. Można by je przecież wydawać wszystkim chętnym — pełnoletnim; dziś nie legitymuje się wchodzących i stąd na salach pełno 15-16-latek. A odbierać karty na

stałe lub czasowo (obecnie operuje się „zakazem bywania”) tym, co zachowują się źle.

Wypróbowanym, starym środkiem jest powoływanie do pilnowania porządku regulaminowego i przestrzegania dobrych manier właśnie osobników najbardziej skłonnych je łamać, wciąganie takich ludzi do rady klubu, decydującej o programie zajęć pozatanecznych. Nic nie szkodzi, że początkowo okazałby się on bardzo ubogi... Ale nie zaserwowany gotowy niczym danie na tacy; a skoro współtworzony własnym pomysłem, to i jakoś zobowiązujący do wykorzystania. Trudno zresztą dziennikarzowi dawać recepty — działaczom.

Jedno chyba nie ulega wątpliwości — nie spełnia swoich wychowawczych celów lokal, uważany przez personel kelnerski za „zakład karny”, nie tylko z racji niskich zarobków, lecz i chamskiego traktowania dziewcząt i kobiet z obsługi przez wielu konsumentów płci męskiej. Młodzieżowa kawiarnia, której kierowniczka boi się sama zejść wieczorem na salę. A nuż się spełni któraś z licznych gróźb? Zadzwoił telefon, kierowniczki nie było w pokoju, podniosła słuchawkę osoba trzecia, o czym interlokutor nie wiedział. — Ty stara... — wrzasnął, usłyszawszy żeński głos — poczekaj, będziesz wychodzić wieczorem...

Mało optymistyczny nastrój towarzyszył nam, gdy wychodziłiśmy na ulicę — w centrum miasta — z kawiarni, wabiącej reklamą: „umów się u nas ze swoją dziewczyną”...

I. CZYŃSKA

Gazeta Handlowa, 24 października 1969

O PODRĘCZNIKACH AKADEMICKICH REALISTYCZNIE

Z artykułu red. A. Święckiego pt. „Batalia o skrypty i podręczniki”, zamieszczonego w „Życiu Warszawy” z dn. 24. IX. br. wynika, że PWN, zbyt optymistycznie ocenia sytuację w dziedzinie publikacji dydaktycznych.

Nigdy i nigdzie nie twierdziliśmy, że jest dobrze i że będzie lepiej. Natomiast można z całą pewnością mówić o tym, że jest znaczny postęp w dziedzinie zaopatrzenia studentów w podręczniki oraz o tym, że może być lepiej. W imię tego założenia PWN rozwija zresztą wielostronną działalność.

Uznając wydawanie publikacji dydaktycznych za naczelne zadanie PWN, wprowadzono w życie szereg środków zapewniających pełną jego realizację.

Od 1 stycznia br. powołano w każdym z pionów redakcyjnych zastępców redaktorów naczelnych, którzy przede wszystkim zajmują się problematyką publikacji dydaktycznych.

W celu efektywnej koordynacji powołano także pełnomocnika dyrektora do spraw publikacji dydaktycznych, który kieruje pracami nowo zorganizowanej komisji dydaktycznej, w skład której wchodzi przedstawiciele pionów redakcyjnych PWN oraz wicedyrektorzy zainteresowanych departamentów Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego.

Komisja ta zajmuje się podejmowaniem bieżących decyzji w sprawie podręczników oraz problemami długofalowymi. Powołanie jej znacznie skraca drogę, którą dotychczas trzeba było odbyć, aby uzyskać zatwierdzenie tytułu oraz recenzentów.

Od wykonania tytułowego planu podręczników uzależniono nagrody przyznawane dwa razy w roku pracownikom redakcyj-

nym. Współ ze Zjednoczeniem Przemysłu Poligraficznego ustalono zasadę priorytetu podręczników w ogólnej produkcji wydawniczej, realizowanej w drukarniach podległych Zjednoczeniu.

Zawarto w okresie ostatniego roku 110 nowych umów wydawniczych na podręczniki.

W zakresie matematyki wydane dotychczas podręczniki i skrypty pokrywają w zasadzie w pełni zapotrzebowanie z wyjątkiem geometrii analitycznej. Dla uniwersyteckich studiów matematycznych wydane są równoległe podręczniki do niektórych przedmiotów, jak np. geometria, algebra. Obecne wysiłki Wydawnictwa zmierzają do unowocześnienia wielu aktualnie używanych podręczników i dostosowania ich do programów studiów. W związku z gruntowną zmianą nauczania matematyki w szkołach średnich, istnieje pilna potrzeba opracowania nowych podręczników do geometrii dla pierwszych lat studiów wyższych. Prace nad takim podręcznikiem są zaawansowane.

Unowocześnienia wymaga podręcznik fizyki dla studiów politechnicznych. Brak jest także szeregu podręczników i książek pomocniczych z zakresu fizyki dla wyższych lat studiów uniwersyteckich. W związku z tym sformowany został zespół autorski, który opracuje nowy 2-tomowy podręcznik fizyki ogólnej dla studiów uniwersyteckich. W toku opracowania znajdują się podręczniki z zakresu teorii względności i kosmologii, mechaniki falowej i kwantowej.

Braki w zakresie podręczników i książek pomocniczych z chemii dotyczą głównie chemii ogólnej, chemii fizycznej i technologii ogólnej. Szybki rozwój nauk chemicznych oraz zmiany programów studiów stwarzają obiektywną konieczność ciągłej modyfikacji podręczników. Z tych względów przewiduje się w następnym planie pięcioletnim wydanie pięciu nowych podręczników i książek pomocniczych z chemii organicznej i nieorganicznej, 12 z chemii fizycznej i teoretycznej. Brakuje także podręczników z zakresu filozofii, socjologii i ekonomii.

Występujące od dłuższego okresu trudności związane z realizacją planów publikacji dydaktycznych są spowodowane przede wszystkim brakiem autorów, którzy podjęliby się opracowania „deficytowych” podręczników.

Obecna sytuacja charakteryzuje się tym, że szkoły wyższe, a także instytuty naukowo-badawcze nie mają obowiązku podejmowania prac nad publikacjami dydaktycznymi. Stąd publikacje dydaktyczne nie są uwzględniane w planach naukowych szkół wyższych i instytutów. Taki obowiązek istnieje np. w ZSRR,

co znakomicie ułatwia wywiązywanie się z nałożonych zadań instytucjom wydawniczym ZSRR.

Jak to podkreślono na naradzie z autorami podręczników, odbytej w kwietniu br. w PWN, jedną z istotnych przyczyn jest nadal stosowana w wielu przypadkach praktyka nieuznawania publikacji dydaktycznych jako dorobku naukowego, umożliwiającego osiągnięcie wyższych stopni i tytułów naukowych.

Pewną trudnością jest także różnorodność poglądów na koncepcję podręcznika akademickiego. Pracownicy nauki różnie określają funkcję dydaktyczną podręcznika. Brak jednolitej koncepcji w tej mierze powoduje szereg ujemnych następstw, zwłaszcza dotyczących kultury użytkowania podręcznika.

Studenci krytykują sprawę nadmiernej objętości podręczników. Przeprowadzone badania sondażowe w tym zakresie wskazują, że podręczniki są użytkowane w granicach 50-60 proc. objętości. Np. w jednym tylko przedmiocie, jakim jest ekonomika rolnictwa, objętość podręczników, bez lektury obowiązkowej, zamyka się w 8.800 stron do przestudiowania w okresie kilku semestrów.

Zdaniem studentów i zdaniem nauczających, mamy do czynienia ze zjawiskiem przeładowania wiadomościami encyklopedycznymi znacznej ilości podręczników. Mamy również do czynienia z nadużywaniem opisowości materiałów podawanych w podręcznikach. Dokładniejsza analiza zalecanych studentom materiałów do przestudiowania prowadzi do wniosku, że znajduje się tam od 10 proc. aż do (w niektórych przypadkach) 70 proc. zbędnych materiałów z punktu widzenia wymagań określonych przez program nauczania.

Podręcznik jest dziełem niezwykle pracochłonnym. Obecny system honorariów nie jest rekompensatą za twórczy wkład pracy autora. Jednocześnie system ten preferuje publikacje dydaktyczne o nadmiernej objętości.

Gdyby sprowadzić publikacje dydaktyczne do racjonalnych i uzasadnionych rozmiarów, obniżając ich objętość o ok. 15 proc., to wówczas nastąpiłoby zmniejszenie kosztów produkcji w okresie rocznym o około 3,7 mln zł, zużycie papieru o 70 ton, co pozwoliłoby na wydanie dodatkowo 15 tytułów publikacji dydaktycznych rocznie w nakładzie 150 tys. egzemplarzy.

Ważną sprawą z punktu widzenia zaspokajania potrzeb jest ich prawidłowe rozpoznawanie i właściwe planowanie tytułów do wydania.

Fakt, iż w stosunku do planu na lata 1966-1970 PWN wydało ponad 200 podręczników i książek pomocniczych poza planem (co stanowi 1/3 pięcioletniego tytułowego planu wydań) ze względu na występujące potrzeby, jest dowodem pewnych braków zarówno w zakresie rozpoznawania potrzeb, a także metodyki planowania....

Jerzy WOŁCZYK
Dyrektor PWN

Życie Warszawy, 30 września 1969

DACH NAD GŁOWĄ DLA STUDENTA

Mimo iż rokrocznie oddawne są do użytku nowe akademiki, nie dla wszystkich potrzebujących studentów starcza w nich miejsca. U progu nowego roku akademickiego reporterzy „SM” przeprowadzili rekonesans w sprawie dachu nad głową dla żaka. Informacje, które zebrali, nie są, niestety, optymistyczne. Akcja szukania kwater prywatnych, nazwana ongiś przez naszą redakcję „Pokoikiem na Hożej” — co tu dużo ukrywać, mimo obowiązujących zarządzeń dających niemałe ulgi właścicielom mieszkania przyjmującym studenta-lokatora — ciągle kuleje.

W Gdańsku brakuje miejsc w akademikach dla ok. 1600-1800 studentów. Najgorsze kłopoty mieszkaniowe mają słuchacze Politechniki Gdańskiej, na której więcej jest młodzieży uprawnionej do otrzymania stypendium mieszkaniowego, niż miejsc w DS-ach. Władze uczelni oraz organizacje młodzieżowe widzą jedyne, aczkolwiek połowiczne wyjście — zagęszczenie. Takie rozwiązanie sytuacji, rzecz jasna, nie leży w interesie studentów, zwłaszcza starszych, przygotowujących się do dyplomu. Dla Politechniki wznosi się, to prawda, aktualnie DS na ok. 500 miejsc — roboty przy nim postępują jednak tak wolno, że dopiero w przyszłym roku można będzie liczyć na użytkowanie domu. Na razie blisko 2-tysięczna rzesza gdańskich studentów zmuszona jest korzystać z kwater prywatnych. Większość ubiegała się o nie za pośrednictwem biura działającego pod auspicjami RO ZSP. Niestety, możliwości uzyskania stancji w tym roku są nader skromne. Dotychczas udało się zabezpieczyć ok. 150 miejsc (w ub. roku ok. 650) — co jest przysłowiową kroplą w morzu. Jeśli się nawet weźmie pod uwagę, iż część studentów szuka lokum na własną rękę to i tak co najmniej 1000 osób liczy na pomoc biura. Prowadzi ono szeroką akcję propagandową: przygotowano plakaty, rozklejono ulotki w miejskich środkach komunikacji, były apele w prasie — jak na razie bez widocznego rezultatu. Studenci mają bowiem

poważnego konkurenta. Obie Stocznie oferują znacznie wyższe ceny za wynajem pokoju. W tej sytuacji mało kto chce przyjąć pod swój dach — studenta.

Ze stancjami dla studentów mamy duże kłopoty — powiedział reporterowi „SM” wiceprzewodniczący RO ZSP w Lublinie — Jerzy Wolniak. Dotychczas zgłosiło się ok. 200 mieszkańców Lublina, oferując stancje dla 600 studentów. Potrzeba co najmniej 3 razy tyle. Największe kłopoty są z młodzieżą, UMCS, WSR. A WSI w ogóle nie ma własnych akademików, otrzymała więc tylko 386 miejsc w DS-ach innych szkół wyższych. W najlepszej sytuacji jest natomiast młodzież Akademii Medycznej. W tym roku otrzymała ona dwa nowe akademiki o blisko 700 miejscach. W ten sposób w DS-ach można było zakwaterować 57 proc. medyków. Natomiast w pozostałych uczelniach wskaźnik ten wynosi tylko 42 proc. Resztę młodzieży trzeba umieszczać na stancjach prywatnych.

Podstawowy problem stanowi wysokość opłat za stancje. Kształtują się one w granicach od 300 do 700 zł od osoby. Tylko w wyjątkowych przypadkach właściciel wynajmuje pokój jednemu studentowi. Z reguły przyjmuje 3-4 studentów. Czynn timer horrendalny! Wielu właścicieli mieszkań stawia ponadto studentom liczne warunki, aby np. nie palili papierosów, nie sprowadzali kolegów, nie wracali późno do domu, tylko raz w tygodniu korzystali z łazienki, nie wypalali za wiele prądu itd. itp. Kilka lat temu RO ZSP i Prezydium MRN zawarły specjalną umowę, w której uregulowano problem wynajmu kwater dla studentów. Umowa przewiduje ceny i warunki jakim powinny odpowiadać udostępniane młodzieży pomieszczenia, a także określa, że powierzchnia zajmowana przez studentów jest wyłączona z nadmetrażu. Niestety, o uchwale tej zapomina się. Nie jest ona przestrzegana szczególnie w zakresie cen i warunków, jakim powinny odpowiadać stancje.

Przed biurem kwater prywatnych RO ZSP w Łodzi kolejki. W godzinach przyjęć przewija się tutaj wielu studentów. Dotychczas mieszkańcy Łodzi zgłosili ponad 540 pokoi. 470 — od kilku lat zajmują studenci. Niestety, jak informuje szef biura, Ryszard Sejdel — zapotrzebowanie jest zawsze większe od zgłaszanych stancji. W tym roku największe kłopoty mają dziewczęta, zwłaszcza zaś studentki Akademii Medycznej.

Największy kłopot jest z tymi studentami, którzy mieszkają stosunkowo niedaleko Łodzi.

Uczelnie nie dają im miejsc w DS-ach, twierdząc, że mogą dojeżdżać na zajęcia. Strata jednak 2-3 godzin dziennie w napiętym budziecie studenckiego czasu jest wprost niepowetowana.

Inne kłopoty mają studenckie małżeństwa. W myśl przepisów nie mogą one mieszkać w DS-ach. Jedyne więc ratunek to kwatery prywatne. Ale wynajmujący mieszkania bronią się przed małżeństwami jak tylko mogą. Na 60 studenckich małżeństw poszukujących dla siebie lokum w kwaterach prywatnych udało się umieścić tylko 6.

Blisko 5 tys. studentów krakowskich poszukuje stancji. Jak informuje reporter „SM”, do biura pośrednictwa mieszkań przy RO ZSP w Krakowie zgłasza się dziennie ok. 200 studentów; natomiast biuro otrzymało dotychczas zaledwie 100 miejsc i to zlokalizowanych w dość odległych od centrum Krakowa dzielnicach, np. w Nowej Hucie i osiedlu „Azory”. Właściciele mieszkań na ogół niechętnie wynajmują pokoje studentom za pośrednictwem Rady Okręgowej, ponieważ muszą zgodzić się na obowiązujące stałe stawki. Wolą zatem zawierać umowę bezpośrednio ze studentem dyktując mu wówczas swoje warunki finansowe. Najczęściej przekraczają one możliwości studenckiej kieszeni.

Nie mniejsze kłopoty przeżywają co roku studenci z innych ośrodków akademickich. W tej sytuacji nie może nie budzić sprzeciwu fakt, iż ciągle jeszcze wiele pokoi w akademikach okupują tzw. „dzicy lokatorzy”. Mimo odpowiednich zarządzeń uczelni nie są w stanie uporać się z tym problemem.

Na podstawie korespondencji: (ga), (ren), (ader), (d.w.).

(N)

Sztandar Młodych, 29 września 1969

W KOLEJCE PO STUDENCKI OBIAD

(B) 75 proc. kandydatów na studia prosi o przyznanie stypendium stołówkowego. Tyleż samo studentów korzysta w czasie studiów ze stołówek. Za stale wzrastającą liczbą stołowników nie idą jednak nowe inwestycje i modernizacja dotychczasowych placówek. Na studencki obiad czeka się coraz dłużej. Przeciążony sprzęt kuchenny odmawia posłuszeństwa.

Gdzie i na czym usmażyć kotlet?

W WARSZAWIE ciężar żywienia spoczywa na 24 stołówkach, w których jada 20 tys. studentów. W roku 1964 tyle samo stołówek obsługiwało 13 tys. studentów. Przeciążenie w kuchni powoduje obniżenie poziomu żywienia i znacznie utrudnia pracę. Tylko 4 stołówki należą do dobrze wyposażonych, reszta korzysta ze starego sprzętu i adaptowanych pomieszczeń. Np. stołówka przy ul. Rakowieckiej mieści się w adaptowanym na ten cel baraku, a stołówka przy ul. Radomskiej — w piwnicy. Większość nie ma odpowiedniego zaplecza i magazynów, co utrudnia przygotowanie posiłków i często uniemożliwia przechowywanie produktów. Administracje uczelni, pomimo usilnych starań, nie mogą kupić kotłów i patelni.

Remontowy skandal

W BIAŁYMSTOKU studiuje ok. 3 tys. osób. Wszystkie istniejące stołówki mogą pomieścić jednorazowo 360 osób. Liczba to niewielka, tym bardziej więc niepokoi przedłużający się remont jednej ze stołówek. Białostocka filia Uniwersytetu Warszawskiego otrzymała dom studencki po Studium Nauczycielskim. W okre-

sie wakacji miał być przeprowadzony remont całego budynku. W październiku studenci zastali w nim jeszcze robotników, którzy do tej pory w niezwykle powolnym tempie prowadzą roboty. Termin oddania do użytku stołówki kilkakrotnie odraczano. Studenci muszą korzystać z różnych barów i stołówek szkolnych, położonych w odległych nieraz częściach miasta. Tracą czas i pieniądze na dojazdy, a w jednym z barów narażeni byli do niedawna na pijackie towarzystwo amatorów piwka po „jednym głębszym”. Studenci, zamiast ustalonej kwoty 270 zł, dopłacają z własnej kieszeni 400 zł. Kiedy zostanie zakończony remont stołówki, nikt nie umie odpowiedzieć.

Kłopoty z dostawcami

Studenci w woj. KATOWICKIM także mają kłopoty ze stołówkami. Przyczyny ciągle te same: trudności lokalowe, brak urządzeń, duża rotacja personelu. Najgorzej przedstawia się sytuacja studentów Politechniki Śląskiej w Gliwicach, najlepiej Uniwersytetu Śląskiego i Wyższej Szkoły Muzycznej.

Kierownicy stołówek skarżą się na PSS, która nie przestrzega ustalonego priorytetu dostaw produktów.

Nie dopisuje również zaopatrzenie w GDAŃSKU. Kierownicy stołówek i Rada Okręgowa ZSP dopominają się o prawo nabywania niektórych artykułów żywnościowych w pierwszej kolejności. Niestety, żadne z przedsiębiorstw nie chce się na to zgodzić. Zmorą gdańskich stołówek są przestoje. Nie zwiększa się także powierzchnia stołówek, nie poprawia ich wyposażenie, a liczba stołowników rośnie. Np. stołówka nr 5 Politechniki ma 350 miejsc. 110 zarezerwowano dla pracowników, resztę przeznaczono dla studentów, których jest 2.100. W Akademii Medycznej, choć stołówka ma tylko 160 miejsc, wydaje się 1.800 obiadów. Wobec takiej ciasnoty ciągle adaptuje się nowe pomieszczenia. Nie zwiększa się jednak zaplecze — brak magazynów i wyposażenia kuchni w podstawowe urządzenia chłodnicze oraz sprzęt mechaniczny. Zmorą jest też brak wentylacji zarówno w stołówkach jak i w pomieszczeniach kuchennych.

Bary i bufety, a nie tylko stołówka-gigant

W OLSZTYŃSKIM miasteczku studenckim w Kortowie jest stołówka, bufet i bar mleczny. Największy kłopot ze stołówką, która obliczona była na 1500 osób, a korzysta z niej 3,5 tys. stu-

dentów i pracowników WSR. Na posiłki trzeba więc czekać 30 i 40 minut. Wiele do życzenia pozostawia zaplecze kuchenne. Jest ono za małe i niedostatecznie wyposażone w maszyny. Aby rozładować tłok, trzeba wybudować dodatkowe pomieszczenie na bary, bufety i sklepy.

Trochę lepsza sytuacja jest w POZNANIU, gdzie 9 tys. studentów korzysta z 10 stołówek. Co prawda i one są przeciążone, ale nie tak, jak w pozostałych miastach. Przyczyniło się do tego oddanie w tym roku nowej stołówki na 2 tys. miejsc.

I w tym mieście z pomocą stołówkom mogłyby przyjść bufety. Niestety, administracje uczelniane ograniczają się do obietnic, nic jednak nie robią, by bufetów było więcej, a już istniejące rzeczywiście służyły młodzieży.

Warszawa ma najwięcej bufetów, bo aż 16. Ale tak naprawdę to czynne są tylko 4, pozostałe albo ciągle zamknięte, albo spełniają rolę kawiarni. Uczelnie nie chcą zrozumieć, że przy obecnym układzie zajęć (dużo tzw. okienek) koniecznością staje się zapewnienie młodzieży ciepłych posiłków między śniadaniem a obiadem. Ulegając naciskom organizacji młodzieżowych, administracje wyznaczają lokale na bufety, ale na ogół źle zlokalizowane i nie bardzo nadające się na ten cel.

Sporo zastrzeżeń budzą też ceny sprzedawanych w bufetach potraw, oraz ich b. ubogi wybór. Najczęściej bowiem można w nich kupić tylko kanapki z szynką i czarną kawę.

W bufetach w Politechnice Śląskiej w Gliwicach, Politechnice Częstochowskiej i Wyższej Szkole Ekonomicznej wprowadzono eksperymentalnie sprzedaż po zniżonych cenach. Różnice dopłaca administracja z funduszu opłat za domy studenckie. Wiele kłopotu sprawia jednak rozliczenie się ze spółdzielniami, prowadzącymi te bufety.

Jak z reporterskiego zwiadu wynika, bufety i stołówki studenckie we wszystkich uczelniach mają podobne kłopoty. Powinno się więc jak najszybciej przyjść im z pomocą. Szczególnie w zakresie lokalowym, gdyż ciasnota wpływa fatalnie m.in. na ich stan sanitarny, który w większości pomieszczeń stołówek jest sprzeczny z przepisami san.-epid. Nie pomogą w takich wypadkach okresowe remonty.

Druga sprawa do załatwienia to wyposażenie kuchni. Co roku powtarza się te same argumenty: jeżeli personel kuchni nie będzie miał do pomocy urządzeń mechanicznych, to wydajność stołówki będzie minimalna. Kotły parowe, elektryczne patelnie, maszynki do mielenia mięsa, to urządzenia, których ciągle brak, a te, które pracują, dawno powinny iść na złom.

Powtarzają się też co roku kłopoty z personelem. Ponieważ

stołówki pracują przez 9 miesięcy, na taki też okres zatrudnia się pracowników. Kiedy przychodzą wakacje, idą oni na miesięczny urlop, przewidziany ustawą. W pozostałych dwóch miesiącach pracownicy nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. W tym też czasie rozpoczynają najczęściej pracę w innych zakładach. Wiadomo, że dobre kucharki są poszukiwane, większość więc nie wraca do pracy. Sytuacja taka powtarza się każdego roku, każdego też roku przyucza się do zawodu kilkadziesiąt nowych pracownic, które — co z góry wiadomo — odejdą w okresie najbliższych wakacji.

Kłopoty ze studenckim wyżywieniem powtarzają się każdego roku. Co roku też powtarza się, że w przyszłości będzie lepiej. Kiedy to faktycznie nastąpi?

Na podstawie (*ceg*), (*ga*), (*stk*), (*med*), (*k.b.*).

Opr. (*Ig*)

Sztandar Młodych, 7 stycznia 1970

ZDROWIE NA TALERZU

Menu przedszkolaków

W ubiegłym roku pracownicy Dzielnicowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Śródmieściu Warszawy ocenili sposób żywienia w 25 przedszkolach. Ponieważ ocena ta dotyczyła około 50 proc. tego typu placówek w dzielnicy, można przyjąć, że jej wyniki nie są przypadkowe. Otóż żywieniowcy stwierdzili, że żywienie dzieci przedszkolnych nie jest właściwe pod względem ilościowym i jakościowym. Porównanie ilości spożywanych produktów z normą żywieniową, przewidzianą na czas pobytu w przedszkolu, ujawniło bardzo poważne niedobory w niektórych grupach, zwłaszcza w grupie warzyw, owoców i jaj. Niedobór warzyw i owoców wynosił średnio aż 60 proc. Pamiętajmy, że dotyczy to produktów, zawierających niezbędne dla organizmu sole mineralne i witaminy. Ich brak może wywołać szczególnie niekorzystne, nieodwracalne skutki.

Bardzo niepokojące są wyniki badań laboratoryjnych oznaczających kaloryczność posiłków. Badania takie miały miejsce w 10 przedszkolach. Okazuje się, że dziecko otrzymywało podstawowy posiłek o kaloryczności mniejszej prawie o 40 proc. w stosunku do przewidzianej normy. Jest to sygnał alarmujący zwłaszcza, że niedostatki ilościowe idą w parze z niedociągnięciami w doborze jakościowym, strukturalnym. Stwierdzono mianowicie nieodpowiedni zestaw produktów wchodzących w skład śniadań, a często i obiadów. Śniadania są jednostronne z przewagą produktów węglowodanowych i niedoborem białkowym.

Uderza tu znamienna argumentacja osób odpowiedzialnych za żywienie, mająca usprawiedliwiać stwierdzone mankamenty. Otóż nie przywiązują one specjalnej wagi do składu śniadań, gdyż posiłek ten „niektóre dzieci jadają w domu”. Niektóre... Doprawdy, niefrasobliwość niektórych kierowników przedszkoli moż-

na określić mianem niekompetencji. Wydaje się, że odpowiedzialni pracownicy tego pionu powinni jednak mieć podstawowe wiadomości z zakresu prawidłowego żywienia.

Co jada uczeń?

W tej samej dzielnicy oceniono również menu około 50 proc. stołówek szkolnych. Analiza wykazała niedobory mleka i produktów mlecznych, sięgające blisko 40 proc.. Niedostatek warzyw oraz owoców wynosił od 30 do 85 proc. Natomiast zużycie tłuszczu, mięsa i cukru jest na ogół zbyt duże. Wartość kaloryczna posiłków (badana w 7 stołówkach) okazała się niższą od normy o około 25 proc. Dotyczy to 1/4 uczniów, gdyż taka część młodzieży korzysta w tych szkołach z żywienia stołowego. Tylko 9 proc. młodzieży objęto tzw. akcją mleczną. A więc w śródmiejskich szkołach stolicy większość uczniów przebywa przez wiele godzin bez gorącego posiłku i napoju.

Mniej więcej przed rokiem minister naszego resortu udostępnił ministrowi Oświaty i Szkolnictwa Wyższego uwagi Instytutu Żywności i Żywienia w sprawie organizacji posiłków szkolnych. Interesujące są dane zawarte w tym memoriale, zwracającym uwagę na konieczność generalnego uporządkowania omawianych zagadnień. Okazuje się, że w Warszawie wśród 253.553 uczniów zaledwie nieco ponad 24 tys. korzystało ze szklanki mleka. A więc niespełna 10 proc. młodzieży. Podobne odsetki zanotowano w województwach białostockim, kieleckim i olsztyńskim.

Trzeba tu poinformować, że Związek Spółdzielni Mleczarskich we wspomnianym okresie oferował pełne pokrycie zapotrzebowania z tym, że brak mleka butelkowego w pojemnikach ćwierćlitrowych. Nakłada to na szkoły konieczność kupowania produktu w większych opakowaniach. Dodatkową trudność sprawia zły stan sanitarny mleka, które trzeba przegotować przed spożyciem. Szkoły bronią się więc przed kłopotami, a uczniowie nie piją mleka. Wyjście jednak musi się znaleźć, chodzi przecież o produkt o szczególnej wartości odżywczej.

Problem nie sprowadza się zresztą wyłącznie do szklanki białego napoju. Żywienie w szkołach powinno mieć różne formy, pozwalające wyjść na przeciw wielorakim potrzebom. Uczniowi, którego matka prowadzi gospodarstwo w domu, wystarczy gorące mleko, innemu trzeba udostępnić gorące drugie śniadanie lub pełnowartościowy obiad, zwłaszcza wówczas, gdy chodzi o dojeżdżających do szkoły. Wiadomo, że odsetek młodzieży dojeżdżającej jest duży. Dodatkowy wysiłek, obciążenie organizmu związane

z dojazdami, wymaga ekwiwalentu w postaci odpowiedniej racji żywnościowej. Ten typ żywienia w szkole ma rangę równie wysoką, jak posiłki regeneracyjne w przemyśle.

Według danych instytutu, w 7 województwach z różnego typu posiłków szkolnych korzystało: w stolicy — 23, Łodzi — 11, Białostockiem — 10, Katowickiem — 29, Kieleckiem — 10, Olsztyńskiem — 8 i Rzeszowskiet — 4 procent uczniów. Nie są to wielkości imponujące. Czy przyczyn tego stanu rzeczy można dopatrywać się tylko w niedostatkach propagandy, niedocenianiu przez rodziców wagi zagadnienia oraz w zbyt słabym zainteresowaniu władz szkolnych?...

Krystyna SITKOWA

Służba Zdrowia, 19 października 1969

TYDZIEŃ PRZED SZKOLNYM DZWONKIEM

W Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Tekstylno-Odzieżowym w Białymstoku poinformowano nas, że hurt jest zdolny zaopatrzyć detal w odzież szkolną w znacznie lepszym stopniu niż w roku ubiegłym.

— Po rozmowie w hurtowni odwiedziłem kilka białostockich sklepów. W stoisku konfekcji młodzieżowej i dziecięcej w PDT nie ma mundurków i spodni dla dziewcząt od 7 do 14 lat, brakuje ubranek chłopców i tańszych fartuchów dla chłopców 7-10-letnich. Brak też zupełnie skafandrów dla dziewcząt. W dziecięcym stoisku dziewiarskim nie ma dziewczęcych koszulek gimnastycznych i szortów, brak ich też w spółdzielczym domu towarowym, w „Sesamie” i w sklepie sportowym. Lepiej na ogół zaopatrzone są stoiska dziecięce i młodzieżowe PSS. Najwięcej kłopotów mają rodzice pierwszoklasistów. Odzieży małych rozmiarów brak we wszystkich prawie sklepach.

Jakkolwiek więc hurt zapewnia, że w tym roku dysponuje znacznie większą ilością odzieży szkolnej, w detalu nadal coroczne braki, przed sezonem szkolnym. (kam).

Trybuna Ludu, 24 sierpnia 1969

Tegoroczny pierwszy dzwonek, który obwieści wszystkim uczniom początek roku szkolnego, nie będzie niestety sygnałem końca pracy dla budowlanych. Nie wszędzie bowiem remonty szkół zostaną 1 września zakończone. Wysokość kredytów przeznaczonych na remonty była w tym roku na ogół wystarczająca. O opóźnieniach zadecydowały braki materiałów budowlanych, niewystarczająca ilość fachowców, zła organizacja pracy. Nie byłoby tych trudności gdyby prace remontowe prowadziły państwowe przedsiębiorstwa. Sektor państwowy wykonuje jednak mniej niż połowę remontów.

A oto kilka liczb ilustrujących tę nie wesołą sytuację: W woj. olsztyńskim do 1 sierpnia wyremontowano zaledwie 17 budynków na zaplanowanych 149. Na Rzeszowszczyźnie w 75 szkołach prace kontynuowane będą do końca roku. Tylko połowę z zaplanowanej ilości szkół zdołano wyremontować na Dolnym Śląsku.

Wyjście z trudności remontowych znalazły tylko województwa: gdańskie, bydgoskie i poznańskie.

Radio Warszawa I, 29 sierpnia 1969

Przedwczoraj poszło do szkoły ponad 8 milionów 300.000 uczennic i uczniów. Niektóre jednak dzieci zamiast przywitać się z kolegami w pięknych, jasnych, czystych salach szkolnych zastały bałagan, rusztowania, schłapane wapnem podłogi, potłuczone cegły i szyby. Jednym słowem remont trwa.

Remont jeszcze trwa. Trzeba szukać pomieszczeń zastępczych, czekać tygodniami i nieraz miesiącami. Za deprawację młodzieży zawsze sądy karzą bardzo surowo a co się robi z deprawatorami gospodarczymi? Przecież ci ślimaczo remontujący pracownicy przedsiębiorstw budowlanych uczą młodzieży nieterminowej, złej jakościowo roboty, bo, jak pisze prasa, wiele prac remontowych nawet zakończonych przed 1 września jest wykonanych byle jak.

Przewidziany termin — 5 lat — od remontu do remontu — trzeba skracać wydając dodatkowe pieniądze a na szkolenie państwo i bez tego łoży ogromne kwoty. Na wykształcenie jednego absolwenta szkoły podstawowej skarb państwa wydaje, według ocen z roku 1965, 9.000 złotych. Są to tylko wydatki budżetowe. Na wykształcenie maturzysty w liceum ogólnokształcącym w ciągu 4 lat nauki wydaje się 13.300 złotych.

W zasadniczej szkole zawodowej uzupełnionym technikum zawodowym prawie 40.000 złotych.

Radio Warszawa I, 4 września 1969

HIGIENA W SZKOLE

W ubiegłym roku szkolnym służba sanitarno-epidemiologiczna skontrolowała 43.284 zakłady nauczania, to jest ponad 92 proc. ogólnej liczby. Stwierdzono, że uchybienia wobec wymogów sanitarnych występują najczęściej w województwach warszawskim, lubelskim, łódzkim. W ogóle na wsi i w małych miasteczkach. Ale — nie tylko. W szkołach wielkomiejskich, należycie wyposażonych, urządzenia sanitarne są często popsute, nieczynne lub niesprawne. Niski poziom higieny odnotowuje się w niejednej szkole warszawskiej.

Można by oczywiście uzasadnić to ubóstwem resortu oświaty, brakiem środków na budowę nowych urządzeń i remont starych. Byłoby to jednak tylko częściowo prawidłowe. Jest bowiem ważny czynnik, który taką sytuację powoduje. Jest nim brak zainteresowania szkół dla spraw, związanych z higieną...

W jakich warunkach?

Higiena szkolna — to nie tylko problem urządzeń sanitarnych. Jej równie istotnym elementem są warunki pracy w klasie...

Warunki pracy ucznia w klasie są też zależne od ławek czy stołów i krzeseł, od oświetlenia.

Oto wybrane na chybił trafił dane z kilku sprawozdań wojewódzkiej inspekcji sanitarnej: Kraków — spośród półtora tysiąca zbadanych dzieci, tylko co czwarte siedziało w ławce, odpowiedniej do wzrostu. W województwie rzeszowskim sytuacja nie lepsza: spośród 20.154 dzieci — tylko 8.800 siedziało we właściwych ławkach. W olsztyńskim w ławce niedostosowanej

do wzrostu siedziało co trzecie dziecko. W Warszawie, Łodzi, Poznaniu — podobnie.

Skutki siedzenia w ławkach, niedostosowanych do wieku i wzrostu, można zamknąć w dwóch słowach: wady postawy. Przecież w wieku szkolnym najłatwiej nabywa się i utrwała wszelkie wady rozwojowe.

W klasie ciemno

Bardzo szkodliwe dla zdrowia dziecka jest wadliwe oświetlenie klas. Powoduje to wady wzroku, przyprawia o bóle głowy i zmęczenie. W naszej szerokości i długości geograficznej musimy często jesienią i zimą pracować przy sztucznym świetle niemal przez cały dzień. A na drugiej zmianie jest to regułą nawet w dni pogodne. Norma oświetlenia (skromna, czego dowodem jest zamiar jej podwyższenia) wynosi 100 luksów na 1 m kw. powierzchni stanowiska pracy. W wielu szkołach światło bywa o połowę słabsze.

Przyczyny? Wadliwa instalacja elektryczna, słabe żarówki, zbyt wysoko zawieszone lampy, wreszcie — brudne klosze.

Krystyna KOSTRZEWA

Trybuna Ludu, 6 września 1969



Różne przedsiębiorstwa szyjące odzież np. „Polmoda” i „Elegancja” wyprodukowały rozmaite rodzaje mundurków i innych strojów szkolnych. Wpierw stworzono prototypy z różnych tkanin o rozmaitych cenach, w różnych fasonach i zaprezentowano dyrekcjom szkół i komitetom rodzicielskim. Następnie szkoły poczęły składać zamówienia. I oto rzecz osobliwa: wybierają stroje szkolne z drogich tkanin, natomiast nie zamawiają o wiele tańszych ubiorów z tkanin mniej kosztownych. Dzieje się tak pod presją zamożniejszych rodziców, którym skromniej uposażeni wstydzą się sprzeciwić. Producentom konfekcji opłaca się oczywiście sprzedaż strojów z droższych tkanin, ale mimo to, powodowani litością, poczęli przekonywać, że nie jest racjonalne zamawianie drogich ubiorów, bo młodzież rośnie od kilku do kilkunastu centymetrów w ciągu roku i szybciej wyrośnie z ubrań i sukien z setki, niż nadniszczy taką odzież. Cała operacja mundurowania młodzieży tym jeszcze jest niesensowna, że przemysł odzieżowy nie umie zagwarantować trwałych dostaw takich samych strojów. Wobec tego co roku trzeba kupować co innego, a jak się zniszczy spódnica od kostiumu nie można jej dokuścić. Przemysł odzieżowy wyjaśnia, że wynika to z niestabilnych dostaw tkanin. Przemysł znów nie może ustabilizować dostaw, kiedy każda szkoła mundażuje na swój strój. Jedynym z tego galimatiasu wyjściem byłoby centralne ustanowienie mundurów obowiązujących w całej Polsce dany typ szkół. Tylko nie wiadomo po co to czynić? Młodzież chadza głównie w swetrach i mundurowanie jest dla niej utrapieniem.

Życie Gospodarcze Nr 1 z 4 stycznia 1970

SŁODKIE ŻYCIE

Dzisiaj Barbara Jaworska nie ma wątpliwości, że po prostu miała pecha. Słodko brzmiąca nazwa szkoły skusiła ją i bardzo wiele innych dziewcząt. Przeczytały w informatorze: „Warszawskie Technikum Przemysłu Cukierniczego jest unikalną, jedyną tego typu w Polsce, czteroletnią, średnią szkołą techniczną. Na tych, którzy po maturze będą pracowali, czekają fabryki przemysłu cukierniczego w całej Polsce. Ci, którzy dotychczas opuścili szkołę są wysoko cenionymi fachowcami i cieszą się dobrą opinią przełożonych”. Ale to nieprawda, że dziewczęta wiedziały, co je czeka po maturze. Bo dopiero po maturze zaczęła się prawdziwa szkoła — realizmu.

W obu klasach było ich 62. Przez 5 lat (wg starego programu) poznawały teorię i praktykę cukiernictwa; w ciągu wielu godzin uczyły się technologii, materiałoznawstwa, zaznajomiły z budową i obsługą maszyn, robiły doświadczenia z analizy, zgłębiały chemię, opanowały rysunek techniczny. W ciągu ostatnich 3 lat przez jeden dzień w tygodniu zdobywały praktykę na zajęciach warsztatowych w Zakładach Przemysłu Cukierniczego „22 Lipca”, czyli u „Wedla”. Każda z nich robiła pracę maturalną ściśle związaną z przemysłem cukierniczym. Wszystkie wiedziały, że uczą się po to, by pracować w cukiernictwie. Uzyskały w końcu dyplom dojrzałości i „kwalifikacje technika technologa cukiernictwa”. Teraz, zgodnie z prawem i logiką, powinny odbywać roczny staż w przemyśle, by po nim — wykonywać pracę związaną z tym, czego się w szkole nauczyły.

Tymczasem do radia przychodzi list: „Droga Falo! W tym roku ukończyłam Technikum Przemysłu Cukierniczego i chciałam rozpocząć pracę, ale do żadnego zakładu pracy nie mogę się dostać. Rodzice moi zarabiają niewiele, a ja nie mogę im pomóc. Po co uczono mnie tyle lat? Po co wkładano do głowy masę przeróżnych wiadomości? Aby spędzić całe dnie w domu nie musiałam chodzić 5 lat do szkoły średniej (...) W Urzędzie Zatrudnienia każą mi czekać. Ale dokąd? Na co czekać?”

ZBIERAM OPINIE. W szkole przy ulicy Majdańskiej przyjmuje mnie dyrektor, mgr Henryka Kinecka, jak wszyscy w tych progach, w białym fartuchu:

— „Kształcimy techników dla całego kraju. Od ubiegłego roku szkoła ma internat na 180 miejsc, w małej części wykorzystany przez naszych uczniów. Od lat Kuratorium nie pozwalało nam przyjmować więcej niż 5-10 osób spoza Warszawy i województwa, mimo że zapotrzebowanie na średnią kadrę techniczną w kraju jest duże. Ostatnio wystąpiliśmy do Kuratorium z prośbą o wyrażenie zgody na utworzenie jednej klasy wyłącznie dla terenu. Obecnie szkoła służy praktycznie tylko okręgowi warszawskiemu. A ten z kolei ma trudności z zatrudnieniem tylu absolwentów. Wg mojego rozeznania około 30 proc. absolwentów nie pracuje w swoim zawodzie...”

Do 1957 r. szkoła podlegała resortowi przemysłu spożywczego. Potem przejęło ją Ministerstwo Oświaty, bezpośrednim zaś opiekunem stało się Kuratorium Okręgu Szkolnego m. st. Warszawy. Technikum od 3 lat mieści się w nowym, ładnym budynku, jest bardzo dobrze wyposażone w pomoce naukowe i warsztaty, ma internat. Opiekun jest więc dobry, ale nie bezinteresowny. Kuratorium stołeczne dba o interesy młodzieży ze stolicy, to jasne. Kiedy u bram zjawił się wyż demograficzny — wszystkie szkoły w Warszawie musiały znacznie powiększyć liczbę nowo przyjętych uczniów. W tej rozsądnej praktyce zapomniano wszelako, że Technikum Przemysłu Cukierniczego jest szkołą unikalną i dlatego musi nie tylko kształcić młodzież dla całego kraju, ale również przyjmować kandydatów z całego kraju.

Przez parę lat, kiedy wyż siedział w ławkach, był spokój. Ale oto w czerwcu 1969 r. przemysł cukierniczy stanął nagle przed potrzebą zatrudnienia 62 par młodych rąk.

Warszawa zatrudniła kilkanaście osób, województwo — cztery. Na tyle zgłosiły zapotrzebowanie Zakłady w Milanówku (podległe dyrekcji „wedlowskiej”) i Spółdzielnia Cukiernicza w Grójcu. W innych miejscowościach woj. warszawskiego nie produkuje się cukierków. Z górą trzydziestka maturzystów, mieszkańców stolicy i województwa warszawskiego stanęła przed trudnym wyborem.

Szkoła pośredniczyła w przyjmowaniu podań chętnych do pracy u „Wedla”. Podań ubierało się 30, miejsc było dziesięć. Zjednoczenie Przemysłu Cukierniczego, któremu losy absolwentów TPC zaczęły być bliskie od roku 1961, pomogło trochę w trudnej sytuacji. Mówi naczelnik Tadeusz Wieczorek, jednoosobowe ciało do spraw prawidłowego zatrudnienia kadr w resorcie:

— 5 lat temu, gdy w Technikum tworzone drugą klasę dla

młodzieży warszawskiej, nikt nas nie pytał, czy Zjednoczenie będzie w stanie wszystkich zatrudnić. A teraz ja za to mam się z pyszna — lawina podań, wizyt, dzwonią członkowie FJN, prezesi, wysocy urzędnicy — „towarzyszu, znajdźcie w Warszawie pracę dla Iksińskiej”. Posądzają mnie nawet o stronnictwo. W tym roku jest wyjątkowo ciężko.

Na Warszawie nie kończy się świat cukierników. Informował „Informator”: „Na tych, którzy po maturze będą pracowali, czekają fabryki przemysłu cukierniczego w całej Polsce...” Informuje Zjednoczenie: potrzeba nam rocznie 30 adeptów sztuki cukierniczej. Dziewczęta zapytają: dokąd mamy jechać?

Oferta Wytwórni Wyrobów Cukierniczych „Miś” w Obornikach Śląskich koło Wrocławia: „Reflektanci winni posiadać następujące walory osobiste: samodzielność, zdolność organizatorską, poczucie odpowiedzialności za powierzoną pracę, zdyscyplinowanie — tak, by w przyszłości po stażu można im powierzyć stanowiska mistrzów zmianowych (pracownik umysłowy). Warunki pracy — w okresie stażu zgodnie z taryfikatorem 1100-1200 zł...” Stażystów zakład kwateruje w pokoju gościnnym na terenie zakładu. Po stażu istnieje możliwość otrzymania mieszkania spółdzielczego na terenie Oborników Śl., a zakład da pożyczkę (...) Miasto jest położone 21 km od Wrocławia, jest dobra komunikacja: „Oborniki liczą 7 tys. mieszkańców, jest to miejscowość sanatoryjno-turystyczna, wokół są lasy, parki, basen, kino, kawiarnia. Istnieje też możliwość wykupienia bonów obiadowych w miejscowych restauracjach...” Przedsiębiorstwo chciało dwóch chłopców, a na oferty czekały dziewczęta. Przedsiębiorstwo, ustąpiło, ale dziewczęta zrezygnowały. Powiedziały szczerze: zaważyły sprawę. Oferta Wadowickich Zakładów Spożywczych: „Istnieje możliwość wynajęcia mieszkania. Koszty wynajęcia wynoszą 250-500 zł. Kosztów zakwaterowania przedsiębiorstwo nie zwraca”.

„Społem” Zakład Wytwórczy w Gliwicach: „Zakłady nie mają żadnych możliwości uzyskania mieszkania, względnie zakwaterowania, jak również nie dysponują żadnym funduszem na ewentualne dopłaty za wynajęte mieszkanie”.

Spółdzielnia Inwalidów w Jasle: „Jeżeli chodzi o mieszkanie, to nie zapewniamy ze względu na trudności na terenie miasta”.

WZGS „Samopomoc Chłopska” w Giżycku: „Możliwości zakwaterowania, bądź uzyskania mieszkania: mieszkania służbowego zakład nie posiada, pomoże w znalezieniu zakwaterowania prywatnie”.

Zakład „Społem” w Stargardzie Szczecińskim: — „Nie gwarantujemy mieszkania. W okresie stażu zakład jest skłonny udzielić pomocy finansowej w pokrywaniu kosztów”.

Z treści ofert wynika, że ich nadawcy potrzebują absolwentów przede wszystkim dlatego, że trzeba było dać odpowiedź (nie później niż po upływie trzech miesięcy) na pismo ze Zjednoczenia. Wzięły się te oferty bardziej z obowiązku odpisywania na listy niż z potrzeby planowania zatrudnienia.

Nie zmienia to faktu, że oferty w ogóle były, że znalazło się w branży kilka wolnych miejsc. Dlaczego dziewczęta nie pojechały w Polskę?

Mówią wychowawcy i opiekunowie: „Za naszych czasów czuło się romantyzm pracy, były nakazy po studiach, trzeba było jechać gdzie kazali”. Mówi absolwentka: — „Przez rok stażu moje zarobki nie przekroczą 1100-1200 zł miesięcznie. Za tę sumę musiałabym nie tylko wyżyć, lecz także zapłacić za mieszkanie, z tej sumy musiałabym wziąć pieniądze na ubranie, na przejazdy, kino i kawę, na książki i gazety, na fryzjera, nie mówiąc już o innych, bardziej wyszukanych sposobach spędzania wolnego czasu. Czy mi wystarczy?” Mówią dziewczęta z Warszawy i mieszkanki miejscowości podstołecznych: „Dlaczego mamy ponosić konsekwencje czyjejś pomyłki? Dlaczego mamy raptem, bez żadnego uprzedzenia, opuszczać rodzinę, dom i startować od zera?”

Tak mówią. A co robią?

Rozmawiam z siedmioma z klasy piątej „b”. Mówi autorka listu do radia, Barbara Jaworska, mieszkanka Kobylki pod Warszawą:

— „Już w IV klasie wiedziałam, że będą kłopoty z zatrudnieniem, ale nie przypuszczałam, że aż takie. Zaraz po maturze złożyłam w szkole podanie o pracę u „Wedla”. Ale w tym roku przyjęto tam tylko 10 osób wyłącznie z Warszawy. Kilkakrotnie dzwoniłam i byłam z koleżankami u pana Wieczorka. W końcu (sierpień) dał nam skierowanie do „Wedla” ale dyrektor Karbowniczek nie przyjął nas. W Spółdzielni Pracy „Rozwój” w Rembertowie, której polecił nas dyrektor Karbowniczek, chcieli nas przyjąć pod warunkiem, że wydział zatrudnienia wyda nam skierowania do pracy, bo nie jesteśmy mieszkankami Warszawy”.

W Wydziale Zatrudnienia Stołecznej Rady Narodowej na ul. Karowej (Rembertów administracyjnie podlega tej właśnie Radzie) jest kolejka do pracy w cukiernictwie. Prawo do pracy bez kolejki, czyli pierwszeństwo mają warszawianki. Wydział Zatrudnienia Powiatowej Rady Narodowej w Wołominie (tej radzie podlega Kobylka) nie wyda skierowania do pracy w Spółdzielni dopóty, dopóki potentki nie przyniosą zaświadczenia ze Spółdzielni, w której chcą pracować. A Spółdzielnia przyjmie, jeśli petentki przyniosą skierowanie z Wołomina. Kółeczko jest szczelnie zamknięte.

Koleżanki zrezygnowały. Barbara się uparła. Nachodziła pośredniak w Wołominie. W powiecie nie było mowy o otrzymaniu pracy w zawodzie. Były natomiast rady. „Może pani zostać sprzedawczynią w sklepie spożywczym w Warszawie”. „A najlepiej, gdyby pani wyszła za mąż i nie musiała pracować”. Jaworska z żadnej z tych propozycji nie skorzystała. Pod koniec roku postanowiła podjąć jakąkolwiek pracę, byle nie siedzieć w domu, nie obijać się. Pisze list. Nie wierzy w jakikolwiek jego skutek... Dotąd nigdzie nie pracuje. Pod koniec roku nie przyjmie jej do pracy żadna instytucja. Barbara musi poczekać do 1 stycznia.

Mówi Maria Grabowska, mieszkanka Turowa pod Wołominem, która zrezygnowała wcześniej: „W październiku musiałam zacząć pracę. Schowałam dumę do kieszeni i raz jeszcze udałam się do Urzędu w Wołominie. Dostałam skierowanie do Głównego Urzędu Telekomunikacji Międzymiastowej w Warszawie. W kadrach długo i cierpliwie musiałam tłumaczyć dlaczego ja, absolwentka Technikum Przemysłu Cukierniczego, z konkretnym zawodem, chcę pracować jako telefonistka”.

Przyjęli ją. Nie miała zielonego pojęcia o co w centrali chodzi. Po paru dniach otrząsała się, przyjęła pierwsze zgłoszenie. Była już kilka razy „na łączeniach”. Od 1 grudnia chodzi na kurs, po jego ukończeniu ma zamiar uczyć się francuskiego, by potem przejść na centralę międzynarodową. Tam jest lepiej.

Mówi Irena Skicińska: „Przez 3 lata podobała mi się i szkoła i przyszyły zawód. Potem coraz częściej słyszałam o trudnościach ze znalezieniem pracy po szkole. Myślałam o wyjeździe do Szczecina, tam się urodziłam, ale skąd wziąć mieszkanie? Po maturze zdawałam na SGGW, na ogrodnictwo. Jeszcze przed egzaminem złożyłam papiery do „Wedla”. Było takie niepisane prawo, że absolwentki, które nie dostały się na studia, będą miały pierwszeństwo w otrzymaniu pracy. Ten, kto to wymyślił, sądził, że tylko najlepsze uczennice idą na studia. Mnie nie przyjęto — ani na studia, ani do „Wedla”.

Zaproponowano jej pracę w Grójcu (bez mieszkania), ale ona, mieszkanka Warszawy, nie chciała. Do września czekała z obietnicą, że jeżeli zrezygnuje ktoś po Zasadniczej Szkole Cukierniczej z pracy w fabryce, to ją przyjmą. Zaczęła starania na własną rękę. Nic z tego nie wyszło. Od 20 września Irena pracuje w Międzynarodowym Klubie Prasy i Książki przy „Juniorze”. „Siedzę na stołku, sprzedaję pocztówki i przyjmuję pieniądze; ciągle nowi ludzie, nowe twarze, nawet jest ciekawie... Chciałabym jednak zrobić staż w cukiernictwie”.

Mówi Alicja Sabala, mieszkanka Kobyłki, dziewczyna niezwykle energiczna: „Panów urzędników z Wydziału Zatrudnienia

w Wołominie zaskoczyłam obfitą wymową i argumentacją, tak, że w końcu wydębiłam to, co chciałam — zaświadczenie, że na terenie powiatu nie otrzymam pracy zgodnej z wyuczonym zawodem. A papierek taki to rzecz bardzo cenna...”

Pojechała na Karowę. Zaproponowano jej pracę piekarza na 3 zmiany. Nie przyjęła. Zaczęła szukać sama. Od końca sierpnia pracuje w Przedsiębiorstwie Barów Szybkiej Obsługi, a konkretnie w „Grubej Kaście” w Warszawie jako „blokierka na dziale cukierniczym”. Obowiązki Alicji polegają na: załadowaniu rano i wysłaniu z odpowiednimi dowodami ciastek wypieczonych w barowej cukierni, obsłudze w ciągu dnia klientów oraz robieniu raportu i podliczaniu wieczorem. Ma do czynienia, nie za wiele co prawda, ale jednak z produkcją, wypiekiem ciastek. Na koniec zacytowała mi z pamięci zdanie ze szkolnego „Informatora”: „Wbrew utartym przekonaniom w Technikum Przemysłu Cukierniczego kierunek: technologia cukiernictwa, uczeń nie zdobywa wiedzy z zakresu wypieku ciastek i tortów, a poznaje produkcję przemysłową czekolady, karmelków i pieczywa suchego (pierniki, herbatniki, suchary)”.

Sama próbowała dać sobie radę również Zofia Mielniczyn — zaczęła pracować w spółdzielczym Laboratorium Grzybni Pieczarek jako najemny pracownik fizyczny. Stażu jej nie zaliczono. Po 2,5 miesiącach zrezygnowała. Nadal szuka pracy. Od nowego roku ma obiecaną pracę w Zjednoczeniu Przemysłu Cukierniczego w dziale technologicznym — przy laboratoryjnym badaniu buraków cukrowych i cukru.

Maria Ciechaniec, mimo że nie jest mieszkanką Warszawy, pracuje w Spółdzielczych Zakładach Mleczarskich na Mokotowie: „Latem robimy lody „Bambino”, zimą — krówki.

Krówki dlatego, żeby załogę potrzebną przede wszystkim na sezon letni, utrzymać przez cały rok”.

Pracuje wraz z koleżanką — kroją i zawijają krówki. Marysia dziennie zawija 60 kilo. Cieszą się obie z tego, że pracują w bardzo zbliżonym zawodzie, otoczone troskliwą opieką kierownictwa. Mają zapewnione stanowisko po stażu. Tymczasem od kierownika działu otrzymały propozycję „wymyślenia nowego asortymentu krówek”.

„Ja jestem wyjątkową szczęściarą — mówi o sobie Alicja Izydorczyk. — Pracę maturalną miałam bardzo trudną, ale ciekawą: Zaprojektować dział produkcji karmelków lub czekolady. Namęczyłam się, ale mam satysfakcję. Nie byłam najlepszą uczennicą, a mimo to miałam odwagę złożyć podanie o pracę u „Wedla”. Nie liczyłam na nią, sądziłam, że wyjadę z Warszawy. A tu — niespodzianka — „Wedel” mnie przyjął. Pracuję od 1 sierpnia.

Na produkcji jeszcze nie byłam, ale wg harmonogramu stażowego — wszystko jest w porządku, niebawem tam przejdę. Najważniejsze, że pracuję w zawodzie”.

Co robią ich koleżanki? Pracują jako magazynierki w barach szybkiej obsługi, wydają posiłki w tych barach, jako ekspedientki w stoiskach cukierniczych w „Delikatesach”, kelnerki w kawiarniach, przy badaniu mąki w zakładach młynarskich, jako pomoc cukiernika w ciastkarni hotelu „Bristol”, na poczcie. Kilka nie pracuje wcale.

Wszystkie chciały pracować w zawodzie, nie — jako referentki w biurze, ale przy produkcji — jako majstrowe, brygadistki, kierowniczkę zmian w dalszej przyszłości, technologowie. Z racji wykształcenia przede wszystkim na takich stanowiskach winny pracować po pewnym okresie praktyki. Albo przy maszynach, które do swej obsługi wymagają wiadomości na poziomie technikum.

Kuratorium wyraziło ostatnio zgodę na utworzenie od nowego roku szkolnego jednej klasy I wyłącznie dla młodzieży spoza Warszawy i województwa warszawskiego pod warunkiem, że rekrutację przeprowadzi Zjednoczenie Przemysłu Cukierniczego. Najlepszym wyjściem z sytuacji byłoby przyjmowanie bardzo niewielu uczniów z Warszawy i województwa. Miejscowy rynek pracy w tej branży jest w zupełności nasycony. Ale dopóki Technikum będzie szkołą Ministerstwa Oświaty, a nie Ministerstwa Przemysłu Spożywczego — jest to niemożliwe. Przecież stołeczne Kuratorium nie będzie kształcić ludzi, którzy potem pojadą w Polskę...

Spośród 62 tegorocznych absolwentów 32 (słownie: trzydzieści dwie) osoby nie pracują w wyuczonym zawodzie. Koszt wykształcenia jednego absolwenta wynosi około 30 tysięcy złotych.

Ktoś powinien wreszcie połknąć tę najbardziej gorzką pigułkę w najśłodszy przemysł.

Jolanta ŁOPUSZYŃSKA

Walka Młodych Nr 1 z 4 stycznia 1970

ZATRUDNIENIE ABSOLWENTÓW

Spośród 330 tys. absolwentów różnych typów szkół, którzy ukończyli je w br., ok. 15 tys. pozostało jeszcze we wrześniu zarejestrowanych w urzędach zatrudnienia w oczekiwaniu na pracę. Ponad połowa z absolwentów oczekujących na pracę to absolwenci liceów ogólnokształcących.

Okazuje się jednak, że i kilka tysięcy absolwentów szkół zawodowych nie mogło znaleźć pracy, chociaż liczba wolnych miejsc pracy w sierpniu br. przekroczyła 140 tys. Oznacza to, że struktura szkolenia zawodowego młodzieży nadal nie jest w pełni dostosowana do potrzeb gospodarki. (Sb).

Życie Gospodarcze z 12 października 1969

Rozdział Szósty

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

PO CO NAM TO BYŁO?

W okresie kanikuły zapanował klimat refleksji: „I po co nam to było?”. Zadając to pytanie różni ludzie mają na myśli rozmaite rzeczy: rzeźby na dachach stołecznego MDM-u, lipcowy urlop nad morzem, magnetofon „Grundig”, wycieczkę do Domu Towarowego „Junior”, po której dzieci stare ubranka mają w strzępach, choć nowych nie udało się nabyć. Marudząc: „Po co nam to było” ludzie miewają też na myśli wypity onegdaj litr wódki, ze starszych przeżyć błędy i wypaczenia, ja zaś, wyrodek, mawiam tak o odbudowie warszawskiej Starówki.

Należę do schyłkowego pokolenia, które jeszcze pamięta jak ją nowiutką otwierano. Bardzo od tego czasu wypiękniała. Dzięki zaciekom, grzybowi, fetorom, spēkaniu ścian i liszajom tynków nabrała prawie autentyczności. Jeśli chodzę dziś po Starówce mrucząc „po co nam to było?” to dlatego, że bilansuję koszty i efekty. Ileż można byłoby wystawić mieszkań krojąc w poprzek każdy mur! Starówka jest prawdziwym zabytkiem, pomnikiem kultury materialnej czasów, kiedy koszty nie grały jeszcze takiej roli, a cegły kładło się na płask zamiast na sztorc i nie nadmuchiwało wewnątrz powietrzem.

Starówka dodaje nam oczywiście splendoru, szczególnie kiedy pokazuje się ją wycieczkom z Ameryki. Jadą one do nas przez Włochy, Francję, gdzie pokazywano im setki prawdziwie starych miast, tym nie imponujących, że już dawno zamortyzowanych. I oto nagle sztuczne stare miasto — zupełnie jak w Ameryce! Dopiero coś takiego świadczy o bogactwie i kulturze kraju.

Nie samo istnienie nowej, drogiej Starówki zachłystuje wszakże Amerykanów. Przekonałem się o tym towarzysząc kilku takim na spacerze po Starym Mieście. Chodzili z kamiennymi twarzami, jak przystało na obywateli kraju, który kupił sobie i przewiózł za ocean kilka ładnych średniowiecznych zamków i katedr, a ostat-

nio wysłał ludzi na Księżyc. Goście zachowywali więc spokój na widok murów i fosy, Rynku i katedry aż nagle ulegli fascynacji zobaczywszy coś co nie podnieciłoby nawet uczestników wycieczki z Biłgoraja. Chodziło o sklep z napisem „MHD Pasmanteria”. Wewnątrz było kilkadziesiąt guzików, jakieś tasiemki, sprzączki, podwiązki i brązowe sznurowadła, bo czarnych właśnie brakowało. „Niesłychane!” — krzyczeli Amerykanie. „Trzymetrowej grubości mur”. „Ręcznie robione okucia drzwi!”, „Kandelabr z brązu!”, „Dębowa boazeria!” — przerzucali się spostrzeżeniami. „Ileż u was musi się zarabiać na handlu guzikami, jeśli taki sklepik stać na taki lokal!”.

Szliśmy Starówką dalej. Pod gotyckimi sklepieniami szewc świadczył usługi dla ludności. W cieniu misternych belkowań stropu stały rzędem zakurzone telewizory czekające na swoją kolej do reparacji. Wspinaliśmy się na palce, żeby przez parterowe okno obejrzeć wnętrze komnaty z dwoma wczesnorenesansowymi wykuszami okiennymi. Zastłaniały nam jednak widok tabliczki z napisami: „Rękawiczki” i „Podnoszenie oczek”. Na uliczce wiodącej do Barbakanu mogliśmy sobie łącznie wyobrazić co najmniej dwie nastrojowe kawiarenki, których nie ma. W jednym ze stworzonych jakby do tego celu, urokliwych lokalików urzęduje pan, który wykupuje szklanki i kieliszki wytwarzane przez huty szkła, ale trudno osiągalne w sklepach, szpeci je jakimiś narznięciami, a ozdobiwszy tak kwiatkami i syrenkami sprzedaje odpowiednio drożej. W drugim rezydował sklep spożywczy: makaron trój-jajeczny i „Wino, Wino”. Najpiękniejsze partery zajęte są przez biura zarządów różnych spółdzielni.

Stare Miasto jest najbardziej urocze od strony Wisły, ku której spada płatanina nieregularnych uliczek, tarasów, ogrodów i domów zawieszonych na skarpie. Tu, gdzie wdziek Starego Miasta spotęgowany jest o rozległe widoki na rzekę i zieleni jej niezabudowanego lewego brzegu jest pustynia: ani sklepów, ani kawiarni, ani knajpek, kafejek, barów, winiarni.

Potem wyszliśmy z Amerykanami ze Starego Miasta a ich podziw wzmógł się jeszcze bardziej. Z trzech stron jest ono okolonie magnackimi pałacami z XVII lub, najczęściej XVIII wieku, a każdy mieści jakiś urząd. „Pałac dydakcji cyrków”, „Pałac wydawnictw medycznych”, „Pałac biura eksportującego cukrownie”, „Pałac szkoły dokształcającej rzemieślników” — informowałem z dumą gości. Amerykanie wykrzykiwali „Ach!” po angielsku i twierdzili, że ich poglądy na świat wywrócone zostały na nice. Oszukano ich — twierdzili, wmawiając, że Stany Zjednoczone są najbogatszym krajem świata. Ich nie stać by było na coś takiego. Najbogatsza jest Polska, tylko się maskuje, żeby nie czuć się zobo-

wiązana do wysyłki swoich ludzi na Księżyc i wystawia Amerykę do kosmicznego wiatru.

Od wiosny do późnej jesieni o mury Starego Miasta obija się tłum spacerowiczów dlatego tak wielki, że nie mogący w te mury wsiąknąć. Mało który uczestnik peregrynujących tu wycieczek ze świata i z prowincji ma guzik do kupienia, telewizor do zreperowania, czy jakąś sprawę do załatwienia w biurze zarządu spółdzielni. Na Starym Mieście, które jest przecie dzielnicą Warszawy, a kiedyś było Warszawą całą, są dwie kawiarnie plus jedna prywatna, gdzie wszystkie stoliki zawsze są w połowie zajęte przez lepszych gości, a w połowie zarezerwowane dla jeszcze lepszych, o wiele lepszych, niż w ogóle w Warszawie mieszkają lub bywają. Jest jedna winiarnia i są dwie restauracje. Wieczorem otwarte pozostają tylko dwa lokale. Za wstęp do jednego trzeba zapłacić 100 zł, za wstęp do drugiego można zapłacić życiem.

Nie ma tu natomiast ani jednej kawiarni dla zwykłych ludzi otwartej po dziesiątej, ani jednego ogródka z widokiem na Wisłę, ani jednego przytulnego miejsca do potańczenia przy adapterze, ani jednego baru, gdzie można posiedzieć, coś wypić, zjeść parówkę, lub kanapkę.

Ludzie, którzy projektują Warszawę, co kilka lat budują coś mającego być tym dla miasta, czym jest living room (dawniej salon) dla mieszkania. Tak pomyślany był Mariensztat, MDM, Stare Miasto, Ściana Wschodnia. W roli tej dzielnicę przyjmuje się, albo nie, a jeśli tak, to na stałe lub przejściowo. Wiadomo dziś, że jako salon zaakceptowane zostało trwale Stare Miasto — najkosztowniejsza z nowych dzielnic i najbardziej udana. Jest to wszakże salon od 15 lat nieurządzony.

Stare Miasto wraz z Powiślem od Mostowej do Tamki powinno stanowić centrum rozrywkowe Warszawy i nie musi pełnić żadnych poza tym funkcji. Zdrowy rozsądek wskazuje, że skłonność tubylców i turystów do Starego Miasta powinna zostać odwzajemniona. Poza zdrowym rozsądkiem przemawia za tym kalkulacja pieniężna. Na Ścianie Wschodniej dokopywano się niemal jądra ziemi, żeby urządzić winiarnię-piwnicę. Na Starym Mieście stoją całe kilometry piwnic o sklepieniach jeszcze cudowniejszych, niż czoła stołecznych urbanistów. Na rogu Tamki i Kopernika zbudowano teraz specjalny gmach o wystroju zajezdni tramwajowej, gdzie urządzi się nocny lokal, czyli wielką nieprzytulną, kosztowną halę fabryczną, gdzie znowu za 100 złotych od pyska będzie można się czuć właśnie tak, jak w źle wentylowanej i hałaśliwej hali produkcyjnej. Gdy powstać ma nowa restauracja, kawiarnia, bar kawowy, czy wódczany — a zdarza się to rzadko — asygnuje się miliony i buduje „nowoczesne pawilony”, jeden

taki sam jak drugi, a każdy identyczny z tym, co istnieje w przesyce na całym świecie. Tymczasem wszystko jest już zbudowane, istnieje już nawet mikroklimat dzielnicy rozrywkowej.

W sklepach z pasmanterią i makaronem sklepowe skarżą się, że ciągnie wilgocią od murów, że im ciemno i nudno. Lokatorzy domów na Starym Mieście marudzą na brak zieleni, grube mury, brak słońca, nienowoczesny układ i wystrój mieszkań. A kiedy mówi się o tym, że Warszawie brakuje hoteli, ma się w marzeniach budowę jeszcze jednej bezdusznej maszyny noclegowej, identycznej z wszystkim co wystawiają w świecie, tylko odpowiednio marniej wykończonej. Tymczasem o ileż taniej byłoby zbudować dla lokatorów Starego Miasta nowoczesne domy, a w zabytkowych kamieniczkach urządzić małe przytulne hoteliki z klimatem, z duszą — chociaż również z łazienką.

Jedyne co skutkiem takiego felietonu może się zdarzyć to to, że „wywiąże się dyskusja”. W jej toku zapewne padną projekty, żeby np. ministerstwa przenieść z okolic Kruczej i Placu Trzech Krzyży na Stare Miasto, a w dawnych salach konferencyjnych urządzić lokale, w których oczywiście artystki obnażać będą tylko duszę. Przewidując to, obiecuję odczepić się na przyszłość od Starego Miasta, a pytania w rodzaju: „Po co nam to było?” odnosić do swojej, a nie cudzej pracy.

KLAKSON

Życie Gospodarcze, 24 czerwca 1969

GDZIE TWOJE SZCZĘŚCIE?

Gdzież postradałeś Zamościu swe szczęście, czterystoletnie bez mała, które towarzyszyło ci wiernie od chwili, gdy na rozkaz hetmana znakomity padewczyk Bernardo Morando kreślił twój plan i narzucał architektoniczną wizję budowlom, bramom, bas-
tejom, kamieniczkom? Krążę twymi smutnymi uliczkami, spoglądam na prześwieatne tynki pokryte dziś liszajami, na odpadające sztukaterie, na żałośnie zwisające rynny, którymi nie płynie już woda, potykam się na koślawym bruku. Deszcz spływa po ścianach, wsiąka w mury. Tchnie z bram wilgocią, wiatr strąca dachówki, a w podcieniach sypie się zmurszała cegła. A przecież raptem trzy lata temu w konkursie-plebiscycie „Światowida” pn. „7 pereł architektury polskiej” zająłeś 6 miejsce, wyprzedzając nawet warszawską Starówkę.

Rok bez mała minął, gdy przy okrągłym stole zebrali się ludzie dobrej woli, wśród nich wielu działaczy PTTK, którzy rzucili hasło: „Zamość”. Miało ono zmobilizować społeczny wysiłek przy-
jaciół tego renesansowego miasta, który by dopomógł w rekonstrukcji staromiejskiego zespołu mocno nadszarpniętego zębem czasu. Przed sześciu laty podjęto bowiem w Zamościu równie ambitny, jak przekraczający lokalne możliwości plan, przywrócenia świetności dziełu Morandy, zniekształconemu wielce przez kilkakrotne późniejsze przebudowy i niedokładnie przeprowadzane konserwacje elewacji. Umyślono wówczas zrobić z Zamościa miasto stylowych kamieniczek o nowoczesnych wnętrzach, funkcjonalnych mieszkaniach z kanalizacją, centralnym ogrzewaniem, gazem, elektrycznością, ale modrzewiowymi stropami, stylowymi sklepami, restauracjami kawiarniami o współczesnych zaplecach. Jednym słowem; miał się staromiejski zespół stać unikalną renesansową perłą w świetnej oprawie, zmodernizowanym ośrodkiem

mieszkalnym dla 2,5 tys. ludzi a zarazem centrum turystycznym dla kilkuset tysięcy.

Plan zaiste wielki. A do jego realności miało miasto jedyne przedsiębiorstwo — MPRB, powołane wszak do wykonywania drobnych remontów lub budowania nowych domów. Ale nie rekonstruowania budowli zabytkowych, w których co krok robotnik i inżynier staje przed pracami trudnymi, specjalistycznymi, czasochłonnymi. A przecież i moc przerobowa tego przedsiębiorstwa, w stosunku do zadań, była i jest minimalna. Niemniej, zdając sobie sprawę z poważnego kłopotu branego na głowę, prace podjęto. I trudno się nawet dziwić, że remonty (czytaj: budowa) kilku kamieniczek we wschodniej części Starego Miasta ciągnęły się w nieskończoność. Tym bardziej, że mimo nieukończenia jednego zespołu zabierano się już do następnego. Efekt — rozbabbrane przez całe lata czworoboki kamienic, brak konsekwencji w odbudowie.

Trzy lata temu przybył do Zamościa nowy partner — Pracownie Konserwacji Zabytków, podejmując roboty przy ratuszu i synagodze. Wydawało się mieszkańcom, że teraz prace ruszą szybciej. Ale to były złudzenia. Świadczą o tym dobitnie liczby. Na renowację wydano w ciągu 5 lat 40 mln zł. Gdyby roboty szły zgodnie z założonymi na wstępie planami, należałoby przerabiać w rok 30 mln zł. Same PKZ, dziś wykonujące rocznie prace za 6 mln zł, powinny przerabiać 10 milionów złotych. Tak więc — jak to skrupulatnie wyliczono — przy aktualnym tempie robót dotrzymanie terminu pełnej rekonstrukcji miasta na 400-lecie, do 1980 r. jest zagrożone.

Sprawa wykonawstwa urosła w Zamościu do problemu numer 1. I mimo że zarówno ojcowie miasta jak władze wojewódzkie doskonale wiedziały przez 6 lat, iż jedno MPRB i wspomagająca je od pewnego czasu w pracach specjalistycznych mała grupa PKZ nie podołają gigantycznemu zadaniu — nic nie uczyniono, by przyjść miastu na ratunek. Niewiele też, mimo najlepszych chęci przyjaciół Zamościa, dopomogło do tej pory hasło „Zamość”. Nie sięgnęły bowiem po nie miejscowe władze. A nie sięgnęły dlatego, że po prostu nie było tu koncepcji przywrócenia blasku Zamościowi.

Świeże, niepokalanie czyste tynki ratusza mają być — jak twierdzą zamojszczanie — widomym znakiem wielkiej troski miejskich władz o gród. W odczuciu mieszkańców jest coś przeciwnego, co złości, rozczarowuje. Ta świeżość elewacji, te wnętrza zdobione marmurami, rzeźbionymi drzwiami, kunsztownie kutymi kandelabrami i kinkietami — wywołują uśmiech zażenowania. Tym bardziej, że blichtr przyćmiewa już odpadający tu

i ówddie tynk, pogniecione rynny pluszczące deszczem na barwne malatury. Do takich widoków zamojszczenie już się przyzwyczaili. Ale — powiadają na Solnym Rynku — dobrze im tak! Niech tam w ratuszu nie myślą, że jednym, czy dwoma budynkami, można przysłonić ludziom widok na rudery.

Podkarpie — wielki czworobok — buduje się już trzeci rok. Ze dwie kamieniczki nawet wykończono i wprowadzili się tam dawni i nowi lokatorzy. W pozostałych grupka robotników usiłuje poradzić sobie z wielokrotnie przewyższającymi ich możliwości robotami. Gwizdże więc po pokojach wiatr, wywala wprowadzone latem futryny. A przechodnie zachodzą do sal przyszłej restauracji o pięknie sklepionych stropach, uważając je za najdogodniejsze w okolicy wc.

W sąsiedztwie przy ulicy Lenina, Staszica, Greckiej, Ormiańskiej, w nie tak dawno wyremontowanych kamieniczkach sypią się tynki, urywają klamki, wypaczają futryny i drzwi. Podwórza, które w wizji architektów miały być przestronnymi pasami zieleni i słońca, na powrót obrastają w dziwne budyneczki, jako żywo przypominające rozebrane podczas remontów komórki, drewnutnie, warsztatiki. W tych nowych budkach trzymają teraz ludzie, dla odmiany, motocykle. Bo w Zamościu nie zauważono, że to już XX wiek.

A na rynku świeżą zielenią pyszni się narożna kamieniczka. PKZ już ją przekazały lokatorom, chociaż na parterze i w piwnicach zapewne długo jeszcze będą się ciągnęły roboty budowlane. Stąpa się więc tu po pagórkach gruzu i cegieł, a murarze chłapią zaprawą na głowy lokatorów. Za to w sąsiedniej kamienicze, gdzie zdążono już wyburzyć co się dało, pięciu pracowników usiłuje wykonywać wszystkie roboty naraz.

W pięciu zespołach, zwanych tu blokami, trwa za jednym zamachem odbudowa, przebudowa i budowa od fundamentów. I co? Zapewne przy tych obiektach rekonstrukcja pociągnie się jeszcze długo, może nawet bardzo długo, bo MPRB nie jest już w stanie zwiększyć tempa. Brakuje temu przedsiębiorstwu wszystkiego: robotników, techników, inżynierów, nawet własnej bazy. A dostawy materiałów pokrywają zaledwie 30 proc. zapotrzebowania.

Siedzę w „Ratuszowej” — jedynej kawiarni na zamojskiej Starówce. Jak w żadnym chyba innym mieście, głównym tematem, który obija się o uszy, jest sprawa rekonstrukcji Starego Miasta. Ludzie, jak widać, tu zaangażowani. Patrioci swego grodu, których niepokoi ślamazarność i nieudolność. To chyba zrozumiałe, że chcą widzieć swe miasto piękne, barwne, nowe. Roztrzásają więc wieści przedostające się z ratuszowych komnat.

A jest o czym rozprawać. W pierwszych dniach września bowiem w mieście nastąpiło wydarzenie wielkiej wagi, które w zasadniczy sposób — jak tuszą zamojszczenie — wpłynie na renowację Starego Miasta i otaczających go terenów zielonych. Odbyła się tu sesja wyjazdowa Prezydium WRN w Lublinie, na której z ust przewodniczącego Prezydium WRN — Ryszarda Wójcika padły zobowiązujące słowa, iż odbudowa Zamościa jest już sprawą nie tylko miasta i województwa, lecz całego kraju.

Za słowami poszły czyny. Od nowego roku będzie miasto miało (o co „Światowid” dopominał się wielokrotnie) konserwatora zabytków. Sekcja MRN do spraw renowacji przekształca się w wydział, skupiający nareszcie wszystkie sprawy związane z koordynacją i programowaniem. MPRB otrzyma bazę sprzętowo-materiałową. Zobligowano również władze miejskie do załatwienia wlokącej się od lat budowy 499 mieszkań dla rodzin wykwaterowanych ze Starówki oraz wzbogacenia puli 100 istniejących tzw. mieszkań rotacyjnych o następne 120. Załatwienie tych spraw jest pierwszym wielkim krokiem, którego skutki miasto powinno odczuć w najbliższych miesiącach. Podobnie jak wkroczenia tu nowego przedsięwzięcia budowlanego — „Chemobudowy” z Puław. Chociaż nie wszystkie problemy rozwiązano. Czeka na załatwienie w Ministerstwie Gospodarki Komunalnej sprawa o kapitalnym dla tego miasta znaczeniu — mianowicie założenie sieci ciepłej, która byłaby w stanie osuszyć zawilgłe mury i zlikwidować odwieczny grzyb. Przyspieszyłoby również prace i ułatwiło je powołanie na miejscu pracowni projektowej PKZ. Stąd chyba niezbędne jest utworzenie w Prezydium WRN w Lublinie pełnomocnika do spraw renowacji miasta. A może sprawa dojrzała już i do tego, by Zamość — wzorem Sandomierza — doczekał się specjalnej uchwały rządu?

Klucząc uliczkami Zamościa widać tu i ówdzie place budowy i czasem zbyt rzadko nowe tynki. Częściej dostrzega się sprawy czekające na decyzję. Ciśnie się więc wniosek, że najwyższy już czas przejść tu od wyrzykowych planów do bardzo konkretnych, całościowych. Czas podjąć decyzję w sprawie kształtu ulic, bruków, oświetlenia, sklepów i lokali, terenów rekreacyjnych wokoło bastionów.

Miasto, któremu przez 400 lat bez mała dopisywało szczęście, a które postradało je gdzieś w ostatnich kilkudziesięciu latach, nie zasługuje na samotne szarpanie się z losem. Bądź co bądź szczyty się w świecie, że jest zabytkiem klasy O.

Jerzy M. KOPEC

Światowid, Nr 47/1969

ROZMYŚLANIA PRZED HOTELOWYM LUSTREM

Umywalka, kosz na śmieci i lampa pod sufitem to jedyne sprzęty w pomieszczeniu tak obszernym, że można by w nim zmieścić z powodzeniem jeszcze wannę, a nawet sedes. Można by, ale nie trzeba. Wanna i to drugie zlokalizowano oddzielnie, po przeciwnej stronie obszernego przedpokoju. Chwała więc architektowi! Chwała proporcjonalna do jego zadziwiającej fantazji, która kazała mu zaprojektować umywalkę z lustrem wprawdzie, ale jedynie z zimną wodą. Woda gorąca jest w łazience, ale tam nie ma ani lustra ani umywalki. Nabrałem więc do szklanki gorącą wodę z łazienki, przeniosłem do umywalki i goląc się rozmyślałem nad przedziwnymi drogami, jakimi chadza nasze rodzime hotelarstwo.

Hotelarstwo dzisiaj, to w krajach stawiających na turystykę — a stawia się na nią wszędzie, gdzie są ku temu warunki, a więc i u nas również — ważna dziedzina gospodarki narodowej, nawet i jedna z najważniejszych, jak na przykład w Szwajcarii, w Hiszpanii, we Włoszech, a w ostatnich latach także i w Bułgarii, w Rumunii, na Węgrzech...

Wydawałoby się, że aczkolwiek nieco późno, ale dostrzeżliśmy naszą szansę, że zrozumieliśmy podstawową prawdę: nie ma turystyki bez bazy noclegowej — szeroko rozbudowanej, o wysokim standardzie usług.

Potwierdzeniem, że dostrzeżliśmy i zrozumieliśmy, może być zarówno stworzenie zawodowych, średnich i wyższych szkół hotelarskich, jak i budowa nowych domów wycieczkowych, schronisk i hoteli — „orbisowskich” i komunalnych. Potwierdziła to również podjęta przed paroma laty generalna weryfikacja hoteli, połączona z ich nowym zaszeregowaniem do poszczególnych kate-

gorii — z zaszeregowaniem odpowiadającym standardowi wyposażenia i jakościom usług.

„Sublokatorzy” biegają po ścianach

Na wczasach w Bułgarii, w hotelu „Casino” na Słonecznym Brzegu, spotkałem grupę polskich praktykantów z państwowych szkół hotelarskich. Byli kelnerami i kelnerkami, pracowali w kuchni, odbywali praktykę w recepcji. Opowiadali mi co stąd wywiozą (nie chodziło o kożuszki, czy o „Pliszę”), z jakich doświadczeń będą chcieli skorzystać. Opowiadali, że ich koledzy otrzymali praktyki w Jugosławii, w Szwajcarii, we Włoszech...

Tylko przyklasnąć, prawda? Wysłanie do Szwajcarii — światowej Mekki hotelarstwa — przyszłego kierownika hotelu, domu wycieczkowego, czy schroniska powinno się oprocentować w postaci uzyskania wysokiego poziomu usług w prowadzonym przez niego przedsiębiorstwie.

Szkoły hotelarskie istnieją u nas od wielu lat, z wielu też praktyk zagranicznych skorzystali jej słuchacze, nie wygląda jednak na to, aby wydatkowane na nie pieniądze przynosiły rzeczowe procenty. A przecież absolwenci tychże szkół sprawują obecnie z pewnością funkcje kierownicze. Po to zresztąłożono niebagatelne sumy na ich kształcenie.

Mam prawo do takich rozważań właśnie tu przed lustrem, przy umywalce, na której stoi szklanka wystygłej już wody, przyniesiona z łazienki, w pomieszczeniu wyłożonym kafelkami, stanowiącymi place zabaw dla czerwonawobrunatnych, wąsatych... karaluchów.

A hotel jest kategorii I, nazywa się „MDM”, leży w sercu Warszawy, przy placu Konstytucji, parkują przed nim dzień w dzień samochody i autokary z zagraniczną rejestracją...

Rozumiem zażenowanie personelu, tłumaczącego, że karaluchy to plaga, z którą bezskutecznie walczą od lat, że przedostają się prawdopodobnie do pokoi z... restauracji hotelowej. Być może nie ma na nie rady, ale zwykła przyzwoitość nakazywałaby w tym przypadku zmianę kategorii. Z pierwszej na trzecią, a może i na czwartą. Bo przecież nie od ilości łazienek w pokojach zależy wyłącznie zakwalifikowanie hotelu do odpowiedniej kategorii — od ilości karaluchów, również.

Hotel... dla ministrów

Przyjemna pani w recepcji hotelu „Centralnego” w Katowii-

cach, podając mi do wypełnienia kartę meldunkową zauważyła, że mam szczęście:

— *U nas z reguły brak miejsc. Przyjeżdżają delegacje zagraniczne, różne ważne figury, ministrowie... To przypadek, że został jeszcze ten jeden pokój.*

Doceniłem rzadkość owego przypadku i poczłapałem na trzecie piętro — windy w „Centralnym” nie ma. Nie było także gorącej, ani nawet ciepłej wody w umywalce, nie było... haczyków przy drzwiach w toalecie. Może dla ministrów to żaden kłopot, może sekretarze pilnują, aby nikt im nie zakłócał koniecznej samotności, dla przeciętnego śmiertelnika jednak stanowi to zasadniczy mankament. Zasadniczy, a drobny, bowiem haczyk kosztuje parę złotych, a jego wkręcenie to kwestia paru minut.

Byłem w kołobrzesckim „Skanpolu”. Ładny hotel, nowoczesny. Budowano go 11 lat (licząc od okresu sporządzenia dokumentacji), z myślą przede wszystkim o dewizowych Skandynawach i choć czasu było wiele, nikt nie zwrócił uwagi na konieczność zainstalowania klimatyzacji. W wyniku tego „przeoczenia” temperatura w pokojach waha się w granicach 30 stopni, powietrze suche, jak na Saharze, goście się pocą, nie mają czym oddychać...

Z racji swego zawodu „latającego reportera” znam — z przykrej czasami konieczności — setki hoteli i hotelików w Polsce i w jednym tylko znalazłem hotelową biblioteczkę przeznaczoną dla gości (hotel „Pod Orłem” w Bydgoszczy), a w dwóch innych wypożyczano maszyny do pisania (hotel „Warmiński” w Olsztynie i hotel „Saski” w Warszawie).

Obiektywne trudności z upowszechnieniem tego urodzaju usług? Na pewno nie. Po prostu przeoczenie, albo jak kto woli: „brak pomyślunku”, który to pomyślunek nie wiele jakoś skorzystał z praktyk i wojaży zagranicznych, bo za granicę, po doświadczenia, jeździli nie tylko praktykanci, ale i dziesiątki, a może i setki osób związanych z hotelarstwem. Mieszkali w wygodnych pokojach zawsze z gorącą wodą i raczej bez karaluchów, delectowali się obcymi kuchniami, podziwiali sprawność obsługi, a później, po powrocie do kraju zastanawiali się nad zaszeregowaniami do kategorii, co zazwyczaj, poza cenami, niewiele zmieniało.

Za dwuosobowy pokój w „MDM” płaci się 170 złotych (ze zniżką!), za podobny w katowickim „Centralnym” — 139 złotych, ale w jednym i w drugim nie ma nawet, kosztującej przysłowiowe grosze, poduszcзки z wetkniętymi w nie, nawleczonymi igłami.

Czy choćby tego zwyczaju nie należało generalnie wprowadzić po niezliczonych wyprawach za granicę?

Tak dziwnie się dzieje w tej naszej branży hotelarskiej, że jeśli już z kogoś należy brać przykład, to raczej nie ze stolicy, nie z miast wojewódzkich — w wielu hotelikach w miastach powiatowych mieszka się i wygodniej, i przyjemniej niż w kilkusetmiejscowych hotelach w dużych miastach. Do dzisiaj pamiętam parudniowy pobyt w wychuchanym i czyściutkim jak bombonierka gs-owskim hoteliku w Raciborzu, hotel „Piast” w Brzegu oferujący pokoje z łazienkami lub z prysznicami za połowę „MDM”-owskiej ceny zaskakuje ponadto mnogością ozdobnych roślin (zakupionych przez personel za własne pieniądze!), a do hoteli miejskich w Lesznie Wielkopolskim wysyłałbym na praktykę przyszłych hotelarzy. Bez dewiz, za to z pożytkiem większym, niż wyniesione z zagranicznych podróży.

Z roku na rok nie da się podwoić miejsc w hotelach nie da się zmodernizować starych obiektów, zastąpić korytarzowych toalet łazienkami i w.c. w każdym hotelowym numerze. Tego się nie da zrobić. Ale wiele drobnych, aczkolwiek niezbędnych usprawnień można wszędzie wprowadzić, we wszystkich hotelach wszystkich kategorii.

Jeśli zaś chodzi o kategorię, wydaje się, że należałoby ponownie przeprowadzić weryfikację hoteli, zaostrożając wyjściowe kryteria. Chociaż, czy ja wiem... Czy istotnie wygórowanym żądaniem byłoby zastrzeżenie, że hotel z karaluchami, na przykład, nie może uzyskać I kategorii.

W każdym razie jedno jest jasne i dla mnie i dla setek tysięcy rodaków korzystających z hoteli, dla zagraniczników także: kategoria zobowiązuje. I jeżeli I-sza, to wszystko już naprawdę pierwszej jakości. Bez usterek i niedociągnięć, bez usprawiedliwień, których gość płacący tak wysokie ceny za pokój, nie musi przyjmować.

Zygmunt SZTABA

Słowo Powszechne, 20 listopada 1969

P A R A W A N

Koniec roku jest okresem szczególnie wyczerpującym dla specjalistów od reklamy, którzy dwoją się i troją, aby wydać maksymalną ilość pieniędzy. Dobrze, jeśli mają co zachwalać, gorzej, gdy ich anonse na milę pachną... lipą.

Ostatnio w jednym z warszawskich dzienników ukazało się ogłoszenie, które niewątpliwie wywołuje właśnie takie refleksje. Oto „Motozbyt” serdecznie i szumnie zaprasza ludzi do swych moteli, gdzie — jak się głosi — „stacje obsługi i paliwa zapewniają sprawność i niezawodność pojazdu; smaczne posiłki, usuwają problem aprowizacji, a malownicze położenie i uprzejma obsługa stanowią gwarancję pełnego wypoczynku”. Jako motto wybrano bardzo sensowne stwierdzenie: „Dobry kierowca — kierowca wypoczęty!”.

Nim owa reklama trafiła do mych rąk, w jesienną październikową noc byłam właśnie bardzo złym kierowcą, bo wyczerpanym, płośleplym od wypatrywania drogi w gęstej mgle, zalegającej ziemię na całej trasie od punktu granicznego w Chyżnem aż do Warszawy. I wtedy to jak zbawcza latarnia morska, sygnalizująca zabłąkanym w czasie sztormu bliskość lądu, rozbłysł światłami duży dom przy szosie. Motel, na pewno wygodny, z obszernym parkingiem, ze stacją obsługi, z restauracją; jednym słowem — „Słowik”, bo tak się zwie owa podkielecka przystań dla kierowców.

Niestety, w chwili gdy zaparkowałam wóz, światło zgasło, wszystko pograżyło się w ciemnościach, a motel znikł jak fata morgana. Nocny stróż wyjaśnił, że zjawiłam się zbyt późno, bo właśnie wybiła dziesiąta wieczór, czyli czas zamknięcia lokalu i o posiłku czy noclegu mowy nie ma. Zdziwiło mnie to, gdyż na parkingu byliśmy sami, a sezon turystyczny dawno już się skończył.

Wstąpiła we mnie pewna nadzieja, gdy pojawił się kierow-

nik motelu, wprowadzający wóz do garażu. Rozmowa z „gospodarzem” była jednak krótka i w pierwszej fazie przypominała dialog w sklepie. Na trzy podstawowe pytania, czy można tu odpocząć, napić się herbaty i zanoćować, usłyszałam trzy razy „nie”. Następnie odbyła się część równie zwięzła, którą można by nazwać „polityczno-ideologiczną”. Na stwierdzenie, że motel — jak sama nazwa wskazuje — jest miejscem odpoczynku dla podróżnych, niezależnie od godziny, kierownik zareplikował, że może tak jest na całym świecie, ale nie u nas, bo tam motele są prywatne, a u nas państwowe. Koniec. Kropka.

Co prawda wracałam z kraju, gdzie świetnie funkcjonują właśnie państwowe motele i gdzie o każdej porze można napić się „państwowej” kawy czy herbaty, ale nie uznałam za celowe kontynuowanie tej „budującej” rozmowy.

Kiedys starzy ludzie, gdy nie odnajdywał się sprawca jakiejś szkody, mówili że to pewno „duch święty”. Kierownik „słowika” chowa się też za autorytetem najwyższym, bo aż państwowym. Nie jest to zresztą jego wynalazek. Przymiotnika „państwowy” używają jako parawanu czy tarczy różni ludzie. Kelnerka, która podaje zjeżdżałe ciastka wyjaśnia, że wypiek „państwowy” i dlatego niesmaczny. Ekspedientka kwituje protesty ludzi, którym waży nadpsute winogrona wyjaśnieniem, że sprowadzili je urzędnicy państwowi, więc nie ma co grymasić. Woda sodowa nie ma gazu, bo „państwowa”.

I tak każdego dnia wielu złych urzędników, złych sprzedawców, złych producentów czy usługowców, a więc konkretnych ludzi odpowiedzialnych za konkretne działania mówi — jeszcze wygodniejsze niż kelnerskie „to kolega” — „to państwo”.

To prawda, państwo buduje motele, a jednym z nich jest „Słowik”. Ale o tym, że „Słowik” jest niegościnnie i nie spełnia swojej funkcji decyduje nie państwo, ale konkretni ludzie w konkretnej instytucji, decyduje konkretny człowiek. I na różnych ludzi, a nie na państwo powinno się wskazywać jako na winnych, jeśli nie wypełniają swych zadań, jeśli marnują nasze wspólne — państwowe pieniądze przez wygodnictwo lub bezmyślność.

J. RUBACH-KUCZEWSKA

Trybuna Ludu, 27 listopada 1969

TAKSÓWKĄ ZA DOLARY

W żargonie milicyjnym nazywa się ten rodzaj przestępstw „łebkarstwem dolarowym”. Dewizowy ów proceder uprawiają niektórzy taksówkarze, choć nie brak i amatorów. Dokonują oni sporadycznych wypadów prywatnymi wozami pod Centralny Port Lotniczy w Warszawie.

Konkurencja, działająca na zasadach partyzantki, niełatwy ma jednak żywot, bo kierowcy taksówek trzymają sitwę z bagażowymi. W takiej sytuacji wymanewrowanie zagranicznego rodaka z tłumu pasażerów, otoczonych kordonem uważnej obstawy, jest prawie niemożliwością.

A przecież i tu znalazł się geniusz przebiegłości, który przez pięć lat buszował na Okęciu. Myląc tropy i pogonie w sobie tylko wiadomy sposób, „wyjmował” ciepłą klientelę z ciasnego, czujnie strzeżonego kotła, kłębiącego się w hallu dworca lotniczego i uwoził stęsknionych rodaków w Polskę. Za dolary. Gdy jednak i jemu powinno się koło, przerejestrował swego zielonego „Peugeota” na taksówkę i teraz, z ostentacyjną nonszalancją, działa w sposób nieomal zalegalizowany, dystansując w sposób oczywisty dotychczasowym stażem „dywersyjnym” kolegów po kierownicy.

Kapitan Stefan Brylak z milicyjnego komisariatu Centralnego Portu Lotniczego na Okęciu mówi, że z nastaniem jesieni sezon na dolarowe łebkarstwo wcale się nie skończył. Owszem, osłabł nieco, gdyż nie przylatują już wycieczki Polonii amerykańskiej. Jednak teraz na parkingach dworca lotniczego pozostała przeważnie awangarda — najwytrawniejsi, których niełatwo chwycić za rękę na gorącym uczynku. I chociaż w ogóle niezwykle trudne jest tropienie przestępstw i eliminowanie dewizowych szachrajstw dokonywanych zazwyczaj w wozie poza terenem Okęcia, to choćby ostatnie meldunki świadczą, że okres jesienno-zimowy, wcale nie jest martwym sezonem.

Oto niektóre tylko zapiski z milicyjnych notesów st. sierż. Lucjana Bardadyna i plut. Franciszka Cerobskiego za okres ostatnich 4 tygodni.

... Arkadiusz T. wybierał sobie pasażerów wśród gości zagranicznych. Jego taksówka stała w tym czasie nie na postoju MPT, lecz na parkingu z licznikiem „zajęty”...

... Tadeusz K. odmówił kursu Bogumile S. motywując swą decyzję tym, iż nie zmieści do samochodu czterech walizek. Były one średniej wielkości i następny kierowca bez żadnych obiekcji zabrał pasażerkę. W tym czasie lądował samolot z Brukseli”...

... Samochód Jana Ż. parkował poza postojem z licznikiem „zajęty”. W tym czasie Jan Ż. taksówkarz, dobijał targu z Andrzejem P., który przyleciał z USA i chciał jechać do Białego stoku”...

Są to fragmenty kilku zaledwie notatek z długiego rejestru...

— Chce się pan przekonać, jak zawierane są transakcje i jak dobija się dolarowych targów w taksówce, to niech pan zainscenizuje mały spektakl. My to ułatwimy — mówi oficer MO.

Nie od razu pojmuję o co chodzi. Więc mam zagrać rolę bezradnego rodaka, po którego nikt nie wyszedł na lotnisko, a który chce się teraz dostać w Rzeszowskie...

W jasnym, za luźnym, garniturze i w słomkowym kapeluszu wyglądam komicznie, lecz podobno nie wyróżniam się wśród podeksytowanego tłumu, który wysypał się przed budynek dworca lotniczego. Obowiązująco szerokie nogawki spodni a zwłaszcza czarna lotnicza torba z napisem BEA robią swoje. Bagażowy bez słowa odbiera mi sakwojąz i szparkim krokiem zmierza na parking, gdzie wśród prywatnych pojazdów stoi popielaty FIAT 125 P z napisem „taxi”. Jest i kierowca. Okazuje się, że ten niski kwadratowy szatyn o krótkiej czarnej szczotce nad wesołymi oczkami tramwajarskiego filozofa, który towarzyszył nam niby przypadkowo z portu na postój, to właśnie właściciel taksówki. Bagażu mam podejrzenie mało więc pakowanie trwa zaledwie sekundy. Po chwili nasz „Fiat” jak oszalały wyskoczył z rzędu zaparkowanych aut.

— Skoro już jesteśmy w Polsce — mówi kierowca — korzystajmy z głównych uroków tego kraju. Tam w torbie znajdzie pan jarzębiak. Jest też kawa w termosie i coś na ząb.

Rozglądam się po udrapowanym na ludowo wnętrzu wozu. Pokrowce siedzeń i oparcie w łowickie pasy, Matka Boska z Cepelii na tle perforowanej plastikowej tapicerki. A obok miniaturowy kalendarzyk linii lotniczych „Sabena” prezentujący w tym miesiącu pogodę w Bangkoku.

— To dokąd jedziemy? — rzucił niby od niechcenia kierow-

ca, zatrzymując się przed wjazdem na Szosę Krakowską, a mnie zrobiło się niewyraźnie koło serca.

— Do Sanoka. Ile będzie kosztowało — zaatakowałem na ślepo, żeby mieć to już poza sobą.

— A ile by pan zapłacił w Stanach za taki kurs w obie strony. Bo przecież muszę wrócić — zadrwił wesoło taksówkarz.

— Bo ja wiem, w obie strony — myślałem gorączkowo — chyba ze 150 dolarów.

— No i ja nie wezmę więcej — westchnął z nieukrywaną ulgą cwaniak zza kierownicy Fiata.

— Kochany, nic pan nie weźmie i nigdzie razem nie pojedziemy, bo ja tu wysiadam. Chciałem się, po prostu przekonać, jak wy to robicie — wyskandowałem jednym tchem.

Odwrócił do mnie kwaśno zaciętą facjatę.

— Szybko wyskakuj — warknął z dziką nienawiścią. — Ale już.

Przełknąłem ślinę i rwałem z bagażem w kierunku zaparkowanej niedaleko milicyjnej Warszawy.

— No i co, żyjesz pan — powitali mnie śmiechem milicjanci a ja odetchnąłem z ulgą, że już się ta maskarada skończyła.

Mgr inż. Janusz Włodarczyk, dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Taksówkowego zgadza się, że walka z dolarowym łebkarstwem nie jest łatwa. Jest ona jednak konieczna. Muszą ją prowadzić wszyscy zainteresowani a więc również LOT...

— LOT załatwia miliardowe interesy i z pewnością dlatego nie chce zajmować się groszowymi marginesami — mówi dyrektor MPT mgr inż. Janusz Włodarczyk. Ale to co dzieje się z pasażerami LOT-u po opuszczeniu przez nich samolotu, nie może być tej instytucji zupełnie obojętne. To są przecież bardzo nieprzyjemne historie, kładące się przykrym cieniem na opinię o naszym kraju. Zarówno wśród naszych rodaków jak i cudzoziemców odwiedzających Polskę. Niezwykle szybko wychodzi na jaw, że ludzie ci zostali po prostu oszukani. Dowiadują się o tym już przy pierwszym zetknięciu z rodziną, znajomymi. Czy naprawdę tak trudno wydrukować w informatorach LOT-u krótki komunikat, że przebycie ostatniego etapu podróży na terenie kraju, a więc z Okęcia do dowolnego miejsca w Polsce, przedstawia się następująco: tu powinna następować krótka informacja dotycząca cen za kilometr, posiadanych marek samochodów, kto na dworcu lotniczym załatwia formalności, w jakiej walucie należy opłacić podróż samochodem itp. szczegóły...

Stefan KUBIAK

MILION TURYSTÓW ODWIEDZIŁO STOLICĘ CO CZWARTY — GOŚC Z ZAGRANICY

Warszawę odwiedziło w tym roku ponad milion turystów w tym 250 tys. gości zagranicznych. W ub. czwartek Komisja Kultury Fizycznej i Turystyki St.RN dokonała podsumowania sezonu 1969 roku. Omówiono wiele spraw i kłopotów wiążących się z rosnącym stale ruchem turystycznym.

Na pierwszy plan wysuwają się trudności noclegowe. Zwłaszcza wycieczki przyjeżdżające do stolicy na 2-3 dni mają duże kłopoty z uzyskaniem zakwaterowania. Warszawskie hotele wraz z bazą noclegową ośrodków „Wisły” dysponują zaledwie 8 tys. sezonowych. Co gorsza stan sanitarny wielu placówek często jest kiepski. Nawet w takich reprezentacyjnych hotelach, jak „Europejski”, „Grand” czy „Metropol” można — jak mówiono na posiedzeniu Komisji — natknąć się na robactwo.

Wiele zarzutów padło też pod adresem stołecznego handlu. Niejeden sklep był w sezonie turystycznym zamknięty z powodu braku pracowników. Turyści zagraniczni skarżyli się na mało atrakcyjne pamiątki z pobytu w Warszawie, jak również na brak dań staropolskich w restauracjach. Obsługa turystów również pozostawia wiele do życzenia. Jedyną poprawę można zauważyć w tzw. małej gastronomii. Pojawiło się więcej szaszłykarni, kuchni polowych, placakarni itp., tak potrzebnych również dla gości spoza Warszawy.

Palącą sprawą jest zapewnienie rozrywek kulturalnych...

Życie Warszawy, 9-10 listopada 1969



USŁUGI DLA TURYSTÓW

Ministerstwo handlu wewnętrznego u progu starego roku dokonało rozrachunku w zakresie usług dla turystów. Bilans ten wypadł różnie w zależności od udziału gastronomii i handlu. Przed mikrofonem red. Aleksander LUBAŃSKI:

Do dyspozycji wczasowiczów i turystów postawiono w sezonie wiosenno-letnim prawie 9.500 zakładów gastronomicznych, to jest o 700 więcej niż w r. 1968. Lokale te posiadały ponad 678 tys. miejsc łącznie z tzw. gastronomią małą.

Jakie były braki handlu i gastronomii?

Według informacji turystycznej agencji prasowej, na terenach wczasowo-turystycznych wprowadzono ulgi dla turystów wędrujących w większych grupach i zamawiających wcześniej posiłki. W niektórych restauracjach wyższych kategorii obniżono ceny dań obiadowych. Do obsługi turystów włączono także stołówki pracownicze. Ponadto — jak już wspominałem — rozszerzono działalność tzw. małej gastronomii, to znaczy zorganizowano szeroką sieć wózków czy kuchni polowych wydających posiłki.

Niestety, było jeszcze wiele w tym sezonie cieni w handlu i gastronomii. Szwankowało zaopatrzenie miejscowości wczasowych w mięso i wędliny. Na ogół dopisywały dostawy mąki, cukru, kaszy, makaronu, margaryny, herbaty. Odnotowano poprawę w dostawach drobiu i ryb, aczkolwiek nie wszędzie. Turyści indywidualni, zdani na własną pomysłowość w przyrządzaniu posiłków, mieli tego lata dodatkowe zmartwienia. Pomimo zapewnień przemysłu spożywczy nie dostarczył odpowiedniej ilości zestawów turystycznych ani kon-

centratów. Wczasowicze i turyści chcieli kupować w tym sezonie wyroby sportowe i turystyczne jak materace, piłki sportowe, kuchenki turystyczne lub plecaki. Dodajmy od razu, że nawet były duże ilości tych przedmiotów ale, niestety, ilość nie przechodziła w jakość.

Jaki końcowy wniosek handlowego sezonu 1969?

Ogólnie, było nieco lepiej niż w roku ubiegłym, ale turyści chcą, żeby było o wiele lepiej. Trzeba dopiąć tego, by pogłębiające się z roku na rok dysproporcje między dynamiką rozwoju turystyki a wzrostem ilości i modernizacją placówek handlowo-gastronomicznych, nie były takie niepokojące.

Radio Warszawa I, 6 stycznia 1970

SOPOT BY NIGHT

Non-Stop.

Grają dziś Blues Band Flamenco, śpiewa Joan Duggan.

Bariera dźwięku boruje boleśnie w uszach, działając jak walenie obuchem.

— Panowie w sprawie tej kradzieży? — dopytuje się uczulony na reputację Non-Stopu kierownik, twierdząc że przyzwyczał się do beatu i nie słyszy tego. Ale jak koncertował zespół Break-out z 200-watową aparaturą, to koledze kierownika plomby z zębów powypadały. Tym przy stolikach i na parkiecie nic nie wypadło. Nic, a może wszystko? Dżinsy, polo, na szyjach ogorzałe od słońca ramiona. Płasają zapamiętałe w transie ciziwatej młodości nad morzem. Fiolet i róż reflektorów przyświecila zwoje dymu z papierosów. Są Szwedzi, Czesi, Anglicy, Niemcy. W gwarze ginie zapowiedź ostatniego dziś bloku tanecznego.

— Co jest grane?

Nie, my nie w sprawie tej kradzieży...

Godzina 21.00.



Sopot pograża się w malignie sierpniowej nocy.

Cisza.

Kojące antidotum na beat w Non-Stopie.

Zadrzewionymi uliczkami biegnie echo kroków po trotuarze. W ogródkach, na podwórkach i w innych mrocznych zakamarkach widać auta z krajową i zagraniczną rejestracją. Obiekt zainteresowania debiutujących, bezdomnych, bez grosza przy duszy, nieletnich najczęściej złodzieji z Wrocławia, Warszawy, Krakowa i innych miast. Kiedyś w życiu trzeba zacząć. Noc sopocka jest dobrą okazją. Kradną aparaty fotograficzne, kamery, garderobę, zostawione — zdarza się — na siedzeniu wozu portfele! Pewien obcokrajowiec rozstał się z umocowaną w bagażniku na dachu

karoserii walizką, nim zdążył zaparkować wóz. Zatrzymani przez milicję dwaj studenci z Łodzi taszczyli tzw. kołpaki, wymontowane z kół volkswagena przy „Grand-Hotelu”. Wyjaśniali potem, że to z powodu trudności z akcesoriami w „Motozbycie”.

Dniem po plaży, nocą po samochodach i namiotach grasują przysparzając milicji roboty bohaterowie sopockiej nocy letniej.



— Szefowo, pyfko!

Przy bufecie w restauracji „Ludowa” tłoczą się panowie w rozchełstanych koszulach. Biorąc pod uwagę kategoryczny styl wywieszki „Sprzedaży przy bufecie nie ma” wnosić należy, iż stoją tutaj dla widoku wdzięków bufetowej. Inni wolą kufel przy stoliku. Kiwają się, ćmią papierosy, prowadzą teatralnym szeptem poufne dialogi. Ktoś rzuci mocniejszym słowem od czasu do czasu, ale dziś na ogół spokój, chociaż sobota. Nawet stoliki wolne.

Knajpie daleko do kategorii „S”, jej bywalcom również. Podobnie jak w „Ekspresie”, „Bałtyckiej”, „Turystycznej” i „Tempo” można tutaj paść ofiarą drobnej kradzieży lub towarzyskiego nieporozumienia. Zresztą bywa różnie. Zakładają się znajomi od 5 minut, kto prędzej przełknie duże jasne. Zwycięzca postawił wino. O 22.00 kierownik zamknął lokal zapraszając na jutro. Towarzystwo w drodze na plażę poróżniło się. Awantura, MO, zeznania. Nikt nikogo nie znał, dochodzenie utrudnione.

Strzeżcie się przygodnych znajomych wieczorem i nocą!



Na Grunwaldzkiej, w miarę zbliżania się do Monte Cassino, ruch wzrasta. Ruch pieszy i kołowy. Kołowym ruchem poruszają się także i pijacy, bełkocząc pod nosem.

Sopot nie śpi.

Oto i centrum kurortu. Światła, gwar, nastrój. Wejście na molo kosztuje do godziny 23.00. Potem gratis do rana. Milczy głucho muszla koncertowa, a naród słucha za darmo szumu Bałtyku, zażywając na molu chłodu i jodu. Jacyś zawodnicy skaczą brawurowo z drewnianej poręczy mola w ciemną wodę. Nurkują, wyłazą ociekając wodą i da capo.

Atrakcja.

Atrakcją „Monciaka”, po którym przelewa się leniwie i statycznie fala ludzi, jest firma „Milano”, „Gelateria italiana”. Komu włoskie lody? Kolejki jak za dnia, chociaż zbliża się 23.00.

Monte Cassino jak okręt w świątecznej gali. Reklamy lansowanych przez Wojewódzką Agencję Imprez Artystycznych kabeletów „Pod Egidą”, „Dudek”, „Róbmy coś”...

Właśnie!

Naprzeciw „Ermitażu” ktoś kogoś strzela w twarz. Lekkie zamieszanie. Nikt nie interweniuje. Na placu boju zostaje ofiara incydentu. Ślania się. Co się stało?

— Z Sopotu jesteś, zapytali, a ja, że nie, to oni, daj dychę... Co im mam dawać, no i widział pan, co się działo? — relacjonuje oszołomiony nastolatek ocierając dłonią krew na wargach.

Działo się tu podobnie i wczoraj. Amatorzy „dychy” od tych, co nie z Sopotu, działają publicznie na oczach całej Monte Cassino. Czy im chodzi o dychę, czy o powód do draki jako takiej? Rzecz do wyjaśnienia.

◆

Naprzeciw dworca biuro zakwaterowań. Jego konkurenci, oferujący prywatne kwatery na własny rachunek, rozprawiają:

— Po co pani pieska bierze z sobą?

— A co, nie wolno? — obrusza się hardo babina.

— Zobaczył pieska i odszedł... Nie lubi psów: — ironizuje chudy jegomość.

Z konkurencją biura zakwaterowań trzymają sztamę taksówkarze — podwożąc klientów.

Godzina 23.00. Gasną światła na tarasie „Złotego Uła”. „Monciak” wyludnia się aż do świtu. Podtatusiały dżentelmen uprowadza w ciemną noc nieletnią acz ciekawą życia Lolitę.

Sopot żyje teraz w nocnych lokalach.

„Ermitaż”. Refrenistka zanosi się od frazy przebojów. Do ich taktu manierycznie kołysze się chłopak z bardzo młodą dziewczyną. Odsztachnięty i mocno forsiasty. Może to on zagarnął ojcu auto i z 20 tysiącami „zetelów” oraz mieszanej płci towarzyszem przysnął z Warszawy na Wybrzeże? To nie on, tamtego już zatrzymała milicja. W ciągu 4 dni wydali 6 tysięcy. Było wesoło.

„Alga”. Na parkiecie tłok. Którejś nocy pewien Anglik z Pruszkowa rodem ukradł damie portmonetkę. Zatrzymany udawał, że nie rozumie po polsku. W komisariacie dali mu papier, żeby się wypisał po angielsku. W końcu rozplakał się i przyznał do kradzieży tudzież polskiej narodowości.

Kiedy jedni się bawią, inni muszą „pracować”. Nie ma równości na tym świecie.

Spójrzcie na tę dziewczynę: wygląda na 16 lat, ale jakie mini i jak tańczy! Z dowodu osobistego wynika, że skończyła już 20... Przyjechała ze Szczecina, ale widocznie ma coś na sumie-

niu, skoro pryska z lokalu po wylegitymowaniu. Ale ta, która wychodzi teraz z „Grandu” nie ma więcej niż 14 wiosen. Znów dowodzik i konsternacja: pełnoletnia!

Milicja często legitymuje nocą kobiety wyglądające na nieletnie dziewczęta. Okazuje się, że — mężatki. W Sopocie o tej porze wszystkie kobiety wyglądają na nastolatki. Kwestia jodu?



Godzina 1.00.

„Grand-Hotel”. Schody wyścielane czerwonym pluszem. Damy w kreacjach. Dużo gości zagranicznych. W porównaniu z „Riviera” kontrast. Tam pośledniejsza socjeta i „nieraz wpadają i wesołe kobitki” — jak określa kierownik. „Wesołych kobitek” nie brak i w „Grandzie” ale to już inny standard!

A więc bawimy się sierpniową nocą w sopockim „Grand-Hotelu”. Za ile? Średnie obroty z nocnej działalności nie przekraczają 35, a w soboty i niedziele 60 tysięcy. Sala full. Na pytanie, ile wynosi średnio rachunek jednej osoby, kierownik powiada: 150 złotych. Żartuje? Ceny kategorii „S”, dodatki — sezonowy i rozrywkowy, nadto do rachunku dolicza się 10 proc. za obsługę.

— Czym tu handlować? — rozkłada ręce kierownik, skarżąc się na brak droższych spirytualiów z importu, które robią obrót i stwarzają Szwedom, Duńczykom, Anglikom, a i niejednemu Polakowi okazję do zapłacenia większego rachunku. Tymczasem „Grand” sopocki oferuje winka po cenie wraz z dodatkami à 180 złotych polskich. Zagraniczni goście dziwią się śmiesznym dla nich cenom, a kierownik sali komentuje:

— Tu nie ma na co stracić, proszę pana!

Równie tanio bawi się naród w „Aldze”, „Rivierze” i „Ermitażu”. Średnio 600 złotych za stolik.

— Przy tych cenach — dowodzi kierownik w „Grandzie” — powinien być pełny asortyment, a my tu nad morzem wędzonego węgorka dostać często nie możemy...

Wstęp do nocnego kursu wiedzy o handlu zagranicznym.

Sopocka ulica głucha i pusta.

Godzina 2.45.

Naprzeciw „Casino Jazz at Night” słowiańska blondynka targuje się piskliwym głosem o cenę z młodymi Anglosasami. Widać, że dobili targu, bo obejmują ją i znikają w mroku nocy.

Na molu majaczą samotne pary.

Na środku jezdnii pijak wygłasza swoje credo polityczne dowodząc, że jest za socjalizmem.

Czas na „Bungalow” — sopockie Las Vegas prostytucji i cinkciarstwa. Świt. Chwiejąc się towarzystwo wylega z lokalu. Mętny, osowiały wzrok, zmęczone twarze dziewcząt. I tu potwierdza się fakt, że w Sopocie tanio można się zabawić: 150 miejsc i 10 do 15 tysięcy utargu za noc. Statystyczny klient zostawia w „Bungalowie” 150 „zetełów”.

— Rachunek na 1.400 złotych od stolika jest rzadką rzeczą — przekonuje kierownik.

No tak... Trzeba również wierzyć kierownikowi, że od kilku miesięcy „Bungalow” zabiega o poprawę swojej reputacji, przeważnie drogą wylewania za drzwi awanturujących się elementów. Coraz rzadziej interweniuje tu milicja. Jak tak dalej pójdzie, to „Bungalow” rzeczywiście straci całkiem swą dawną markę a nocny Sopot — jedyną sensację.



Godzina 4.00.

Mija jeszcze jedna letnia noc.

Jerzy BARSKI

Tygodnik Morski, Nr 33 z 17 sierpnia 1969

NASI W CIEPŁYM KRAJU

Ostatnio obserwowałem kilka grup naszych za granicą, trzydziestoosobowe całości z części społeczeństwa... czy aby tej lepszej?! Byli to ci, którzy wakacje spędzają nad ciepłym morzem. A zatem ci zamożniejsi, ci z towarzyską ogładą modelowaną bywaniem tam gdzie wypada, publiczność warszawskich kawiarni i abonenci Przekroju...

A więc w jednym z ciepłych krajów, którego nazwa nie jest istotna, obserwowałem wycinki społeczeństwa, ot, tak jak gdyby wybrać z listy lokatorów bloku Nr N przy ul. Grójeckiej trzydziestu konsumentów wczasów zagranicznych i następnie podobne reprezentacje sformować z innych kamienic.

Konsumenci przyjechali w pełni sezonu, na tropikalne upały w wełnianych garniturach i w wełnianych sukienkach, obuci jak do cici na imieniny, w czarne, ciężkie, nieprzewiewne chodaki. Przybyli w strojach, które dopóty służyły im podczas niedzielnych spacerów do Łazienek i wycieczek do Białowieży oraz na Kasprowy Wierch, dopóki nie pojawiło się nowe upodobanie do urlopów za granicą. Strój przetrwał — rekwizyt ubierania się w niedzielę jak do kościoła, bez względu na pogodę i marszrutę. Wizytowy garnitur z białą, nylonową koszulą i ciemnym krawatem przemieścił się z ulicy Marszałkowskiej, z sopockiego deptaka i przełączy na Zawracie na promenady, gdzie upał nie ustaje nawet w nocy, a reszta świata paraduje w strojach plażowych, w przewiewnych, krótko mówiąc przystosowanych do miejsca i pory.

Odpowiednikiem tego rodzaju strojów było zachowanie twarzy w jadalni. Miny naszych wydłużały się nad wyraz, gdy na stoły wjeżdżały smakołyki miejscowej kuchni: papryka, mamałyga, bakłażany. Przy mięsach — wytrawnie tutaj przyprawianych — za każdym razem następował świeży zawód — nie przynoszono schaboszczaka z kapustą. Zaskoczenie brakiem schaboszczaków

było tak wielkie, iż mogło nasuwać poważne przypuszczenie, czy aby nasi nie uważają schaboszczaka za swoją potrawę rytualną.

Jak z głupia frant wybrali się do ciepłych krajów w ciepłej odzieży, tak również z niewzruszonymi upodobaniami stanęli wobec jadłospisu kuchni Południa. Przyjechali jak gdyby bez ciekawości poznania nowego kraju, gdyż przecież należy przyjąć, że w całości poznania ćwierć powinna zajmować jego historia, ćwierć gospodarka, ćwierć obyczaje i całą ćwierć jedzenie.

Pewnego dnia zgodnie z przyjętym programem, grupy naszych miały obejrzeć wykopaliska. Wycieczki konsumentów po przybyciu na miejsce przekonały się, że za atrakcyjną nazwą miejscowości kryje się płaska równina, puste pole bez sklepów, bez bazaru i nawet bez kawiarni — wyłącznie z ruinami niegdyś sławnego grodu. Zdegustowani tym odkryciem spacerowali wśród historii — największe wrażenie na zwiedzających wywarły muchy, obsiadające stare kamienie.

„Jakie one dziwne — powiedziała jedna pani — u nas takich nie ma”.

Być może obwieszczenie w naszych biurach podróży, że w wycieczkach na Południe kuchnia będzie miejscowa (z podaniem menu) i że programy pobytu oparte będą o zwiedzanie muzeów i wykopalisk, skuteczniej by selekcjonowały uczestników wczasów zagranicznych, aniżeli surowe odprawy celne. Warto spróbować.

Nasi, oprócz mniemania o niezawodności bielskich wełen i niczym nie zachwianej miłości do schaboszczaka, wyjeżdżają również z przekonaniem o powszechnej znajomości języka polskiego na świecie. Kelnerkom, sprzątaczkom hotelowym, sprzedawcom i wszystkim dookoła perswadują swoje potrzeby po polsku, a gdy tamci stoją bezradni i oniemiały, zaczynają to samo tłumaczyć od nowa czysto polskimi zdaniami. Ten sposób konwersacji trudny do opisanja.

Nasze grupy w ciepłych krajach przeszły po kolei również przez próbę charakteru społecznego Polaków. Pod koniec każdego turnusu odbywało się pożegnanie, podczas którego miłym gospodarzom wypadało wręczyć kwiatki i drobne upominki, a samym sobie postawić po koniaku. Ogłoszenie zbiórki dewiz o równowartości naszych dziesięciu złotych na głowę powodowało, że oprócz komitetów społecznych uroczystości, powstawały komisje do badania celowości wydatków i podkomisje do kontrolowania rozliczeń. W koszarnej tej zabawie uczestniczyli tak zwani poważni ludzie — w trzech wypadkach radcowie prawni, w dwu innych radcowie ministerialni, w asyście magistrów ekonomii i — o zgrozo! — nauczycieli szkół licealnych. Ustalenia komisji, zanim nabrały mocy urzędowej, zostały obalone przez sejmiku-

jące grupy, skłócone przez to, że jeden radca sprzeciwił się płaceniu za koniak dla wszystkich, ponieważ on sam nie pije, a inna pani profesor uznała, że wręczanie kwiatków kelnerkom jest niepedagogiczne. Ktoś inny uważał za niestosowne opłacanie orkiestry, gdyż tania gra źle, a na drogą nie ma pieniędzy... no i tym sposobem dochodziło do wieczorów pożegnalnych, podczas których bez orkiestry, bez końcowego toastu, bez kwiatów i upominków dla gościnnych gospodarzy odbywała się stypa skłóconych ze sobą rodaków.

Obserwacja grupowych wakacji naszych w ciepłym kraju prowadziła do głęboko pesymistycznych wniosków, gdyby na samym ich dnie nie pojawił się promień radości. Oto ci, którzy wyjechali z kraju mając w pamięci nasze telewizory w witrynach wystaw sklepowych, nasze radia, naszą konfekcję (pożal się Boże), naszą porcelanę, nasze jedwabie, nasze wyroby z tworzyw sztucznych, snując się każdego ranka wzdłuż sklepów, dochodzili do zbiorowo-melancholijnego wniosku, że niczego tutaj kupić nie można.

Natomiast ci, którzy wyjechali od siebie Mercedesami i Volkswagenami, świetnie i zamożnie ubrani na każdą okoliczność, dający znać w swoim standardzie hałaśliwą radością życia, zasiadali przy kufelku piwa w restauracjach, całą uwagę koncentrując, aby z powodu rauszu nie stracić panowania nad sobą i nie zamówić drugiego kufelka, gdyż wyrwałoby to z kieszeni kilka dalszych fenigów. Porównując tych ostatnich z naszymi, naszych miałoby się ochotę mimo wszystkich ich wad przyciągnąć do serca, z artykułami nie ujawnionymi w deklaracji celnej łącznie.

ALEKSANDER R.

Prawo i Życie Nr 22 z 2 listopada 1969

WFM-KĄ DO PARYŻA

Celnicy i WOPiści patrzą na nas z pobłażaniem. WFM-ką do Paryża? — Ja bym się bał pojechać tym do Poznania — oświadcza żołnierz przy wjeździe na most na Odrze. Takie albo bardzo podobne opinie o naszej wyprawie słyszeliśmy od wszystkich prawie znajomych, czujemy się więc trochę jak przed startem na Księżyc albo w najlepszym wypadku przed wyprawą na Biegun Północny. Jesteśmy jednak dobrej myśli. Motocykl pracuje świetnie, części zapasowe na wszelki wypadek w komplecie, pogoda piękna. Co prawda jeszcze przed przekroczeniem granicy okazało się, że pod naszym ciężarem (moja towarzyszka podróży, ja i bagaże) nowa, nieco wyższa opona ociera o błotnik. Trzeba więc było w Słubicach odstawić motocykl do warsztatu, gdzie po przedłużeniu teleskopów nasz pojazd z podniesioną kilka centymetrów ramą nad tylnym kołem nabrał wyglądu rasowego motocykla rajdowego.

Nocujemy w Poczdamie, odprowadzeni przez uczynnych milicjantów do schroniska młodzieżowego. Milicjanci jadą na nowych MZ-kach i muszą czekać na nas na każdym rogu, bo nasza WFM-ka z bagażami musi się rozpędzić.

Na autostradzie niedaleko granicy NRF silnik zaczyna nawałać, coś przerywa i kaszle. Jedziemy 40 km/godz. Zatrzymuję się i wymieniam świecę. Po chwili zatrzymuje się przed nami jakiś bardzo stary samochód, chyba „Mercedes”, model gdzieś z 1920 r. Z tytułu ma znak PL. Dwaj krakowiacy jadą do NRF. Myślałem, że dam sobie radę z reperacją, umawiamy się więc, że ich dogonię i przez Niemcy Zachodnie pojedziemy razem, pomagając sobie w razie jakiejś awarii. Ale dojeżdżamy tylko do granicy. Wysiada nam przerywacz. Znowu stajemy i przed szlabanem granicznym zabieram się do zdejmowania koła magnesowego. Niestety, kończy się to ukręceniem śruby i wyrzuceniem ściąga-cza do rowu. Okazało się bowiem, że ściągacz, w który przezornie zaopatrzyłem się przed wyjazdem, (kawałek metalu z trze-

ma otworami na śruby) został wykonany z miękkiego, niehartowanego żelaza. Tymczasem nadchodzi wieczór, od najbliższego warsztatu dzieli nas 15 km. Pchamy motocykl przez granicę NRF i dalej przez pół godziny pod górę. Bolą nas głowy i robi się nam niedobrze. Idziemy jak pijani kilkanaście kilometrów, przegapiając zjazd z autostrady do Helmstedt, więc wracamy, ale nie starcza nam już sił na dotarcie do miasta. 5 km od skrzyżowania kładziemy się na ławkach przy autostradzie, zawijamy w śpiwory i zasypiamy. Co chwilę budzą nas pędzące ciężarówki, a skoro świt, zatruci spalinami, pchamy motocykl dalej.

Naprzeciwno baru w Helmstedt, gdzie jemy śniadanie, wisi wielki plakat przedwyborczy NPD — ogromny portret Adolfa von Thaddena, który przyrzeka zrobić w Niemczech porządek. Ten plakat jest przekreślony czerwoną farbą i napisem „Nein”, ale dalej, w Westfalii będziemy spotykali tych plakatów więcej, wiszących nierzadko razem z hitlerowskimi sztandarami.

Helmstedt jest jeszcze puste, na ulicach nie ma nikogo. Czekamy pół godziny na otwarcie warsztatu. Właściciel firmy nie może ukryć swego zdumienia na widok polskiego motocykla. Tłumacząc mu, że mam zapasowy przerywacz, ale nie mogę zdjąć koła magnesowego.

— To polski motocykl? — dziwi się majster. — Ale silnik chyba niemiecki?

Jeden z robotników zdejmuje koło magnesowe, bierze ode mnie nowy przerywacz i próbuje założyć w miejsce starego.

— To firmowy? — pyta po chwili. — Od tego motocykla?

— Tak, firmowy — odpowiadam zgodnie z prawdą i zaraz robi mi się wstyd za Warszawską Fabrykę Motocykli. Mój „firmowy” przerywacz ma za mały otwór na ośkę i chyba nigdy nie pasował do WFM-ki.

Po południu wyruszamy w dalszą drogę z dorobionym nowym przerywaczem, żegnani przez kilkunastu klientów warsztatu, którzy obejrzelі sobie nasz motocykl ze wszystkich stron i uważają nas za bardzo odważnych. O zmierzchu okaże się że w warsztacie zamieniono przewody pod prądnicą i nie będę miał głównego światła. Na domiar złego stłucze się nam żarówka, a nowa „firmowa” będzie miała trzonek za duży i nie da się wkręcić w lampę.

100 km przed Hanowerem skręcamy z autostrady na drogę do Osnabrück i granicy holenderskiej. Tuż przed stacją benzynową na skrzyżowaniu motocykl zaczyna zataczać się po autostradzie. To w tylnym kole zaczęły pękać szprychy. Podprowadzamy motocykl do stacji benzynowej i zastanawiamy się czy nie wyrzucić go do rowu. Szczęściem na stacji stoi patrol międzyna-

rodowej pomocy drogowej ADAC. Każą nam zdjąć koło i zabierają je do Bückenburga. Za pół godziny koło mamy zreperowane. Płacimy tylko 1 markę 20 fenigów. Pomoc na autostradzie jest darmowa.

Na tej samej stacji dostaję kilka kolorowych naklejek reklamujących benzynę. Przylepiam do motocykla, ale — w dwie godziny po przyjeździe do Polski — jacyś wandalę zrywają mi je razem z lakierem.

Montujemy koło, myjemy się i jedziemy dalej. Pod wieczór dobijamy na miejskich światłach do Lübeck, gdzie próbuję bez skutku zreperować światło. Decydujemy się na nocleg.

W najbliższym przydrożnym zajeździe są wolne pokoje, ustalamy cenę i zaczynamy odpinać bagaże od motocykla.

— Z Polski? — właściciel zajazdu wychodzi zza kontuaru i przygląda się tablicy rejestracyjnej. — Możecie zabierać swoje torby, pokoje mam niestety zarezerwowane.

Z trudem opanowujemy wściekłość i wsiadamy na motocykl. Do Osnabrück około 60 km. Jest zupełnie ciemno, mamy tylko światła miejskie. Ale w Osnabrück jest schronisko młodzieżowe, gdzie możemy zanoćować. Mijamy wprowadzić po drodze kilkanaście podobnych zajazdów jak ten w Lübeck, ale wolimy ryzykować jazdę w ciemności niż przyjęcie jakiegoś doznali.

Do Osnabrück przyjeżdżamy za późno, schronisko jest zamknięte, choć we wszystkich oknach pali się światło i słycać wyraźne pijackie śpiewy.

Jeszcze w śródmieściu — schronisko jest na peryferiach — zaczepiło nas kilku długowłosych motocyklistów na Hondach i BMW z bardzo przemyślnie powyginanymi kierownicami. To oni zaprowadzili nas do schroniska, a potem do taniego hotelu na przedmieściu, gdzie w końcu zanoćowaliśmy wyczerpani do ostatnich granic.

Następnego dnia bez większych kłopotów dobijamy do Amsterdamu, gdzie silnik znowu odmawia posłuszeństwa. Motocykl nie ma zrywu, jedziemy z szybkością 10 km na godzinę, mijają nas rowery i motorowery... Nasza wiza tranzytowa na cały Benelux ważna jest tylko 24 godziny. Nie ma więc mowy o reperacji motocykla, choć początkowo myśleliśmy, że w: Amsterdamie naprawimy przynajmniej światło. Musimy więc zostawić WFM-kę u znajomych Holendrów i dalej jechać autostopem. Do Paryża zostaje nam jeszcze około 600 km. Motocykl zabierzemy w powrotnej drodze.

Jacek M. HOHENSEE

Tygodnik Demokratyczny, 16 listopada 1969

PO L S C Y T U R Y Ś C I

Doświadczenia mego poprzedniego zmotoryzowanego wjazdu do Włoch przed dwoma laty sprawiły, że tym razem skrzyknąłem przyjaciela. Miccio — artystyczna dusza, plastyk i architekt z zawodu, ubóstwa grzebanie w samochodowych bebecach. Dlaczego mu tego nie umożliwić?

Decyzja zapada bohaterska — Neapol — drogą jak sierp prostą. Jedziemy „żółtkiem” (Wartburg Standard 1.000, rok 1966, kolor żółtawy, stąd nazwa), bohaterem już jednej podobnej podróży.

Ładujemy do „żółtka” rzeczy najniezbędniejsze, ale Neapol w planie docelowym, osób cztery (nas dwóch i dwie żony) oraz brak książeczek czekowych na zagraniczne konta bankowe czynią wszystko rzeczą niezbędną. Namioty, śpiwory, materace, kanistry z benzyną, z olejem, konserw kilo... dużo, smalec, jajka, sól plus trochę ciuchów sprawiają, że „Żółtek” podwyższony o bagażnik na dachu nie ma w ogóle prześwitu pod karoserią i podpiera się rurą wydechową.

— Trzeba wyrzucić trochę konserw — decyduje Miccio.

— Ta zwariował — protestuje z lwowska jego połowica Lubka — też my czterech tygodni nie wytrzymamy.

— To się dokupi w drodze.

— Co proszę? A za które?

— To może jeden kanister zostawimy — podsuwam.

— Znaczy, że jedziemy tylko do Rzymu — przekłada propozycję na język realizmu moja połowica, Grażyna.

— Niech się dzieje co chce, jedziemy tak.

Łatwo powiedzieć. Sto kilometrów do Cieszyina jedziemy trzy godziny, każdy wybór na drodze przyprawia nas o atak serca, bo „Żółtek” wali tyłkiem o bruk. Nie ma wozu, którego kierow-

ca, wyprzedzając nas, nie dawałby znaku klaksonem czy gestykulacją, że Wartburg „siedzi”.

Na granicznym moście nad leniwą Olzą, po szybkiej, miłej i sprawnej odprawie — pierwsza przykreść. Miecio startuje z animumsem i w rękę zostaje mu ułamany kluczyk. Masz babo placek. Po nieudanych próbach wyciągnięcia ułamanej części ze stacyjki (środek ulicy, południe, upał, zator i plakietka PL na Żółtku) Miecio decyduje:

— Trudno, będziemy startować przy pomocy śrubokręta.

Istotnie, nie ma innej rady, tym bardziej że 30-cm. śrubokręt zastępuje z powodzeniem kluczyk.

Perspektywa 300-kilometrowego przeskoku przez Słowację do Wiednia napawa mnie już na cieszyńskim moście przerażeniem. Pamiętam drogę z zieloną tabliczką E-16 sprzed dwóch lat. Takich wyboi, tak źle konserwowanych nawierzchni, takiego oznakowania, że na rozstaju bardzo ruchliwych dróg staje człek zdezorientowany i nie wie co dalej — nie spotka się nawet na naszych drogach lokalnych. Wszystko to sprawia, że 300-km. odcinek w rzeczywistości liczy ponad 400. W rezultacie stary, o metalowej kratownicy most bratysławski nad Dunajem zamiast o wczesnym popołudniu — osiągamy o zmierzchu.

Austriacki celnik w nadgranicznym Bergu na widok śrubokręta napierw dębieje, a za chwilę nie wie na co się zdecydować — dzwonić na policję, czy też samemu próbować nas zatrzymać. Ale jedno spojrzenie na nasze dostojne, pełne spokoju twarze przekonują go, że najwidoczniej samochód jest nasz, a nie buchnięty, a ten śrubokręt to fantazyjny wybryk turystów ze znakiem PL. Teraz jak najszybciej do Camping Wien-West, aby zamontować kupioną w CSRS stacyjkę.

„Podwójna podłoga”, czyli dwie warstwy konserw wyłożonych między siedzeniami (nie w celu przemycenia, a raczej upchania gdzieś tego, co się nie zmieściło w bagażniku) powoduje, że nasze panie siedzą z kolanami dotykającymi brody.

Każdy obrót kół oddala nas od granicznego Dunaju, a zbliża do Wiednia. Ta „podwójna podłoga” spowodowała, że przypomniało mi się zdumienie angielskiego naukowca, który dwa lata temu opowiadał mi w uroczym Sestriere na granicy włosko-francuskiej o pewnym spotkaniu z Polakami w Londynie.

— Wie pan, nie przypuszczałem, że wy Polacy jesteście do tego stopnia przywiązani do polskiego jedzenia! Przyjechali do nas do instytutu dwaj naukowcy z Warszawy, przemili ludzie, kontakty nawiązaliśmy natychmiast. Gościłem u nich w pokoiku w pensjonacie. Zauważyłem, że robiąc jajecznicę, sięgają po jajka do walizki. Podejrzałem, że mają ich tam ze sto. Okazało się, że

przywieźli je z Polski. Zagadnałem dlaczego nie kupują ich tu, w Londynie. Odpowiedzieli, że ze względów zdrowotnych jedzą wyłącznie polskie jajka.

— Ale i u nas dostaniecie polskie jajka z importu — dziwił się profesor.

— Tak, ale widzi pan, nie wiadomo ile one płynęły morzem, nie wiadomo czy są świeże...

Pół roku potem zetknąłem się już w kraju z jednym z bohaterów tego opowiadania.

— Uroczy, ale pozbawiony fantazji facet — stwierdził Polak. — My nie tylko jajka mieliśmy, ale i sól, i cukier, i kuchenkę gazową. Bo co mieliśmy mówić? Czy on potrafiłby zrozumieć, że musieliśmy jakoś żyć, bo dostaliśmy diety na tydzień, a praca nasza wymagała 3-tygodniowego pobytu?

Po to, by dostać się na Camping Wien West, trzeba przeskoczyć cały Wiedeń. Rozmigotana neonami Mariahilferstrasse pozostaje długo w pamięci, już choćby tylko dlatego, że wszystkie neonowe litery się palą, że odczytać można bez trudu co reklamują, o co chodzi, a nie staje człęk wobec podkastrowanych, fragmentami wycienionych zagadek. Jak oni to robią?

Ładnych kilka kilometrów za Dworcem Zachodnim, w zadrzewionej, pagórkowatej i peryferyjnej już dzielnicy jest wreszcie turystyczna przystań — camping. Istna wieża Babel. Wzdłuż betonowych dojazdów stoją karnie wozy, caravany, namioty, bok przy boku, sznurki zaplecione o sznurki, tłok, ścisk. I cisza. To uderza od pierwszej chwili. Żadnych tranzystorów, żadnych gitar i big-beatowych wyczynów, choć długowłosi snują się pęczkami. Tu się wyraźnie szanuje spokój swój i sąsiadów, oddalonych najczęściej o metr za cienką namiotową tkaniną.

Wreszcie po wielu penetracjach znajdujemy placyk dosłownie trzy na trzy metry, na którym burta w burtę stoją „Żółtek” i namiot. Pompujemy materace, wbijamy kołki, śledzie, montujemy kuchenkę gazową i gdy nasze panie biorą się do pichcenia, my z Miciem idziemy na rekonesans.

Obserwacje z tego i następnych campingów w sześciu przejechanych krajach pozwoliły na ustalenie pewnych reguł, prawideł. Pierwsze — klienci campingowych pól pod względem socjalnym. Nie znajdzie się tu inżynierów, wyższych urzędników, dziennikarzy, pisarzy — tych stać na wille, hotele i ekskluzywne miejscowości. Camping zaś — to urlop fryzjera, hydraulika, ekspedientki lub szczeniakerii średniozamożnych rodziców. Wozy różne, jak i u nas, z tym że Syrenie odpowiada tam VW-1300, Wartburgowi — Opel, Skodzie — Mercedes, a na Fiata 125p przypadają chyba Volvo, Alfa Romeo, Lancia, Sunbeam, Honda itd.

Nasz harcerski namiot wygląda bojowo, zielono w tym morzu pstrokacizny. Dumni jesteśmy, że jest tak surowy, godny choć najmniejszy, i tu, i na następnych campingach. Otaczają go wielkoludy, przeważnie caravany — całe pokoje na kółkach, z kuchniami, zlewozmywakami, aparatami TV, ubikacją, tuszem, lodówką, a nawet i elektryczną pralką na akumulator. O ile zaś ktoś kała się już namiotem, to ma tę ambicję, aby w miejscu gdzie ongiś stał pod buńczukiem namiot Kara Mustafy, wezrya sułtana Turcji, nie wypaść gorzej. Stoją więc wokoło trzy, a nawet czteropokojowe namioty, żółte, zielone, pomarańczowe, niebieskie, z frędzlami, kutasami, weneckimi oknami, a w nich meble jak w salonach, wyplatane, nadymane, jakie kto chce. Na noc nawet pięciometrowej długości wóz wjeżdża prawie do namiotu, który zamyka się na ekler.

Oto podjeżdża świetnym Volvo biała jak mleko dziewczyna ze znaczkami SF (Suomi Finland).

Miecie szturcha mnie łokciem i mówi:

— Stary, nasze dziewczyny daleko, a tu babka sama, friend-boya nie widać, ona przecież jednego kołka nie wbije, bądźmy więc džentelmenami!

A tu mlecznowłose dziewczę wywleka z kufra jednym wylakierowanym palcem namiotowy ochłap, podtyka w sobie tylko znane miejsce pompkę i kształtną nóżką pompuje raz, dwa, trzy, pięć. Po kilkunastu sekundach bezkształtna masa zaczyna się podnosić, wybrzuszać w kopułę, a po następnych kilkunastu stoi namiot o wcale niemalutkim metrażu. Dziewczyna wbija w ziemię cztery kołki i „dom” gotów. Ile czasu trwało postawienie tego cudu? Może 45 sekund, może minutę. Ot, co daje zastąpienie metalowego stalażu gumowymi węzami!

— Nie ma warunków na džentelmeństwo — mówi markotnie przyjaciel.

Nasi sąsiedzi Czesi patrzą na to cudo z równym zdumieniem co my. Kręcą z niedowierzaniem głowami. Jest ich tu masa, dosłownie co czwarty wóz nosi plaketkę „CS”.

Długi schludny pawilon kryje w sobie urządzenia sanitarne. Pełno tu automatów. Ułatwiają życie, dają pewne złudzenie komfortu, ale... łykają szylingi.

Lodowaty, spartański tusz, proszę bardzo, gratis, kilka minut cieplej wody — szylinga do automatu. Po co wozic butle z gazem, kuchenkę, kiedy automatyczna kuchnia za szylinga wydzieli trzy minuty gazu na zagotowanie wody, za drugiego — następne trzy na dogotowanie makaronu, trzeci pozwoli przygrzać konserwy i tak można bez bagażu, kłopotów, wieść szylingowy żywot. Co prawda szyling nie majątek, aż 25 ich wchodzi na dolar, ale

ileż na trasie natrysków, toaletek, kuchenek (we Włoszech taksa będzie czterokrotnie wyższa: 100 lirów za 3 minuty ciepłej wody).

Nasze panie odgrają się, że skoro świt idą na kulturalne oględziny Wiednia — Schönbrunn, Belweder, Burg — padają wielkie nazwy. Mietek zerka na mnie i rozumiemy się bez słów. Wiemy, że skończy się spacerem po Mariahilferstr., albo Kärtnnerstrasse czy Graben i ciężkimi wzdychulcami przed wielkimi wystawami „Humanica”, „Bally” czy „Del-Ka”, zawałonymi setkami par butów. Decydujemy więc jednogłośnie i niedemokratycznie:

— Wiedeń zostawiamy na drogę powrotną. Jutro 300-kilometrowy skok do Salzburga, a pojutrze Monachium!

Cezary CHLEBOWSKI

Wrocławski Tygodnik Kulturalny Nr 5

SPIS TREŚCI

OD WYDAWCY	7
------------------	---

Rozdział Pierwszy OBLICZE DNIA

Janusz Rolicki: <i>Daj mi udo</i>	13
Andrzej Brycht: <i>Dzikusy 70</i>	21
Marke Piwny: <i>Wyrób się pan</i>	28
Jerzy Ambroziewicz: <i>Bicie à la carte</i>	36
Marek Sadzewicz: <i>Dziki człowiek na trybunach</i>	39
A. Kl.: <i>Z czym do gościa</i>	41
Wiktor Weggi: <i>Na ile te świętki</i>	44
Klakson: <i>Cnoty i kotlety</i>	49

Rozdział Drugi PLANOWANIE W STYLU PRL

Wojciech Kubicki: <i>W cieniu piramid</i>	55
Jerzy Urban: <i>Barwy postępu</i>	58
Wanda Strzelecka: <i>Co mamy z elektryfikacji?</i>	62
Karol Marejda: <i>Niezwykłe podróże szczotek</i>	66
<i>Dyscyplina bez usprawiedliwień</i>	68
Jerzy Łaniewski: <i>Bubloroby wbrew woli</i>	70
Teresa Gawerska: <i>W ciasnych butach trudno o optymizm</i>	77
Jan Dziewulski: <i>Mimochodem</i>	81
B. Lewicki: <i>Co znajdziemy na półkach sklepów</i>	82
Irena Scholl: <i>Kontroler — sprzymierzeniec klienta</i>	86
M. Ch.: <i>Niepokój pod wiechą</i>	90
Wojciech Giełżyński: <i>Dymom na przekór</i>	93

Jerzy Surdykowski: <i>Śmierdzący temat</i>	95
<i>Skutki „donosu”? — Tymczasem żadne</i>	101
B. L.: <i>Od przypadku do przypadku</i>	106
Andrzej K. Wróblewski: <i>Dlaczego nie wychodzi?</i>	108
<i>Migawki</i>	115
Aleksander Jędrzejczak: <i>Mój miliard</i>	123
Józef Kuśmierek: <i>Daleko od stolicy</i>	128
Z. Jagielski: <i>Dlaczego szafa nie gra?</i>	133
Andrzej Bober: <i>Ładna „przyszłość!”</i>	137
Wanda Falkowska: <i>Strażnicy mienia</i>	141
Wanda Strzałkowska: <i>Zdrowie w poślizgu</i>	148
Danuta Linkiewicz: <i>Sto pustych miejsc w aptecznych szufladach</i>	148
<i>Apropozycja</i>	150
<i>Gospodarka rolna</i>	155
<i>Elektryfikacja</i>	158

Rozdział Trzeci

OJCZYŻNA WÓDKĄ PŁYNĄCA

Stefan Kozicki: <i>„Składka po dychaczu”</i>	163
Stefan Kozicki: <i>Kuba do Jakuba</i>	172
Henryk Słysz: <i>Na wsi zabawa</i>	184

Rozdział Czwarty

TROSKA O CZŁOWIEKA

Anna Kuszeko: <i>Chora medycyna</i>	191
Andrzej Mozołowski: <i>Lekarze, pielęgniarzy, salowe...</i>	199
A. Dmuchowska: <i>To już epidemia</i>	201
Wiesław Sachs: <i>Strażacy zamykają szpital</i>	202
<i>Sonda</i>	203
Edmund Żurek: <i>„Oskąpowani”</i>	205
Leon Biehler: <i>Bez Boga i milicji</i>	211
Krzysztof Głogowski: <i>Western po polsku</i>	216
Helena Kowalik: <i>Nad pustą studnią</i>	220
KTT: <i>Klucz do M-3 czyli lekcja stoicyzmu</i>	224
(Z): <i>Znak jakości dla mieszkania</i>	227
Michał Radgowski: <i>Zeberka do wymiany</i>	229
Andrzej Baszkowski, Janusz Drozdowski: <i>Życzliwy donos na gastronomię</i>	237

Małgorzata Szejnert: <i>Zjadacze chleba, nie anioły</i>	244
Małgorzata Szejnert: <i>Zagłoba tu nie jada</i>	249
<i>Dziś i jutro żelaznej drogi</i>	255
Aleksander R.: <i>Harmonia</i>	260
Stefan Truszczyński: <i>Tory we mgle</i>	264
B. Dydenko: <i>Elektryczność dla 300 tysięcy</i>	273
S. Truszczyński: <i>Sław imię</i>	276
Stanisław Jakubowski: <i>Król jest nadal nagi</i>	282
Zygmunt Zonik, Dariusz Fikus: <i>Kłopoty z telefonem</i>	286
Michał Radgowski: <i>Styl „imprevu”</i>	289
<i>O automatach — pesymistycznie</i>	292

Rozdział Piąty

MŁODY LAS

Andrzej Dobrzyński: <i>Okna do więzienia</i>	297
Zofia Nowicka: <i>Gdzie jest chuligan?</i>	303
I. Czyńska: <i>Czyj ten „Uśmiech”?</i>	309
Jerzy Wołczyk: <i>O podręcznikach akademickich realistycznie</i>	313
(N): <i>Dach nad głową studenta</i>	317
(Ig) Opr.: <i>W kolejce po studencki obiad</i>	320
Krystyna Sitkova: <i>Zdrowie na talerzu</i>	324
<i>Tydzień przed szkolnym dzwonkiem</i>	327
Krystyna Kostrzewa: <i>Higiena w szkole</i>	328
Jolanta Łopuszyńska: <i>Słodkie życie</i>	330

Rozdział Szósty

PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Klakson: <i>Po co nam to było?</i>	339
Jerzy M. Kopeć: <i>Gdzie twoje szczęście?</i>	343
Zygmunt Sztaba: <i>Rozmyślania przed hotelowym lustrem</i> ..	347
J. Rubach-Kuczevska: <i>Parawan</i>	351
Stefan Kubiak: <i>Taksówką za dolary</i>	353
<i>Milion turystów odwiedziło stolicę</i>	356
<i>Usługa dla turystów</i>	356
Jerzy Barski: <i>Sopot by night</i>	358
Aleksander R.: <i>Nasi w ciepłym kraju</i>	363
Jacek M. Hohensee: <i>W.F.M.-ką do Paryża</i>	366
Cezary Chlebowski: <i>Polscy turyści</i>	369

PEŁNY WYKAZ WYDAWNICTW
« BIBLIOTEKI KULTURY »

1. Witold GOMBROWICZ . *Trans-Atlantyk i Ślub* (wyczerpane)
2. George ORWELL *1984* (wyczerpane)
3. Czesław MIŁOSZ *Zniewolony umysł* (wyczerpane)
4. James BURNHAM *Bierny opór czy wyzwolenie?*
5. Czesław MIŁOSZ *Światło dzienne* (Poezje) (wyczerpane)
6. Czesław STRASZEWICZ *Turyści z bocianich gniazd* (wyczerpane)
7. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Rzeczypospolitej* (wyczerpane)
8. Józef ŁOBODOWSKI .. *Złota hramota* (Poezje)
9. Czesław MIŁOSZ *Zdobycie władzy* (wyczerpane)
10. Czesław MIŁOSZ *Dolina Issy* (wyczerpane)
11. Marian PANKOWSKI .. *Smagła swoboda*
12. Teodor PARNICKI *Koniec „Zgody narodów”, 2 tomy* (wyczerpane)
13. Stefan KORBOŃSKI .. *W imieniu Kremla...* (wyczerpane)
14. Raymond ARON *Koniec wieku ideologii* (wyczerpane)
15. Graham GREENE *Moc i chwała*
16. Leo LIPSKI *Dzień i noc* (Opowiadania) (wyczerpane)
17. Andrzej CHCIUK *Smutny uśmiech* (Opowiadania) (wyczerpane)
18. Jeanne HERSCH *Polityka i rzeczywistość*
19. Czesław MIŁOSZ *Traktat poetycki* (wyczerpane)
20. Józef MACKIEWICZ .. *Kontra*
21. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik (1953-1956)* (wyczerpane)
22. Andrzej BOBKOWSKI .. *Szkice piórkem* (Francja 1940-1944), 2 tomy
23. Paweł ZAREMBA *Historia Stanów Zjednoczonych* (wyczerpane)
24. Aleksander HERTZ *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji) (wyczerpane)
25. Daniel BELL *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce)

26. Jan WINCZAKIEWICZ *Izrael w poezji polskiej* (Antologia)
27. Milovan ĐILAS *Nowa klasa wyzyskiwaczy* (wyczerpane)
28. Marek HŁASKO *Cmentarze. Następny do raju* (wyczerpane)
29. Czesław MIŁOSZ *Kontynenty* (wyczerpane)
30. Jan KOWALIK *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956*
(wyczerpane)
31. Stanisław REMBEK *W polu*
32. Howard FAST *Król jest nagi* (wyczerpane)
33. Simone WEIL *Wybór pism*
34. Albert CAMUS *Człowiek zbuntowany* (wyczerpane)
35. James BURNHAM *Rewolucja menadżerska* (wyczerpane)
36. Tadeusz KATELBACH *Rok złych wróżb* (1943)
37. Jurij ŁAWRYNENKO *Rozstriliane wiodroźnennia* (Antologia)
38. Józef ŁOBODOWSKI *Pieśń o Ukrainie z tłumaczeniem na ukraiński*
Św. Hordyńskiego (wyczerpane)
39. Tadeusz NOWAKOWSKI *Syn zadziurnionych* (wyczerpane)
40. — *Program Związku Komunistów Jugosławii*
(Seria „Dokumenty”, Zeszyt 5)
41. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 6)
42. Marek HŁASKO *Hrbitowy* (wyczerpane)
43. Jan KOWALIK „Kultura” 1947-1957. Bibliografia „Kultury”
44. Borys PASTERNAK *Doktor Żiwago* (Wyd. 3-cie) (wyczerpane)
45. Wacław LEDNICKI *Glossy Krasinśkiego do apologetyki rosyjskiej* (wyczerpane)
46. Abram TERC *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (wyczerpane)
47. Tibor DERY *Niki* (wyczerpane)
48. Wiktor SUKIENNICKI *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 7) (wyczerpane)
49. Wacław IWANIUK *Milczenia 1949-1959* (Poezje) (wyczerpane)
50. Czesław MIŁOSZ *Rodzinna Europa* (wyczerpane)
51. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Skrzydła ołtarza*
52. Halszka GUILLEY-
CHMIELOWSKA *Spotkania na galerii*
53. Józef CZAPSKI *Oko*
54. Witold GOMBROWICZ *Pornografia* (wyczerpane)
55. Leo LIPSKI *Piotruś*
56. Aldous HUXLEY *Nowy wspaniały świat poprawiony*
57. Kazimierz WIERZYŃSKI *Tkanka ziemi* (wyczerpane)
58. Stanisław KOT *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Ho-*
dziackiej

59. (Opr. Czesław MIŁOSZ) *Węgry* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 8)
60. Artur Marya SWINARSKI *Sasza i bogowie*
61. Andrzej CHCIUK *Rejs do Smithton — Stary ocean.*
62. Adam CIOŁKOSZ *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska*
Róża Luksemburg Rewolucja Rosyjska (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 9) (wyczerpane)
63. Bogdan CZAYKOWSKI i
Bolesław SULIK *Polacy w W. Brytanii*
64. Danuta MOSTWIN *Ameryko! Ameryko!*
65. Paweł HOSTOWIEC ... *Eseje dla Kassandry*
66. Aleksander HERTZ *Żydzi w kulturze polskiej* (wyczerpane)
67. Andrzej STAWAR *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty”, Ze-
szyt 10) (wyczerpane)
68. Abram TERC *Opowieści fantastyczne*
69. I. IWANOW *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. Abram TERC *Fantastyczskie Powieści* (wyczerpane)
71. I. IWANOW *Jest' li ziżń na Marsie?*
72. Paweł ZAREMBA *Historia Polski. Cz. I.*
73. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy)
74. Adam CZERNIAWSKI . *Topografia wnętrza* (Poezje) (wyczerpane)
75. Władysław BRONIEWSKI *Wiersze* (wyczerpane)
76. Józef CZAPSKI *Na nieludzkiej ziemi* (wyczerpane)
77. Czesław MIŁOSZ *Człowiek wśród skorpionów*
78. Bernard SINGER *Od Witosa do Sławka*
79. Czesław MIŁOSZ *Król Popiel i inne wiersze*
80. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi) (wyczer-
pane)
81. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik. Tom II (1957-61)* (wyczerpane)
82. Milovan DŽILAS *Rozmowy ze Stalinem* (wyczerpane)
83. Jerzy MOND *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Październi-
ka) (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11-ty)
(wyczerpane)
84. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci)
85. Józef WITTLIN *Orfeusz w piekle XX wieku*
86. Zygmunt HAUPT *Pierścień z papieru*
87. Marek HŁASKO *Opowiadania*
88. Maria CZAPSKA *Polacy w ZSSR (1939-1942)* Antologia
89. Witold JEDLIICKI *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty”,
Zeszyt 12-ty)
90. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty)
91. Abram TERC *Lubimow* (wyczerpane)
92. — *We własnych oczach. Antologia współczesnej*
literatury sowieckiej
93. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Drugie przyjście oraz inne opowiadania i*
szkice

94. Jan KOWALIK *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962*
95. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 5-ty)*
96. Marek HŁASKO *Brudne czyny. Wszyscy byli odwrócenii (wyczerpane)*
97. Kazimierz WIERZYŃSKI *Kufer na plecach (Poezje) (wyczerpane)*
98. Bogdan CZAYKOWSKI . *Spór z granicami (Poezje) (wyczerpane)*
99. Wincenty WITOS *Moje Wspomnienia. Tom I/III*
100. Walter G. KRYWICKI . *Byłem agentem Stalina (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
101. Jan BIELATOWICZ *Gaude Mater Polonia (wyczerpane)*
102. Stanisław MACKIEWICZ *Polityka Becka*
103. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 6-ty)*
104. Ignazio SILONE *Wybór towarzyszy (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
105. Wiktor SUKIENNICKI . *Biała Księga (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 13-ty) (wyczerpane)*
106. Juliusz MIEROSZEWSKI *Ewulcjonizm (wyczerpane)*
107. Abram TERC *Mysli niespodziewane (wyczerpane)*
108. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 7-my)*
109. Wacław IWANIUK *Wybór wierszy*
110. Michał K. PAWLIKOWSKI *Wojna i sezon*
111. Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI *Inny świat (wyczerpane)*
112. Witold GOMBROWICZ . *Kosmos (wyczerpane)*
113. Borys LEWICKIJ *Terror i rewolucja (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
114. Stanisław VINCENZ *Po stronie pamięci*
115. Danuta MOSTWIN *Olivia*
116. Czesław MIŁOSZ *Gucio zaczarowany (Poezje) (wyczerpane)*
117. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 8-my)*
118. Jerzy PIETRKIEWICZ . *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne*
119. January GRZĘDZIŃSKI . *Maj 1926 (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 14-y)*
120. Mikołaj ARŻAK *Odkupienie i inne opowiadania*
121. Arthur KOESTLER *Fragmenty wspomnień (Seria „Archiwum Rewolucji”)*
122. Michel GARDER *Agonia reżymu w ZSSR (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)*
123. Piotr GUZY *Krótki żywot bohatera pozytywnego*
124. — *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 15-ty) (wyczerpane)*
125. — *Zeszyty Historyczne (Zeszyt 9-ty)*
126. Barbara TOPORSKA .. *Siostry*

127. — *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 16-ty) (wyczerpane)
128. Marek HŁASKO *Piękni, dwudziestoletni* (wyczerpane)
129. Borys LEWYČKYJ *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
130. Mihajlo MIHAJLOV ... *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
131. George J. FLEMMING .. *Polska mało znana*
132. J. KUROŃ i K. MODZELEWSKI *List otwarty* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 17-ty) (wyczerpane)
133. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty)
134. Wacław LEDNICKI *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905*
135. Adam CZERNIAWSKI . *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje)
136. — *Schizmy* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 18-ty)
137. George J. FLEMMING .. *Czym to się je?* (wyczerpane)
138. Witold GOMBROWICZ . *Dziennik III. Operetka*
139. Aleksander HERTZ *Refleksje amerykańskie*
140. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty)
141. Olga SCHERER *W czas morowy*
142. Alicja ZAWADZKA-WETZ *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 19-ty)
143. Bonifacy MIAŻEK *Ziemia otwarta* (Poezje)
144. Juliusz MIEROSZEWSKI *Polityczne Neurozy*
145. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 12-ty)
146. Aleksander HERTZ *Szkice o ideologiach*
147. Wiktor SUKIENNICKI . *Legenda i Rzeczywistość* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 20-ty)
148. Tomasz STALIŃSKI ... *Widziane z góry* (wyczerpane)
149. Galina SIERIEBRIAKOWA *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji”) (wyczerpane)
150. Swietłana ALLILUJEWA *Dwadzieścia listów do Przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
151. Aleksander WEISSBERG-CYBULSKI *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji”)
152. Leopold TYRMAND *Życie towarzyskie i uczuciowe*
153. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty)
154. Kazimierz WIERZYŃSKI *Czarny Polonez* (Poezje)
155. Czesław DOBEK *Drugi rzut i inne opowiadania*
156. Wacław IWANIUK *Ciemny Czas* (Poezje)
157. Leon MITKIEWICZ .. *Z gen. Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 21-ty).
158. Alicja IWAŃSKA *Świat przetłumaczony*
159. Piotr GUZY *Stan wyjątkowy*

160. Julian KULSKI *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 22-gi).
161. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty)
162. Andrej SACHAROW .. *Rozmyślania* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 23-ci) (wyczerpane)
163. Jerzy ANDRZEJEWSKI . *Apelacja*
164. Eugenio REALE *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 24-ty)
165. Stanisław WYGODZKI . *Zatrzymany do wyjaśnienia*
166. Henryk GRYNBERG .. *Zwycięstwo*
167. — *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 25-ty)
168. Dominique DE ROUX . *Rozmowy z Gombrowiczem*
169. Iwan KOSZELIWEK .. *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 26-ty)
170. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty)
171. Kazimierz WIERZYŃSKI *Sen mara* (Poezje)
172. — *Polskie Przedwiośnie. Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 27-my)
173. Józef MACKIEWICZ .. *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść)
174. Andrzej BUSZA *Znaki wodne* (Poezje)
175. Gustaw HERLING-GRU-
DZIŃSKI *Upiory rewolucji*
176. — *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty)
177. Czesław MIŁOSZ *Widzenia nad zatoką San Francisco*
178. Czesław MIŁOSZ *Miasto bez imienia* (Poezje)
179. Paulina PREISS *Biurokracja totalna*
180. — *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 28-y)
181. Witold GOMBROWICZ . *Ferdydurke*
182. Franciszek KALINOW-
SKI *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii*
(1940-1945)
183. Władysław BIEŃKOW-
SKI *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty”, Zeszyt 29-ty)



Achévé d'imprimer le 23 février 1970 sur les Presses de l'Imprimerie Richard
24, rue Stephenson, Paris 18^e
Dépôt légal : 1^{er} trimestre 1970

SERIA „DOKUMENTY”

- Nr 1 *O kulcie jednostki i jego następstwach* (1 F)
- Nr 2 *Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21. X. 1956.* (1 F)
- Nr 3 *Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha* (wyczerpane)
- Nr 4 *Warszawa-Kijów* (1 F)

W „BIBLIOTECIE KULTURY”

- Nr 5 *Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista”* (8 F)
- Nr 6 *Kultura Masowa* — Praca zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)
- Nr 7 Wiktor Sukiennicki: *Kolumbowy Błąd* — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)
- Nr 9 Adam Ciołkosz: *Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska* (15 F)
- Nr 10 Andrzej Stawar: *Pisma ostatnie* (wyczerpane).
- Nr 11 *Sześć lat temu...* (Kulisy polskiego Października) (10 F)
- Nr 12 Witold Jedlicki: *Klub Krzywego Koła* (10 F)
- Nr 13 Wiktor Sukiennicki: *Biała księga* (12,75 F)
- Nr 14 January Grzędziński: *Maj 1926* (9 F)
- Nr 15 *Dialog polsko-niemiecki* (6 F)
- Nr 16 *Sąd idzie!* Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela (7,50 F)
- Nr 17 J. Kuroń i K. Modzelewski: *List Otwarty do Partii* (7 F)
- Nr 18 *Schizmy* (7 F)
- Nr 19 Alicja Zawadzka-Wetz: *Refleksje pewnego życia* (16,50 F)
- Nr 20 Wiktor Sukiennicki: *Legenda i Rzeczywistość* (9 F)
- Nr 21 Leon Mitkiewicz: *Z generałem Sikorskim na obczyźnie* (23 F)
- Nr 22 Julian Kułski: *Stefan Starzyński* (12 F)
- Nr 23 Andrzej Sacharow: *Rozmyślania* (4 F)
- Nr 24 Eugenio Reale: *Raporty. Polska 1945-1946* (18,50 F)
- Nr 25 *Wydarzenia marcowe 1968* (15 F)
- Nr 26 *Ukraina 1956-1968* (18,50 F)
- Nr 27 *Polskie przedwiośnie* (15 F)
- Nr 28 *Komunizm z ludzką twarzą* (10 F)
- Nr 29 Władysław Bieńkowski: *Motory i Hamulce Socjalizmu* (12 F)



EU

Kultura - Paryż
24. VIII. 70

24 F (dol. 5; 40 sh.)